

Zwariowana opowieść o Czechach ery postmodernizmu.
„The New York Times”



Jáchym Topol

Siostra



Jáchym Topol
Siostra

Przełożył
Leszek Engelking



w
ydawnic
ab
two

MIASTO

Z RĘKĄ W BROKACIE. RYCINA I W JAMIE. JAK TO BYŁO Z PSICĄ.
WIDZIMY ICH, IDĄ. PIWNICA. TRZYMAŁA MNIE.

Byliśmy ludźmi Tajemnicy. I czekaliśmy. Potem David oszalał. Może głowa pękła właśnie jemu, bo była najlepsza, bo była głową, która wysyłała sygnały i w ten sposób gnała całą paczkę, całą spółkę do przodu. Tak sobie mówiliśmy, że do przodu, dokądś, ale wkrótce wszyscy straciliśmy orientację i nie wiedzieliśmy już, dokąd pędzimy.

Niektórym z nas przechodziło może przez myśl, że nie posuwamy się już po prostej, tylko kręcimy się w kółko. Także i mnie kilka razy zdawało się, że czas znika gdzieś w bladym świetle, jest bardziej przezroczysty, znowu traci kolor i smak – i zaczynałem się bać. Może tylko Rekin miał jakiś konkretny cel: pozbyć się pudełka i jego widm. Ja chodziłem jak niedźwiedź w kieracie, przerażało mnie to wszystko, ale jednocześnie bawiło i ładowało mi akumulator. Kocur nie mógł pozwolić sobie na to, żeby przestać błyszczeć, i błyszczał najbardziej właśnie wtedy, kiedy płynął metal.

Z Davidem stało się to po tym, jak ludzie z ministerstwa wyczyścili naszą studnię. Nie tylko ciągle wachał sobie kciuki, ale już od dłuższego czasu widziałem zmianę w jego twarzy, oczy wychodziły mu na wierzch, a broda przeciwnie, jak gdyby zanikała. Usta miał często szeroko otwarte, wyglądasz jak dynia, zażartowałem, nie odpowiedział.

To ja znalazłem go w magazynie, siedział pod belami materiału jak w orientalnym namiocie, z jedną ręką w brokacie, to mi obojętne, ten dotyk, mówił, to wszystko jest całkiem takie samo, mnie tam bez różnicy.

Co mówisz?

To mi obojętne, wszystko jedno. Załatwiałeś samochody, nie?

No.

Widzisz, odpowiedział, ty albo Novák. Dla mnie jesteście tacy sami. Czuję to i fizycznie, i psychicznie. Już nie będę gadać, powiedział.

Potem go nie zauważałem, poszedłem na górę, gdzie rozmawialiśmy po robocie, jak zawsze.

A jak to wszystko się zaczęło? Skoro chcę obejrzeć swoje ślady wtedy... w paleolicie... muszę opowiedzieć, jak szliśmy z Barą po placu pełnym Niemców, i zrobię to, bo tam zacząłem czuć ruch, tam czas nabrał koloru i smaku, tam zaczął się dla mnie karnawał.

Szliśmy przez plac pełen uciekinierów, oto teraz Praga, oblężone miasto, Perła, ten punkt na mapie za drutami, miała swoich uciekinierów. Będę pisać o tym, jak to się zaczynało, jedną ręką muszę chwycić się biurka i paznokieć palca wskazującego wbić gdzieś w kciuk, tak samo muszę chwycić i drugą rękę i poczuć ból, żeby mieć poczucie czegoś rzeczywistego. Skoro chcę wiedzieć, jak to było; ta główna część opowieści, to znaczy koniec, ginie gdzieś w pustce, w której znikają przyszłość i wszyscy umarli.

Zaczęło się to od uprzątnięcia murów i wymiany pamiątek, od wściekłego podróżowania, ja tobie dam kawałek muru, a ty mnie gilzę z placu, kawałek wosku, kawałek drutu z urządzenia podsłuchowego, z czasem straciłem te zbiory, miały sens tylko na początku, w radości, w upojeniu, po co chować drzazgi, łuski: oczywiste symbole pasują tylko do czegoś, co zamknął czas. Z tej rzeczywistości jeszcze przecież nie wyszedłeś. Ciągłe chodzisz po deskach, wciąż w tym samym przedstawieniu, wciąż w znanych dekoracjach, podrażnionymi nerwami wyczuwasz obecność rady nadzorczej, która w gruncie rzeczy reżyseruje ten kawałek, i jest? i nie jest? jest częścią planu? czy tkwi w tym jakiś zamysł? Ciągłe przeczuwasz gęby za zasłoną, te miny, szczura za zasłoną, grymas złego wujaszka. Twarz.

Jeszcze boli cię pogryziona pięść, którą wpychasz sobie w usta, żeby nie mówić, żebyś sam sobie nie powiedział, co tu się dzieje: z tobą. A swój udział najchętniej byś zakopał.

Patrzę w lustro, z tyłu, literami do ściany, napisana jest na nim dedykacja. To prezent od Chińczyka. Pociągam Ognistę z butelki, dno jeszcze daleko.

Zawsze kiedy zaczynam czuć, że czas traci swoją siłę, kiedy już nie wciąga, kiedy w tunelu przestaje wirować chaos i huk, pomaga mi Ognista. A następnego dnia to trupie zeszywnienie dowodzi, że czas znowu stał się dla mnie martwy. Czippewajowie po Ognistej jakoś tak trzymali w rękach swoje krótkie wiosła, zeszywniałe postaci w drewnianych łódkach, głowa jak gdyby roztrzaskana od wewnątrz. Także jej potrzebowali: strzelby i stalowe noże, i ospa, to właśnie rozbiło ich czas. Oni może pragnęli kręgu, ja tęskniłem do prostej.

Sięgam w górę na półkę po Wodę Ognistą, z drugiej strony szuka jej jakaś ręka, dotykam bransoletki, palce obgryzione tak jak moje, ale jego ręka jest śniada, pachnie dymem, jest pełna odcisków i otarć, ja już nie mam odcisków, już nie, chwytamy butelkę, każdy od swojej strony, ona jednak nie chce wojny: ten demon chce nas obu. Butelka rozpada się na dwie, każdy z nas ściąga swoje zimne szkło na swoją stronę ciemności, a na miejscu, w którym moja ręka dotknęła ręki Czippewaja, stoi już nowa flaszka, ciągle będą tam nowe flaszki, tak długo, jak długo będziemy umierać.

Już nie, powiedzieliśmy sobie. Razem. Wtedy z nią. Nie pamiętam już, które z nas się odezwało.

Nasza przyjaźń, to był właściwie świt firmy, późniejszej spółki, to był fundament, z Małą Białą Psicą żyłem jeszcze wtedy, kiedy nic nie wiedziałem, nie miałem i nie mogłem stracić. Tworzyła mnie, żebym ja potem mógł stworzyć kogoś innego, żeby to było plemię. Wiedziała, że jeśli chcemy przeżyć i zachować przynajmniej jakiś czas dla siebie, musimy mieć swoje plemię. Wiedziała, że będziemy musieli oddać cały swój czas kulisom, innym ludziom, i wiedziała też, jak zachować go przynajmniej trochę.

Dotyczy to także przedmiotów, ona mnie tego nauczyła. Wtedy miałem czas pochowany w błyszczących odłamkach szkła w kieszeniach krótkich spodenek. Siedziałem w klasie albo gdzieś w domu i wyjmowałem odłamek z chusteczki do nosa, wpatrywałem się w niego i czas zaczynał się odwijać, najpierw leciutko, tak jak na ziemię opada piórko (później nauczyła mnie, że dla lekkości dobrze jest włożyć kawały czasu właśnie pomiędzy pióra), potem w tym odłamku przyspieszał, a ja byłem w nim razem z Małą Białą Psicą, z trawą i drzewami w naszej jamie na zbocz, z jej dotknięciami, w rzeczywistości.

Widziała też zielone oczy tej, którą spotkam w przyszłości, bo uzdolnione kobiety potrafią w nią zajrzeć. Będiesz chyba z jakąś zapaśniczką, oglądała raz w łóżku swoje sińce; ja już nie będę się tak ciskać, powiedziałem; będziesz, będziesz, powiedziała ona.

Długo przedtem, nim zacząłem się ciskać i zgrzytać we śnie zębami, byłem kulawcem, kaleką, kiedyś w dzieciństwie, jesienią, a to, że kulałem tylko przed nią, było początkiem gry, początkiem badania siły ludzkiej i początkiem perwersji. Siedziałem bez ruchu, a Mała Biała Psica wywoływała mi w ciele mrowienie nerwów, siedziałem jak najdłużej, żeby uczyła się mojego ciała, żeby uczyła moje ciało czuć. Wzorem był dla mnie kaleka z ryciny. Średniowieczna rycina zaludniona rycerzami i kalekami. Było to średniowiecze świętego Jerzego zabijającego smoka, a ja byłem dziecięcym kaleką z pokręconą duszą i pilnie wyuczoną schizofrenią, bo to, co dozwolone i pożądane w środku, na zewnątrz było niepożądane i niebezpieczne. Kamieniem u szyi była mi duma rodziny. Miałem być przyszłością, która wynagrodzi upokorzenia – tak jak tysiące innych.

Tak samo jak im, także i mnie coś kazało urządzać pogrzeby martwym gołębiom i wróblom, stawiać im krzyżyki na mogiłkach i wkuwać słówka, ale Psica przywracała mnie sobie samemu, przez siebie, przez swoje ruchy i głos, i dotknięcia, jak mała małżonka.

Gdzie indziej musiałem dawać sobie radę z rolą ciekawego świata, wesołego chłopca i przynosić do domu piątki, żeby sprostać swoim zobowiązaniom. Komuniści wycierali takimi rodzinami kąty, ale właśnie dlatego ojcowie i matki zmuszali dzieci, żeby uczyły się łaciny. Ojcowie prowadzili sążniste dyskusje, czy uczyć łaciny, czy angielskiego, i zawsze zgadzali się ze sobą, że trzeba uczyć i jednego, i drugiego. Łacina, kościół, lekcje języków. Podwójna geografia, podwójna historia oraz religia – to była dość nędzna broń do walki z otaczającym światem. Ten Jerzy miał przynajmniej kopię. A smok nie chciał mu zabierać czasu, smok chciał go zabić.

Z Małą Białą Psicą byłem znowu nikim, kształtem zrodzonym z pary, z wiatru, z wilgoci. Mała Biała Psica pieściła mi nerwy, o których nawet nie wiedziałem, że je mam, moja twarz otrzymywała nową postać, zacząłem czuć ciało. Zacząłem tańczyć. U kaleki napięcie mięśni ręki jest tańcem. Ona ciągnęła mnie ku sobie, tworzyła, a to z kolei tworzyło jej istotę, jej sedno.

Ta mała, dobrze wychowana dziewczynka chodziła na swoje lekcje języków klasycznych do byłego księdza, wówczas magazyniera, ponieważ nie podpisał, ponieważ bał się Diabła, albo do kościoła do księdza, który podpisał, ponieważ Kościół jest wieczny, a wszystkie reżymy upadną i będą na dnie jak ziarnka piasku w nieskończonym oceanie łaski, ale nawet Kościół nie jest starszy niż plemię... i w ustach czuła jeszcze smak nasienia małego mężczyzny swojego plemienia, ponieważ my byliśmy bliźsi sobie nawzajem niż naszym rodzinom z przetrąconym kręgosłupem. Współczesność, w której nasze rodziny widziały fałszywy świat, i okres przed inwazją, do którego Ignęły, nam obojgu wydawały się taką samą brednią. Nie interesowała nas ani krew, ani rody, zupełnie jak Romea i Julię.

W tym trupim gwiazdzie dokoła trzeba było się skulić, wysunąć mackę nerwu i chwycić oraz wysłać sygnał plemienia. W jamie na zboczu, z zamkniętymi oczami: Co widzisz? Ciemność. Jest daleko? Nie, jest tutaj. A co ty widzisz? Ciebie. Innych ludzi, są mali, mają takie same twarze. Moja ciemność jest teraz czerwona. Moja też.

Nasze wzajemne pieścizoty, które czasem kończyły się moim orgazmem, a długo później także jej orgazmem, nie były tylko przyjmowaniem i daniem rozkoszy, były obrzędem plemienia w okrażeniu. Mała Biała Psica miała czarne włosy, jak wszystkie moje miłości, nazywałem ją białą ze względu na skórę. Ciągle ją tak nazywam, w myślach, także teraz, po tym, jak znikło wszystko, co staram się schwycić, jak spotkałem swoją siostrę, a Mała Biała Psica stała się duchem, dobrym demonem o nieodgadnionych zamiarach. Gdzie teraz jest, po tym, jak stało się to i to, ktoś w toku wydarzeń umarł, ktoś inny oszalał, a ktoś jeszcze inny odszedł. Czy nie ma jej tutaj?

Na język kładzie mi hostię, ten znak boży, a ja mam tam jeszcze nasienie, w którym są twoje dzieci, może nie wszystkie umarły, szłam bardzo szybko.

Później wymazywała ten smak, już go nie potrzebowała, tej moskitiery w dżungli, pokrowca na język, którym tak wiele kłamaliśmy, rodzinom, szkole, księdzu, wszystkim innym, wszystkim poza paczką, jadalną potem jabłka albo przynajmniej piła wodę i miała inne, bardziej skomplikowane maski i przebrania. Nie ruszaj się, mówiła, nie ruszam się, kłamałem i dotykałem jej, czubkiem swego kłamliwego języka wibrowała w moim uchu, gdzie brzmiało jeszcze oppida oppidum, puera pulchrum, ghetto ghettum, i podniecenie zmieniało mnie z kaleki z ryciny, na której zatrzymał się czas, w kawał żywego, nabiegłego krwią mięsa, głodnego i gotowego pożerać. Była starsza, bawiła się ze mną, zostawiała mnie w sobie, już wtedy uczyła mnie dostrzegać siły, które z czasem człowiek sam poleruje, żeby nie przeciążać psychiatrów: chłopczyk uczył się, kiedy i jak używać dziewczęcej siły, dziecięcej siły słowa „nie”, i kiedy być wojownikiem. I dopiero wtedy zaczęła błyszczeć, była z niej już Śliczna Psica z piersiami. Przedtem mieli jamę w ziemi, leżeli tam na kocach, jak embriony, i czuli ruch ziemi. Potem szli do domów, do rodzin, i żyli w kulisach.

Spaliśmy razem i bawiliśmy się, w gruncie rzeczy także żyliśmy razem, ale trzeba było walczyć przeciwko wielkiemu zalewowi brudu i marności, więc magia została gdzieś na dole, żarzyła się w niej jak węgielki, a może także i we mnie, chłodniej, chyba jak bursztyn; czasem, kiedy długo byliśmy sami, czar się ukazywał, tego dnia, kiedy poszliśmy do Niemców, znowu widziałem czerwoną ciemność.

Rozdaję im tu herbatniki jak jakiś cholerny emeryt, a tymczasem powinniśmy sprać tych tam, powiedział Sinkule.

Z muru, który zakrywał wejście do ambasady, gliniarze ściągnęli kłębrego chudego faceta w garniturze, chciał skrócić sobie drogę, opierał się, walnęli go pałką. Wstał z ziemi i posłusznie dołączył do tłumu innych Niemców, którzy cierpliwie przestępowali przed ambasadą z nogi na nogę, czekając, aż przyjdzie na nich kolej. Były ich tysiące. Szeregi ciągnęły się krętymi uliczkami na sam dół, na plac, gdzie dawno już zatrzymano ruch uliczny.

Patrz, znowu idą, klepnął mnie w ramię Sinkule. Szereg białych hełmów z długimi pałami stawał w tłumie zapory. Niemcy, których w ten sposób odgradzano od ambasady, zaczęli zachowywać się nerwowo, tłum się zjeżył, chyba przerażony, że to już koniec, że to, co do tej pory toczyło się tak gładko, jak cud, jak sen, właśnie się skończyło, że przyszedł czas na stanowcze środki i ci, którzy weszli, będą mogli odjechać, ale ci, którzy nie zdążyli, już nie... że to była selekcja, jeden do środka, drugi nie, ty tak, a ty już nie, tłum zawył i stanął okoniem, matki ponad hełmami gliniarzy podawały dzieci ludziom po drugiej stronie, pewnie krewnym, pomyślałem.

Jak dziecko jest już w środku, to chyba puszcza także i matkę. Dlatego posyłają te niemowlęta nad głowami psów. No tak, ale czy dzieci mają dowody osobiste? Jak matka udowodni, że to jej dziecko?

Zmywamy się, chodź.

Może to dziecko złapie inna kobieta, żeby się wydostać. Jak to rozsądzą? Jak za czasów króla Salomona?

Spieprzamy, chodź.

Ale nie, powiedział Sinkule, to się uspokoi. Gliniarzom nie chodzi o Niemców. Już to przyważyłem. Trochę się powygłupiają, pozatruwają ludziom życie i wycofają się. Chcą tylko pokazać naszym, że tu są.

Nie mam ochoty dostać po dupie, co się tu będę gapić.

Do nas nie dojdą, spoko.

Sinkule był pod ambasadą codziennie, należał do tych, których fascynował ten exodus.

Popatrzył na mnie. Ty to wyglądasz jak Niemiec, tobie dadzą spokój. Umiesz po niemiecku?

Nie, tylko takie tam: hende hoch, los szwajne, achtung minen, arbajt macht fraj, te kretynstwa z filmów. I majne libe komen fiken, ale jeszcze tego nie użyłem.

Sinkule miał rację, gliniarze wycofywali się i w tłumie otaczającym ambasadę znowu zapanowała przerażająca cisza.

A ja, wyglądam jak Niemiec?

Ty? Niemal parsknąłem śmiechem. No, Goebbels też był Niemcem.

Ale umiem po niemiecku, moja matka była Niemką.

Znowu tu są.

Między ambasadą zachodnioniemiecką i amerykańską, gdzie monotonnie warczały kamery wszystkich telewizji świata, otoczeni tłumem gliniarze najwyraźniej nie czuli się najlepiej. Tych czterech typków wyglądało na posiłki z prowincji. Normalnie gliniarze nie wchodzili w tłum wąskim przejściem z knajpy. A jeśli już, to tylko w większych grupach. Niemcy milczeli. Ci, którzy byli z przodu, powoli szli, pchali się pod górę, reszta przynajmniej przestępowwała w miejscu z nogi na nogę. Normalnie tłum szumi, mieszają się w

nim poszczególne wypowiedzi, to trochę tak jak z wodą, można łapać słowa. Ale oni milczeli, jakby postanowili, że przemówią dopiero tam, za bramą. Nagle ktoś w tłumie głośno się roześmiał. Potem rozplakało się dziecko. I następne. I oto plac rozbrzmiewał dziecięcym płaczem, nigdy przedtem nie przyszło mi do głowy, że u dzieci jak u psów: kiedy jedno zacznie, dołączają się pozostałe. Ale dzieci nie płakały z powodu tych kilku śmiesznych czeskich gliniarzy. Niektóre już od wielu dni były w podróży, w przepełnionych pociągach, w trabantach i wartburgach pełnych rozmaitych kłopotów, w podróży poza klatkę, w podróży do Raju. Niektóre były może głodne, brakowało im snu, czuły nerwowość rodziców, bo z wysiłkiem tachali je na ramionach i wlekli za ręce w górę ku ambasadzie. I śmiech nie milkł, był to wysoki, nerwowy śmiech kobiecy, chwilami brzmiał jak zawodzenie jakiegoś ptaka gdzieś daleko stąd, w przerwany śnie, na wsi, w lesie, w nocy.

Tłum ciężko sunął pod górę i dolna część placu się opróżniła. Siedzieli tam na ziemi głównie młodzi Niemcy. Pili herbatę, niektórzy na placu spędzili zimną noc i nie sprawiali wrażenia kogoś, komu bardzo zależy na godzinie mniej czy więcej, jeden albo dwaj wyglądali nawet tak, jakby im nie zależało na niczym. Gliniarze zatrzymali się przy nich. Oficer nie wytrzymał i starszej Czeszce, która nalewała Niemcom herbatę, wytrącił nagle termos z ręki. Gdzie ma pani pozwolenie? wrzeszczał. Tłum znowu zafalował i po chwili starsza pani stała sama. Podziwiałem jej spokojne bohaterstwo w obliczu niesmacznego przejawu samowoli milicji.

To stara Vohryzková z naszego domu, powiedział Sinkule. Przynajmniej przestanie myśleć, że jest Matką Teresą z Kalkuty, głupia cipa.

Spróbuj ją tylko ruszyć, ty buraku, wrzasnął na gliniarza i wzięliśmy nogi za pas.

Chwała Bogu, że posyłają na Pragę zawsze jakichś kmiotów, inaczej nie udałoby się spieprzyć przez bramy i podwórza.

Dla pewności przeżegnałem się. Wyszliśmy koło kościoła z Bambino di Praga, ciężko łapaliśmy powietrze.

Zauważyłeś, Sinkule, że zaczynają te bramy zamykać?

No, i to właśnie przychyliło szalę. Całe życie łązę tamtędy, całe życie miejskiego szczura, a te zasrańce je zamykają. Mówię to tobie jednemu: ja też pryskam. Mówię to, żebyś trochę przyfilował, żeby była jakaś kontrola, żeby nie przepadł w jakiejś dziurze.

Pryskasz? Jako Niemiec?

Bo co? Przecież to nic trudnego, sam jesteś aktorem, nie?

Chcesz spieprzać razem z tymi Niemcami, tak?

Šulcowi już się udało, już jest w środku. Wczoraj się wybrał i już tam jest.

Powariowaliście? Przecież to koniec!

Tego nikt nie wie. Niemcy idą do Niemców, ale nasze skurwysyny nie popuszczą tak łatwo. Nie wiem, przecież jutro możemy wszyscy gryźć ziemię. Mają przygotowane obozy. Albo mogą mieć, każdy ci to powie. Przecież jesteśmy na liście. Przecież każdy, kto coś robi, trzęsie dzisiaj portkami. Może wszystko pójdzie dobrze i zapomnimy, że coś takiego było, ale mnie to już wkurwia. Po prostu boję się, że będą strzelać. O tych czołgach to ty mi mówiłeś.

Wiesz co, ja na to poczekam tutaj.

Wiesz co, tutaj może się to spokojnie rozwinąć według chińskiego wzoru.

Przecież jesteśmy w Europie!

A kto ci to powiedział?

Czyli ty pryskasz, tak?

Wszystko mam przygotowane, idę razem z Majsnerem, przecież tutaj co drugi to Niemiec. Nikt tam nic nie kontroluje, a jeśli nawet, to powiem, że papiery wzięli mi celnicy, w tej ambasadzie jest taki burdel, że pakują ludzi do autobusów i do widzenia.

No to się Pepiczki doczekały, teraz Niemcy sami pchają się do autobusów i jadą nie wiadomo dokąd, kurwy zasrane!

Nie histeryzuj. Będę tam razem z Majsnerem, jakby któryś z nas miał problemy, to ten drugi raz dwa stamtąd spierdoli, ales is gut, nie histeryzuj, pošlę ci czekoladę i przyjadę na białym czołgu. Patrz tylko, czy dostaliśmy się do środka.

Tak więc wszystko zaczęło się koło Bambino di Praga. Poszliśmy z powrotem na plac i pod ambasadę. Czekali długo. Widziałem, jak wchodzili do środka.

Przeszedł także Glaser, przedtem odsiedział rok, bo go złapali pod drutami na Szumawie, cały dzień leżał zagrzebany w piasku, gryzły go komary, dusił się, ale wylazł w niewłaściwej chwili, przez godzinę trzymali go związanego w kij... w celi pełnej góvien... teraz przeszedł i z bramy jeszcze plunął na gliniarza, Niemcy to podchwycili, kiedy byli krok za bramą, także pluli na tego bolszewickiego glinę, po chwili wyglądał, jakby zalany był spermą, pałka bezsilnie kołysała mu się przy pasie, bo miał stracha... a Glaser podchodził, żeby rzucić na niego okiem... ale potem, mówił mi później, nie mogłem już na to patrzeć, nagle wydało mi się to niesamowite, jak coś z czasów wojny, że przeze mnie Niemcy pluli na Czecha, chociaż był to komunistyczny pacholek... to było niesamowite, że robiąc pierwszy krok na wolności, nie nabrałem głęboko w płuca powietrza, tylko splunąłem... poszli też inni, w większości tylko ci, którzy mieli w rodzinie kogoś pochodzenia niemieckiego... ale przeszedł również matolek Novák, przeszedł i wrócił do knajpy U Schnellów, poszedł do ambasady, bo podobalo mu się, że ludzie mogą chodzić tam i z powrotem.

I właśnie wtedy, kiedy ten głupek darł gardło na całą knajpę, zrozumiałem, że się zaczęło... ruch, już w exodusie Niemców było coś z karnawału, który trwa do dzisiaj, od tej pory, kiedy wybuchł czas.

Chodziłem po tych ulicach z Małą Białą Psicą, niekiedy trzymaliśmy się za ręce.

Exodus trwał, to tu, to tam opanowywała przybywających Niemców panika, że Czesi wstrzymali wypuszczanie... że na dachach są karabiny maszynowe... że na ulicach Pragi pojawiła się Stasi i razem z SB zabiera niektórych Niemców i Czechów... że SB organizuje gniew narodu czeskiego skierowany przeciwko zdrajcom komunizmu, tak samo jak gestapo organizowało gniew narodu niemieckiego skierowany przeciwko elementowi szkodzącemu Rzeszy... Niemcy, którzy przeciągali przez ulice i place, i Czesi, którzy obserwowali ich z okien i balkonów, otaczali na chodnikach i którzy w milczeniu śledzili tą ucieczkę z komunizmu, a sami nie mieli dokąd pójść, bo to był ich jedyny kraj... pomagali Niemcom albo ich okradali, ci Czesi i Niemcy dobrze wszyscy wiedzieli, że da się to jeszcze zatrzymać, wiedzieli, jaka siła może, choć nie musi, odciąć ich od siebie, od tego milczącego kontaktu... kiedy na ulicach były tłumy, wlekły się powoli i ciężko, wolno wlekli się młodzi długowłosi Niemcy, połączeni w paczki, chłopcy prowadzili dziewczęta, trzymali się za ręce, niekiedy, jak ja i Psica, ale szli gdzie indziej... staruszki z torebkami, rodziny z małymi dziećmi, które trzymały w rękach misie i lalki... ale kiedy tłum się rozrzedzał, szli tylko w grupkach i dochodziły do nich z tyłu, może z całego miasta albo za pomocą szczególnych wibracji z praskich dworców, albo wreszcie aż z ich domów w Dreźnie, w Karl-Marx-Stadt, z Gery, z Zwickau, z wiosek i miasteczek na pograniczu – alarmujące wiadomości... z tych domów, gdzie w pośpiechu pakowali ostatnie rzeczy, klejnoty... pakowali jedzenie i ubranie, a potem po raz setny nerwowo przeglądali paszporty i rzucali się do ucieczki, ponieważ to była ucieczka przed Wielkim Bratem, który jak gdyby na sekundę się zdrzemnął, pewnie po większej dawce krwawych kieliszczków na dobranoc, kiedy znowu kogoś zastrzelili, zabili i leży... tam, koło Muru... Die Unbekannten. Ale Poczwarą w każdej chwili może się obudzić, świeża i gibka, może zacząć karać... tu i tam szerzyła się między Niemcami wiadomość, że to już koniec, że idą na próżno, prosto w zastawioną pułapkę... i grupki przyspieszały kroku, ostatnie sto, dwadzieścia, dziesięć metrów niektórzy wręcz biegli, w tym był już tryumf, gra... zostawiali na ulicach Małej Strany zbyt ciężkie torby, walizki, koce, którymi opatulali się w nocy, kiedy ambasada była przepehniiona, nadmuchiwane poduszki, butle z gazem ze swoich trabantów, zostawiali tam mnóstwo rzeczy, których na Zachodzie nie będą

potrzebować... na ulicy leżały zapomniane i porzucone zabawki, miś z ukręconą głową i celuloidowe kaczuski wyrzucone z komunistycznego stawu NRD na kamienny bruk Pragi, zgubione w chaosie i pośpiechu, na pewno zastąpiła je już ta kurwa Barbie z najbardziej jedwabistymi włosami na świecie... widziałem patelnię i szkolny tornister, plac, z którego prowadziła droga do ambasady, pełen był niemieckich samochodów, trabant z pierzyną na dachu leżał przewrócony na bok....

*idą idą
patelnie uderzają ich w biodra
dzieci z pierzynami na wozach wiozą
ogniste krzyże na niebie
dni przetrawione słonym cierpieniem
i nikt nikt nie powie
dokąd idą ani co się stanie,
powiedziała.*

No, takie dramatyczne to chyba nie jest.

To napisał Hanuś Bonn, powiedziała Mała Biała Psica. Tylko że ci wieprzowaci enerdowncy wcale nie idą do żadnego pieca ognia gorejącego.

No, wiesz, idą w nieznanne, uciekają, o, patrz, choćby te dwie stare kobiety, co się nawzajem podpierają.

Właśnie.

A co ty myślisz? Że ta baba to jakaś lisa Koch? A tamten dziadyga to Mengele?

Wiem, że to głupie, powiedziała Psica. Ale tak czy owak Niemcy mnie wkurzają. Dzisiaj rano byłam na dworcu i pomagałam im, ale i tak mnie wkurzają. Wkurza mnie niemiecki. Jak mój dziadek wrócił, to podobno ważył 40 kilo. Niedługo. A Hanuś Bonn był przyjacielem rodziny. Mamu jego *Daleki głos* z dedykacją. Zresztą to вина komunistów, że wpychali nam te, a nie inne filmy, właściwie nigdy nie rozmawiałam z żadnym Niemcem.

Dopiero dziś.

Tak. Niektórzy taksówkarze wożą ich tu za darmo, a inni strasznie zdzierają z nich skórę.

Niektórzy pomagają im jak ty, a inni okradają im auta.

Tak to wygląda z ludzkim plemieniem, jak mówiliśmy sobie, kiedy byliśmy mali... Psica szeroko otworzyła czerwone usta i zatrzepotała językiem... tak to jest, że kiedy coś się dzieje, ludzie tego samego plemienia się rozpoznają. W chwili zagrożenia ludzie tworzą grupy.

Ale do tego czasu człowiek może być całkiem straszny.

Tak, wszystko jest dozwolone, aż do pewnej chwili, kiedy o coś chodzi.

A o co może chodzić, Psico?

Nie wiem, chyba o Boga, albo o wszystko.

Tylko że swoim szalonym postępowaniem człowiek przywabia złe rzeczy.

Tego nigdy się nie wie, są różne drogi, a człowiek sam wybiera.

To jest to nasze przymierze, umowa?

Umowa jest nadal ważna?

Sinkule myśli, że wszystkich pozamykają.

Umowa będzie ważna także wtedy, kiedy nie będziemy się bać.

Karabinów maszynowych na dachach? Ja chyba będę się bać zawsze. Może coś się zmieni, ale to ganc egal.

Ganc egal. To niesamowite, ilu niemieckich słów używamy. Łykniemy?

Ale najpierw chodź gdzieś do budynku.

No jasne, powiedziała Psica i skrzyła w półotwarte drzwi, nad którymi widniał lew. Może tutaj?

Pachniało tu drewnem, gdzie indziej z kolei było szambo, szukaliśmy piwnic, bo tęskniliśmy za tą jamą w ziemi, gdzie mnie uczyła, gdzie świat po raz pierwszy był prawdziwy, gdzie razem rosły nasze ciała i gdzie znaliśmy każdy centymetr, o który powiększyło się i pogrubilo ciało drugiego, własne... w tych piwnicach był też zachowany nietknięty sprężony czas, w kątach i pod sklepieniami, w zakamarkach piwnic, tkwił również w pajęczynach, które były delikatnymi ubraniami tego budynku, tych naszych zbliżeń miłosnych. Nieraz tam w dole sączyły się podziemne wody, niekiedy tak stare jak sam czas, czas miewał ciężki zapach, sycił nasze wyschnięte gardła. Trzymałem Małą Białą Psicę na sobie albo siadała gdzieś we wnętrzu i rozkładała nogi, w tym szczepieniu się samca i samicy, w tym ruchu, rypaniu, powoli rodził się rytm, pojawiała się w nim czerwona ciemność, a w niej obrazy. Wprawialiśmy w ruch dookolny czas, wirował i mówił do mnie. Niekiedy do ucha szeptała mi Psica, dzisiaj mówiła o strachu, zawsze kiedy moja przyjaciółka zjeżdżała mi paznokciami w dół po biodrach i raniła skórę, w czerwonej ciemności pod moimi powiekami jak gdyby przelatywały błyskawice. Nie słyszałem jej głosu, było to tak, jakby z dźwięków w czerwonej ciemności tworzyły się litery, ale było to tylko wyobrażenie dźwięków i liter, jej mowa po prostu brzmiała w mózgu, mowa towarzyszki mojego dorastania była teraz językiem strachu, strachu przed utratą siły, która uciekała z nas, ponieważ miasto postawiło przeciw niej siłę strachu wszystkich innych, strach tłumu, to jest kwaśne, słyszałem echo mózgu Psicy. Dobrze wiedzieliśmy, że czas płynie również na górze, ale nie mieliśmy już siły, żeby tam dotrzeć... nad te dachy, na których mogły być karabiny maszynowe... chociaż nie musiały... ale one nie były takie ważne, były tam również gniazda, w których rodziły się gołębie-mutanty dotknięte zarazą, gniazda, z których wypadały pisklęta, już tylko ptaki-monstra, pełne chemii, kiedy po raz pierwszy próbowały wznieść się w powietrze, padały na bruk, pozbawione ochronnej siatki, pozbawione miękkiej dłoni między sobą a światem, były tam gniazda, z których dobiegał przerażony szczebiot tych ptasząt i nie był to już ptasi krzyk, tylko charczenie nowego stwora, małego dziwoląga zarazy, nikt go nie słyszał, może tylko Stary Bog, a te stwory rodziły się na pastwę przerażenia, bez nadziei, i nie wiedziały o tym, ale ja wiedziałem i dlatego nie mogłem sięgać tak wysoko.

Traciliśmy też siłę, ponieważ władza okrucieństwa świeciła w kolorach jasnych jak niebo, kiedy zmierzch jest ognisty i pełen nocnych demonów, które punktualnie z pierwszym uderzeniem nocy przychodzą do miasta.

W tych zmierzchach starzeliśmy się i każda komórka naszego wspólnego ciała była już weteranem bitew... a siła mojej Psicy zwracała się przeciw niej samej, bo nie żyła ona tylko dla siebie, już nie... chciała iść dalej... razem ze mną. Ja jednak się bałem... być na świecie tak, jak chciała ona, dać jej to, być tu w kimś jeszcze... traciłem siłę przez to, że grałem, w różnych przebraniach, pod różnymi postaciami obmacywałem świat, bo napełniało mnie przerażenie na myśl o bezpośrednim dotyku.

Pieprzyliśmy się po piwnicach, kiedy tylko się dało, kiedy mieliśmy ochotę, staliśmy się wspaniałymi wirtuozami znajdowania odpowiednich miejsc, gdzie było ciepło i ciemno i gdzie ten stary czas szumiał, był jak coś żywego. Pewnie gdyby jedno z nas odtrąciło drugie, przestało się go trzymać, umarłoby. Kiedy lew parzy się z lwicą, trzyma ją zębami za skórę na szyi tak mocno, że gdyby się poruszyła, skręciłby jej kark; a my trzymaliśmy się tak każdym porem. Otworzyłem oczy i czerwona ciemność nie znikła, kiedy zamrugałem; Psica obserwowała mnie, uśmiechała się, wiedziała chyba już od dawna, że ciemność jest z nas, ale zarazem istnieje w świecie również sama, jest jego częścią jak na przykład zwierzę albo pustynia, albo gówna lokatorów w labiryntach mieszkań nad nami. Ten opar, który na brzegach mocno wbity był w ciemność, chronił nas, niekiedy gdzieś z boku błyskało światło elektryczne, ktoś szedł po węgiel... nigdy jednak nie widział nas nikt obdarzony siłą, myślałem... nikt tu nie szedł po czas.

Poruszaliśmy się w tej rozkoszy, a potem mózg Psicy posłał mnie do staruszki, która łąpatką nabierała do wiader węgiel, nagle usłyszałem brzęknięcie łąpatki o wiadro tak ostro jak brzęknięcie struny. Po czym mózg Psicy posłał mnie w podróż po staruszce. Oczami, którymi tonąłem w oczach Psicy, widziałem siebie samego jako małą kuleczkę, potem jako mikroskopijnego Guliwera, musiałem przejść każdą fałdę skóry na pomarszczonej twarzy staruchy, czułem każdą zmarszczkę, czułem chłód czasu w tunelu śmierci, gdzie czas czekał.

W swoich oczach, które wpatrywały się w uśmiechnięte oczy Psicy, widziałem zgrozę, kiedy wędrowałem po skórze brzucha staruszki, posłała mnie jeszcze dalej, teraz również w czasie, dotykałem ciałem wilgotnych zarodków i nie było to już moje ciało, stałem się jedną z warstw embriona i byłem w nim, czas nagle zawrócił i byłem z nimi, kiedy dojrzewały w brzuchu tej kobiety i w krwi i łzach przychodziły na świat, czułem, jak czas się zatrzymuje, kiedy przyszedł ból, i jak tworzy rzeczywistość, a potem Psica posłała mnie z kolei we wnętrzości staruszki, które otwierały się przede mną, i jeszcze raz byłem na drodze wiodącej na zewnątrz, i nagle w Psicy, i czułem, jak ciśnienie rozpiera mi fiuta. Kiedy wytrysnąłem, chciałem już iść ku dniowi, na dwór, ale Psica trzymała mnie mocno... teraz czułem, jak czas życia, ten stary czas w piwnicach, którego wypatrywaliśmy, zaczyna nas porywać, wysunęliśmy się z wnęki i lecieliśmy w powietrzu, ciało Psicy w moich objęciach nabierało ciężaru, widziałem, jak zapada się jej twarz, włosy jej siwiały. Miała grubą skórę, dotykałem jej brzucha, pełnego blizn po porodach, ale ciebie ci nie pokażę! Takie zdanie mi dała.

Czyżby już się zaczęło? powiedziała Psica. Wyszliśmy przed dom, z powrotem w dekoracje. Z placu dobiegał do nas huk, jak gdyby ruszyły naraz wszystkie te na zawsze zaparkowane niemieckie trabanty. Przyszło mi do głowy, że może to transportery. Może jednak posłali parę czołgów. Psica poprawiała sobie spódnice.

No nie, ja tego nosić nie będę, zawsze są takie mokre.

Trzeba było je tam zostawić.

Odbiło ci? Znajdzie to jakiś czarodziej-zboczeniec i mamy przechlapane.

Chodziło jej o to, że kazałem jej nosić majtki. Przez pewien czas na naszych spacerach ich nie nosiła, ale potem przypadkiem odkryłem, że wolę ją dmuchać przez nie, przesuwając fiuta po wewnętrznej stronie uda i wsuwać go pod gumkę, dotykać materiału, pokonywać opór gumki, ten niby-opór mnie podniecał. W końcu Psica była naprawdę mała, więc dodatkowa odległość od jej sromu nie miała znaczenia. Możliwe też, że członek potrzebował czuć jeszcze coś innego niż ją, cokolwiek, kiedy w tych dniach mi się zatracala. Pewnie przez to, że zatracala się jej siła, słabł też jej uścisk. Możliwe też jednak, że nie byłem już taki całkiem młody i fiut potrzebował czegoś mocniejszego.

Były to autobusy. Dziesiątki autobusów, które stały w szeregach jeden za drugim, pełne Niemców. Ludzie w środku byli już inni niż to stado, które niepewnie przestępowało przed ambasadą z nogi na nogę. Rozróżniałem poszczególne twarze. Miały własny wyraz, nie były to twarze z tłumu. Już byli gdzie indziej, we własnym czasie, a ten czas nie był kwaśny, przestali mnie interesować.

Patrz no, powiedziała Psica, widziałam Šulca, więc jednak!

Wiedziałaś o tym?

Tak, był u mnie, rozgorączkowany jak cholera, chciał, żebym go nauczyła, jak się powie in Deutsch „zabrali mi wszystkie dokumenty”. Potem miał w planie omdlenie.

A jak się to powie?

Tego nie wiem. Myślałam, że robi sobie jaja, i musiał sto razy powtarzać „Ís bin der auslander”.

Autobusy odjeżdżały, w miarę jak znikwały, plac wypełniali stojący dookoła ludzie. Przychodzili z sąsiednich ulic, wychodzili ze sklepów i knajp i stali tam tak w miejscu. Po każdym autobusie zostawała pusta przestrzeń, która zaraz się zapełniała. Ludzie wychodzili

chyba też z domów, wysuwali się spod arkad, gdzie jak w schronie stali już może od wielu godzin, i przyłączali się do tej milczącej demonstracji. Spoglądali w ślad za odjeżdżającymi Niemcami. Ci w ostatnich autobusach nie wyglądali już jakuciekający cudzoziemcy, cudzoziemcy w pułapce obcego miasta, uśmiechali się, niektórym chyba podobało się machanie do tłumu. Z któregoś okienka wysunęła się ręka z puszką coca-coli, Niemiec nie siedział już w kucki na zimnym bruku placu, przesyłał z góry lśniące pozdrowienie kapitalizmu. Na miejscu, gdzie przedtem nikt nie stał, nagle pojawili się i podskakiwali aż trzech chłopcy, trochę się szturchali, największy z nich wyrwał ręce puszkę, wepchnął ją pod kurtkę i zniknął. Dwaj pozostali, którym nic się nie dostało, tak długo pętali się między autobusami, aż im ktoś rzucił paczkę gumy do żucia, stali tam i dzielili się, kierowca jednego z autobusów do Raju musiał wyrwać ich z transu klaksonem. W tej ciszy historycznej chwili brzmiał on niestosownie, chyba niestety jak pierdnięcie podczas mszy. Czesi milczeli, Niemcy w ostatnim autobusie uśmiechali się radosnymi i zmęczonymi uśmiechami, niektórzy pokazywali palcami znak „V”, wyglądali teraz jak wycieczkowicze w autokarach. A ludzie na ulicach, ci, którzy zapchali już jezdnię, ci, którzy zrobili parę kroków za ostatnim odjeżdżającym autobusem, żeby ukradkiem zapełnić miejsce, skąd możesz ruszyć, przekręceniem kluczyka w stacyjce obalając żelazną barierę, nie żebyś tego chciał, może i nie... ale jest taka możliwość... można zniknąć, ta granica, nagle zaczęło wystarczać tylko parę kroków po bruku, rzecz z codziennego punktu widzenia przechodnia tak bardzo zwyczajna... może poczuł skrzydła czasu, może był teraz jak anioł, albo jak smok, tu i ówdzie dotykał skrzydłem kogoś z tłumu, może zrzucił komuś kapelusz, gdzieś rozbił okno.

Z góry, ulicami wiodącymi z Zamku, znowu zbliżali się gliniarze.

Tym razem ciężkozbrojni nie szli pełnym rutyny krokiem statystów z filmu o wyprawach krzyżowych, biegli. Pysków pod pleksiglasem nie widziałem, ale z ich ruchów widać było, że się cieszą. Odyńce poczuły wodopój, wyobraziłem sobie scenę z dżungli, zatańczyłem ją nogami i chwyciłem Małą Białą Psicę, która także cała się skuliła, także ich wietrzyła lepiej, niż widziała. Pierwszy szereg smerfów miał wyjęte pały. Teraz nie było tu już żadnych cudzoziemców, żadnych kamer, które mogłyby splamić dobrą opinię dyktatury. A co się w domu uwarzy, to się w domu zje, łącznie z twoim surowym mięchem, ty skurwielu, i łącznie z twoim skrwawionym okiem, jeszcze się po nim będziesz oblizywać, ile razy się Poczwarze zachce.

Idziemy, powiedziałem bardziej energiczniej, niż mam w zwyczaj u.

Tłum zaczął się powoli, a potem coraz szybciej rozpraszać, nikt nie czekał na zderzenie czołowe, tam gdzie dopiero co stała jednolita groźna masa, były teraz małe grupki, a potem tylko pojedyncze osoby i nagle wszystko wyglądało tak samo jak wcześniej, od czasu do czasu przechodził emeryt, studencik, robotnik w kombinezonie, przemykała kobieta z wózkiem, ludzie w swoich starych rolach, drzwi knajp skrzypiały znajomo jak na początku świata. Znowu na placu, dzwoniąc, zatrzymywały się tramwaje. Przede mną i Psicą pojawił się Maziak.

Ciau, Bára, ciau, Potok! Też to widzieliście? Czy to mi się śni?

Była to wspaniała pętla czasu, powiedziała Psica. W tych rzeczach jest ekspertem, ta moja ukochana.

To dopiero była demonstracja! To było fantastyczne! Gliniarze spanikowali jak jeszcze nigdy, powiedział Maziak radośnie.

Byli nieprzytomni ze strachu, to fakt, powiedziała Psica.

Wiecie, że Sinkule prysnął? I Glaser też, no, ten to siedział. Ale pozostałym się dziwię.

Co dziś robisz? spytałem z ciekawości.

Nic, powiedział szczerze.

Przyjdź na przedstawienie, jakoś cię przemycimy, powiedziałem protekcyjnie.

Co? Wy gracie?

No.

Wiesz, że Jirmut znowu siedzi i Pečorka też? I zamknęli tych Słowaków. Jak pozamykali „Solidarność”, to tam we wszystkich teatrach strajkowali! A ty?

No, o tym to nie pomyślałam, powiedziała Bára.

Przecież tu też ktoś musi zacząć, powiedział Maziak.

To mnie zainteresowało... zacząć... to coś, co ma związek z czasem. Ale ten głupawy aktywista...

Ale... powiedziałem.

No to zacznijcie na przykład wy, powiedział Maziak.

Ale... powiedziałem.

To taki mały zespół, powiedziała Bára.

Ale my chcemy po prostu dawać ludziom radość, powiedziałem

Maziak milczał. Będzie mi to pamiętać, pomyślałem.

To tylko taki mały perwersyjny zespół, próbowała ratować sytuację Psica.

Dobra, dzięki, mam coś wieczorem, no to ciau, powiedział Maziak.

Ciau, powiedzieliśmy.

Chodź na kawę, Bára, jestem jakiś zmarnowany i wykończony.

Nie, nie chcę. Starzejesz się.

Starzejemy się jak diabli. Może jak komunistów szlag trafi, będzie tu kapitalizm.

Pewnie tak, może tak, powiedziała Bára, to tylko słowa.

Wszystko będzie prywatne, czyjeś, marzyłem, i te tramwaje, i ta kawa, którą wypiję sam.

A domy właściciele będą zamykać.

No, tak, powiedziałem, tego bym nie chciał stracić.

Eee tam, jak tu będzie normalnie, zarobimy tyle forsy, że będzie nam to obojętne.

Myślisz?

Nie wiem. Lecę.

A co z jakimś kielichem?

Nie, chyba już pójdę.

Więc lecisz? No to na razie.

Nara.

Ale ruszyłem za nią i obserwowałem ulicę, a kiedy szliśmy koło domu z godłem nad bramą, miejsce wydało mi się odpowiednie i znowu się odezwałem. Byliśmy tam. A ty, Psico, szłaś swoją drogą, wzdrygnęłaś się, pochyliłaś się i skręciłaś za róg, tak będę mówić: skręciła za róg i chyba szła dalej, chyba, albo jednak gdzieś wyleciała w czas, może użyła tego triku z siłą, którego nauczyła mnie kiedyś dawno na jakiejś nudnej balandze: wkładasz palce do gniazdka, swoją siłą odwracasz prąd i posuwasz się z nim, w mózgu widzisz te smugi, te kolorowe smugi siły prądu elektrycznego, widzisz, jak przechodzą przez cały dom, i posuwasz się wszystkimi przewodami, we wszystkich ścianach, a kiedy zatrzymujesz palcami prąd, smugi wracają poprzez cały obwód i splatają się, a ty posuwasz się, biegasz w tym zamkniętym polu, póki nie braknie ci tchu. Póki nie zechcesz, żeby ci brakło tchu. To jest kolorowa gra. Będę to mówić, niech to tak wtedy będzie: w piwnicy złapałaś mnie i trzymałaś... a teraz może tak zagrałaś, może z gniazdkiem, powietrzem, kamieniem, jakimś samcem, z czymś, co napotkałaś, bo wieczorem odegraliśmy przedstawienie bez ciebie, a ja nie widziałem cię całe lata, jeśli już mam w odniesieniu do czasu użyć konwencjonalnego terminu.

Brakowało mi cię w tym przedstawieniu, bo to był mój kawałek, kawałek napisany dla niej albo dla kogoś innego z paczki. Grałem ludzką różę, miałem godzinę na to, żeby wypuścić pączek, rozwinąć się, kwitnąć, zacząć opadać i zwiędnąć. Właściwą treścią spektaklu było pasmo krótkich scenek, dowcipnych skeczy, widzowie na ogół skręcali się ze śmiechu, a ja grałem sobie trochę obok... zdychałem nieco na boku... w ramach walki z

reżymem tu i tam domieszaliśmy do tego porno, na przykład kiedy ogrodnik łaskotał krasnoludki... od czasu do czasu przez scenę przechodziło dziecko, żeby było jasne, że król jest nagi... grałem sobie różę i starałem się wniknąć w jej czas, w jej życie... skoro już musiałem ją zabić... Mała Biała Psica grała rój muszek, wszystkożernych mszyc, nieźle zmagaliśmy się na scenie, całego mnie dziurawiła, grałem różę, przyznaję, nie jest to specjalnie męska rola, a kiedy opadałem, rękami, już nawet na mnie tak bardzo nie świeciły światła. A ponieważ tego wieczora Psica nie przyszła, zastąpiła ją Cepková, blondynka, kiedy uciniała mi ciernie, widziałem pod szminką twarz Psicy, która przesłała mi komunikat, a ja słyszałem jej mózg, byłem w czerwonej ciemności róży i wiedziałem, że Psica chce uwolnić mnie od strachu i że ja tego nie chcę, bo uwolniony od strachu nie mógłbym już grać... bez strachu zdołałbym zrobić wszystko, ale nie mógłbym tworzyć... ponieważ kreować ludzkie postaci i bawić się nimi mogę tylko wtedy, kiedy wiem, co to takiego to stare złe przerażenie życiem, jak również przerażenie jego końcem... wybrałem strach... toteż Psica wyrzuciła mnie ze wspólnoty, odcięła mnie od siebie... ale obiecała, że pošle mi siostrę... że przez nią spełni moją przyszłość... i w twarzy koleżanki Cepkovej zabłyśły dwa zielone punkty podobne do magnesów, jak gdyby ta twarz właśnie przeszła przez żar... ale ognisko zgasło i kobieca twarz znów stwardniała, wróciła do swojej wieczornej błazeńskiej postaci, zgodnej ze scenariuszem, i Psica znikła... to przez jej komunikat po róży ściekały łzy... ludzie siedzący w pierwszym rzędzie widzieli je i powiedzieli sobie, że tancerz Potok znowu jest ochlany... ale ja srałem na nich... przecież nawet stary sadysta Neron potrzebował do swojego poematu o ogniu całej masy statystów... a teraz trochę tańczyła wokół mnie, grała nożyczki i zachłanną rękę, i oberwanie chmury z przewracającymi się drzewami, wszystko, co w życiu róży ma znak minus, potem ten dobiegający kresu czas zatrzymała wodą i promieniem słońca... i publiczność szalała... ale jej nie było... po naradzie z inspicjentem zagrałem podlewanie róży, włożyłem do ust rurkę i wykręcałem ją, prowadząc po swoim ciele, drugi koniec zanurzony był w gąsiorze z czerwonym winem, wypłem go tego wieczora całe litry i myślałem o swojej przyjaciółce, bo było dla mnie jasne, że skoro nie przyszła, to stało się coś poważnego, a potem była ciemność, ciemność Wody Ognistej z ostrymi odłamkami w głowie. A rano patrzyłem na koleżankę, na Cepkovą, blondynka w moim łóżku, no, to jest dosyć obrzydliwe, mówiłem sobie i zacząłem ją budzić, żeby spłynęła. Przyszło mi do głowy, że Psica spełniła obietnicę i posłała mi siostrę – tak szybko? – ale kiedy dotknąłem tych jasných loków, żołądek podszedł mi do gardła.

Daj mi spać!

Cepková, wstawaj, słuchaj no...

Daj mi spokój... która jest?

Słuchaj, są jeszcze inne światy!

Bzdura, jest tylko ten jeden.

Naprawdę? Myślisz, że rzeczywiście?

Co za różnica?

No, chyba tak.

CO MI STWORZYŁO SERCE; UCIEKALIŚMY. TE PRZEDMIOTY. WTEDY
W KANAŁE. SPISEK.

A potem pewnego chmurnego postkomunistycznego dnia stałem na ulicy i byłem sam; nic mi tego dnia nie wypali z pamięci. Miałem z Kocurem niezapomniane spotkanie w kawiarni Tchibo, położyliśmy wtedy kamień węgielny pod Organizację.

Nic nie wypali mi też z pamięci epoki Kanału, bo to Kanał stworzył mi serce. Można było kluczyć po ulicach i sprawdzać ciężar budynków, który nosisz na plecach; i możesz spytać swojego lustra: powiedz przecie, kto jest najpiękniejszy w świącie? a lustro przez chwilę milczy, co jest straszne, i z tej chwili czerpiesz napięcie potrzebne do twego ruchu, a potem lustro jest tylko przedmiotem i: rozbite lustro to rozrzucone migawki, patrzę i przyjemnie byłoby wpisać się w trzecią osobę, ale nie, mówi Potok: żyłem w różnych mieszkaniach i kompaniach, a kiedy mnie pewnego uśmiechniętego ulicznego dnia wypuścili ze starego złego miejskiego domu wariatów, dostałem komunalny klucz i jakąś dziurę. Nie było akurat żadnej rodziny, w której mógłbym żyć. Przez pewien czas nie mogłem wytrzymać żadnej niechęci ani żadnej życzliwości. Gazownicza, tam leżałem i napełniałem swoją szafę przebraniami. Psica ciągle była w moich snach.

Byli tu przyjaciele i przyjaciółki, i spiszek, można było zrobić minę i powiedzieć tak i nie, ha, i mrugnąć okiem... Byli tu Bohler i Kocur, i Bocian, i Cepková, i lwica Elza, i inni, każde z nich w swoich kręgach, niekiedy przecinających się pod wspólnym nam ciśnieniem... i były tu przedmioty, które potrafią przetrwać, w których złożono ducha; powstają one podczas walki przeciw śmierci, gównom i strachowi, a są to często też materiały, w których mają swoje praźródło obrazy, dźwięki i mowa, również ta pisana, ta wściekła, ta pokorna, tam rosną, razem z różnymi domieszkami, nierzadko w półmroku. I tylko tak mimochodem, jakby w ogóle nic się nie działo, po ulicach chodzili ludzie, którzy umieli robić te naładowane przedmioty. Niektórzy byli artystami przetrwania, nawet za cenę autodestrukcji. Niektórzy mieszkali w Perle. Chciałem się uczyć. Byłem głodny. Inni mieszkańcy byli dla mnie na ogół zbyt powolni czy wręcz niebezpieczni, dopadła ich szarość kwaśnego czasu, ale szczęścia życzyłem na całe gardło wszystkim, pogardę powinien człowiek zostawić dla samego siebie.

Zaden naładowany przedmiot nigdy nie zatrzymał armatki wodnej ani czołgu, nie przyniósł z powrotem na miejsce mojej najdroższej przyjaciółki, nawet nie zagroził drogi żadnej paskudnej zmarszczce. Chwytały tylko w siebie czas; niekiedy to wystarczy. Jadłem je jak chleb, kładłem je sobie na język.

Zbiegiem okoliczności używam języka Sławian, Czechów, niewolników, dawnych niemieckich i rosyjskich niewolników, a jest to psi język. Mądry pies wie, jak przetrwać i jaką cenę za to zapłacić. Wie, kiedy się skulić, kiedy zrobić unik, a kiedy ugryźć, ma to w języku. Jest to język, który miał być zniszczony, jego czas nie przyszedł; już nie przyjdzie. Wymyślali go wierszokleci, mówili nim stangreci i służące. I ma to w sobie, dochował się swoich pętli i dziur, i węzowych młodych dzikości. Jest to język, którym często musiało się tylko szeptać. Jest delikatny i okrutny, są w nim także pewne stare dobre słowa miłości, myślę, że jest to zręczny i szybki język i ciągle się dzieje. Tego mojego języka nie dopadli ani Awarowie, ani płonące stosy, ani czołgi, ani najobrzydliwszy gatunek ludzi: tchórzliwi nauczyciele; dopadnie go forsza zmniejszającego się świata. Ale ja mam jeszcze czas, jak mówił barbarzyńca Totila w swoim kiepskim czasie, zanim zaczęła się bitwa. Zanim go dorwali.

Kiedy tylko szybko załatwiliśmy się z naszym dzieciństwem, chodziliśmy z Bohlerem, teologiem, robić interesy z Polakami. W młodości czasem chciałem być Polakiem. Patrzyłem spod skały. Nie było dużo czasu, patrzyłem prymitywnie. Ze względu na lawiny. Najbardziej lubiłem najprostsze rzeczy: chodziło o to, żeby szybko się decydować. Indianie już nie żyli. Polacy prali gliniarzy. Modlili się. Wóda. Zawsze we wszystkim romantyzm, ale na stojąco. Nienawiść do Poczwały była taka wielka, a poczucie poniżenia takie silne, że człowiek czasem śnił o własnym morderstwie.

Inny z zachodzących na siebie kawałków szkła, migawka: Bocian, biały ze wściekłości, czyta oświadczenie, w którym ojcowie i dziadowie wzywają nas, żebyśmy zrezygnowali z demonstracji, ponieważ mogłoby dojść do użycia broni.

Słuchajcie no, to niesamowite, oni wyjechali za miasto! No i co, tu by ich znowu posadzili, powiedziałem głosem dobrze poinformowanego. Ale przecież o to chodzi! Jak ludzie będą tańczyć przed i pod pałami i będą wiedzieć, że tamci znowu są w pierdlu, to w porządku. Ale wyjeżdżać za miasto!

Potem Bocian wziął na siebie odpowiedzialność, która leżała na ulicy, i zorganizował swoich własnych wyrostków. Jako pierwszy podpisałem mu odpowiednią deklarację, bo jego wizja królestwa była najbardziej zbzikowana ze wszystkiego, co się miało pod ręką. Słuchaj no... nic nie działa, ale człowiek musi próbować... bracia Polacy mają Kościół, nasze zostały zniszczone... co? Jasne, jasne, potakiwałem... pewnie że tak... sam musisz sobie stworzyć system, bo inaczej zniszczy cię system kogoś innego, zwykł mówić Blake. W kawałkach stłuczonego lustra znowu pojawia się Bohler: Weź ten zegarek od Tokštajna, opchniemy to Polakom, i do tego dywersję ideologiczną. Bazar był oczywiście nielegalny... ci to mnie nieźle wkurwiają, te nasze matolki, mówił Bohler i uśmiechał się do polskich bandytów, nie widzą, Pepiki jedne, że to są przynajmniej mężczyźni, przecież ich rodziny mogłyby wydychać z głodu, no to handlują, co mają robić, nie popełniają straszego grzechu skomlenia... kradną... Polacy ciągle się wykrwawiali i walczyli, mówił w rozmarzeniu Bohler, naród polski to Chrystus tej zwariowanej Europy Wschodniej, mówił ten bluźnierca... polscy bandyci wyładowywali samochody przemyconych kazaskich dywanów i jeden z nich z dywanem na ramionach szedł w zachodzącym słońcu, stąd ta wizja... kto to, co powiesz o tym panu, co wisi tu i kona, a ramiona, rozpięte ma jak skrzydła aeroplanu?

Ci starsi i inteligentniejsi, którzy mówili: nie chodźcie tam, bo mogą użyć broni, przegrywali nas i gdyby to nie poszło potem tak szybko, straciliby wyrostków Bociana... Bocian był w tym czasie coraz chudszy, rozwiewały mu się kędzierzawe włosy, oczy błyszcząły... rozdamy im to, ale dopiero po modlitwie! mówiłem w kościele... w żadnym wypadku, nie! protestował Bocian, przeciwnie, niech to na nich podziała, do cholery!... przecież do wielu z nich i tak słowa nie docierają... to był argument, dawaliśmy chrześcijanom ulotki z czeskim lwem, który rozrywa łańcuchy, łapali je i patrzyli przestraszonym wzrokiem, wciskali ulotki pod płaszcze, do toreb, torebek... jakiś facet powiedział mi „dziękuję”, a w oczach miał radosny uśmiech, ten wiedział, kiedy jest czas wojny i czas modlitwy, że się to ze sobą łączy... tylko jedna siostra podała mi rękę... też się śmiała... lecimy do Ignacego, mówił Bocian, w przejściach, w bramach poruszaliśmy się szybko i zręcznie, patrząc to w lewo, to w prawo, oczy mieliśmy z tyłu głowy, szybko i cicho z tą starą dobrą katolicką radością życia... nauczanie Bociana było coraz to bardziej pociągające, bo wiedział, że wojna z komunistami musi prowadzić również do uwolnienia mrówek i wszystkich stworzeń, że nikt nie może krzywdzić bezbronnych i młodych, a ten, kto to robi, musi przyjąć karę... tylko że jego królestwem była wizja królestwa, które nie jest z tego świata. A potem zdumiewałem się coraz bardziej, bo wyrostki Bociana... to była najbardziej bezwstydną bandą, jaką miałem kiedykolwiek honor znać... straszni cynicy, od czasu do czasu wyjątkowo zdesperowani... kiedy my w młodości jeszcze wojowaliśmy ze szkołą, oni już z niej uciekali, kichali na wszystko... kiedy my od czasu do czasu po kryjomu

zrywaliśmy flagi, oni uczyli się tańczyć pod pałami... niektórzy byli bardzo młodzi... prawie dzieci... a wiedzę o domach wariatów i celach, którą mieliśmy my, najpierw od starszych o jakichś dziesięć lat, a potem z własnego doświadczenia... przekazywaliśmy teraz im, tylko że oni byli twardsi... kiedy my zbieraliśmy znaczki, oni zbierali z bruku łuski po granatach z gazem łzawiącym i świetnie się przy tym bawili... no i mieli też polski wzór... a ruch po bruku nadawał przyśpieszenie ich językowi... czy niekiedy błyszczały nam ogniem... w powietrzu i pod ziemią grzmiąły maszyny nieprzyjaciół, ale my mieliśmy wizję.

Przecież każdy wie... w tej niegdysiejszej dzisiejszej kobiecie środkowej, Europie, są tylko psy, wilki wybito, w tym rezerwacie człowiek mógł się poświęcić już tylko nielegalnemu szamaństwu i tylko tu czy tam od czasu do czasu tańczyć sobie przez ulotną chwilę, mając siłę wojownika, człowiek gotowy na śmierć.

Na ulicach czekało bicie, było tam przygotowane, ale ludzie z wizją raz po raz szli po nie, bo nie zostało dla nich nic bardziej rzeczywistego.

Bocian na ulicy Żelaznej rzucał kostkami brukowymi w transporter i jego wyrostki były zachwycone... bo królestwo samo przez się tu się nie pojawi, to oczywiste. Był to ruch, coś nowego. Wszystko jedno, ile osób ten ruch pochwalało, w zdrowej lojalnej szczęce wystarczy jeden popsuty ząb, żeby Poczwarę przynajmniej bolała głowa...

I nikt z porządnym obywateli, którym do głupich łbów chytrze wbito obraz Polaka jako głodnego nędzarza i wroga, nie przeczuwał... i nikt za granicą, w Polsce nie przeczuwał, że te Pepiki... nikt nie wiedział nic o naszym szaleństwie, nikt, kto śledził na monitorze obraz z satelity czy zawieszony w przewodzie wentylacyjnym nasłuchiwał pokrytej bliznami mowy naszych spółdzielni, tej przyśpieszonej miejskiej mowy... i nikt, czy siedział na działce za miastem, czy może w pierdłu, nie przeczuwał, o co właściwie chodzi w spisku... wszystkie te rozproszone bandy miejskich podziemi przygotowywały się do ważnego zadania, zmierzały do ostatecznego rozwiązania w dziele przekształcenia duszy... prorokowali z własnych wnętrzości pełnych strachu, z napięciem obserwowali drżące niebo... w ukryciu skradali się do gardła przyszłości i w spisku nie szykowali nic mniejszego niż zamach... to znaczy: niż ostateczne i bezwzględne zabójstwo Józefa Wissarionowicza Szwejka.

DAVID SIĘ UCZY. ŚCIEŻKA BIZNESOWA. JESTEŚMY SZYBCY.
LAOTAŃCE. CO SIĘ NOSIŁO. RODZINNA GROMADA. STUDNIA.

A potem stałem na ulicy, była wolność, było wpół do siódmej, pogoda – tak mniej więcej marzec. W górze były chmury, w dole asfalt, po ulicy chodzili ludzie z torbami, prowadzili swoje dzieci i psy, była wolność i czas, który wypadł z wiązań, szalał. Pozwalałem mu się wlec, był to inny taniec niż z Psicą, inny niż taniec róży, inny niż z pałką, nie miał końca, zdawał się nie mieć końca. Ludzki czas przyspieszył, byłem przebrany za młodego mężczyznę, z tygrysim krawatem, pod pachą niosłem księgi hipoteczne, szedłem na spotkanie ze współnikami. Szedłem akurat tak, żeby zdążyć na czas, wyruszyłem jakiś kwadrans przed umówioną godziną, to była część małej wspólnotowej umowy o udziale w zyskach, szedłem piechotą, bo bałem się prowadzić samochód, a nie dlatego, żebym nie mógł sobie na niego pozwolić. Kocur też się zmienił. Pasowały mu tygrysie pręgi. Chciał kręcić forszą, tak jak moja Psica kręciła elektrycznością, ale nie umiał wysyłać sygnałów. Zajmował się papierami, był prawnikiem, zapomniał o wszystkich lecznicach swojego życia i dokończył nauki, była wolność i zaczął palić cygara. Od sygnałów był u nas David, strateg i głowa małej umowy, tylko on spośród nas pochodził ze wsi; dopóki nie skończył osiemnastu lat, łąził po drzewach, więc jako jedyny cieszył się dobrym zdrowiem. Musiał nauczyć się wyłącznie podstawowych rzeczy.

Widziałeś, jak ostatni raz byliśmy u Torby, trzy razy spojrzął na zegarek, uczył go Kocur. No i co? jak pilny uczeń pytał go David. Jak Torba spojrzy na zegarek, wstajemy i idziemy, to niezawodny znak. Dlaczego? chciał wiedzieć nasz szef. W podręcznikach dla przyszłych psychiatrów jest stanowczy zakaz patrzenia na zegarek, bo wrażliwi pacjenci zupełnie słusznie mają wrażenie, że mają spływać, powiedział Kocur. I doktorek traci historyjkę, dodałem.

To właśnie Kocur jako pierwszy oświecił Davida w kwestii Tajemnicy. Nie było to absolutnie konieczne, bo David urodził się jako człowiek umowy, potrzebował tylko terminologii. Potem wspólnie uczyliśmy go jeść, używając sztucców, mieć oczy z tyłu głowy, rozmawiać z kobietami, dawać łapówki, być w trzech miejscach jednocześnie, jeździć w metrze bez trzymanki, rozrzedzać faktury i dmuchać na nie, przechodzić przez faks i telefonować. David: jak lepiej jeść w wietnamskiej knajpie, sztuccami czy pałeczkami? Chyba pałeczkami, nie? Jak jesz pałeczkami, masz jedną rękę wolną, jak sztuccami, masz przynajmniej w ręku majcher, dobrze się zastanów. David kiwnął głową i Kocur spojrzął na mnie z dumą. Także się starałem: David, co jest cięższe, kilo pierza czy kilo granatów? Ty głupolu. No to co jest lżejsze, litr z głowy czy rower? Wahał się, ale wiedział.

Wiedzieliśmy, że Słowacy to szybcy Morawianie, że Morawianie mogą osuszać cysterny, że Czesi myślą co by tu jak, gdzie i któredy, że prażanie to ważniaki i świny i że wszyscy jesteśmy na jednej mapie. Kocur i ja urodziliśmy się z asfaltem między palcami, Bohler nie wiedział, kim jest, ale ukończył teologię, a David był kmiotem, ale chwycił wszystko z prędkością światła i nie miał kompleksów, bo trzymaliśmy go za ręce. Nawet w okresie, kiedy był jeszcze niewinny, kiedy dopiero wpadał w obroty, żadna praska świnia nie powiedziała mu nic o nieskończonej śmieszności jego ruchów, całego jego wyglądu, by nie wspomnieć o łachach i akcencie. Chociaż kusiło to niejednego koleżkę, nigdy nie daliśmy nikomu wystarczająco wiele czasu.

Gdybym go nie znał albo od razu nie wyczuł, to może też bym miał ochotę go strzelić, przyznał się kiedyś Kocur na małym potańcu w Katedrze. Obserwowaliśmy właśnie

przerażoną twarz jednej z naszych dziewczyn, z którą David próbował gdzieś ruszyć. Bohler tylko perwersyjnie się zaśmiał. Mnie przeniknęła namiętna tęsknota za Psicą, było to coś pomiędzy bólem zębów i wyobrażeniem ostrego noża, ale uwaga, jaki to ma związek z Davidem? Czy to znak? pytałem już wtedy samego siebie albo może swojej siły. Siła jednak milczała.

Kocur porządkował papiery, bawił się pieczętkami, nastrojał na odpowiednią falę kontakty, przyciskał dźwignię do ziemi, już, już miało się zacząć, chcieliśmy wypuścić dziny z butelki, a ja miałem nadzieję, że wszystko pójdzie prosto jak strzelił, przeciągałem się, wykręcałem ciało, ćwiczyłem język przed występem.

Bohler stał obok, pomocnik, także czekał na ruch, oczy spoglądały w górę. My byliśmy przygotowani.

David na razie bezsensownie przewracał oczyma, zadzierał głowę, nie zwracał uwagi na ruch ramion ani kolan, czasem nawet chodził, nie ruszając rękoma, jakby pasł krowy. W Barze Galaktycznym, w Czarnej albo w Katedrze zawsze rozwalał się i gapił na otaczającą go zbieraninę miastowych i przybyszów, wlewał w siebie Wodę i w ogóle nie uważał na lewą stronę, z której najczęściej przychodzi anioł śmierci. Kiedy widział czarnego kota, nie rozumiał, dlaczego miałby splunąć. Niby co jest, żuję jakiś tytoń czy co, chłopaki? dziwił się. Nie rozumiał, dlaczego na stolikach ze sztucznego marmuru w barach samoobsługowych mamy zawsze pod ręką wykałaczkę, klamerkę do bielizny, kawałek drewna, nie wiedział, że odpukiwaniem w niemalowane drzewo już niejedyn zażegnał okropne kłęski. Do taksówki włąził z zasady nie nogami, tylko głową naprzód. Nie bał się mgły ani zmroku. Nie umiał we właściwej chwili, kiedy świat się wypełnia, kiedy jest jak czasza i przelewa się, nie umiał płakać, żeby obluzować ruch twojego czerwonego słodkiego serca, ale tego nie zdołaliśmy go nauczyć. Nie wiedział, że po tanim winie albo gorzałce należy się wyrzygać, bo inaczej wyskoczą na skórze gęsie plamy. Ale tanich trunków w tej paczce długo nie piliśmy. Zabroniliśmy mu nosić naszyjniki... potem się pocisz i jesteś sztywny, pouczał go Kocur. To go zasmuciło, nosił przedtem naszyjniki z zębów i pazurów niedźwiedzi, które zabił nożem tam u siebie, wysoko w górach. Można mieć tylko pierścienie, w ostateczności kolczyki, bransoletki są wyborem ogromnie indywidualnym, jeśli już, dobre jest srebro. Srebro zawsze jest dobre, starałem się go pocieszyć.

Krótkie włosy, długie, normalny warkocz, to owszem, ale nigdy nie cienkie pasemko włosów, nie jesteś szczurem, tylko facetem, wchodził w szczegóły Kocur.

David pobierał nauki, a my zdumiewaliśmy się, ile tego wszystkiego wiemy. Kocur uczył go zasad walki pierś w pierś, ja uczyłem go, jak uciekać z pola, a Bohler nauczył go *Ojczy nasz* i dał mu różaniec. Był to pierwszy święty sznur Davida i patrzyło się ze wzruszeniem, jak się na tą bożą linkę gapi – jak cielę na malowane wrota. Laotanka Bohlera była pierwszym człowiekiem, który naprawdę dotknął Davida, było to dla niego tak niewiarygodnie piękne, że długo chodził za nią jak piesek i nie rozumiał, że to nie jest swoista właściwość jej charakteru i mniej więcej równie dobrze potrafią to zrobić wszystkie nasze dziewczyny. Kompleksów nie miał, bo nikt go nigdy nie obraził: mieliśmy się na bacności, jak legendarna Straż Rzasnovki.

Od chwili kiedy Kocur znalazł go na dworcu i swoim instynktem starego praktyka odkrył w nim ukryte zdolności strategiczne... widziałem, brachu, jak tam stoi i gapi się... na chromowe powierzchnie, mimo wszystkich strażników dookoła... jest głodny... i czułem w duchu, jak kombinuje, to było niesamowite... jasne było, że nie ma kasy, a potem zniknął i za trzy minuty już to miał... czułem, że w ogóle nie wie, gdzie jest, ale bez namysłu ruszył we właściwym kierunku, pod most, rzekę oddzielał od siebie lewą krawędzią dłoni, rękę miał uniesioną, myślę, że nawet nie wiedział, co robi... coś w nim *czuto*, co ma robić, szedł przecież w cieniu Poczwały, ale wcale się nie bał... i już wiedziałem, że ten chłopak potrafi osiągnąć, co chce, szedł na wędch, pętał się po znanych miejscach, niepotrzebnie unikał, a

przez niezbędne przeszedł nietknięty... i było dla mnie jasne, że widzi, że wie, o co chodzi... to Kocur przyciągnął Davida do paczki i ten chłopak natychmiast, na mocy nigdy niewypowiedzianej, ale nieodwołalnej decyzji, stał się członkiem grupy, która od tej pory się nim opiekowała.

Był tu, by tworzyć mocne ogniwo umowy, chroniliśmy go, póki było to konieczne, a potem on chronił nas.

Byliśmy społecznością, która może się wprawdzie wskutek silnego wstrząsu rozpaść, ale właściwie jest po to, by wstrząsom stawiać czoło. A poza tym całkiem się lubiliśmy. Mimo wszystkich tych żartów, żarcików, chlania... dziennej manii prześladowczej, kiedy ulica szarzeje i domy na jej końcach nagle zaczynają się do siebie zbliżać... i nocy, kiedy człowiek czuje mocne uderzenia swojego serca, jak dźwięki dalekiej kuźni, kowadło... mroczna miłość szarpie człowieka, bo chodzi o poważną rzecz w chaosie, kiedy parzysz się z jakąś obcą zbłąkaną suką i właściwie nie wiesz... kto jest kim... mimo wszystkich podstępów, szybkich ruchów, mimo wszystkich tych spiral mowy, kiedy rzucasz swojemu druhowi w twarz kaca własnej wściekłości, jest tu naga podana ręka, ta dłoń bez broni, te niezakryte plecy twojego druga, które pozornie nastawione są do ugryzienia, ale ty wiesz, że są tu po to, żebyś ich bronił... a ten człowiek z oczami zwróconymi w drugą stronę będzie z kolei bronił ciebie... bo chcecie przetrwać i czekać, tak długo, jak się da... na początku wszędzie z nim chodziliśmy i braliśmy go najchętniej do naszych lokali. Musiał zmienić język. Słuchaj no, już lepiej w ogóle nic nie mów tej dziewczynie... samtera... tak jej nie mów, kapujesz?... powiedz jej lepiej, że dziwne dzisiaj ciśnienie, pouczał szefa Kocur i krajał mu zwierzęce mięso na talerzach na eleganckie kawałki, ponieważ David wtedy jeszcze rósł i żarł jak szalony. No, te różowe słuchawki są całkiem dobre, mówiłem szefowi, poważnie, pasują ci do szalika, o, cholera, właśnie mi wpadły do rowu, kupię ci nowe. Nie, David, naprawdę nie, pouczał naszego szefa Kocur, nie możesz mieć kyusu, powaga, tak możesz używać tylko toshu, nic się na to nie poradzi, po prostu tak jest.

David bardzo szybko łapał, co jest, czego nie ma, co może być i co w danej chwili naprawdę ma znaczenie. Zaczął myśleć, co by tu jak, gdzie i którędy. Wynurzał się nagle w przejściach podziemnych i znikał w korytarzach, machał do nas z blanków, podczas gdy my na spienionych koniach dopiero rzucaliśmy się w fosę. Tak szybko opanował slang i właściwe słowa stosował tak doskonale, że z czasem zorientowałem się, co jeszcze tu wybuchło: język czeski.

Potem zaczął się od nas oddalać, zaczął wysyłać nam sygnały i podtrzymywać ruch ośmiornicy, której delikatne macki sięgały do urzędów i pomiędzy biznesmenów, i do band łotrzyków, których też od czasu do czasu potrzebowaliśmy... zaczął nami kierować, a przy naszym wygodnictwie... my praskie chytrusy z heroiczną przeszłością Kanału mieliśmy jednak pewien wstręt do brodawek na mackach... dogadzało nam to, a potem przyszedł Rekin jako minister spraw zagranicznych i rozrośliśmy się.

Znowu zobaczyłem Psicę i David naruszył małą umowę, potknął się o młyn wodny, niczego się już nie bał, wszystko mu się mieszało i zwariował.

Od początku jednak panował u nas bardzo dobry nastrój. Byliśmy rycerzami Tajemnicy i czekaliśmy. Pracowaliśmy razem ze swoimi pomocnikami jak roboty. Raz przyszło mi nawet do głowy, że jeśli w tej przemianie jest cokolwiek ludzkiego, to jest to z *Frankensteina*.

Kiedyś o świcie dobrowolnie zdecydowaliśmy się zarabiać szmal, zając się czymś w tym zmienionym dookolnym świecie. Spodobały mi się przede wszystkim monety, oczy rozpostartego organizmu, okienka na coś, chłodne jak dalekie gwiazdy, też świszczy w nich zimny... szybko zrozumieliśmy, że pieniądze to nie ten metal, za który nasi krajanie kupują piwo albo butelkę wińska, a goście z północy rum, tylko że pieniądze to długi, papiery z pieczętkami i bez nich, pieniądze rosną z pieniędzy, mnożą się przez podział jak komórki... pieniądze to słowa, znajomości, podstępny, obietnice, pieniądze magicznie reagują na

polerowanie odpowiednich klamek, ich stopy rosną od uśmiechów we właściwym miejscu i czasie... magnesem waluty bywa uprzejmość w stosunku do jakiegoś banku i agresja w stosunku do jakiejś grupy, najczęściej pieniędzy nie wozi dziki pies czy malowniczy tatuowany smok ze snu mordercy, tylko chytry węgorz.

Kocur chciał forsy, ja zabijałem resztki swej siły, obserwowałem ruch i szukałem siostry, a David się tworzył, zaczynał żyć, on urodził się do tego, żeby być wolnym. Uruchamialiśmy maszynę, chociaż podejrzewaliśmy, że może nas nawet zniszczyć, śmierć jednak była w tych pełnych napięcia chwilach wyciągania skarbu z jaskini tylko kolejną wspaniałą tajemnicą, której da się narzucić własny rytm. W tej jednej trwającej nieprzerwanie chwili, którą jest czas furii, ma się śmierć za niewidzialną przyjaciółkę; poza tym liczyliśmy na instynkt.

Skoro wtedy w prawieku, przed czasem, nie poderżnęła nam gardeł Poczwarą ze swoimi czołgami, wojskiem i policją, to czego mieliśmy się obawiać teraz? Więzienie... gdyby coś wyszło na jaw, gdyby te sprytnie rozrzucone znajomości nie zdołały pomóc... więzienie byłoby teraz podobne do dziecinnej książeczki z obrazkami, po tym, jak człowiek widział gęby gliniarzy od *dołu*, pudło dzisiaj; no jasne. Kocur się zgadzał. Bohler milczał, on w odróżnieniu od nas chwilę posiedział za drutami, teraz znowu przewracał oczami, wznosił je do góry, śmiali się. Prawa albo nie istniały, albo i owszem, ale i tak nie było nikogo, kto by się o nie troszczył i miał pętlę pasującą na nasze szyje, litery paragrafów nie miały obowiązującej mocy... mówię ciągle o roku 1 i 2, i 3, i następnych po wybuchu czasu... nie miały obowiązującej mocy dla nas, ponieważ byliśmy szybcy.

Woleliśmy więc zawrzeć małą umowę sami, między sobą, bo baliśmy się o dusze.

Powiedzieliśmy sobie, że nie, tak powiedział David Bohlerowi, żadnych podejrzanych geszeftów, żadnych Ukraińców, żadnych Jugoli, żadnych Ruskich. Włosi może, Grecy może, Albańców żadnych, Polaków żadnych, nikogo z Pragi, żadnych ostrych gangów, mamy to w dupie. Jesteście rasiści, mruknął Bohler w górę, żałośnie, ku swojemu Bogu; ktoś mu zapłacił, powiedziałem sobie. Jesteście rasiści, jeszcze raz jęknął błagalnie pomocnik Bohler. Nie jesteśmy, a ty za to jesteś dureń, powiedział David. Wynajmowanie domów powierzyliśmy jednak Bohlerowi raz na zawsze. Od czasu do czasu próbował wepchnąć nam, włączyć w naszą jazdę swoich ciemnych przyjaciół od interesów, ale David, który był już wtedy szefem, trzymał go w mocnym uścisku. Kiedy wskutek wielkiego współczucia dla wszelkich podejrzanych typów pomocnik Bohler zaczynał mieć z nami problemy, w rewanżu mówił parę słów, że niby te domy, pewne źródło dochodów, właściwie wymodlił. Po zastanowieniu sam musiałem przyznać, że coś w tym jest.

Poseł, który razem ze swoją grupką zdołał przeforsować wyjątek od obowiązujących praw, paragraf mówiący o rozwiązaniu umowy, posiadał pięć domów. Nie miał nawet czasu, żeby powyrzucić wszystkich swych nieszczęsnych lokatorów. Miał pecha, Kocur pracował kiedyś w kotłowni razem z jego śmiertelnym wrogiem, obecnie oficerem policji. Ja znałem pasierbicę posła, sypiała z jednym z moich drugów z ciągle żywej ery. To wystarczyło. Tego dnia, kiedy przyniosła nam fotokopie z wyretuszowanymi datami na umowach posła dotyczących własności gruntu, wprawdzie to opiliśmy, ale nie przypuszczaliśmy jeszcze, że David potrafi pracować tak szybko, że trzy z tych domów same nam spadną jak z nieba. Wynajmowanie mieszkań dostał Bohler, bo o to zadbałem. Ciągle czułem wielki dług wobec niego. Zaręczyłem za niego w naszej paczce, był pomocnikiem, o podziale mógł sobie najwyżej pomarzyć. Ale on miał to w nosie, interesowały go ważniejsze sprawy.

To był jego pomysł, żeby chapnąć także przestrzeń przed domami. David umiałby już wtedy grzecznie wstać, gdyby urzędnik Mośna spojrział na zegarek, ale Mośna na niego nie patrzył. Nawet mu to nie przyszło do głowy. Patrzył na dokument z datą 1952, który David trzymał mu przed oczami. Była to kopia zbiorowego wyroku śmierci, nazwisko sędziego dało się odczytać. Dla Mośny było to jakby ortograficzne lustro. Diabli wiedzą, czy starzy niepomszczeni wisielcy przynajmniej cisną go w snach... David miał w ręku jeszcze jeden

papier, mógł powiedzieć coś w rodzaju: Teraz podpiszesz to, ty pizdo... był to jednak dobrze wychowany chłopiec, a pizdy darzył trwałym szacunkiem, który łączył się z czułością... ale inne słowo mi wtedy nie przyszło do głowy, oznajmił. Powiedział tylko pierwszą część tego zdania. I pan Mośna podpisał.

Urzędnika Ludviga samo niebo nam zesłało. Chłopaki, wy to sobie życie, wy nie wiecie, co to jest urzędnicza harowa, wy to sobie życie. Ja także mam w domu perkusję, ale nie gram. Myślał, że nasze życie jest dzikie i podniecające, chlał z nami i dorastające półdziewice pętające się po piwnicach i znudzone łowczynie przy barach uważał za pełne seksu przedstawicielki cyganerii. Był to nasz człowiek w rządzie. Zanim Bohler dał mu aspirynę, którą Kocur reklamował jako LSD, byłem już taki wściekły, że chciałem ten proszek przynajmniej uświnić, ale David mi nie pozwolił. Czasem bywałem wściekły, że jest to takie łatwe, wpadałem w szal, ale wiedziałem, że po prostu próbujemy, jak daleko możemy się posunąć, badamy wytrzymałość sprzężyn, tak naprawdę to chcieliśmy latać.

Ludvig podpierał oczami sufit, głośno wzdychał. Nie chciał utracić kontaktu z prawdziwym życiem. Cudem ożywał tylko wtedy, kiedy z biznesu zbaczaliśmy w rozmowach na sztukę i odwrotnie. Dam osiemdziesięciu najlepszych architektów na ten pałacyk, same bezbłędne chłopaki. Artychy, którym nie chodzi o forszę! Człowieku, ci wasi architekci oskubaliby was aż miło! Kocur rzucał na niego jakiś czar. Ale z nas wszystkich były „bezbłędne chłopaki”. Chyba był ciotą, bo nigdy żadnej z naszych przyjaciółek nigdzie nie zaciągnął. Albo wystarczyło mu, że widzieliśmy, jakie ma powodzenie, kiedy gdzieś w rogu którąś obmacywał, albo naprawdę nie zależało mu na nich.

Wkurwia mnie to, mówił Kocur, chciałbym, żeby mi opowiedziały, jak mieszka. Może do hotelu się boi, a w domu ma jakąś żonę, wysunąłem przypuszczenie. Raczej mu nie staje, powiedział teolog. Kocur skinął i przysiadł się do nas kolejny bezbłędny chłopak. Temu architektowi dasz szansę, Ludvig, albo na miejscu wypruję ci flaki! paplał Kocur. Ludvig wyciągnął szansę i rzucił ją przez stół, miał ich nagle w swoim życiu tak dużo, by wystarczyło dla każdego, a w powszechnym zamroczeniu wydawało się rzeczą normalną, że artysta tacha ze sobą kolorowy dyplom, były tam złote litery, wszyscy to widzieliśmy. Kocur był coraz to lepszy, a nasz człowiek w rządzie tajał, umowa była w kieszeni, a kieszeń wystarczyło spiąć szpilką.

Potem musiałem wśliznąć się gdzie trzeba ja ze swoją szeroką gamą przebrań. David wysyłał sygnały, dokąd zanieść kopertę, gdzie odezwać się prosto i trochę wstydliwie, a gdzie niezgrabnie sterczeć przy drzwiach z promiennym chłopięcym uśmiechem i który decydent lubi wypić i doceni Wodę... który urzędnik ma ochotę powspominać okres Kanału i chciałby prochów... lśniacej furtki do prawdziwego życia z dziewczynami czy bez... kto mówi sztuka przez wielkie „S” i pragnie stykać się z nazwiskami... dlatego że sporo ludzi z różnych atelier to byli także przyjaciele, a do tego na ogół ubodzy... dostawali więc marynarkę i sygnał, gdzie i kiedy mają być, tu i tam ktoś ciekawie mówił nawet o samobójstwie, a ja wiedziałem, gdzie wysunąć do przodu brodę i pokazać lśniące zęby i buty, a gdzie być swoim chłopem, po prostu zwyczajnym Czechem, trochę dobrodusznym, trochę naiwnym... kiedy ręka rękę myje, sprawa się uda, ale jeśli cię to nie interesuje, to nie nudź i spływaj... kto lubi starą dobrą opozycję demokratyczną i walczy z korupcją, żebym jako stary towarzysz broni mógł go zapewnić, że ta dynamiczna grupa młodych ludzi... i plan nowego budynku rządowego zaczął się rysować wprost na naszej działce... i nawet nie dziwiliśmy się, kiedy jej cena gwałtownie poszła w górę... opchnęliśmy ten kawał bruku... i zabawnie było patrzeć z okien mieszkania Bohlera na plac budowy pałacyku rządowego... i co za zbieg okoliczności, rozlokowała się tam przyjaźnie do nas nastawiona firma budowlana... wiedzieli chytrusy dlaczego... a kiedy dostawy się opóźniały, rozległ się szelest kopert i te, które szły do nas, były zawsze grubsze niż te, które od nas wychodziły... flaki mi się od tego przewracały... to naprawdę możliwe... idioci, ale chciałem dotrzeć aż do

dna obrzydzenia i ubawu, który z tego miałem... maszynki zaproponował Kocur, a szmaty ja, te indyjskie materiały szły po różnych torach kolejowych przez Mongolię, były niewiarygodnie tanie, a ponieważ udało nam się tony tego skupić, a na pozostałe tony, dzięki bakszyszom dla różnych Ludvigów czwartej ligi i klasy okręgowej zbiegiem okoliczności nałożono potwornie wysokie cło, staliśmy się panami indyjskich materiałów w całej rozpadającej się Republice Czechosłowackiej... i podczas gdy ja wykorzystywałem umykające resztki siły na hipnotyzerstwo i żeglowałem przez pokoje i biura, a nawet w jednym czy dwu delikatnych przypadkach także przez dacje tych Ludvigów klasy okręgowej... żeby walnęli pieczętkę... Kocur za psie pieniądze kupił magazyny na peryferiach Pragi, pełne niedających się sprzedać tekstyliów... kiepskie jakościowo podkoszulki i kalesony bratu za dwa miliony, świni za sześć... szło to dzięki Laotance Bohlera do jej kraju rodzinnego, gdzie samolot z nimi na jakiś czas gdzieś się zapodział, ale potem podkoszulki pojawiły się w postaci maści, smarowideł, trociczek, kapeluszy doskonale nadających się na kamieniste pola obozów reedukacyjnych, kolorowych wstążek, bambusowych kopii na bawoły, niezliczonych świeczek, miniaturowych buddów i kołatek do straszenia ptaków, aż prawie Bohlera wyrzuciliśmy, kopniak za cztery m. oznaczałyby dla teologa przynajmniej upadek ze schodów, ja bym go bronił, ale David był twardy, a z Kocura zawsze wyłaził krwiożerca... ale w sam czas pojawiło się sześciu kuzynów Bohlerowej kocięj Laotanki, którzy płacili w dolarach, ponieważ za podkoszulki i kalesony zgarnęli miliony tamtejszej dziwacznej waluty, za którą nakupili surowej gumy i rozkręcili własne interesy z Hongkongiem. Potem komunistyczna ziemia ich ojczyzny zaczęła palić im się pod stopami, więc szybko dookoła świata skoczyli do swojej kuzynki... rozumiałem ich, była cudowna od swego uśmiechu aż do korzonków dolnych kudłów, czułem je, zawsze kiedy rozwibrowywałem w jej towarzystwie resztki siły... jej brzucha ani pupy nawet nie chciałem sobie wyobrazić, gdyby moja siła nie umierała, wziąłbym ją Bohlerowi... poza tym chcieli poznać tych fantastycznych geszefciarzy, którymi już wtedy byliśmy, i rozkręcić coś większego lub mniejszego w Europie Wschodniej, jak B.o.g. da.

Weźmiesz ich do naszego domu, powiedział David Bohlerowi.

Przecież to szaleństwo, wszędzie pełno, musieliby mieszkać ze mną!

Jedną z zasad, którą przyjęliśmy natychmiast, żeby nie spodobać się za bardzo Diabłu, było, że nie wyrzucimy naszych lokatorów. Pewną rzecz jednak przeprowadziliśmy... była to jedyna interwencja w prawa mieszkańców... do której ich przekonaliśmy... musieli mianowicie na trawnik za budynkiem znieść wszystkie swoje kolorowe ekrany telewizyjne wielkości ściany i różne pogańskie telewizorki... i Bohler jeden po drugim rozwalił siekierą, bo ze Złym się nie dyskutuje. Anteny satelitarne naszych lokatorów pozrzucaliśmy z dachów, za wszystko, ma się rozumieć, zapłaciliśmy do ostatniego grosza... z tej szatańskiej rurki, z tego starego ideologicznego debilizatora pchają się do głów tej lokatorskiej bandy wszelkie viziry i wampiry... i to zwłaszcza do głów dzieci... nie będziemy przecież w swoim domu mieszkać ze zgrają potworów, argumentował Bohler i wszyscy z aprobatą pokiwaliliśmy głową.

Tylko że teraz musiał wcisnąć gdzieś zgrają bezbożników, do swojego własnego mieszkania, do naszego mieszkania. Ale przecież ta baba z drugiego piętra, niedługo pójdzie do piachu, uspokajał teologa Kocur, musisz to jakoś wytrzymać, masz przecież największą chałupę.

Bohler miał pięć pokoiów, w których mieszkał z laotańskim kwiatem. Co prawda, w jednym postawił mały ołtarz, tam po pracy nie było nam wolno odpoczywać, ale parę buddów jeszcze mu się tam zmieści, uznaliśmy.

Słuchaj, spróbuj z nimi dojść do ładu, ciągnął Kocur, naprawdę są w porządku, a jak tylko załatwimy im azyl, spojrzał znacząco na mnie, to będą, cholera, przydatni. David kiwnął głową. A to, że przynajmniej następne stulecie należy do żółtej rasy, to jaśniejsze niż słońce,

jest o tym już w Biblii, prawda, David? Jasne, powiedział David. Cha, cha, cha, powiedział Bohler.

W najgorszym razie sami zrobimy Laotańczykom te paszporty, co tam, powiedziałem sobie na pierwszym piętrze imponującego drapacza chmur należącego do Wydziału ds. Cudzoziemców, bo ten budynek od początku wydawał mi się nieprzyjazny... ale potem na korytarzu nadziałem się na Lexę, o rany, cześć, jak miło, że wpadłeś, mówił, chodź do mojego biura. Nawet nie wiedziałem, że przyjaciel z żywych czasów, kiedy żyliśmy w martwym świecie Poczwały, trafił do bardzo właśnie ważnego urzędu. Będę chyba musiał uzupełnić swoje rejestry, zaświtało mi.

Kiedyś pakowaliśmy razem w pewnym magazynie książki, broszury, stosy broszur z Marksem, Leninem i Krupską, a także z Engelmordem, tak nas to wkurwiało, że planowaliśmy zbudowanie balonu, który miał nas przenieść za druty, mnie nie dawała spokoju siła rażenia karabinów maszynowych na wieżyczkach strażniczych, ale Lexa miał pewne rozwiązanie: no to powłokę tego balonu pokryjemy metalem i już, powiedział. Więcej o tym nie rozmawialiśmy. Ale teraz jakieś rozwiązanie mógłby znaleźć, pomyślałem.

Słuchaj, Jituszko, mówił Lexa, przełącz mi A na C, chcę mieć spokój, mam tu starego kumpla. Miluszko, weź się do tej dwieściepiątki, niech to już jakoś wygląda, kiedy przyjdzie Szef! Irko, zawołał, a kiedy ślicznotka weszła, powiedział: Irczyku, słuchaj, to jest Potok, artysta, aktor. Poważnie? A w jakim filmie pan grał? No na przykład we *Wszy spokojna, wszy wesola*. Poważnie? A kogo pan tam grał? No... Tam to grałem Safranową. Poszła sobie. Lexa się nie śmiał. Przepraszam, zrobiłem się bezczelny, powiedziałem... Ależ w porządku, wszystko w porządku, chciałem tylko pokazać dziewczynom, że też... no, wiesz, teraz jest ze mnie gryziopiórek, więc rozumiesz. A jak u was, co u ciebie, jak życie? Ciągłe grasz? Tak, ciągle i to jak, o mało nie wybuchnąłem śmiechem. Nagle coś mi przyszło do głowy. Słuchaj, Lexa, znasz niejakiego majora Mrkvice, tu z paszportowego? Tak, to twój znajomy? To dobry chłopak, właśnie awansował. Mrkvica to ta świnia, która nie puściła mnie za moją pierwszą żoną, powiedziałem. To jeden z tych bydlaków, którym chętnie plunąłbym w pysk, to ta świnia, która radziła mi, żebym emigrował... niby w interesie państwa, tak mówił ten major Kurwa...

Słuchaj, Lexa wstał. Znam te rzeczy równie dobrze jak ty. Ale on jest fachura, a my takich ludzi potrzebujemy. Natykam się teraz na to codziennie. Kurde, ty sobie chlejesz, grasz gdzieś po teatrach, ale te rzeczy też ktoś musi robić.

Ojciec Bohler modli się za was, za was, którzy wzięliście na siebie odpowiedzialność, powiedziałem. Nie wiem, czy ci to pomoże.

Modlitwa pomaga zawsze.

Słuchaj, Lexa, nie masz wrażenia, że wy, którzy poszliście do polityki, macie kompleks, że nie życie normalnie?

Słuchaj, Potok, a nie macie wy, którzy jesteście poza polityką, kompleksu, że na kogoś to zrzuciliście?

No, to jest poważna rozmowa.

To mam to gdzieś. Czego ci potrzeba? Ze starych znajomych przychodzą tu tylko ci, którzy czegoś potrzebują.

Potrzebuję azylu dla sześciu Laotańczyków.

A masz jakieś ich dokumenty?

Położyłem mu na biurko, gdzieś obok przycisku do papierów, tych sześć egzotycznych paszportów z obrazkiem słonia, któremu nad dość wysokim czołem krążył sierp razem z młotem.

To przyjdź jutro. A wiesz, kiedy przestaniemy mieć kompleksy?

Kiedy?

Kiedy się przyzwyczaimy. Jeden do tego, że ma władzę, a drugi do tego, że już jej mieć nie będzie.

Ale przecież to cię musi nieźle zmienić, to musi być problem, przecież władza nad ludźmi to nie w kij dmuchał.

Władza to problem tylko dla tych, którzy jej nie mają.

Aha.

No tak.

To cześć i dzięki.

Czołem.

Słuchaj, Lexa, odwróciłem się w drzwiach.

No?

Jest bardzo ładna.

Wiem to przecież.

Ja chodziłem, gadałem i grałem, David siedział w skórzanym fotelu i rozmyślał, kombinował, wysyłał sygnały i nakierowywał macki, a Kocur był wszędzie i załatwiał papierkową robotę.

Byliśmy Organizacją i Kocur robił magiczne sztuczki z tyloma papierami naraz, że byliśmy wszystkim, dowolnym kształtem, i gdyby powiał czarny wiatr, moglibyśmy się zwinąć i przestać istnieć.

Czasem coś nam tłumaczył, ale jego objaśnienia wpadały jednym uchem, a wypadały drugim, więc dał sobie spokój.

Zaczął gadać czarodziejskim językiem ekonomii z roku 1 i 2, i 3... niekiedy mówił do siebie: żeby zrobić coś z nowym podatkiem, jesteśmy spółdzielnią, ale związaną starą umową, co figuruje w rejestrze u Ryckiego, a Rycký jest w porządku, jest nasz... no tak, spółka z o.o. to gmbh, ale to tak samo jak w polityce, prawe jest lewe, a lewe jest złe... na przykład kartel, to XIX wiek, głupolu... co się tyczy maszynek, z kimkolwiek się połączymy, tego przekonamy, a kogo nie przekonamy, tego wdepczemy w ziemię... do wyborów CDR w Pradze 8 wystawia Kukcę... i co z tego? Jeszcze jest nam winien za hangary, więc obniży czynsze, to z tego... ruchome długi w Komercyjnym i w Jutrzence, cha, cha, cha, faktura tu, faktura tam, a ja to wszystko czniam... słuchaj no, Kocur, mówię mu, mnie się to nie podoba, jakieś Towarzystwo Wzajemnej Pomocy, Spółdzielnia Produkcyjna, to brzmi gównianie, a może by tak Syndykat... Pieprz ten romantyzm, ty poeto jeden, poczekaj, aż będzie po wyborach. Jeśli w czwórce i szóstce, i na starym dobrym Brzewnowie porządny procent zdobędą te inteligenckie przygłupy z SOP-u, to tam rozwiniemy interes, tam będzie Švejcar i Špála... zaraz, jeszcze jakiś Rybka, czy my go znamy?... Siedział w siedemdziesiątym dziewiątym z Křenkiem, jak w śnie hipnotycznym wymamrotał David. A Křenka zna Bohler, znają się z budowy trasy szybkiego ruchu w osiemdziesiątym drugim, kazali im tam zapieprzać, wyłowił ze swej komputerowej pamięci.

Wszelkie możliwe kombinacje nosił w swojej czarodziejskiej głowie, gdzie w czasie regularnych spotkań układaliśmy wszystkie nitki, wszystkich dawnych kolegów szkolnych, padrugów z Kanału, współpracowników z kotłowni i magazynów, mordy z wariatków, kortów tenisowych i więzień, malarczyków z piwnic, strychów i Akademii, ubeków, sygnatariuszy Karty, dziennikarzy i maszynistów, czynowników, przyjaciół, wrogów, ludzi i myszy, baby, facetów i psy, urzędasów i ich sekretarki, Polaków, Rusinów, Żydów i Kanaków, każdą twarz, jaka pojawiła się za oknem naszego szybko jadącego wozu, model rok 1 i 2, i 3, i tak dalej... po wybuchu... ale i na długo przed nim, wszystkie kontakty i kontakciki, sytuacje, kto z kim siedział w pierdlu, kto z kim spał, kto kogo nienawidził i wszystkie te plotki, fakty i informacje teraz w latach po wybuchu, odkurzone i połączone ze sobą przez Davida, tworzyły srebrną sieć, w którą miała się złapać złota rybka z platynowymi

oczami, z łuskami z drogich kamieni, ten sen finansisty, koszmar drużyny Ala Capone, przywykłej do wszystkiego.

Poważnie? Z nim, tak? ucieszył się Kocur. No to leć, Potok, po księżula!

Bohler w tym czasie najbardziej przyjaźnił się z poganami. Z okresu przed powstaniem Organizacji, zanim pojawił się David, zostawił sobie swój stary interesik. Miał wielki czarny poobijany ze wszystkich stron samochód dostawczy z cysterną, jeździł po wsiach i woził do miasta hektolitry odurzającego czerwonego wina. Samochód nazywał Mary albo Marzena. Podoba mu się, że to ato jak trumna, a wino jak krwią, jak krew, poprawiłem raz w metrze Laotankę, kiedy jechaliśmy z urzędu, gdzie grała Madame Hoitsu, wielką dżapońską bizneslumen.

Ja byłem tłumaczem i oni brali to za dobrą monetę; nie chcieliśmy wtedy nic kupić, zależało nam tylko na tym, żeby tego przedsiębiorstwa, o które chodziło, nie dostała tak natychmiast inna grupa, bo trzeba ją było trochę przydusić. Zanim urzędnicy wpadli na to, żeby zadzwonić do ambasady, znikliśmy z szybkością zachodzącego słońca.

Handel winem szedł Bohlerowi całkiem dobrze, chociaż od chwili, kiedy stał się pomocnikiem, forsy z pewnością nie potrzebował. Ale nauczył Laotańców pić czerwone. Przyjemnie było widzieć tę gromadę, kiedy wieczorem wracała z wycieczki. Za kierownicą królował Bohler, jak zawsze cały czerwony i jak prawie zawsze ze swoim szczęśliwym perwersyjnym uśmiechem. W samochodzie siedziało albo leżało sześciu uchłanych Laotańców w różnych stadiach błogości. Ślepią błyszcząły im radośnie, każdy wyglądał jak naturalnej wielkości posąg żywego Buddy za szybą starego karawanu... z wyjątkiem brzucha... to byli dziarscy, wysportowani chłopcy... pijani, śpiewali czasem swoje pieśni... mroczne i dzikie, chyba o swoich mrocznych i dzikich kobietach... albo o bawołach, co już na nich nie czekają... gdzieś w dżungli, niekiedy brzmiało to tak, jak pocieranie o siebie dwu kijków bambusowych, a to mógł wytrzymać tylko Bohler, który jeszcze w seminarium wyrobił sobie anielską cierpliwość... ale też musiało go to chyba wkurzać, więc nauczył ich paru czeskich kawałków, najbardziej lubili *Cerwona chustecka juz sie w kolł togi, a ja nie wiem, cemu dziewczyna sie bocy.*

Laotańce zdołali rozprzedać cały ten szajs, który przyszedł w zgubionym i odnalezionym samolocie, daliśmy im go z powrotem na procent. Przez Organizację połączyli się z Hadrabą, gościem z Północy, który miał firmę Rock Cały Rok SA, i te cudaczne czapki i kapelusze, wachlarze, fajki, środki podniecające i trociczki stały się przebojem w klubach, w których działalności Hadraba maczał swoje brudne paluchy. Nastoletni chłopcy kupowali w jego sklepach T-shirty z czaszkami i ciężkie rzeczy ze skóry, brali nawet kopie na bawoły. A dziewczyny chodziły z wachlarzami, którymi wachlowały siebie i swoje białe szcurki laboratoryjne.

W każdej tancbudzie święte buddyjskie trociczki szły jak świeże bułeczki, zrobiła się na nie moda, metal płynął, a Bohler tylko perwersyjnie się wykrzywił. Przyszło mi do głowy, że te ciężkie zapachy specjalnie puszcza tak, by poczuł je jego katolicki Bog, z którym miał problemy, którego zdradził albo który zdradził jego, kiedy go w pierdlu jako młodego chłopaka zgwałcili, a potem skopali czy odwrotnie, i Bohler stwardniał i prowadził wojnę z Bogiem, będąc na straconej z góry pozycji samotnego wojownika, w gruncie rzeczy tak samo jak my wszyscy.

A kiedy Laotańce otworzyli kilka ostatnich paczek, które my przeoczyliśmy, były tam maski... straszne i wspaniałe... i ludzie w roku 1 i 2, i 3 wpadali w osłupienie, kiedy do tramwaju wsiadały potworne maski z Laosu, były żółte, czarne i zielone, drewniane, i po Pradze zaczęły po wybuchu czasu chodzić demony. Były to maski niewolnicze, jak mi zdradziła Laotanka Bohlera. Podobno w jej kraju jeszcze stosunkowo niedawno wojownicze plemiona schodziły z gór, zabijały Francuzów i polowały na niewolników; okrutne demony gór i lasów musiały się pewnie śmiać, przecież w Perle niektórzy zaczęli nosić niebezpieczne

maski zabójców z górskiej dżungli. Zręczni Jawajczycy w klubach Hadraby, gdzie były salony tatuażu, nawet wpadli w lekki popłoch i nie zostało im nic innego niż pokrywać ręce, ramiona, uda i plecy nowym, mistycznym tatuażem, którego wzór wzięli z tych masek... nasi Laotańcy jeździli i sprzedawali, i gromadzili metal, który w ich zwinnych rękach ożywał i zmieniał się w kolejny metal, więcej metalu.

Hadraba chciał ich nam wziąć, ale mimo że odcisnęli już swoje kciuki na jego umowie, przekonaliśmy ich, żeby zostali, oddaliśmy im procenty, a kiedy pani z drugiego piętra wreszcie odeszła... przekonaliśmy lokatorów z parteru jednego z naszych domów, że lepiej będzie cały ten parter zwolnić i ścisnąć się w mniejszym mieszkaniu, tak ich przekonaliśmy, że dobrowolnie i całkiem chętnie się ścisnęli, a Laotańce otworzyli na dole sklep. Daliśmy im forszę na kolejny samolot, ale tym razem Kocur i David sokolim wzrokiem wypatrywali procentów, i handel azjatyckimi towarami ruszył na nowo.

Prawdę powiedziawszy, lokatorów w naszych domach trochę ubywało, z tymi, którzy początkowo niekiedy skarżyli się, że z mieszkania Bohlera i całej gromady czasami dobiega za dużo hałasu, teolog się nie cackał... mieli też inne problemy, na przykład kiedy zakazał im chodzić przez nasz trawnik... ta trawa jest święta, ludzie, a kto nie szanuje dobrego życia, zasługuje na surowe traktowanie, aby znalazł w sobie i otworzył źródła pokory... w drugim samolocie przyleciało niespodziewanie paru kolejnych krewnych i kumpli naszych Laotańców... a w następnym również... a w następnym również... zdobywanie paszportów dla tych pasażerów na gapę zajęło mi sporo czasu, a Lexa zaczął się buntować i naruszył prawa wspólnoty, więc wygrzebaliśmy na niego razem z Kocurem jakieś donosiki, starszy i nowszy, i zestrzeliliśmy gościa, jako że pomoc wyświadczona uciekającym jest szczególnie miła Bogu, zwłaszcza jeśli ci uciekający potem potrafią sami o siebie zadbać... i stać się użyteczni... Laotańce sprzedawali i sprzedawali, niektórzy mieszkali także w naszych domach, a nasi dosyć obrzydliwi lokatorzy-rasiści twierdzili, że się ich boją, kiedy chodzą do studni, po wodę oligoceńską... to prawda, że w tym czasie zaginęło kilkoro dzieci lokatorów, ale myśleliśmy, że przyłączyły się do band bezprizornych... Bohler kursował pomiędzy lokatorami i Laotańcami, z których paru zdążył już przekonać do chrztu, i zażegnywał spory. Spory sięgnęły szczytu, kiedy Laotańce zrobili z suszarni knajpę, a z pomieszczenia na wózki dla dzieci niewielką świątynię buddyjską, na co im Bohler o dziwo pozwolił... trochę jednak stracił rezon, kiedy nam raz na naradzie opowiadał, że teraz z kolei w studni zaczyna brakować wody i że mu się ta studnia jakoś nie widzi, tylko że nam to było obojętne, bo jeśli piliśmy wodę, to najchętniej Ognistą. Ale zgodziliśmy się, żeby Bohler zostawił jako dozorcę domu Wasyla, młodego Ukraińca, którego przyprowadził do naszych tłustych garów i naszej okrutnej wolności z Dworca Południowego. Wasyl wysiadł w Pradze z pociągu, zdecydowany zostać gangsterem, ale Bohler wyperswadował mu to szybko i zmusił, żeby zrezygnował ze swojego zamiaru i przystąpił do nas.

W rzadkich chwilach między interesami a zabawą wałkoniliśmy się z kumplami w naszych prywatnych domach, drzemaliśmy w mieszkaniu Bohlera i graliśmy z Laotańcami w warcaby w ich knajpie... nowy czas tych lat, roku 1 i 2, i 3, i następnych, przyjemnie grzał całe ciało, ja kilka razy nieoczekiwanie gwałtownie się odwróciłem i zobaczyłem go, a nawet dotknąłem... kilku laotańskim kobietom urodziły się dzieci... organizowaliśmy ogromne przyjęcia, w których, jako że przeciwdziałaliśmy otwarciu rasistowskim nastrojom, musieli brać udział również wszyscy lokatorzy i przynieść szczęśliwym Laotankom wspaniałe podarunki... a z czasem miło było widzieć, jak niektórym z tych dzieci rosną piękne jasne włosy, prawdziwa grzywa... niektórzy Laotańcy gratulowali mi... ja tylko spokojnie się uśmiechałem... zapomniałem może wspomnieć, że moi kumple... no, w większości byli w bałkańskougrofmskoleśnym typie, Bohler miał pewne cechy zdecydowanie negroidalne... Kocurovi od urodzenia brakowało niektórych zębów, a śniady David jak większość górali miał niejakie trudności z chodzeniem po podłodze... byliśmy wszyscy trochę zniszczeni

rozmaitymi kwaśnymi burzami, wszelkimi intrygami, ale ja miałem jednak w swojej bękarciej mieszance parę genów europejskich... Medyk to potem potwierdził, z pradawnych czasów wojen z Luczanami, to geny mojej praprapra, co trzymała się chyba samego prapraojca Czecha, kiedy postanowił się tu osiedlić... dość, że mam jasne, typowo słowiańskie włosy... i nie zaskoczyło mnie, kiedy moje przyjaciółki Cepiková i lwica Elza mówiły mi, że paru Laotańców chętnie odpłaciliby mi za ten jasny dziecięcy podarunek, chętnie odpłaciliby mi pięknym za nadobne, nie miałem nic przeciw temu, ale decyzję zostawiłem dziewczynom, była w końcu wolność...

Mieliśmy częste posiedzenia biznesowe, jak również przyjacielskie narady, opowiadaliśmy sobie na nich różne historie, bajki i mityczne przypowieści... mieszałyśmy techniki narracyjne i często ze zdumieniem kiwaliśmy głowami, pluli tytoniem... brzękaliśmy swoimi srebrnymi ozdobami... wymienialiśmy doświadczenia... wtedy nosiło się różne srebrne rzeczy... amulety, zabezpieczenia, różne grupy miały swoje gwiazdy, krzyże, menory i labirynty... chroniące przed nieszczęściem zwierzęta... dobre są psy, węże i smoki... mój smok był zielony, ale schowałem go w skórze, kazałem go sobie wytatuować... zielonego, wiedziałem, że skoro mam go na piersi, pomoże mi najpewniej znaleźć siostrę... różne plemiona, były to w większości szczepy, także miały swoje chroniące przed złem barwy... u Wontów to był kolor żółty... to wydało mi się niebezpieczne... były różne klany, grupy, różne sojusze obronne... Piwniczarze, wyznawcy pająka, mieli swoje gry... B.K.S., także wierzący... Czyciele ginga, ci brali swoją siłę z drzewa... Maszyny... Okniarze, wyznawcy przestrzeni... Mieszkańcy Północy... Ludzie Wieży i Ludzie Zamku... różne kluby, gangi, szajki... w tamtej współczesności nie było najmądrzejszą rzeczą pozostawać samotnym... srebro nosiło się również dlatego, że dobrze było szybko dowiedzieć się, z kim człowiek ma honor, kto należy do czego, istniało całe mnóstwo rozmaitych zwariowanych sekt ze wszelkich możliwych miejsc... ja też nosiłem ważne srebro, bardzo pomogło mi potem na Wysypisku... powiesiła mi to kiedyś na szyi moja mama, kiedy szedłem... powiedziała coś w rodzaju: obym cię szybko zobaczyła, synku! Co dotąd się nie stało i ze względu na pewien splot okoliczności, sprzyjających i niesprzyjających, obawiam się, już się tu chyba nie stanie... moje najmocniejsze srebro to był medalik z Czarną Madonną, Panną Marią Częstochowską, tą z twarzą skłutą kopią, tą, której płyną wieczne łzy... była to dość stara rzecz, jakiś mój praprapra szedł po nią pieszo do Częstochowy aż z Litwy, odbył pielgrzymkę... bardzo ją lubiłem, Czarną Madonnę, miała wielką moc, nosiłem ją pod biznesowymi strojami i wszystkimi przebraniem, spałem z tym medalikiem... niektórzy swoje srebro czyścili, polerowali, ale ja pozwoliłem mu żyć własnym życiem, ten stary przedmiot, ten klejnot czerniał...

Nosiło się różne rzeczy... Bohler miał na przykład orła, orzeł dużo widzi... tak, to jasnowidz, mówił Bohler... widuje się go wysoko, a do tego jest szybki i, przynajmniej, dobrze wygląda... jest średniowiecznie indiański i nie boi się, poza tym tych orłów zostało niewiele, no co? Jasne, w porządku, Sutanno, twoje orły są w porządku, poważnie, i mocno pobrzękiwaliśmy wszyscy swoim srebrem... może także dlatego tak żyliśmy się z Laotańcami, że mieli oni różne zęby dzików i rekinów... też byli wierzący... początkowo mylili nam się, byliśmy przyzwyczajeni do homogenicznej ludności Bohemii z czasów przedpotopowych, i Azjaci zlewali nam się ze sobą, to jest Tino, mówił Bohler, naprawdę nazywa się inaczej, ale tego byśmy nie wymówili, to przekracza nasze możliwości, a ten z zębem rekina jest wielkim myśliwym, mówiła mi Laotanka...

Większość Laosów szybko rozpełzła się po całym mieście, bo samoloty ciągle przylatywały... Kocur obmyślał plany zbudowania niedużego prywatnego lotniska, ponieważ rysowała się możliwość zalanania azjatyckimi towarami także innych krajów, które zrzuciły brzemię komunizmu i potrzebują nowych rzeczy na swoich nefunkcjonujących rynkach... na

naszych parterach i w piwnicach był mały laotański obóz wtajemniczący... i bękarcia Bohemia dostawała zastrzyk nowej azjatyckiej krwi w zwapniałe żyły.

Laotańce ze swoimi doskonałymi fałszywymi dokumentami zaczęli rozkręcać różne interesy, a u nas została tylko ta pierwsza grupa, złożona z sześciu osób, teraz już z niektórymi swoimi żonami i dziećmi. Wasyl pokazał, co potrafi: nauczył Laotańców wyrabiać miecze samurajskie... wiedział, jak się to robi, od kijowskich Wietnamczyków... i oto stosując różne sztuczki w kuźni, sztuczki z temperaturą powietrza, metalu, maczaniem w wodzie i zagrzebywaniem w piasku w odpowiedniej chwili i w odpowiednim, zimnym miejscu, Wasyl i Laotańce robili pradawne miecze samurajskie. Produkcja się rozkręciła, bo japońscy, amerykańscy, niemieccy i inni turyści nie wozili teraz do domu tylko fałszywego czeskiego szkła, gumowych czeskich knedlików, zastrzelonych czeskich Szwejków, ale i lśniące ukraińskowietnamskolaotańskoczeskie miecze samurajskie... Bohler pozwolił na budowę kuźni na jednym z podwórzy, a Kocur nakupił parę tysięcy naostrzonych zardzewiałych bolszewickich szabli oficerskich z magazynów wojskowych na materiał. Wartość Wasyla ogólnie wzrosła i gdyby nie jego czarnobylskie rozkrzyczane nocne koszmary, jakoś byśmy się dogadali z lokatorami, żeby normalnie u nas zamieszkał i nie musiał spać w piwnicy na derce.

Zaskoczyło nas trochę, kiedy na jednym z wieczorków, w których Wasyl na prośbę Bohlera czasami uczestniczył, chłopak zaczął mówić po czesku... powykrecanym językiem, co przybył tu okrężną drogą przez jakieś dwa wieki, przed którymi jego rodzina odeszła do Czarnozemi... spadło to na niego całkiem nagle i niespodziewanie, w jednej chwili, akurat pod obrazem Bogurodzicy: nasza chałupa, konik, korowa, polje, pługi, ogoń, żołdacy, wyrzucił z siebie najwyraźniej w wielkim skrócie całą historię rodzinną i padł w konwulsjach jurodiwego... Bohler potarł mu skronie kwasem i Wasyl odzyskał świadomość i zaczął opowiadać swoje dzieje, których do dzisiaj opowiadać nie skończył, bo dopadli go ludzie Wielkiej Matki. Znaleźli go, kiedy Wielka Matka postanowiła, że dobrym miejscem dla niej i dla Ludu Wiary będzie nasza stara dobra zła Praga... i Wasyl nam już swoich dziejów nie skończył opowiadać. Ale wybiegam naprzód... Miał jednak przede wszystkim szczęście, że na nasz szlak wstąpiła również rodzina Cudownego Doktora Hradila. Ten przynajmniej na krótką resztę życia za pomocą transfuzji wyleczył go z padaczki.

Do rzeczy: kiedyś, kiedy nasza grupka grała i śpiewała w po jeździe Kocura, po drodze ze Skały spotkaliśmy rodzinną gromadę Doktora. Wynędzniały jabłkowity konik ciągnął cyrkowy wóz. Przy jego boku siedł nasz trochę sponiewierany przez życie rówieśnik, owinięty szalem z czerwonym krzyżem, a z okien wyglądały różne, małe i duże dzieci. Był to Cudowny Doktor Hradil ze swoimi synami, córkami i małżonką. Dla pewności zatrzymaliśmy się, powyłaziliśmy i powyskakiwali z wnętrza pojazdu, widząc to, Doktor, okazał niejaki podenerwowanie. Dotknął małego srebrnego skalpela, który zawieszony miał na szyi. Zauważył jednak sutannę Bohlera, nasze krzyżyki, szkaplerze, ogólnie przyjazny wygląd i rynsztunek i lekko skinął w naszą stronę głową. Staliśmy tam, na trochę nachylonej ku górze drodze, i czekaliśmy, żeby przekonać się, jaką ma siłę, on zaś do nas przemówił: No, dobrze, dobrze, jasne, ale gdyby ktoś potrzebował jakiejś opieki medycznej... jakiejś niedużej operacji... albo i czegoś więcej... to wystarczy parę idiotycznych ruchów w całkiem niestosownej chwili.

Od początku było oczywiste, że jest to nasz człowiek w medycynie. Od słowa do słowa dowiedzieliśmy się przy wieczornym ogniu, że dzięki restytucji w tych cudownych i pełnych przygód dzisiejszych czasach Klondike Doktor odzyskał stare dobre prosekatorium swych przodków. Zbiegiem okoliczności mieściło się ono w centrum stolicy. Cudowny Doktor Hradil poświęcił się głównie krwi, po kolacji, kiedy najmniejsze dzieci poszły spać, pokazał nam kilka interesujących baniek do jej odciągania, był też wynalazcą nowej medycznej sztuczki: przykładania ludziom pijawek i odwrotnie. Działa to, panowie, znakomicie,

zakończył wykład i okutym butem zmasał wykresy, które przedtem nakreślił na piasku. Dowiedzieliśmy się, że jego odkryciem zainteresowały się Stany Zjednoczone, szczególnie wojsko, i właśnie na jego koszt Cudowny Doktor Hradil przez jakiś czas nielegalnie żył w Kanadzie. Z niektórymi swoimi synami był kilka lat w niewoli u Mohawków i właśnie tam od starych czarowników zdobył podstawowe składniki swego Cudownego Elixiru Doktora Hradila. Był to spryciarz starej szkoły. Mohawskich szamanów nauczył łaciny. Znał się też na lotnictwie. Widzę, że mogę wam wierzyć, a mnie ksiądz wierzy? spytał Doktor, w pokrytej odciskami dłoni trzymał flaszeczkę. Noo, tak, powiedział uprzejmie Bohler, a Doktor dziabnął go w twarz skalpelem, który jakby cudem znalazł się w jego ręku, rozciął mu policzek. Skinieniem głowy uciszył nasz szalony wojenny ryk i powstrzymał szybkie ruchy, i chlusnął Bohlerowi w twarz meduzową ciecżą. Ksiądz łapał przez chwilę oddech, to jak gdyby takie mrowienie, co? spytał dumnie Doktor. Tak. Rana prawie znikła. Zostanie ci tylko taka nieduża blizna, wymyśliłem to właściwie dla tych swoich hultai, którzy ciągle bawią się w Mohawków i ciachają się wzajemnie, żeby mieć blizny. Kilku jego synów w wieku dojrzewania wyszczerzyło w uśmiechu zęby. Na co to jeszcze pomaga? spytał Kocur, a ja czułem, że finansowy zegar zaczął mu szaleńczo tykać. David z zadowoleniem kiwnął głową: to jasne. Na wszystko, powiedział Doktor Hradil. Elixir naprawi wszystko, ale ma jeszcze parę słabych stron, Doktor odkrył karty. Czasami działa to organicznie, a czasami anorganicznie, raz jako kwas, raz jako zasada. Zależy od pacjenta. Bohler zbladł. Szybko przekonaliśmy się o jednym: Cudowny Doktor Hradil był bezspornie wspaniałym lekarzem, ale w ogóle nie zależało mu na ludzkim życiu. Wolał krajać trupy. Teraz miał z powrotem swoje prosekorium i cieszył się, że leczenie powiesi na kołku. Kocur wziął Doktora Hradila za wóz cyrkowy i na chwilę usiedli z kalkulatorem w trawie. Dobiegały nas czasem jakieś urywki zdań: w zimie szkoła, 19 par butów. Albo: tydzień: 7 kilo mąki plus 6 kawałków gotowanej wołowiny. Albo: jesteśmy po prostu katolikami, co ma być, Pan da, człowieku... i sprytnie argumentujący głos Kocura. I znowu: śniadanie: 8 kilo melasy, wielkie arbuzy, pączek... tak ciągnęło się to prawie przez całą noc. My tymczasem wymienialiśmy doświadczenia z dorastającymi synami i tylko przelotnie, przez ramię, przypatrywaliśmy się dorastającym córkom. Żona Doktora Hradila była pierwszym normalnym człowiekiem, na którym Medyk wypróbował Elixir, a była taka ładna, miła i poruszała się z taką sarnią gracją, że ciągle myliliśmy ją z jej szesnastoletnimi córkami. Ale w naszych sercach był Jezus i mieliśmy nadzieję, że

Cudowny Doktor Hradil jednak ich nie myli. Rano stwierdziliśmy, że Kocur Doktora Hradila przekonał.

Doktor Hradil za miesięczny ryczałt leczył nasze stany duchowe, robił nam anamnezy, pobierał mocz, prześwietlał wątroby i fotografował krew. Utrzymywał nas w dobrej formie na tej szalonej biznesowej karuzeli i całkiem szybko zaczął zgarniać niezłe procenty za Elixir.

Weźmy to z narodowego punktu widzenia, panowie, powiedział Kocur na naradzie. Wszystkie te zagraniczne świństwa z tego Taiz, fińskie krople, wódki Wajzy to gówno. Czech zawsze wyleczy Czecha najlepiej. Czech musi wiedzieć, co boli innego Czecha, Czesi przez całą okupację i za bolszewika żarli te same ohydztwa. Czesi są tacy sami. Czesi to kumple. Mówił to już ten stary romski Cygan Macha: *Kto jest lepszy niż Czech?* Z taką reklamą szybko przebiliśmy się w przyjaznych nam politycznych tygodnikach i kulturalnych kwartalnikach. Poza tym ogromnie pomogła nam stara chińska technika sprzedaży: Cudowny Elixir Doktora Hradila był absolutnie najtańszym środkiem leczniczym w ówczesnej, właśnie rozpadającej się Republice Czechosłowackiej. Kupowały go już tylko całkowicie przekreślone ludzkie ruiny i wszelkie umierające staruszki, więc kiedy Elixir połykał niewłaściwy pacjent, nigdzie nie rozlegał się podejrzany hałas i szpicle z dokonujących obdukcji komisji w tych starych obrzydliwych szczerzych praskich domach spokojnie

wydawali opieczętowany bilet na podróż w zaświaty. A mohawska bestia Cudowny Doktor Hradil miał kolejnego obdartusa do krajania na stole sekcyjnym. Była to doskonała cyrkulacja. W dodatku sprytny Doktor Hradil w swoim małym prosektorium w centrum miasta specjalizował się w punkcie przecięcia między szumowinami a nędzaczami, toteż na ogół patroszył właśnie swoich niewłaściwych pacjentów. A tabliczka na drzwiach starego restytuowanego prosektorium: „Darmowe zabiegi medyczne”, także robiła swoje i przyciągała biedaków.

Opieki lekarskiej nasza ostro zarabiająca grupka naprawdę potrzebowała. Co więcej, wszystkie te tabletki, proszki i kropelki przeciw delirium i nocnym koszmarom doskonale pasowały do Wody Ognistej. Wprawdzie codziennie około siódmej rano stawialiśmy się w swoich białych biznesowych koszulach i doskonałych garniturach w prążki, a Bohler w świeżej sutannie, na naradzie i było fajnie, i wyciągaliśmy macki, ale od czasu do czasu nagle zaczynały się na nas odbijać wszystkie te ciężkie psie lata przeżyte pod bolszewickim knutem. Zwłaszcza w wariatkowach. Zauważyliśmy, że po drogich gorzałach wprawdzie nie wyskakują nam gęsie plamy, ale ponieważ za wstrętnej bolszewii przyzwyczailiśmy się do wszystkich tych komunistycznych jaboli i innych świństw, zaczęły nam teraz wyskakiwać straszne indycze plamy od khapitalistycznych wódek. Doktor Hradil naświetlał nas laserem. Trochę to pomogło. David to wykombinował, a Kocur załatwił: przeszwarzowaliśmy na chwilę ten szczegółny, tak popularny nóż atomowy. To dla dzisiejszych ludzi normalka, głośno łajał nas Bohler, zbierać forszę na jakieś kosmiczne noże, a potem pod ostrze wpychać niewinnych małych chłopców, żeby sprawdzić, co się stanie. Zanim oddaliśmy nóż gamma z powrotem do magazynu, zdążyliśmy wymienić między sobą szpik kostny. Bohler trochę zrzędził, ale przekonaliśmy go. Było nam potem lepiej. Muszę jednak przyznać, że niekiedy... trochę... było mi smutno... kiedy widziałem, jak wspaniale po rycersku i z galanterią rozmawiają synowie starego Doktora Hradila ze swoimi siostrzyczkami... serce ścisnęło mi się i czekałem... patrzyłem, jak te pędraki bawią się w swoje dobre nieskalane katolickie zabawy... jak bawią się w piratów... doktora... w Mamucią Gromadę starych neandertalczyków... w domach tu i tam odzywał się szarpiący nerwy radosny mohawski wrzask... synowie Doktora Hradila włóczyli się po okolicy... byli to dobrzy chłopcy... a kiedy przez jakiś czas kupowali Elixir tylko sami właściwi pacjenci i Doktor Hradil w swoim prosektorium nudził się z powodu braku obdartusów, chłopcy zdobywali dla taty ciekawych miejskich umarlaków ze śmietników i z Wysypiska... wyciągali ich z trującej Moldau... i toczyli przy tym wielkie bitwy z bandami bezprizornych... pokazali im jednak kilka mohawskich sztuczek wojennych, podobno zwłaszcza tych, które dotyczą leśnej walki jeden na jednego... i miejscy gówniarze szybko przed nimi z bekiem uciekali... a kiedy chłopcy Hradila natrafili na gorsze męty, o których później powiem coś więcej... nie bali się we właściwym czasie i właściwym miejscu golnąć sobie Elixiru... wdali się w ojca... i umieli ryzykować.

Od tego wielkiego smutku i szalonej tęsknoty za Psicą zrobiły mi się nieładne kręgi, z czasem coraz gorzej wyglądające... męczyłem Cudownego Doktora Hradila, chodząc do niego ciągle na badania: aha, no tak, tak, powykręcane stawy, zniszczona chrząstka, stłuczone żebra, jebnięta czaszka, szybkie ramiona, wolniejsze kolana, pęknięte rzepki, rozklekotane łydki, oszalałe pięty, zawód? Tancerz. Aha, aha, no, a dalej cóż my tu mamy: zapadnięte oczodoły, głodne spojrzenia, rzadkie grube włosy, zniszczona cera, stary guz, mroczny gniew, chcica, chciwość, mistycyzm, ostre chłanie, zachłanność, rękawice, uzupełnić informacje: Aktor. Aha, aha, trzymaj, już niedługo, ile razy byłeś w domu wariatów, pijaczyno? Sześć razy, szefie, panie Doktorze, ale za komuchów. Ależ to się liczy podwójnie, stary szurze, jedziemy dalej, będzie bolało: aha, ojej: żółte słowiańskie plamy, celtycki somnambulik, germański przygłup, żydowski hucpiarz, przechodzony AIDS, ja cię kręcę, prymitywna grafomania w stadium początkowym, ciężka postać przewlekłego

pokwitania i stara dobra schizofrenia. Zdolny do życia bez zastrzeżeń. Czołem. Następny. Nikt następny nie był zainteresowany.

Rodzinną gromadę Doktora Hradila była mile widzianym nabytkiem i znakomitym urozmaiceniem. Jednakże pewnego dnia znikły szesnastoletnie córki Doktora. Jako ostatni widzieli je Laotańcy, paru Laotańców, były pod wpływem trawki, śmiejąc się swoim charakterystycznym śmiechem, dźwięcznym dziewczęcym śmiechem, szły z wiadrami po wodę do studni w piwnicy. Laotańcy widzieli blask łuczywa i słyszeli, jak śmiech odbijał się pod sklepieniami, słyszeli też, jak dziewczęta kręciły korbą. Ciągłe się śmiały. A potem zapanowała cisza. Zrozpaczona żona Doktora przeszła z Laotańcami, na wszelki wypadek uzbrojonymi w kopie na bawoły, całe piwnice, ale ślady dziewcząt były ćapkowskie... wiodły do studni i tam zniknęły.

Nawet Jezu w całej swej wielkości nie zostawił śladów na jeziorze. Przeszedł przez nie i odcisnął swoje nogi w świętym nagle piasku po drugiej stronie. Dziewczęta nie. Jeden z Laotańców, dawny łowca rekinów, zanurzył się w studni, urządził sobie nawet spacer po dziesięciometrowym błotnistym i dalej się rozstępującym dnie, ale dziewczęta tam nie leżały. Było to dziwne. Było to ciemne. Bohler, zasepiony, chodził po podwórzu, a rodzinna gromada Doktora, zubożała i smutna, wytrwale modliła się przy ogniu. Lokatorzy się pochowali. Wasyl siedział pod obrazem Bogurodzicy, gdzie czuł się bezpiecznie, i płakał.

Kiedy opadł na nas wieczór i cienie zgęstniały, Laotańczycy odprawili nabożeństwo w swojej świątyni. Mężczyźni zapalali trociczki w różnych kombinacjach, a kobiety oddzielały dym od zapachu i posyłały go na poszukiwania. Koło północy przysła do mnie Laotanka Bohlera i dotknęła mego czoła. Palec miała umazany popiołem i czymś jeszcze. Dostyc mi pochlebilo, że do przekazania posłania od plemienia do plemienia wybrała sobie akurat starego Potoka, ale nic nie dałem po sobie poznać. W jej oczach widać było, że dym im coś powiedział. Gdzie są te dziewczyny? spytałem. Wota je wzaa. Gdzie...? W stutni. Poszedłem do współplemieńców.

Niektóre z młodszych dzieci Doktora Hradila zaczęły płakać. Kocur powiedział im, że i tak wszystko wyjdzie na dobre, że to jaśniejsze niż słońce. Rozryczały się jeszcze bardziej. Pojawił się Medyk. Bez słowa zaczął się pakować. Nie było tego dużo, dzieci pobierały jakieś porzucone tu czy tam skalpele i zimowe czapki i rodzinna gromada Doktora odeszła z naszego nagle dziwnego i niegościnnego otoczenia do prosektorium. Ale teraz miejsca się zrobiło, próbowałem zażartować. Przyzwyczajony jest je robić, a nie tracić, dołączył Kocur. David milczał, przygnębiony. Słuchajcie no, panowie, nie chcę nic mówić, ale przyjrzełście się ostatnio tym naszym peryferyjnym ulicom, gdzie rośnie trawa? Nic nie zauważyliście? Psy czy koty raczej nie, czasem może jakiś ptak, mruknął Bohler.

I powiedziałbym, że i ci lokatorzy jakoś nam znikają, nie żeby zależało mi na tym ich śmiesznym szmalu. Chyba trochę boją się tego twojego Wasyla, tych jego ataków, tych wrzasków w czarnobylskie noce i tych jego automatycznych kluczy, odparował Kocur. Ale nie, łączę sobie tu po domach i uspokajam lokatorów, i gadam z Laotańcami... to w tej studni albo z nią dzieje się coś dziwnego. Myślałem o tym. I powiedziałbym, że jest to coś, co akurat na tego menela Wasyla nie działa. I na Laotańców też nie, ci już w swoim żółtym bolszewizmie przeżyli wszystko. Chcesz powiedzieć, Bohler, odezwał się przygnębionym głosem David, że jest tu może coś, co zadziało na jakieś małe dzieci lokatorów i koty, i psy, i szlachetne czyste dziewice, córki starego Doktora... a co na nas nie działa? dopowiedziałem i dopiero potem uświadomiłem sobie, co mówię. Dobra, no cóż, teraz tego i tak nie rozstrzygniemy. Miał rację, kręcąc się na rozpedzonej karuzeli naszych interesów, nie zabraliśmy się do rozstrzygnięcia tego problemu także i później. I w ten sposób o mało nie straciliśmy wszystkich swoich interesów i wszystkich swoich trosk.

PRZYSZEDŁ REKIN. ZŁOCISZ I JEGO PROPOZYCJE. UMOWA: MY
CZEKAMY. BOHLER. I POKAŻE MI ZABAWKI. KRÓTKO O BACIE,
NOWO OCHRZCZENI. SZUKAM DOKUMENTU. ZAŁATWIAM
SAMOCHODY. PRZYPROWADZAJĄ. DOTYKA SZNURA.

I pewnego uśmiechniętego dnia, kiedy słońce na chłodnych miejskich neonach nabierało słodczy i ciężaru jak winne grona z winnicy Pańskiej, Kocur przyprowadził Rekina Štejna. Już od dłuższego czasu dawał nam do zrozumienia, że trzeba się rozszerzyć... patrzcie no, w naszym rodzinnym mieście jest nagle jakichś trzydzieści tysięcy Amerykanów, idź zobacz, Potok, czy to są sami pół albo ćwierć henry millerowie, czy może niektórzy wiedzą, jak płynie metal... a ja przyprowadziłem Złotego Joe.

Joe chodził cały w złocie, palce musiał podwiązywać, bo wykrywały mu się od pierścieni... a warkocz nosił w złotym krążku, w mieszkaniu miał gablotki ze złotem zamiast regałów z książkami, kominka i kuchenki oraz zlewozmywaka... a większość złota w małych sklepikach, które po wybuchu czasu szerzyły się z nieustępliwością pleśni, należała właśnie do niego.

Złocisz był Amerykaninem, Węgrem z doskonałym paszportem, co miesiąc latał do Bangkoku, aby rozszerzać swoje łowiska łączników w bangkockiej kolonii węgierskiej, która powstała po tym krwawym roku, kiedy Węgrzy próbowali odpalić czasową bombę... Poczwara wysłała czołgi, a te, jak wiadomo, nie robią sobie kłopotów z przekonywaniem, tylko zgniatają wszystko na swej drodze... węgierscy koloniści w złotej tajskiej krainie, gdzie najstarsze kurwy wiecznie mają po trzysta lat, a niektóre z nich nawet nie umierają... pracowali dla Złotego Joego... jak szybko zrozumiałem, niektórzy z czystej radości życia i ruchu, a inni po prostu dlatego, że ich ludzie Złocisza przekonali, ponieważ zawsze lepiej jest oddać parę złotych blaszek, niż mieć kłopoty z tubylcami, zwłaszcza kiedy najbliższa mroczna i milcząca dżungla rozpościera się tuż za końcowym przystankiem miejskiego autobusu.

Joego Praga przyciągnęła od razu w roku 1, ponieważ wyczuł ruch, i od słowa do słowa, złożyły się całe zdania, inglisz z nieznanym akcentem Kanału Budy i Pesztu, co śledziłem z wielkim zainteresowaniem, pozostawiając treść Kocurowi i Davidowi... i pojawiła się Woda Ognista, a ponieważ Złocisza zainteresowały nasze maszynki, porozumieliśmy się... trochę to zazgrzytało, kiedy David musiał go pouczyć w kwestii mniejszej umowy oraz udziałów... jako że Złocisz nie żył według umowy i nic nie wiedział o Tajemnicy, zawsze gdy był w Bangkoku, obcował właśnie z tymi trzynastolatkami, a ponieważ przekonał się, że jesteśmy prawdziwymi miłośnikami metalu, wspominał o myśli, która podobno nurtowała go już od dłuższego czasu, żeby odpocząć od złota i na stare – stuknęła mu niemal trzydziestka – złote lata także sobie trochę użyć... może by tak rozkręcić parę salonów z młodą, bardzo młodą i białą! obsługą, Praga spokojnie mogłaby być małą filią Bangkoku, parę róż herbacianych dla urozmaicenia, ale przede wszystkim jako komendantki kursów, bo tutejsze dziewczęta... no... są trochę leniwe... przywiózłbym samolotem, na przykład panny Bursztynek i Koralek... a reszta rekrutowałaby się z bardzo młodych dziewcząt z tych najlepszych starych praskich katolickich rodzin... jeśli się dało... i natychmiast płynęłoby morze metalu, bo przy tutejszym prawodawstwie można by przedsięwziąć rzeczy, które przyciągnęłyby najobrzydliwsze knury ze wszystkich upragnionych państw, knury, które zanimby zaczęły chrząkać, a i potem, byłoby dość łatwo pozbawić metalu... tylko że David pouczył go w kwestii naszej małej umowy o udziałach, którą sami wobec siebie wzajemnie się

związaliśmy, żeby nie spodobać się nadmiernie Diabłu... to znaczy porno owszem, ale nigdy nie z pchełkami... z pchełkami, znaczy z dziećmi... powiedział David... no, dobrze, powiedział Złoty, po jego kolejnej propozycji David musiał znowu podnieść głos... narkotyków nie przewozimy, nie rozprawdzamy ani nie proponujemy nikomu, kto nie jest już stracony... o kim nie myślimy, że jest stracony... potem Złocisz, który już otwarcie bawił się sytuacją i tym, co z nas za dziwaczne groszorozy, wyjechał z kolejną propozycją, teraz już trochę przymulony Wodą i tabletkami prawdy, których ze swoją słynną zręcznością dosypałem mu w chwili, kiedy nie uważał, do Jacka Danielsa... użyłem ich przy rozmowach handlowych z podobnymi typami już parę razy, Kocur charakterystycznym ruchem marszczył nos i mówił: ciotka Madla ma łeb pusty jak bania, ale pańska propozycja, obcy wodzu, wydaje się stosunkowo ciekawa... a ja, słysząc to hasło, podstępnie wyciągałem tabletki prawdy... miałem je od pewnego znajomego majora KGB... ponieważ obcy wodzowie po ich spożyciu na ogół płatali się w zeznaniach i od czasu do czasu przyznawali do swoich najgłębszych, zwykle dość ciemnych zamiarów, co dla nas już samo w sobie było ważne, bo może chcieliśmy stać się ich kontaktami, a może nie chcieliśmy, ale z całą pewnością nie zamierzaliśmy być ofiarami, takimi jak syn pokornego Abrahama, wtedy na górze, z niemal poderżniętym gardłem... wtedy brakowało niewiele, a my w ówczesnych dzisiejszych czasach, pełnych ruchu, mieliśmy bębenki wdarowanych nam przez Starego Boga uszach już dosyć sfatygowane i nie było wcale pewne, czy usłyszelibyśmy polecenie z niebios, które wtedy powstrzymało majcher Abrahama... Złocisz zaczął okrężnie przez politykę zagraniczną oswobodzonej Czechosłowacji i wrócił do Tajlandii, jechał tam ku granicy... prawie do Birmy, a potem przekroczył tę granicę, ale pozostał jednak na niej i wspominał coś o Karenach, takim plemieniu, dosyć mocnym narodzie, i o niewielkim konflikcie z birmańskimi władzami. I zająknął się o kilkudziesięciu tysiącach zabitych... i rannych, lekko i ciężko... o spalonych wioskach, ukatrupionych facetach, zgwałconych babach i zabranych siłą dzieciach... po prostu normalka... opisywał ten konflikt i dodał, że byłoby ogromnie ciekawą rzeczą śledzić coraz lepsze wyposażenie i uzbrojenie obu walczących stron... że mianowicie kareńscy powstańcy zaczęli ostro przegrywać, kiedy władze włączyły do uzbrojenia stare złe śmiercioi dalekonośne AK 3, które, jak wie każde dziecko, pochodzą z czeskich fabryk zbrojeniowych... to byt interes, panowie... mlasnął Złocisz... i ciągnął dalej, bo sprytni kareńscy wodzowie z ukrytych bambusów wyciągnęli miejscowe złoto i nakupili tej samej zwyrodniałej czeskiej broni, a złota mieli w swoich zbójnickich domach tyle, że im Pepiki zamontowały na armatach teleskopy na podczerwień, żeby mogli widzieć w nocy, toteż nocami szeregi wojowniczych żołnierzy rządowych gwałtownie rzedyły... i rządowi nie pozostawało nic innego, jak podnieść słuchawkę i zadzwonić do śmiertelnych fabryk w sprawie zamontowania głowic z gazami bojowymi, a kiedy zamówienie zrealizowano... Złocisz mlasnął i wlał w siebie Wody Ognistej wraz z dawką tabletek... kareńscy szamani w tych starych jaskiniach pełnych księżycowego blasku i straszliwych obrazów malowanych ludzką krwią zdecydowali się na ostateczne rozwiązanie i telepatycznie postawili na nogi dyrektorów śmiertelnych fabryk, a na każdej fakturze, w której chodziło teraz o szczególne raketowe połączenie z każdą AK 3... miał inteligentny biznesmen wielki zysk... powiedział Złocisz... i tak to tam idzie ciągle... z Bangkoku jest to o rzut beretem... Igen! powiedział Złocisz i zemdłał, co obcym wodzom po mojej mieszance we właściwej chwili się zdarzało... we właściwej chwili, żebyśmy mogli w spokoju się naradzić... bez żadnych obcych nietoperzowych uszysk... zemdłał, więc David nie musiał mu przytaczać kolejnych paragrafów naszej małej umowy, dobrze się stało, bo chyba tego nie zniósł. Tej świadomości, jaką bandą aniołów właściwie jesteśmy... w naszej umowie chodziło przede wszystkim o Tajemnicę, ponieważ my w owej ówczesnej dzisiejszej erze po wybuchu czasu modliliśmy się najbardziej ze wszystkiego właśnie o Mesjasza... żeby przyszedł... mimo że przez większość mijającego czasu bawiliśmy się dość dobrze, to śmierć

czyhała w każdym kącie, jak zawsze... a życie było niekiedy takie szalone... jak zawsze... a rycerz sam sobie tego po prostu zrobić nie może... nawet w niewoli nie może... nawet kiedy go torturują... po prostu musi znieść wszystko... wszystkie te pułapki Starego Boga... i racze choroby, i ludzkie nieszczęścia, i strach, i głód... każdy z nas miał w sobie tego tyle, że niekiedy wyłaziło nam to przez oczodoły i Bohler musiał interweniować z krzyżem.

Jeśli mam powiedzieć krótko... byliśmy czasem jak pająki na klasztornych krużgankach i niezdolnie dręczyło poczucie wieczności, zagłady i strachu przed śmiercią, przed zimnem i ciepłem... czasem dawało się wziąć kwas i podejrzeć życie, jak pulsuje w swoich przejawach, a drzewa były przyjazną materią życia tak samo jak ty, a potem mogło się to przeciąć i drzewa stawały się tylko kolejnymi straszliwymi zwierzętami, które po to, żeby móc dostać się na słońce i ssać ciepło, musiały cię zaszachować, zabić, ciebie – inne obrzydliwe stworzenie, które swoim ruchem uniemożliwia ruch im... i zarówno jedno, jak i drugie to była rzeczywistość, a ty musisz z jednym i drugim sobie poradzić, jedno i drugie musisz znać i musisz wiedzieć, kiedy się nie bać, a kiedy być przepełnionym strachem... tylko ten, kto nie boi się swojego strachu, tylko ten daje sobie radę z jednym i drugim... i żyje w czasie, który się porusza... tak przecinaliśmy swoje drogi w wiecznej walce stworzeń, żeby dorwać się do żłobu... a każda bitwa była taka ostra, że czasami nie pomagało nawet, kiedy wyłączałyśmy się, wskakiwali do pojazdu Kocura i jechali na Skalę, na wieś.

Tajemnica dotyczy małych stworzeń... niegotowych, tych, które nie potrafią się bronić... dzieci, jak również małych psów... ponieważ czekaliśmy na Mesjasza, było dla nas jasne, że w biznesie nie tkniemy dzieciaków... no co, jak to było z pierwszym Jezu – kiedy leżał w pieluchach w szopie, to na straży stały dobre zwierzęta, a stary wódz Józef z pewnością dokładnie sprawdzał każdego, kto niósł dary i „dary”, odbierał podrostkom majchry, piekielne maszyny zaś wpychał chyba odwiedzającym w ich flaki... szesnastoletnia Maria miała na pewno czarne włosy i miękkie i ostre spojrzenie potężnej siostry, też uważała na wszystko... na lizaki dziecka, żeby mu jakiś facet, który nic nie wie o umowie, nie podarował zbiegiem strasznych okoliczności karmelka na patyku umazanego herą... pierwszy Jezu miał zawsze wokół siebie dobrą bandę, celników, krzepkich cieślów i murarzy, kurwy, aktorów i zwinnego Piotra z mieczykiem... a kiedy go i tak w końcu dorwali, to stało się tak tylko dlatego, że taki był, że tak użył swojej siły, a kiedy umierał, uszy i oczy miał pełne miękkiego złotego światła Boga, którym w końcu według Bohlera i innych autorytetów był... tylko że dzisiejszemu Dzieciątku może nie wystarczyłoby mieć bezpośrednie połączenie ze Starym Bogiem... kto wie, w jakiej miejskiej dziurze się teraz nasz mały Mesjasz trzęsie z zimna... kto wie, czy właśnie w tej chwili uchłany jarecki nie podnosi na niego noża... diabli wiedzą, czy właśnie w tej chwili jego naćpana mama nie przyduśliła go kredensem... mówiliśmy sobie to czasem z chłopakami, pluliśmy tytoniem i kiwali głowami... brzękaliśmy srebrem, Bohler dotykał swojego orła, ja klepałem Czarną Madonnę... musimy być ostrożni, podsumowywał to zawsze Kocur... żadnej broni, narkotyków, żadnego porno z pędrakami, głośno recytował David te żywe paragrafy naszej umowy, a Bohler wznosił oczy w górę... Jasne, jasne, dodawałem ja w jakiejś dobrej chwili, kiedy nie musiałem właśnie poprawiać maski, żeby dobrze leżała.

A może właśnie teraz ci birmańscy łowcy idą ze złotymi aksamitnymi czeskimi AK ku jakiejś leśnej chacie, gdzie mały dalajlama bawi się zaczątkami swojej siły... powiedział Bohler... idą miękko jak tygrys, nie szczękają pazurami o żwir... i mały dalajlama nic nie podejrzewa... i jest bez ochrony, bo jego wstrętny ojciec zalewa się w najbliższej wiosce miejscową Ognistą... a jego stara brudna mama pewnie gdzieś się pieprzy... powiedział Bohler... i łowcy idą po mały skalp... hipnotyzował nas Bohler, stał nad leżącym Złociszem i nagle błyskawicznie wyjął spod sutanny garotę, chcąc go zlikwidować... musieliśmy wkroczyć i uspokoić księżula.

Działaliśmy zgodnie z umową i Złocisza postanowiliśmy wykorzystać do interesu z maszynkami, uszy i serca mieliśmy na jego machlojki zamknięte na klucz.

Inny Amerykanin, Rekin Štejn, był człowiekiem umowy, jego tata urodził się w Terezynie, świat taty w pierwszym roku ograniczał się do pudełka po butach, podobno po dobrym wyrobie Baty. Przeżył, a potem miał Rekina tylko dzięki temu, że we wszystkich świńskich obozach, gdzie jego dziecięca dusza rozglądała się po wszystkich światach, które zaczęły stapiać się w rzeczywistość, zawsze natrafiał na ludzi umowy. Obijał się po tych zbiorowych mogiłach i w swojej dziecięcej duszy gromadził określone informacje, które potem przekazał Rekinowi. Rekin Štejn, stawszy się członkiem naszej paczki, nawet nas tego i owego nauczył. Najlepsza była chyba sztuczka z pudełkiem: chodzi o to, żeby obserwować świat ze swojego pudełka, zwłaszcza kiedy pełen jest okutych wojskowych buciorów, a ty jesteś raczej drobny i kruchy, potem zaś w odpowiedniej chwili wyjść i pograć swoją siłą.

Rekin był po swoim ojcu artystą w przeżywaniu wszelkich niewygód masowych mogił. Czuło się to z jego lekkich i ciężkich ruchów. Gębę miał rekinia, ostrą jak poranna brzytwa mamci. Podziwialiśmy go, a Kocur promieniał, ponieważ to znowu on go przyprowadził, tak samo jak Davida. Tylko że tym razem nie było potrzeby udzielania nauk. Rekin mówił językiem Organizacji, slangiem i argotem, a o wielu rzeczach językiem normalnym. Ile języków znasz, tyle razy jesteś człowiekiem, tak mówili wczoraj na uniwersytecie, pouczał nas rano Kocur. Ile języków znasz, tyle razy wyliz mi dupę, powiedziałem jako prawdziwy aktor. Słuchajcie no, a to znacie, wtrącił się Bohler: Przychodzi baba do lekarza i mówi, szefie... jakoś tak mnie drapie w gardle i... pocę się, szumi mi w uszach... i siedzę se tak goła, szefie, zaplątał się... zacząłem ryc jak wariat. David poczerwieniał, Kocur otworzył drzwi i Rekin Štejn w swoich skórzanych butach wszedł szybko i niesłyszalnie.

Rekin wiedział o Tajemnicy, wiedział, że z każdą małą niegotową istotą ludzką musisz postępować jak z naczyniem pełnym światła, ponieważ może to być Dzieciątko, Mesjasz. Ten zaś ma swoje zadanie, tutaj, na niegościnnym terytorium kręcącego się koła. Ma ściągnąć zbawienie, które rozgrywa się bez przerwy, ściągnąć je w stateczną pętlę i zabić cierpienie. Kiedy Dzieciątko przejdzie się trochę po padole łez i rozejrzy dokoła... musi uczynić naprawdę wielką rzecz, a mianowicie *przekonać* tego Starego Przeraziwca, tego Psiego Wypierdka, tego Starego Boga, swojego ochlanego zgreda, żeby przymknął oko na rozpanoszone brudy, na każdy stary mord. A to niemały trud.

Dlaczego więc trochę tego Mesjaszowi nie ułatwić, no nie? Zgadzialiśmy się w tej sprawie.

Nasz nowy kumpel dobrze to wiedział, ale na szczęście nie był tak drażliwy jak Bohler. Księżulo miał już kilka procesów, ponieważ paru zdegenerowanym uchlanym matkom odebrał synów czy córki, z którymi jego zdaniem postępowano okrutnie.

Bohler chodził po miejskich parkach i rozdawał gumy do żucia i święte obrazki zdziczałym małym złodziejaszkom z kluczami na szyi i smarkami pod nosem. Czyhał z Biblią koło miejskich wysypisk śmieci, dokąd chodzili wylizywać konserwy uciekinierzy, dzieciaki, które zagubiły się w Dżungli, i robił znak krzyża nad tymi gówniarzami. Kilka razy przegnali go mutrami, którymi ze swoich proc strzelali z diabelską zręcznością. Bohler wystawał w supermarketach i dozorował małych rabusiów, których sztuczki dobrze już znał. Małe gangsterczyki, które chodziły do sklepu kraść, znały go już również.

Ty stara Sutanno, wykrzywiali się do niego. Ty stary wampirze, Terminatorze, ty Intruzie, Golemie, Nosferaciaku, ty Meduzo! rzucali w niego swoją wiedzę czerpaną z wideo. Przyniosłem tu wam słowo Boże, hołoto, zaczynał zawsze Bohler, kiedy udawało mu się paru złapać. Lepiej dawaj kasę, sypnij forsa, grosiwem, moniakami, ty stary robaczywy Drakulo! A on im szmal zawsze dawał. Nie kupowali za to zupy, tylko zapewne papierosy, tojfle albo klej do wączania. Przymusowo wyświadczam im dobrodziejstwo chrztu, mówił Bohler, jak Apaczom. Kiedyś jakiś bezprizorny postrzelił go policyjnym specjałem, parę razy mali

złoczyńcy go pokłuli. Bohler zaszył rany, opłukał się i wyruszył na kolejną wyprawę krzyżową.

Kiedy wyobrażę sobie, że nasz mały Mesjasz gdzieś się teraz może telepie w pociągu, tęsknił Bohler, i że jego dobry pracowity tatuś cieśla z dobrą cnotliwą mamą szukają jakiegos Egiptu, żeby uciec przed bałkańską, angolską, kurdyjską albo na przykład kambodżańską... herodiadą... i Mesjasz ma tylko jeden sweter i jedną parę skarpet... i że nigdzie tej świętej rodzinki nie chcą wpuścić, bo podobno są to uciekinierzy z powodów jawnie ekonomicznych... Bohler dziko zawył i ruszył na dworzec obdarować najbliższy rumuński pociąg pełen Cyganów.

Z gówniarzami Bohlera łączyła się jednak jeszcze jedna dziwna rzecz, a mianowicie ich zabawki, to one odebrały mi spokój. Te obrzydliwe tojfle, pajęcze, kosmiczne... czas leciał tak szybko, że przez te lata 1 i 2, i 3... i następne nagle pojawiły się całkiem inne zabawki... kręciłem głową nad tą nową generacją, a kiedy rozmawialiśmy o tym z chłopakami, wspominaliśmy swoje dziecięce światy.

Myślę, że lalki i misie porzucone pod murem niemieckiej ambasady były ostatnimi normalnymi baśniowymi istotami, potem rozwiązał się worek z Atomowymi Galaktycznymi Kościotrupami... wystawy sklepów z zabawkami wyglądały jak reklamy Balu Wampirów... wszędzie wstrętnei zakrwawieni zapaśnicy... Nuklearne aseksualne homunkulusy... Czarownice betonowych cel innej galaktyki, a nie to stare dobre ścierwo Baba Jaga, którą Hans i Greta u braci Grimm albo czeskie rodzeństwo Jeník i Mařenka i tak w końcu załatwili, żeby dziecięca dusza doszła do siebie po wszystkich grozach... wspominaliśmy z chłopakami swoje dziecięce zamki i prerie.

W tamtym czasie, zanim miałem nasienie i Psicę, która mnie od niego w dziecięcej niewinności uwalniała, także bawiłem się w świat, wojowałem w niezliczonych bitwach przy pomocy miniaturowych rycerzy i Indian, uczyłem się walczyć, żeby nie zaginąć w Dżungli, przynajmniej nie zaraz... tak samo moi dziadkowie toczyli wieczne boje na podłogach w zamku, przy pomocy złotych żołnierzyków, na podzamczu choćby za pomocą szyszek, a wszędzie, gdzie się da, ołowianych... i w tych zabawach dziecięcego świata zwyciężali Czejeni i Arapahowie, ganiali po preriach, kradli konie, podczas gdy nikczemnicy jęczeli przy męczeńskich palach, a nie odwrotnie, a biały rycerz zadawał cios czarnemu, a nie odwrotnie, a kapitan Kormoran ze swoim bratem tygrysem zwyciężał i nie gnił gdzieś na rei, tak to właśnie było, a nie odwrotnie, a Brutus szykował może sztylet, ale dawał staremu Juliuszowi szansę, nie inaczej... a prawdziwy okrutny świat był potem inny, ale małe dobre dziecko miało przynajmniej świadomość określonych reguł... w tym wieku, kiedy w komórce na węgiel bawiliśmy się w górników i mieliśmy mleko pod nosem, dzisiejsi gówniarze zżywali się z wszelkimi bolszewickimi faszystoidalnymi Poczwarzami, khapitalistycznymi fantasmagoriami... Agresywnymi Obcymi Diablami... tojflami i tojflikami... niechrześcijańscy Dżapońcy tego towaru oczywiście wymyślili najwięcej... wszelkich smocząt, które są jak skóra zdarta ze starego ślepego węża spod ziemi... Gamera kontra Gaos, potwór X z kosmosu... żeby się człowiek w końcu tego starego kosmosu chyba bał zamiast starać się być w nim szczęśliwym, spokojnym i czujnym w swym ruchu, jak czujny jest delfin, co sunie przez ocean. Przecież gdybyś nie wierzył, że ci kosmos da przynajmniej szansę... to co wtedy... głupi koniec bez początku... zapadnia, która zapada się jeszcze głębiej... Pająki... El beso de la mujer arafta... i Maszyny Myślące, i bezmyślne biesy, między tojflami nie było żadnych pozytywnie naładowanych bohaterów, była to obrzydliwie zakłęta banda pieprzniętych i ostro postmodernistycznych szkodników... nie licząc milutkich zwierzątek wszelkiego rodzaju i wszelkich ras, nasze stwory były przynajmniej ludźmi, i w dodatku na ogół rycerzami i facetami, czy byli to kowboje, Indianie, starzy cieśle, żołnierze, nurkowie, w najgorszym wypadku chyba kosmonauci... a dziewczynki miały księżniczki na wydaniu albo Ribanny, albo jakieś niemowlaki, albo damy

z ubraniami na zmianę... z tego wszystkiego została głupia Barbie, jednostajny robot, a niech ją już raz AIDS ściśnie i wrzuci do odkażanego wapnem grobu! Kląłem i wywracałem oczy, kiedy pewnej nocy Bohler zawiózł mnie swoim karawanem przed wystawę Centralnego Domu Zabawek.

Wyłączył światła samochodu i porządny kawałek drogi musieliśmy przejść piechotą, co trochę mnie podrażniło, bo właśnie wprawilem się za pomocą trawki w dobry humor. Dowłókl mnie do muru z wystawą i nagle zapalił mocną latarkę. Zjeżyły mi się włosy. Półki pełne były tojflów, a te potwory żyły! Dziarsko porozumiewały się ze sobą, grające wieże Maszyn Myślących obracały się z przerażającą szybkością i pluły ogniem, Drakule jeździli na Pająkach, Potwory z galaktyki

Zador wypychały dzielnego Batmana, król Mutantów gadał o czymś w rogu wystawy z Fioletowym Monstrum, a Barbie... no cóż, robiła te rzeczy z bandą zapaśników... dobry Boże!... to była szalona impreza... nawet tej świni Złociszowi zrobiłoby się niedobrze, widząc to, rzygałby aż miło... Najstraszniejsze jednak było to, co wyrabiali dziewięcioręcy Marsjańscy Błyszczelce z tymi kilkoma Czejenami, których tu w tym okrutnym dzieciństwie musiano jakoś przeoczyć... związali ich i w każdej ręce trzymali... no, dam temu spokój.

Kiedy potwory nas przyuważyły, zaczął się wielki ruch, migotały jak robaki w kawałku starego sera i błyskawicznie poszły na półki, zamykały się za nimi pudełka i celofanowe opakowania i wystawa Centralnego Domu Zabawek w jednej chwili zaczęła wyglądać jak swoja fotografia.

No jak, dotarło do ciebie, co? powiedział Bohler.

Myślisz, że...

Jasne, sprowadza je tu on, Ciemny Książę, chodzi mu o dzieci, to oczywiste.

A ci durni jareccy...

Ci jak roboty to wszystko kupują...

Problem jest chyba w tym, powiedział Bohler, że ludzkie plemię się rozpadło, tak, tak, rodziny to już nie to co dawniej, powiedziałbym wręcz, że zgredy i zgredowy te tojfle kupują właściwie dlatego, że swoich latorośli nienawidzą i w głębi duszy cieszą się, mogąc im przynosić te ciemne rzeczy, tylko że... wiele tych rzeczy obróci się przeciw nim, dokończyłem za Bohlera... tak, oni się tych swoich latorośli boją i chyba chcą je zniszczyć, zanim im dziatki wyrosną... ale wiele z nich te ciemne metody wychowawcze wytrzymuje i potem zaczynają dusić matuzaleństwem... dlatego jest teraz tyle zabójstw w rodzinach, po domach, na daczach, mruknąłem...

Raskolnikow, zanim zabił, musiał nieźle ćwiczyć swoją siłę na teorii nadczłowieka, tej teorii starego Nietzschego... dopełnił moją wiedzę z literatury i filozofii Bohler... a dzisiaj gówniarze załatwiają swojego starego zmordowanego tatę dla paru drobniaków... tak, ale Raskolnikow miał przynajmniej tą wymalowaną kurwę Sonieczkę, powiedział Bohler, która mu pomogła... co? On miał siostrę? To mnie dosyć zainteresowało... ależ nie, powiedział Bohler, to była taka dziwka... ale przyniosła mu Biblię... potem... do pierdla... a przedtem miał tego płaksę Marmieladowa... i mama przyjechała do niego do parszywej Moskwy, razem z jego siostrą, i miał też kumpli... Bohler, ale co z tą siorą?

...no, chodzi chyba o to, że dzisiaj gówniarze są strasznie samotni, nie mają nikogo, mają telewizję i jeszcze tą przestrzeń wypełnioną tojflikami...

Bohler, czy ten Raskolnikow miał siorę, czy nie?

...bo ludzka społeczność się rozpadła, są tylko różne plemiona, które walczą w ciemności, medytował Bohler... połączone albo podzielone interesami handlowymi... a gówniarze są strasznie samotni, czknął z przejściem Bohler... i samotni wyruszają nawet na ścieżkę wojenną ze światem, ale nie znają żadnych reguł, nie mają umowy, są sami albo w złych plemionach, tych szczepach, a ponieważ nic nie wiedzą o umowie, to duszą innych, i rodzą się im kolejni opuszczeni gówniarze... a tym następni... i tak w kółko...

Bohler, czy Raskolnikow spał z Sonią, czy z tą drugą siorą?! ...są po prostu jak atomy jakiegoś skurwionego modelu, który bez sensu błądzi w kosmosie, założę się: niektórzy nawet właściwie nie wiedzą, że żyją, zakończył dysputę Bohler.

Chciałem go wypytać, czy Raskolnikow miał siostrę, i jakoś sprytnie dowiedzieć się, jaką mocą dysponowała, ale mieliśmy pełne ręce roboty. Włamaliśmy się do Centralnego Domu Zabawek i przeczesałiśmy magazyny. Więcej Czejenów nie znaleźliśmy, więc przynajmniej zabraliśmy tych z wystawy i oczywiście tu czy tam uszkodziliśmy trochę jakiegoś tojflilca czy dwa. Potem Bohler przy czymś majstrował w rogach pomieszczenia, a kiedy zapalił lont, to uciekaliśmy już całkiem szybko i ledwie wskoczyliśmy do samochodu i przejechali kilkaset metrów, rozległ się słodki dla duszy wybuch i drogę dość długo oświetlał nam wspaniały czerwony blask od czasu do czasu przechodzący w zielone i żółte błyski, kiedy tojflikom w żarze pękały źródła złej siły, w co, Panie, wierzę z całą mocą. Czejenów wypuściliśmy na trawę za naszymi domami, na wolność.

I z powrotem od zabaw zabawkami do przedsięwzięć handlowych: Rekin czekał na Mesjasza tak samo jak my, a poza tym od paru dobrych lat mieszkał na Koszyczach, nie było więc żadnych problemów, nowy padrug podpisał kilka dokumentów Kocura i stał się pełnoprawnym członkiem gromady. Kocur promieniał, bo po wszystkich tych latach przeżytych w Dżaponii Rekin Štejn był wyjątkowo cennym nabytkiem.

Tak więc uwaga, panowie, powiedział Kocur na jednym z regularnych briefingów. Düsseldorf, tam jest japoński bank, to są wilczury, które czekają na naszych granicach, jak wypadnie podział czeskich ziem. I jeśli nie będziemy się tu topić we krwi, wilczury się pojawiają. A od wróbla na dachu wiem, że Suzuki kupuje od Volkswagena fabryki Skody, I. G. Farben, a teraz już także starego krwawego Kruppa! Pieniążki na stół! Tak więc komputerowi samuraje będą tu za chwilę na każdym rogu.

David kombinował, a Kocur działał i przyłączył do nas globtrotera Rekina, który stał się naszym ministrem spraw zagranicznych, co nie jest niczym nadzwyczajnym, bo z akt Organizacji można wyczytać, że paru padrugów siedziało kiedyś z ówczesnym aktualnym ministrem spraw zagranicznych dawnego rozpadającego się kraju, a wielu padrugów z nim piło... i pije dalej... jesteśmy ciągle w roku 1 i 2, i 3, i następnych... Kocur trzymał dźwignie nakierowane na przekładnie za granicą, przede wszystkim w ministerstwie, ale także w licznych innych towarzystwach i grupkach, David siedział i kombinował, a mnie wysyłali, żebym grał swoją rolę... wtedy było to dość przyjemne, bo jeździłem z Madame Hoitsu, czyli z Laotanką Bohlera... maszynki uzupełniane przez Złocisza tanimi tajskimi częściami zastępczymi opanowały od razu kilka powolniejszych krajów, Laotańcy płacili nam procenty i od czasu do czasu cicho, bez niepotrzebnego hałasu udawało nam się opylić kilka mniej ważnych budynków na peryferiach, budynków, które de facto nie istniały... ponieważ podstępny poseł, którego wtedy załatwiliśmy, teraz pracował dla nas... przekonaliśmy go o korzyściach z szybkiej pracy w milkliwym towarzystwie paru ksiąg wieczystych w pewnym urzędzie... a Cudowny Elikser Doktora Hradila zaczął opanowywać coraz to nowe wschodnie rynki, ponieważ im dalej na wschód, tym więcej było biedaków, którzy albo stawali się martwymi obdartusami, albo wyremontowanymi całkiem zdrowymi ludźmi... tu i tam okazywało się, że w określonych mutanckich regionach Elikser działa jako afrodyzjak... w drodze ku Uralowi Cudowny Elikser Doktora Hradila zdobywał coraz więcej żarliwych wyznawców... właściwych i niewłaściwych pacjentów, całkowicie w zgodzie z teorią Darwina... i starą dobrą zasadą rosyjskiej ruletki... a etykieta, którą zaprojektował nasz plastyk: uśmiechający się uśmiechem zboczeńca doktor medycyny Hradil w wypożyczonym białym kitlu i z wypożyczonym stetoskopem na piersiach podniesionymi rękoma przeganiający Kostuchę z kosą, podbijała nowy pobolszewicki świat i dawno minęły czasy, kiedy Wasyl oblizywał w piwnicy owe etykiety i nalepiał na buteleczki... teraz już Elikser produkowany był w kilku starych fabrykach w stolicy nowej Bohemii... poza tym stale

byliśmy panami indyjskich i mongolskich materiałów, których nie ubywało, a pałacyk rządowy na naszej rządowej działce stawialiśmy razem z rządem w tak ślimaczym tempie, że właściwie go nie było i nie zasłaniał nam widoku... od czasu do czasu nastęrczały się jeszcze dalsze interesy... i interesiki... wcale ich nie ubywało... ponieważ był to i jest Klondike... Dzikiego Wschodu.

A my pędziliśmy jak poganiane batem psy zaprzężone do wspólnych sań, którymi po prostu trzeba dojechać, żeby nie zamarznąć w niegościnniej okolicy, ponieważ w chwili, gdy się zatrzymasz, twój czas zniknie.

Trzymaliśmy ten bat sami, a trzymaliśmy go nad wszystkimi kolegami równie bezlitośnie jak nad sobą, tak to już jest w ludzkim plemieniu biznesowym. A kiedy poczuliśmy lekkie słabnięcie swoich ciał, coś jakby nieoczekiwany zimny powiew o poranku, Doktor Hradil znalazł na to sposób... jego synowie byli całkowicie pochłonięci poszukiwaniem swoich siostr i nikt nie rozumiał tego równie dobrze jak ja... ale czas leciał jak bies ze swojego gniazda... z tego pęknięcia w betonie... jak gdyby czas ów, przyszło mi do głowy, był głodny, jak gdyby żywił się ludzkim mięsem, mięsem ludzi, którzy w nim żyją: swoich wrogów, powiedziałem raz Doktorowi Hradilowi, ten jednak odparł: tylko paranoicy mają wrogów... a metal płynął... a Praga się zmieniała... a kto nie umiał w tych warunkach chodzić, musiał się wlec... wolno, coraz wolniej, aż wreszcie zniknął w czasie... i ten, kto w czasie jechał, przetrzącał mu kręgosłup, załatwiał go, jeśli coś z tego miał, a jeśli łązga nie był dla nikogo nic wart, to szybko zaczynał obijać się po różnych tanich miejskich garkuchniach w podzamczu i zostawał sam, a potem też ginął... i tak sprawa wygląda od początku dziejów... jest to dość barokowe... a ludzie z zamku giną tylko trochę bardziej elegancko... i pochylając się nad tym przepełnionym stołem sekcyjnym, Medyk tylko lekko się uśmiechał i z błyskiem w oku brał się do pracy badawczej... ten antropolog pełen szczerego zainteresowania... a potem zabito mu syna, który nieostrożnie zmasał znak swastyki gdzieś w tym przeklętym metrze... w tym czasie wyroiły się hitlery.

Nasza grupka nie interesowała się nimi, uważaliśmy to za bijatykę w niewłaściwym czasie i w niewłaściwym miejscu, ale wkrótce mieliśmy o nich usłyszeć więcej.

Laotańce, którzy bardzo polubili gromadę Doktora i najmniejsze dzieci nauczyli nawet słów swojego języka, tego wieczora ostatniej drogi młodego syna Doktora wystawali pod oknami prosektorium i może trochę ich zdziwiło to, że zabity z pasa transmisyjnego starego prosektorium zjechał na mary w workach. Doktor Hradil zrobił sekcję także i jemu, żeby wszystkiego się dowiedzieć i wszystko znać... siłą ciosów... kierunek wściekłości... i żeby jak najlepiej móc chronić pozostałe swoje dzieci.

Laosy także od czasu do czasu brali po mordzie i od czasu do czasu w mordę walili, ale póki nie zobaczyli tych worków pełnych młodego białego chłopaka, który znał ich język, nic do nich nie docierało... przecież w swoim własnym kraju dość długo patrzyli śmierci prosto w kościotrupi pysk.

Ale teraz po raz pierwszy ostro widzieli swoje nowe wolne terytorium i oprócz tych, których Bohler przekonał do chrztu i obdarował różańcami, wszyscy zaczęli wyć... ci zaś, których Bohler ochrzcił, ukłękli ze złożonymi rękami i jakoś dziwnie kręcili szyjami, wstrząsali głowami... cholera, co im jest, syknąłem do Bohlera... no, człowieku, odezwał się ostrożnie, powiedziałbym, że nastawiają drugi policzek, z tym chyba przesadziłem, źle to wytłumaczyłem... odsyknął do mnie zbity z tropu Bohler.

Nagle podeszła do nas Laotanka Bohlera, wyglądała na przestraszoną, i powiedziała: Szyb, szyb! Co jest? spytałem. Oni, Laotańce, ido sabijacz. A co ja mam robić? spytałem. Zawołać glińiarzy? Nie, nie, kliniasza sabiliby taksze! Spojrzeliśmy z Bohlerem po sobie i spłoszonymi oczami oświetliliśmy scenę. Banda Laotańców spokojnie wyła pod oknem prosektorium, ale ci, których Bohler ochrzcił, od czasu do czasu wyskakiwali w górę w tym tłumie i darli na sobie ubrania, w rękach błyszczwały im ostrza obnażonych mieczów

samurajskich, unosili kopie na bawoły... facet przed nami, był to ów niegdysiejszy Łowca Rekinów, zerwał z siebie ubranie i Laotańcowi, który tylko tak sobie cicho wył w powietrze, wyrwał z ręki kopię, a swoje szmaty rzucił mu na głowę... ojejeje, powiedział Bohler, przecież mówiłem im dzisiaj: „kto ma dwie suknie, niech przeda jedną i kupi majcher, i idzie walczyć, jeśli tak mówi ci twoja siła”, może powiedziałem to niedokładnie... inny Laotaniec, zbrojny w miecz, wyrwał z tłumu wyjących i kwilących starą kobietę i mocno cisnął nią o ścianę prosektorium, a jakiemuś starszemu żółtkowi wyciął policzek... pozostali uzbrojeni neofici gromadzili się wokół Łowcy Rekinów... czego ich jeszcze dzisiaj nauczałeś? spytałem złośliwie, to przyznaję, bladego Bohlera, „dlatego odrzuci człowiek ojca swego i matkę swoją i uwolni się od rodziny, gdy idzie na ścieżkę wojenną przeciwko oczywistej niesprawiedliwości”, cholera, oni nie zrozumieli, że to są takie robione naprędce metafory, dodał Bohler. Tylko że tymczasem dobiegły nas wycie syren i ochrypli głos Kocura. Na ulicy rysował się mroczny szereg, znowu widziałem pleksiglas. Łowca Rekinów dziko ryczał, a jego ziomkowie dołączali się do tego skowytu. Na szczęście do gry włączyli się Kocur i David. Poznali dowódcę ciężkozbrojnych, był to padrug Kocura z kanałów, był coś winien Organizacji, sam go korumpowałem. Bohler wzniesionymi ku niebu rękoma i strasznymi międzynarodowymi wyzwiskami poskramiał Laotańców, David wręczał gliniarzom z pierwszych szeregów kwiaty, Doktor na nich z okna prosektorium wrzeszczał: to był mój syn czy wasz, wstrętne szpicle! Dorastające córki Doktora wieszały się na kopiach na bawoły, a drobiazg biegał tu i tam i tłumaczył. Zauważyłem, że synowie Doktora rozbili z proc kilka okien; chyba właśnie stamtąd lokatorzy wezwali gliniarzy. Scena nagle się uspokoiła. Bohler odprowadził swoich chrześcijan. My odprowadziliśmy syna.

A rano znowu staliśmy w biznesowych garniturach na naradzie. I wyciągaliśmy macki, i rozkręcali młyn, i szeptaliśmy, i ryczeli ze śmiechu, i telefonowaliśmy, i faksowali, i dawaliśmy sobie w żyłę, i knuliśmy intrygi, i zgarnialiśmy kasę, i wygrywaliśmy, i przegrywali. I piliśmy Wodę Ognistą. Spaliśmy z padrużkami. Ściągaliśmy samochody, podpłacali gliniarzy i gangsterów, którzy od czasu do czasu byli nam potrzebni, a na których akurat nie mieliśmy nic innego niż szmal.

Niekiedy chodziło o jakiś dom, hotel, kilka pieczętek, o uśmiech. Jeden podpis kosztował dwadzieścia tauzenów, inny odpowiednie zdanie w odpowiedniej chwili. Gdzieś tam była śmierć, samotność i szaleństwo w wiecznym kolisku świata razem z miłością, współczuciem i wytrwałością ludzkiego plemienia. Tu była ciemność, tam światło, a my żyliśmy na ogół w półmroku. Przyuczałem swoje bystre oczy do tej krawędzi. Kłujęm się w serce, ale serce się zagoiło, urwałem sobie palce, ale rano znowu zwisały z dłoni. Ciąłem nerwy, ruszały się. Chciałem umrzeć, ale zarabiałem forszę. Tego wieczora, kiedy siedzieliśmy w świetle, uśmiechali się do siebie i poklepywali wzajemnie, śmierć tylko leciutko bodła kosą, tylko czubkiem ostrza delikatnie przejechała po mojej powiece, jakby mówiła: cześć, szczeniaku, wiem, gdzie jesteś. Czasami wyglądało tak, jakby właściwie nic nie istniało, czasami było pełno wszystkiego. Tego wieczora nie mogłem zasnąć.

W Barze Galaktycznym wpadłem na pewną wiecznie uchlaną trzydziestkę, która ciało miała cudem ciągle jędrne. Rano leżałem w łóżku z młodziutką rudą. Mówiła do mnie. Nie od razu ją zrozumiałem. Skąd jesteś? Z Ostrawy. To tam plądrujesz hałdy? Rozpłakała się. Zasnąłem, a kiedy pod wieczór wstałem, stwierdziłem, że ukradła mi kurtkę z sześcioma tysiącami i ważnym dokumentem. Ze względu na ten dokument chłopcy powiedzieli mi, że nieźle byłoby ją znaleźć. Sam to wiedziałem. Przeczesałem kluby, mordownie, dyskoteki, zajrzałem pod rozmaite rosnące drapacze chmur, odwracałem kamienie, przeglądałem bary samoobsługowe. Znalazłem ją na dworcu z grupą młodych Jugoli. Była pijana, śmiała się, pewna siebie: mógłby człowiek umrzeć. Daj mi te dokumenty. Od kiej to geld to dokumenty, ciulaszku? Idiemy, powiedział Jugol i popchnął mnie. Czeka! Nie bądź głupia! Jugol ciągle mnie popychał, z mocą byka wykręcił mi ręce za plecy i uderzeniem mojej głowy otworzył

drzwi do ubikacji. Cip! Tu jest bania dla cip! Tępier chuj! powiedział Jugol po ogólnosłowiańsku i mocno trzymając mnie za kark, wpychał mi głowę do muszli. Już prawie rzygałem, dotknąwszy ustami spienionego moczu. Ostaw go, gupku, krzyknęła ruda i obu nas powaliła na kafelkową podłogę. On wstał pierwszy. Jebiemietiboga, przez chwilę głaskał pijaczkę po tyłku, a potem spieprzył. Wolałem się nie podnosić. Pomogła mi wstać, skoncentrowałem się. No dobra, spróbowałem się uśmiechnąć, ja tego papieru potrzebuję, chodzi mi o mieszkanie. To stare słowo i stara potrzeba, to zrozumie każdy. To go bier, patrzyła na mnie pijanym wzrokiem. Wyjęła ze swojej sfatygowanej torebki kartkę papieru. Co się wyglupiasz, powiedziałem ojcowskim tonem, to jakieś twoje zaświadczenie. Uiaaa, wrzasnęła, wskoczyła do kabiny i zamknęła się tam na haczyk. Znowu się mazała. No, tak, powiedziałem. No, to szybko, powiedziałem do siebie. Bałem się jugoli. Stałem na palcach. W zimnych dłoniach tancerza miałem zwiniętą w rulon tysiackoronówkę, wrzuciłem forszę do kabiny. Jeśli jej to nie spadło na głowę, to mam nadzieję, że beczy z otwartymi oczami, czy to w ogóle możliwe? W klozecie zapanowała cisza. Pełna oczekiwania? Rzuciłem w nią kolejnym banknotem. Mogłaby ten ważny papier podrzeć, spokojnie, ot tak, jak motyłom na łąkach odrywała skrzydła, a muchom nóżki, kurwa śmierdząca. Szloch ustał. Wysmarkała się. Podobało się jej to. Czekala. Zerwałem dla niej kolejny kwiat. Po podłodze coś się przesunęło. Znana biała koperta. To było to. Wepchnąłem dokumenty do kieszeni. Teraz mogłem kopniakiem otworzyć drzwi, zabrać jej forszę i tak ją naznaczyć, że pomyślawszy o jakimkolwiek dalszym życiu, z przerażenia by się na tej muszli zesrała. Mogłem wziąć portfel i wrzucić tam tej nieszczęsnej straconej istocie dziesięć razy tyle. Mogłem iść do Jugoli i dźgnąć tego swojego prześladowcę w brzuch tak, że długo musiałby kroczyć drogą przez mękę. Ale może nie pozwoliliby mi do niego podejść. Miałem po prostu wolność, było koło dziesiątej wieczorem, a ja mogłem zrobić to i tamto albo spokojnie coś innego. Zmyłem się. Kiedy szedłem przez dworcowe bagno, przez wszystkie miejsca, przez które trzeba było przejść, żeby wydostać się na zewnątrz, oglądałem się za siebie, przechodziłem od ściany do ściany i z rogu do rogu. Miała już dosyć czasu, żeby im powiedzieć, że mam forszę. Kiedy przyniosłem papier, kumple powiedzieli: no, no... dobra, fajnie, a Bohler mówił: Bogu niech będą dzięki.

Bar Galaktyczny był do wygumowania mózgu, Katedra do erotyki, a Czarna do jednego i drugiego. Handlowaliśmy. I mieliśmy ataki i wstrząsały nami konwulsje, bo nie do uwierzenia było, jakie rzeczy są możliwe. Potem przyszedł Rekin z pomysłem ściągania samochodów i na mnie spadło rozprzedawanie tych wszystkich BMW, a chociaż miałem w kieszeni adresy i szedłem na pewniaka, był to zwariowany taniec... taki, kiedy chrupią stawy, serce wali, a tancerz zdobywa określoną wiedzę... prowadziłem rozmowy z facetami, którzy przez całe życie polerowali swoją jedyną oktawę albo żigulkę i którzy dzięki handlowi, spadkowi, magii, śmierdzącym interesom, łasce boskiej, mordowaniu w Kongo albo ciężkiej uczciwej pracy całej rodziny trochę się wzbogacili, zresztą czy ja wiem, jak to w tych latach, kiedy czas nabrał prędkości, wyglądało... wsłuchiwałem się w ich starą i nową zaskoczoną mowę... słuchałem, jak się płaczą... bo ci goście, zaskoczeni złotem w nagle pędzącym czasie, od swoich spływających potem warsztatów fabrycznych albo betonowych inżynierskich zlewów poleźli od razu do nowych, zakładanych tak samo jak kiedyś klubów milionerów i zamiast dawną piłką nożną urozmaicali sobie życie golfem... wolniej... i musieli też przyswoić sobie nową terminologię stosunków społecznych... zamiast mamuni czy mamuśki była szanowna pani albo małżonka, albo ta dama... zamiast o dupy, baby, cipy, pindy albo towary starali się o słodkie dzieci, dziewczyny, sekretarki, asyistentki i prezeski... a ich rozmamusiałe małżonki zaczęły niekiedy ćwiczyć, bo przyszło im do głowy, że jeszcze coś je czeka... choćby kąpiele słoneczne na Wyspach Kanaryjskich... kochankowie na przykład... a kiedy chłopcy swoich małżonek bogacili się, dochodziło niekiedy nawet do operacji plastycznych... i od razu widziało się więcej ładnych, wykarmionych witaminami

ludzi... i chłopcy wsiadali do swoich starych nowych legalnie nabytych przemyconych beamwic, szczęśliwi, jakby nagle... boję się napisać... nigdy nie bluźnijcie nadaremno, pouczał nas Bohler... zobaczyli w lusterku wstecznym własną siostrę w zarysie płomienia ze swych oczu... wkładali garnitury i brali fotografów, i jechali w tych autach bez podatków i bez cła, lekkich jak anielskie piórko... a ponieważ przyzwyczajeni byli do swoich dawnych śmierdzących bolszewickich wozów, od czasu do czasu wskutek nieostrożnej jazdy odcinali głowę jakiemuś żebrakowi ze starych albo nowych czasów... bo w ludzkim plemienu ciągle ktoś stoi w deszczu koło przydrożnego słupka, a ktoś przejeżdża obok... i stosunkowo rzadko natrafia się na świętego, który wyciągnie z walizki lśniący miecz i rozetnie swoją brykę na dwie części i jedną podaruje... tak było, jest i będzie... a ja swoich parweniuszowskich klientów bezlitośnie obdzierałem ze skóry i nadwyżki oddawałem Bohlerowi na gówniarzy, bezprizornych i uciekinierów, żeby nie spodobać się zbyttno Diabłu... żeby przejść przez ucho igielne łatwiej niż ten wielbłąd.

Zapomniałem może dostatecznie i wyczerpująco objaśnić za pomocą mowy potocznej i złotej mamy czeszczyzny, że Bohler był naprawdę facetem o ogromnym sercu. Od kiedy miał forszę i mieszkanie, chociaż było to mieszkanie całej gromady, bezustannie kadził swojemu katolickiemu, kościelnemu i stallowemu Bogu, troszcząc się o zbłąkane owieczki, na ogół porośnięte zmierzwioną wełną koloru koks z najbardziej zwariowanej bolszewickiej kotłowni. Skrapiał ołtarzyk łzami, podczas gdy my rozwirowywaliśmy forszę, z której część on rozrzucał nie tylko bandom gówniarzy, ale i wszelkim możliwym istotom, które od czasu do czasu, kiedy tylko miał taki pomysł, zdarzało mu się przywlec z Dworca Południowego. Odwyszawiał zbłąkanych Rumunów, zawróconych do tranzytowej Bohemii ze wszystkich kątów zrasanej białej Europy, maściami od Dalmatego smarował albańskim kurwom nogi spuchnięte od szlifowania bruków, a nieletnim Cyganeczkom z najgorszych miejskich dziur Dzikiego Wschodu napełniał wannę perfumami od Fiora, wymógł szlochami na Davidzie, że ilekroć pojawiała się jakaś praca, na przykład w magazynie materiałów albo ze skrzyniami pełnymi maszynek czy przy bezbolesnym zdejmowaniu pajęczyn w korytarzach naszych domów, jakaś taka parszywa robota, do której wynajmowaliśmy ochlapusów z najbliższych knajp... mógł iść na dworzec i wybrać kogoś z kręcących się odrzutów, zawróconych z wszystkich państw... gdzie kruche mięso pieczonych gołąbków ot tak, delikatnie i przyjaźnie... kroi się o zamkniętą brzytwę ust wychudłej twarzy... a dalej już mięso to idzie całkiem naturalnie w postaci kęsów... z tych upragnionych państw, których urzędy całkowicie słusznie zdecydowały, że ta a ta podejrzana morda po prostu azylu nie dostanie... ponieważ albo u siebie żyje w demogracji, albo ją ma, psia mać, avec deus ex machina wywalczyć, rzecz jasna, środkami pokojowymi.

Bohler miał nieomylnego nosa do wyszukiwania największych skurwieli... regularnie musieliśmy wyrzucać z domów najbardziej niesamowitych kutasów... z nieszczęsnego Rumuna, który rzekomo uciekł z łagru, wyłaził złodziejski Portugalczyk... z bułgarskiego studenta teologii, którego Bohler znalazł w knajpie na dworcu, wylazła indyjska czarownica, która zbezczeszczyła Bohlerowi ołtarzyk... z uciekających Ormian, pokrytych bliznami po torturach, z przedstawicieli pierwszego chrześcijańskiego narodu na świecie ni z tego, ni z owego wyleźli, kiedy już się najedli, ubrali i zdobyli bilety do najbliższego miasta w Niemczech (na rachunek paczki), zezwierzęceni Azerowie, zmęczeni mordowaniem po lasach... ale nie tak znowu bardzo zmęczeni... z Chorwatów uciekających przed najstraszliwszym losem wskutek dziwnej przemiany po ataku wielkoduszności Bohlera zrobili się Serbowie... a z serbskich dysydentów – bośniaccy muzułmanie... spytali, gdzie leży Mekka z czarnym kamieniem, a potem kłaniali się i kłaniali... Apage, Satanas, skowytał niekiedy Bohler przez sen, a Laotanka ukrywała pod łóżkiem spiżowaną śrutówkę... ja nie wiem, czy je na njego, na mje, czy na nje, mówiła z przepraszającym uśmiechem... po wszystkich dobrych uczynkach Bohlera przychodziła wkrótce sprawiedliwa kara... a

pewnego dnia przyprowadził piękną Słowaczkę... Rekin był akurat w Koszycach, zainteresował nas wtedy projekt hanzeatyckiego miasta wolnego biznesu... siedzieliśmy nad Ognistą po wyczerpujących rozmowach handlowych, przy których udało nam się do Cudownego Eliksiru Doktora Hradila dorzucić patent na sprzedaż gwarantowanego środka przeciw wypadaniu włosów... słabszym jednostkom wypadła po nim nawet skóra, niestety... szybką pracą zdobyliśmy monopol na terytorium całej Bohemii... a to oznaczało kolejne moniaki, forsiaki i flotę, liczył to już chyba tylko Kocur... teolog wypchnął tę piękną dziewczynę na środek pokoju, widać było, że Laotanka zbladła, co u róży herbacianej jest rzeczą dość niezwykłą... to jest Helenka z uniwersytetu w Trnawie, zaczerwienił się Bohler, poprosiła o czeskie obywatelstwo... chciałyby studiować antropologię, rozwój rodzaju ludzkiego i tak dalej, powiedział Bohler w ciszy. Była piękna. Była tajemnicza... przyprowadzona. Chcieliśmy się zaprzyjaźnić. Słowaczka szybko załapała, o co chodzi. Mnie podbiła od razu, chciała być w kursie dzieła i spróbowała mówić po prasku, słuchałem jej języka, a kiedy zadialogowały z Laotanką, miałem stereo. Tego? Heleno, ty powiedziałaś „tego”? Prečo? – dociekałem, powiedziałaś jej przecież: Dost' *tego*, suka, słyszałem cię! Mama była Polaczką, powiedziała Słowaczka. Mij schoty, ciewczino! wrzasnęła Laotanka z korytarza i walnęła szmatą o podłogę. Hlmou ti po papuli, to jest tego, fyrt! Helenko, nie mówi się fyrt, tylko furt, podpowiedziałem. Jasna sprawa, furt, ciągle, a jak, powiedziała po prasku. Niektóre słowa fascynowały nawet Bohlera: cintorin, cmentarz, cholera, to brzmi jak zdrowy park sztywnych, umrzyki z cytryną, brachu, w cytrynowym jeziorze, białe szkielety w żółtej łupinie, nadawał. Konarik, gałązka, to mnie wzruszyło, a Davida całkiem rozmarzyło. Konarik, konarik, to coś takiego jak Umiłowana, powtarzał ten strateg stare dobre i zapomniane słowo miłości. Pewnie przeczytał je w jakimś podejrzanym tygodniku pod kolorowymi zdjęciami par i grup, domyślałem się. Konarik! Nawet Kocur musiał się uśmiechnąć. Kiedy Bohler zobaczył, jak nas Słowaczka bierze, spróbował rozproszyć czar: Gałęzie, dosyć tego, nie zapominajcie, kundle jedne, że w głębokim mroku waszych przeżartych trucizną serc jesteście miles Christi, żołnierzami Chrystusowymi, i że każde drzewo zawsze może stać się belką krzyża!

Jasna sprawa, furt jedno, ty stara Sutanno, odpowiadaliśmy w tych krótkich chwilach odpoczynku między handlem a zabawą, wygodnie wyciągnięci w naszych fotelach klubowych w naszym mieszkaniu w naszym domu z naszymi migającymi komputerami... a ja czułem tęsknotę... za Psicą... za dziecięcą siostrą Małą Białą Psicą. I marzyłem o obietnicy... o siostrze, jaki znak mi da i kiedy... jeśli tak, to wszystko ma sens... nasze kobiety kłóciły się w kuchni, a my marzyliśmy... butelki z Ognistą na stolikach, broń pod ręką... marzyliśmy zmęczeniu... za oknami szalała bitwa... byliśmy bydlakami i świetnymi chłopakami, i złodziejami, i przedsiębiorcami, i pijakami, i ćpunami, artychami i geszefciarzami... oszustami i poważnymi facetami... a przede wszystkim byliśmy grupą, spółką, nie zapominaj, że za oknami szalała wojna... do tego nie wiedzieliśmy, co będzie... i byliśmy szaleni i pokorni, i szaleni i pokorni, i szaleni i pokorni... i byliśmy fetyszystami, seksistami, i byliśmy zabobonni, w powietrzu była siła wody i siła ognia... a niekiedy był czas modlitwy, niekiedy zaś czas pieśni... i był czas dostawania w mordę i czas dawania w pysk... i od czasu do czasu tak sobie odpoczywaliśmy i marzyli, w grupie, ale sami ze sobą... byliśmy miles... ale byliśmy raczej Psimi Żołnierzami... i Medorkami po dwudziestu latach... był czas po wybuchu i żyliśmy w ruinach... w powietrzu huczały roboty... i tak płynął czas... bracie albo jakaś mała siostrzo, w przyszłości pełnej tajemnic, jeśli się zbiegiem mniej lub bardziej przypadkowych okoliczności spotkamy... bo czas biegnie ciągle.

Tymczasem język słowacki całkowicie podbił Bohlera. No tak, olovrant, co, człowieku, gładził swój różaniec z masywnymi ołowianymi paciorkami na każdym śladzie drogi krzyża i cierpienia na tym drucie zaszytym w skórze i dotykany przez samego Papieża po

pielgrzymce Bohlera na kolanach do wielkiej Romy... założyli ją ci dwaj Cyganie, co ssali swoją psicę... ale to interesowało tylko mnie.

Bohler pełznął tam być może ze względu na to, co mu zrobił wtedy ten gang w pierdłu... ze względu na to, co się z nim stało... Słuchaj no, człowieku, powiedział Bohler, dotykając palcami sznura, to też jest olovrant. Był spokojny wieczór, jeden z niewielu, kiedy nie byliśmy w mieście ani na Skale.

GŁOS. NA SKALE I PO PROWINCJI. STRUTY. RZECZY W PUDEŁKU.

Bo... kiedyś w paleolicie Organizacji każdy zarobiony, załatwiony czy zdobyty m. jeździliśmy opijać na Skale, ale teraz nie było to już prawidło... bo zapilibyśmy się na śmierć... jeździliśmy tam teraz, żeby się wyłączyć. Praga była miejscem biznesu... było to jeszcze przed całą historią z młynem, przed tym, co przydarzyło się Davidowi... a Skala była mitycznym azylem i warownią. Był to dom, który należał do Kocura, majątek, dzięki któremu uzyskaliśmy pierwszy kredyt od megabanku Jutrzenka... kiedyś w latach siedemdziesiątych Kocur mieszkał tu z paczką hipisów, którzy spróbowali między sobą a nędznym światem otaczającym postawić mur z własnego czasu, po to, żeby go w ten sposób zatrzymać. Gliniarze wyciągali ich jednego po drugim jak króliki z kojca, i chłopcy i dziewczęta w większości emigrowali. Kiedy przyjechaliśmy pierwszy raz, musieliśmy wyjąć z szafy stare hipisowskie dzwoneczki i poncza, i chlebki, i wiersze, i przepaski, i płyty, i flety, i lutnie, zgniłą trawkę i zgniłe grzybki, a Kocur strasznie szczyrzył zęby, kiedy palił te rzeczy starego czasu... tą przeszłość, a Bohler nagle skoczył w ogień i wydarł mu płytę Jenis Jo i to wtedy powiedział po raz pierwszy: Nie bluźnijcie... nadaremno... ona znała Ognistego Jacka i kupę ludzkich sztuczek... zanim dorwał ją piekielny pies... miała silny *głos*.

I usłyszałem w tej chwili ludzki kobiecy głos, dźwięk pieśni z gardła, był to zielony błysk... szedł ku mnie z oddalonych gór i mimo swojej siły i energii związał się w sobie... i był pełen tęsknoty... oznacza chyba drogę, przyszło mi do głowy. Co to jest? Kto to jest?

A potem moje serce o dziwo wypełniły już dosyć stare, ale nie całkiem zapomniane słowa Psicy. Były miękkie i spokojne i wypełniały nerwy mojego ciała tkliwością. Powiedziała, żebym czekał. Powiedziała, żebym był przygotowany. I znowu pozwoliła, żeby zabrzmiał ten głos.

Chcę to widzieć, krzyknąłem, niestety nie tylko w duchu, i chłopcy oraz kumpelki spojrzeli na mnie ze zdziwieniem, przy tym powszechnym i radosnym niszczeniu pozostałości kultów martwych gromad zachowałem się chyba dość sentymentalnie... i siła, która płynęła we mnie z ukrytej obecności Psicy, znikła tak szybko i jak gdyby nieodwołalnie, że próbowałem przegryźć się przez trawkę na sam dół i gdzieś daleko.

Naprawdę wyłączyć się na Skale to znaczyło... grzybki i trawka, i LSD, i inne rzeczy, i Woda Ognista, i litry czerwonego wina, i spróbować po prostu być... niekiedy jeździły z nami różne padruki, różne dobre przyjaciółki... żadne pyszałkowate szantrapy. Żadne głupie wyszczekane pizdy... dobrze było przez chwilę marzyć... że to siostra... nawet Cepkową potrafiłem... może dlatego, że miałem nadzieję znowu zobaczyć w jej twarzy przynajmniej odbłask twarzy Psicy... ale tak się nie stało, nawet wtedy gdy nic nie mówiłem i głęboko się koncentrowałem... była to po prostu blondyna i to mnie dekoncentrowało... ale była z naszego starego zespołu, więc przynajmniej trochę sobie graliśmy... trochę się ucharakteryzowaliśmy i przygotowaliśmy nieduże przedstawienie... koło stodoły, za gumno i z powrotem... na wietrze... z początku człowiek był trochę nerwowy, bo nie włożyły mu w uszy ani oczy żadne nowe złe reklamy... zamiast Barbie w słonecznym żarze na przeciwległym zboczcu zjawiała się stara zła słowiańska Południca... w powietrzu nie latały żadne tojfliki, tylko czasami w głębokich okolicznych lasach przez gęstwinię przebijały się stare złe wilkołaki, ale budynku unikały, bo dostałyby tu w swoją złą skrwawioną mordę... tylko gdzieś tam nappełnił las wrzaskiem stary dobry Leśny Człowiek, żadne helikoptery nad nami nie krążyły, jak za tej prastarej gotyckiej orwelliady... Bohler nosił Leśnym

jedzenie... ale ja i tak byłem przekonany, że im to te stare wilkołaki zżerają... a kiedy czasami brała nas niezwalczona ochota na obrzydliwe gumowe miejskie hamburgery, to łatwo zalewaliśmy ją czerwonym winem i Ognistą i szliśmy do spiżarni po kolejne grzyby, a potem już wystarczyło siedzieć na brzegu zamarzonego jeziora i rzucać na lód kawałki żwiru... i w trzaskaniu lodu słyszeć ciosy życia jak powolną muzykę... mając pewność, że w lecie kawałki żwiru będą robić koła i że każda kropla, którą człowiek rozdzwięczy, pośle mu pozdrowienie swojej siły.

Kocurowi przyszło do głowy, że moglibyśmy w niektóre z tych mroźnych poranków ćwiczyć. Rekin chciał sprawdzić, czy utrzyma się na nogach i w powietrzu, David był niemal za, a Bohlerowi było wszystko jedno, tylko ja odmówiłem... rano byłem na ogół nie do życia, po długiej, przetańczonej nocy miałem dosyć mchu, więc obserwowałem z pomieszczenia pełnego wesołych, półnagich porannych padrug, zwłaszcza Laotanki Bohlera, jak ci szaleńcy, moi kumple i współnicy, podskakują, robią pompki i boksują się...

Dlatego komputerowi niechrześcijańscy samurajowie są tacy dobrzy, pouczał Kocur, że postępują według swojej umowy, nazywają ją busido, łączą się w rycerskie samurajskie klany i od małego uczą swoje pędraki walczyć, dobra jest walka na kije, czyli kendo, wyjaśniał prawnik Kocur kolegom, ciągle jest tak, że w zdrowym ciele jest zdrowy handlowy duch.

Jasne, Kocur, tylko że oni walą na pewniaka, powiedziałem, a my przecież tylko lekko od czasu do czasu sprawdzamy, jak daleko to zajdzie, nie?

Hm, no tak, tak, ty może, ty chyba tak, powiedział Kocur, a David poczerwieniał. Co jest? spytałem.

No, widzisz, rozkręciliśmy młyn kieratowy, powiedział Kocur, nie bardzo mógłbyś teraz z tego wyjść.

Dopiero później uświadomiłem sobie, że może to słowo, którego użył: młyn, było złym zaklęciem, które potem przywołało młyn sudański.

Zaraz, o co chodzi? spytałem.

Bo widzisz, David mówił jakoś strasznie wolno, bo widzisz, Potok, uświadomiłem sobie, że nie umiem nic innego robić.

Coś ty, zwariował, człowieku, ty możesz wszystko na święcie, powiedziałem. Co jest, koledzy, co się tu właśnie teraz dzieje, księżo, Rekin, co, tańczę ciężko i brzydko?

Nie, tańczysz jak trzeba i w odpowiednich momentach, powiedział prawnik Kocur. Tylko, chłopcze znad Rzeki Bobrów, zauważyliśmy, że jesteś ostatnio jakby ciut wkurwiony. Może zmęczyły cię te beemwice albo twoje badania językowe, może jesteś w ciąży albo masz jakiś mniej lub bardziej regularny okres, my jednak chcielibyśmy cię widzieć wesołego i zatańczonego jak zawsze.

Zapomnijcie o tym, druhowie moi, powiedziałem, nikt mnie nie będzie tłamsił żadną wesołością. Nie jesteśmy wakacyjnym bolszewickim obozem dla gówniarzy. Niech wam będzie, wyjaśnijcie to sobie tak, że mam teraz swoją regularną męską miesięczkę, która trochę się przeciągnęła, ale żadnego parszywego miejskiego gówniarza z tego nie będzie.

Tak to sobie wyjaśniamy, drogi druhu i rycerzu, wiemy, że komunię świętą przyjmujesz całkiem regularnie, w tym momencie Bohler odrobinę się nachmurzył, ale chcemy, żebyś wiedział, zapewniali mnie jeden przez drugiego, że jesteśmy twoimi prawdziwie oddanymi osobistymi przyjaciółmi, a gdyby jakiś smutek... możesz na nas liczyć... wiesz to, tak samo jak my to wiemy, aktorze.

Dzięki, szefie strategu, dzięki, szefie prawniku, dzięki, szefie księżo, dzięki, szefie ministrze, dzięki i z wzajemnością.

Tylko że... dobrze się znaliśmy, mogliśmy mierzyć rytm oddechu każdego z nas swoim własnym pokaskiwaniem, toteż uwadze moich padrugów z naszego plemienia i walecznego stowarzyszenia nie uszło, że od czasu do czasu jestem trochę struty. Rzecz w tym, że szalałem z tęsknoty za Psicą i gryzłem się rozmyślaniami o siostrze, która była moją

przyszłością, moją siłą... ponieważ, jak już chyba kilka razy nieśmiało zaznaczyłem, moja siła umierała, a ja nie mogłem sobie siebie wyobrazić w otaczającym okrutnym i szalonym wolnym świecie bez siły... był rok 1 i 2, i 3... i następne, a ja wiedziałem, że spółka jest darem wprost od Starego Boga i że liczne inne istoty ludzkie żyją same albo w niewłaściwych plemionach, w szczepach bez umowy... ale ja tęskniłem za Małą Białą Psicą i jej skomplikowanymi oznakami miłości, jeśli już mam zastosować jakiś stary termin.

A o niej ani o jej zniknięciu kumplom mówić nie chciałem. Miałem więc swoją tajemnicę i nie byłem wobec tego tak całkiem i absolutnie tylko rycerzem Tajemnicy, czym moi padrugowie chyba byli. W momencie pewnego całkowicie niepotrzebnego bluźnienia przebiegło mi nawet przez myśl, że w porównaniu z Małą Białą Psicą jakiś mały Mesjasz może dla mnie być... zatrzymałem się jednak i potem dla pewności dosyć długo rozmawiałem ze swoim starym dobrym różańcem... ale w świst ołowianych kulek w moich palcach wdzierał się oddech kochającej się ze mną Psicy... i paciorki różańca zaczęły mnie parzyć, co zawsze jest niezawodnym znakiem. Nie najlepiej mi się w tym momencie wiodło, jeśli chodzi o miłość.

Niepokoje padrugów wzbyłem kręceniem głowy, a ponieważ byliśmy na Skale, to zaraz wysłaliśmy kilka miłych kumpelek i okazjnych przyjaciółek do spizarni i lodówek po lśniące butelki, Bohler przygotował wspaniałe grzybowe ciasteczka i na przyjemnej rozmowie o magicznym świecie biznesu, bo płynący metal to takie same czary mary jak wszystko inne, upływał wspaniały wieczór, któryż to już, któryż.

Niekiedy jednak na Skale trochę się nudziliśmy, zwłaszcza pod koniec pobytu, ciało nam drętwiało i uderzaliśmy się rękami po naszych samczych biodrach, bo te ręce chciały już brać... ale nikt niepotrzebnie nie wypowiadał głośno żadnej bluźnierczej myśli, myśli o faksie i telefonie, i spotkaniach, i zebraniach, i wykazach, i naradach, i kontaktach... chociaż każdy już chyba chciał znowu kręcić młyn, wysuwać macki i karmić Organizację... ale pozostawały jeszcze na przykład trzy dni czy ile tam nam ich Doktor Hradil przepisał i było jasne, że jeszcze musimy sobie troszeczkę poużywać, żebyśmy od praskiej pracy nie załamali się nerwowo.

W takich chwilach włączaliśmy lub wskakiwaliśmy do pojazdu Kocura i ruszaliśmy w podróż po czeskiej prowincji. Kocur rozgrzewał silnik, a my wrzeszczeliśmy: daj mu kopa, kojocia mam, i jazda!... gaz do dechy, ty stary psie, choćbyśmy się mieli zabić!... do przodu, prawniku, choćbyśmy kogoś mieli zabić... zmieniaj biegi, stary kutwo, choćbyśmy mieli zabić gliniarza! A potem Kocur ruszał z szaloną szybkością i nadchodził czas żartów robionych kierowcy... celowała w tym Laotanka Bohlera, może dlatego, że mogła policzyć na palcach, ile razy siedziała dotąd w blaszanym wozie, bo w rodzinnym Laosie jeździła najwyżej na bawołach... nie miała więc pojęcia... na zakrętach zakrywała Kocurovi oczy i narzucała na niego worek na kierowców... a na serpentynach zniecka gwałtownie go dusiła... strzelała tuż obok jego głowy... kiedy nie był na to przygotowany, wydawała dźwięk syren policyjnych... a Kocur śmiał się i promieniał, ponieważ z takimi żartami umiał sobie dawać radę już od czasów starego rozklekotanego motocykla... chciał być szybki i na wszystko gotowy, to należało chyba w jego przekonaniu do kodeksu busido... a Laotanka była coraz to bardziej zwariowana i dzika... buczała mu do ucha... strzelała nagle szampanem... a potem, właśnie kiedy przemykaliśmy koło jakiegoś starego psa, z obu stron wpełnęła Kocurovi do uszu złamany patyczek lizaka i przebiła mu bębenki, prawnikowi popłynęła z uszu krew, krzyczał, a ponieważ się nie słyszał, to krzyczał coraz głośniej, a chociaż nie słyszał, jak właśnie w tej chwili my, pękającego kręgosłupa tego starego dobrego bezdomnego psa, widział go... to, co z niego zostało.

Pojazd zatrzymał się, załoga w chaosie własnych ciał, łańców i różnych rupieci szukała bandaży i Elikśiru Cudownego Doktora Hradila, a Bohler tymczasem trochę Laotance w mroku za wozem przetrzepał skórę. Kiedy dostrzegł posępne spojrzenie już obandażowanego

i zdrowiejącego Kocura, zaczął bełkotać coś o szczególnym azjatyckim poczuciu humoru... a jeśli ktoś chce z psikusów robić jakieś problemy rasowe... ewentualnie wywoływać jakieś niesprawiedliwe pogromy... czy rozdmuchiwać konflikty etniczne... mówił... to niech wie, że on, Bohler, jest po stronie Dobra i podobne typki zawsze dostaną od niego po pysku... ale Kocur go nie słyszał. A potem sytuacja się uspokoiła, sama, tak jak po burzy w jakiś górski krajobraz z wierzchołkami pachnących smołą sosen posiekanych piorunami nagle wlewa się blask słońca, i jechaliśmy dalej i dalej, teraz już spokojniej.

Pojazd po drodze do tajemnego otwartego wnętrza Bohemii huczał i śpiewał swoje piosenki, przeciskał się przez wąskie uliczki wszelkich Repakovów, Vidlakovów... hamował przed kaczkami... i brnął przez kurze łajno... i swojej zdumionej i uciszonej cudownością przyrody załodze śpiewał ciągle te same motorowe kawałki, a za oknami przemykał świat w różnych swoich zmieniających się momentach... ten ruch mi się podobał, oglądaliśmy miasteczka i wioski... i obserwowaliśmy, jak się przekształcają po wybuchu czasu.

Wszędzie miejscowi klecili swoje biznesy, a gospody huczały od szybkich rozmów pełnych kredytów, podatków od deklarowanej i niedeklarowanej pseudowartości, w powietrzu fruwały licencje i umowy... a my uśmiechaliśmy się, bo w rękach czuliśmy stare znane mrowienie, a ja czasem grałem, tylko tak, dla zabawy, i przysiadłem się do facetów, co szachrowali z działkami, i wybałuszałem oczy, bo ta zabawa była taka sama... wioskowe gangi łatwo niszczyły samotnych wojowników... czarowało się z pieczętkami... znajomi znajomych znali z kolei kogoś, kto przydałby się do interesiku siostrzeńcowi twojego parabrata stryjecznego... przecież wszyscy pochodzimy od jednego małopoluda... i chłopcy, którzy kiedyś głosowali na DAO, już nie wybierali facetów z POR, chociaż byli to tacy sam i dobrzy ojcowie rodzin, cieśle, nie wybierali ich, ponieważ żyli wyłącznie dla swojego szczepu... tylko grube ryby zmieniały szczepy wedle woli, a w gazetach zawsze głądziły przy tym o uświadomionej konieczności i reakcjach chemicznych... i znowu wykopywano stare, ukryte przed bolszewikami akwedukty... a wiejskie procesje z odkurzonymi monstrancjami z Chrystusem w pełnej chwale błogosławiły temu staremu nowemu systemowi irygacyjnemu... a wynajęte lumpy tymczasem zatrwały za stodołą sąsiada jakiś staw rybny albo wysadzały sąsiadowi w powietrze krowę, albo rzucały mu czerwonego koguta... żyleta Maryša znowu sypała Vávrze śmiertelny popiół do piwa, a spichlerze wypełniały się złotym czeskim zbożem, a cena mięsa podnosiła się i spadała, i znów się podnosiła, bo już nie stary zasrany komuch majstrował przy cenach, tylko kręciła nimi jakaś nowa spółka... a w powietrzu fruwały stare sztuczki, ściskając się albo walcząc z nowymi trikami... i niektórzy to widzieli, a niektórzy nie, i ktoś z tego korzystał, a ktoś inny się tego bał... a za stodołą starego Bárty pierwsze nieśmiałe pieszczoty i przelotne pocałunki, i wypalone papierosy... w stogu siana, nie w jakimś miejskim tunelu ze szczurami za plecami... i pani, nie towarzyszka, profesorka uśmiechała się... jubka trzepotała jej na tym świeżym wietrzyku, a dziewicze piersi prężyły się pod haftowaną bluzką... i pan, nie towarzysz, aptekarz także się do niej nieśmiało uśmiechał, mieszając trucizny... i słowo „towarzysz” widniało tylko niekiedy na jakichś nagrobkach i pomnikach... wszędzie panowała ukochana wolność... czekała na swojego Ladę... i był tu garniec mleka... i wieprz... a na ścianie, gdzie dawniej wisiał ten krwawy uchłany Szwejh, było pusto, może była tam tylko wilgotna plama, dopóki właściciel knajpy nie zgromadzi forsy, floty czy szmalu, żeby doprowadzić do porządku ten swój stary nowy lokal... na tej ścianie nie wisiało nic, a mnie było dobrze z powodu tajemnicy, pustego miejsca naładowanego oczekiwaniem, chaosem, gdzie to wszystko leci, ten ruch... ulice nawet najbardziej zapadłych dziur ożywały kolorami, które rozpryskał dziki czas, co wybuchł... a w uliczkach od tyłu skradały się dumne stare kobiety, potajemnie zaglądały do pojemników na śmieci, czy nie ma tam chleba... a szaleni pijani ćpuni zebrali całkiem otwarcie... a miejscowy Villon kradł, żeby mieć na chłanie, a stary klawisz nielegalnie dał mu potem w pierdłu po mordzie... jak za

debilnej komuny, tylko że to nie był żaden zasrany bolszewicki letni obóz pracy... była to twoja i tylko twoja sprawa... możesz kręcić milionami albo niczym... możesz mieć asy w aksamitnym rękawie, ale możesz też mieć tylko to swoje nędzne pokerowe ramię w podartym podkoszulku... ponieważ, bóg jeden wie dlaczego, ktoś po prostu tak, a ktoś nie, ty tam, a ty już nie, kogoś na to stać, kogoś nie, a dlaczego w naszym ówczesnym dzisiejszym świecie jest właśnie tak, to też tajemnica.

Byłem bezwzględny i byłem miękki, i podobało mi się to. Ale byłem struty. Przyłapałem się nawet na myśli, że zamiast na wycieczce powinienem był spędzać czas na Gazowniczej, i musiałem poprosić Bohlera, żeby mnie kilka razy rąbnął różańcem, w nadziei, że od tego rozjaśni mi się umysł. Chętnie spełnił moje życzenie, ale dodał do tego: słuchaj no, Potok, drogi przyjacielu, tamten lśniący gład w potoczku, koło którego głuchy Kocur właśnie skręca w boczną drogę swym śpiewającym pojazdem, oznajmił mi, że mój padrug, dzielny aktor Potok, najchętniej leżałby w swojej dziurze na Gazowniczej i bał się życia wielkim strachem.

Najdroższy druhu Bohlerze, mimo wszystkich twoich więzień, trochę poczerwieniałem i straciłem rezon, przysięgam ci, że powiadasz czystą prawdę, i widzę, że masz wielki dar zagładania w głąb ludzkiej duszy.

Bohler skinął głową. Ja cię, druhu mój, rozumiem, i ja także niekiedy zamykam się w jednym z wolnych akurat pokojów swojego naszego mieszkania gromady, nigdy w tym z ołtarzem, i stanowczo żądam od swojej Laotanki spokoju i od czasu do czasu oddaję się myślom i uczuciom.

Masz rację, mądry teologu, nasi kumple rozwijają biznes i wspaniale kroczą w kieracie, ale my dwaj jesteśmy może trochę podłamani... tyś jest znawcą Pisma i zajrzałeś przy swych nocnych i dziennych patrolach w głębie, w otchłań ludzkiego cierpienia... w otwartą bramę, w której wyją dusze pogrążone w przerażeniu różnej miary, jak również żywcem obłąkani... a ja, ja jestem po prostu wspaniałym aktorem, który może grać i tańczyć także poza tymi deskami, ten stary okrutny rzeczywisty świat oznaczającymi, mogę poruszać się we wnętrzu ludzi i z ludźmi i tworzyć, i grać swoje postaci aż do kompletnego wyczerpania i zaćmienia mojej artystycznej świadomości... po prostu znamy to, wiemy swoje, a jakiś tam biznes jest tylko formą ruchu.

Tak, tak, bracie, powiedziałeś to całkiem elegancko... uznał pomocnik Bohler... jak na aktora.

A potem dotarliśmy do jakiegoś kolejnego miasta i wpadliśmy do nowych prywatnych knajp, i przejrzelśmy kilka interesujących właśnie rozwijających się albo bankrutujących miejscowych prywatnych biznesów, i nawet zdołaliśmy rzucić okiem na kilka bolszewickich osobliwości, po czym wybraliśmy hotel i zaczęliśmy się bawić. Stało mi się to dopiero później, już w pokoju.

Poszedłem tam z padrugą Tanią, zbiegiem okoliczności była to taka blondyna, że w wąskim kręgu przyjaciół i przyjaciółek nazywano ją lwicą Elzą, była bardzo dobra i piękna, a nawet dosyć subtelna.

Tylko że stało mi się to i trochę zdemolowałem pokój, ponieważ nagle, w jednej gwałtownej chwili uświadomiłem sobie, że podłoga tego hotelowego pokoju jest nachylona i że zsuwamy się po niej, nie rozumiałem też, dlaczego ładna buzia lwicy Elzy zmieniła się w odrażający pysk brytana z żółtawymi kłami i dlaczego głąb mózgu rozdziera mi głos: Pochyła podłoga przechodzi w pion! I rzeczywiście z jednej strony podłoga zaczęła się unosić, z drugiej zaś strony była zapadnia. Mam wrażenie, że ujrzałem w niej wtedy migotliwe blaski płomieni i wyczułem jakiś podejrzany metalowy ruch, kręciły się tam różny. Ów wstrętny pies na moim okazjnym łóżku miłosnym zaczął charczeć, tarzał się na łóżku w kałuży własnych rzygowin, zrozumiałem więc, że mojej Małej Białej Psicy, gdzieś tam, gdzie się chyba znajduje, nie wiecie się najlepiej. Kiedy jednak spróbowałem tego piekielnego kundla na moim łóżku trochę uspokoić, to nie tylko groźnie na mnie warknął i starał mi się

pazurami rozszarpać brzuch, ale w dodatku zaczął rosnać, był coraz to większy i spychał mnie ku zapadni, a ja usłyszałem: Pochyła podłoga przechodzi w pion! I nie mogłem już się wycofać, a kiedy szukałem w kieszeni wycieczkowych spodni noża, pies wbił we mnie swoje palące oczy, które starały się mnie przebić, kierowały się ku sercu. Rozpaczliwie spróbowałem zatańczyć i wywołać siłę i chyba też słowa Psicy, tam gdzie cierpiała, gdzie działa się jej coś złego... tak to czułem... ale bestia przede mną wypełniła pokój, więc nie mogłem zatańczyć nawet tańca kostek, nawet ruchów pięt... a kiedy wreszcie namacałem majcher, usłyszałem po raz trzeci: Pochyła podłoga przechodzi w pion! I coś mnie ścisnęło.

Złapaliśmy cię w ostatniej chwili, człowieku, przecież poderznąłbyś jej gardło. Na szczęście tak wrzeszczałeś, że usłyszeliśmy cię, nawet Kocur, wyjaśnił mi podobno mniej więcej po dwudziestu godzinach porządnej ciemności mój szef i przyjaciel David.

Chyba pójdziesz do Doktora Hradila na jakieś wakacje. Ale bzdura, przecież jest teraz dużo pracy, sprzeciwiłem się. Mnóstwo pracy jest ciągle, powiedział Da vid. Jeszcze zobaczymy, ale mam wrażenie, że to by była dobra kombinacja. Nie mówimy na razie o żadnej cięższej czy lżejszej operacji, drogi Potoku, powiedział szef. Na to nie dało się nic odpowiedzieć. A Tanię i tak najbardziej złości, że ciągle jej wymyślałeś, że z niej psica, powiedział Kocur. Przecież nawet małe dziecko wie, że to lwica, dodał doskonale już w paczce zaaklimatyzowany Rekin. To była pomyłka, ja myślałem o Psicy, bez sensu go poprawiłem.

Taniu, droga Taniu, nie gniewaj się, próbowałem udobruchać trochę potłuczoną i odrobinę nadciętą padrugę. Założę ci przynajmniej takie konto, żebyś przez jakiś czas nie musiała chodzić do żadnej roboty. No, tak, to byś mógł zrobić... ale... chociaż nie tańczysz tak całkiem, ale to całkiem najgorzej, chyba powinienes wziąć inne padruki w swoje podróże... przeciwnie, zaoponowałem, chcę być dzisiaj z tobą, to był zły czar, musimy sprawdzić, czy wszystko wróciło do normy. To był argument i Bohler z powagą kiwał głową.

Kolejnej nocy więc do zbliżenia szykowaliśmy się dosyć uroczyście. Dla pewności wynajęliśmy cały hotel. Innych gości przekonaliśmy, żeby znaleźli sobie nocleg gdzie indziej. Chłopaki byli na straży, na wypadek, gdyby znów mnie coś napadło, i zaczęła się niewielka walka o nóż. Kocur nie chciał ryzykować. David jednak uznał, że bez tego narzędzia nie mogłaby się na przykład objawić siła mojego gniewu, a poza tym nie jestem znowu taki szybki, żeby nie dali sobie ze mną rady. To mnie trochę rozdrażniło i doszłoby do niewielkiej kłótni, gdyby Bohler w odpowiednim momencie nie zaczął roznosić relikwii i szkaplerzy oraz rozkładać kołków osikowych i sieci na demony i znacząco pokasływać.

Wzięliśmy się więc z Tanią do rzeczy, tym razem nie szybko, w naszym zwykłym starym miejskim stylu, tylko powoli, jak gdyby po wiejsku, z firmamentem, drzewami i jabłkami, z preludiami i ugryzieniami, i wszelkimi możliwymi dotykaniem... może również dlatego, że wszystkie padruki zgromadzone były wokół łoża, na wypadek, gdyby sytuacja na scenie domagała się litanii, a my chcieliśmy się przed nimi trochę popisać. Muszę skromnie zaznaczyć, że przynajmniej niektóre z nich patrzyły... powiedzmy, z zainteresowaniem. Z wyjątkiem Laotanki Bohlera, ją, jak sądzę, nasze dość niezgrabne europejskomisjonarskie ruchy trochę śmieszyły. Ale hamowała się, chociaż kilka razy pokazała ząbki, jakby we wstrzymywanym kocim uśmiechu, pohamowała się, bo chodziło o ważną sprawę. I chodziło o to, żeby wszystko było w porządku, żeby nie stało się nic nadzwyczajnego.

Pobył u Hradila wobec tego na naradzie postanowiliśmy odłożyć, a ja ciągle śniłem o Psicy, teraz na ogół niespokojnie. Interesy jednak szły bajecznie. Rekin podróżował, cały czas w kurzu, a David zanurzał się w snach hipnotycznych i wypadały z niego daty i nazwiska, i kontakty, które mu dawaliśmy, ale z niego wychodziły już uporządkowane i czarem kombinatoryki ułożone, że tylko wysunąć macki. A metal płynął. Kocur zwykle promieniał, Bohler nakazywał Wasylowi wykonywać drobne prace w domach i kontrolował go, spijał się z Laotańcami, nudził w pracowni kowalskiej, nam zabierał, a biednym dawał. Ja

opchnąłem ostatnie BMW z przesyłki i mogłem się skoncentrować na robótce w parze z Laotanką Bohlera, ponieważ komputerowi samurajowie stali na granicy szybko się rozpadającej republiki, a my chcieliśmy być na nich przygotowani.

Omiał nie zapomnieliśmy o studni. Chłopcy Hradila zmieniali się w piwnicach na warcie w przyzwoitej odległości od powierzchni wody, jej się bali. Jeden z nich, noszący mohawskie imię Montek, regularnie nam meldował, że siostry się nie pojawiły.

A raz pewnego uśmiechniętego miejskiego dnia, kiedy było już po naradzie i mieliśmy trochę czasu, wypróbowałyśmy sztuczkę Rekina z pudełkiem... a kiedy Rekin dojrzał Monteka, jak po meldunku człapie do piwnicy, żeby zmienić któregoś z braci, mówi: to dobre dla małego chłopca... i powiedział Montekowi, żeby to wypróbował. Pudełko w świadomości Rekina było dość stare i młodego Hradila na początku zainteresowała pradawna reklama butów Baty, zwłaszcza cena, był to praktyczny chłopak. Potem kiwnął głową i już był w pudełku. Rekin w swojej świadomości, która była zarazem świadomością jego ojca, posłał pudełko z powrotem do parszywego obozu koncentracyjnego i mały Montek musiał nieźle się napracować, żeby dzięki swojej sile wymknąć się tym wszystkim podkutym buciorom i uderzeniom batem, które mogły przeciąć pudełko wraz z jego kruchą zawartością, musiał też wytrzymać odgłosy parszywego obozu, jako że i one są dość okropne... Rekin miał w sobie dźwięk ciężkich kroków czterdziestoletnich starców, charczenie umierających, głośne rozkazy, mnóstwo cichego płaczu... to mogłoby wystarczyć do zabicia małej istoty... jednakże Montek był w pudełku zaskakująco spokojny i czujny, a potem zaczął swoją siłą rosnać, i to niezwykle szybko... Rekin zbladł, my też byliśmy bardzo zaskoczeni... bo tak dobrze nikt z nas sobie z tym nie poradził... a mały Montek wymknął się także wrzaskowi szaleńca i prośbie o litość... nie wziął do swojego pudełka nawet unížonej prośby o śmierć... a nam już oczy wychodziły z orbit... potem wymknął się bucisku esesmana... popisowemu numerowi Rekina... tylko że w tej chwili Bohler się zaśmiał, dołączył do niego Kocur, a ja to zobaczyłem również... i spocony blady Rekin wyłączył się. No, popatrz, tłumaczył mu Kocur, ten chłopak wyjął skalpel i przeciął pudełko, i przez cały czas *widział*, dał swojej sile oczy, brachu... David powiedział jeszcze coś z uznaniem o zdolnościach strategicznych Monteka i chłopak, który był już poza pudełkiem, zaczerwienił się, zmieszany. To wielka rzecz, że potrafiłeś tam być ze swoim skalpelem i nie pociąć się ani nie podciąć sobie gardła, tylko obrócić siłę swoich oczu na zewnątrz, pochwalił Monteka Kocur. A to, że widział te rzeczy i że to mu, przeciwnie, dodało sił... już samo świadczy... o pewnej szybkości i zręczności... powiedział trochę wzruszony Rekin. Przepraszam, wujku szefie, powiedział Montek do Rekina. Tak, chłopcze. Czy te dobre buty da się jeszcze gdzieś zdobyć? Trochę zdrętwieliśmy. Jeśli chodzi mu o buty, o to, żeby z tej sztuczki wycisnąć coś dla siebie, coś innego niż własne życie, to i tak jest stracony, choćby był nie wiadomo jak szybki, przemknęło mi przez głowę... pozostali ze smutkiem w sercu myśleli chyba o tym samym... tylko że Montek mówił dalej... gdyby tak dało się te pudełka gdzieś w supermarketach wygrzebać i zmniejszyć je, zrobić tak, żeby nadawały się dla psów, kotów i wiewiórek. Dlaczego, mały? chciał wiedzieć Bohler. Bo miejskie psy, koty i wiewiórki, które przyzwyczyły się chodzić pić do tej waszej studni, dawnej studni naszego plemienia, znikają. Pomyślałem, że gdyby dało się ustawić przy wodopoju te ochronne pudełka, to miałyby większe szanse. Dlaczego nam o tym nie powiedziałaś, chłopcze!? spyaliśmy. Bo myślę, szefowie i wujkowie, że chodziło wam tylko o te dwie dziewczyny. Poza tym nie bardzo interesuje was, co się gdzie dzieje, interesuje was tylko forsa i picie. Tak mówiła mama, powiedział Montek. Ustami niewinnego dziecięcia przemówiła krwawa prawda! ryknął Bohler. No, mały, idź gdzieś się pobawić czy co tam chcesz, ciągnął już spokojniej, to pudełko to część świadomości twojego starego wujka i tymczasowego szefa, pana Rekina, gdyby dał je wiewiórkom, to straciłby swoją tożsamość, straciłby jakby kawałek głowy i pewnie całkiem szybko zdechłby w jakiejś najbliższej nędznej miejskiej dziurze. No, biegnij,

chłopcze... Montek to sobie przemyślał, pocałował Bohlera w rękę z pierścieniem i pobiegł do piwnicy.

«MIAŁEM SEN».

Mimo że Kocur już od dłuższej chwili zawzięcie zacierał ręce i dawał jednoznaczne znaki biznesowe, dalej siedzieliśmy w swoich wspaniałych skórzanych fotelach klubowych... ustami niewinnego dziecięcia przemówiła bowiem prawda... David siedział nieźle przybity... góral wręcz cuchnął szalonym miejskim smutkiem... ja miałem ochotę odszpuntować jakąś Ognistą i zrobić sobie małe wakacje, Kocur wściekle łąził po pokoju i zgrzytał kilkoma zębami, które miał, a Bohler kartkował swój sfatygowany egzemplarz starego wydania *Żonatego księdza*... potem cisnął książką o ziemię i powiedział zdecydowanie: Samokrytyka! Miał rację, czuliśmy to wszyscy. Także i dla Kocura było jasne, że nadszedł właściwy czas na odpowiednią samobójczą samokrytykę i że biznesowy dzień można spisać na straty.

Samokrytykę składaliśmy jedynie całkiem wyjątkowo, tylko w tych trudnych momentach, kiedy kogoś poważnie zdeptaliśmy, nie żebyśmy przekroczyli prawidła naszej małej umowy o udziale w zyskach, coś takiego nigdy się nie zdarzało, po prostu od czasu do czasu w ramach gospodarki rynkowej byliśmy zmuszeni zrobić takie czy inne świństwo. Nie chodziło nam o jakieś nasze ofiary, w żadnym razie, kiedy ktoś dostanie się pod kreskę, pod walec, to znaczy, że po prostu nie umie używać swojej siły, jego sprawa. Aplikowaliśmy sobie samokrytykę, bo chcieliśmy być czystsii... bardziej żarliwie przygotowani na przyjście Mesjasza.

Samokrytyka był to stary bolszewicki klasowy wynalazek, a do doskonałości doprowadził go ten rzeźnik Mao, nauczyciel. My samokrytykę otrzepaliśmy z kurzu i stosowaliśmy ją w warunkach wolności, spokojnie. Zaczynał zawsze Bohler.

Miałem sen, powiedział. Szedłem sobie po tym naszym starym mieście, w półbutach, spodniach, koszuli i katanie, szedłem w cywilu rzucić okiem na bary i stare miejsca, oglądałem się za różnymi grzesznicami, kurwami zarażonymi, które ewentualnie mógłbym przekonać, żeby porzuciły ohydny sposób życia. Patrzyłem na gówniarzy, których mógłbym odłowić, i tak dalej, znacie to, panowie. I przyznam się, że w piersi buzował mi miły żar zadowolenia i wstrętnej pychy, bo dzień wcześniej złapałem trzech bezprizornych z jakiejś bandy, zagoniłem do starego garażu, podeptałem odebrane im tojfliki, a w końcu ich ochrzciłem. Broń po zastanowieniu im oddałem, daleko by bez niej nie zaszli, ale przynajmniej poświęciłem im te majchry i małe gnaty, ponieważ zdawało się, że dzięki sakramentowi chrztu oraz dzięki szczeremu żalowi, który zdołałem z nich perswazją wydobyć, są na dobrej drodze. A dzień przedtem posłałem na dobrą drogę także parę ulicznic, poza tym udało mi się porządnie oznakować pewnego wstrętnego grzesznika, który dręczył swoje stare dziecko... i Bog teraz tego biesa w ludzkiej postaci łatwo pozna... i, druhowie moi, tego samego dnia przełamałem opór bandy obrzydliwie zakrwawionych rzeźników i wyprowadziłem z jatek dwa stare ślepe opuszczone konie i puściłem je na wolność, na trawę za naszymi domami... przyznam się, że kiedy tak szedłem, miałem same przyjemne odczucia. No... wszyscy dobrze wiemy, że ta nowa piękna wizja naszego pierwszego niereżymowego prezydenta, to znaczy te spokojne ulice i urocze małe knajpki razem z różnymi cudownymi sklepikami pełnymi żarcia, gdzieniegdzie staje się już rzeczywistością i że mnóstwo ludzi raczy się witaminami w ciepłe rodzinne, i że udało się już ludziom przejść kawał drogi z podzamcza do zamku, ale wiemy również, że piwnice są pełne. Chodziłem więc po różnych dziurach i widziałem ludzką nędzę i ludzki fałsz, i spotykałem grzeszników i ich ofiary, ludzi z sercem czerwonym od gniewu i ludzi z sercem

złamanym, i kiedy tak dyrdałem ku przystani, w stronę smrodu trującej Moldau, grzałem się w żarze pychy, że jestem po właściwej stronie... i że przyczyniam się do Jego przyjścia jak należy... a potem koło pewnej speluny zobaczyłem prawdziwą ludzką ruinę... starego obrzydliwego faceta w zawszonych szmatach... twarz miał całkiem zniszczoną gęsimi plamami, skóra jakby odstawała i ściekała z pyska... trzął się po pijatyce albo z braku alkoholu, trzęsło się całe jego brudne ciało... był tak obrzydliwy, że ludzie przystawali i śmiali się z niego, wydany był na pośmiewisko, stał się przedmiotem najgłębszej pogardy, był pod kreską, i to bardzo głęboko... brudne spodnie, takie wory, z plamami gówna... trzęsącym się głosem skomlał o drobne... a gówniarze rzucali w niego grudkami ziemi i błotem, dostał w twarz, ale nawet tego nie czuł... zatrzymałem się przy tym monstrum i zacząłem grzebać w kieszeni... przyznam się, że również czułem pogardę i chciało mi się śmiać... ten błazen... tylko że nagle podniósł pokryte błoną oczy... przedtem wbijał gały w ziemię, jak zwykle starzy żebracy... i zobaczyłem, że to mój ojciec, mój tata... on mnie też poznał, i chociaż był taki nieprzytomny, powiedział: Michale, Michałku, weź mnie stąd... to mówił zawsze, kiedy mnie za nim stara wysyłała do knajpy, gdzie znowu przegrał całą forszę i siedział tylko schlany w kącie, a faceci śmiali się z niego i mówili... twój anioł idzie po ciebie, wstawaj, Bohler... a ja prowadziłem go do domu, tam znajdował zawsze dosyć siły, żeby mi jeszcze złoić skórę... chciałem zabić skurwysyna... potem zwałem... i zostawiłem z nim matkę, skoro była z niej taka idiotka, że wyszła za niego... a on ją i tak szybko tym chlaniem zamęczył... i oto teraz stał tu przede mną, ten drań, i oczy mu się trochę ożywiły... ale był słabo przytomny i powiedział: Poratuj biedaka, chłopcze... już znowu nie wiedział, kim jestem... ale ja to wiedziałem... ten umierający kaleka czuł, że ktoś tam stoi... zauważyłem chciwy błysk w jego oczach, olałem ludzi dookoła i mówię: Wiesz, kim jestem? Poznajesz mnie? Tato! I ta morda znowu otworzyła oczy i przemówiła: Tak, ty jesteś mój syn Michał, jasne, że cię znam... miałem, panowie i przyjaciele moi, straszną ochotę na miejscu powalić go na ziemię za to wszystko, co zrobił, za to, co zrobił ze sobą... tylko że nagle poczułem żal i zrozumiałem, że jest, musi być coś, czego sobie nigdy z ojcem nie powiedzieliśmy, i że go wtedy może powalił na ziemię jakiś bies... którego nie rozumiałem... i że on jest teraz w strasznej sytuacji, że mu jest gorzej niż zbitemu zwierzęciu... i poczułem okropny strach, że nic już sobie nie powiemy... że jest już za późno... i było za późno, potem mnie już znowu nie poznawał... a ja, kamraci moi, poprosiłem tych kilku debili z tłumu, żeby go popilnowali, a sam poleciałem szukać jakiegoś lekarza czy kogo tam można w takim wypadku wezwać... i nikogo nie znalazłem, a kiedy wróciłem, to tego starego ochlapusa, mojego taty, już tam oczywiście nie było, nie było też nikogo z porządnych obywateli... a kiedy wbiegłem do tej knajpy, to chyba myśleli, że zwariowałem, nikt go nie znał, nikt go nigdy nie widział. To wszystko. Myślę, że w tej chwili już na pewno nie żyje. A ja mu wtedy nie dałem nawet żadnych drobniaków na flaszkę...

Bohler skończył przy skupionych i przyjacielskich pomrukach, pomrukach naszej paczki. Trzymaliśmy go lekko za ramiona, gdzie są źródła współczucia, i od czasu do czasu waliliśmy go po nich, chcieliśmy skutecznie pomóc naszemu druhowi, parę razy spoliczkowaliśmy go, a potem ramiona mu się znowu wyprostowały i było dobrze.

Kolej przyszła na Kocura. Miałem sen, powiedział. Miałem w nim dziesięć lat czy coś koło tego i właśnie bawiłem się w ogrodzie naszego starego miejskiego domu, domu naszej starej kulturalnej praskiej rodziny. Łaziłem po starym, popękany przedbolszewickim basenie, który nam lokatorzy, jako że nie był już nasz, dom zresztą też nie, zarzucili węglem, robiłem w tym węglu korytarze. Ale jakoś to mnie nie bawiło, chciałem wydostać się z basenu i robić coś nowego. Włóczyłem się tu i tam i znowu próbowałem podnieść ten kamień. Męczyłem się z nim, ale się nie dało, upadłem i walnąłem się w głowę. I chyba właśnie w tej chwili opętał mnie Diabeł. Kiedy trochę zamroczony wstawałem, zobaczyłem w gałęziach drzewa ptasie gniazdo. Było pełne nieopierzonych jeszcze piskląt, piszczwały i

wyciągały długie gołe szyje do gawronicy... przynajmniej wyglądało to na gawronicę... która podawała im robala. Coś takiego do tej pory widziałem tylko w szkole na jakichś obrazkach. Było to dla mnie nowe i ciekawe. Ostrożnie podszedłem pod drzewo, tak żeby nie przepłoszyć gawronicy, ona jednak oczywiście mnie zauważyła i zaczęła niespokojnie latać wokół gniazda. Nie wiem dlaczego, ale trochę mnie chyba przestraszyła i podniosłem grabie ogrodnicze, które leżały na kupie liści. Chciałem tym pisklętom, które dopiero teraz porządnie zaczęły wrzeszczeć, lepiej się przyjrzeć i trochę to gniazdo jakby uniosłem. Piszczwały jeszcze głośniejsze i zabawnie kołysały gołymi szyjami, widziałem, jak im się otwierają i zamykają miniaturowe dzióbki. Gawronica krążyła wokół mojej głowy i machała skrzydłami. Mogłem to wszystko jeszcze zatrzymać, ale nie zrobiłem tego, podnosiłem grabie coraz wyżej i gniazdo zaczęło się ruszać. Strasznie chciałem wiedzieć, jaki będzie rezultat, co się stanie. Chyba chciałem dowiedzieć się, jak ta moja nowa siła, władza nad stworzeniami, może działać. Wtedy tego tak nie rozumiałem, ale chyba chciałem wiedzieć, jak działa śmierć. I że naprawdę istnieje. Mogłem to zatrzymać, kiedy na ziemię spadło pierwsze pisklę. Ale nie zrobiłem tego, poszedłem tylko popatrzeć na nie z bliska, dotknąłem go i czułem, jak pod puchem, który miało na całym ciele, wściekle tłucze mu się małe serce. I ta wściekłość jakoś weszła we mnie, a może bałem się, że gawronica mnie ukarze. Nalatywała na mnie, co chwila znikła między drzewami, a potem leciała w moją stronę, za każdym razem dolatywała bliżej do mojej twarzy, już kilkakrotnie dotknęła jej skrzydłami. Przestraszyłem się chyba, że zawoła inne gawrony albo moich rodziców, albo czy ja wiem kogo... po prostu zrozumiałem, że to, co chcę zrobić, muszę zrobić zaraz, a co to było, tego nie rozumiałem do dziś. Zacząłem walić grabiami w gniazdo i te małe ptaszki spadały na ziemię, w końcu gniazdo się urwało. Myślę, że wrzeszczałem. Kiedy gniazdo spadło, te pisklęta dziwnie kotłowały się na ziemi i piszczały, nagle wydały mi się obrzydliwe, jak robactwo, skoczyłem na to gniazdo i podeptałem je. Podeptałem je na miązgę, a potem trzepnąłem grabiami także gawronicę, która nagle zaczęła lamentować... niech nikt mi nie mówi, że ptaki nie płaczą, ja takiego człowieka, który by mi to powiedział... ja go ostrzegam... i jeszcze raz, i jeszcze raz waliłem ją grabiami, aż wreszcie tylko zgarbiona pełzała po tych swoich dzieciach... a potem, bracia moi, potem je obsikałem... podniecenie było takie gwałtowne, że po prostu musiałem to jakoś ciągnąć. Łąłem na nie i wiedziałem, że robię coś strasznie złego, ale jednocześnie było to piękne i dziwne... na tym się jeszcze nie skończyło, bo kiedy sikałem tak na te ptaszki i na gawronicę i od czasu do czasu jeszcze je szturchałem butem, nagle usłyszałem: Lukaś! Lukaś, co tam robisz, czym się bawisz? Była to moja mama, była blisko i nagle wszystko zobaczyła... staliśmy nagle naprzeciw siebie, ja z rozpiętym rozporkiem i moja mama... i te ptaki... gdybym wtedy pękł albo przynajmniej rozplakał się, to może jakoś bym to przełamał... ale ja strasznie wrzasnąłem, bardzo się jej bałem, bałem się, że mnie ukarze, i nienawidziłem jej za to, że mnie przyłapała. Uderzyłem ją w usta i wyłem jakieś obelgi, była całkiem zbita z tropu, odwróciła się, chciała szybko odejść. Ale to rozzłościło mnie jeszcze bardziej, więc ją także walnąłem tymi grabiami, a potem jeszcze raz... przewróciła się, z nosa płynęła jej krew i nagle dotarło to do mnie. Upadłem na ziemię obok niej i mówię: Mamo! To nie bolało, to nie bolało... ale ona odepchnęła mnie i poszła, trochę się chwiała. Zamknąłem się w szopie i byłem tam, po prostu tam byłem, nie wiem, jak długo, ale chyba nie krótko, bo kiedy wyszedłem, była noc i ptaki były uprzątnięte. Zaraz to zauważyłem, bo świecił księżyc. Wkradłem się jakoś do domu, a następnego dnia miałem gorączkę i zostałem włożku. Strasznie pragnąłem, żeby to był sen. Ale nie był. Rodzice nigdy ze mną o tym nie mówili, posłali mnie tylko do jakiegoś pieprzonego psychiatry, od razu wiedziałem, że te swoje zaszranne pytania może sobie wsadzić. Ale mama już ze mną właściwie nigdy nie rozmawiała, tylko o codziennych rzeczach, takich jak: chcesz mleko czy herbatę, zjedz to do końca, przynieś, pokaż i tak dalej, nigdy ze mną

nie mówiła, nigdy o nic nie spytała ani mnie... jakoś przyjaźnie nie dotknęła, nie pogłaskała czy tam coś, wtedy mnie właściwie od siebie odsunęła.

Kocur skończył przy skupionych i przyjacielskich pomrukach, pomrukach naszej paczki. Lekko go dotykaliśmy i klepaliśmy po brzuchu, nad żołądkiem, obok żołądka i w potylicę, gdzie są źródła złości. Ale ponieważ medycyna dotąd nie wie, gdzie są źródła perwersji, to także po całym ciele, toteż dostał niezłą kocówę. Przyznam się, że nie obeszło się bez paru kopniaków w jaja. A potem Kocur usiadł, trochę pobity, ale w dobrym stanie, i przyszła kolej na mnie. Ale za zgodą wszystkich oddałem swoją kolejkę Davidowi. Kumple zgodzili się, bo chociaż Bohler po każdym tego typu posiedzeniu dawał dość ciężką pokutę: na przykład 600 nieprzerwanych *Ojciec nasz* albo 1000 pompek, albo Idź i wdrap się od zewnątrz na dom i na dach i zostań tam! albo Idź i świśnij warcie na zamku jakiego kałacha! – to w przypadku opowieści naszego górala można było po prostu machnąć ręką albo zadowolić się kilkoma ojczenaszkami. A po tych okropieństwach, których wysłuchaliśmy, mieliśmy nadzieję, że i tym razem góral nas nie zawiedzie.

Miałem sen, powiedział David. Było to u mnie w górach, zamieć gnała śnieg wokół chałupki naszego rodzinnego plemienia Losinów, drogi były zasypane i nie dało się iść na polowanie. Mój tata machał siekierą, ale od czasu do czasu przestawał, przeciągał się, aż mu stawy trzaskały, i mówi: Dzisiok zdałoby się trochę świeżego surowego mięcha, mięcha, mięsiska, ach, ajaj, łoj, łoj, Maryja! I wziął się do rąbania belki. Moi młodszy bracia kulili się na piecu, a moja stara babka opowiadała im legendy. Ale chłopcy nie interesowali się specjalnie czynami starego Chorosza i rozmawiali ze sobą, a ja to też słyszałem: Ech, jakiej by krwawej kości, aj Boże! To by się pocucało, nie, Medor! Ech, nie godoj mi takich godok, bo se swoje własne rękę zeżre, Metody, odpowiadał inny mój brat. Najmłodszy, Benjamin, siedział na kolanach najstarszego, Abrahama, i opowiadali sobie o ostatnim niedźwiedziu, jakiego zjedliśmy przed tą burzą, i ciekła im ślinka. Moja mama zapaliła gromnicę, bo ta wielka burza, która wtedy zasypała chałupy naszego rodzinnego plemienia, szalała coraz mocniej. Spojrzałem na swoją dobrą, prawą mamę, a ona nagle mówi: Tyz byś se jaki krwisty kawał ugryś, honcfocie jeden, hoj! Także samo i ja, Davidko mój mały, hu! Pamiętajcie, druhowie, że byliśmy do dziczyzny po prostu przyzwyczajeni i nie minął dzień, żeby któryś z chłopców starego Losina nie wrzucił do wora niedźwiedzia. Na taką nędzę po prostu w naszym rodzie nie byliśmy stworzeni! Stara babka nie pamiętała podobnej zimy, chyba nawet w legendach nic takiego się nie pojawiało. Wyglądało na to, że ród Losinów tej strasznej zimy nie wytrzyma! A ja, przyjaciele i rycerze, też nie wytrzymałem! Raz w nocy, kiedy wszyscy w chałupie spali, a moi bracia niespokojnie przewalali się w nogach głęboko śpiących rodziców, cicho włożyłem na siebie swoje futerko z norek, nasadziłem na głowę lisią czapkę, zabrałem tacie jego starą kuszę i kilka strzał, a bratu Abrahamowi z cholewy wyciągnąłem kozik, który miał na wiejskie zabawy. Z szopy wziąłem sanki, położyłem na nich siekierę i odwiązałem Azorka, starego psa ojca, dobrego na niedźwiedzie, pies poczcwiwie się do mnie łąsił. Kiedy mu powiedziałem, dokąd idziemy, zaświeciły mu się ślepia. Był to mieszaniec, skrzyżowanie miejskiego cocker-spaniela i wilkołaka, niektóre młodsze niedźwiedzie na sam jego widok padały ze strachu. Położyliśmy kuszę na sankach, zaprzęgliśmy się do nich i ciągnęli. W głąb burzy. Była to niezła syberia, panowie i przyjaciele, możecie mi wierzyć. Ale na szczęście już parę metrów za chałupą natknęliśmy się na pierwszy barłóg niedźwiedzi. Azorek zaczął wściekle kopać. Ja starałem się napiąć kuszę, ale szybko stwierdziłem, że jest to ponad moje chłopięce siły. Przyszedł mi jednak do głowy zbawienny pomysł! Mocnymi sznurami przywiązałem kuszę do silnych ryjących ziemię nóg starego Azorka, a sam szybko zjechałem sankami ze zbocza. Tego, że cięciwę trzymałem naprawdę mocno, nie muszę chyba podkreślać! Kiedy była już napięta, a Azorek, który ciągle kopał i kopał, nagle zwycięsko zawył i stara niedźwiedzica sennie wygramoliła się na śnieg... puściłem cięciwę i automatycznie odjechałem na sankach na bezpieczną

odległość. Strzała przeleciała trochę zaskoczonemu Azorkowi pomiędzy silnymi wilkołaczymi łapami i trafiła niedźwiedzicę dokładnie w stare serce! Kiedy wdrapałem się na górę, sanki i siekiere miałem przygotowane do porcjowania, widziałem, jak Azorek, chociaż szaleje i chociaż cieknie mu ślina, a rozszczepiony czerwony język biegnie na wszystkie strony, to jednak się powstrzymuje, bo wie, że mięso jest dla wszystkich Losinów! I zrobiło mi się żal tego dobrego wiernego zwierzęcia. No, Azorek, terazki mozem troszki posmakować ty krwi, a i sadła tyz, mniem, mniem, mniem! wzruszony David wpadł w swój dawny język i rozplakał się.

Siedzieliśmy dalej, nieruchomi jak posągi, ponieważ samokrytyka to świętość i nie wolno jej przerywać... i jak się chyba domyślacie, druhowie i przyjaciele, bił się w piersi David, zeżarliśmy tam tego starego bartnika całego... zapomniałem o szczęściu swojej mamy i swojego taty... kiedy kosztują niedźwiedziego pyska i niedźwiedzich łap i wysysają szpik... i o swoich braciach... ja tego niedźwiedzia wtedy zeżarłem! Do śmierci starego Azorka nie odezwaliśmy się do siebie z tym wilkołakiem, ani słowa, ani okrzyku, tacy byliśmy wyobcowani, bo wstydziliśmy się. Tak, David starał się między chlipnięciami wytrzeć sobie oczy, tak się napchałem, że musieli mnie o świcie zdjąć w starej szopie Azorkowi z grzbietu... i zgubiłem sanki i kozik Abrahama, i tak samo jak w swym nieszczęsnym dzieciństwie kolega Kocur ja też wyciągnąłem się na zapiecku i leżałem w gorączce... a następnego dnia na szczęście wyszło słońce hej! hoj! i wszystkich uradowało... i zawróciło wszystkim w głowie... i bracia rozbiegli się po lasach i upolowali mnóstwo niedźwiedzi, a Abraham się za ten kozik wcale nie gniewał, miał ich do diabła i trochę... rozryczał się David, łzy płynęły mu ciurkiem... i wieczorem bracia przyciągnęli martwe niedźwiedzie i żarliśmy, i żarli... i żarli, i plemię Losinów było uratowane i szczęśliwe, ale ja już szczęśliwy nie byłem, nie mogłem swojej rodzinie spojrzeć w oczy i opuściłem swoje plemię... i zgubiłem się w lasach i musiałem zabić mnóstwo niewinnych wilków... i sójek... żeby mieć co jeść, i błąkałem się, za siódmą górę, i potykałem się o korzenie, a potem szedłem z gór... i znowu się zgubiłem i jakoś dotarłem do tego miasta... a tu mnie znaleźliście why, rycerze Thajemnicy, a ja was i... i łowca niedźwiedzi znowu się rozplakał.

David skończył przy skupionych i przyjacielskich pomrukach, pomrukach naszej paczki, od czasu do czasu przerywanych radosnym przyjacielskim okrzykiem któregoś z jej członków, parę razy bardzo delikatnie poklepaliliśmy Davida po głowie, ponieważ, chociaż była to cudowna głowa wielkiego kombinatoryka, nie mieliśmy wątpliwości, o co chodzi, my bowiem byliśmy na różnych szwindlach odchowanyimi oszustami z Perły i starymi harcownikami grzechu i pokuty, szczerzyliśmy więc do siebie serdecznie zęby i mężnie pokrzykiwaliśmy i gratulowaliśmy sobie wzajemnie, że nasz Davidek tam ostatecznie nie zamarzał, ale ten chłopak miał odwagi, co? No, w jego wieku, pomyślcie tylko, chłopaki, cholera, cholera... kiwaliśmy głowami i odpluwali tytoń... i cieszyliśmy się, że nasz David potrafi beczeć przez takie bzdury, że nie musi płakać krwawymi łzami w chwilach, kiedy człowiek dostrzega straszliwe kolisko świata... on go nie widzi, mówiliśmy sobie szeptem spiskowców... niewiarygodne, że go ta stara bestia, Azor jeden parszywy, szeptaliśmy, nie chapnął, do takiego starego złego psiego dziada przecież nikt tutaj by bez kija czy raczej bez starej dobrej AK 3 na pięć kroków nie podszedł, no, dobrze się skończyło, gratulowaliśmy sobie, a Rekin szepnął dobrodusznie Bohlerowi: dwa chyba wystarczą, nie? Miał na myśli ojczenasze, Bohler wyrozumiale przytaknął, że niby, ma się rozumieć, stary... a David siedział cały czerwony, ale po chwili przyszedł do siebie i wypadła kolej na mnie.

Miałem sen, powiedziałem. Miałem długi sen, pobratymcy i bracia, proszę was przeto o trochę cierpliwości. I błagam, ażebyście nie zapomnieli, że jestem skromnym posłem snu, że jestem jego nosicielem.

Pośród przyjaciół podniósł się niejaki szum, ponieważ taki wstęp był w całej historii spółki użyty chyba tylko dwa, no może trzy razy, a ja nie użyłem go dotąd nigdy. Wstęp taki

znaczył, że mówiący ma na sercu coś niecierpiącego zwłoki, co dotyczy nie tylko jego, ale i całej gromady, że jest to jego rzecz, jego sen, który jednak, jak sądzi, został mu zesłany, żeby dał go również innym.

A ja dusiłem w sobie ten sen już od dawna, dał mi go mój duch, moja siła, i teraz cieszyłem się, że przyszedł wreszcie czas samokrytyki i że mogę podzielić się snem, zarazem jednak byłem zdeprimowany, bo sen ów był ciemny i tylko mętnie przeczuwałem, co znaczy. Wszelako sen dla gromady ma swoje prawidłowości, musiałem więc poczekać jeszcze na wstępne pytania, by moi towarzysze poczuli, że orientują się, co i jak.

Bohler: Brałeś coś?

Ja: Grzyby, trawka, małe tabletki, ale niedużo, naprawdę, i czerwone wino, tego było sporo. Wielkie grzyby, mam na myśli Zieloną Moc, uściśliłem.

Rekin: Gdzie i kiedy?

Ja: Chyba trzy albo pięć tygodni temu w tym czasie, który teraz przeżywamy, przedtem długo nic nie brałem, więc nie mogło mnie to zwalić z nóg. U siebie na Gazowniczej.

Kocur: Był przy tym ktoś?

Ja: Byłem sam.

Bohler: Jak długo to trwało?

Ja: Chyba dwa dni. Przez całe przedpołudnie chlałem i brałem, a popołudniu się zaczęło.

Kocur: Jadłeś?

Ja: Spróbowałem trochę ciewapczici, ale zwróciłem. Mogłem jeść tylko szpinak. I dużo wody. Kiedy skończyło się czerwone.

David: Cały czas leżałeś?

Chłopcy uśmiechnęli się wyrozumiale.

Ja: Nie, przez większość czasu chodziłem i drzałem, i trochę tańczyłem.

Kiedy jednak zobaczyłem, że David się zaczerwienił, szybko dodałem: Tak, pod koniec trochę leżałem.

Jaki był dywan? zainteresował się Bohler.

Ja: Żadnego. Spróbowałem piwa, ale i tak to było twarde lądowanie. Bolała mnie głowa i bałem się. Chciałem być sam i przemyśleć całą rzecz, ale bałem się tam zostać. A jednak zostałem.

Kocur: Jasne, teraz mnie oświeciło. Przecież faksowałeś z Gazowniczej, że bierzesz cztery dni urlopu. Trzeba było powiedzieć, baranie, że miałeś sen! Nie obciążłbym ci wtedy premii.

Ja: Jakoś zapomniałem.

Rekin: No to zapisz mu teraz, o co chodzi?

Kocur: Jasne, zaraz to zrobię. No, zaczynaj. Czy ktoś ma jeszcze jakieś pytania?

Nie mieli.

Przykro mi, bracia i druhowie, ale zaraz na początku muszę wspomnieć, wypowiadałem formułkę, o pewnych zasadniczych bluźnierczych wątpliwościach. Nie zapominajcie, że jestem tylko nosicielem snu i być może nawet nie wyrażam żadnych swoich bezwartościowych poglądów: mianowicie – czy nasza Nauka, nauka rycerzy Tajemnicy, jest naprawdę słuszna? Ten sen, druhowie i rycerze, zaprowadził mnie do mrocznych krain i nie wiem, czy są one tylko moje. Sen ma w sobie dwie pułapki, jak sądzę. Pierwsza jest na początku, druga na końcu, a obie są pułapkami starego czasu.

Kiedy tak mówiłem, przyszło mi do głowy, że może cały sen jest pułapką... ale interpretacje ważnych snów i komentarze do nich są zakazane, nie jesteśmy żadnymi eurodziennikarzami, jak raz inteligentnie zauważył Rekin, chyba i tak chciałem to powiedzieć, ale czułem już, że wchodzi we mnie głos i mówi przeze mnie, więc tylko wymawiałem słowa: W tym śnie byliśmy wysoko w górze, jak gdyby na latającym dywanie. David siedział z przodu i uważał na chmury, Kocur stał przy sterze, Bohler rozmyślał, Rekin próbował złapać jakieś fale radiowe i stwierdzić, gdzie jesteśmy, a ja metodą przytupywania

sprawdzałem siłę wiatru. Wyglądało to na całkiem wesołą wycieczkę, nie mieliśmy tam żadnej Wody, ale i tak było zabawnie. Było w tym jakieś poczucie lekkości, wiedzieliśmy, że jesteśmy bezpieczni w nurcie płynącego czasu, który jak gdyby ujarzmiliśmy. I nagle proszę: w powietrzu wisiała tablica, jakiś drogowskaz. Skręciliśmy ku niej, a tam napisane było 0-5 km. Co by to w powietrzu nad światem i poza światem i akurat w nurcie czasu mogło być? zdziwiliśmy się. Aha, już wiem, krzyknął bystry Rekin, to będzie obozowisko, jakieś obozowisko jest tutaj, jasne było, że tam właśnie lecimy. Wzięliśmy ten kurs i już cieszyliśmy się na spotkanie z gromadą trampów. Rozpalimy wielkie ognisko, mówiliśmy sobie, zaśpiewamy im jakieś nasze pieśni i zdrowo popijemy. Ale po chwili pojawił się kolejny drogowskaz, było na nim OS – 2, ta tablica była trochę zabrudzona, może pokryta sadzą z ognisk, a my wyliśmy z radości, bo było oczywiste, że to musi być ośrodek wypoczynkowy, jak domyślił się inteligentny Bohler, lecieliśmy więc w nurcie tego przyjaznego czasu i cieszyliśmy się tą wędrówką po niebie, a w dali dostrzegliśmy kolejną tablicę, skierowaliśmy się prosto na nią, a na niej widniał, wodzowie i bracia moi, wielki napis: OŚWIĘCIM. Nie mogliśmy już zawrócić, chociaż bardzo chcieliśmy i nasz powietrzny pojazd zaczął opadać, ponieważ, bracia moi, tam, w tym miejscu zbiegał się wszelki czas ze wszystkich światów w ludzkim niebie, pojawiła się tam nagle pionowa ściana, a za nią tylko kolejny czas, wsysany do tej czarnej dziury, w którą i my lecieliśmy, było to chyba coś takiego jak malström, ogromny wir tego paranoika Poego. A potem opadliśmy. Opadliśmy miękko, jak gdyby jeszcze podskoczyliśmy, taka lekka była ta ziemia, bracia. A kiedy opadliśmy znowu po tym podskoku, to niektórzy byli po pas w popiele, inni tylko po kostki, zależnie od tego, gdzie kto spadł. Był to popiół ze spalonych ludzi, bracia moi, z Żydów. Ostatnia nadzieja, że zaszła pomyłka i że jesteśmy przynajmniej, skoro już tak ma być, w jakimś trochę kosmopolitycznym starym złym gułagu, wzięła w ten sposób w łeb. A ten popiół, którego tumany podniósł nasz upadek, zaczął nam się lepić do butów i ubrań i ciężko nam się szło. Tam gdzie nie było popiołu, były szkielety, ludzkie szkielety, morze, nieskończone potworne morze kości, bracia. Szliśmy wszyscy, cała paczka, ku jakiemuś miastu, którego wieże dostrzegliśmy w dali... jedna z nich była wysoka i służyła nam jako punkt orientacyjny... i baliśmy się, ponieważ te czaszki patrzyły, jak idziemy, spoglądały na nas, a my byliśmy pełni grozy i mówiliśmy sobie: Dlaczego tu jesteśmy? Dlaczego my? Dlaczego spotkało to właśnie mnie? A niektóre z tych czaszek zdawały się odpowiadać: A dlaczego nie? Niektóre leżały pośród innych z pewną lekkością, śledziły nas szczękami z jak gdyby wiedzącym uśmiechem, ale więcej, dużo więcej patrzyło na nas tylko pustymi oczodołami, ponieważ to, co zostało ze szczęk, było wykrzywione grymasem bólu, ci bowiem za życia doświadczyli najgorszych rzeczy, bracia moi. A było ich morze, ocean. To porównanie przyszło nam do głowy, kiedy nie mogliśmy już iść, bo zapadaliśmy się w stopy kości, spróbowaliśmy więc, bracia moi, w tych kościach pływać, poruszać się, iść i odpychać się rękami. Ale iść nie mogliśmy, bo kości nas zasypywały i baliśmy się, że się pod tą starą śmiercią udusimy. Więc skakaliśmy. Groza rosła, próbowaliśmy dodawać sobie odwagi, ponieważ jesteśmy ludźmi jednego plemienia. Któż to kiedyś powiedział, że Żydzi śmierdzą? Tu przecież nie ma żadnego zapachu, gdzieżby tam jakiś błogosławiony smród czosnku, kurwa! Tak, kurwa, gdyby tu chociaż czuć było kurwą! powiedział jeden z nas. Słuchajcie no, jesteśmy naprani, nie? Będziemy sobie wyobrazać, że wzięliśmy jakieś prochy, co? zaproponował jeden z nas. Ale David powiedział: Nie, tak się naćpać nie da. To jest rzeczywistość, i to dosyć idiotyczna. W tej chwili, panowie i rycerze, mocno i serio nienawidziliśmy Davida. Jeden z nas zdzielił go jakimś gnatem i powiedział ze złością: Stul pysk! I posuwaliśmy się ku wieżom, i staraliśmy się nie widzieć tych martwych spojrzeń oczodołów, żeby nie oszaleć. Były tam czaszki dzieci, bracia moi, i były stopy czaszek rozbitych w drobny mak, a także czaszki jak gdyby zmiażdżone prasą i czaszki z małymi otworkami powiązane drutem kolczastym, jeden z nas, rycerze i kapitanowie, znowu

zazartował: To są chyba tak zwane czaszki małżeńskie, ho, hol... ale potem zwymiotował. A ten, co pełzył przed nim, nie słyszał go, bo płakał, a ten, co lał za nim, też go nie słyszał, bo głośno się modlił. A my, przyjaciele i bracia moi, nie szliśmy przez piekło, szliśmy przez coś, co było po piekle. Od czasu do czasu ktoś z nas upadał i gramolił się, płasając z kościotrupami, dopóki nie znalazł jakiegoś zaklinowanego gnata, o który mógłby się oprzeć. Niektóre kości były już na wpół spróchniałe i przegniłe, ale większość wyglądała tak, jakby leżały tu od wczoraj. Stało się to wczoraj, mówiłem sobie, kiedy tak brnąłem. Tam gdzie nie leżały całe szkielety albo kości nie leżały w stosach, były dziury, przez które trzeba było skakać, a potem należało ostrożnie wybierać wielkie kości miednicy i ostrożnie całą stopą stąpać po kłatkach piersiowych, po pewnym czasie stwierdziliśmy, że niemal bezpieczne są mocne, chyba męskie kości łydkowe i kości udowe, także łopatki nie były najgorsze, i w końcu, bracia moi, prawie nauczyliśmy się tam poruszać. Później dotarliśmy do tego, co braliśmy przedtem za miasto, były to piece, gdzie palono Żydów. Także i one otoczone były kośćmi i całymi szkieletami, uważaliśmy przede wszystkim na kościotrupy dzieci, bo natychmiast pękały pod naszymi butami i mogliśmy się zapaść, bo nie było pod nami nic prócz kości. Tu jednak na szczęście mogliśmy się chwytać rusztu pieca, poza tym także mury stały pewnie, cegły były jak nowe, nawet niepopękane, tu i ówdzie coś wystawało i można się było tego złapać. Ten mechanizm można by chyba łatwo włączyć, dałoby się napalić, ale prócz nas nie było tam nic do jedzenia. Porozsiadaliśmy się w różnych pozach i położyli koło najbliższego pieca, to był bowiem koniec drogi. Ale ponieważ kości sprawiały nam ból, zaczęliśmy się jednak powoli i z wysiłkiem ruszać. Czuliśmy ból, bracia, ponieważ wiele z tych kości, które pod ciężarem naszych idących ciał popękały, poraniło nas. Zwłaszcza uda i łokcie mieliśmy podrapane i pokłute ostrymi pękającymi pischzelami, ten i ów miał też zadrapanie na twarzy, efekt osunięcia się w morze kości... a najgorzej było, panowie i bracia, kiedy ktoś nieostrożnie nadepnął czyjąś kruchą albo spróchniałą pierś i zapadł się w nią, cienkie i ostre kości żeber zamykały się wokół niego jak pułapka... w te rany przenikał popiół skremowanych... próbowaliśmy obmywać rany śliną, a potem Bohler rozdarł sutannę, a Rekin Štejn biznesową koszulę i tymi szmatami trochę je owinęliśmy... potem siedzieliśmy.

Po chwili powszechnego dręczącego milczenia spróbowałem, bracia i przyjaciele moi, rozkręcić rozmowę: Z daleka wydawało mi się, że ten komin to jakaś wieża telewizyjna! Dziwne, co? Ktoś z was, padrugowie i bracia, powiedział wtedy: Hm. A ktoś inny powiedział uprzejmie: No.

Nagle Bohler zaczął jęczeć i szybko robić znaki krzyża, a potem już wszyscy zobaczyliśmy, że przed nami stoi Śmierć. Nagle stanął przed nami kościotrup. Poczujęm w tej chwili, muszę się przyznać, lekkie zdziwienie: Naprawdę tak wygląda? Myślę, że inni też trochę odżyli, przynajmniej wiedzieliśmy, po co nas dywan czasowy zawlókł aż tutaj: po śmierć. Bohler wstał i poszedł po kościach ku Śmierci i zaczął: Isós Chréstos Theú Ios Sóter, i jakimś gnatem kreślił przed sobą znak karpia, myślałem, że całkiem zwariował. A Śmierć nic, stała tylko i patrzyła na nas pustymi oczodołami. Z tą kosą to były bzdury, szepnął do mnie Kocur. Wystarczą jej te szpony, dodał, a mnie przeszedł dreszcz. Po chwili Bohler wrócił zasepiony i po jakiejś mocnej kości spuścił się do mnie. Co ty tam gadałeś? spytałem. Zostałem pouczony, że użył pierwszego chrześcijańskiego pozdrowienia, jeszcze ze złych rzymskich katakumb. Spróbował go, bo przyszło mu do głowy tylko jedno: Śmierć jest stara, więc choćby nie znała nic innego, to znać powinna. Nie mogłem się w swojej ostatniej chwili pogodzić z tym, że mi Stary Bog nie posyła normalnego anioła, tylko jakieś kościotrupisko, wyznał Bohler. A potem spróbował po łacinie: Ora pro nobis... a my się dołączyliśmy, z wyjątkiem Rekina, jak zauważyłem. Ale Śmierć nic. Stała tam. Potem wstał Rekin Štejn i mówi: Zostawcie te chrześcijańskie bajeczki dla siebie, to jest moje terytorium. Tu zabito mój lud. Tu żadna wasza pieprzona greka czy łacina starych czasów nie ma znaczenia. I

Rekin poszedł ku Śmierci, a kiedy zbliżył się do niej, mówi: Szalom alejchem! I zaczął śpiewać Szma Israel... i kołysał się do przodu i do tyłu... huśtał się całym ciałem... kto by to o nim powiedział, pochyliłem się do Bohlera. To przecież stary kibucnik, szepnął mi Bohler... ochrzczony. Rekin śpiewał... raczej skomlał... a Śmierć tylko stała. I nieszczęśliwy zawstydzony Rekin Štejn poszedł z powrotem, jeszcze się odwrócił i powiedział Śmierci: Mazel tow! I wcale nie chciał być przy tym ironiczny. Ale Śmierć nic. Co zrobimy? szepnął Kocur. Nic, powiedział Bohler, oparł się plecami o ruszt i dodał: Trzeba czekać, jak zawsze.

Ale potem Śmierć zrobiła krok w naszym kierunku, jakby wolny i pełen wahania, po chwili jeszcze jeden... a ja miałem ochotę wrzasnąć: No rusz się wreszcie, ty cholerna stara świno! Ale nie zrobiłem tego, zaczęliśmy się żegnać znakiem krzyża, a David krzyknął: Nie bójcie się, chłopcy, żyliśmy zgodnie z umową! Kiedy Śmierć to usłyszała, zatrzymała się.

A potem dobiegło nas jakby pełne wahania zakasłanie. A jeszcze potem głos, cichy i cienki: Wielmożni panowie raczą wybaczyć, ale powiedziano mi, że som tu jacyś panicze z Czech. Gdyby więc przyszła panom ochota na zwiedzanko... polecam się, Josef Novák me nazwisko, ze mną się zobaczy wszystko, ot i co.

Nie byłem w tej chwili pewien, czy nie mam halucynacji, a kiedy spojrzałem na was, przyjaciele i wodzowie, dostrzegłem wyraźnie, że zmagacie się z podobnymi wrażeniami.

Patrzcie no, powiedział Rekin, jak ten kościotrup mówi, to otwiera... gębę.

To przecie cheba naturalne, powiedział kościotrup.

Ale pan nie żyje, przeszedł od razu do sedna sprawy David.

Tak, powiedział kościotrup.

I naprawdę nazywa się pan Josef Novák? nabrał śmiałości Bohler i ukradkiem mrugnął do Rekina.

Już tak, panowie, powiedział kościotrup, chociaż – kim jestem... tym jestem... jak mówi się u nas w niebuniu.

I jest pan ochrzczony w imię...

Jasne, powiedział kościotrup, w tym kościółku na Żyżkowie. Ale czy mają panowie ochotę... zwiedzanko? Robi się późno, wielmożni panowie, chociaż u nas... no, jest ciutek inaczej.

Proszę pana, póki gorące, Bohler kuł żelazo na Rekina Štejná, a czy mógłby mi pan powiedzieć... rozumie pan... tu... z pańskim nazwiskiem.

To dawna historia, powiedział kościotrup Josef Novák. Dawna pomyłka. Chodzi o to, że pozostali tutaj to były Żydy, tak? Prawie wszyscy. I jacyś Cyganie, ale krótko. O to zaraz pytają wszyscy panowie z Czech. Wtedy za protentoratu pracował żem w kabarecie, na dole na placu Waclawa, u Micików; był tam kielner, niejaki Roubiček, i trochę żeśmy kręcili z fakturami, dziś jestem już, jasna sprawa, ponad tym wszystkim, szło o jakieś podpisy co do paru sznapsów, w kasie i w magazynie, po prostu jak było trzeba, to żem go zastępował, on robił grubsze interesy, stary Rouba, więc czasem siedział żem tam zamiast niego, żeby tyż się dorwać do koryta, co nie, no, dziś już jestem ponad tym wszystkim, gadał kościotrup jak nakręcony, i raz wyciągałem właśnie kieszeni, a ubranko to miałem galante, swoją starą chustkę do nosa, więc nie zauważyłem młodego Kasala, co tam filował, czy wszystko gra, to był pogrobowiec naszej złotej Adinki, więc ten młody Kasal stał na cynku, jak był odbiór towaru, przecie wam mówię! A ja przez tom chustkę żem go nie widział, kiedy jak wściekły dawał mi umówione znaki, że nas ktoś zakapował, że idzie obława, więc hop siup i szlus! No i ciach, właśnie tego dnia wleciało gestapo, szukali Roubička, którym byłem akurat ja, czekałem na to i owo, tego Kasala nie widziałem, przecie już wam mówiłem, kontakty, dostawy, odbiory, skrzynki, butelki i tak dalej, no, dzisiaj już jestem ponad tym wszystkim, po prostu śmieję się z tego, jak mawiała Adinka, co nie, a oni: Gdzie jest Roubiček? Przed wami, jakiś, niby tego, problem, panowie? To byli Czesi, to jasne, dziś już jestem ponad tym

wszystkim, mówią: Tak, ale twój! I trochę mnie poturbowali, tak że nawet nie mogłem pisać: „zara, ja tyż jestem dobry Czech”, i jakoś z nimi wyjaśnić całom tom pomyłkę, wiadomo, ręka rękę myje, nie? No, dzisiaj już się z tego śmieję. A kiedy potem na gestapo zobaczyli, że nie jestem żadnym poszukiwanym semitą Roubíčkiem, tylko Josefem Novákiem z Žyžkova tymczasowo zatrudnionym jako blondas, czyli fordanser, a także bardzo poszukiwany pan do towarzystwa, no, dziś jestem już ponad tym wszystkim, to ich formalnie zatkało: my tu polujemy na parchów, a okazuje się, że som tacy Czesi, co się za nich podają! I wysłali mnie pirszym transportem. No i musiałem się tu gapić na druty jak to ciele, dziś już jestem ponad tym wszystkim. Taa, poza tym były tu same Żydy, wszyscy, to owszem.

My, wodzowie i bracia, siedzieliśmy cicho jak trusie i nie czuliśmy nawet bólu swoich ran.

A więc, wielmożni panowie, zaczynamy zwiedzanko, tralala, bumcykcyk! Normalnie mówi się mi, że mam zacząć od rampy, ale ja, panowie, dzisiaj... no więc dzisiaj będzie ciutek inaczy... po prostu mam tu jeszcze coś i nie ma przeszkód, żebym panom to, ot tak, pokazał, co nie? No, milczenie jest zgodą, jak mawiał stary Brychta, kiedy chłopom na Targu Węglowym wyciągał drobne z kasy, kapewu?

No więc tam, kościotrup wskazał morze kości, tam była cała ta rampa, a tam Mengele oddzielał ziarno od plew, jak mówił. Tam, jak przyjechał bydłęcy wagon, w którym byłem, no, mamy to już za sobą... więc z tym wiąże się moja przygoda z pirszego dnia, kiedy zobaczyły nas te żydowskie chłopaki, jak wylatujemy z wagonów, uduszeni i cali nieżywi z pragnienia, to wpadli z batami i wyganiaли na zewnątrz, no, za nimi stali esesmani, a potem szli my po rampie, a tam był Mengele i jego ludzie w białych kitlach, jak mnie zobaczył, to mówi: To dopiro eksponat! I zatrzymał całą tą kotłowaninę, ja musiałem się rozebrać, a on wziął taką pałeczkę do pokazywania no i pokazuje, a ci inni esesmani i dochtóry gapią się, a z tyłu gra jakaś kapela. Mówił, dzisiaj już wiem, co i jak, i śmieję się z tego: tu proszę zauważyć typową degenerację kości policzkowych... i kłuje mnie tą pałką... tu typowa żydowska przegroda nosowa... spłaszczone podniebienie... tu garb Belzebuba... proszę zwrócić uwagę na uderzającą wielkość członka... dowód zwyrodnienia... deprawacji... Uch, strasznie to łaskotało. Ja po niemiecku nie umiałem prawie w ogóle, tylko to, co na nas wrzeszczeli strażnicy i co jęczeli i lamentowali ludziska w wagonie, więc myślałem, że to jakieś specjalne powitanie dla mnie, że niby jestem lepszy gatunek, co... no, teraz to już jest za mną, tu u nas jest ciutek inaczy... myślałem tak, bo innym mówił tylko rechts albo links i kiwał pałeczką. Więc podniosłem prawą grabę i mówię: Hajl Hitler, majne oficiren und dochtóren i uczeni. Ich bin ajne klajne czechisze szwajne, geboren aus Žyžków, dzień dobry, ja jestem niejaki Novák z Pragi. Witam panów wszystkich razem i nich żyje firer i tysiącletnia rzesza! Cześć! Jak to Mengele usłyszał, to zbladł i świsnął tą pałeczką, a strażnicy kopniakami zagnali mnie do tych szeregów, co szły prosto do gazu, tak, teraz już jestem ponad tym wszystkim, ale kiedy ta kotłowanina została zatrzymana, a potem znowu ruszyła, to te szeregi się pomieszały, bo wrywali tam babom dzieci... zrobił się bałagan... i wpadły tam znowu żydowskie chłopaki z batami, walili, i niby to wszystko rozdzielali... niby, a niech mnie, kapewu?... ale robili tylko jeszcze większy burdel, ja się turlałem w błocie, a oni we mnie batami, no, jestem już ponad tym wszystkim, a potem któryś z nich posłał mnie kopniakiem do szeregu, a to był szereg tych ziaren, no, dzisiaj już się z tego śmieję.

A ja, bracia i kapitanowie, nagle uświadomiłem sobie, że idę za kościotrupem Josefem Novákiem, i że wy za nim idziecie także, szliśmy przez morze kości, ale teraz już wybieraliśmy mocne, a unikali tych, które nas poraniły, szliśmy bezpiecznie, tylko trochę twardo, jak po betonie. Kościotrup zatrzymał się i odwrócił do nas. Niby tego, tak to było, a

co... kościotrup Josef Novák podniósł z ziemi jakiś gnat, mogła to być chyba kość goleniowa mężczyzny, i mówi: Do szeregu!

A my, bracia i przyjaciele, posłusznie utworzyliśmy szereg jak przy jakichś zasranych ćwiczeniach obrony cywilnej.

No, niech mnie, kościotrup Josef Novák zatrzymał się przed Kocurem i mówi: Pokaż zęby, świni! He, he, he, przestraszyłeś się, co, harcerzyku, śmiał się kościotrup i machał gnatem, Rechts! Silny z ciebie chłop, poszedłbyś robić drogę. Ale uwaga, tam miał komando eses Bauch, a jakbyś coś zawinił, to tylko by się cieszył, ten to lubił łamać silnych chłopów. Długo. Ale, ale, harcerzyku, co to jest? zatrzymał się kościotrup przy Bohlerze i gnatem przejechał mu po szmatach. Sutanna? No, to niedobrze, ty też jesteś silny, ale księżule mieli tu trzy dni dychania, kapewu? A potem nach piec i to ajn, cwaj, draj! Kościotrup Josef Novák podszedł do mnie i mówi: Ejże, harcerzu, co się tak trzęsiesz jak galareta, nie jesteś aby trochę tego, meszuge? Ale potem kościotrup spojrzął na moje nieco wytarte łokcie i na lewe ramię, które z powodu stałego lekkiego wywichnięcia trochę... i przez chwilę wsłuchiwał się w rytm moich stóp... a potem kościotrup Josef Novák odrzucił tą goleń, objął mnie i mówi: Kolega, co? A ja powiedziałem: tak... panie Novák. No, może mógłbyś przez chwilę skakać w obozowym burdeliku, zanimbyś doskoczył do pieca. A potem kościotrup przeszedł koło Rekina i tylko zaśmiał się i mruknął: No, tu to jasna sprawa, i zatrzymał się przy Davidzie. Jesteś całkiem młody i fajny chłopak, więc droga, ale gdyby cię przyuważył oberst Prochaska, to miałbyś cheba pecha. No, chłopcy, oprócz tego szanownego pana, wskazał Rekina, poszlibyście, jeśli tylko macie papiery na ratuszu w porządku! kościotrup podniósł ostrzegawczo kość palca, do jakiegoś aryjskiego lagru. No ale osiemnaście bez dwu to też dwadzieścia, jak powiedział stary

Vaněček, kiedy u Kalendów przegrał w oko ostatniego patyka za tego konia, co go sprzedał Kropáčce z Bytczy, i musiał po kieszeniach targać drobne! No nic, idziemy dalej, panowie. O, tam robili ten tatuaz, pstryk, pstryk, he, he, no, dzisiaj już jestem ponad tym wszystkim, pójdziemy na skróty, co, z górki na pazurki, niech się kręci bąk, żeby nie zardzewiał! No więc tutaj były szubienice, jak ktoś zawinił albo jak były puste, to się wieszalo... No, niech ja skonam, jak tu dotarłem na kwaterę, to ci chłopcy, co mnie wyrwali z gazu, mówią mi coś tą swoją paplaniną... no, to było dopiero, jak zaczęliście do mnie na początku gadać wszystkimi tymi językami, też mnie zbiliście z pantaląku, powiedziano mi, że som tu jacyś panicze z Pragi, przecie wam mówiłem! A jak tam ta mamusia nasza, złota Praga najpiękniejsza... tylko się od tego wspomnienia nie zesrajcie... ma jeszcze stary Feneterer ten sklep rzeźniczy na Klamovce? Ma go już znowu, z rezygnacją oznajmił mu Kocur. No i ci żydowscy chłopcy gadają do mnie jak najęci, kiedy przyuważyli, że nie jestem żadnym pokazowym Żydem ani nawet zwyczajnym, że wpadłem przez pomyłkę, przecie wam to mówiłem, kurde mol, w dupę! Więc jak przyuważyli, wykopali mnie z baraku, no, dziś jestem już ponad tym wszystkim. A tu idzie patrol, idzie patrol z daleka, na nikogo nie czeka! No, niech mnie, o, tutaj to nie było źle, na wiosnę czterdziestego z Brońkiem napadliśmy takiego jednego starego Icka i zeżarliśmy mu ziemniaki, to była uczta, a jak. A tu składowali żydowskie mydło, niby z nich zrobione, tośmy z Brońkiem podpierdolili jakieś i wymienili z Polakami na chleb, podobno było dobre na wszy, tak, tak, już to jest za nami, cały ten ich szwargot. Wy, chłopaki, to gadacie jakoś dziwnie, jak jakie świętoszki, naprawdę jesteście z naszej mateczki, poważnie? O, a tu zabili Bonna, Hanusa, a jak, tu, przy tych palach, sam mi mówił, jak byliśmy na rybach; tak, tak. Tutaj były magazyny, tam kantyna eses, burdelik, he, he, a tam szrajbsztuba, tu widziałem Poláčka, jak się na coś gapi i udaje, że spieszy się z papierzyskami, on był w porządku, za margarynę tego czy tamtego skreślił, a czasem kogoś dopisał, niby do transportu, taki tam stary Hebrajczyk... Dość! wrzasnął Bohler, odwrócił się i zobaczyliśmy, że stoją z Rekinem za nami, chyba się umówili, Rekin znowu się kołysał i przypominającym meczenie głosem, który w ogóle do niego nie pasował,

zawodził coś w rodzaju asmoil... jizgebal... uuuiiii... cheul... ajajaj... szoach... ejej... a Bohler stał obok niego z krzyżem naprędce zrobionym z dwu kości związanych strzępem sutanny i ryczał: Odejdz, mocy piekielna... diabelska ułudo... siło nieczysta... i obaj zbliżali się do nas po ścieżce z kości, zbliżali się i tak to z nich biło, że niemal poczułem siłę ścieżki wojennej... ale kościotrup Novák zaśmiał się i mówi: No tak, pięknie, różni panowie robią tu różne psikusy, tarzają się po ziemi, no tak, to rozmaicie działa na ludzi, jasne, ja to kapuję, a jak... tylko że... i kościotrup podrapał się gnatem po czaszce.

Szanowny... panie, powiedział Kocur. Niech pan sobie będzie, kim chce, u nas każde dziecko wie, że Poláček zginął w Terezynie i że by żadnych ludzi... Żydów... eee... ludzi niedopisywał do transportu, że wprost przeciwnie, on ludzi chronił... posyłał przed siebie, żeby... niech to, odwrócił się zarumieniony Kocur do Bohlera, to był pisarz! Hanuš Bonn też został w Terezynie! przyłączył się Rekin, a po policzkach ściekały łzy wielkie jak grochy. Tak, powiedziałem, tam przecież napisał: *Krzyże ogniste na niebie i dni niektóre słoną męką przetrawione*... przypomniałem sobie wtedy, rycerze i bracia, piosenkę pewnej swojej przyjaciółki. A kościotrup Josef Novák przesunął, chyba z pewnym zmieszaniem, kości swych nóg w tym morzu innych gnatów i mówi: No tak, chłopcy, wielu panów się tu denerwuje przy zwiedzaniu, bo tu jest ciutek inaczej... niż macie to tam w swoich archiwach i papierach, i relacjach, tak jest... Stąd już transporty nie jeździły, to był Obóz Śmierci! z wściekłością powiedział przez łzy Rekin. Kościotrup Novák nagle znalazł się koło niego, poklepywał go gnatem po ramieniu, widziałem, jak Rekin się zatoczył, ale płakał ciągle i, bracia moi i wodzowie, było to niesamowite, bo po raz pierwszy widziałem, jak twardy i bezwzględny Rekin płacze z żalu... po raz pierwszy widziałem go bezradnego jak dziecko... i bałem się, że się załamie... on płakał i ta ostra jak brzytwa twarz stała się nagle zamazana... groza zaczęła podpełzać mi do serca i bałem się... kościotrup Novák uspokajał go, klepiąc po ramieniu, i mówił: No tak, panów Izraelitów nieźle to bierze, co się dziwić... ale podejdz pan do tego z innej strony: chociaż szykowali to panu – panu tyż, chłopcze, a jak – wyrósł pan na takiego przystojnego, silnego żydowskiego młodzieńca... a takich jest dużo... i słycznych żydowskich dziewczyn... wszędzie... I że im się to nie udało... i że możesz dać im w mordę! wrzasnął do Rekina Kocur... a my ci pomożemy! dodał i machnął jakimś gnatem... Amen! powiedział tubalnym głosem Iwa Bohler, i: Jasne, w każdej chwili, dodałem ja. No dobra, harcerze, mamy tu takie przypadki, takie wzruszenia, zrozumiała rzecz, no, idziemy dalej... apropos, wielmożny panie, to nie był znowu taki wielki lager... stąd jeździły transporty, i to stale... te prawdziwe lagry... te fabryki śmierci to były pod ziemią... i nie myślcie sobie, było tu sporo więźniów, co cieszyli się, że tu kiblują, tyle wam powiem! Tu jesteśmy w Oświęcimiu! Ale te prawdziwe lagry, gdzie jeszcze znacznie łatwiej było wyciągnąć kopyta, eses miało ukryte pod ziemią... w Rosji... i gdzie indziej... o nich nikt dotąd nie ma pojęcia... te wasze papiery i archiwalia, i fakty!... Fi... Ten nasz Oświęcim to była pestka! Bzdura! wrzasnął zdenerwowany Rekin, po co by Jehowa posłał nas tutaj? Jaki Jehowa? krzyknął Bohler i rozdarł resztkę sutanny, jaki Jehowa, pytam!... To był Stary Bog... Niech tam to będzie ktokolwiek, po prostu miał taki kaprys... powiedział kościotrup Novák, ja tam nie wiem, ja jestem mały człowieczek, jakieś posyłanie... jak tu jesteście, to jesteście... i kościotrup Novák dodał: Jacyś wykształceni panowie, inżynierzy... oblatani... ciągle mieli ozoorem...

Teraz rzygał z kolei Kocur, Bohler płakał, David klęczał i żegnał się znakiem krzyża, Rekinowi rysy stwardniały, znowu miał twarz jak brzytwa, a ja słuchałem kościotrupa Nováka, chociaż nie chciałem tego... O, tu wrzucaliśmy ich żywcem do pieca, chociaż nie chcieli i wrzeszczeli, tych, co się bronili, uspokajał Bronek, to był taki żydowski Goliat, bokser, a starych Żydów włókłem ja, ci się nie bronili, bo do ostatniej chwili modlili się i wierzyli, że do tej ostatniej sekundy, zanim zdechną, może jeszcze przyjdzie Mesjasz, co jest, kurde! wyjąkał kościotrup Novák, bo w tej chwili wszyscy ryknęliśmy ze zgrozy... i że on

ten ogień, niby tego, ugasi. Twardo w to wierzyli, na mur-beton! No, nie zjawiał się. To było wtedy, jak z Brońkiem harowaliśmy na sonderkomandzie, to palenie żywcem to wymyślił esesowiec Wagner, kiedy się nudził... żeby trzaskały wszy... odwyszawimy ich, chłopcy, mówił i zawsze tak załatwiał, żeby nam na sonderkomando przynieśli z kantyny jakiś chleb i kawę zbożową, i kiełbasę! No, tośmy sobie zawsze pojedli na cacy, dziś jestem już ponad tym wszystkim, pewnie.

Ja go zabiję, krzyknął Rekin i skoczył... ale w tym skoku zdrętwiał i spadł na plecy wśród morza kości, i jęczał... nie da się, nie da! No pewnie, pewnie, że nie, mamrotał kościotrup, przecie już jestem nieżywy, przecie wam mówiłem, co nie? Chłopcy! A co wy właściwie robicie, młokosy sakramenckie, studenciaki... na wakacjach, co?

Bohler padł na kolana i złożył ręce: Panie... panie Novák, niechże pan będzie, czymkolwiek pan jest, ale jeśli pan jest... czy był Czechem, proszę nam powiedzieć, co to wszystko znaczy, dlaczego tu jesteśmy, co się stało... dlaczego właśnie my... co z nami Stary Bog chce zrobić... Kościotrup Novák stał na jednym gnacie i wkładał sobie kość palca wskazującego w czaszkę w miejscu, gdzie było ucho, i gwałtownie nim poruszał... padliśmy na kolana, a Kocur pełzał w popiele przed kościotrupem Novákem i bełkotał... przecież my tylko kręcimy w biznesie... dlaczego my, cholera jasna, czego od nas chcecie... a ja podniosłem stawkę: Przecież my nic nie kapujemy... my chcemy żyć mniej więcej uczciwie... i co właściwie mamy skapować, skoro ciągle pan gada i gada... a Rekin hardo milczał. To wszystko jest obłąkane... tutaj, powiedział David, ludzie, gdzieście się wszyscy podzieli... panie Novák... pan przeszedł przez te mordy... a po co, do chuja pana? spytał David i wypluł popiół, który tak jak i nam wciąż wlażył mu do ust.

No tak, chłopcy, powiedział kościotrup Novák, grzebiąc gnatem w popiele, wreszcie dobre pytanko, tak, tamto wszystko to były złe pytania, niby co wy tu i jak, i tak dalej, a to jest pytanie o nas, starych haeftlingów, którzy tu byliśmy, dlaczego nas tu okrutnie zmalretowali, dlaczego to się stało, ten lager, no, tak mi to przynajmniej powiedziano, co tam ja, ja jestem małym człowieczkiem, to już wam mówiłem! Jestem małym człowieczkiem z Czech, chociaż dziś się z tego śmieję, dziś jest już inaczej, dzisiaj... jest tu inaczej...

Josefie Novák! zawył Bohler... niech pan nie zmienia tematu i powie nam: dlaczego?

No, niby tego, powiedział kościotrup Novák, było mi powiedziane... niby specjalnie dla was... niech mnie... skoro już się tu fatygowaliście, panicze z mateczki Pragi... powiedziano mi na bramie, a jak, powiedziano... dlaczego był Oświęcim... i wszystkie te mordy... tylko że... proszę o wybaczenie, ja, niby tego, ja to za przeproszeniem całkiem zapomniałem.

I szliśmy, a kościotrup Josef Novák szedł przed nami i wskazywał na morze kości i gadał jak najęty, a ja przyznam się, bracia moi i wolne młode wilczki, że już nie starałem się nic nie widzieć i nic nie słyszeć. Myślę, że z innymi wyglądało to tak samo. Momentami skupiałem uwagę i strasznie starałem się... słuchać, ponieważ to, że znaleźliśmy się tam, gdzie się znaleźliśmy, nie było przecież kwestią przypadku, musiała istnieć jakaś wskazówka, musiał istnieć jakiś sens... ale kościotrup Novák, jak mi się zdawało, tylko pieprzył i pieprzył i w jego słowach sensu nie było.

No, chłopaki, patrzcie no tutaj! wyrwał mnie z rozmyślań cienki głos kościotrupa. Tutaj były bunkry, a tu miał komando niejaki oberst Prochaska, to dopiero był potwór. Ten pracował nad tymi żydowskimi chłopakami tak, że wrzeszczeli na cały obóz! Więc zamykał się z nimi w bunkrze! Miał to przemyślane... to był Czech! A jak... spod Jiczyna. Kiedy mnie zapędzili do niego... ja też miałem różne przewinienia... świsałem marchew... to nieźle trząsałem portkami! Mówiono o nim takie rzeczy... np, tak, tak... ale Czech z Czechem zawsze się jakoś dogada, mówiłem sobie, nie głośno, przecie to ma sens!... No i jesteśmy tam sami... w bunkrze... paliła się tam tylko taka jedna śmieszna żaróweczka... no, teraz już jestem ponad tym wszystkim... a on do mnie tym niemieckim szwargotem... a ja wtedy jeszcze kajn dojcz, co nie? To mówię... ja po niemiecku nie umiem! A on tylko łypnął okiem, ten miał

spojrzenie... ani słowa... diabeł wcielony! Żaden tam świętoszek! Z tego spojrzenia było jasne, że ten to jest naprawdę zły! Nie udawał, jak niektórzy niemieccy chłopcy ze straży! Ci jak przyjechali i widzieli, co tu jest, cały ten Oświęcim, to rzygali! Aż mi ich było żal! Ale ten Prochaska... prawdziwa bestia! A ja ciągle popatruję, czy nie bierze młotka... to mi poradził Broniek... o tym mówił cały lager! To było jasne, co nie? Jak oberst bierze młoteczek, to jest rozogniony i szlus! Zostaniesz w bunkrze długo, oj, długo... póki cię nie wykończy... tego wy, chłopaki cholerne, w tych swoich harcerskich wierszykach nie macie... to „wykończy”, to nie znaczy załatwi, co nie? Wykończyć... to tam znaczyło, że cię będzie załatwiać po kawałku, po malutkich, naprawdę malutkich kawałkach... jasne? Oni, ci esesowcy, czasem się zakładali... jak długo oberst Prochaska będzie się bawił z tym czy tym więźniem... wybierali dla niego naprawdę silnych gości... nawet niektórych odkarmiali... i zakładali się... bo Prochaska miał do tego wyczucie, ani słowa, esesowcy nie mogli się nadziwić... nie było na niego mocnych! Złote rączki, złote czeskie rączki miał ten zbój... ten oprych... zawodowiec!... w swoim fachu to był as... szacuneczek, proszę, proszę dalej, szanowni klienci, proszę siadać, he, he, he... żydowskie chłopaki się modliły, żeby jak przyjdzie kolej na nich, nie wziął do ręki młotka... żeby wziął bat czy co tam... o pistolet się modlili... to by im pachniało... prask, i gotowe!... a ten oprych zorientował się, wiadomo, kapusie nastawiali uszu... a ten, jak o tym usłyszał, niby ten Prochaska, zmienił technikę... i kiedy jakiś żydowski chłopak już dziękował swemu Panu za to, że oberst Prochaska ma w ręku pistolet... albo pałkę... to ten podobno tylko się uśmiechał i odkładał to na stół... i wyciągał łapę po młotek... albo odwrotnie! Nikt nigdy z nim nie wiedział, co i jak... no więc bałem się, że mnie wykończy... a on mówi... Proszę, praski Szid, a nie umie po niemiecku, co to snaczy, co to ma bycz? Tak mówił, jak jakaś świnia... a ja wyjechałem z tą pomyłką, wszystko mu objaśniłem, a na koniec jak nie wrzasnę: Ja, panie komendancie, jestem wielki antysemita... to wziąłem od Bronka, on tak mówił o sobie... A on, ten Prochaska, jak żem tak gadał, siadł se na krześle... wyprostował nogi... i mówi: Interesujonco, a co to pan myszli jest taki antysemita? A ja na to: Że nie znoszę czarnuchów! A on zaczął się śmiać i mówi: Szłowieku, pan jest supelny idiota! I wstał i poszedł, potem dowiedziałem się, że posłał fajfusa na bramę do szrajbsztuby, tam gdzie był Poláček, przecie wam mówiłem! No, a kiedy przekonał się, że to wszystko prawda z tą pomyłką, to zostawił mnie w bunkrze jako kapo, he, he! A to była wielka wygrana, chłopcy moi złociutcy, bo tam było... co? No, zupka złociutka, he, he! A kiedy sprzątałem z piwnicy te rozwalone resztki, którym oberst Prochaska już mówił tylko na ty, wspomniałem wam, chłopaki moje, że on do pewnego momentu mówił więźniowi pan, a potem ty?... mówił mu ty, kiedy już wiedział, że go wykończył... ale były tam historie... niektórych z tych, co ich wykończył, musiałem potem pielęgnować... i karmić... a on był dla nich uprzejmy... chodzili na słoneczko... odwoził ich od grzesznej myśli o samobójstwie, a jak płakali za mamą, to mówiłem im: już, już... a on uprzejmie do nich przemawiał, że niby są już przystosowani do życia w społeczeństwie i że pojedą do domu... może i niektórym mówił, że wojna się skończyła... i że jadą do Amsterdamu albo do Pesztu, albo do Koszyc, albo... z którego kraju tam kto był... a potem zaczynało się na nowo... te tortury i wrzaski... aż ich wykończył... miał swoich wybranych... których wykańczał wiele razy... a esesowcy się uśmiechali... to był numer, ten Prochaska, niezły numer, a jak! Co wam jest, chłopaki? Znowu rzygasz, ty duży! Czego się mażecie, mazgaje?! Wam nic nie robią! Nam to robili, starym haeftlingom... okrutnie byliśmy tu zmaltretowani... ale my już nie mazaliśmy się... już się nie dało! Nie było już czym się mazać, bekсы jedne! Pluną na to wasze beczenie... niby starzy więźniowie, oni są wszyscy w niebie, jak chcecie wiedzieć... ty, co się trzęsiesz jak goryl, jak się nazywasz? Potok, panie Novák. O, niech mnie, a nie jesteś czasem krewnym jednego Chaima Potoka z Odessy, co tu zdychał na drutach? Zdychał, zdychał, aż się dozdychał, he, he, tak to było, co, sokole? My takich krewnych nie mamy, nie wiem... Jasna sprawa, że już ich nie macie, jak

niby mielibyście mieć... nie miał mi tu ozorem, harcerzyku, wszyscy są krewnymi! No, muszę wam powiedzieć, he, he, harcerzyki, że tu tyż dostałem się do koryta, a jak! Ten oberst Prochaska byt czasem smutny, martwił się, że mu ci chłopcy, co już jakiś czas spędzili w obozie, szybko zdychają... byli wszyscy tacy osłabieni... pewnie... nie mieli przecież mojej złociutkiej zupki... i nagle, kapitanowie i bracia moi, kościotrup zrobił gul, gul... no, zapracowałem na nią, ale wy chcecie co prędzej usłyszeć o tym moim szacher-macher, co, chłopaki? Więc ten oberst Prochaska chodził czasem do pociągów, no, do transportów, i miał układ z Mengelem, że może sobie wziąć jakich zdrowych... ale podejrzanych, uważajcie, chłopcy! Zdrowych to oni brali do roboty, a jak! Ale Mengelego ciekawiło to, co z nimi Prochaska robił... te ćwiczenia i rozmowy zapisywał w tabelkach... niby co i który gość wytrzyma, nie? Więc się umówili!... a ja wyfasowałem bat i kiedy oberst wybrał sobie gościa, to go gnałem i zamykałem tego żydowskiego chłopaka, o tu... ale były tam tyż baby, chłopaki moje, no, do tego jeszcze dojdziemy, wszystko w swoim czasie, jak mawiał Aladyn...

NIE! wrzasnęliśmy i rzuciliśmy się do ucieczki, że też wcześniej nie przyszło nam to do głowy, zdziwiłem się w pierwszych chwilach błogości, kiedy oddalaliśmy się od tego cienkiego natrętnego głosu, po prostu mu ucieknijmy, gdzieś się schowamy, to mi przebiegło wtedy przez myśl, chłopaki i naczelnicy, ale jak pewnie już wiecie, było to naiwne... w tym morzu kościotrupów można się było schować... tylko pod nimi... a tego nie chcieliśmy...w chwili, kiedy znaleźliśmy się poza zasięgiem głosu, który skrzeczał za nami, znowu zaczęliśmy zapadać się i kłuć... szedłem obok Bohlera, który zwrócił ku mnie swoją brudną od popiołu twarz, tu i tam popiół wyglądał jak cienka warstwa błota... to od łez... a może także od wymiotów... miał tam takie strużki... ale tak samo musiała wyglądać także moja gęba; i Bohler mówi: Bracie, boję się, że ten kościotrup to nie kto inny, tylko Diabeł. Ja też bardzo się bałem, kapitanowie i procarze, ale zacząłem tylko chichotać jak jakaś stara baba, bo, jak powiedziałem Bohlerowi, wszystko jest możliwe, także to, że jesteśmy zgubieni. Tak więc znowu szliśmy i zapadali się, i szukali zaklinowanych gnatów... a szliśmy ku kościotrupowi

Josefowi Novákowi, który na nas, wyprostowany na tym polu innych szkieletów, czekał.

Kiedy dobrnęliśmy do niego, otworzył szczęki w uśmiechu i już znowu gadał jak nakręcony, a my w końcu mogliśmy stanąć i stać jak ludzie.

No, chłopaki moje zastrachane, wobec tego baby zostawię na inną okazję, dobra, skoro takie z was smarkacze, takie mimozy, znowu byście zaczęli beczeć, co nie. No to do tego szacher-macher, panowie, więc oni, te kawałki, które zaganiałem prosto z dworca, znaczy się ci faceci... albo baby... spokojnie, chłoptasie, albo i dzieci, bo pan oberst zaczął potem wykańczać dzieci, co nie? Kapewu? A takie dziecko to wytrzyma dużo, zdziwilibyście się... i ma tyż inne reakcje, nie? To pana obersta Prochaskę i pana dochtóra Mengelego ciekawiło, tak, tak... a poza tym ten oberst Prochaska był trochę niby tego zboczony, co nie? No, znamy tych panów, tylko by się oblizywali... co? Niby co? Nie ma czasu na wszystkie okoliczności, po prostu panu oberstowi zasmakowało... on z tymi dziećmi czasem postępował tak, jakby coś zrobiły, coś bardzo, ale to bardzo brzydkiego, a czasem był dla nich bardzo miły, ot i co. Po prostu umiał nagradzać i karać, co nie? A kiedy i kogo, wiedział tylko on, a nigdy te brzdące, jasne? On był taki niby wielki Rodzic, kapewu? On po prostu myślał o sobie, szanowni, że w tej piwnicy, w tym bunkrze jest Bogiem! Taa, to było to... to było to, on to uwielbiał. Dla tego żył! Kiedy przyprowadzałem świeżego pędraka na pierwszą rozmowę, to gały miał jak talerze... trząsał się z niecierpliwości! No, pędraki tyż się trzęsły! A Prochaska mówi: Nie gap się, idioto. Nie można tam było być, tego by Prochaska nie zniósł. I spieprzałem na przykład pozamiatać apelplac, byłem przecie kapo! Ja mogłem! A on był, chłopaki, tam, akurat przed wami, kościotrup wskazał na morze kości... to dopiero były historie, chłopaki, no. Pełno truposzów! No a te kawałki, co nie przeszły przez bramę...

esesowcy nazywali ich kindergarten Prochaski, nie mieli nawet tatuażu. Kapewu? A jak nie mieli tatuażu, tonie byli, co? No zapisani, nie? A jak nie byli zapisani, to nie istnieli, szanowni. Istnieli, to znaczy byli zapisani, dopiro jak nie żyli! Dobre co? I co wymyśliła ta główka? kościotrup popukał się w czaszkę tym, co było kiedyś palcem.

No to, że chociaż nie są zapisani, to mają co... no zęby! A niektóre z nich złote! Rozumiecie, panowie? A te zęby nie są zapisane w papierach! Kapewu? No i zaczął się raj. Nie mogłem czasem, sokoły, wyjść z podziwu, ile te pędraki mają złotych zębów! Oberst wybierał sobie najzdrowszych, to ma sens! A ci byli w większości... co? No, byli z najlepszych, najbardziej nadzianych rodzin, ja, panowie złoci, aż się dziwiłem, że musiałem w swoim wieku być na usługach starego Rouby... i być panem do towarzystwa... także dla starych obrzydliwych pudeł... i harować... za parę drobników! A tu były pędraki ze złotymi zębami! A Broniek... ten musiał nieźle się naboksować... a kiedy go nie wystawiali... to musiał robić w rzeźni... tyrać! A te pędraki... oni mogli wszystko... zanim dostali się do Prochaski, jasne. Skomleli... beczeli... wszyscy ci Mojszele, Icykszele, Pajszele i Baszele... a ja im brałem zęby... o!... ale zanim poszli na rozmowę z oberstem. On by zauważył, na pewno! On wiedział najlepiej, co im robi! Pilnowałem się! Ale jak widział gościa po raz pierwszy i zauważył, że pędrak nie ma zęba, to co... mleczny, kapewu? Albo wypadek na rampie, co nie? Przepychanki, szturchańce, kotłowanina, jasne, co? Dobrze było wymyślone, może nie? Zęby szły do Brońka, a ten je opylał Polakom... i mieliśmy... panowie moi... pewnego dnia mieliśmy mięso! Prawdziwe mięso z psa. Tośmy zrobili se ucztę, chytrze, nie? A wy? Jak byście sobie poradzili, wy harcerzyki uczone, co?

Nie wiedziałem tego, bracia i kapitanowie, bo od dłuższego czasu starałem się stracić świadomość, ale moja świadomość, szefowie i przedsiębiorcy, działała tak jak wtedy to okropieństwo, była nagle jak gdyby niezależna od... mojej świadomości. Coś po prostu zmuszało moją świadomość, żeby była... i słuchała. I był tam ten głos kościotrupa i to morze szkieletów i czaszek, które nas obserwowały... może tylko tam leżały, ale moja świadomość mi powiedziała: nie, patrz na ciebie.

Ale panie Novák, odezwał się David, jak to się stało, że jest pan teraz w niebie, skoro...

Chodzi ci o to, że niby dręczyłem te pędraki. No mnie tyż dręczyli, więc co. To było... niech mnie, to życie, wszystko, nawet z tą moją złociutką zupką... to było ciężkie, bez dwóch zdań! Kurde, chłopaki! Kiedy oni przyprowadzili Bronka do obersta, a Broniek to był ciągle silny chłop... bokser, przecie już wam mówiłem, chłopcy, cholera jasna, w dupę! Broniek jeszcze nie wiedział, na co idzie. O nie! To wiedziałem ja i... ci martwi, co szli do pieca... ci to wiedzieli, poza tym nikt... i Prochaska! To ma sens! A jak odprowadzałem Bronka po pierwszej rozmowie... szedł na czworakach, chłopcy! Pełzł. W celi, zanim zrobiłem sezamie zamknij się, on mówi: Josef, zabij mnie! Zabij mnie... proszę cię!... ale ja wiedziałem, że on jeszcze nie jest zakatowany... na śmierć... że to by Prochaska poznał! To był przecie fachura... od bólu... a jak, przecie wam mówiłem, chłopcy jedni! Więc mówię: Broniek, wybacznij, wytrzymaj to jeszcze raz albo dwa... potem cię zabiję... a on zaczął płakać i mówi: Nie ma jak, Josef... ja już nie mogę... to jest okropne... musisz mi to zrobić albo cię wydam. No i co ja miałem... niech mnie? Myślałem, że go uduszę i może oberst nie pozna, tylko że on był bardzo silnym facetem... nie mógł wtedy stać... ale rzucił się... a ze mnie był młody chłopak! Już nigdy nie chcę być młodym chłopakiem! Przecie mówię wam to wyraźnie! Więc go dźgnąłem... myślałem, że jakoś to zaciemnię... że niby się zbuntował czy co... i idę do Prochaski, a tam siedzą jeszcze dwaj inni esesowcy, Wagner i Bauch... pech! Przecie miałem wtedy nerwy całkiem stargane... wpadłem jak śliwka w gówno, panowie! Jak widzę, że ma gości... naradę... cofam się, ale Bauch mnie przywodził... filuje na mnie... i już mnie miał... i w pysk, z obu stron! Chłopcy moi, ja w tych nerwach... kiedy tam z Bronkiem... miałem rozdartą kieszeń munduru i tam błyskały... dwa złote zęby. A jak to zobaczył mój oberst, mój oberst Prochaska, którego zdradziłem, tak, wiem to... zdradziłem go! Jak to

zobaczył, to wstał... i zaczęło się to moje skomlenie i płacz... te tortury... a esesowcy się zakładali... no, jestem już ponad tym wszystkim, sokoliki moje.

A jeśli, kapitanowie i sokoły, myślicie, że teraz zapadła cisza, żebyśmy mogli się skoncentrować i głęboko rzecz przemyśleć, to się mylicie. Albowiem kościotrup Josef Novák na powrót ruszył szybkim krokiem, a my musieliśmy iść za nim, inaczej znowu zaczęlibyśmy się zapadać, to już wiedzieliśmy. Już nauczyliśmy się, że musimy trzymać się w zasięgu tego cienkiego głosu, więc wlekliśmy się za kościotrupem jak jakaś idiotyczna szkolna wycieczka z komuszych czasów.

Dalej, chodźmy, czas na start, kto nie rusza, gównu wart! Hop-siup! Noga w nogę – i jajcami o podłogę. Niech to furczy jak latawce albo baby na ślizgawce! Hejże hola, drogi panie, to dopiero jest zwiedzanie! Ale teraz to już jestem w niebuniu, chłopaki moje...

Chyba tam koza Liza już czeka, nie? wyglądało, jakby Kocurowi ulżyło.

Jasne, powiedział Bohler. Panie Novák, tak że my panu bardzo dziękujemy... Bohler podał kościotrupowi wyciągniętą rękę, ale zaraz ją cofnął.

No, chłopaki, z wami jest prima, sprytne z was bestie, ta wasza Liza pogada sobie z Wolfikiem, przecie będę tam raz-dwa... u nas jest inaczej... ten Wolfik by z wami pewnie tyż chętnie pogadał... ale nie da się, nie było mu powiedziane... a z waszych języków zna tylko duński, to tyż było takie złote dziecko, pędrak, ten miał trzy... taa, Wolfik, on tyż już nie chce być młody... tego gnałem z rampy galopem! Miał trzy. Przecie wam mówię... to mi się serce rozradowało, jak go oberst wybrał, tak, tak, nie ma co!

Bądź sobie, kim chcesz... zagrzmiał Bohler, a my wszyscy aż się wzdrygnęliśmy, wszyscy oprócz kościotrupa... my jesteśmy tylko nędznymi robakami ludzkiego świata, ale wzywam cię...

A pan naprawdę jest w niebie, panie Novák, poważnie? spytał David.

Jestem w niebie, przecie wam to mówię, kurde mol! Co znowu, do chuja pana?

A dlaczego jest pan w niebie? spytał David. Poza nim, szanowni lordowie i chorążowie, milczeliśmy, ale chyba uważaliśmy wszyscy, że to dobre pytanie i postawione we właściwej chwili.

No, chłopcze ty mój... tego to ja nie wiem! Hej raz, zbój i las, znowu pędził do przodu kościotrup Novák, a ty zgaduj, zgadula, w której ręce złota kula, huknął na nas przez swój obojczyk i kości ramienia i znowu musieliśmy przyspieszyć kroku.

No tak, tak, chłopaki... niebunio, dojechałem tam sinkansenem prima sort, ale głębę rozdziawiłem ze zdziwienia! To było coś nowego! Patrzę na swoją cebulę, punktualnie staje na rampie!

Ach, tak, powiedział Bohler.

No, tak, powiedział Kocur.

Naprawdę, panie Novák? powiedział David.

Ale kłapie jadaczką... i tak będzie zawsze... powiedziałem ja.

Zwariuję... powiedział Rekin i zgrzytnął zębami.

Ale zanim dotarłem do tego sinkansena, idę tunelem z innymi truposzami, akurat było tam do diabła i trochę luda, niektórzy wyglądali na niezłe zmaltretowanych, ja tyż nie prezentowałem się jak mister universum! O, nie! Przecie oberst!... No, wiecie, chłopaki! Więc leżymy tamtędy dłuższą chwilę, patrzę i co widzę? Jednego szczególnie pokiereszowanego młodego gościa, a on z bandaży na rozwalonej klatce piersiowej wyciąga fajkę! Dymka nie miałem całe lata! Patrzę się dalej, to będzie jakiś nie lada cwaniak, spod kikuta wyjmuję zapalną! Rzecz była jasna, przeciskam się do niego przez tłum truposzów i próbuję zagadać: Cześć! Skąd cię przygnało? A on mówi: Belsen, baranie! Ma się rozumieć, był to Czech, niejaki Pazika z Koszizrz, mieli tam lakiernictwo... kurzymy... ale potem słyszę: Hej, Novák. No to mówię Pazice: serwus, polecam się, żeby nie było wstydu, co nie, a on mówi: to cześć, może kiedyś... teraz pracuje w kantynie... to znaczy, jeśli chce... u nas

jest inaczy! Czasem coś polakieruje... no, chłopcy, żebym nie stracił wątku... no więc idę, a tam stoi jakiś Anioł, mówię szacuneczek! Ja jestem Josef Novák aus Žyžków... ale nogi mnie zdradziły, a jak chłopaki, a jak... Anioł wstrząsnął włosami i mówi: Wiem, Novák, ale u nas jest inaczy. A ponieważ orientujemy się, stary wyjadaczu, że umiesz to i owo i że w ogóle jesteś nieźle obcykany i masz złote czeskie rączki z odciskami na palcach, bo wszystko ci się do nich przykleja, mamy tu dla ciebie sinkansen prima sort. Jeszcze musi na ciebie rzucić okiem Stary, ale między nami mówiąc, brachu, to czysta formalność, bo papiery masz w porządku i idziesz tam, gdzie już nie będzie skurwysyństw, już cię tam nikt nigdy nie będzie dusić, nie będzie ci robić żadnych numerów, wylewać na ciebie pomyj, ty stary draniu, przysięgam ci na śmierć swojej mamusi, jak bumcykcyk! I Anioł porządnie splunął, jak należy. A ja, chłopaki moje, ja się w tej chwili rozbeczałem! Wylałem wszystkie te wstrzymywane obozowe łzy, bo tam to przez cztery lata nawet nosem nie pociągnąłem! Ani łezka mi nie skapnęła, żeby było jasne. Nie dało się! Tam się nie dało, przecie wam mówię, nie?! A wiecie, dlaczego buczałem? Bo ktoś przemówił do mnie normalnie! Bo ten Anioł gadał po mojemu! Ten Pazika to był... dobry chłopak... ale ten Anioł to był ktoś, góra... to był mój nowy szef, pan kerownik, kurde mol! A ja zawsze jakiegoś miałem... tatuśka... starego Roubę... strażników!... obersta... i nigdy nie mogłem z nimi gadać po swojemu, kłapać dziobem, jak się nauczyłem... zawsze musiałem z szefami łamać sobie język... a teraz z tym szlus, czułem to... ten Anioł miał kudły jak jaki zboczeniec, ale był tam u siebie w domu, i on się do mnie zniżył... ten Anioł był szefem od wszystkiego, co tam było ładne, czyste i nowe, na sto procent miał jakieś akcje! A kim byłem ja, barowym blondasem i zaszlachtowanym haefthingiem, przecie wiecie, nie? Nikim! Chłopaki! A potem byli my już przy rampie, a tam na górze, w takim jakby fotelu, siedział stary, porządnie stary gość, miał długie białe włosy i białą brodę, miło się uśmiechał i kiwnął do nas...

Jezusmaria, krzyknął Bohler.

Z pewnością, powiedział Kocur.

Naprawdę, panie Novák? To piękne! To mi mówiła mama! powiedział David.

No, dobra, no, powiedziałem ja.

He, he, he, powiedział Rekin.

...a te tłumy, co tam dotarły na różne sposoby i sposobiki, bo nie wszyscy jechali sinkansenami! Gdzie tam, nieźle byście się, chłopcy, przeliczyli! Pomyłka, ot i co! Niektórzy szli przez bioto... niektórzy na piechty, ktoś tam to i na wozie... a ten dobry starszy pan to był Pan Bóg, chłopaki moje, jak te tłumy szły w szeregach, on się tylko uśmiechał i robił taką białą laską Rechts! und Links! a w tym szeregu, co w nim szłem, opiekowali się nami Aniołowie, opatrywali nasze rany, uspokajali nas, śpiewali i tak dalej... ale do tego drugiego szeregu wleciały czarty z widłami i batami, ale tam była kotłowanina! Ale rwetes! Latały kawały mięsa! I zara rosło nowe, żeby czarty znowu mogły se ciachać! To z miejsca przyważyłem! To było ciekawe... jak oberst... a te czarty... no, nie byli jak te żydowskie chłopaki... a ja... tam w Oświęcimiu... właściwie tutaj... no, tu jest już inaczy... ale czarty są gorsze, żebyście se nie myśleli! A jakiś chłopak, też nieźle podziabany i zmaltretowany jak ja, nagle zaczął wrzeszczeć, po niemiecku, ale ja już to kumałem, i radośnie podskakuje: Patrzcie no, to esesowiec Kupner, świnia jedna, cha, cha, wszyscy, co idziecie z Dachau, patrzcie się, patrzcie, co mu robią! Cha, cha, cha! A paru haefthingów tyż spojrzęło i jak nie zaczął: cha, cha, cha, a czarty, jak to słyszały, to chciały się przed nami, a i przed panem Bogiem, popisać i zaczęły tym esesowcem Kupnerem ciskać i dźgać go widłami, i przypalać ogniem, zrobili z niego popisowy numer. A ja nagle słyszę, jak Pan Bóg mówi do nas, starych haefthingów: Poważnie? Poważnie tego chcecie? A paru tych storturowanych gości ryknęło: Taak, panie, dać tyj świni, co się jej należy! Czy tam coś podobnego wyjąkali, a Pan znowu pyta: Poważnie? I chcecie wiedzieć, co mu robią? Chcecie? A kilku znowu powiedziało, że tak, a niektórzy kiwnęli głową, tak jak moja skromna osoba... i nagle,

chłopaki moje, zaczęli my się orientować... nagle wiedzieli my, co mu robią... a było to straszne, chłopcy... i gdybyśmy przypadkiem nie byli już martwi, to jak nic byśmy kipnęli... nie żeby coś nam się stało, chłopcy... nie, pomyłka! Ale wiedzieli my, co się dzieje z tym Kupnerem, a działa mu się to w wieczności... cierpiał... a każda najmniejsza sekunda bólu to była wieczność... no, tego nie wiecie, chłopaki... to jest inaczej... o tym te wasze harcerskie powiastki i chłopcy znad Rzeki Bobrów nic nie mówią, ani słowa... no i ci najbardziej skatowani i sponiewierani więźniowie już na tego esesowca nie pokrzykiwali, woleli iść dalej... a ja się obejrzałem... i widziałem jego twarz... nie wrzeszczał... to już było za wrzaskiem... jak kiedy przejdziecie jakąś granicę państwową... jakiś okop... cierpiał, a miał jeszcze wieczność przed sobą... ciągle... na cierpienia... na te różne bóle... no, ale my byli w niebie.

Patrzcie no! zawołał Rekin.

Przed nami znowu były piece.

No, chłopaki moje, przecie już tego potrzebujecie, usiąść se na chwilę, nalataliście się po tym lagrze, nie ma co, ale mnie tu trzymaliście, niech to piorun! Ciekawscy z was faceci! mówi kościotrup. Chłopcy są chyba na rybach, zawsze opowiadają se tam te potworne żydowskie historie... różne tam pogromy... a ten Poláček, a teraz to jeszcze Lopatka, robią uwagi, dodają anegdoty, potem się z tego śmieją, chłopcy, no, tego to nie wiecie... albo może poszli do piekła na wycieczkę... chociaż często to tam nie chodzą... może tylko Wolfik, idzie czasem popatrzeć na obersta... jak go z Wolfikiem znalazłem... tam są koło tych rusztów kadzie z wodą i różne takie wachlarze, i stare parawany, i inne urządzenia... i kto chce... ale tylko jak kogoś zna! No, ja to sobie przypomniałem te zupki i jabłecznik... i czasem tam wpadnę i damę mu się napić... tyj świni swojemu oberstowi... a on mówi: Sienkuje, panie Novák... już znowu mówi mi pan... no!... I te kary się tym bestiom w ten sposób tyż skraca... ciutek... no Wolfik to mu się napić nigdy nie da... nic a nic... ani inni chłopcy... czy tam dziewczynki... oberst jest tam sam... sporo ich się tam pali i smaży w samotności! Różne są przypadki, sokoliki... przy niektórych rusztach jest pełno... rodziny... na przykład mężowie albo żony... i inne baby, jak tam kto miał... i oni, ci potępieni na wieczność... one ich owiewają... to może niewąsko pomóc, chłopcy, bez jaj... te noże wielkie jak cholera... wszędzie ogień, nie! I czart z widłami trochę się zabawi... oni to lubią! Tym żyją! Po to tam są, przecie wam mówię... ale są różne przypadki... ci ludzie z nieba... no, ludzie! He, he! Jak mają interes do któregoś z tych przeklętych grzeszników, to mogą na dół jak nic! Żadnych tam przepustek, a na dole jesteś ajn, cwaj, draj, mówię wam! Na górze jest taki jeden Abyl i ten chodzi do Kchaina i kładzie się pod te noże zamiast niego!... to dopiro gość! A Kchain się w tym czasie chłodzi, to są rodzeni bracia, cheba muszą się lubić, tak żem wyspekulował! Więc mu tam ten Abyl skraca... chociaż – skraca, chłopcy, tam jest inaczej... i są tam dwa Amerykance, facet i kobitka... mają ruszty obok siebie... nazywają się Boni i Klajd! Ci to znowu wyciągają się spod swoich nożów i kładą ręce pod noże tego drugiego... i tak temu drugiemu odbierają jego ból. Ci też się lubią... skrcają to temu drugiemu... ale na przemian! To idzie na ostro! Ta kobitka to ma ikrę, ja to poznam coś takiego od razu... no, przeszli my się po tym Oświęcimiu, sokoły, nie ma co, eech, ale rozprostowałem sobie kości, powiedział Josef Novák i zrobił przysiad, aż trzasnęło. No, nalatałem się... chyba skoczę na klinikę do Mengelego, żeby doprowadził mnie do porządku, tak naprawdę nic mi nie jest... u nas jest inaczej, sokoły moje... ale my stare dziadki chętnie pogadamy z dochtórem... Wolfik też się od czasu do czasu hycnie do Mengelego na jakąś szpilkę... i Hanuś tyż, nie żebyśmy tego potrzebowali, ale wiecie... u nas jest inaczej.

Bohler znowu upadł na kolana, a mimo że, procarze i wolni kopijnicy, uczynił to już chyba po raz setny, zaczął głośno szlochać. Kocur spluwał, David tym razem milczał, a Rekin powoli podszedł do kościotrupa i z twarzą oddaloną o jakieś dwa centymetry od

jego... twarzy wycedził przez swoje krzywe zęby: Chcesz powiedzieć, kim tam jesteś, ty Nováku jeden, że morderca narodu żydowskiego, ten diabeł Mengele, jest w niebie?!

No, chłopcze mój, sokoliku, z tym diabłem nie tak szybko, podobnież sporo ludzi... no, ludzi... w niebuniu się dziwowało i dużo tych, co ich Mengele posłał tam osobiście, miało do niego zapytania... nowiny się tam zaraz rozchodzą... to wszystko jest jak jedna wielka niebieska latryna, młodziki... pogłoski i niepokoje... ale u nas jest inaczej... ja też się dziwiłem, ale palem Hanuś mi raz mówi, że on jest za Negrami, on to przekładał... wykradał... wszelkie te murzyńskie historie, niby jak Mengele był w Argentynie, co, jasne, chłopaki? A kiedy na niego polowały te izraelskie goście... to on hop z samolotu i spadł w jakiejś murzyńskiej dżungli i oni go tam znaleźli, te negerskie chłopaki, jacyś Bororowie czy co, sam tego nie wymyśliłem, sprzedaję, co kupiłem... to wyszpekulował Hanus. Żeby było jasne, no! I ci Bororowie polowali z kolei na Wajanów, innych Negrów... od lat walczyli w tych dżunglach i obcinali se głowy, jako trofea, co nie, nieludzkie Negry! To było jak puchary w nożnej, jasne, chłopcy? Kumacie? No a jak złapali Mengelego, to patrzą się na niego... i dali mu spokój... i był tam z nimi, co miał niby robić... i jak tak siedzi przed chatą, cały szczęśliwy, że go te nowe żydowskie chłopaki, te współczesne, tam nie chwycą... gdzie by tam leżeli, chłopcy, tam są tylko anakondy, jaszczury, papagaje i pająki wielkie jak chałupa, takie tam różne paskudztwo, mówił Hanuś... tam żaden mądry żydowski chłopak nie pójdzie! Nawet po Mengelego! Mówię wam, bez dwóch zdań, jasne? No i Mengele się gapi, a tam idzie wiejskim placem jeden Negr, wrzasnął i pada z pianą na ustach, i już po nim. I Mengele idzie do murzyńskiego króla i pyta go, co mu jest, niby temu gościowi, że tak wrzasnął. A król na to: tego my nie wiemy, słuchaj no, Mengele, idź i rzuć na niego okiem, ty jesteś dochtór... I Mengele poszedł i... aha! Rak! Stary znajomy! Nie ma mowy o pomyłce! I Mengele idzie do chaty i szpekuluje, medytuje, mruczy i sapie... podobnież tak tam trzy dni siedział, to mówił mi Wolfik! Tak to było! Jak babcię kocham! I wszystko to podliczył... narysował jakieś wzory... i mówi Negerce: Przynieś tom ingredyjence... i innej Negerce: A ty tom ingredyjence. I znowu woła Negerkę: A ty tom – i pokazuje wzór, no, a jak to się rozkręciło, murzyński król dał Mengelemu wino palmowe i cygara, a Mengele zamknął się z ingredyjencami w chacie, wrzucił je do takiej torby i miesza... i miesza... a po trzech dniach to miał, niech mnie! To dopiero głowa! Ale zara, to jeszcze nie koniec: jak wyleczył wszystkich Bororów, to przysłała delegacja od tych innych Negrów, Wajanów, że niby tak i tak, ktoś kiedyś, stare spory... że zakopią fajkę... i niosą do komnaty dary dla króla i Mengelego... posążki... i kupę złota... klejnoty... i Mengele poszedł i wyleczył wszystkich tych Negrów... i dokoła w całej Amazonii wybuchł pokój... i wszyscy ci murzyńscy haeftlindzy żyli w pokoju, dobrze im się powodziło, kopali złoto... i już żadnych ciężkich choróbsk, żadnego ognia, żadnego zabijania, nic! Był tam raj.

A on tam podobnież, chłopaki!... Podobnież żył tam tak czterdzieści lat! I uspokajał plemiona, żeby go nie zadźgali. A oni go potem i tak zadźgali! I wierz tu, człowieku, czarnuchom.

Pan jest rasistą, powiedział Rekin ze wstrętem.

Lekarstwo na raka nie zostało jeszcze odkryte, nieśmiało powiedział David.

A czy pokutę Mengele odprawił? Pytam! Muszę to wiedzieć! ryczał Bohler.

On ciągle pieprzy, szczeknął Kocur.

Ja byłem cicho, bo koledzy wszystko już powiedzieli.

Co wy znowu, chłopaki, wiecznie zrzędzą! Co ty mówisz, że jestem basista... byłem w barze, w orkiestrze nie grałem, przecie wyraźnie żem mówił! A ten lek... jak mógł być odkryty, skoro Mengelego zadźgali! Mówię przecie! A ty? Czy pokutę... że niby go nie odprawili... niby jak mógł dostać się do nieba po tym, co zrobił tym wszystkim chłopcom... i babom, i dzieciom... no, tego to ja nie wiem, ja jestem skromny, mały człowiek, a ty zgaduj, zgadula, dalej to już znacie, sokoliki... siadźcie se! Przecie jesteście zmordowani!

Miał rację. Z ulgą wtedy, przyjaciele i chorążowie, klapnęliśmy przy najbliższym piecu, opierając się plecami o palenisko.

No to ja, sokoły moje zmordowane... sztandar w górze, trębacz trąbi i zamknięte są już wrota, gdzie ty jesteś, moja złota? He, he, chłopaki! Może bym już... Liza... Wolfik...

Do widzenia! powiedział Kocur.

Bardzo dziękujemy! powiedział Bohler za nas wszystkich.

Więc... tego, a to, chłopcy, znacie: Spotyka się Hitler z Czemberlenem i Stalinem, przychodzi Hácha i mówi im: Słuchajcie no...

Znamy, panie Novák, znamy to w innej obsadzie, powiedział Kocur.

W innych dekoracjach, sprecyzowałem.

No, tak, chłopcy, tak! Ale, ale, jesteśmy tu przecie sami faceci... znacie, he, he, ten: przychodzi baba do lekarza i mówi: Słuchaj pan, szefie...

Tak, tak, panie Novák, znamy, zapewniliśmy kościotrupa chórem.

A wy jakiś znacie, chłopaki? To bym temu Poláčkowi... Hebrajczyk stary...

No... przeczyściłem gardło... Przyjaciele i rycerze, wy wtedy milczeliście, a ja chciałem temu... Novákowi... i nagle mówię: Panie Novák, a zna pan o zboczonej zakonnicy?

He, he, kościotrup zadowolony przestąpił z gnata na gnat, chyba nie, spróbuj, młodzieńcze, no, dalej, sokole siwy, wal!

No więc idzie sobie taka jedna zakonnica, a tu nagle z drzwi wyskakuje facet z żelaznym drągiem i buch ją w łeb, zakonnica się przewraca, facet ją jeszcze raz, a zakonnica nic, już po niej. A facet spluwa i mówi: No, myślałem, że wytrzymasz więcej... ty BATMANIE!!!

Kocur i Bohler tarzali się ze śmiechu, mnie ciekły łzy i tylko chrypiałem, David chichotał, a Rekin w histerycznym napadzie padł na plecy pomiędzy szkielety i jęczał.

No, chłopcy, chłopaki, kręcił kościotrup Josef Novák czaszką, jakoś... niby tego... jakoś nie tego... czemu się śmiejecie... przecież ją to musiało... panowie?

A ty zgaduj, zgadula, w której ręce złota kula!!! zawołał Bohler i upadł w nowym ataku. Rzeliśmy na całego i, bracia moi, musiało to wyglądać dziwnie w tym morzu czaszek, z piecami i z... Josefem Novákiem! Ryczeliśmy ze śmiechu.

No, panowie, ja niby tego, co nie? Też miałbym jedną zagadkę, chłopaki, co tu będziecie teraz dalej robić, co?

Śmiech umilkł jak nożem uciął.

No, niby tego, panowie... bo właśnie... wszystkiego dobrego, sokoliki... ja już tego, muszę, powiedziano mi... może się jeszcze zobaczymy... tam... no, to zależy od was... do widzyska!

Zanim zdążyliśmy coś powiedzieć albo zrobić, kościotrup zaczął się rozpadać, poszczególne kości osuwały się na ziemię, najpierw do innych czaszek dołączyła czaszka, potem spadły kości ramion i rąk i po paru sekundach kościotrup Josef Novák stał się jednym ze szkieletów w morzu kości.

I znowu było cicho.

A ja, bracia, byłem wybrany i po chwili zrozumiałem, dlaczego jestem teraz nosicielem snu. Już kiedy leciałem w górę, przyszło mi do głowy... przy całej skromności, pobratymcy i przemysłowcy... może Twarz wyszukała mnie dlatego, że jestem tancerzem i aktorem, a więc artystą i jako taki mam w sobie już odpowiednią dozę szaleństwa, i może dlatego wytrzymałem to, co zobaczyłem z góry, mogę wam to teraz zakomunikować. Zaczęło się ledwie dostrzegalnie.

Siedziałem na niedobrym szkielecie, który zapadł się pode mną, a ja bez namysłu zatańczyłem, instynktownie, był to drobny taniec łokci i taniec z rękami w górze, i nagle leciałem, wznosiłem się i z wielkiej wysokości widziałem was, jak tam odpoczywacie albo umieracie, a ja tam przy piecu siedziałem również i widziałem też szkielety w piecach, chyba szkielety tych, których zabito jako ostatnich, były rozbite i popękane od żaru, a potem

widziałem tylko popiół, a w tym popiele w jednym z pieców leżał, bracia, mały kawałek metalu, spieczony żarem, był głęboko w palenisku, o które opieraliśmy się przez cały czas. I nagle, bracia moi, pojawiła się przede mną Twarz i ta twarz była życzliwa... jak gdyby zaszurałem w powietrzu nogami, bo byłem przekonany, że to już jest Bog, ale nie wiedziałem, co mam robić... więc powiedziałem: Dzień dobry.

No, cześć, chłopie, zagrzmiała Twarz.

A ja poczułem się zrozpaczony, bo w tej chwili, kiedy uświadomiłem sobie, że to może być sam Bog, zrodziła się we mnie nadzieja, że usłyszę jego mowę i że będzie to piękny stary język, że te słowa będą jak wspaniałe przedmioty, którymi człowiek może się rozkoszować, czymś takim jak rzadkie drewno... ale żeby mówił do mnie jak jakiś goguś, zarozumiała chuligan z jakiejś miejskiej dziury... tego się nie spodziewałem.

Jaki głos do lasu, taki nazad, powiedziała Twarz. Patrz dobrze! dodała.

Ta metalowa skwarka w piecu to był klucz... widziałem go chyba tak samo i dzięki takim samym możliwościom technicznym jak satelita, który z kosmosu namierzy piłeczkę tenisową... w tym popiele... był to zwyczajny klucz, nie wiem, skąd wiedziałem, że to taki sam miejski klucz, jaki noszą na szyi miejskie dzieciaki mieszkające w tych szcurzych czynszówkach, gdzie ojcowie i matki nie wierzą żadnemu sąsiadowi... mają zresztą powody, są to wszystko takie same bestie, a klucza nie ma gdzie na korytarzu schować, bo różne sztuczki zna każdy... te korytarze są identyczne... więc wieszają go dzieciakowi na szyi, żeby mógł wrócić do domu, kiedy ich tam nie ma, bo gonią za forszą i witaminami... chleją... piszą kretyńskie wiersze... niekiedy się pierdolą... mają narady... są ciągle poza domem i nie mają czasu, a miejscy zboczeńcy, rozmaici Czikałłowowie, już o tym co najmniej od stu lat wiedzą... spokojnie wyszukują sobie gówniarzy z kluczami na szyi, a potem idą za nimi i w odpowiedniej chwili mówią: Mogę ci pomóc, chłopcze? Dziewczynko? Rodziców i tak nie ma w domu, prawda, a do której klasy chodzisz, księżniczko? Opowiedz mi o tym, proszę cię, błagam, drogie dziecko, usycham z pragnienia, a tu są cukiereczki... i już wstawiają nogę między drzwi a futrynę... a gówniarze są bezbronni... bo jakiś stłumiony krzyk... to sąsiedzi mają w dupie... wszyscy sąsiedzi to idioci.

I nagle, bracia moi i wolni kopijnicy, zrozumiałem czy też raczej Twarz przesłała mi to do mózgu, że ten żydowski chłopiec (albo ta żydowska dziewczynka), który w swoim czasie nosił ten klucz na szyi, ten Mojszele albo ta Baszele, już nie przyjdą... Dziecię już się nie pojawi, bo je w tym piecu spalono. A to był Mesjasz. I że czeka nas życie ślepych robaków bez nadziei i bez sensu, aż do śmierci.

I ja, bracia moi, ten bezsilny wisielec w powietrzu, zacząłem tam załamywać ręce, co jako aktor pewnego formatu zawsze uważałem za szmirowatą manierę rodem z Pipidówki... wtedy jednak zrozumiałem, że załamywanie rąk we właściwej chwili i właściwym miejscu może być odpowiednim gestem.

A potem zacząłem krzyczeć na tą Twarz i do niej: I dlaczego? Co mamy z tym... nie jesteśmy temu winni!

A Twarz nic, ale nagle poczułem, jak mi coś zgina kark, i zacząłem lecieć w dół... i już byłem razem z wami przy piecu.

Biegliśmy, bracia moi, przez to pole kości, przez to morze, i już się nie zapadliśmy, biegliśmy, ale każda z czaszek, które nadepnęliśmy, krzyczała z bólu i my, przerażeni, odskakiwaliśmy gdzieś w bok, ale zawsze tylko na kolejną czaszkę i jej szczęki również otwierał krzyk, a stać nie było można, bo szkielety, po których szliśmy albo na których próbowaliśmy się zatrzymać, skamienieć w bezruchu, wiły się i krzyczały, i gdziekolwiek stąpaliśmy czy uderzyli w tym biegu stopą, odzywał się trzask albo bolesny jęk... a niektórym czaszkom z pustych oczodołów płynęły łzy, inne, zdawało się, chciały się przed nami uchylić, ale tylko się wzdrygały, a my musieliśmy na nie skoczyć, a kiedy zwolniliśmy, widzieliśmy przez mgnienie oka krew i ciało... biegliśmy dalej, bo mieliśmy nadzieję, że

jednak znajdziemy miejsce, gdzie będziemy mogli tak postawić stopy, żeby nikogo nie zranić i nie słyszeć już jęków, ale szkielety i czaszki były wszędzie i nagle usłyszałem, że krzyczą wszystkie te czaszki jednocześnie, brzmiało to jak grzmot, dudnienie, powolne, rytmiczne, przewalające się dudnienie: Krew nasza na was i na wasze dzieci! A potem znowu wzleciałem w górę i znalazłem się przed Twarzą.

Wiesz, do kogo tak krzyczą? spytała Twarz. Do waszych dziadków.

A ja mówię: Ale... oni nie mogli nic zrobić!

No tak, pewnie. Chyba nie, powiedziała Twarz.

A ja dodawałem sobie odwagi, bo skoro tak gdzieś tam wisiałem, to mogłem zapewne w każdej chwili zostać rzucony w dowolne miejsce, przyszło mi do głowy, że może to wszystko jedno, i mówię: Chodzi o to, że nasi dziadkowie nie zabili tych, którzy potem zabili Żydów, tak? A gdyby to zrobili... w jakiś sposób... przecież Mesjasz mógł być wśród tych innych zabitych?

Ale nie był, Twarz wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

A mnie przyszło tam w górze do głowy, że to już obojętne, dlaczego nasi dziadkowie byli pośród zabijanych albo milczeli, albo brali udział w mordowaniu, to już wszystko jedno, z jakiego powodu albo jakim zbiegiem okoliczności, tak czy owak Mesjasz nie nadejdzie. Już tu był i spalili go. Taka myśl błysnęła mi tam w górze, bracia moi.

Właśnie tak, powiedziała Twarz. Nie podoba mi się to, że ich ciągle zabijacie. A jeśli kiedyś jeszcze spróbuję, powiedziała Twarz, to dopiero kiedyś... może... zobaczy się.

To dlaczego do tego dopuściłeś? krzyknąłem, bo już się nie bałem.

Ale Twarz nie odpowiedziała. A ja nagle trzymałem w ręku ten klucz... zwyczajny... taki, jakich wszędzie robią tysiące... ale ten klucz zaczął mi palić rękę... biała od żaru i upuściłem go, i widziałem, jak z powrotem wpadł w ludzki popiół.

Wpadł tam gdzieś i popiół się nad nim zamknął. Tak to jest, bracia i wodzowie, to właśnie widziałem. Ale jeszcze coś: wisiałem w przestrzeni nad tą ziemią popiołu i szkieletów. A ta przestrzeń była nieporuszona, bo czas umarł razem z Mesjaszem w Oświęcimiu, zrozumiałem swoją wielką pomyłkę. Nie wybuchła żadna bomba czasu, bracia, a to, co grałem i tańczyłem, to taniec trupa, człowieka bez czasu, to jest ta pomyłka, pomyłka zrodzona z pychy. Czas umarł w kraju popiołów, przeszło mi przez głowę. Ponieważ jedno plemię próbowało tam wymordować drugie i prawie mu się to udało, krąg świata ludzkich plemion został przerwany. Myślę, że gdybym nie usłyszał tego krzyku bólu, już bym chyba z góry nie wrócił... nigdy, może tylko moje ciało żyłoby gdzieś w dole, bracia, ale ja usłyszałem krzyk... a nawet zobaczyłem go na niebie, wyglądało to tak, jak gdyby ostry nóż przeciął płótno... był to krzyk z nocnego koszmaru, przestraszyłem się, że to, co jest po piekle, w dole pode mną znowu ożyło... ale potem rozpoznałem ten krzyk, to krzyczał nasz pomocnik i dozorca domu, Wasyl.

A potem na martwym niebie bez czasu ujrzałem ciemną świecącą gwiazdę... i czas się poruszył... była to gwiazda Piołun, bracia. Twarz, która może nie chciała, żebym umarł, tylko żebym wrócił na dół, pokazała mi gwiazdę Piołun, była teraz purpurowa, a na nieboskłonie stał w jej blasku wojownik, miał hełm z rogami zwierzęcia... i miał purpurowy płaszcz, dumnie nosił ten kolor gniewu... był to Ciemny w całej swojej mocy, był to Książę... i chyba Twarz dała mi siłę i krzyknąłem: Hej, hej! A w moim sercu była radość, bo zalała je bezwzględna woda ścieżki wojennej, byłem znowu szczęśliwy, ta grzeszna rozpacz minęła... może to i była radość ślepego robaka, który żyje bez sensu, a teraz jeszcze wie, że tak będzie żył dalej, ja jednak się cieszyłem... bo była tutaj Twarz, byłem ja i byliście wy, pobratymcy, tam zaś był Diabeł... cieszyłem się... znowu byłem w kręgu wojny, żywy... i wiedziałem, że wprawdzie przed człowiekiem ukryte są liczne pułapki, ale jest z czym walczyć... a potem znalazłem się pośród was, przy piecu.

Wygląda mi na to, powiedział Bohler, że jakiś czas będziemy tu musieli siedzieć.

Opieraliśmy się plecami o palenisko, nad nami było słońce, ale nie płonęło. Mimo to nie było nam zimno. A ja, kapitanowie i padrugowie, zapomniałem o swoim locie w chwili, kiedy znowu usiadłem na jakiejś kości i oparłem się o piec.

Było nas pięciu, a dokoła były miliony, my zaś nie wiedzieliśmy, co się z nami stanie.

Ale kościotrup Novák pokazał nam już tyle grozy... wypłakaliśmy i wyrzygaliśmy, co się dało, ciągle wprawdzie baliśmy się, ale od czasu do czasu widziałem na twarzach kumpli uśmiech... siedziałem obok Kocura, a on w tym uśmiechu dziwnie pokazał zęby... Rekin kuczał i sypał sobie popiół na głowę, i znowu zawodził, potem jednak dał temu spokój, podszedł do nas i także uniósł wargę... był to zły wilczy uśmiech... bo nie wiedzieliśmy już, co robić... już w nas ta groza rozwibrowała sprężynę... no dobrze, jeśli chce tego jakaś siła, to tu umrzemy i pójdziemy choćby do piekła i kij ci w oko! Przypuszczam, że też się tak uśmiechałem, złym uśmiechem... wilczym grymasem.

Bohler przeciągnął się i wstał.

Wiem, co ci przychodzi do głowy, powiedział Rekin Štejn, ale żadne takie... nie będzie tu żadnego zbiorowego chrzczenia umarłych!

A dlaczego? spytał Bohler i zaczął przygotowywać naczynie.

Ani nie będzie tu żadnego wyświęcania, tyle ci powiem!

Ależ synu, znajdź w sobie pokorę...

To są ludzie mojego plemienia, kurna, a to im zrobili chrześcijanie, do cholery...

Ale idźże, dziecko, jakie tam twoje plemię? Ty moja praska bękartia mieszanino...

A skąd jesteś ty, Sutanno? odezwał się Kocur.

Od kiedy to ci się nie podoba w mateczce Pradze, księżulu? przypadkiem opowiedziałem się za silniejszymi.

Czyście powariowali? Czego pytasz Štejna o plemię, Bohler! Przecież to my jesteśmy plemieniem! powiedział David.

Tak, tak, kpił Kocur, pan jest, zdaje się, z potężnego narodu Płaks!

Jesteśmy na miejscu wielkiej i ciężkiej śmierci milionów, bracia... odezwał się Bohler.

No właśnie, powiedział Rekin Štejn.

No właśnie i dlatego jest wszystko jedno, powiedział Kocur.

Z tym muszę się niestety zgodzić, powiedziałem ja.

Nie, powiedział David. Czyż jesteśmy martwi?

Nad tym przez chwilę myśleliśmy.

David podszedł do mnie i wymierzył mi policzek. Ho, ho, kto by to powiedział o tym gołowąsie... lekko się pochylałem i spuściłem ręce, dłonie trochę nad udami, na właściwej wysokości...

Widzisz, makaku jeden, że żyjesz, skoro cię to bolało, powiedział David.

Ułożyłem ręce w poprzednim położeniu.

Proszę, proszę, taki stary podstęp, a działa, zarżał rozbawiony Bohler.

Trochę pochodziliśmy po szkieletach, tu i tam, do pieca i z powrotem, nagle okazało się, że się da. Żadnego z nas to już nie poruszyło.

No, powiedział jeden z nas, teraz się znowu da. A za chwilę może znowu się nie uda, dodał inny.

Gdyby tak mieć tu Ognistą, to jest jak suche liście, powiedział jeden z nas, szturchając butem kości, jeden z nas, niepoprawna ludzka istota.

A potem, bracia moi, rycerze i kapitanowie, urządziliśmy to w tym śnie każdy po swojemu. My, bracia, przyzwyczailiśmy się do tego miejsca bez czasu, do tego oświęcimskiego grobu. Przecież dobrze wiedzieliśmy, że na końcu każdego życia ludzkiego jest śmierć, jak mawiał już towarzysz Stalin.

Bohler chodził i te czaszki, które mu Rekin Štejn pozwolił, te bardziej przegniłe, które, jak Rekin uznał, mogły być... częściowo... być może... pochodzenia aryjskiego... teolog

namaszczał świętymi olejami. Rekin nie spuszczał go z oka, ale jednocześnie próbował ustalić nasze położenie, biorąc piece za punkt orientacyjny. Kiedyś wiał tu wiatr i kiedyś zadrzał na ten widok, powiedział. I na pewno da się rozpoznać strony świata, zawsze dobrze jest wiedzieć, gdzie się człowiek znajduje, gdzie jest lewa strona, a gdzie prawa.

Ja tylko pętałem się tak sobie i obserwowałem innych, a potem przyszło mi do głowy, że gdybym znalazł kilka mocnych kości udowych i łydkowych i może jeszcze parę miednic, mógłbym zbudować niewielką estradę. Przydybałem przy tym za piecami Rekina... próbował w autentycznym otoczeniu sztuczki z pudełkiem. Ale muszę wam przyznać, wodzowie i szefowie, że miałem całkiem niezły ubaw: jakie tam dobre buty od Baty, kulił się w pudełku, w którym zmieściłyby się co najwyżej trampki dwu ołowianych żołnierzyków!

A Kocur, sternik Kocur powiedział: jak już, to już! I zaczął szukać zasypanych złotych żydowskich zębów. Początkowo tylko tak żartował; ho, ho i he, he, ale potem go to wzięło, przeszukiwał za pomocą jakiejś cienkiej kości paleniska i wierzcie mi albo nie, drodzy wodzowie, w starych zapchanych nieprzeszukanych paleniskach po wewnętrznej stronie pieców, gdzie chyba nie było takiego żaru, znalazł mały stopiony kawałek złota! Zaraz zaczęli się kłócić z Rekinem, ile może być warty. Rekin Štejn uparcie podawał wielkie sumy z giełdy nowojorskiej i tokijskiej i pogardliwie parsknął nad tym niewielkim kawałkiem, ale Kocur promieniał, bo znalazł swój czas, Das Kapital.

Wkrótce po tym, jak zaaklimatyzowaliśmy się w tym miejscu, które pozostało po piekle, zerwał się wielki wicher; najpierw nas przeraził, bo niósł na nas kości, porywał je całymi kupami i rzucał w naszą stronę, a śmieszne, przypominające zabawki wały obronne, które wzniesiliśmy, czekając na śmierć, rozbił w drobne kawałki.

Moja mała, można by powiedzieć połowa i okolicznościowa estradka rozpadła się jako pierwsza, zdążyłem tylko trochę ją umocnić, zagrać coś na próbę i wśród ciężkich rozmyślań piłować krótki, ale zasłużenie popularny monolog pewnej postaci dramatycznej z dawnych czasów, młodego arystokraty trzymającego czaszkę. Jego pytanie rzucone w puste oczodoły czaszki, jak i w wybałuszone, nabiegłe krwią oczy dowolnego przedstawiciela gatunku homo sapiens, było też pytaniem dla mnie, dobrym pytaniem w odpowiednim miejscu.

Stara dobra angielszczyzna rozwibrowała mi błony bębenkowe wyjątkowo nieustępliwie. A szczególnie, rzecz jasna, ten ważny kwestionariusz; odpowiedź na pytanie dawnego Duńczyka, zbiegiem okoliczności negatywna, mogła urzeczywistnić się jedynie w bardzo niewygodny sposób... tylko tak słowa zmieniają się w czyny... ale przebić sobie serce jakąś starą kością, to wydawało mi się wstrętne... nie miałem ze sobą swojego starego drogiego majchra, ale z literatury fachowej znam pewien najbardziej skrajny sposób, stosowany przez książąt azteckich w owym okresie fatalnego przełomu, kiedy im Cortez i jego banda zakutych w zbroje łbów rozbiła czas: Odgryźć sobie język i połknąć go, co kończy się uduszeniem... Namacałem język zębami, wziąłem go w kleszcze w swojej bramie i przytrzymałem, ale za bardzo to bolało, brakuje mi po prostu między innymi wychowania syna Słońca... piłowałem więc monolog, szukając odpowiednich wzmocnień estrady, potem jednak rozbawiła mnie niepohamowana refleksja: co się tyczy czaszki, którą w nieśmiertelnym monologu w rękę młodej postaci włożył genialny dramaturg... to miałem pod ręką taką rekwizytornię, że może dramaturg, znany również pod lekko homoseksualną ksywką Łabędź Avoński, przestałby na jej widok układać swoje kawałki dla uciechy dzielnych towarzyszy cechu rzeźnickiego i zapewne głośno wrzeszcząc, po pewnym czasie zakończyłby żywot w najbliższym domu wariatów.

Widząc to... nie zadowoliliby się może w genialnym samoograniczeniu jedną czaszką... brakowałoby mu może diabelskiego cynizmu atomowego wieku, łącznie z dowcipasami... z rozmyślań wyrwał mnie wspomniany wicher... chwycił nas, porwał w górę, zakręcił nami nad piecami, którym ostatnim spojrzeniem powiedzieliśmy do widzenia, a potem lecieliśmy... jak banda niebiańskich ślicznotek w kostiumach kąpielowych, było nas pięciu i

nagle okazało się, że słońce grzeje, a ja, bracia i pobratymcy, nagle znowu ujrzałem Twarz, a ta Twarz promieniała, ale promieniała szczęściem, które w tej chwili czułem i które zdawało się mnie wypełniać od naczyń włoskowatych aż do szpiku kości, ale szybko zmieniło się w przestach, bo Twarzy coś się stało... a potem nie wiem... chociaż leciałem pierwszy, nagle ujrzałem Rekina, który leciał przede mną, butami do przodu... I to już koniec.

I głos mnie opuścił. Wpiłem sobie paznokcie w dłoń i rozejrzałem się. Był wieczór. Pokręciłem głową i zobaczyłem słońce. Zachodziło. Trawa za naszymi domami lśniła w ostatnich promieniach. Potem ściemniała. Teraz trawa jest czarna, powiedziałem sobie. Podeszedłem do okna i wyjrzałem. Może czekałem na rytuał przyjacielskich pomruków, ale pomruki się nie odezwały, ktoś walnął mnie w głowę, ktoś mnie kopnął, nie broniłem się. Byłoby na miejscu, gdybym trochę dostał w mordę. Ale nie chciało się im. Lepiej przynieś Ognistą, powiedziałem cieniowi, który kołysał się nade mną. Ten mój sen był wystarczająco ciemny i długi, żeby pochłonął cały biznesowy dzień. Na Rekina nie wystarczyło już czasu. Na studnię i jej tajemnice także nie.

METAL PŁYNAŁ METREM Z LI TAM SPOTYKAMY. WIELKI BOHLER,
SKACZĘ I SŁYSZĘ PSICĘ.

A następnego dnia w biznesowych garniturach, niepokłutych przez żadnych kościotrupów, pojawiliśmy się na regularnej naradzie. I zaczęliśmy kręcić metalem. Miałem delikatne zadanie: pokłócić pewnego Ludviga drugiej ligi z dwoma Ludvigami piątej ligi. Na ogół nie było z tym problemu, nadrzędni tłamszą podrzędnych tylko po to, żeby sobie udowodnić, że są mężczyznami. Władza zamiast jaj, narkotyków i uśmiechu. Tak zawsze było i tak będzie... nam jednak chodziło o podtłamszenie jedynie określonych podrzędnych i w określonym czasie.

Żona jednego z niższych Ludvigów spała z tym Ludvigiem drugoligowym. Dostyc się lubili, ale wspólnej drogi nie planowali, bo byli zbyt zajęci zdobywaniem gotówki i pozycji społecznej. Ludvig zwierzchnik zagiął parol na tych dwóch urzędników, bo nie wiedział, że niższy Ludvig zna jego słodką tajemnicę. Sama Jarmilka chciała, żeby jej niższy mąż wiedział, że ona wie, że on wie. Głośno się o tym nie mówiło, żeby zachować jakąś tam godność. W ten sposób każdy coś z tego miał. Wyższy Ludvig w łóżku, niższy w pracy, a Jarmilka miała ich obu. Parol został zagięty po kilku zręcznie wybranych zdaniach podczas obiadu z awangardowym aktorem Potokiem... po zaprezentowaniu niewielkiej próbki nieporządku w papierach obu, a przede wszystkim jednego z urzędników... Potok jakby cudem i, dziś nie jest to już tajemnica, przede wszystkim dzięki upartemu wścibstwu i w sporej mierze dzięki blaskowi metalu uzyskał pewien dokument od drugiego z tłamszonych urzędników i jako praworządny obywatel starał się o naprawienie błędów.

Te, mówiąc po dżentelmeńsku, nieporządki mogły oznaczać pewne niewielkie pieniądze... po które wystarczy się schylić, jakby mimochodem... z uśmiechem... podczas gdy wietrzyk wieje, uczenniczki śpiewają, dzień nabiera słodczy. Ubogi artysta Potok na owe złotonośne nieporządki wpadł właściwie przypadkiem i nie chce robić zamieszania, pisać do jakichś gazet, mącić wody! To w ogóle jest... taki cygan, niezbyt mądry... ALE. Niech mnie zostawi! Ja odejdę! zwierzał się przy kolejnym z obiadów szczery Ludvig piątej ligi cwanemu Potokowi, ten zaś wiedział, że urzędnik napychający się po drugiej stronie stolika subtelnie pokrajanym lśniącym mięskiem w zalewie à la Mouchon... płacił za to przewidujący Potok... może odejść nawet do pierdła. Ta moja Jarmilka ma do niego słabość... ale on mnie prześladuje! Ty masz kuzyna, nie? spytał cierpliwy Potok, ten szczywany psychopata... No, a jaki to ma z tym związek? Ma związek, brachu, i to duży, ponad stołem pochylił się dobry przyjaciel, poznany w biedzie Potok... wkrótce potem udręczony Ludvig piątej ligi, który pozwolił, żeby jego Jarmilkę pieprzył Ludvig drugiej ligi, poszedł do swego kuzyna posła, a ten na odpowiednim poziomie spotkał się z prześladownicą wyższym Ludvigiem, wyposażony w niewielką dokumentację skandalu wartą pierwszorzędnego brukowca... zgrzytający zębami urzędnik ministerialny Ludvig drugiego rzutu poczuł, jak mu więdną gruczoły... zdenerwowany, bo nagle i bezpowrotnie wyslizgiwał mu się spod zadka wysoki stołek, mimowolnie, ukradkiem lewą ręką dotknął pod blatem swojego w tej chwili miniaturowego członka... ależ nie, uśmiechnął się roztropny poseł... i na kilka sekund przed zawałem ów wysoki urzędnik dowiedział się, że zachowa wysoki stołek, kochankę i oddanego współpracownika i że nieporządki w dokumentach... termin pewnej bezlitosnej kontroli badającej właśnie złotonośne nieporządki został wymówiony szeptem i na poziomie przedyskutowany... i serduszko znów pobiegło cwałem... ALE.

I wkrótce potem utażczony Potok ze wzruszeniem przyjmował gratulacje rozweselonych padrugów, a Jarmilka zjawiała się po procenty, zaczerwieniona od szczęścia i pełna seksu, który był jej elementarzem... oprócz wybuchów śmiechu dostała od Organizacji bukiet kwiatów i, ma się rozumieć, kilka dawek Ognistej, zaznajomiła się z naszymi domkami i spuściwszy powieki, dorzuciła parę słów o tym, że może coś dałoby się jeszcze zrobić... ale teraz to myślę o interesach, chłopcy. A metal płynął.

Dla pełni obrazu... Potokowi było trochę niedobrze, ale jak już, to już, powiedział sobie... i następnego dnia wyruszył w nieskazitelnym biznesowym garniturze i z piękną Laotanką Bohlera, czyli Madame Hoitsu, japońskim przemysłowcem z pachnącym kwiatem jaśminu za małym uroczym uszkiem i w doskonałym kostiumie... subtelna szarość niepostrzeżenie przechodząca w ciemną zieleń... moja przyjaciółka Cepková, aktorka, uczyła ją w tym chodzić i lekcje się opłaciły. Ha, ja tak idę! Normalnie, zawsze! Chodzisz jak kaczką! Czubki na zewnątrz! nakazywała Cepková. Nie kiwaj zadkiem, tylko kręć. Troszkę rzucaj. Ona nie wie, co to znaczy kręcić. Nie, ty kozo! A fy niby wiecie, jak chodzą Dżaponki! Gófno wiecie. Z tym zgodziliśmy się bez zastrzeżeń. Od tego czasu Laotanka Bohlera mogła się poruszać, jak chciała. I tak nam się to podobało.

Wspomniałem już, co spotkało jednego z synów Doktora. Zginął z rąk bandytów. Wtedy w tym starym znanym kwasie nowej nieprzebadanej epoki zaczęły się problemy z hitlerami. I zobaczyłem Wielkiego Bohlera kręcącego swym olovranem.

Hitlery i stalingi przyszli zaraz po wybuchu czasu, detonacja uwolniła nawet najgorsze rurki Kanałów, nawet te całkowicie przeżarte rdzą i prowadzące cholera wie gdzie, do zadka którego wstrętnego Diabła, do gazu... i hitlery zaczęły wyłazić na zewnątrz... w większości był to pomiot złego ducha, niektórzy wyleźli na światło przez ślepe przewody, skądś z jaj starego jadowitego węża, nic nie wiedzieli o przekonywaniu, uznawali tylko przemoc, były to skurwiele władzy, tej władzy, która robi problemy, ale zawsze komuś innemu niż ten, kto ją dzierży... stalingi miażdżyły tylko słabszych i mniejszych niż oni sami, było ich zresztą niemało... żyli po przeciwnej stronie monety, mieli tylko mroczną siłę... także i Bohler się przeliczył, twierdząc, że wszystko jest w porządku, że Pan już się z nimi porachuje... a do świętej doby, kiedy się to stanie, oni i tylko oni będą liczyć rany, wybite zęby i rozwalone czaszki pozostałych, swoich... są to stalingi i gotwaaldy... a ten czas, kiedy Pan się z nimi porachuje, to wieczność... broń się więc sam, raz po raz mówi mi Stary Bog, wyszlifował mi już tym bębenki w uszach... i inne drogi komunikacji... wszyscy kumple, którzy mieli do czynienia z hitlerami i stalingami, mówili, że to gorsze niż wtedy w Kanale... słyszało się to w Katedrze, w Czarnej itd.... bo tajniaków w końcu znałeś, a oni znali ciebie, a potem wszyscy już wiedzieli, że stary czas jest sparciały... i kilku naszych sponiewieranych kumpli z zaprzyjaźnionych gromad ze smutkiem kiwało głowami i splotowało tytoniem... ale czasami rano, kiedy wstawali wcześniej, polerowali bagnety... stara dobra ścieżka wojenna prowadzi również w nowy czas... hitlery rodziły się coraz to nowe i nowe i zaaklimatyzowane w nowym czasie, czasie w ruchu... a niektórzy z nich nie byli nawet ludźmi, sam złapałem jednego i trzymałem na podwórku... nigdy nie czytał ani zdania z Foglora, Landona ani Kcharala ben May, nie wiedział nic o ludzkim plemieniu, nie znał litości, nie miał pojęcia, jak ma się człowiek zachowywać wobec słabszych, zwłaszcza wobec wdów i sierot, nie słyszał nawet o wielkiej życzliwości dla każdej kobiety... możliwej siostry, ani o wielkim szacunku dla niej, mocniejszym niż wszelki miotacz ognia, jego mroczne serce pełne było jedynie kompleksów... które musiał wyładować, żeby przeżyć... a przeżyć chciał, to owszem... zamierzałem go z litości puścić, ale David i Kocur powiedzieli „nie”.

Atak przyszedł szybko, nieoczekiwanie i w kilku miejscach jednocześnie.

Jechałem z Laotanką metrem z urzędu, gdzie blefowaliśmy z tą Dżaponią, jeździliśmy tam zawsze gablotą z kierowcą, człowiekiem Bohlera, ale ja przemówiłem temu kontrolerowi do kieszeni i zabierałem Laotankę przynajmniej na chwilę do hotelu albo do swojej dziury na

Gazowniczej, a ona wcale nie była niechętna temu, żeby na moment oderwać się od domowego ołtarzyka i nieskończonych interesików, handlu buddami i winem czerwonym jak krew... tylko trochę pieściliśmy się, ale przede wszystkim rozmawialiśmy, musiała mówić, bo fascynował mnie jej język, teraz, kiedy wiedziałem, że czeski wybuchł razem z czasem, jej język fascynował mnie właściwie bardziej niż cała reszta jej pięknego złotawośniedego ciała.

Laotanka ciemną falę wyczuła pierwsza, ja pogrążony byłem w marzeniach. Stała się uważna i poszła na miejsce z tyłu, w rogu. Jechaliśmy właśnie pod Wełtawą, wysoko nad pociągami jest pod trującą Moldau w wywierconej ziemi żelazna zawora, gdyby cokolwiek się stało, tunele między stacjami zostaną zamknięte i metalowe wrota przetną wagon w środku, może będziemy oboje po jednej stronie gilotyny, będziemy przy sobie, zanim zatopi nas woda... mówiłem sobie, zawsze dobrze jest być przygotowanym na różne możliwości... Laotanka się skuliła, nawet zmniejszyła się trochę, kociaki to potrafią, patrzymy przed siebie na dwu ubranych na czarno, łysych gości, oczywistych hitlerów... jak myślisz, dlaczego ci idioci są w większości ogoleni na łusą pałę? przeszła mi przez myśl niedawna rozmowa z Kocurem. Czy ja wiem? Bo to nie są faceci, ciągnął Kocur... przypomnij sobie, co mówił Nez Perce generałowi Champollionowi: Poradź swoim młodzieńcom, żeby zapuścili długie włosy, wtedy jakimś honorem będzie ich zabić, powiedział stary morderca, wódz Józef z plemienia Przekłutych Nosów... póki oczywiście nie zabito jego samego... to są tchórze, obawiają się o skalpy... zamknął wtedy sprawę Kocur, ale teraz go tu niestety nie było... zobaczyłby, że ci dwaj w ogóle się nie boją, cieszą się... przez drzwi z sąsiednich wagonów przywlekli się kolejni dwaj... jeden staling siedział w wagonie z nami, nie zauważyłem go przez te marzenia o gilotynie... teraz wstał... czyli w sumie pięciu bubków, a to niemało... nieładnie wyszczerzał się do mnie... jeden złapał Laotankę za włosy, trzasnęła go w rękę... i proszę, mamy to z całym folklorem. Zmrużyłem oczy, wyglądało bowiem na to, że będę musiał zebrać całą siłę tancerza i dotąńczyć się do prawdziwego świata, przywołać najbardziej mrocznego demona, tego, co ma oczy w ciemnych szparach, w nacięciach gniewu, i wyć, i w powietrzu kręcić się jak zwierzę, i gryźć, i spadać zawsze na cztery łapy... hitlery tak kochały swoją mroczną siłę, że zatrzymać ich mogło tylko czyste szaleństwo... czasami... ale poczekam, mówiłem sobie, mam różaniec... i wilgotna dłoń Laotanki wpełzła w moje zaciśnięte palce. Dwaj goście w skórzanych kurtkach spokojnie podawali sobie tymczasem flaszkę myśliwskiej, parskali śmiechem, trzeci pokazywał swój T-shirt z czaszką i ze swastyką, czwarty – łańcuchy wokół ręki i łańcuch wokół pasa. Piąty zajął się spokojnym badaniem przerażonych twarzy porządnych obywateli, doceniłem ten fakt, ja o nich całkiem zapomniałem. Jak daleko jest następna stacja: trzy, pięć minut? Zdążymy do drzwi? A potem na korytarzach? Obmyślałem taktykę jak marszałek polny jakiejś armii. A groby z dala wyglądały na ciemne i wilgotne, takie, jakimi są zwykle groby ofiar. Dobra, udaję dzikiego i odważnego, mam przecież w kieszeni majcher, głupole. Kuuurwo zóóółta, zaśpiewał ten z łańcuchami, chyba ich wódz, i zakołysał się na butach, ale tylko to tak odgrywał, nie wpadał w amok, w szaleństwo, tylko tak się wygłupiał, jak gdyby szturchał mnie palcem. Chciałbym, żeby wiedział o tym nożu. Ludzie dookoła zanurzyli się w gazetach, wpatrywali się w sufit wagonu, gapili się na buty sąsiadów. Małej dziewczynce obok mnie upadł na podłogę obrzydliwy żółto-różowy błoniasty tojfluk, patrzy, otworzyła usta. *W pociągu metra nikt nie ma pietra, co za przypadek, wsiadł jakiś dziadek!* dźwięczy mi w głowie piosenka, *świiniioo azjatyyycka*, zaśpiewał sobie łańcuchowy, *ktoś jedne z kotką, co mruczy słodko*, objąłem Laotankę ramieniem, żeby była pełna jasność. *Jedziemy sobie srebrnym wagonem, jedzie też Wania z akordeonem*, nucę jej piosenkę. Słuchaj no, pochylił się ku mnie łańcuchowiec, Potoku, ty stare koryto, jak zechcę, będziesz szumiał jak górski wodospad, tak się zeszczas, debil. Fakt? Jej! odpowiedziałem mężnie. Fuck you, powiedział mi prosto w twarz Marsjanin. Nawet umów podpisanych kciukami się nie zrywa, a jak chcesz wiedzieć więcej,

to wieczorem w Czarnej... w Czarnej, uświadomiłem sobie, co powiedział. I nieźle mi ulżyło, myślałem, że jakoś dostali cynk o tym swoim braciszku u mnie na podwórku, któremu już dawno przestałem rzucać żarcie. Pociąg stanął. Zdychajcie, ludzkie gówna, pożegnał się Marsjanin z pozostałymi pasażerami i wysiadł. Jego chłopcy też.

Hołota, powiada facet jadący z dziewczynką obok mnie, pani jest z Japonii? spytał Laotanki, a ju dzapanis, ma'am?

Tak, jest, mówię, będzie chyba kupować Browary Miejskie. Błyskawicznie wszedłem w swoją rolę tłumacza. Tak ma być, przyłączył się inny pasażer. My na to nie mamy. Jak to nie mamy, chcecie wszystko sprzedać obcym? odezwał się ktoś głośno. Kłębek dyskutantów z zadowoleniem się zakołysał i otworzył na kolejne poglądy. A z nas będą niewolnicy, idź pan z tym, wiesz pan gdzie! Ale słuchajcie... prezydent to sprzeda Żydom i gówna będziemy mieli! Pan co, inteligent jakiś? Panie...! Gupie hieny, kruwy debilne krwiawe, powiedziała Laotanka, pełna wypalanej już wściekłości, swoją piękną czeszczyną tak ostro, że aż mnie nowe słowa szarpnęły za serce. Wygodnie wyprostowałem nogi. Laotanka także. Mieliśmy to za sobą

Nie całkiem. Kiedy dotarliśmy do naszych domów, już z szoferem i w gablocie, zobaczyłem Wielkiego Bohlera, jak wymachuje olovranem.

Było niemal dokładnie południe. Spędziliśmy czas również w pewnym hotelu... a teraz wyglądało na to, że się spóźniliśmy, ja i Madame Hoitsu, czyli od mówienia trochę ochrypla Laotanka, rzeczy nie wyglądały najlepiej, w słońcu i wśród zgiełku, kierowca gwałtownie zahamował, chyba w szoku, a potem znowu nacisnął na gaz... i samochód wtedy skoczył, przysięgam, jak żywe stworzenie... prosto na jednego z tych karłów, kierowca, chociaż korumpowałem go niemal regularnie, był człowiekiem Bohlera, jego byłem parafianinem, i oto widzieliśmy, jak laotański sklep kona w płomieniach... wielkie wachlarze z miłością i lękiem zrobione tak, by naśladowały ruchy potwornego powolnego motyla, zainspirowane jego owadziim wdziękiem i zapewne doskonale odtwarzające bezczas dzungli zasłużonej śmierci, teraz drżały w przypadkowym zacisku szklanych kłów, resztek mocnymi ciosami rozbitej wystawy, i w tym szkłe niemal przeżartym przez żar pękały w wieńcach iskier... nie mówiąc już o kadzidłach i trociczkach, których zapachy dawno musiały wywietrzeć w starych ścianach; ich naturalną wieczną wilgoć właśnie oblizywał na pierwszy rzut oka wyraźnie obsceniczny język ognia... a chociaż żółte i czerwone płomienie dotykały swym rozżarzonym oddechem pierwszego piętra, nigdzie nikogo nie było... żadnych naszych kochanych lokatorów... ulica była pusta... a banda pokrzykujących hitlerów trzymała w szachu dwu Laotańców, którzy potrzęsali kopiami na bawoły, czymże bowiem innym mogliby potrzęsać, i jeden z łysoni upadł i charczał, a z szyi płynęła mu krew... bezwłosa s'winia, omal się w tej chwili nie zsiąkałem, a nogi zaczęły mi tańczyć, ale to nie był czas ucieczki... *teraz* był dobry czas na umieranie... to był szybki czas wodza Józefa... kierowca ruszył, naciskając gaz do dechy, i zatrzymał się o dwa centymetry od przerażonych mord łysków... parafianin Bohlera zatrzymał się tak blisko, jak odpowiadało to jego gorylim łapom, cieszyłem się, że je ma... Laotanka skuliła się, jakby szykując się do skoku, chociaż jej pazury to były zręcznie przycięte i pociągnięte delikatną henną paznokcie... zawsze gotowe tylko do miłosnych zadrapań, jak naiwnie myślałem do tej chwili... zajęczała, był to jęk siły, brzmiała w nim nienawiść... ponieważ jeden Laotaniec leżał na ziemi, samurajski miecz był złamany, a Bohler, teraz już Wielki Bohler, stał pod ścianą domu, która zdawała się pękać od gorąca, a kiedy nas zobaczył, to przez krew sączącą się z twarzy uśmiechnął się, pokazał zęby w swoim starym perwersyjnym uśmiechu... i przez oczy walnął olovranem hitlera z pałą i mam nadzieję, że była to ostanía rzecz, jaką ten dupek widział, obnażone zęby psa bożego... Wielkiego Bohlera... podczas gdy oddany parafianin zmagął się z trzema h. w chaotycznej mieszance rozdzieranych szmat, mrocznych ciosów i charczenia... stanąłem koło Laotańców, a zanim mnie poznali, dostałem lekkie ukłucie bambusem nad lewym

obojczykiem... bliznę do dziś mogę pokazać jako tatuaż tej chwili... ale potem mnie poznali, bo śmiałem się... śmiałem się, bo to wszystko znałem, stary czas powrócił, powrócił stary czas trupa, czas Poczwały, a ja stwierdziłem, że potrafię sobie z nim dać radę... że siła powraca, a dobro znalazło się tam, gdzie było zawsze, i zło znowu stanęło przeciw niemu... i były już tylko dwa kolory, znowu tylko czerń i biel... jak wtedy w ciele Poczwały, w głowie płonęła mi odurzająca czerwona ciemność, ale nie tak jak dawniej, kiedy napływała podczas kochania się, ponieważ przyszedł również czas tego słowa, teraz płonęła przy walce... tańczyłem tym napastnikom taniec, pierwszorzędny taniec, bo byli w pierwszym rzędzie, a tancerz Potok znajdował się w szczytowej formie... i miał dobre buty... i w tym tańcu i tym tańcem poprosiłem Psicę, żeby wróciła, tak jak teraz w chwilce starego czasu wróciła stara siła... a ponieważ ciągle kochałem Psicę, tańczyłem równie dobrze jak wtedy i tylko wtedy, kiedyś w tańcu róży... ale nie tańczyłem śmierci róży, waliłem w ten bruk niedużą etiudę życia róży, lekko... z majchrem... wyciąłem kilka figur tanecznych... aż z chłopców kapało... a potem Psica przysięgała mi, że wróci... że ją zobaczę... znowu posłała mi do mózgu słowa... teraz już nie w ciemnej piwnicy... ale na krwawym bruku w blasku słońca... w ciepłe pożaru... na wolności, nagle poznałem Marsjanina... w jego oczach nie było wściekłości ani strachu... jak w oczach innych, których wraz z Laotańcami, na ogół słysząc jedynie ich bolesny wrzask, wypychaliśmy metr po metrze... on się cieszył... i żadnego kija... żerdzi... łańcucha. Żadnego modnego ekwipunku, w rękę lśnił mu długi solingen, mocny i ze żłobkiem... niby na co? Zdążyłem spytać prostaka w pierwszym rzędzie, zanim skończyłem z jego gębą... Marsjanin najwyraźniej miał gdzieś tych popisujących się lalusiów... potem Laotańce zaczęli wycić, było to wściekłe gardłowe wycie, a ja słyszałem w mózgu regularny grzechot bębnowy... chyba odezwały się duchy z ich puszczy... wyli, instynktem odziedziczonym po łowcach niewolników czuli, że zbliża się koniec, albo taki, albo inny, i obaj w braterskiej zgodzie chcieli jeszcze zdążyć zabić swojego Francuza, zanim będzie po wszystkim, jakkolwiek ma to się skończyć... parafianin leżał na bruku, pod sobą miał dwu, ale jeden stał nad nim... a Bohler machał olovrantem... jeden z chłopców chwycił jednak dotykana przez Papieża linkę na kij, a podczas gdy się mocowali, kolejni chłopcy szli na Bohlera od tyłu, dość ostrożnie, ale bardzo szybko... a Marsjanin zostawił jełopów w pierwszym rzędzie... i czekał... a potem walnąłem w tańcu kopytem i jeden ze zwierzaków odleciał, było to tak, jak gdybym przewrócił praktykabel i oczyścił scenę dla Wielkiego Reżysera na nowe inscenizacyjne rozkosze... w szczelinie między rozfalowanymi przez biesa ciałami pojawił się Marsjanin i cieszył się, a Psica krzyknęła „Kochanie”!... czy muszę dla kropli czułości iść aż na próg śmierci, ty ścierwo? rzuciłem jej słowa w ciemność i ostrze noża błysnęło mi koło piersi... a tymczasem z milczącego dotąd nieba ozwało się WRRRRRAAAUUUR i przed Marsjaninem pojawiła się w ziemi dziura, wylatywały z niej brukowce, i znowu: WRAAAOUII, dźwięk był teraz inny, bo Laotanka wybiegła z domu ze śrutówką przy biodrze, już kolejny raz nabitą... byłem dosyć dumny z tego, że najpierw uratowała życie mnie, jestem trochę próżny, przyznaję... między nami aktorami... WRRRAUII, strzeliła ku nim, już tylko tak, w powietrze, bo w tym dość kategorycznym dźwięku, który prosto do ucha zwała człowiekowi niebo ze wszystkimi widzialnymi i niewidzialnymi bóstwami, chodziło już o niemało... ich ranni szybko pokuśtykali za tymi, którzy zostali cali... także i my, zwłaszcza w tym upojnym poczuciu zwycięstwa, na rany nazbyt się nie skarżyliśmy, tak to już na szczęście bywa w takich bitkach. Tylko że potem weszliśmy do domu.

SIOSTRA

Odłamki, w nich też jest tamten czas, to ona, moja mroczna gwiazda wzięła mnie za rękę i postawiła w izbie. W kosmosie. Jest tu lustro. Odwraca mnie ku niemu, jestem w nim sam, tylko moja twarz. Ta kobieta mnie w nim zostawiła. Na dnie samotności. Na dnie samotności tak głębokiej i strasznej, że nie miałem o niej wcześniej najmniejszego pojęcia. Dopóki nie poznałem tego chłodu, którym ciągnie od gwiazd, nie wiedziałem nic o życiu. Chyba pętla drogi w końcu się zaciągnęła i to jest już rozpacz potrzasku. Nie, jej ręka odwróciła lustro od Chińczyka, a tam jest napis: *Tylko psy mają los*. Czytam dalej:

NIE BYLI POBICI. PÓŁNOC. W CZARNEJ. DOWIEM SIĘ, CZYM JEST
STUDNIA. CIENIE. DOWIEM SIĘ M.IN., DLACZEGO NIE BIJĄ.
SCHODAMI. CO PROPONUJE HADRABA. TEN ZNAK. TAK, TAK,
SIADAŁO SIĘ. INNA PACZKA.

Szedłem, trochę oszołomiony i dumnie skrwawiony jako pierwszy. Żywiłem też niejaką nadzieję, że jako pierwszy złapię poranną pocztę i że odłożywszy dla Kocura faktury i wszelakie ogłoszenia i reklamy trucizn, będę się mógł przynajmniej na krótką chwilę zanurzyć w *Prezydencie krokodłahów*, *Mechanicznym pomidorze*, *Kotwicy i Krzyżu* i dowiem się szczegółów, ponieważ coraz to nowe części klasycznych czytań przychodziły właśnie z ranną pocztą.

Tylko że nagle znalazłem się w otwartych drzwiach, gdzie ogień już nie tyle wściekle płonął, ile pokornie się tlił, zobaczyłem trupy dwu Laotańców, David, któremu ciekła krew, właśnie zszedł z piętra, bo przegryzł sznury. A więc to była naprawdę poważna rzecz, powiedział Bohler, stał obok. Wyglądał strasznie, z warg sączyła mu się krew, ale był to rezultat gwałtownego pocałunku Laotanki, pierwszego zaraz po zwycięstwie, z powrotem na szlaku życia, z którego tak łatwo może człowieka zepchnąć jakiś żelazny drąg.

Zadzwoń do Hradila, powiedział David, a ja zauważyłem na jego rękach krew. Miał przycięte albo oderżnięte opuszki palców. Małymi kośćmi albo nerwowo kręcił, albo trzymał je nieruchomo w powietrzu, chyba czekał, aż mu zaschnie; były to dość duże powierzchnie. Bohler stał nad trupami Laotańców, nagle do izby wszedł Łowca Rekinów. Jeden z tych, obok których walczyłem. Chwycił mnie za ramię, odwrócił i dotknął mojej ranki. Potem podszedł do zwłok, które leżały na podłodze, zauważyłem, że nawet nie były bardzo pokrwawione, mieli otwarte rany po wyrwanym ciele, szczególnie wokół żołądka. Nie byli pobici na śmierć. Bohler siedział w ich martwych nogach i modlił się. Łowca Rekinów ukląkł i rozłożył ręce. Klęczał tam jak jakiś niezdecydowany ptak. Helena! krzyknął David i popędził na piętro. Powlokłem się za nim. Zdziwiło mnie, że po drodze dwa razy upadłem. Wstań! powiedziałem sobie, zapewne dzięki okiełznanym emocjom zawsze zajmowałem pozycję nogami w dół, na wyroku, dokładnie według Stanisławskiego. Przy rozbitym ołtarzyku leżała Słowaczka. Chcieli ją zerznąć, obrócił się ku mnie David, ale potem mnie odwrękli... było ich tak dużo... Stwierdzili, że nie jestem... Czeszką, więc mnie nie... Helena miała twarz okrutnie postarzałą od dwóch krwawych śladów, całą twarz miała zasypaną jakimś pudrem. Chyba to jest puder, pomyślałem.

Poszedłem na dół. A potem znowu upadłem. Wróciłem do świadomości, dopiero kiedy poczułem, że mnie jakiś staling kłuje kopia na bawoły w zadek. Ale nie, to był Medyk z niezbędnym zastrzykiem. David miał opuszki palców z powrotem przyszyte, wachał je. Nie bój nic, powiedział mu Medyk, był czysty. Laotanka razem z zabandażowaną Heleną moczyły szmaty w brudnej wodzie... chcecie może, żeby ktoś obcy wyprał waszą krew! gniewała się. To sze ne da! zdecydowała za nas. Miała rację, kto wie, co by z tą krwią mógł jakiś wynajęty oszukaniec wyczarować. Czyście zgłupieli? zawołał Kocur, który właśnie wrócił w swoim pojeździe z handlowych negocjacji.

Oni nie głupieją, sterniku, tylko krwawią, wyjaśnił mu Medyk i na chwilę przerwał melodię, którą między szyciem i obmywaniem gwizdało powietrze, pełne kiepskiej pobitewnej gnuśności. Żaden tam eliksir, nakazał mu szybko orientujący się Kocur. A co, czy jestem jakimś mordercą? mruknął Doktor. Laotańce ze swoimi umarłymi odeszli do piwnicy... trupy w budynku, ulica pusta, powiedział Rekin. Gdzie byłeś? szepnął David i nie

spuszczał oka z Helenki, która odwrócona do nas plecami w półprzysiadzie myła skrwawione schody... na uniwersytecie w Trnawie nie mogła słyszeć o żadnym feminizmie bardziej rozbuchanego kalibru, Laotanka na swoich polach ryżowych, dzięki wszystkim żółtym i ostrym bogom, również nie... i zranieni mężczyźni pod tym spojrzeniem ozywali. Byłem w pudełku, powiedział Rekin i zaczerwienił się. A potem się tam zaplątał sznurek... byłem właściwie zamknięty w bucie... zmniejszyłem się... tłumaczył zbity z tropu Rekin... Przynieś Wodę, zagrział na niego właśnie zszyty Bohler i Rekin wyjątkowo posłusznie i bez żadnego gadania poszedł po alkohol. Te kciuki, to jasne, zawołałem i opowiedziałem o spotkaniu w metrze. Powiedział, że nawet umów podpisanych kciukami się nie zrywa... to było wtedy z Laotańcami, kiedy chciała ich pochłonąć Rock Cały Rok SA. Opowiedziałem o spotkaniu z Marsjaninem. Może trochę podkolorowałem swoją rolę w tym pociągu pędzącym po linii prostopadłej do cuchnącej Moldau, od wieków mocno ujętej w karby brzegów, pociągu, gdzie doszło do przekazania wiadomości... Laotanka gorliwie przytwardzała... jedyny świadek mojego bohaterstwa, jeśli nie liczyć przypadkowych i obojętnych pasażerów. Dopiero kiedy barwnie opisywałem, jak Marsjanin ze swoją uzbrojoną hordą rzucił się do ucieczki, wróciła do szmaty i wściekle szorowała umyte już plamy krwi... być może przesada rozwibrowała jej wściekłość w staccato pełnych gracji ruchów, moczyła szmatę i woda ciurkała, uważnie obserwowałem tą lady ze szmatą... wołałem już przerwać opowiadanie. Masz być wieczorem w Czarnej, tak? spytał któryś z pobratymców. Ale to niemożliwe, Hadraba to stary padrug z Kanału, to po prostu niemożliwe, żeby wynajął stalingów! Na nas, zawołał Bohler. Czasy wprawdzie się zmieniają, dodał Kocur, ale to by było już zbyt bezwzględne. A przede wszystkim bez sensu w interesach i całkiem idiotyczne. On jest z Północy, nie zapominajcie! Ale to... nie ten styl, wyraziłem przypuszczenie. A jeśli tak, to widzę już, jak płoną Usti i Teplice, i zaszary Chomutów, i wyniosą się z mateczki Pragi, buraki jedne, z powrotem do swoich sudeckich grobów.

Ludzie z Północy: wiele cienkich nitek i kabli łączyło nas z rówieśnikami urodzonymi na północy Bohemii, w tych zakątkach, których kształty zapisane na mapie co wrażliwszym przypominają głowę demona. Północ była pełna złych duchów, w powietrzu, na ziemi, a przede wszystkim pod nią. W czasach Kanału, kiedy my, prascy mieszczenie, konstruowaliśmy zdania wielokrotnie złożone i energiczne krótkie zdania petycji żądających natychmiastowego zwolnienia dziś już dawno zapomnianych więźniów politycznych, takich jak na przykład Chromýczy Mrtvý... długowłosi z Północy dostawali nieźle po dupie, ponieważ przesłuchujący wiedzieli, że najlepszy skutek przynosi bicie... W czasach Kanału, kiedy informacje o biciu praskich mieszczań szły w eter... a fotografie mieszcuchów z potarganą fryzurą zapełniały tygodniki ilustrowane wolnego świata... bicie i torturowanie długowłosych z Północy odbywało się na ogół jedynie przy akompaniamencie mniej lub bardziej aprobatywnego wycia ochrypłych od smogu wilków w najbliższym borze, koło którego ubecy zatrzymali akurat swoją żyguli z ofiarą... W czasach, gdy mnie – ze względu na częste angaże w aktorskim świecie – zmieniono prowadzących sprawę... zamiast kurdupłowatego sadysty Duchača i dwu prowincjonalnych łomociarzy, występujących pod wręcz szowinistycznymi nazwiskami Dvořák i Svoboda, do ponurego wnętrza wkroczył nagle przystojniak z wyraźnie sztucznym wysokim czołem, znawca poezji francuskiej... Ten idiota, to skurwione bolszewickie prosię, ten mutant całkiem jawnie służący Diabłu pozwolił sobie położyć mi rękę na udzie: Ależ niech pan to tylko podpisze, panie Potok, Czarlś

Bodler też był wariatem i oddawał się rozmyślaniom o śmierci, *Padlina!* Zna pan to, nie? mówił, jakby chodziło o kawał... no, pan tym rozmyślaniom też się będzie oddawać... W czasach, kiedy awansowałem z podopiecznego śledczych zajmujących się chuliganami na klienta śledczych zajmujących się artystami, gliniarze z Północy dawno zrozumieli, że oba te pojęcia często się pokrywają, i z muzykantami z Północy postępowali zgodnie z tą wiedzą. W czasach, kiedy naszych ludzi wyrzucano ze szkół i z kultury, północni długowłosi często

zarzynali kaca w najbardziej zwariowanych trujących fabrykach, skąd można było człowieka wyrzucić chyba już tylko za mur cmentarza. Dało się to zrobić. Żyją w przeklętych stronach, nieszczęsne buraki, ocenił ich sytuację Bohler pewnego pochmurnego bolszewickiego dnia w celi tymczasowego zatrzymania, gdzie się z łaski Boga poznaliśmy. To kara za poszukiwanie złota przez ich dziadów, ciągnął Bohler okrutnie. Wykopali stamtąd Niemców, poniewierali ich w obozach, to teraz mają.

Hadraba był muzykiem, jego dziedziną, kiedy po wybuchu czasu wszedł na ścieżkę biznesu, była głośna gitara basowa. W trakcie pobytu w więzieniu w Borach napisał muzykę do popularnego i często w pewnych kręgach cytowanego wiersza z nieprzebranego skarbcza. Przytoczę go tu dla ilustracji i lepszego dookreślenia tęsknej i okrutnej duszy człowieka z Północy. Dzięki temu nie pochłonie jej lecący czas, a my na stare lata będziemy mogli nucić ją wnukom, jeśli jakies będą i jeśli wynurzy się z ziemi Przed istnienia:

*Gdzie jest mój dom? w szlifierni w Minkovicach
gdzie jest twój dom? w wariatkowie w Borach
gdzie jest nasz dom? na trójce w najgorszej bryndzy na Kartaču
gdzie ojciec twój? radośnie kibluje w Rejnovicach
gdzie chrzestny twój? w lochu na Bytizie
gdzie jest brat twój? szoruje podłogi w Vinarnej
gdzie szwagier twój? na wężowych tańcach w lakierni w Mladej Boleslav
gdzie ojciec jego? na placu apelowym w Ilavie
gdzie jest brat jego? w ajncelu w Bělušicach
gdzie brat tego brata? na torach w Oračovie
gdzie kumpel twój? w karcecie w Mirovie
gdzie ojciec jego? na oddziale X w Ostrovie
gdzie jest syn twój? w Libkovicach się scwelil
gdzie drugi syn twój? robi połyk na Pankracu
gdzie trzeci syn twój? też tam w celi śmierci
gdzie matka twa? donosi w Pardubicach
gdzie siora twa? w Opawie ugniata z chleba kutasa
gdzie siora siory twej? urodziła bękarta u Apolinarego
gdzie córka siory twej? też tam wzdycha bo ma trypra.*

Różnice między naszymi a tymi z Północy nie tkwiły tylko w tym, że ich bardziej tłamsili. Istniały też kulturowe przepaście nie do przeskoczenia. My uwielbialiśmy skórzane półbuty, natomiast ortodoksyjny człowiek Północy nie zdejmował z nogi trampek. Naszego upodobania do kurtek i marynarek człowiek Północy nie podzielał, kochał swój sfatygowany zielony płaszczyk. Nigdy, nawet w najbardziej parne lato nie zdejmował obrzydliwego, często podartego na łokciach swetra. Praga była przeważnie katolicka, na Północy mieszkało bardzo dużo ewangelików. Ciągłe mówię o plemionach, a wewnątrz muskam tylko mimochodem. Nas wobec całej nienawiści do komuchów wiązał z terytorium Bohemii już tylko ten lew, którego szczęśliwym i niepojętym zbiegiem okoliczności mamy w godle, oni byli zatwardziałymi Baranami. Wspomnienie niemieckich kości straszło ich w genach; tam gdzie nasz wychylił kieliszek wina, człowiek Północy wypił całą flachę. Kiedy praski szpaner powoli sączył piwo i przebiegle mówił o problemach świata, żeby dla pewności nie doszło się od razu do istoty rzeczy, człowiek Północy chlał rum i ryczał. Dlatego nigdy nie można się było porządnie dogadać. W tych godnych pożałowania małych zadymionych miastach północnych buntowniczego człowieka Północy znał każdy milicjant i kiedy tylko mógł, strzelał go w mordę. Ci z Północy jeździli do Pragi odpocząć i nabyć doświadczeń, ale

ilekroć ich tam zwinęli, dostawali na ogół już tylko za to, skąd są. Było to diabelskie błędne koło. Słabych łamało, silnych hartowało, tak jak samo życie, tylko że znacznie szybciej.

Hadraba. A teraz mam się z nim spotkać, brzęczało mi w głowie.

Chociaż żaden z nas nie mógł strawić myśli, że Hadraba był zdolny wynająć stalingów, nie bardzo miałem ochotę do niego iść. Czarna to była kwatera główna Hadraby i bez jego wiedzy Marsjanin by mnie tam nie zapraszał, czegokolwiek mógł chcieć. Hitlerzy były nowym, obcym żywiołem i łączenie się z nimi ze względu na interesy... umowa, na której Laotańce odcisnęli swoje kciuki... oznaczałoby to, że Hadrabie odbiło. Ze czas, który go kiedyś tak okrutnie więził, zwraca przeciw sobie. To niemożliwe, uznaliśmy, i mieliśmy rację.

Tylko że ja wtedy jeszcze tego nie wiedziałem. Próbowałem wykombinować jakieś sztuczki, których musiał użyć Daniel w lwiej jamie, ale oprócz tej jednej nic nie przychodziło mi do głowy. Zaufałem po prostu Bogu i sobie i poszedłem.

Może będzie tam przynajmniej Czarna, mówiłem sobie. Ale kiedy pomyślałem, że spokojnie mogę zostać wystawiony na pośmiewisko i powszechną pogardę i napadnięty przez przeważających liczebnie przeciwników, chciałem już, żeby miała dzisiaj wolne.

Myśląc o Czarnej, piechotę, żeby rozluźnić lekko obolałe i utaćzone mięśnie, zwiedzałem okolicę. Bohler miał rację, nasza ulica, ta ostatnia miejska ulica, była wyjątkowo spokojna. Tworzyły ją tylko trzy nasze domy i zwyczajne szopy, magazyny i coś, co kiedyś, w czasach przedpotopowych było ogródkami. Z terenu, gdzie kiedyś stawialiśmy pałacyk rządowy, wystawały fundamenty budynku, którego nie będzie. Zardzewiałe rusztowania. Tu i ówdzie jakaś rura. Kałuża z plamami chemikaliów, niezmarszczona przez dżdżownicę. Zwykle po okolicy biegały miejskie psy i koty, od czasu do czasu człowiek dostrzegł szczerzącą zęby wiewiórkę albo szczura, ale teraz było pusto. Zauważyłem, że nasza trawa za domami jest zdeptana, i zdziwiło mnie to. Można się było spodziewać, że większość naszych lokatorów po bitce i tym ogieńku ostatecznie się wyniesie. Ale zaskakujące było, że znikli aż tak szybko.

W burzonych budynkach i tych z zaryglowanymi i zabitymi deskami drzwiami, koło których szedłem teraz do miasta, od czasu do czasu błyskało nielegalne światło. Pewnie i tutaj jest dziura, zaniepokoiłem się, muszę to powiedzieć pozostałym. Będziemy musieli coś z tym zrobić, żeby dziura nie rozpełzła się aż do nas.

Potem wolałem wsiąść do tramwaju. Na pętli byłem sam, ludzie zaczęli wsiadać, dopiero kiedy wjechaliśmy na ulicę. Koło cmentarza w kaplicy Najświętszej Marii Panny błyskały świece. W szarych miejskich kanionach, którymi jechał tramwaj po swych lśniących szynach, od czasu do czasu mignęła jakaś reklama ze Szczęśliwą Rodziną i pepsi-colą. Mała która świeciła stale. Jeden i drugi blask mówił o nadziei, i tu, i tam. Zaczęli wsiadać ludzie. Nie podobali mi się, a jeśli mnie zauważyli, ja im się pewnie również nie podobałem. Wolałem myśleć o Czarnej... przypomniałem sobie pewną piosenkę, którą śpiewała w klubie, ona bywa obsceniczna sama w sobie, a tym bardziej jeszcze jej słowa... ale jest taka zawsze we właściwym czasie i na właściwym miejscu... w klubie Czarna... gdzie indziej niestety nie miałem okazji... *wiem, cio chcesz wyblagać, obejmę ci girami...* śpiewała, a literackie *wyblagać* z dawnych czasów krzyżowało językowe szpady z *girami* ze słownika miejscowych, w ten sposób pojawiało się napięcie... dziecięce *cio* było pikantną przyprawą, a do tego zwałało z nóg tego faceta, adresata śpiewu... śpiewała to tak, że wszyscy inni go nienawidzili, bo Czarna mu przecież obiecywała *obejmę ci girami...* szczególnie podobało mi się to *ci*, przecież oznacza większą bliskość i namiętność niż *cię*. Do tego miała czarne włosy, a swoje drobne, ale stosunkowo dobrze wytańczone ciało okrywała przede wszystkim czernią, bielą i czerwienią, które są światłami najważniejszych z poznawalnych światów. Śledziła ruch w lokalu z miniaturowej estradki za nędznym forteklapem, śledziła go ostrym i rzeczowym spojrzeniem inteligentnej kobiety, a mnie parę razy przyszło do głowy... w walce

z Ognistą... z kolegami, ale także z Cepkovą albo z lwicą Elzą... przy starych naukach Davida... że każde pobliskie krzesło nabrałoby piękna, gdyby siedziała na nim Czarna. Miała też głos, przypomniałem sobie Bohlera, który po uratowaniu płyty z płomieni dodał głos do uznawanych wartości... głos Czarnej nawet na tyle zbił mnie z tropu przy pewnych szczególnie trudnych rokowaniach handlowych, że wsunąłem rękę pod stół obok siebie, brzmiało to, jakby była blisko, robiła to chyba w ten sposób, że szczególnie przekręcała słowa, może chciała być blisko... a kiedy podniosłem głowę, spotkałem jej spojrzenie... spróbowałem tego znowu... i znowu przez całą tę salę spojrzała na mnie, takim spojrzeniem, jakby czuła się trochę dotknięta... gdyby naprawdę siedziała obok, powiedziałałaby może: ręce przy sobie!... trzeci raz... znowu poruszyła głowę w moim kierunku, to działa, to nie do uwierzenia... powiedziałem lwicy Elzie... Tak, ale ty już nie działasz, powiedziała wtedy padruga i miała rację, na nią nie działałem... przez chwilę. I nagle w tramwaju skamieniałem, bo przypomniałem sobie głos wtedy na Skale i ostatnie słowa Psicy, jakie mi dała... obiecała, że spotkam siostrę... nie mogłem sobie przypomnieć, czy Czarna ma zielone oczy... nagle poczułem, że bardzo nie chce mi się tam iść... działało się zbyt wiele rzeczy jednocześnie, a ja nie byłem przygotowany... ale nie należy wnosić spraw prywatnych do biznesowej wyprawy, to jest elementarz.

Siedziałem dalej, chociaż tramwaj właśnie stanął, drzwi się otworzyły i miasto otworzyło swoje gościnne ramiona koło jakiegoś skrajnie podejrzanego nowego kiosku z parówkami i starego pomnika zapomnianego patrioty. Wysiadłem na Katowskiej, dawniej alei marszałka Czażożercy. Stara zła Praga, okręg 5, mroziła mi bolące nogi. Lekko i bojowo przebiegłem całą uliczkę Zmienną, dawniej W Mackach (potem nosiła imię jakiegoś ulubionego konia Budionnego), rozpędzony, przegalopowałem przez Galaktyczny, żeby sprawdzić, czy nie zobaczę kogoś znajomego, paru ich tam było, machnąłem im tylko ręką i wybiegłem na podwórko. Przelazłem przez mur. Za nim stanąłem i przez chwilę, skulony, nasłuchiwałem, ale słyszałem tylko swój cichy czujny oddech, anie odzywające się w głowie słowa możliwych opowieści. Nie było nigdzie nikogo. Jak chuligan powoli, stawiając pewnie nogi, z rękami ponad udami, na odpowiedniej wysokości i zewnętrznym kantem lewej dłoni nastawionym na ewentualny szept demonów, przeszedłem kilka zwykłych ulic i znalazłem się na alei Wyzwolenia.

Ta nazwa się nie zmieniła, zawsze pasuje, kiedy stare szczury wylatują za burtę.

Ponieważ szedłem na rokowania, i to do lwiej jamy, majcher został w domu. Ruchy wokół tego miejsca na biodrze, gdzie jakże często czułem przyjazny ciężar, miałem swobodniejsze, ale wydawało mi się, że to nie jestem całkiem ja, że jak gdyby od młodniałem. I tak na nic by mi się nie przydał. Gdyby coś się miało stać. Oby nie było tam dzisiaj Czarnej, lepiej nie, zaśpiewałem sobie i dalej szedłem chwiejnym krokiem tą brudną ulicą, gdzie lipy pachną jak w dzieciństwie.

Doszedłem do portalu – kościół Sióstr Męczennic był zamknięty. Zegarka nie nosiłem, ale było jeszcze jasno. Chciałem wejść między świętych i anioły, do siedziby Boga. Skręciłem w Dworcową do Świętego Brunona. Bar był niedaleko, a ja miałem wystarczająco dużo czasu, więc przez chwilę się wałęsałem i obserwowałem życie. Zwróć Padevěcie tą stówę zaraz jutro wieczorem! nakłaniała zamroczony gościa, który wysypywał śmieci, jakaś kobieta w lokówkach. Wykrzywił się w kierunku pierwszego piętra i z całego serca pogroził. Dama znikła. Rozumiałem go. Czyż wszyscy muszą wiedzieć, że jest winien Padevěcie tak zawstydzająco drobną sumę? Mieszkańcy szli z pracy do domu, zatrzymywali się w knajpach, kobiety targały torby z zakupami, tu czy tam widziałem wózeczek z kimś nowym, od czasu do czasu przechodził obok pies. Starsza pani, właściwie już baba, chwyciła się za serce, położyła torbę, rozejrzałem się, szukając budki telefonicznej, nie było żadnej, zanim zdążyłem spojrzeć za róg ulicy, baba chwyciła torbę i żwawo ruszyła do przodu, żeby zanieść mięso i torbę o kawałek życia dalej. Pozwalałem się po prostu unosić prądowi, przez chwilę

nie zważałem tylko na siebie. Matole, ty matolku... koło mnie stali trzej starsi Cyganie, najgorszy z nich trzymał mnie za kołnierz, ludzie w zasięgu głowy zaczęli zrećcznie mijać nas szerokim łukiem. Nie, to nie on, Fana, nie, nie on, powiedział jeden głosem pełnym rozczarowania. Na pewno nie? spytał Fana, mój nowy wróg. Nie, ten ma włosy, matolek. Nie, to nie jestem ja, poważnie, wycharzystałem. Wyglądało jednak na to, że Fana potrzebował dać komuś w mordę. Poczucie sprawiedliwości ostatecznie w zgniliznie jego pokrytej bliznami duszy przeważyło i Fana mnie puścił, wolno odeszli pilnować swoich spraw, tej zemsty, znikli z mojego czasu. Zauważyłem, kiedy tak na nich patrzyłem i myślałem nad tym, co właściwie Fanie powiedziałem, że przed nimi biegnie kilkoro cygańskich gówniarzy, jak czułki. Chytrze wymyślane, mruknięto coś we mnie, ale nie zgadza się to z małą umową, nie jest okej...

Kościół Świętego Brunona również był zamknięty, co się dzieje? Nie było tam jednak żadnej godnej zaufania osoby, której mógłbym spytać.

Nagle obok mnie przeszła chyba studentka, śliczne ramie było nachylone, bo łokciem przyciskała do boku jakiś buch, odbiłem jej niepytające o nic chłodne spojrzenie i patrzyłem: nie była to Księga, to *Historia sztuki* w takt chodu uderzała w jej bok, szła jak spokojne morze, w górę i w dół, jak jakieś niewielkie pedały, gdyby człowiek jechał bardzo, bardzo powoli... Stałem przed Czarną, teraz już w półmroku, bo dzień znowu dogasał, a złota głowa lwa, słoneczna kula niepowstrzymanie opadała za zbocze Petrzyna.

Przed Czarną na ziemi leżał na plecach jakiś chłopak, stosunkowo wysoki, pochyliłem się nad ofiarą... zielona czirokeska grzywa tkwiła w kałuży, kałuża zieleniała od kiepskiej farby do włosów, gość wyglądał jak z reklamy filmu o Dzikim Wschodzie, Hadraba spokojnie mógł go tam umieścić ze względu na głodnych atrakcji turystów. Uważałem, żeby nawet przypadkiem nie zbliżyć rąk do jego kieszeni, to znamy, te stare policyjne sztuczki, cha, cha, portfel w rękawie, na ręku bransoletka, jam chciał pomóc bliźniemu swemu, he, he, tajniak rad i kraśniej jak krewetka, przestępca na ziemi dygoce, już dobra wieść się szerzy o tym wspaniałym awansie bez pracy i bez pacierzy. Chłopak leżał. Chwyciłem go dość delikatnie za lewą zamkniętą powiekę i jednym pociągnięciem odsłoniłem źrenicę, perłopław bez perły, było to jak z książki o zaświatach, jego młodość wypełniła gorycz. Ale jeśli nie miałem halucynacji, oddychał.

Nadszedł czas, żeby wejść do środka i zorientować się tam w sytuacji, zanim stanę twarzą w twarz z wyjaśnieniami Hadraby. Tracąc otuchę, powiedziałem sobie, że może nie doceniamy niebezpieczeństwa i że nasze podstawowe założenie... nawet gdyby ten baran jechał całkiem bez jakiegokolwiek umowy, choćby północnej... przecież nie robi z nas wściekłych psów, przy wszystkich naszych znajomościach i przyjaciołach nie podbechta przeciw sobie Organizacji, nie jest wariatem, to biznesmen... musiała to być akcja rozpedzonych hitlerów... jasne, Hadraba jest jak komuchy, chciał nas trochę popierestrojkować, ale nie udało mu się utrzymać głupoli w spokoju... wątpliwość lekko mi rozwibrowała wszystkie kostki nadgarstków i żyły strachu... potem przypomniałem sobie zmasakrowane ciała Laotańców, pociętą Helenę i krew Davida... i jeszcze, i to nie jako rzecz najmniej ważną, swoją, i zdecydowałem, że jeśli Hadraba rzeczywiście w ten sposób to zaplanował, zabiję go. Wszystko jedno, jak i czym go ukatrupię, coś tam znajdę. Ciągłe trzymałem klamkę i tylko lekko, z początku trochę podstępnie, tak jak należy, wzbudzałem w sobie gniew... Pomogli mi Laotańcy z wyrwanymi żołądkami, byli to również bracia i Stary Bog postawi mi za to w swojej starej grubej czarnej księdze gwiazdkę... a gniew nadchodził i oto już tu był: głowa jest upajająco wolna, w sercu przybiera woda, ramiona cięższą od biesiej siły i chce się człowiekowi trochę roztańczyć... przejechać się po kimś... potem to przerwałem, wypróbowałem pytający, trochę ostry uśmiech krótkich chwil między przyjaźnią i tym, co po niej, następnie zaś przyjąłem trochę szorstką i dość znudzoną minę, z jaką wchodzi się do podobnych lokali; otworzyłem drzwi i wszedłem.

Pierwszym pomieszczeniem, przez które człowiek musiał przejść, była śmierdząca komora z jednym oknem, jak gdyby przeszklonym, z sufitu kapało, a po podłodze wały się stare cuchnące szmaty. Za ladą, którą – można by przysiąc – pomieszczenie się kończyło, stał osiłek z Północy, znałem go z widzenia dzięki częstym wizytom. Ta obrzydliwa speluna z paroma rozwalonymi krzesłami, które wyglądały tak, jakby wstały z nich właśnie trupy, była fortem Hadraby... chodziło o to, żeby nie włązili mu do lokalu normalni obywatele chcący spędzić przyjemny wieczór, szefowie oświadczający się sekretarkom, mafiosi szukający milkliwych bokserów do szybkiej roboty, zaharowani rolnicy miętoszący w rękach czapki i podobni niepotrzebni ludzie. Miał to niezłe wymyślone, napisy typu *Kopacze dołów, nie włączcie, idźcie chlać do knajp* były tu czymś zwyczajnym. Na próżno by szukać telewizorów i automatów do gry.

Fe, co za nora, a ja przyszedłem na kolację, mama mówiła, że macie tu dobrą dziczyznę... spróbowałem. Mirek, znaczy się szef, czeka na ciebie później, powiedział osiłek, ale mam ci powiedzieć, że jesteś w porządku gościem i że wszystko, co zamówisz, jest... zamyślił się i podrapał po typowych dla Północy długich i tłustych włosach... że niby możesz chlać na koszt firmy. No, i mam ci niby powiedzieć, że Mirek o wszystkim wie i właśnie niby robi, co się da, żeby wszystko było w porządku. Może i właśnie teraz Hadraba robi, co się da, ale nie robi masażu zimnych serc Laotańców, przyszło mi do głowy. Robi, co się da. Świnia! Załamałem się, ale była w tym chyba ulga... skoro mogę popijać na koszt firmy, to chce się pewnie godzić, wie bowiem, że to i owo zniosę, a jest z niego przecież skąpiec... Hej, słyszałeś mnie, przejdź dalej, a jedzenia tu nie mamy. Co? wzdrygnąłem się, zaskoczony nagłym obsuwem sensu, który wyleciał na mnie z jego słów. No, mówiłeś coś o jakimś mięsie, które jadłeś tu z mamą. Wyglądał na dosyć zdziwionego. To tylko tak pieprzyłem, na dworze leży jakiś ćpun. Tak, wiem, wyrzuciłem go, bił się tu. Ale on tam leży... No, to nas już nie interesuje, hadrabowskim tonem powiedział osiłek i uniósł ręce do nieba. Tam nie jest już w lokalu... to nie nasza rzecz. Idziesz dalej? Tak. Ilu ich tam jest i gdzie na mnie czekają? odpaliłem katuszę. Przecież ci mówię, że Miry tu nie ma, że niby przyjdzie i że masz to picie... najwyraźniej nie mógł pojąć, że mogę tankować za darmo... a już całkiem nie, że tego nie robię... ale mój stary irokeski podstęp nie chwycił, a ja tylko miałem nadzieję, że naprawdę jest taki głupi, na jakiego wygląda.

Rozsunął kotary, przeskoczyłem przez korytarz i potem już spokojnie, jak starszy pan w zalotach, może jak Goethe, wszedłem do środka. Wyglądało tu tak jak zawsze. Stoliki, krzesła, a na nich i dookoła ludzie, najpierw spojrzałem na estradkę, ale wił się na niej jakiś półnagi prostak, jego głos się nie przebijał, Czarnej nie było, nie przewracała oczami za mikrofonem, nie sprawiała wrażenia, że go zjada, to był jej wspaniały numer... nigdzie nie dostrzegłem jej czerwonego sweterka ani czarnych spodni wypukłych na udach... może szkoda, bo jeśli będę tryumfował... pomieszczenie było przede mną, mgła za mną, ruszyłem w kierunku baru za facetem z kolczykiem w kształcie pająka, pajak kołysał mu się nad ramieniem. Towarzystwo było tu międzynarodowe i irracjonalne: obok grupa Chińczyków napychała się jakąś obrzydliwą starą rybą, wszędzie pętała się alternatywna młodzież, przypomniałem sobie, jak Bohler po raz pierwszy usłyszał to wyrażenie, tylko odprychnął; hm, jaka tam alternatywa, nie ma żadnych alternatyw, sprawa jest jasna. Zgadzałem się z nim: tylko życie i śmierć, śmierć i życie, jedno i drugie. Z zadowoleniem rozpoznałem zapach trociczek, interesy kwitły, wszędzie pachniała trawka, te interesy kwitły również.

Na ulicy przy śmietniku leży sobie młody gość, odezwałem się do barmana słowami pewnej piosenki. Leży tam i jest mu źle, i jest sam, dodałem z głowy.

Przeżyję to, powiedział barman, a ja dałem sobie spokój.

Czego się napijesz? spytał i rzucił przede mnie menu.

Ja za darmo, poinformowałem go.

Nie szkodzi.

Przyjrzałem się menu, dwie nieznane nazwy. Wezmę piwo, wypaliłem.
Zabrakło.
Co to, wrócił stalinizm?
Już kiedyś wrócił, poprawił mnie.
To flaszkę czerwonego.
Jest zamknięta.
Co się wygłupiasz?
Mira mówił, że może smakowałyby ci te drinki. Powiedział, że jesteś dzisiaj gościem specjalnym. Staram ci się dogodzić.
Studiowałem nazwy.
K.z.r.d. b.b. To jakaś łamigłówka?
To jest Kazirodcza bomba. Mała siostrzyczka tequila razem ze starszym bratem meskałem.
No, to podwójną.
Drugi drink nazywał się Tajny smak. Spytałem, co to takiego.
To tajemnica.
Walnąłem w stół zebraczą legitymacją. Mów! Mam pozwolenie.
Nie była to już tajemnica.
Piłem Kazirodczą bombę i smakowała mi. Byłem pewien, że Hadraba nie może nic wiedzieć o Psicy, ale i tak ten przypadek z nazwą, atakujący mój mózg, wydał się podejrzany.
Od kiedy to tutaj macie? I od kiedy macie hitlerów jako swoich zabijaków?
Drinki od dziś. Drugie pytanie skreślał, bo go nie rozumiem. Pracujesz dla Ministerstwa Strachu?
Jestem na żołdzie Ministerstwa Miłości. Żadne hitlery tu me chodzą?
Ci, których wyrzucamy.
Kiedy próbowałem Tajnego smaku, wszystko wokół się rozjaśniło.
Co jest w tym smaku?
Wszystko, co chcesz.
Jakieś dziwne...
Po prostu jest to twój tajny smak, kto wie, jakie dziwne pragnienia masz w sobie, człowieku... jakie namiętności...
Nie analizuj mnie tu razem z jakimś Morawianinem...
Tak, Frojdzie, Frojdzie, zawsze do tego dojdzie, zaśpiewał barman i zakołysał pająkiem.
Zauważyłem, że od jednego ze stolików macha do mnie jakiś blady okularnik... przyzwyczałem się do tego, że zwłaszcza z okresu mojej kariery aktorskiej jestem dość znany... kiwnąłem głową... machał dalej i wskazywał mi krzesło obok siebie... no, dobra, dobra, ze szklaneczkami w ręku ruszyłem ku niemu... przeszedłem koło stolika, przy którym siedział ojciec Gorzała w brudnej komży, znana postać, ksiądz... musiał długo ukrywać się w Rumunii czy Albanii... w Meksyku wpłatał się w jakieś zabijanie... zły ksiądz, mówił Bohler. Był to drobny chudy facet, tutejsze wyrostki bawiły się jego kosztem, spowiadali się u niego, on brał to poważnie... Cześć, powiedziałem do okularnika, Potok, przedstawiłem się... Tak, ja wiem, gorliwie kiwnął głową, jestem do tego przyzwyczajony... ale ponieważ nie chciałem wyglądać na zarozumiałego, tylko na przyjaznego faceta, nie spytawszy go od razu o nazwisko, coś tam wybełkotałem, usiadłem i mówię: Tak, wiem, my... ty... ty jesteś... zadziało to jak zwykle. Benito! powiedział. No, jasne, cześć, Benito, serwus. Siedział pochylony nad stolikiem i pisał coś w brudnym notesie... Która jest? spojrzał na zegarek i odpowiedział sobie. Potem spojrzał na mnie. Nie, ja nie jestem Benito, Benito właśnie przyszedł, to Kolumbijczyk, unaswministersięmówi... koks, mruknął, ale to tajemnica. Zmieńmy temat, pozdrawia cię Romul.

Zrozumiałem, skąd wieje wiatr. Romuł był padrugiem z Kanaku. Był to wojownik i potrafił być w kilku miejscach jednocześnie. Walczył o państwo prawa. Pił wódkę. Nasze drogi się rozeszły, kiedy przyjął odpowiedzialność i stał się jednym z największych zwierzaków w ministerstwie. Tej znajomości Organizacja nigdy nie wykorzystała. Był chyba jedynym, o kim wiedzieliśmy, że nie wlaźby w macki, że by je uciął. W ministerstwie było wystarczająco dużo innych, którymi można było poruszać.

Jak on się ma? spytałem uprzejmie.

Świetnie, wspaniale! zawołał facet.

Ja jestem Agent, podał mi pod stołem rękę.

Jesteś tam nowy?

Tak, powiedział z błogością w głosie. Jestem tu przede wszystkim ze względu na te wasze kłopoty z młodymi.

Masz na myśli stalingów?

Może to być Lewy Front, Pionierzy Czerwonego Jutra, Obrońcy Flory i Fauny, chociaż ci raczej nie, Czarni Jeźdźcy, Brygady Ostatniego Terroru, ha, to wszystko się teraz wszędzie kotłuje, idzie to z Bałkanów, z Ukrainy, no, to jest tajne, będą reaktory, uran, to się rozwija, unaswministersiemi...

Co?

Musimy stosować metodę eliminacji. Postępować logicznie. To były hitlery.

To wiemy. Ale skąd ty wiesz?

My to wiedzieliśmy już od dawna... widzieliśmy to... w kuli, w zwierciadle, jak bym to tylko... nasi prognostycy... wieszczce i poeci, i psychotronicy...

Skłoniłem się ze zrozumieniem: ministerstwo było znane ze swoich skłonności do mistycyzmu.

Po prostu nasi jasnowidze to wszystko wiedzieli już dawno. Z pewnością pojawia się kwestia interwencji, tak. Ale spróbujcie zrozumieć, ministerstwo się przebudowuje, mamy mało samochodów i ludzi, szukamy zdolnych, a poza tym co się stało, to się nie odstanie! Czyli nasi jasnowidze nakierowali się odpowiednio i zobaczyli to. Ale kiedy zobaczyli, już się to stało!

A dlaczego nakierowaliście się na nas? Jesteśmy czyści jak lilie. Mamy umowę!

To możliwe.

Ale?

Są pewne inne rzeczy...

W przeszłości, teraźniejszości czy przyszłości?

Ciągle.

No i co, handlujemy. Bohemia to krajobraz i lew, i dawne dzieciństwo... właśnie rzucony cień podejrzenia zdenerwował mnie, tłumaczyłem... Organizacja cznia państwo, nic innego robić z państwem nie umiemy. Nie jesteśmy przynajmniej odpowiedzialni za te lufy, które niedawno błogosławił metropolita kijowski. Za te flinty, które posyłacie do Serbii Centralnej!

No i co, te same dostawy idą do Bośniackiej Dżamahiriji! Utrzymujemy równowagę. I jest to tylko broń obronna i ochronna. Jeden kolega, ale ty go nie znasz...

Tego honweda znamy dobrze.

Wiem, wiem, powiedział Agent. A co mamy robić. Do Stanów Zjednoczonych Europy nas nie wezmą. Nie weźmie nas też MATO, przecież nie mamy nawet ujednoliconych nabożów! To co mamy robić, musimy sami dbać o swoje interesy.

A te umowy z Emiratami Kaukaskimi...

Jeśli nie będziemy sprzedawać obronnych materiałów wojskowych, zrobi to ktoś inny. Kiedy zamachowcy załatwili naszego pierwszego wolnego prezydenta, znaleźliśmy to zapisane w jego testamencie. Mówi się o tym u nas w ministerstwie! Być może jest to

poniekąd i jedynie pozornie absurdalne... ale nie chce nas ani Mauretania, ani Oceania. Musimy się więc zachowywać w najwyższym stopniu rozsądnie.

Polujcie na belki we własnych oczach. My czniamy prawa. I tych waszych sędziów, którzy posyłali ludzi do paki. My jesteśmy plemieniem, które ma umowę. Ja jakiejś poczwarze, co mnie przesłuchiwała, kawki nosić nie będę do jakiegoś zasranego urzędu, gdzie się teraz przyczaiła, sram na nią.

Ale robicie z nimi interesy!

I co z tego? To jest mój wolny wybór. Nie muszę tego robić. Moja rzecz. A w dodatku jest to perwersja.

Mamy konstytucje!

Robili je ci sami, co pozostałe. Rozmaite doktorki z bolszewickich instytutów. Piekielni prawnicy, kolego Agent. Konstytucje to kawałki papieru. Przysięgają na nie ci sami, co działali zgodnie z poprzednimi, i śmieją się. Nigdy nic ich tak nie ubawiło. Przedtem tłamsili tych, których kazali im tłamsić, żeby dostać się do koryta. Teraz tłamszą, jeśli im zapłacić. A forsa dotarła do nich sama. To jest stara zła pierwsza Anglia. Rozkwit przemysłu. Forse mają piraci i zatrudniają gówniarzy, żeby koło się toczyło. Prawo nie istnieje, tylko stary Darwin. Wiem to. Także jestem w tym kole. Mówię to wprost, jak zwierzę. Przepraszam za zdenerwowanie!

Jesteście mafią, Potok!

Skąd, jesteśmy tylko paczką kumpli, którzy pomagają sobie wzajemnie.

Tą odpowiedź miałem przygotowaną i podobała mi się.

Nam wcale nie chodzi o żadne wasze interesy.

A o co?

No, dobra, więc bez osłonek. Ta wasza studnia to Zona.

Co takiego? wytrzeszczyłem oczy na Agenta. Nie mogłem uwierzyć w to, co powiedział. Zony były w mieście już dwie albo trzy i były złe, bardzo złe.

Mówisz to poważnie?

Tak. Ale siedź spokojnie, twoim kumplom to nie zaszkodzi, a nikogo innego tam nie ma. Sprawdzę to.

Odwrócił się na krześle i teraz to on wytrzeszczył oczy. Spodziewałem się, że wyciągnie nadajnik, ale ma go chyba w gardle. Obejrzałem się, żeby zobaczyć, na co się gapi. Za nami był stolik, przy którym siedziały młode dziewczyny. Czyżby go wzięło? Hej, powiedziałem. Dalej wytrzeszczał oczy, zaczął się pocić. Czy mam zawołać obsługę, żeby wypieprzyli tajniaka?

Uuu! wyrwało się z niego.

W porządku. Mieliśmy obawy o tę Słowaczkę, ale ona też tam może zostać. Teraz widziałem, jak tam u was jest, ja też jestem trochę...

Zagadka percepcji pozazmysłowej, powiedziałem, żeby widział.

No, uczę się, dodał. Przynajmniej będziecie wiedzieć, że ministerstwo teraz walczy...

Szybko sobie powtórzyłem: Zona to zło, Zona wciąga czystych, Zona to tunel. Nic więcej o tych miejscach nie wiadomo. Uświadomiłem sobie, że mówię na głos.

Agent, zadowolony, kiwnął głową. Nie wydawał mi się już taki młody.

Zgadza się, powiedział. I jeszcze parę rzeczy.

Zona to nie jest jakaś miejska dziura, gdzie zręczny i obrotny człowiek mógłby przeżyć, powiedziałem. Jest to Zło.

Jest to droga do niego. Dlatego wyruszyły tam hitlery, powiedział Agent. Ci Laotańcy po prostu weszli im pod nogi. A ten biedak Hadraba dostarczył pretekstu.

To idiota!

No, powiedział Agent, on nie jest w mateczce zbyt długo, wyszczerzył zęby i usprawiedliwiająco rozłożył ręce.

W tej chwili w duchu gratulowałem Romulowi jego odkrycia.
Jak ci smakował drink, a jak się podoba nazwa?
Co, co takiego?...

Byłem pewien, że ci przypomni Závorová... Barbarę.
Milcz albo...

Albo nic. Po waszym dawnym zespole została w ministerstwie niezła teczuszka. Wiemy, że Závorová uciekła wtedy do Niemiec.
Wiecie, gdzie jest teraz?
Noo, wzruszył ramionami i postawił oczy w słupek.
Nigdzie nie uciekła, uniosła się w powietrze, wyleciała w czas... Psica! Powiedziałem jej imię głośno przed obcym człowiekiem, gliniarzem... dopiłem i podniosłem się.
No może wiemy, a może niewierny...
Znowu usiadłem.
To zależy...
Od czego?
Nachylił się nad stolikiem i wypowiedział to piękne gliniarskie zdanie:
To zależy tylko od ciebie.
To w porządku. Jestem za. Ale...
Ale co?
Ale ja mam umowę.
No jasne. Wy jesteście taką bandą moralistów, Bohler, ten bogomił...
Daruj sobie, powiedziałem znudzonym tonem.
Zaczniemy od drugiego, a potem pierwsze, powiedział po prasku. Myślę, że znaleźliśmy metodę, wiemy, jak czyścić Zony czy przynajmniej zatrzymać ich działanie. I zmusić je, żeby wypłuły to, co w nich znikło. Oczywiście oprócz hitlerów. Chodzi o proces oparty na magmie tellurycznej, na wewnętrznym żarze... ale ty tego i tak nie rozumiesz.
Nie, a o co chodzi wam?
Przed wami jest Towarzystwo Spesartskie, to żebracy, potem Abdulimah, tym pozwolimy wyzdychać, jacyś Jezydzi, a potem wy. Według prawa jesteście dopiero na końcu, ale sam wspomniawszy o starym Darwinie. Tak więc za jeden jedyny m. dla medium, kolejny jeden m. na konto ministerstwa i jeszcze jeden m. na inne konto, no i jeszcze jeden m. dla mnie rzucimy okiem na tą waszą studnię w pierwszej kolejności.
Teraz już wcale nie wyglądał na bladego młodego gościa. Już nawet się nie jękał. Aktora Potoka pokonał inny komediant. Ile ten ma masek, pomyślałem z odrobiną profesjonalnej zazdrości.
Tyle, ile potrzebuję, powiedział Agent.
A potrafisz dalej? spytałem w duchu i pomyślałem: dynia żre marchew, pręty sieką.
Robak skacze, chodźmy z jedną, powiedział z wahaniem.
Ha, ha. To pierwsze przyjmuję, ale kiedy ją zobaczę, gdzie jest? Závorová... jak ją nazywasz.
Tak wiele też nie umiem, powiedział szczerze Agent. Ale bądź gotowy.
Ona mi to mówi także.
Bądź gotowy. Jicha odezwie się do ciebie.
Co? On jest z wami?
Nigdy niczemu się nie dziw. Ja nazywam się Rudolf i przynajmniej przekonasz się, że ministerstwo...
Cześć, Rudolf.
A to drugie, już się namyśliłeś? Wieczorem może przyjść medium.
Nie widziałeś tego jeszcze w lustrze?
Widziałem, kiwnął Rudolf.

I co tam było?

Że to przyjmujecie. Nie musiałeś się nawet naradzać z innymi.

Więc dobra, przyjmujemy.

I przynajmniej przekonasz się, z kim teraz ministerstwo walczy...

No?

...z Diabłem, szepnął i wstał.

Zostałem przy pustym stoliku. Gwar dookoła rósł, więc na szczęście mogłem się skoncentrować. Zona, to niedobrze. Może będziemy musieli się wyprowadzić. 5 m. to niemało, zobaczę, co na to Kocur i David. Spojrzałem pytająco na barmana i popukałem się w to miejsce na rękę, gdzie ludzie noszą zegarek. Pokręcił głową i zrobił znak „czas”, „dużo czasu”. Dobra, wobec tego spróbuję się tu urządzić. Nie dało się jednak nie myśleć o tych dwóch córkach Doktora, które tam znikły, i o dzieciach lokatorów... może jednak nie przyłączyły się do band bezprizornych. Kiedy zacząłem myśleć o psach, kotach i wiewiórkach, nie wytrzymałem i przenieśliem się do baru. Po drodze przystanąłem przy stoliku, przy którym siedziały młode dziewczyny. Właśnie doszła do nich jakaś dalsza siedemnastka, ostrzyżona prawie na łąsą pałę i, co widać było dzięki jej kusemu strojowi, mocno wytatuowana. Dzieeewczyny, dzisiaj tu podobno grają Niebiescy Murzyni, zawołała... tylko nie wariuj od tego, ty kapliczko mamusi, powiedziała inna siedemnastka z długimi czarnymi włosami i twarzą Madonny, to znaczy tej dawnej Madonny. Przepraszam, nie wiecie czasem, czy nie będzie tu wieczorem Czarnej? spytałem grzecznie. Nie, jest na porodowym, powiedziała Madonna. Co takiego? Ona... nie mieściło mi się to w głowie... nosi szczeniaka? He, he, parsknęła dziewczyna, zwariowałeś?... lecz tam skorbut, pryszczycę, kaca. Słuchaj no, postaw lepiej swoim siostronom jakiś poczęstunek, nie stój tu tak, baw nas! Nie, nie jesteście moimi siostrami, a ja dzisiaj muszę jeszcze walczyć o sprawiedliwość, może przyjdę później. Może nie będzie już nigdy żadnego później, powiedziała Madonna przepitym głosem, a ja pod tym brzemieniem ledwo szedłem dalej.

Szedłem po picie i starałem się słyszeć tylko dookolny zgiełk i urywki rozmów... człowiek nie musi przynajmniej za dużo myśleć o swoich mrocznych sprawach... w końcu dlatego tu chyba wszyscy byli...

Zająłem stanowisko przy barze. Półnagi piosenkarz na estradce wpadał w ekstazę, zauważyłem, że ma warkocz owinięty drutem kolczastym, i kiedy tak trochę tańczył, smagał sobie plecy do krwi... *parę razy się tu zakręcisz i wachasz kwiatki odspodu uuuajii*, nie dało się z tym nie zgodzić, *jak zarzynane byydło uuuajii*, to było za mocne, więc przesiadłem się gdzie indziej. Stałem w rogu pod ścianą. I jeszcze zanim usłyszałem te ciche głosy, dostałem gęziej skórki.

Ludzkie kobiety jedzą mięso, dobrze się przypatrz.

A tamta...

Tamta ma w brzuchu zarodek. Mięso rośnie im w ich mięsie. Czasem je zabijają.

Żeby je zjeść?

Nie. Spalić. A tamta też, ale jeszcze o tym nie wie.

One rodzą żywe młode?

Na ogół. Teraz już tak. Ale martwe też są do nich przywiązane sznurem z mięsa. Dawniej się go przegryzało. Teraz go przecinają.

Myślę, że ten przed nami nas słyszy. Mam go zabić?

Nie trząsałem się. Próbowałem znowu słuchać piosenkarza i lekkim, niewymuszonym krokiem przejść do baru. Nie mogłem się jednak poruszyć.

Czekaj. Sprawdzę, czy nas słyszy.

Nagle odezwało się: Kochanie! Przeszło to przeze mnie jak biała igła bólu. A potem odezwał się jej śmiech, przyjazny i cichy: To ja, braciszku, jestem już z tobą. Odwróć się, żebym cię mogła objąć! Wiedziałem, że to nie jest... nie może być Psica... to był stary język:

Odwróć się, spójrz na mnie! Chcę cię zobaczyć. Odwróć się i już zawsze będziemy razem, obiecuję ci. Chodź do mnie, miłości moja.

Jeśli się odwrócę, będzie tam Śmierć, wiedziałem to. Ale zaczynało mi być wszystko jedno. Pociłem się jak w piecu.

Hej... chlapiesz bombę, co? zawołał barman.

Tak, wybełkotałem i zrobiłem krok, potem następny... i odwróciłem się, ale nikogo tam nie było. Już nikogo tam nie było.

Co jest? spytał barman, kiedy wyczerpany oparłem się o bar.

Oj, cholera, cholera, no, człowieku, dodał, kiedy zobaczył męską łzę, która ciekła mi przez szczecinę.

Wiesz, może tak działa ten nowy drink...

Daj mi jedną Kazirodczą...

...to dziwne, ludzie widzą czasem ważne rzeczy...

Lej Kazirodztwo i nie pieprz...

...ale nie jesteśmy tu na psychiatrii czy coś...

Bombę!

To nie becz. Jest dopiero dziewiąta.

Odszedłem i usiadłem na pierwszym wolnym miejscu. Zęby jeszcze na skraju szklaneczki, lekko czknałem, bo napotkałem głodne spojrzenie ojca Gorzały.

Dobry wieczór, synu.

Dobry wieczór, ojciec, powiedziałem uprzejmie.

Wyglądał na zadowolonego. Tak się tu do niego raczej nie zwracano. Nazywano go Paczanga.

Twoje wysokie buty, synu, mogą kryć nóż wojownika albo zwyczajny brud, twoje niestrzyżone i niemyte włosy mogą być lwią grzywą albo owczym runem przygotowanym dla każdej silniejszej ręki, twoje srebrne ozdoby, drogi synu, mogą oznaczać rzewność męża albo próżność fircyka, twoje tatuaże mogą zawierać ukrytą prawdę tajemnicy, ale mogą też być skórą wężową, zakrywającą złe serce, twoja blizna może być świadectwem walki o sprawiedliwość albo raną, którą cię obdarował... zakrztusił się.

Ale przeczytał mnie jak książkę. To było coś.

Czego się ojciec napije? Ale musi ojciec tam skoczyć.

Dziękuję, powiedział dumnie, zgarnął pieniądze i ruszył w kierunku baru.

Wyprostowałem nogi w wolnej wreszcie przestrzeni... siedziałem pod ścianą sam. Jednym skokiem znalazłem się przy nim, przestraszony ścisnął pieniądze. Nie, nie o to chodzi, uspokoiłem go, boję się być sam, więc lepiej... Spojrzał na mnie zaskoczony. Kiedy barman wciskał mu do ręki menu z Kazirodczą i tym drugim cudem, zabrałem mu je.

Brandy, powiedział ojciec Gorzały. Poproszę brandy.

Zna ojciec księdza Bohlera? nawiązałem konwersację, kiedy byliśmy z powrotem przy stoliku.

O, to jest heretyk, żyje z sektą bogomiłów, obcuje z poganką, synu... ty go znasz? przerwał zakłopotany.

Tak, powiedziałem, ze słyszenia. U nas w parafii ludzie mówią, że to dobry człowiek... starym językiem nie mówiłem od dawna, ale skoro chodziło o księdza, chociaż był to ochlapus, starałem się... i że ta grupa, że się wspierają i są w porządku, ojciec.

To nieszczęśnicy, którzy zniekształcają nauczanie Kościoła, to mutanty, uważaj na nich, synu. A w której parafii jesteś?

Eee, tutaj, szefie, ojciec, Praga 5.

To na pewno znasz czcigodnego ojca Dobiáša. Taki wysoki, rudy?

Na te sztuczki nie można mnie było nabrać. Nie, ojciec, takiego nie znam.

To dobrze, powiedział ojciec Gorzała, zadowolony, on bowiem nie istnieje. Nie gniewaj się za ten mały podstęp, synu. Nie wyglądasz...

Zna ojciec ojca Konrada od nas, mojego dobrego pasterza... taki niski i zezuje.

Oczywiście, synu, jest to wierny służebnik Pański. Znamy się trochę.

Ojcie, czy mogę o coś spytać...

O co chcesz, synu. O co chcesz.

Dlaczego Stary Bog jest taką krwawą świnią? Dlaczego ciągle nas pożera? Boję się czasem, że zwariuję.

Tylko poruszył głową.

A ja czasem się boję, że już zwariowałem, powiedział. Nie dziwię się, że też do nich należysz... nie istnieją już prawidła, dlatego się boimy. Dopił.

Wasz Kościół zna wszystkie prawidła, ale nie zna ani jednego ludzkiego serca, czytałem to gdzieś.

Niech człowiek sam bada swoje serce, to jego wolność. Pozna je i tak tylko według prawideł, powiedział ojciec Gorzała.

Bo... to znaczy pewien mój znajomy mówi, że niektórzy są potępieni już za życia... w wieczności, niby na nią.

Gdyby był potępiony jeden... ojciec Gorzała rozejrzał się po lokalu i wrócił spojrzeniem do mojej twarzy... jeden jedyny grzesznik w tym pomieszczeniu, to chcę być potępiony razem z nim. To chyba jest bluźnierstwo.

A pan naprawdę wierzy w Boga?

Gdybym nie wierzył, to zdejmę te... tę szatę i mogę pójść rozładowywać wagony, mogę iść do jakiegoś urzędu albo żebrać, to by było wszystko jedno, ale ja jestem członkiem Kościoła, a Kościół strzeże prawideł, daje świadectwo...

Przecież spisali pana na straty! Przecież z pana ochlapus!

Może jestem marnym księdzem, ale to jest poza mną, nie mogę tego odwołać. Mógłbym też... zabić się albo zabić ciebie, byłoby to obojętne, nic by już nie istniało.

Wobec tego właśnie tego chce Stary Bog, wyszczerzyłem zęby w uśmiechu.

Zamknij mordę! wrzasnął ojciec Gorzała. Zamknij mordę! Zamknij mordę! Napisz to na podłodze, wytatuuj na swojej brudnej skórze, patrz na to, kiedy obudzisz się w swoim barłogu!

Co się dzieje? Stał przy nas barman. Mam go wyrzucić?

Nie, powiedziałem. Przynieś brandy. Napije się jeszcze ojciec, nie?

Tym razem kiwnął niemal niezauważalnie.

Wierzę panu, wyszło ze mnie. Proszę pójść ze mną, może pan mieszkać z nami. Przyszło mi to do głowy niespodziewanie... czułem, że z tym ojcem Gorzałą nie bałbym się, nie wiem dlaczego, w końcu był w gorszej sytuacji niż ja.

Nie, nie mogę.

Bohler jest w porządku, to... porządny człowiek. Przecież to tylko pomocnik, wybełkotałem.

Nie chodzi o niego, ale wy mnie nie rozumiecie. Nie mogę między was... jest jeszcze wielu ludzi, którzy nigdy nie słyszeli Wieści, którzy nie wiedzą nic. Wy przynajmniej żyjecie w spółce.

Ma na myśli chyba Nowinę, przyszło mi do głowy, w końcu to być może to samo. Gdzie pan mieszka?

Śpię tutaj albo... różnie.

Mieszka pan na Wysypisku?

Też. I na dworcu.

To nie może długo trwać.

Czasem modłę się, żeby to nie trwało długo. Co oczywiście też jest grzechem. Pan ma schronienie, to dobrze, niech pan je szanuje. Te pańskie plemiona, to już było, i na pewno wszystko zacznie się od nowa. W tym jest nadzieja.

Dlaczego mówisz mi, ojczy, per „pan”?

Kupuje mi pan przecież alkohol...

Pierwszą kolejkę też kupiłem ja.

Wtedy chciał się mnie pan pozbyć.

Miał w sobie coś z psa. Ale i tak mu wierzyłem... że to wszystko myśli szczerze.

Jestem jedynym księdzem, który tu spowiada... pijaków. Powiedział to tak, jakby się chwalił.

I naćpanych?

Też... czasami.

Ale tego przecież nie wolno.

Tylko że... znowu spojrział tym swoim psim spojrzeniem... to prawidło zmieniłem, oni by inaczej nigdy... a może skoro naruszyłem jedno prawidło, zawali się cała budowla? dodał, a oczy mu lśniły.

Jest pijany, uświadomiłem sobie. Już pójdę, powiedziałem. Wstałem i podszedłem do baru, Uważałem, żeby być stale pośród ludzi. Pajęczemu barmanowi, który widząc mnie, gorliwie przybiegł, kazałem zanieść księdzu flaszkę.

Hadraba powiedział, że ty za darmo, ale nie inni.

On nie jest żaden inny, biorę drinka.

Potem coś mi się przypomniało i wróciłem do Gorzały.

Ojczy, dzisiaj dwa kościoły, do których czasami wstępuję, były zamknięte, a nie miałem kogo o to zapytać. To jakaś nowość?

Więc ty nic nie wiesz, biedaku?

Czego?

Papież ogłosił interdykt. W mieście już przecież od tygodnia nie słychać dzwonów.

Ja gazet nie czytam. Ale dlaczego Papież...?

W gazetach tego nawet nie było. Nie ważę się sądzić dlaczego... ze względu na Zony, ze względu na sekty, ze względu na nas, nie wiem. Ale będąc tam, gdzie jestem, zaśmiał się, będąc tam, gdzie jestem, nie wzbraniam się powiedzieć, że to okrutne.

No, jest to surowe.

Nawet te ostatnie owieczki nie mają teraz dokąd pójść.

To niech się zmieniają w wilki, he, he, dodał znieścacka barman i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Niech tą flachę wychyli tych dwóch naszych pedryli! Smacznego, panowie, powiedział Pajęczak.

Ojciec Gorzała szybko sobie nalał. Jak gdyby ktoś mu chciał zabrać butelkę.

Interdykt. Teraz wszyscy są jak ja. Prawie, powiedział.

To stary dureń i niedługo wyniosą go nogami do przodu, szepnął mi barman.

Eee. Zamknij się! powiedziałem dosyć głośno. Zamknij się!

Czyś ty zgłupiał? Słuchaj no...

To nie było do ciebie.

Usiadłem z boku przy wolnym stoliku i powiedziałem sobie, że gdybym teraz usłyszał Cienie, to może się odwrócić. To „może” było cienką kładką, którą zostawiłem sobie, żeby przeskoczyć przepaść. Kiedy już jakby powoli napinałem łydki, prawą piętę mając wbitą w podłogę, a lewą wychyloną w powietrze, Pajęczak puknął mnie w ramię.

Szef czeka na ciebie, palcem wskazał w górę. Było tam biuro.

Zaśmiałem się.

Masz na myśli Boga?

O tym nic nie wiem, mam na myśli Szefa.

Sporo to trwało.

Ale będziesz zadowolony.

To się zobaczy. Dzięki.

Wyszedłem na korytarz, a potem ruszyłem kręconymi schodami. Już ze schodów widziałem, że w biurze się świeci, i usłyszałem głosy. Dwa, ale to nie musiało nic znaczyć. Zabiłem nieduży strach ruchami ramion i szyi, a kilka ostatnich schodów przeskoczyłem, żeby oswobodzić oddech. Otworzyłem drzwi. Przy stole siedzieli Hadraba i Jícha. Tak szybko? wyszczerzyłem zęby do tajniaka Jíchy. Hadraba opierał nogi na jakimś worze, który wyglądał jak dekoracja z papy. Ręką wskazał puste krzesło. Usiadłem naprzeciw nich.

Wszyscy aktorzy to cioty, zaczął Hadraba.

Ale ja jestem kobietą. Byłem ciekaw, jak to przyjmie.

Przecież nie masz cycków.

Cycki to nie wszystko. W ogóle ci wszyscy muzykanci to patentowani narkomani pełni wszelkiego świństwa, rozwinąłem sztandar.

Ależ nie, ja jestem pełen bożego światła.

Z ciebie bije raczej światło szczurze.

Ten szczur to może Jezus.

Twoja baba jest Jezus.

Ach, tak, powiedział Jícha.

Uśmiechnęliśmy się do siebie przyjaźnie, wiedziałem już przecież, że to nie był plan Hadraby.

Następnym razem pomyśl, zanim podjudzisz dzieciaki, gdzie szukać, co?

Nie będzie żadnego następnego razu, powiedział Hadraba. Przysięgam na honor i wszystko. Chcecie jakiegoś odszkodowania za przeżyty strach?

My ludzi się nie boimy, powiedziałem. Chcemy 5 m.

Nie mam, chcecie mnie zniszczyć?

Studnia to nie jego wina, uprzytomniłem sobie.

Proponuję wam coś innego, powiedział Hadraba. Pochylił się i odgarnął z worka kawał papy. Zobaczyłem twarz Marsjanina. To, co z niej zostało.

Zyje? spytałem ze ściśniętym żołądkiem.

Jeszcze tak, to wasza rzecz, powiedział Hadraba. Chcecie go dać Laotańcom? To on zabił tych dwóch. Kiedy otworzyli mu drzwi, dziabnął każdego z nich. I to on rozbił wam ołtarz, świnia, powiedział Hadraba i plunął mu w twarz. Powieki Marsjanina poruszyły się i szeroko rozwarły. Patrzył na mnie.

Pozdrawia cię stare koryto, powiedziałem mu. Patrzył na mnie uważnie, a ja miałem żołądek pomiędzy dwiema płytami. Nie żeby mi go było żal. Ciągłe budził we mnie strach.

To jest Marsjanin, ten twój wstrętny poseł, powiedziałem.

Nie interesuje mnie, skąd jest, ale przestał żyć, kiedy rozwiązał sprawę po swojemu. Był to mój poseł, ale już odbyłem pokutę, powiedział Hadraba.

Możemy dać mu spokój, już raczej nikogo nie skrzywdzi. Albo możemy... Hadraba zrobił znak „koniec”.

Nie musiałem długo myśleć. Dobra, powiedziałem i zrobiłem właściwy znak.

I znowu jest w porządku, tak?

Tak, znowu. W pewnej chwili myśleliśmy, muszę ci powiedzieć, że o wszystkim zapomniałeś i że nie masz żadnej umowy.

Nie jestem samobójcą, powiedział Hadraba i zakrył Marsjaninowi twarz.

Nie chodzi o twoją śmierć, tylko o to, co będzie po niej, rozsądnie powiedział Jícha.

Jak funkcjonuje wolna prasa? spytałem go.

Na papierze.

Jícha był także znajomym z Kanału. Skomplikowana postać, młody poeta. Coś o nim w ostatnim czasie słyszałem. Teraz znowu siedzieliśmy naprzeciw siebie. Musiałem ruszyć mroczniejącą ścieżką pamięci w praczas, tam gdzie w zamglonym archiwum przechowują twarze, gesty, szmaty.

Jícha już od jakichś dziesięciu lat występował jako czołowy młody poeta, ale ponieważ swoje pierwociny utopił w samizdacie, nikt właściwie nie wiedział, co pisze. Znany był dzięki swej podziemnej przeszłości. Jego jedyny tomik *Kocham cię pod zegarem wariactwa* wykupiły głupie gimnazjalistki i ich perwersyjne nauczycielki. Potem już poezji nie pisał, wyczerpał romantykę dawnego podziemia i musiał znaleźć coś naprawdę krwawego. Niejasno przypominały mi się reportaże o napadach na domy noclegowe gastarbajterów. Jícha oparł na nich swoją karierę porewolucyjnego dziennikarza. Wcisnął się pomiędzy Wietnamczyków, których w latach 1 i 2, i 3... po wybuchu czasu były w Bohemii dziesiątki tysięcy...

Usadawiłem się wygodnie i przypomniałem sobie Kanał: ludzie, a znam przecież tylko Pragę, bywali niekiedy tak wściekli, że potrafili odreagować już tylko w najobrzydliwsze sposoby. W powietrzu ciągle wisi potrzeba ludzkiej ofiary. A kto ma się ciągle troszczyć o zaspokojenie tej niezmiernie głębokiej ludzkiej potrzeby nienawiści? Należy ona przecież do podstawowych praw człowieka. W moim czasie na powierzchni betonowej płyty ofiar już nie składano, skądże, to działo się tylko na dole, w piwnicach, tam gdzie obrzydzenie fermentowało, gdzie było tyle kryminalnej energii. Tyle niewykorzystanej energii. Frustracji i bezsily. Nienawiści nie dawało się już skierować przeciw kilku wisielcom, jak przed laty. Obraz nieprzyjaciela, starych Stanów Zjednoczonych i nowych sygnatariuszy Karty 77 od początku był wybladły i niemożliwy do użycia, nawet dla tych, którzy go ubarwiali.

Moja wiedźma wyjaśniła mi, że było rzeczą niezbędną znalezienie nieprzyjaciela, masy, która przekonałaby miejscowych, że nie jest im tak źle z komunizmem w sercu Europy. Ta masa znalazła się w komunizmie w Azji. Za frazesami o braterstwie krył się dynamit: mali azjatyccy mężczyźni i dziwne azjatyckie kobiety w zbyt dużych waciakach i butach roboczych pokazywali Srodkowoeuropejczykom inny model człowieka. Naczynia połączone pod dwoma czerwonymi szklanymi pokrywami wymieniły kilka bąbelków. Zorganizowane wędrówki ludów za pracą m.in. znowu potwierdziły słuszność prawa zachowania energii. Niedawało się jej całej spuścić z wodą klozetu do hal fabrycznych. Migracje gastarbajterów bogu dzięki ot tak, mimochodem zmieniły oblicze etniczne Bohemii, a z międzynarodowych umów, liczb i wykresów rozwinęły się liczne osobliwe kwiaty stosunków międzyludzkich. Całkiem możliwe, że znowu kłamię, ale właśnie to mówiła ta stara wiedźma. Siedzieliśmy u niej na Smichowie.

Na wschód Europy przyszedł ich setki tysięcy. Byli pokarmem fabryk i wzmacniali pewność siebie miejscowych towarzyszy swojego losu nie tylko dzięki swoim małym postaciom i niedorzecznym brejom, które jedli zamiast legalnych i jedynie słusznych kiełbasek i piwa, ale także dzięki opowieściom o wojnie, głodzie i zabijaniu w ich własnym kraju, gdzie rzeczy te działy się nie dalej jak wczoraj. Krzyżowanie tych ludzkich rodzajów było zakazane, a jeśli do niego mimo wszystko dochodziło, jako że miłość jest szaleństwem, to tylko wtedy, kiedy urząd zamykał oczy. Masy, kontrolowane przez urząd, poznawały się czułkami. System kontrolowania ludzi był bowiem bardzo dobry, pamiętam to. Wymykali się mu chyba tylko neurotycy... tylko kilku bohaterów przebijało się samodzielnie, od czasu do czasu zrywali jakąś flagę, przepisywali na maszynie na przykład K..ę, porywali samolot, rozwalali gablotkę informacyjną Centrali Rewolucyjnych Związków Zawodowych, uczyli się języków, walczyli o sprawiedliwość, modlili się, kradli arbuzy, napadali w ekstazie na gliniarza... przecież w najmniejszej próbie postawienia sobie w zakratowanym kraju wieży widokowej tkwiły drastyczne pierwiastki ruiny wieży Babel, pamiętam to. Wściekłość pragnienia, żeby rozwlec się po świecie, rozpostrzeć się na wietrze, nie mogła się

wyładować, pozostawała wewnątrz. Była to wściekłość krążenia po klatce, wściekłość zwrócona przeciw sobie samemu. Zabiję się, zabiję ciebie albo kogoś innego, konieczne jest hasło wściekłości, ostatniego przystanku. A winę ponosi oczywiście ofiara.

Bohaterowie (a Jícha do nich należał) niekiedy budzili się w punkcie między pijaństwem a kacem w rozbitym szkle wystawy sklepowej, właśnie w tym punkcie, z którego nie da się wrócić, budził ich ból ciała pociętego odłamkami, budziły ich do życia milicyjne syreny. Jeden z nich zdołał nawet w celi uciąć sobie uszy.

Ale owi bohaterowie, którzy przeskakiwali przez szyby wystaw i niszczyli swoje ciała w dumnym poczuciu samozaspokożenia wściekłości, to były natury bardziej skomplikowane. Neurotycy. Artyści. Zbrodniarze. Masochiści. Mieli wielkie prometeuszowskie problemy z wątrobą. I nie było nigdzie żadnego orła, co by zleciał z nieba, gotów ją wyrwać. Wszyscy ich olewali. Przyjęli odpowiedzialność i sami za siebie płacili. Wolę płacić niż dziękować, mówił mi Timpo. Jest dziś buddystą. Ma ogoloną głowę i nowe zęby. Gryzie nimi ziarna. Gdzieś tam żyje.

Tak, tak, siadało się czasem z kolegami na ponurych spotkaniach. My chłopcy mieliśmy przynajmniej trochę lepszą sytuację, musieliśmy się popisywać przed dziewczynami... swojego plemienia... o tyle gorsze życie miały one, ponieważ każda niegłupia kobieta z natury jest miła, subtelna i piękna, nie musi się szczególnie starać. Tak, kiedy ktoś z naszych rodaków spojrzy wstecz w głąb historii, mówił Bocian na jednym ze spotkań... czy to nie wstyd... przeżyć? Tyle tego masakrowania... to masz ciągle... Pikardyjczycy, waldensi, Hus, Biała Góra, głodzenie, więzienie, od czasu do czasu egzekucje... cenzura i wygnanie... obozy niemieckie, radzieckie, czechosłowackie, niektórzy zdołali zaznać ich wszystkich... kułakistan... lekkie i ciężkie bombardowania... rozmaite loty nurkowe... wszędzie druty... wilczury... najlepsi ludzie zabici, wygnani, zamykani... i tak ciągle... zawsze w mordę... nie dziw się, jak potem wyglądają ci ludzie na ulicy! Nie ma w tym iskry, nie ma w tym szyku... klops!... Tak, tak, kiwaliśmy głowami i odpluwali tytoń... i poczekaj, aż komuchy padną i otworzy się archiwa, to będziemy gęby rozdziawiać, ilu tu było tajniaków... ich się nie otworzy, już ty się nie bój... znowu zawrze się nową umowę społeczną i będzie tak, jakby nic się nie stało, zapomni się o tym, znowu zamknie się oczy i wszystko pójdzie dalej... Dokąd?... Nie da się! Ja już nie mogę nic zapomnieć, już sobie nie dam ukraść siebie... swojego czasu, krzyknął jeden z nas histerycznie... ale komuchy nie padną za naszego życia, już ty się nie bój... my nie padniemy, żaden Tobruk, żadna choćby Warszawa, będziemy się tutaj zabijać i zabijać, i zabijać... w Kanale... historia? Husyci? Hi! Zabijali księży, wieprze. Tak... bitwa o Anglię! W porządku... ale w cudzym wojsku! Mediolan, król Władysław! W porządku, ale to było dawno... Człowiek coś by sobie przypomniał, kogoś... gdyby nie zgłupiał... Jasne, był taki stary i mężny nauczyciel, grał go jeden aktor w filmie, ciągle nas na to prowadzali, na te krwawe gotyckie komusze superprodukcje... Ruscy zabijali tam Niemców i wszystkich innych... siebie nawzajem... Zawsze jak z kolegami i koleżankami ze szkoły zanurzałem się w mroku kina, rozkręcała się tam jakaś bestialska czerwona komunistyczna historyjka albo nekrofilm, chodziło tylko o to, żeby wyeliminować Bajzę, okpić Hałę i nie zwrócić uwagi Glasera... i zręcznie i niezauważalnie zając miejsce obok Věruški... często mi się to udawało i potem żałowałem, że nie jestem podwójny... już wtedy, bo z drugiej strony jej chronić nie mogłem... a na ekranie się zabijało... początkowo niektórym było od tego niedobrze... dziewczynki rzygały... ale potem przyzwyczailiśmy się do tych katusz, rozerwanych ciał, walących się domów i miotaczy płomieni... miało to ładunek emocjonalny fajerwerków, powiedziałbym z perspektywy czasu... starszych dzieci już na to nie brali, bo przeciwciała pobudzały do drwiny, a drwina oznaczała w stosunkowo dużym bezpieczeństwie ciemnego kina ryki, chichoty i głośne rady: Zarznij go! Papapapa! Cel: ruska świnia! Załatw go, idiotko! Itd., itp., a nasze tchórzliwe nauczycielki, które przestały być paniami i zostały towarzyszkami, nie mogły sobie z nami dać rady, a później

zaczęły wśród kolegów krążyć flaszki... obmacywaliśmy koleżanki, tylko te, które chciały, a także całowaliśmy się... Bajza rozdał raz prochy... był ćpunem od trzynastego roku życia, przejął to od braci... i film był niezłe zmieszany z halucynacjami, przynajmniej u mnie, Věruška niespokojnie mnie szturchała i wierciła się... nie ruszałem się... ale w tym wariackim widowisku była też pewna Zasada Moralna, ten wymyślony stary nauczyciel, ten aktor... Wyższa zasada moralna, powiedział klasie, kiedy zbiegiem okoliczności Niemcy zabili kilku jej uczniów: Drogie dzieci, zabójstwo tyrana nie jest zbrodnią! To był film o terrorze po zamachu na Heydricha, niektóre ulice śnią o tym do dzisiaj, pewni ludzie zabili wówczas tyrana, zanim sami zostali zabici w wyniku zdrady... w kościele!... a my mieliśmy dobry pretekst do czujnego mrugania do siebie, pokasływania, szurania nogami i spiskowego smarkania, bo to było dobre hasło... film tym hasłem się kończył, ale my dalej szuraliśmy nogami i robili miny, ponieważ dobrze wiedzieliśmy, jak to wygląda dalej w rzeczywistości, kiedy filmy się kończą... ten nauczyciel powiedział to przed całą klasą, więc na pewno ktoś go potem zakablował i jego też zabito, jasna sprawa... ale to już było obojętne, tak się rzeczy mają, a tych smarkaczy w filmowej klasie było mniej więcej tylu, ilu nas... i czekałem, kiedy jakiś mój nauczyciel czy nauczycielka wstanie i powie... coś... ale oni mówili, że inwazja jest w porządku, że jest to radosne wydarzenie, a Rusczy to Wielcy Bracia... tak, tak to kiedyś było... kiwaliśmy głowami na swoich naradach i odpluwaliśmy tytoń... tu i ówdzie ktoś walczył z niesprawiedliwością... niektórzy ćpali... Hála uczył się chińskiego, a Glaser siedział.

Było w tym sporo z poczucia odrzucenia, chłopcy i dziewczęta dostali od świata policzek i bardzo szybko zobaczyli, że mapa jest czarna... funkcjonował już tylko najgłupszy humor... była to część ich rozwoju, mieszkali w podsłuchiwanym mieszkaniach... a spotkania były ponure, póki Bocian nie wynalazł swojej nauki dotyczącej mrówek, ale to już mówiłem... a rano wschodziło słońce, w zasadzie codziennie, od czasu do czasu historia dawała komuś pomysł albo wprawiała go w paroksyzm, Bohler: Proszę, indiańskie misje w Ameryce Północnej, bracia morawscy! I czescy i morawscy jezuici w Południowej! A Bocian: Pułkownik Bedřich Placák, powstanie słowackie, wielkie góry, wielkie cekaemy, ale to jest tajne! I przynosiło się Ognistą, i dzień przeżywał się sam.

Stary dobry trybalizm... tylko że... mówiłem o krążeniu po klatce, o wściekłości, o ofiarach. Ten, kto skacze przez szybę wystawową, płaci za siebie i za swoje demony. Łatwiej jednak złapać sobie kota, bezdomnego psa, pisklę jaskółki, jakiegoś spokojnego i niemego, nieposiadającego żadnych praw niewolnika, kogoś, kogo to boli i kto nie będzie mówić.

To już na uniwerku braliście, nie? powiedziałem do wymyślanego rozmówcy z nowych czasów.

Jasne, tylko że to było w programie właśnie w ten zadziwiający dzień, kiedy zapomniałem indeksu w stołówce, odparł.

To wszystko wie nawet małe dziecko, ukradnij mu hulajnogę, niech zorientuje się jak najszybciej, niech wszystko będzie dla niego jasne; to walka dobra ze złem, zabrzmiało między nami.

Gastarbajterzy przyszli w ostatnich latach starego czasu jak dar niebios.

Ich masowego napływu zdołali posmakować nawet najprostszy obywatel.

Nienawiść poszerzyła swoje upusty i popłynęła daleko w głąb nowego czasu. I Jícha miał co robić, został z nienawiścią na scenie.

Ja opowiadam sam sobie: wszystko jest jasne i zawsze takie było. Wszystko rozumiem, wszystko kapuję, słucham z pełnym zaangażowaniem. Patrę na siebie, też bym kopał. Najlepiej jest powalić czorta na ziemię i dokończyć sprawę butami.

Jícha też potrafił całkiem zabawnie opowiadać o swoich podejrzanych doświadczeniach i okazyjnych interesikach. Od czasu do czasu wycisnął nawet z kogoś pieniądze. Tylko że stare okropieństwa z czasem bladły, na nowe opowieści brakowało sił i słuchaczy i jego akcje

bezpowrotnie spadały. Gastarbajterzy mu z Bohemii odeszli albo uciekli do upragnionych krajów. W dodatku zabijanie w nowym czasie spowszedniało i obywatele już reportaże Jíchy nie bawiły. Był coraz bardziej posępny. Właśnie w czasie, kiedy stwierdził, że wprawdzie może już wreszcie pisać, o czym chce, ale że nikogo to nie interesuje, wyrzucili go z gazety. Podłożył tam bombę, żeby coś się działo i żeby miał o czym pisać, bo podróżowanie go nudziło. Potem było coraz gorzej. Zaczął nawet podobno znowu pisać wiersze. Ale gimnazjalistki tymczasem się zestarzały, utraciły subtelność i żyły swoją własną poezją. Nowe gimnazjalistki nie czytały już absolutnie niczego. A profesorki Jíchy nie interesowały. Od czasu do czasu jakiś koleżka zapewne z przyzwyczajenia pochwalił go w prasie. W końcu Jícha był nieźle agresywny, a Perła jest mała. Adresy działów kulturalnych są w każdym senniku. Więc przynajmniej najchudszy krytycy z nim uważali. Przez pomyłkę Jícha zgarnął nawet kilka nagród literackich. Nikt nie wiedział za co, a najmniej on sam. Pętał się po różnych redakcjach i żywił się okruchami. Dla radia robił programy o nieżyjących poetach, których sobie wymyślał. Rzecz wyszła na jaw, gdyby był w zenicie swojej podziemnej sławy, zostawiliby go, ale tak zrzucili go ze schodów. Słyszałem, że na jakiś czas zniknął z Perły. Mnie było to obojętne, nie musiałem mieć go na wyciągnięcie ręki.

Świetnie, że wróciłeś, mówił Hadraba w kierunku Jíchy.

Tak, dawno cię nie widziałem... gdzie byłeś? spytałem uprzejmie.

Fiuu! wyrzucił z siebie Pająk, nawet nie zauważyłem, że wszedł.

Miał przecież stypendium! dodał zawistnie.

Tak, kiwnął głową Jícha. Jako literat ruszyłem w świat. I jako literat i obieżyświat wróciłem, mówił głębokim głosem.

Pająk zaszurał nogami.

Tak, przyjaciele moi, szacowna bando, wróciłem, bo mi to i owo porządnie zaświtało, ciągnął Jícha. Ale nie o tym będzie moja opowieść.

Hadraba wygodnie rozprostował nogi. Pająk przelazł przez tekturową dekorację z trupem i usadowił się na krześle. Jícha przeciągnął się, zamknął oczy i zaczął na swoim miejscu kiwać się z boku na bok. Skapowałem, o co chodzi.

Różne grupki wzmacniały swoją wspólnotę technikami narracyjnymi. Chyba z wrodzonej skromności nie wyjaśniłem odpowiednio, że w okresie, kiedy Ziarnista zaczęła rzucać migotliwe spojrzenia z wnętrzości wszelakich martwych oczu najróżniejszych mówiących głów, my, wierzący i smakosze, wracaliśmy do trójwymiarowych opowiadaczy i aktorów.

Lubiliśmy, kiedy rozmowa tworzyła się bezpośrednio przed naszymi oczami i tylko za pomocą odpowiednich organów, całkiem tak samo jak za dawnych czasów, kiedy żyło się tylko w jakichś chałupach na bagnach i w przybudówkach. Od tej żywej mowy było w naszych pomieszczeniach mniej chłodu. Chłód wewnątrz pozostawał, a człowiek mógł m.in. trójwymiarowego przed sobą powalić, jeśli nie był zadowolony. Pochwał z zażenowania się skąpiło.

Jícha stosował, może z uwagi na gwałtowne zakrzywienie swej duszy, metodę węża Kaa, którą znaliśmy z filmów o Mowglim. Wtedy wąż Kaa kołysał się i swoim potężnym śliskim ciałem kreśląc na piasku pętle, ściągnął w ten sposób przywódców Małpiego Narodu Bandar-Longów przed swoje jadowite kły. Ale to wszyscy wiedzą.

Mnie ten sposób wydał się dość charakterystyczny dla Jíchy.

Osobiście daję pierwszeństwo metodzie podnoszącego się głosu.

Tak, tak, kompani moi, ruszyłem w drogę, mówił Jícha z zamkniętymi oczami... przechylił się lekko w lewo, przechylił się w prawo... ruszyłem w świat i opowiem wam o tym, przyjaciele moi, Jícha wychylił się w lewą stronę, potem w drugą i znów z powrotem... jako krótki wstęp, będzie to może odpowiednie, chłopcy... hm, no, tak... słuchajcie dobrze... słyszycie mnie, prawda, kompani... słyszycie mnie dobrze... będzie to niewielka opowieść dla was, dla waszych uszu, dla waszych dusz... mówił, a ja zauważyłem, że Hadraba już

opuścił powieki, Pajęka nie widziałem, ale siedział cicho jak trusia... mnie już oczy się kleiły... a Jicha zaczął swoją przemowę... wcale bym się nie zdziwił, gdyby miał ją przygotowaną... ten chytry szarlatan...

JÍCHA: «ZAPŁĄTAŁEM SIĘ. PUŁAPKA. KARNAWAŁ. ŻYWY JĘZYK.
WIELKI ŚNIEG. WIOSNA LUDÓW. NIEBEZBIECZNY AUTOBUS».

Wy wiecie, że w czasach swojej bolszewickiej młodości czasami cierpiałem, bo egzystencja sprawiała mi ból, bracia moi, i że nie wstydziałem się wkładać go w język i zapisywać tym papier, i w ten sposób zwracać na siebie uwagę. Niektórzy z was robili to również. Bazgraliście po papierze, bracia i piraci, nie mówcie, że nie, i jakiegokolwiek tam były to słowa, pisaliście ciągle to samo, a mianowicie: Jestem tutaj. Kochasz mnie? Wy wiecie, wilki i procarze, że jest to pułapka na ziewającego czytelnika, który nic nie wie. I podobnie jak wychodziłem po mieście, swoim terytorium, i szukałem artefaktów, przedmiotów ducha, tych pigułek przeciw ludobójstwu. Wiecie, wy Tomcie Paluchy i żuki gnojniki, jak naładowane rzeczy powstają: poprzez sztukę przeżywania za pomocą samozniszczenia. Nic nie wygrają, ale są tu, wy to wiecie, lokaje i woźnice. I gdy tak grubiańsko i egzystencjalnie zwracałem na siebie uwagę, bracia moi, powoli zaplątałem się w język. Kiedy go ugniatałem, tak tylko dla siebie, deptałem po nim, gładziłem go i wykręcałem, język się bronił. I tak powstawało napięcie. A potem wpadłem w pułapkę. Tylko że jeszcze przedtem zobaczyłem tą kobietę i mam dla was małe pytanie, łucznicy i strzelcy.

Są różne możliwości... liczne... ale ty idziesz... wstałeś i idziesz... ta kraina jest niegościnna... na horyzoncie nawet tu i ówdzie pożar... idziesz, jest ci zimno, chce ci się srać i jesteś głodny... a w krzakach nawet, proszę, trup... a ty idziesz... jest ci trochę niedobrze... a nawet jesteś kobietą!... ale taką trochę flądą, powiedziałbym... nieładną, niemłodą... jesteś w ciąży... z kimś tam... chyba z jakimś żołnierzem... są różne możliwości, są tu różne rzeczy... idziesz, przedzierasz się przez skrawek brudnego powietrza... na drodze walają się tylko konserwy, wybrakowane... jest to tak trochę śmietnik, idziesz przez śmietnik... wahaś się... są przecież możliwości... co jest za horyzontem? Wkradają się wątpliwości... kolejny horyzont... a za nim... idziesz i wahaś się, ale kiedy się odwrócisz, żołnierska dziwko i markietanko, kiedy odwrócisz się i spojrzysz wstecz, miła sestro... zobaczysz tam Egipt! Niewola! A przed tobą i wokół ciebie jest wolność.

Przyjmuję!

Gorliwie kiwaliśmy głowami, wymieniali uśmiechy, szeptali między sobą, tak nas Jícha nie zrobi... o, nie.

Też to przyjąłem, rzeźbiarze i kamieniarze, ale nie pozbyłem się swojej namiętności, swego majstrowania, czyli kultywowania i degeneracji tekstu jednocześnie, pragnąłem pracowni i ruszyłem do Europy, bracia moi. Dzięki Przyjaźni. Na pewno pamiętacie lata 1 i 2, i 3, i następne, kiedy wyłaziliśmy z Kanału, powoli i ostrożnie, żeby nie opanowało nas od razu powietrze. Ja, bracia moi, zanim ruszyłem swoją ścieżką, zaplątałem się w Kulturę... chyba przestałem być niewolnikiem, ale stałem się sługą... działów kulturalnych... musiałem rozmawiać z młodymi autorami i starymi tekstami i zebrać u ministrów i banków, i importerów pomidorów, nie mam nic przeciw nim! I bywać w kuluarach i mówić, i milczeć, i robić „pst!” i „buu, buu!”, bo spadałem... gdzieś, ale ztracałem się w swojej dzikości, a jako że niewolnictwo zabija, bycie sługą zaś poskramia, to co jest gorsze? Kilo słoniny? Albo świniny? Obserwowałem innych w Kulturze, to było straszne! Całkiem do niczego! I tam dążyłem. Nuda nad nudami! Nuda mówienia! Staw, w którym ryby przewalają się przez siebie i już nawet nie walczą, bo nie ma o co! Uważali mnie za niepoczytalnego... wielu nie znało nawet podstawowych prawideł leśnego zbójcy z Szylera: Jedyne możliwe stosunek

między tobą a publicznością to wojna... drogi czytelniku! Najlepiej blitzkrieg! Nic innego nie wchodzi w rachubę. Wtrącali mi się do artykułów, żeby dały się czytać. Co za idiotyzm! Właśnie ci ludzie w końcu chwycili zbójcę i poszedł na łamanie kołem. Wiedziałem, że muszę spieprzać, zanim będzie źle. Być ostrożnym! Uważać na swój język. A ja nic innego wtedy nie miałem. Redaktorzy na moje powitanie kierowali kciuk do dołu, wcale nie miałem tam łatwo. Plotki, dochodzenia i pomówienia, i małe oszczerstwa. Kolegium, potem kolegium, potem zebranie. I paranoja. Gadanina jełopa. Działy kulturalne, najchętniej, widząc je, położyłbym palec na spust! Papka, drobna kaszka, sługa działu kulturalnego to sługa karła Reklamiarza. Miałem takie wizje: Wiesz, czym będziesz po śmierci? Jeszcze nie, Szefie... dżdżownicą?... szafką na buty?... a może... bohemistką albo pedałem? Nie, będziesz profesorem estetyki. Nie, to zbyt okrutne, proszę o litość. A jak nie będziesz uważać, to wiesz, czym będziesz jeszcze dłużej? Czym, Szefie? Dziennikarzem w dziale kulturalnym popularnego tygodnika! Aj, ajajaj, oj, joj. Jezu Chryste! Dawać tu restaurację wegetariańską i karetkę. Natychmiast! Tak to ze mną było. Przecież to znacie, kanonicy i kapucyni, mnie w tej Kulturze nikt już nie miał nic do powiedzenia... wam też nie, kolekcjonerzy naładowanych przedmiotów, wy to wiecie, żadne kurze farmy mnie nie złapią. Potrzebowałem wyrwać się stąd, odwrócić się plecami do karnawału, czatowałem przy drogach, którymi jeżdżą dylizanse... czekając na okazję. A potem, bracia moi, w zwykły sposób, czyli łażąc tu i tam, dowiedziałem się o Domach Przyjaźni dla Artystów. Byłem wtedy młodym autorem, pozbierałem mnóstwo nagród literackich i setki tytułów i kilka do doktoratów za dobre sprawowanie... to wszystkich innych tak cholernie wkurwiało... wiedziałem, że na jakiś czas muszę zniknąć... za miastem stawiali mi Łuk Tryumfalny... jadłem liście laurowe... i wstrzykiwałem sobie kompot... latałem na Pegazie uwieszony jego ogona... głową w dół... a raz byłem aż w Brnie w telewizji i kiwałem głową... inni młodzi autorzy i pisarze wieszali się, miałem całe aleje z wisielcami... byłem wtedy młodym autorem, tak żyłem, jak zwierzę... a moje parszywe idiotyzmy wychodziły w kantonach pekińskich, malajskich i w Paragwaju, bo miałem sporo kumpli, utrzymywałem różne znajomości... międzyplemienne pobratymstwa, działało się podplacaniem, pochlebstwami... a kiedy sztuki telewizyjne i słuchowiska zaczęli mi nadawać nawet po chińsku, słowackańsku, morawacku, mordwińsku i grotesku, w języku za i w języku obok, na Aleutach, rozwibrowało to membranę zawiści pewnych pismaków tak bardzo, że zacząłem dostawać różne anonimy, homonimy i maszyny piekielne, żona musiała to otwierać w kuchni, bo inaczej zabrałbym jej komputer... tak, dla pewności spieprzyłem do Domu Przyjaźni dla Artystów, dostałem się tam... przyjechaliśmy, my z kiepskich krajów, do tego nienazwanego upragnionego kraju, znaleźliśmy się tam, bracia moi, i zdumieliśmy się... Domki Przyjaźni... i te sklepy! I opakowania! Sklepy w dosyć oddalonym mieście, dlatego w oddalonym, żeby nic nam nie przeszkadzało tworzyć i żebyśmy nie nudzili, pełne były wspaniałości, niewiarygodnych opakowań... żarliśmy witaminy... było bardzo pięknie, bardzo dobrze... Bene! międzynarodowo mówili Rumuni... bardzo bene! odpowiadałem uszczęśliwiony... w tej Francji... i w swoich domkach swobodnie pisaliśmy wiersze, wycinali tytaniczne posągi i śpiewali arie... Węgrzy wymieniali z Bułgarkami jedne papryczki na inne... polscy poeci żwawo wszędzie się kręcili... Ossi mierzyli ogródki... Kanacy wyrwali podłogę i upiekli bawołu... Litwini, Estończycy i Łotysze otoczyli Rosjanina i zaglądali mu do kielicha... stary Chińczyk poświęcił się kaligrafii... ja wyglądałem z okna i uśmiechałem się do Słowaków, ja byłem najinteligentniejszy, Czech! Robiłem tam za Czecha, przyjaciele, padło na mnie... pisałem same bzdury... musiałem ze względu na te nonsensy często wietrzyć... a ten upragniony belgijski kraj mówił nam: jesteście wolni i macie czas... był to dar ich organizacji, nazywała się Kultóra, tak jak u nas. A kiedy nie chciało mi się pisać, wskakiwałem na konia i jechałem, i szczekałem na wilczury, i krakałem na gawrony i odwrotnie, a potem pod lasem zobaczyłem wilki!

Pozdrowiłem je, ale wilki chrupały trawę i spytały: Was? W tym upragnionym kraju wilki nie były wybite, były oswojone, bracia moi! Pojechałem do domu i miałem gorączkowe sny, plątał mi się język i był zły. A rano zatelefonowałem do zarządcy, ale nie porozmawiał ze mną... poleciałem samolotem w góry, bracia moi, i wspinałem się, wy wiecie dokąd, szefowie i wodzowie: tam, gdzie mógłbym znaleźć swoje miejsce... a pierwsze mrowisko było ogrodzone drewnianymi żerdkami, więc mrówki miały ograniczoną przestrzeń, żerdki połączone były siatką z drutu... to ma je chronić, zaśmiałem się złym śmiechem... wspinałem się coraz wyżej i zobaczyłem go! Krążył chwilę nade mną i opuścił się w dół... ale! Słońce załśniło na jego szponach, był zaobrączkowany, bracia moi... a na szyi... miał obrózkę! Nie mówił... sio, przegnałem go... wspinałem się coraz wyżej, był tam wilk, zawołałem: bracie, tu żyjesz! A on stanął na tylnych łapach, służył... uciekłem z tej góry. Wróciłem do swojego domku i poddałem go szczegółowym badaniom... podłoga była pęknięta... do piwnicy nie poszedłem... tego już się trochę bałem... rozglądałem się za pozostałymi... zrobiło się ich mniej... najbliższe miasto było daleko... niektórzy nie wytrzymali picia samotności i dośpiewali do końca swoje arie, i wrócili albo rozpełzli się, żeby sprawdzić swoje możliwości w tym upragnionym kraju... ja zostałem, a mój język był trochę ranny... a dni mijały... wszyscy Ossi rozproszyli się po tym upragnionym kraju... mówili podobnym językiem... niektórzy z innych zapodziali się pomiędzy regałami w supermarketach... Rosjanin miał wątrobę w ambulatorium... Bałtowie poszli walczyć... Bośniacy też szli właśnie do wojska... Chińczyk znikł w Chinatown... Kanaków upolowali w metrze skinheadzi... Wietnamczycy znikli w Viettown... został tylko Węgier, bo nikt go nie rozumiał... Bułgarki dalej śpiewały zachrypniętymi głosami, bały się jechać do miasta... pierwszy raz były zagranicą i nie wiedziały, gdzie są... a potem coś się stało... zaczęła się zima, a domku nie ogrzewano... i ja, młody poetyk i pisarz, musiałem zagrzewać się gorzałką... piłem dużo... naprawdę sporo, znacie mnie, wy rabusie i szantażyści... i zacząłem bać się chodzić do supermarketu, bo natrętni sprzedawcy ciągle wmuszali mi nieznanne rzeczy, a ja nie mogłem odmówić, byłem przecież gościem i autorem... zapomniałem się myć, odbiło się to na moim języku... zacząłem go zapominać, nie wiedziałem już, jak długo tam jestem... i zaczął padać śnieg... wybiegłem pomiędzy domki i wrzeszczałem: Wracaj, skąd przyszedłeś, jest mi zimno! Ale on miał mnie gdzieś, padał. Czułem, jak kostnieję, i wiedziałem, że kilogram śniegu jest cięższy niż kilogram żelaza... przyszła Bułgarka i mówi: Akwa? Jest' u ciebia sam akwa? Akwa minerała? Waser, ju min? pytam jak głupek. Najn, akwa normal na drink end... ewrisin. Dwa dni nie było w kranach wody, koledzy i pobratymcy... nie bardzo jednak rozumiałem tę dziewczynę, bo jej chyba przemarzył głos, kiedy mówiła, padały kawałki lodu. Włazłem z powrotem do domu, do łóżka i pisałem, szefikowie i najemnicy, i wykorzystałem ten lód. Okien nie dawało się domknąć, nie rozumiałem tego... piłem gorzałkę, bracia moi, i moja wątroba zrobiła się ciężka... wiedziałem, że ten były orzeł by mi nie pomógł... zły! A kiedy chciałem pisać przy biurku, ciężkie stawały się moje nerki... ciągnęło tam i zaczęło to wyglądać niedobrze... młody autor i pisarz w tym upragnionym kraju zachorował... ciało i ducha zagrzewać musiał płomieniami wódy, ponieważ zimno to również żywiol... jest wszędzie... nie sposób przed nim uciec, ostatecznie dopadnie każdego... u Węgra była woda... a Chińczyk zostawił worek ryżu... Wietnamce pałeczki... ukradliśmy to... a u Ossich znaleźliśmy piecyk! Ale Bułgarka tą maszynką nie mogła nawet ogrzać swojego domku... wylosowała piecyk, poznała tą sztuczkę wcześniej niż my... ale piecyk był chyba dla picu, malutki, do dupy... o, kuchenka, zawołał nagle Węgier... spojrzeliśmy na siebie ze zdumieniem... tak, bracia moi, zaczęliśmy się porozumiewać za pomocą postrzegania pozazmysłowego. O czym piszesz? pytał Węgier... no, o tym i o tamtym też, dynamit, świnia i kości, języka tożę... wyleciało ze mnie... no, jasne, ja też języczka, powiedział Węgier, był to młody autor i pisarz... Bułgarka wyciągnęła się między piecykiem a kuchenką i chrypiała pieśń: *heh, hej, dynamit, hula, hula,*

świnia, hej, hej, kostur... pomogliśmy jej z refrenem, byliśmy przecież autorami... poniuchamy, co mają w domkach pozostali, powiedziała Bułgarka... znaleźliśmy rozmaite wiersze i przekłady, i przekrady... Polacy mieli tam grube tragikomiczne powieści, Rumuni fujarki, Ossi dokumentacje, Rosjanie ikony, porąbaliśmy też kilka fortepianów i zrobiliśmy na dworze ognisko, wyciągnąłem z płomieni to, co miał Wojaczek, i włożyłem to w swój język... Kanacy mieli słoninę, zrobiliśmy ją na gorzałce... wymieszałem to z językiem... następnego dnia na przeciwnieźnych owijaczach ruszyliśmy do miasta... tam jednak był karnawał! A to oznacza zamknięte kramy i chramy! Ludzie żyli w tym nienazwanym upragnionym kraju w takiej koegzystencji z państwem, że przez parę dni byli nieposkromieni, upojeni i weseli... w całej Szwecji!... ulicami jechały wesołe alegoryczne wozy, strzelały rakiety i petardy, dostałem ataku nerwowego... zaczęły mi płynąć łzy, to nie był płacz, to było od pisania, od tego, że bez przerwy gapiałem się w łóżku w tym zimnie... byliśmy opuchnięci z niewyspania, brudni... ale ludzie dookoła chodzili w maskach... chyba myśleli, że też jesteśmy poprzebierani... za jakieś psy ze Wschodu... uśmiechali się do nas... witaminowi ludzie wokół nas zrobili kółko i tańczyli... Węgier wrzeszczał na nich po węgiersku... myśleli, że to szczególnie udany folklorystyczny żart... Bułgarka kłęła... strasznie... twarz miała całą w bliznach, bo pijana przewróciła się w domku... wyglądała z nas najgorzej... przyszedli do nas jacyś ubrani w liberie faceci, chłopcy i panie, i mówią coś w języku tego kraju... nie rozumieliśmy wprawdzie nic... ale pojęliśmy, o co im chodzi, chcieli, żeby Bułgarka została królową karnawału, że niby te nasze przebrania są najlepsze... autentysze i pintlich, i super... dookoła kłębili się kowboje i drakule, i marynarze, i diabły, były to stroje kupione w sklepach... uciekliśmy i ruszyli z powrotem... do tego zimna... Węgier myślał o tym samym, o czym myślałem ja... w ostatniej willi otworzyliśmy kopniakiem drzwi... śpiewaczka stała na cynku... w kuchni znaleźliśmy piecyk elektryczny... zabraliśmy całe jedzenie... Bułgarka uważała, żebyśmy tego od razu nie zeżarli... droga przez las była straszna, a ten piecyk ważył chyba z cetnar... zostawcie mnie tutaj, mówi Bułgarka, nie będę żyć, no to co, pierdolę to wszystko... jest nas osiem milionów... ponieśliśmy piecyk, a potem wróciliśmy po nią... tarliśmy skórę, żeby nie było odmrożeń... wzajemne psie dyszenie... przynajmniej trochę się najedliśmy... wlekliśmy ten piecyk do domu, schodek po schodku, nic już nie mówiliśmy... w pokoju był chyba normalny kontakt! gdzie tam... wszędzie tylko jakieś dziwne, podejrzane dinky... wróciliśmy do swoich domków dalej tworzyć... ten jeden malutki piecyk zostawiliśmy Bułgarce... w końcu jednak kobieta... elementarna rycerskość w nas więc została... dlaczego nie wleźliśmy do jednego łóżka? Były małe i wąskie... a kiedy tego spróbowaliśmy, wszystkie się zawaliły... były przynajmniej szczapy na ognisko.

Pisałem i piłem, sny przychodziły i odchodziły, z daleka doleciał do mnie niepokój mojej żony i to mi robiło język... żona gdzieś tam przez całe noce grała w gry komputerowe... a ja też leżałem w łóżku... mnie jednak było zimno. Bałem się choroby, ale już byłem tak bardzo chory, że nawet o tym nie wiedziałem. Głowa unosiła mnie w górę jak balon. Spotkaliśmy się przy telefonie, próbowaliśmy dodzwonić się do zarządcy, ale albo mówił do nas niezrozumiałym językiem, albo odkładał słuchawkę. Wahaliśmy się, czy zadzwonić do kraju... wezwę hordy, powiedział Węgier... nie rób tego, Attyło, powiedziała śpiewaczka... przecież wiesz, jak to się skończyło... nie chcieliśmy powiedzieć naszym rodzinom, jak tu jest... wstydziliśmy się, że wpadliśmy w pułapkę, myśleli, że używamy życia w domu pracy twórczej, zazdrościli nam... a my już wiedzieliśmy, o co chodzi... fortel Kultóry: kiedy trzeba wyprać forszę ze względu na podatki, to bierze się artychę i coś tam mu się da, coś da się gdzie indziej i wszystko jest w interesie dobra powszechnego, i kółko się kręci, a tankowiec przepływa przez rafy podatków ze zwiniętą banderą... Kultóra liczyła na to, że zgarniemy forszę, dała nam ją pierwszego dnia, a potem się zmyjemy... tak jak zrobili to tutaj wszyscy inni... stąd te podłogi, stąd te okna i to ogrzewanie. A w mieście karnawał

straszydeł. Już było dla nas jasne, dlaczego artyści z upragnionych krajów używają domków tylko na letnie pobyty. Co za głupcy z nas. Głupcy. Głupcy ze Wschodu. Dorzucić kość! zachrypiała śpiewaczka. I świnie, i dynamit, powiedzieli młodzi autorzy. Rozeszliśmy się tworzyć.

A dni mijały. Przez kilka dni, bracia i wodzowie, dotykała mnie śmierć. Wiedziałem, że nie wolno mi się obejrzeć przez lewe ramię. Że jest tam i że ma czas. Walczyłem o swój czas i miałem wizje. Leżałem w łóżku i chodziłem tylko do ubikacji, a czasami nawet tam nie. Dni waliły się przeze mnie, czasem szybko, czasem okropnie powoli, a ja zapominałem samego siebie. Ale często pisałem. Niekiedy już się nie dało. Język wyłaził ze stron i owijał mi się wokół szyi. Traciłem siłę i pisałem o tym. Ale wyciągała po mnie rękę śmierć. Chciałem się umalować, wskoczyć na konia i zetrzeć się ze śmiercią jak mężczyzna, ale nie miałem sił. A w dodatku nie było wcale konia, wymyśliłem go sobie, przecież i tak dawno byśmy go zjedli. A po pewnej pełnej niepokoju wiadomości od żony przyszło mi do głowy, że ona na pewno właśnie w tej chwili pełna tkliwości gdzieś ostro się pierdoli... gdzieś idzie i ma nadzieję na mroczny i ordynarny sztos, na cały ich łańcuch, albo może z zimną krwią się parzy. Nie miałem tam żadnych naładowanych przedmiotów, niczego do pomocy. Miałem zaognione nerwy, a moje oczy ciągle łzawiły. Mogłem tylko pisać, żeby dzięki przybywaniu liter wiedzieć, że żyję. Żona posyłała mi pełne niepokoju pytania, była w domu sama i przez całą noc grała w gry komputerowe. Wiedziałem, że potem przynajmniej zawsze się modli. Napisałem:

*Moja żona gra przez całą noc w gry komputerowe
jest sama
a ja chcę umrzeć
potem się modli*

dalej nie przyszło mi już nic do głowy, ale kropki nie postawiłem. Otworzyłem kolejną butelkę i zacząłem pisać coś innego. Wtedy tam, łowcy i wodzowie, pisałem książkę, pisałem ją już tylko własnymi słowami, byłem w pułapce, więc miałem gdzieś to, czy jest ona higieniczna... wyszło mi z tego, siostry i przyjaciółki, bla-bla-bla, bąbel i babilon, była to, drogie dobre demony żeńskie i przymilne wieszczki, taka lekka pornografia z humanistycznym ładunkiem, do tego pragocentryczna, było to, łaskawa ewentualna czytelniczko i wściubiajnosku, lekkie czytadło, raczej tandetne, pisałem już jednak swoim własnym niewolniczym językiem... żeby nie był już ze mnie niewolnik... ale było to tak mocne, że mogłem nie być... siekałem język i głaskałem go, a on mi to oddawał, mój język żył! Ale jest to tajny i otwarty język. A dni mijały, trudne i coraz trudniejsze dni, były wymieszane z nocą, która teraz zapadała w dowolnym momencie, ponieważ była to noc mojej świadomości. A ja zacząłem szukać czarnych dziur, bo coś się stało... już nie chciałem pisać... bałem się... ale nie dało się tego zatrzymać, książka zaczęła żyć swoim własnym życiem i żywiła się mną, a rosnąc, wypychała mnie z pokoju na dwór, na mróz, gdzie nie mogłem się zagrzać nawet własnym oddechem. Nie mogłem nawet zniszczyć tej książki, bo jej język pożarł mnie, i to w takim stopniu, że był silniejszy ode mnie, musiałyby ją zniszczyć ktoś inny. Ale nikogo tam nie było. Kiedyś powlokłem się na dwór i nie znalazłem padruka ani padruki. Byłem już ostatni. Spytałem: Dlaczego ja? Odezwało się: A dlaczego nie ty? Byłem już na progu, w drodze... a śnieg padał, jak gdyby nic się nie działo. Właśnie, dlaczego nie, powiedziałem sobie i dalej pisałem swój język, który nie był już darem, tylko przekleństwem. Czasem mówiłem sobie, skoro tu jestem... w tej chwili Jicha podniósł głowę znad maszyny do pisania i zawołał: Przecież ja tu jestem ciągle! Jezus Maria! I było mu zimno, poczuł oścień strachu, owinał się pierzynami i zaczął szybko pisać dalej... jak będę z powrotem w mateczce, a ktoś powie mi coś o domu pracy twórczej w Dobrzyszu...

natychmiast dam mu w mordę! Zdarzały mi się różne rzeczy... literki mnie atakowały, zdania płakały... a nagle słyszę pii! pii! jedna literka popiskiwała do mnie. To nic takiego, żaden tam wielki dźwięk, kiedy literka popiskuje, to zupełny drobiazg, nadałoby się to do księgi rekordów Ginesa. Literka popiskiwała, a potem parsknęła i plunęła. Ciągłe była niegrzeczna. Mówię jej: skończ z tym i do szeregu, no już! Patrzę na literkę z bliska, z oczu ciągle mi się łało... to było „ř”! Haczyk lekko drżał... a ja byłem znowu przez chwilę szczęśliwy, bo zrozumiałem, że to mój skarb, przecież nikt inny oprócz Czechów tej literki nie ma, to jest nasz majątek narodowy, rzadkość i świętość! Ten, kto nie pracuje z „ř”, to cudzoziemiec i szowinista! I pisze bzdury... Potem odezwały się kroki, byli to Węgier i Bułgarka, poszli coś świsnąć, ale musieli wrócić ze względu na zasy. Wiesie znaleźli prawie zamarzonego Rumuna, paplał coś o wysokościowych hotelach... ogromnych Kaczorach... o lekkiej i ciężkiej pepsi-coli... o potężnych nadludziach z plakatów... żył gdzieś na dworcu, ale skończyły mu się środki i zaczął szukać drogi z powrotem do naszej artystycznej osady... był to muzyk, ale swoich fujarek już nie znalazł, udzieliliśmy mu z Węgrem rady, kilka słów: dynamit, kość, szynka... Jęzor, powiedziała Bułgarka, a zanim zaczął pisać, schrupaliśmy wspólnie kilka żołądki, które ukradł w lesie oswojonym dzikim zwierzętom... podobno w ogóle się nie broniły, dziwił się temu. Zaczęli wracać również inni artyści... Polacy z workami zboża... inni Węgrzy z gulaszem... Wietnamczycy ze starą rybą... Rosjanin przyniósł kawior, był wyleczony... a ja siedziałem i pisałem. A potem dotarło do mnie i napisałem:

*Moja żona gra przez całą noc w gry komputerowe
jest sama
a ja chcę
umrzeć potem się
modli a ja ciągle żyję.*

Ledwie walnąłem kropkę, wyszło słońce. Przestało mi się łać z oczu. Było to jasne. Niewątpliwe. Otworzyłem okno i wołałem do pozostałych. Bułgarka opalała się i śpiewała jakąś góralską kantylenę. Kanacy machali skalpami, dużo włosów na nich nie było. Węgrzy i Słowacy opanowali piaskownicę i budowali murek obronny. Litwini grali w szachmaty, szachrajstwa i szaszłyki z Rosjanami, Serbowie obejmowali się z Chorwatami, Chińczycy grali w piłkę wodną z Wietnamczykami, Ormianin stał na rękach, a Azar robił szpagat, tak to tam wyglądało, po prostu wiosna ludów. Ja stałem dumnie w oknie, włosy mi powiewały, ja miałem książkę! Krzyknąłem coś do Słowaka, ja bowiem byłem tym najlepszym, to jasne, po prostu... Czech! I zaraz to tej bandzie nacjonalistycznych szowinistów powiedziałem. Było to zabawne, bo wy, piloci statków i przemytnicy, wiecie, jaki to ze mnie wierny Czech. Z czasem zaczęło dochodzić do różnych szarpanin i tarć. Do kłótni. Rosjanin i Ukrainiec zamknęli się w stodole. Widły jednak dawno już ukradł jakiś Bośniak. Ja chodziłem spać z siekierą przy boku, bo Słowak buchnął mi klamerki do bielizny. Kazachowie ostro skarżyli się u kierownictwa na wyżywienie. Chcieli więcej tych swoich kosmatych brudnych knedlików, bośniaków. Potem zarządca wziął nas wreszcie na spacer do miasta.

Było to bardzo wspaniałomyślne, niemal wykrwawiłem się ze szczęścia. Ratusz był na przykład ogromny. Przechodziliśmy tylko na zielonym świetle. Czerwone znaczy: zatrzymać się, stać! Przynajmniej gapiliśmy się na samochody: to dopiero były wozy, bryki i gabloty! Aż ślinka leciała... Szło się dalej. Zwiedzać. Ale na żadne sztuczki ani figle nam nie pozwolili. Bułgarka wytrzeszczyła oczy i zwołała: Ooo! Drzwi olbrzymiego supermarketu otwierały się same! Człowiek podchodził do nich... jeszcze krok... i otwierały się! Krok do tyłu... i znowu się zamykały! To było inkredybilne! Sam spróbowałem tego kilka razy. Zgromadziliśmy się dokoła. Zarządca dobroduszenie się przyglądał. Bałem się, żeby nikt

przede mną nie rozwalił tych drzwi ze wściekłości, że nic takiego nie ma u siebie w kraju. Pieprznąłem w te angielskie dźwigniki, ale chytrze, żeby to wyglądało na Czeceńca, który obok gapił się jak sroka w gnat. Zepsułem mechanizm! Przelęknieni zgromadziliśmy się wokół cudownych drzwi i gadaliśmy jeden przez drugiego. Ale zarządca wcale się nie gniewał. Z tego sklepu też nie wybiegł nikt z kijem. Dziwne. Szliśmy dalej. Chciałem wziąć Bułgarkę za rękę albo klepnąć ją w pupę, już nie pamiętam, ale ktoś z tyłu podstawił mi nogę. Błyskawicznie odwróciłem się i walnąłem w brzuch tego Polaka, co szedł w parze za mną. Ale to nie był on. Był to Albańczyk, który szedł za nim. Poznałem swój błąd, widząc jego grymas, ale nie można już było się cofnąć. Ty pse! wrzasnął Polak. Psza krew! wrzasnąłem ja. Neštovice! wrzasnął Polak. Cholera! wrzasnąłem ja. Di do prdele! wrzasnął Polak. Zasaraniec! wrzasnąłem ja. Pozostali szybko się do nas dołączali. Zauważyłem, że Afgańczyk kopnął Rosjanina w głowę, Bośniak założył Serbowi nelsona i dalej już poszło... pod nogami plątały nam się Chinki, Wietnamki, Kambodżanki i Laotanki, przestraszone kołysały się na swoich krzywych kończynach... Cyganie mieli z tego wszystkiego zabawę, od czasu do czasu przyklejali się do jakiejś wolnej kieszeni. Przyjechali strażnicy! Na koniach! Zacząłem nagle udawać, że nic się nie dzieje. Pozostali też szybko spotulnieli i zerkali na strony, gdzie by tu czmychnąć, zanim przyjadą pojazdy opancerzone. Ale za późno. Byliśmy otoczeni! Nie dało się uciec. Wyglądało na to, że stracimy wszystkie prawa człowieka. Polacy, Afgańczycy i Wietnamczycy zaczęli wrywać płyty brukowe i stawiać barykady, tu i ówdzie palił się już jakiś piękny samochód, wszędzie dokoła brzmiały głośne modlitwy, płacz i zgrzytanie zębów. Ci, którzy szybko pobiegli z donosikiem do służb, dostali od razu po mordzie. Jeszcze dawało się coś zrobić! Kanacy zaczęli atakować strażników... ja, przyznam się, trochę się wahałem, ale żeby jakoś to wahanie wykorzystać, przynajmniej nadepnałem na nogę temu Słowaczysku... przybyły posiłki... w białych płaszczach z jakimiś religijnymi krzyżami... żadnego bicia ani strzelania... jakaś nowa zdradziecka technika! Uprzejmie przekonywali nas z daleka przez megafony... puszczała spokojną i nudną muzykę... pokazywali kosze z prezentami... były w nich szynki, ziemniaki, krewetki... zaczął działać stary I. Q. Pawłów... Wspólnie rozważyliśmy sytuację... byliśmy otoczeni... żegnaliśmy się wzajemnie znakiem krzyża, ciągle to: Wybacz, bracie! Drogi sąsiedzie! Tiap! Ligunda! Drogi przyjacielu! Matuszka ziemia mi świadkiem! Wyszehrad... Sarajewo... Gabčikovo... Hanoi... Sajgon... Bukareszt i Buchara, zgoda do śmierci... i już nigdy... a potem nam ci upragnieni ludzie pokazali z daleka... dżinsy i dżiny, i dżipy, i limuzyny, i wodne zamki, i gumy do żucia... jak będziemy grzeczni! Poddaliśmy się i wsiedli do autobusu. Jechaliśmy zdumiewającą przelotową autostradą, dużo sygnalizacji świetlnej, różnych innych świateł, wiadukty, podjazdy, betony, żadnych ludzi... Gejza zauważył, że autobus nie ma okien! Nie miał ich! Były szyby, ale nic nie dało się otworzyć! Znamy to, wrzeszczeli Romowie i wyciągali brzytwy. Nigdy więcej! Stare numery! Czchuri des czchuri chudes! Zdrada! Teraz puszcza gaz! Plin. Pliniata, przekładali zbratani Chorwaci Serbom, gazowjeszcza, przekładali Rosjanie Ukraińcom, pili wódkę i całowali się, gazowodstwo! gazowka! gazoubitje! plyunyj! plyndura! plygur! płoną! lamentowali Słowianie, Azjaci jeszcze tego nie znali, bezpelészwekitil! ryczał Węgier. Bułgarka ciągle mnie odsuwała, nie rozumiałem tego, przecież i tak zdechniemy, to dlaczego nie miałyby mi dać? Chciała jednak jeszcze parę razy przeżegnać się i powyklinać Bułgarobójców. Popi wyciągali ikony, Indianie Navaho kaczyny. Gdzie są te dżinsy? wrzeszczeli Albańczycy, wiozą nas do obozu koncentracyjnego, niespokojnie pokrzykiwali Rusini, jak to tam może wyglądać? A jakucki szaman wyjął bębenek i kopyta i w tej chwili autobus się zatrzymał. Znaleźliśmy się znowu koło jakiegoś olbrzymiego ratusza, stali tam burmistrzowie, inżynierowie i lekarze z medalami. Dla nas to była czarna magia. Ktoś zaczął wyjaśniać i rozgłaszać, że autobusy wietrzy się automatycznie. Cud! To cud prawdziwy, szarpali się za brody chasydzi galicyjscy... od czasów Abrahama Anioła i świętych rabinów z Bełzu... wielka, wielka mądrość i postęp.

Phi, idiotyzm, popisywałem się przed Bułgarką i kilkoma Cyganami... jakaś tam ich aklimatyzacja... pieprzę to! Dziury są w podwoziu! Ej, to prawda, panko, powiedział śniady gość. A potem zaprowadzili nas do ratusza, był tam poczęstunek. Nazarliśmy się jak świnie. Kanacy wkładali dzinsy na ręce. Po obrzucaniu się ciastkami umyło nas, a my przeczytaliśmy kilka swoich pięknych, gorzkich i smutnych wierszy. Wymienialiśmy się nimi, a jeśli ktoś nie umiał pisać, ktoś inny napisał mu to w jakimś języku, wszystko jedno w jakim. Artyści niejęzykowcy wyciągali z dresów i worków różne swoje artefakty, obrazy i kultowe posążki, i szubienice. Burmistrzowie również je docenili. Sukces! Wszyscy trafiliśmy w dziesiątkę. Potem dali nam medale, mnie jeden z największych, bo jestem Czechem! A to jest coś! To już, cholera, coś na świecie znaczy!

Jícha uniósł ręce i poszedł je umyć. Umył też twarz i długo płukał gardło. Znaczyło to, że możemy mówić niewzywani: Toś, Jícho, zrobił dobrze! Że im to tak rozkręciłeś! Było to bardzo czeskie... postępowe i głębokie jak Jelenia Fosa. Coś się przynajmniej działo! Żadną tam inteligencją czy drobną pracą, są różne sposoby, różne możliwości, różne rzeczy! Wiemy, wiemy, Jícho drogi. Klaskaliśmy temu reprezentantowi. A co z padrugą, z Bałkanką? Jest ciągle? Czy to Warana, czy Lubita? A może jedno i drugie?

Tak ogólnie to jest trochę skomplikowane, powiedział Jícha i znowu usiadł.

Ale, ale, Jícha, tak czy owak. Co z twoją książką, tą, którą tam napisałeś? spytał Pająk.

Zaraz po skończeniu zgubiłem ją, gdzie ją posiałem, nie da się tego czytać ani opowiedzieć. Nie jest to precyzyjne. Najważniejsze, że znowu jestem tutaj, nie? Wszędzie dobrze, ale w domu najgorzej, co? Ale i najlepiej, prawda? Po co szukać szczęścia po świecie, przecież w domu je znajdziecie, ot co. Tak, tak, jest tu fantastycznie, a będzie jeszcze lepiej, no nie? Ale coś trzeba zrobić. Wymieść ten brud. Z tego kraju. Z ojczyzny. Tak, do tego chcę dojść. A to była nieduża powiastka na powitanie naszego drogiego Potoka między nami.

CZEGO ODE MNIE CHCĄ, WYCHODZĘ I NIE JESTEM SAM. ZIELONE
ŚWIATŁO I JEDNO SŁOWO PSICY. I MŁYN. I NASI DRODZY
LOKATORZY. ŁOWCA.

Dobrze, że tu jesteś, powiedział Jícha. Liczymy na ciebie, Potok. Twoje plemię... dobra, ale są jeszcze inne paczki. Zatrudnimy cię! szczenił mi w twarz.

My jesteśmy wojenną gromadą, dodał głębokim głosem.

Te plemiona, hm, przeciągając głos, powiedział Hadraba. Teraz są inne czasy, człowieku! Po niewielkiej wymianie błyskawicznych spojrzeń między nimi Pająk wstał i pożegnał się. Jícha wyjął kopertę i wysypał z niej na stół fotografie.

Patrz, tutaj masz Oldę, to jest Svoboda, a to Jądrus, tu Nabiałowiec, Duchač, a kogo mamy tutaj? Jícha się z tym zbiorkiem gąb wyraźnie pieścił.

To są tajniacy, ubecy, o co chodzi? Poeta mnie zaskoczył. Chciałem dowiedzieć się więcej.

Nie wydaje ci się ciekawe, gdzie są teraz nasi starzy wrogowie? Organizuję prywatne wyrównywanie rachunków. Ci dranie dalej bawią się w detektywów, pętają się koło ambasad, a nawet, wyobraź sobie, od czasu do czasu gościem pewnej na pewno znanej ci ambasady jednego z państw azjatyckich jest właśnie nasz przyjaciel Nabiałowiec.

Mnie żadne ambasadory nie interesują, o czym ty gadasz?

To rozkręciliście wy, wasza Organizacja, a nie wiecie nawet, kogo macie na podwórku.

Coś ty zwariował? Co mają nasi Laotańcy wspólnego z jakimiś ubekami?

Więc przede wszystkim: to nie są Laotańcy, przynajmniej niektórzy z nich. Są to Hmongowie, powiedział zwycięskim tonem.

Ja nic nie kapuję, ale jeśli Hadraba myśli, że w ten sposób uda mu się przejąć ich sklepy, to chyba starczy to, co już było...

Nie, to wcale nie jest tak, mnie chodzi o tajniaków, powiedział Hadraba. O Nabiałowca i całą bandę. To ich interesują wasi Laotańce.

Ty ich jakoś obserwujesz? spytałem.

My ich obserwujemy, powiedział Jícha z dumą. Nasza prywatna agencja represyjna Dostojewski.

Dlaczego Dostojewski?

Zbrodnia i kara, nie znasz tego? Mocna rzecz...

Z liryką, jak widzę, skończyłeś.

Ni się nie najem. Jeśli nie chcesz, żeby tajniacy interesowali się tobą, sam się nimi zainteresuj, wyrecytował Jícha. Nie zostawię ci tych zdjęć, ale dobrze im się przyjrzyj. Zapamiętaj... ksywy tych facetów. Niektórych z nich znasz. Niechętnie ci to mówię, ale są pewne... oznaki... że w pewnych rzeczach działają z Laotańcami, to znaczy z Hmongami.

O co właściwie biega, Jícha? Nie wierzę ci.

To może być cokolwiek, ideologia zbankrutowała, zostaje forsa, ożył. Cholera, przecież handlowaliśmy z tymi krajami jak diabli, maczali w tym palce ci z KGB i nasi debile. Pomyśl: semtex, broń, narkotyki... były w tym miliardy... dolarów, myślisz, że z nich te świnię zrezygnują? Długi, niezapłacone należności, tajni kurierzy, nielegalne ładunki, kanały przerzutowe, fantazjował Jícha.

Przyjrzyj się tym gębom, a jeśli będą się pętać koło was, daj znać mnie albo Rudzie. Albo tu do Czarnej. Ci wasi Hmongowie przyciągają ich jak lampa owady. Pozwolimy tym komarom trochę sobie possać, a potem dup! uderzył pięścią w stół, bohater.

Possać? A czyjej krwi?

Nie pamiętam już, co wtedy odpowiedział, ale właściwie spełniło się to, co wtedy mówił. Inaczej, gdzie indziej, a jego przy tym już nie było.

Słuchaj no, ja na ich mordy nie chcę już patrzeć... już nie.

Właśnie, rąbnął Jícha pięścią w stół. Cholera, nikt nie chce, ale przecież musimy z nimi zrobić porządek!

Hadraba poważnie kiwnął głową. Pamiętasz sprawę Šisteckiego? zwrócił się do mnie.

Tak.

Sprawą Šisteckiego naród niedawno i chyba krótko, i chyba już przy śniadaniu trochę się rozerwał. Gazety były tego pełne. Pewną ubecką świnię z lat pięćdziesiątych nieznani sprawcy poczęstowali klasyczną czterdziestoosmiogodzinówką z lat osiemdziesiątych. Porwali go, zamknęli na dwa dni w jakiejś piwnicy, a potem puścili. Była to sprawiedliwa demonstracja i prowokacja. Partia komunistyczna nazwała ubeka ofiarą terroru, którąreszta był. Męczennikowi posiwiały włosy, nie wiedział, jak długo będą go tam trzymać. Miał prawo oczekiwać, że mu ktoś przedstawi kilka jego własnych przesłuchań na nowej scenie i w zmienionej obsadzie. Nikt go jednak nie bił, nikt nawet się do niego nie odezwał.

Tak, to byliśmy my, powiedział Hadraba. A to dopiero początek. Czytałeś o willi majora Razeddy?

To było w Polsce. Zabili go. Razem z żoną.

Tak, i tak była klawiszowskim ścierwem. A Honecker?! Mamy to gdzieś, jak umówiły się stare rządy z nowymi. Chodzi o konkretne osoby... ci goście zniszczyli... wielu ludzi... muszą za to odpowiedzieć. Ludzie z obozów są starzy, sporo z nich nie żyje. Musimy to załatwić my. Wcześniej albo później. Przecież jest nas niemało, tych, co mają bezpośrednie doświadczenia. Ty też, Potok.

No, tak, tak, powiedziałem. Dobra, ale ja mam swoje życie.

Jesteś geszefciarz, prychnął na mnie Jícha.

To moja sprawa, powiedziałem. Nie jestem z wami.

Kto nie jest z nami... powiedział Hadraba i zaśmiał się.

To też już gdzieś słyszałem.

I jeszcze usłyszysz, to lejtmotyw wszystkich społeczności, powiedział Jícha.

Co się dzieje z Bocianem?

To głupek, powiedział poeta. Bredzi o dżdżownicach.

Ty o ludziach!

Dżdżownice nie mają duszy!

Gównu wiesz, sługusie.

Sekciarz zdegenerowany!

Nie kłóćcie się, szczerknął Hadraba. Daliśmy spokój.

Jeszcze możesz być z nami jak równy z równymi. Tego faceta znasz? Jícha rzucił na stół kolejną fotografię. Był na niej Łowca Rekinów. Miał jednak okulary, europejski garnitur, a na twarzy brakowało mu tatuażu.

Nie. Odmawiam zeznań.

Závorová.

To na mnie podziałało, mówił o świetle mojego ziemskiego żywota, o mojej nieszczęsnej nadziei, i śmiał się.

Rozejrzę się dokoła, popytam o niego. Nie interesuje mnie, czy to Laotańce, Mongowie czy Kanacy.

Ja ci to wytłumaczę, powiedział ten wstrętny człowiek i zaczął bębnić palcami w stół.

Hmongowie mieszkają na granicy, między Wietnamem a Laosem. Tym facetem interesują się ubecy. Ktoś ich wynajął. Możliwe, że KGB. Wietnamczyków były tu pełne fabryki, także

ich agentów. Niektórzy byli agentami sowieckimi. Ale ten gość, Jícha poklepał zdjęcie, to chyba szczególny przypadek, bo pojawił się teraz.

Wydaje mi się to jakieś dziwne. Nie chce mi się wierzyć.

Nigdy niczemu się nie dziw.

To już też słyszałem.

To zaraz będzie coś, czego jeszcze nie słyszałeś: ten gość mówi po czesku.

Aaale, bzdura, teraz roześmiałem się ja.

No, widzisz, że go znasz! zawołał Jícha. To dowód.

Tego nauczyłeś się na komisariatach, tych metod śledczych. Co?

To i owo sobie przyswoiłem.

Bodler, *Padlina*, znasz to? spytałem.

Jakżeby nie? Też miałeś tego kretyna? Tego z tym czołem? Jego jeszcze nie znaleźliśmy.

Ale ty go na pewno wyśledzisz, powiedziałem ironicznie.

Wsadź sobie tą ironię. Jeszcze ci się przyda.

Przez chwilę tak się atakowaliśmy, aż zaczęliśmy mieć tego dość. Jakoś się pożegnaliśmy.

Mimo że było jeszcze całkiem wcześnie, nie chciałem zatrzymywać się w barze, ojca Gorzały już tam nie było. Chyba go jeszcze kiedyś odszukam i wyperswaduję mu mieszkanie na Wysypisku, byłby to z pewnością wartościowy uczynek. Ulica była pusta, ciemna. Poczulem niepokój, nie podobało mi się to, z czym wyjechał Jícha. Po co grzebać się w starych sprawach. Czas leci jak szalony koń... tylko że w Łowcy było coś dziwnego, ta fotografia w patrzalkach to był on... dawno minęły czasy, kiedy Laotańce zlewali nam się ze sobą... a on bardzo rzucał się w oczy, bo jako jedyny pośród nich był słusznego wzrostu i odgrywał rolę wodza, miał autorytet... muszę rzucić okiem na mapę, gdzie też łowił te rekiny, postanowiłem sobie, szedłem ulicą oświetloną tylko blaskiem z okien domów, latarnie były tu rozbite... moje miasto, ja z tym miastem rozmawiam. I nie mam dokąd uciec. Więc patrzę.

Wolałem w Pradze 5 przyśpieszyć kroku, krzewy ze starych zapuszczonych ogrodów wyciągały do mnie cienkie ramiona pędów, zapraszały mnie za kraty, mocno cuchnęły tam ziemia i zgniłe liście... tak jest, powiedziałem sobie, jest mi tak źle także dlatego, że swoim kumplom nie mogę o tym powiedzieć, chodziło o moją rzecz, tylko że jeśli Łowca... no to się go jakoś pozbędziemy, zobaczy się.

Bruk był miejscami rozbity, ale ja lubię skakać... w alei Wyzwolenia czułem już wielki niepokój, poza tym po pełnym wydarzeń dniu opanowało mnie zmęczenie... nie takie jednak, żeby zagłuszyło niepokój... w skroniach mi pulsowało, dzisiaj nabierało się tego dużo, jak zawsze... bitka z hitlerami była krótka, ale ostra, a rozmowy w Czarnej zakończyły się niezbyt przyjemnie, chociaż, jeśli coś o niej wiedzą... no, to może dla Psicy oznaczać me najlepsze konsekwencje... i dla mnie też! Dzisiaj powinien już być z tym wszystkim koniec, chciałem być ze swoim plemieniem... jak najszybciej... aleją Wyzwolenia od czasu do czasu ktoś szedł... wielka apteka na rogu migiała neonem APOTHEKE, to światło było dziwne i ostre, a ja czułem, że coś jeszcze wisi w powietrzu... Tylko nie spokojnie! zawyłem na modłę swojej węgierskiej prababki, matki przemytnika, i stanąłem... już od dwóch przecznic jechał za mną samochód, wykorzystałem starą sztuczkę z wystawami; tu świeciły już latarnie, samochód widać było w odbiciu w szybie, kawałek przed apteką zauważyłem księgarnię, chciałbym tu mieć przy sobie Psicę! Może by mnie zmniejszyła i włożyła do jakiejś, jeśli wolno sobie życzyć, dobrej książki, bo stary aktor Potok jest tego dnia już mniej więcej utańczony.

Stałem dalej pod latarnią i żeby było dobrze widać, że to ja, tuż przed twarzą zapaliłem zapalniczką papierosa.

Samochód cicho, już z wyłączonym motorem, dojechał do mnie, był wielki i czarny, taki jak lubię, trochę w tym nocnym powietrzu jakby się ślizgał... pochyliłem się w kierunku

okienka i spojrzałem prosto w oczy Nabiliałowca. Dostał to przezwisko od Hadraby, bo kopał w jaja właśnie jego. Te oczy się nie zmieniły. Kiedyś miałem okazję zobaczyć, jak w pasji mętnieją i jak z mgły spojrzenia tego psychopaty wynurzają się źrenice, czarne kropki, główki szpilek, korpus, ostrze szpilki, musiał mieć aż w mózgu. Kiedyś bałem się go, kiedyś marzyłem o tym, że go zabiję, ale to całkiem inna historia. Zaśmiał się.

Zaskoczono?

Tak, rząd upadł czy co?

Jeszcze nie, obywatelu, powiedział drugi, Jicha przed chwilą pokazywał mi go na zdjęciu, jego nazwisko czy przezwisko brzmiało Viška, a kiedy zobaczyłem go teraz żywego, przyszło mi do głowy, że muszę go znać... ale siedział w samochodzie... Co tu robicie? Czego jedziecie za mną?

A co panu do tego, szanowny panie. Tego „szanownego pana” Viška nie brał poważnie.

Zawołałam gliny, co mnie tu będziecie prześladować... cieszcie się, że nie siedzicie w pierdlu. Cofnąłem się.

Nabiliałowiec omal nie jęknął z rozkoszy: Moment, momencik, hej, popatrz no. Odwróciłem się, trzymał mi legitymację tuż przed twarzą: „Prywatna Agencja Detektywistyczna Tajemnica”, błogo się uśmiechał. Ciągłe jesteśmy glinami. I to dobrymi.

To chyba niemożliwe. To macie też pistolety?

Gnaty też, wrzasnął zadowolony, jesteśmy przecież zlustrowani, a nie sfrustrowani, ha, ha, ha. Ale teraz uważaj, możliwe, że znalazłeś się razem ze swoimi kumplami w kiepskiej sytuacji, a my możemy wam pomóc. Siadaj z tyłu, pojedziemy kawałek.

Nie, do tego czuję wręcz fizyczną odrazę.

Będziesz żałować, powiedział Viška, wplątałeś się w coś i nie masz o tym żadnego wyobrażenia. My już teraz... po prostu jesteśmy normalnymi pracownikami.

I wykonujemy tylko swoją pracę, dodał Nabiliałowiec i zatrąbił jak wariat.

Proszę wsiadać, powiedział Viška.

Przejedziemy się tylko kawałek, powiedział Nabiliałowiec.

Nie, powiedziałem ja.

I tak wiemy, z kim teraz rozmawiałeś, powiedział Nabiliałowiec.

A może ten, z kim rozmawiałeś, chce wiedzieć, żebyś wiedział, że to wiemy, powiedział Viška.

A może nie, powiedział Nabiliałowiec i zatrąbił.

Mnie to w ogóle nie interesuje, powiedziałem i odsunąłem się od samochodu na wypadek, gdyby mieli jakieś głupie pomysły, a także po to, żeby obejrzeć sobie lepiej Viškę... te ramiona...

Pan Viška, powiedziałem.

Aaa, pan Potok widział zdjęcia. No, to były czasy, tyle nazwisk, wie pan.

Chwilę trwaliśmy w milczeniu, ja na stojąco, oni siedząc. To już znałem.

No więc zobaczymy się znowu, panie Potok, tak?

Myślę, że wy do nieba nie traficie.

Ha, ha, ha, to dobry żart, powiedział Viška i zamachał do mnie ręką, Nabiliałowiec zapuścił silnik i wreszcie znikli.

Uświadomiłem sobie, że jestem spocony. Co jest, czy człowiek nigdy nie pozbędzie się tajniaków? Nie. Albo tylko w jeden sposób. Gdyby przez czyste zrządzenie losu zamiast do aksamitnej wymiany rządów doszło do niedużej wojny domowej i gdyby chociaż na jakiś czas dobro zwyciężyło nad złem, akurat ci dwaj by wisieli. Agencja Tajemnica, koń by się uśmieł. Do diabła.

Szedłem dalej, rozmyślałem i kombinowałem, znalazłem się na rogu przy aptece, stała tam Czarna, pod samym neonem, opierała się ręką o kratę, patrzyła na mnie swoimi zielonymi oczami, a mnie stanęło serce.

Mają zamknięte, pieprzone niewolniki, powiedziała.

Czego ci potrzeba?

I tak tego nie masz.

Trochę może... Chwiała się, widać było, że nie czuje się najlepiej. Wyglądała... jak gdyby wybierała się w podróż... za każdym razem wygląda inaczej. Ciemna kurtka, ciemne spodnie, wysokie buty. Kaptur. Wokół szyi cienkie złoto, być może. Niczego ze srebra ani żadnych klejnotów. Na brodzie ma małą bliznę, nie wiedziałem o tym, uświadomiłem sobie. Przecież z tak bliska nigdy jej nie widziałem. Wydaje się dosyć czujna, aktualnie w potrzebie. Jej krucze włosy. Krótsze, niż mi się zdawało. Patrzyła na mnie. Oświetlał nas neon, moje ręce, na które spojrzałem, były także zielonkawe... staliśmy w tym pasie blasku jak w świetlnym namiocie, wokół była ulica ze swoją ciemnością, poczułem suchość w ustach. Czarna przechyliła głowę w bok, uważnie mnie obserwowała, musiała mnie znać, z widzenia... jest pijana, przyszło mi do głowy. Gdzieś w górze pękła żarówka i do stóp spadł nam delikatny deszcz rozbitego szkła.

To chyba jest ona, powiedziałem sobie.

Tak, powiedziała Psica.

Nie zdążyłem zauważyć, czy Czarna poruszyła ustami, osunęła się lekko w bok, ręką trzymała się ciągle kraty, ale oparła się o mnie, czułem jej kości policzkowe na twarzy i gorący oddech na szyi, objąłem ją, inaczej by upadła.

Potrzebuję faceta... teraz... o którego mogłabym się oprzeć, powiedziała pijanym głosem, ale... czknęła... popchnęłam go i upadł. Ty... znajdź taksówkę. Chcę do domu.

Bardzo ostrożnie i bardzo delikatnie odsunąłem ją od siebie, oderwałem jej rękę od kraty, chwyciłem ją za ramiona, oparłem o kratę.

Zdjąłem jej kaptur. Zdawało się, że zapadła w niosący ulgę mikrosen, ale coś jej się śniło, bo powieki drżały. Włosy koloru zdjętego ze skrzydeł czarnego ptaka. Parę srebrnych... delikatna blada twarz, kilka ostrych zmarszczek w kącikach ust, włosy koło uszu jej się zakręcały. Psica nigdy mi nie powiedziała, że może kiedy ją spotkam, będzie musiała oprzeć się o mnie, to było zaskakujące, niewykluczone, że resztką siły jest po to, żeby chronić kogoś...

Co robisz? Przecież ci mówiłam, że możesz iść do mnie, więc co się wygłupiasz. Stała oparta plecami, nogi w rozkroku, otworzyła oczy i patrzyła w jakiś punkt za moim ramieniem... Potrząsnąłem nią.

Przecież ci mówię, że się nie da. Boli! Znajdź taksówkę. Proszę, zaskomlała.

No więc zacząłem szukać. Stałem, jedną ręką trzymałem Czarną, a drugą machałem.

Zdejmij mi kurtkę, powiedziała po chwili. Jestem chyba całkiem pijana.

Ale skąd... nie jest ciepło.

Upierała się przy swoim.

Jeden taksówkarz stanął, ale kiedy obejrzał nas sobie w tym świetle, ruszył znowu. Drugi nie ruszył. Prowadziłem ją do taksówki za rękę, była zimna, szła, szeroko stawiając kroki, zataczała się, może nawet było to i śmieszne, ale w moim sercu zapanowało silne uczucie. Pijackim ruchem pochyliła się, rzuciła na tylne siedzenie kurtkę i usiadła na niej, nawet na mnie nie spojrzała i zatrzasnęła drzwiczki, w tym momencie zauważyłem, że na chodniku są kropelki krwi, także w miejscu, gdzie stała, była krew, przesączała się jej przez spodnie.

Wolałbym dostać forszę z góry, szefie, jeśli pan pozwoli, powiedział taksówkarz.

Chwila. Adres, Czarna, adres!

Powiedziała go. Facio opuścił okienko. Coś mu dałem.

Potem szedłem przez miasto do domów swojego plemienia, szedłem labiryntem swojego świata, tego, w którym żyję, a w moim sercu panował spokój. Bo teraz już wiedziałem, że ją znalazłem, dziękowałem Psicy, a moja siła rosła, chyba. Trzeba jeszcze załatwić parę rzeczy, a tajniaków mogę olać... powiem swojemu plemieniu „cześć”, to była dobra rzecz, ta

biznesowa ścieżka, przyjaciele moi, ale mój ruch mnie z niej sprowadza... i przy częstych wizytach będę patrzeć, jak Kocur promienieje, a Rekin zgrzyta zębami, Bohler medytuje, a David... było nas pięciu... Davidowi chyba goją się kciuki... a to, że Czarna mogłaby mnie nie chcieć, nie przyszło mi wtedy do głowy.

Szedłem naszą ulicą koło spalonego laotańskiego sklepu, zabity był deskami, chłopcy nie próżnowali. Teraz, kiedy wiedziałem, że jestem tak blisko Zony... myśl, że na mnie Zona nie oddziałuje... było wystarczająco dużo czasu, żeby się do niej przyzwyczaić. Wszedłem do domu i do mieszkania Bohlera i gromady, siedzieli tam wszyscy. Bohler miał obandażowaną głowę, w pomieszczeniu panowała cisza. Moi padrugowie byli bardzo cisi i przygnębieni, wyczułem to od razu. Wpadliśmy na młyn i to był krach. Mieszkanie było po bitce wysprzątane, dom również, ale to, co czułem w powietrzu w alei Wyzwolenia, tu było znowu.

Co jest?

Siadaj, Potok, powiedział Bohler. O twojej sprawie wiemy, był tu ten Rudolf. Wiemy też, że jesteśmy w Zonie, to rozstrzygniemy później. Wiemy też o Marsjaninie.

Co jest?

Lepiej siadaj, przyjacielu, skinął ręką, ja zdążyłem już wyjaśnić obecnym, że mnie krach i koniec Organizacji będzie i tak przeszkadzać najmniej.

No, co jest? wskazałem brodą Davida. Leżał oparty głową na blacie, ręce z zabandażowanymi kciukami zwisały w dół. Bohler podszedł do niego i położył je na stół. Ręce wydawały mi się nieproporcjonalnie długie w stosunku do całej postaci, ale było tak chyba ze względu na bandaż. Nie ruszał się.

Niedobrze się czuje, powiedział. Porządnie go wzięło.

Rekin też był blady, gryzł sobie paznokcie w szczelinie brzytwy twarzy.

Kocur! Przyjacielu i padrugu, wyglądasz strasznie!

Sternik się postarzał. Jego blask zgasł. Uśmiechał się zmęczonym uśmiechem.

Jeszcze raz powtórzę to Potokowi, przynajmniej się do tego przyzwyczaję.

Po pierwsze, hitlery zniszczyły wszystkie dokumenty, coś tam mamy w sejfie w megabanku Jutrzenka... zabrali całą gotówkę, to, co było na wszelkie operacje, pensje, premie, różne rzeczy... parę m., dobra, to moja wina.

Ale gdzie tam, powiedział Rekin.

Absurd, powiedział Bohler.

Pokręciłem głową.

No to nie, ale Jutrzenka była przykrywką dla Salman Brothers, a ci padli, komputerowi samuraje podsumowali nas dosyć niesamowicie. Ten bank trzasnął na całym świecie. Pech, może powinienem był się im lepiej przyjrzeć...

Robieś, co mogeś, padrugu, nikt w to nie wątpi, powiedział Rekin, minister spraw zagranicznych.

Bog dał, Bog wziął, przyjmuję to w spokoju, powiedział Bohler.

Tak, powiedziałem. David, co ci jest? Widział go Hradil?

Czekaj, do tego dojdziemy, powiedział Kocur.

Gdzie są dziewczyny? spytałem.

Poszły do Laotańców, czekają, aż wyczyści się Zonę, ale...

Wszystkie Laosy sobie poszły?

Nie, został Łowca, mamy to na porządku dziennym, ale poczekaj... Potok, jesteśmy w gruncie rzeczy załatwieni! wrzasnął Kocur.

Jeszcze to do mnie nie dotarło, wiesz? I spotkałem dzisiaj... siostrę...

Ty masz siostrę? spytał ktoś.

Tak! Tak, ale przepraszam.

Pieniądze są rozrzucone po różnych bankach, tylko że, jak wiecie, większość forsy mamy w długach, wielkie faktury mogą poczekać, znacie ten ból, ale tych małych jest morze, tak, obligacje, kapitał...

Nie rozumiałem, o czym mówi, Bohler wprawdzie kiwał głową, ale było dla mnie oczywiste, że duchem jest gdzie indziej. Jedyńm, który kumał, był może Rekin.

...tak więc całe złoto, jakie mamy, może utrzymać tekstylia w ruchu tylko przez jakiś czas. A tych 5 m. to właściwie wszystko i musimy włożyć je w Zonę, co Rudolf dobrze wie, czyli możemy wybierać. Bankructwo albo paka, albo jedno i drugie, albo bankructwo.

Jaka paka? zacząłem trochę uważać.

Nogę podstawił nam Złocisz, powiedział posepnie Kocur. W strasznie prosty sposób. Miał podkupionych celników i chyba umówił się także z Rudolfem, to tylko zgaduję. Te maszynki nie były czyste.

No, przecież nie były takie nigdy, powiedziałem.

Kocur podniósł oczy do nieba. On tego nie kapuje. Obudź się. Nic z tego, co robiliśmy, nie było całkiem czyste, ale Złocisz naruszył umowę, więc my naruszyliśmy ją także, nic nie da się poradzić. Tak już jest. Rzeczy nie szły w maszynach z Tajlandii tu, to sprawdzaliśmy, one szły stąd tam!

Czasy nas wyprzedziły, powiedział w zamyśleniu Bohler.

To niesamowite! musiałem jakoś zareagować.

To straszna świnia, ten Złoty, powiedział Rekin.

Czyli ścieżka wojenna, czułem jednak zmęczenie.

Nie. Po pierwsze, nie ma go tu, ciągnął Kocur, wyparował, kiedy tylko nas załatwił, a po drugie, to już się stało. Jesteśmy wobec niego bezbronni.

Zaskoczyło mnie to, ale poczułem ulgę.

A teraz najważniejsze, powiedział Kocur. Rozwaliliśmy umowę.

To niemożliwe, ścisnęło mi się gardło.

Kocur mówił dalej: Pchaliśmy z Rekinem ten młyn wodny, ze względu na który jeździłeś z Laotanką tłumaczyć...

Przecież zawsze tam mówiłem, że chodzi o elektrownię!

To jest to samo, ta niezapłacona należność rządu... leżało to w Sudanie całe lata, była tam wojna, jak na pewno wiesz, ich nowy rząd odmówił płacenia, tego długu... było tego sporo, ze dwa mil... Kocur wstał. Mów dalej, Rekin, ja już nie mogę, nie chcę.

Gdzie jest Ognista? spytałem.

Przed tobą, powiedział ktoś.

Włożyliśmy w to wszystko, prawie wszystko, powiedział Rekin... dziwne było to, że rząd się wycofał... z Sudanem nie dało się rozmawiać, szło to przez różnych pośredników, Mozambik i Argentyna, forsa jest złożona, to jest w porządku, to była forsa z długu, uwaga, nic nie straciliśmy, tylko że, Rekin przyśpieszył, to były stare komunistyczne podróbki i teraz te rakiety są w Libii.

To były rakiety? nie mogłem zrozumieć.

Tak, i osprzęt. Ruskie, właściwie nasze i radzieckie, należały do Układu Warszawskiego, ale były czechosłowackie, po podziale czeskie, chyba... nikt tego nie wie.

A jak tam dotarły? Libia jest daleko.

No, normalnie, przewieźli to nielegalnie, bo aksamitna nazwa naszej Organizacji była gwarancją, to znaczy nie całkiem, przez kogoś, nikt o tym nie wie, ale to my to wypchnęliśmy, a pozostali nie chcieli z tym mieć nic wspólnego... prawie wszyscy, tylko jacyś Szwajcarzy są w tym umoczeni... I Polacy, i Francuzi... ale to nie jest pewne, dodał Kocur. Weź, opowiedz do końca, Rekin.

Coś zostało w Libii, a coś jest... głos Rekina ścichł, powiedział to prawie niesłyszalnie... w Iraku. A trochę tego mają Palestyńczycy. Ja, panowie i bracia, jadę do domu. Zbankrutowaliśmy, było to piękne, do tej pory, ale muszę już iść.

Dla mnie to trochę za szybko, powiedziałem.

Wszystko jest szybkie, zauważył Bohler.

A gdzie pójdziesz ty, Sutanno? spytałem.

Chyba do Leśnych Ludzi. Na Skałę.

Ja ciągle niespecjalnie rozumiem, przepraszam, ale wiecie, że tego międzynarodowego biznesu nigdy... sprzedaliśmy rakiety do Libii... i jeszcze gdzieś... i mogą nas zamknąć?

Tak, za to już tak, powiedział Kocur. Jeśli będą chcieli. To nie przelewki.

Jak mogliśmy tak to spierdolić?

Tak bywa, powiedział Rekin, takie podróbki bywają pod powierzchnią czasami całe lata. Tylko jedno mnie pociesza: że załatwiła nas taka stara rzecz.

A Zona, o tym nie zapominaj, powiedział Bohler.

Już do ciebie dotarło? spytał mnie ktoś.

Tak. Ale kłamałem. Może dotarło do mnie, że nie mamy forsy, że jesteśmy w biznesie załatwieni i że... naruszyliśmy umowę i jesteśmy złym plemieniem, i wiedziałem, co teraz musimy zrobić i co powinienem zrobić ja sam, potrząsnąłem swoimi srebrnymi ozdobami i przygładziłem włosy... ale nie dotarło do mnie, że rozstajemy się, że znika Rekin i Bohler, i chyba także pozostali... jeszcze nie dotarło do mnie, że plemię się rozpadło, że będziemy bez ochrony... spojrzałem na pozostałych, myśleli to samo. Co się dzieje z Davidem?

Podszedłem do niego i uniosłem mu głowę, była to... maska zamiast twarzy, przestraszyłem się, twarz miała wyraz dyni, straszliwy...

No, powiedział Bohler, Hradil sądzi, że David... że oszalał.

Co? Przypomniałem sobie niedawne spotkanie w magazynie, to, jak David dziwnie gadał i że pomylił mnie z Novákiem.

On dzisiaj ciągle jest taki, powiedział Kocur i poskrobał się po głowie, nic nie mówi... Helenka była z nim przez cały czas i chciała go odprowadzić, ale my myśleliśmy, że skoro jest narada...

...że zwyczaj powinien być zachowany do końca, dodał Bohler.

Może przejdzie mu to, powiedziałem, może ma jakieś drgawki przez hitlerów czy co...

Hradil... dzisiaj jest tego strasznie dużo, powiedział Kocur.

Hradil mówi, że mamy go zostawić w spokoju, że to szok, odrętwienie...

Kurde, powiedz mu prawdę, warknął Rekin, przecież wiemy to wszyscy.

Więc Hradil mówił, że to chyba tak... że to na dobre.

Nie, powiedziałem, widziałem, że chociaż pozostali już znają sprawę, przerasta to ich możliwości, że tego nie przetrawili.

Może Hradil się pomylił!

On się nie myli, wiesz przecież.

Byliśmy zmęczeni, ale nie mogliśmy się rozejść po domu i zostawić Davida albo zostawić z nim tylko któregoś z nas... nie przyszło nam do głowy, żeby spróbować zadzwonić do którejś padrugi... może kiedy wróci Helena, będzie mu lepiej. Tych dwoje często było razem.

Jest jeszcze jedna sprawa. Chodzi o Łowcę. Czekałem z tym na Potoka.

Zdrętwiałem.

Chodzi o ten dzisiejszy atak... i tych dwóch zabitych Laotańców... to nie wszystko... chyba zauważyliście, że trawa za domami jest zdeptana, całkiem do niczego...

Tak, kiwnąłem głową, inni też.

Laotanka coś mi powiedziała, kiedy hitlery tam się wdarły, cięły i niszczyły, ja – jak wiecie – byłem na ulicy, Bohler przesunął ręką po zabandażowanej głowie i lekko się uśmiechnął, jak mi się wydaje z dumą, chodzi o to, że nasi lokatorzy, ci, którzy zostali, kiedy

to się zaczęło, wybiegli z domów, a widząc, że hitlery idą na Laotańców... i moją skromną osobę... wrócili, stali potem za domami i zachęcali hitlerów, klaskali im, tam z tyłu, to oni zdeptali trawę, i pokazywali im, którędy idzie się do sklepu, ci nasi lokatorzy nie tylko nie zawołali gliniarzy albo straży pożarnej... klaskali... laotańskie kobiety chowały się do piwnic, razem z dziećmi, a kiedy poczuły dym i zobaczyły ogień, myślały, że stalingi zapalili także domy... podawały przez kraty dzieci tym swoim sąsiadom, przez wyjścia nie mogły uciec, tam przecież były te bydlaki... tylko że sąsiedzi mieli je gdzieś, a Kučera spod trójki, no, był znowu nawalony... podszedł do tego zakratowanego okna... stał tam i gapił się. Laotanki wyciągały do niego ręce i przez kratę mu podawały... a potem wyjął kutasa i do tej piwnicy przez te kraty i na te dzieci... wyszczał się... a moja Laotanka powiedziała mi, że Laosy uważają to za rzecz nie do darowania, Łowca jest tutaj i czeka.

Nie wiem, kto z nas to wtedy krzyknął, ale krzyknął to z mocą.

Kučera chyba nie jest głupi i spieprzył, powiedział ktoś.

Niestety ten idiota jest tutaj, powiedział Bohler. Wasyl go nawet namawiał, a teraz go pilnuje, żeby Laotańce... żeby nic pochopnie. Ale oni powiedzieli, że to nasza rzecz.

Nie musieliśmy nawet specjalnie długo kiwać głowami i brzękać srebrem.

Sprawa jest jasna, powiedział Kocur.

Rekin zrobił tylko ten znak.

No, tak, powiedziałem, nic się nie da zrobić.

Też przyjmuję odpowiedzialność, powiedział Bohler.

Ale Łowca chce, żebyś poszedł z nim ty, Potok.

Przypomniałem sobie zdjęcie, Łowca wyglądał na nim jak komputerowy samuraj albo agent doskonały, zbity z tropu... a jak chodzi po domach w tej swojej szmacie, z tatuowaną twarzą i zębem rekina na bransoletce... nie chciało mi się... i było to widać.

Moja Laotanka powiedziała mi, że Łowca jest bardzo załamany i zakłopotany tym, że cię dziabnął, fakt, że chce cię wziąć z sobą, to podobno wielki zaszczyt, wszyscy jego ludzie byliby szczęśliwi, gdyby ich wybrał... skoro chodzi o honor.

Tak, no dobrze, jestem zaszczycony.

Łowca był na podwórzu, a kiedy mnie zobaczył, uśmiechnął się, bonzur, mówi. Rozejrzałem się, byliśmy sami.

Nie musi się pan wysilać, mnie samego zaskoczyło, że zacząłem mówić mu per „pan”, wiem, że zna pan mój język.

Ekskize mua?

No dobra, skoro nie: Że se k' wu parle czek.

Ną. Ekskize mua, ż parl franse, pa boku.

Jak pan chce, ale powiem panu, że dobierają się panu do skóry ubecy, policja... nie, oni nie są policjantami... oni są podziemnymi policjantami... underground policaj komunisten banditen, wu konese?

Ną.

Dobra, jeśli nie jest pan tym, kim myślę, że pan jest, to bez znaczenia. Jeśli pan nim jest, to pana ostrzegam. I chyba stoję po pana stronie. A na pewno przeciw nim. Wu konese, że pans.

Ną.

Dobra, dobra. On iwa.

I poszliśmy.

Przed drzwiami stał Wasyl. Ale jest tam jego żenszczina, powiedział. Ja tu zdał, ja jowo prosił, ja jemu skazał, ubiegaj bystro. On niczego nie znajet, durak!

Jego sprawa, Wasyl, lepiej zmyj się stąd... ale nie idź do piwnicy, idź do popa, charaszo?

Da.

Nie musiałem nawet długo pukać, drzwi się otworzyły. Była tam ta jego żenszczyzna, piękna para. Oboje chlali, a on miał trochę kryminalną przeszłość, żadna z tych rzeczy nam nie przeszkadzała. Pamiętam Kucere, ten paproch. To był typowy przykład Czechaczka koło pięćdziesiątki, który pęta się koło koszów na śmieci na waszej ulicy. Wynosi odpadki, chodzi w podkoszulce. Poci się. Lubi piłkę nożną, telewizję, mięso, porno, swoją forszę, swoje wspomnienia, swój samochód, nie kocha niczego. Z żoną żyje w koegzystencji. Kučera czasami ją bił albo ona biła jego, ich sprawa. Niekiedy słyszało się ryki tych lokatorów. Mieli synka. Znikł. Nie dziwiłbym się, gdyby przyłączył się do bezprizornych. Na jego miejscu nie wahałbym się ani chwili.

Początkowo, kiedy przejeźliśmy dom, było to dla niektórych lokatorów maksymalnym zaskoczeniem. Zamiast swoich ludzi w radzie narodowej musieli brać pod uwagę nasze amulety i naszą technikę. Kučera miał z tym problem, ale Bohler go przekonał. I wszyscy stwierdzili, że sytuacja, w której my jesteśmy szefami, ma również zalety. Czasami mianowicie nie naprzykrzaliśmy się z pobieraniem czynszu. Zapominaliśmy o tym, myślę, że niektóre rodziny budziły litość Bohlera, który miał to zadanie.

Szanowna pani, myślę, że będzie lepiej, jeśli...

Nigdzie nie pójde, panie właścicielu.

Proszę posłuchać, stała się pewna rzecz...

Z mieszkania czuć było jakąś spalenizną... i kapustą... miała czerwoną twarz, oczy opuchnięte od chlania, a może od łez albo od jednego i drugiego... rozczochrane włosy... trzymała drzwi.

Wetknąłem nogę między nie a futrynę. Łowca stał za mną spokojnie. Widziała go.

Nigdzie nie pójde... jak on będzie umierać... dla mnie to będzie rajska muzyka... rozgniećcie tą wesz, pan nie wie, panie właścicielu, to nie było życie... gównu pan wie! Gwałtownie otworzyła drzwi... Łowca wśliznął się do środka.

Niech pani się nie wygłupia... proszę odejść...

Niech mnie pan nie wygania... panie właścicielu... poszła za Łowcą, nie mogłem jej w tym przeszkodzić. Kučera stał przy oknie, na stole butelka piwa, gazeta, patrzył na nas z niedowierzaniem. Łowca stanął przed nim, odwrócił głowę do mnie.

Il kone rian. Wu parole purkua...

Łi. Tak, powiem mu dlaczego.

Zara, spierdalajcie z mojego mieszkania, niech ten zółtek się wynosi, Mařena, dzwoń po gliny, no, rusz dupę...

Sam nawarzyłeś piwa, Pepo, to twoja wina.

Panie Kučera, pan nie pomógł, a w dodatku...

Popatrzyłem na Łowcę, nie miał żadnej broni, ale kiedy spojrzałem na jego ręce, stało się dla mnie jasne, że żadnej nie potrzebuje.

Kurwa, nie wolno wam, są przecież jakieś prawa, spierdalajcie stąd!

Niestety pan, panie Kučera, wszelkie prawa naruszył. I powiedziałem mu jak.

Mařena, nie, tylko nie to... nie wolno.

Ona jednak z tej izby w końcu uciekła. Łowcy powiedziałem: Il kone, mętnan, ż pans, i poszedłem za nią.

Zanim dotarłem do paczki, przez chwilę szwendałem się bez celu po korytarzach, odpoczywałem. Było jasne, że inni lokatorzy jednak sobie poszli. Nie wszyscy, gdzieś na dole usłyszałem radio, gdzieś szcęknięcie sztućców o talerz. Ale zwykłych rozmiarów dźwięki domu nie miały. Nie słychać było żadnych kłótni, płaczu, śmiechu nowych ludzi, otwieranych i zamykanych drzwi, stukotu obcasów, żadna staruszka nie człapała po schodach... nie szła na ploty, żaden facet w waciaku nie wyszedł z za rogu. Nikt nie ciągnął wózka dziecinnego sam, zanim ktoś mu pomoże. Były tu tylko stare, ciężkie smrody domu. Smutne. Na dole Zona.

Przyśpieszyłem kroku.

REKIN: «MIAŁEM SEN».

No, Piąty już tu jest, powitał mnie Bohler.

Czasem mnie tak nazywali, bo ja jestem Ten, Co Najczęściej Skądś Przychodzi, a zanim dotarłem, musieli na ogół czekać... ale to nikomu nie przeszkadzało, działałem dla wspólnego dobra.

Myślę, że nadszedł czas, powiedział Bohler i zaczął wypłacać sobie z włosów srebro. Chyba pójdziemy do kuźni, nie?

Chyba tak, powiedział Kocur. Nożyczki i brzytwa leżały na stole.

Nie, powiedział Rekin Štejn. Miałem sen.

Wszyscy się wzdygnęli. Po długim dniu przyszła już przecież noc. Tego się nie spodziewaliśmy.

Po co samokrytyka, powiedział Kocur, plemię się rozpadło.

Nie chcę samokrytyki, powiedział Rekin. Miałem sen.

Usadowiliśmy się w różnych miejscach. Na razie jeszcze zostawiliśmy srebro w spokoju. Włosy też. Pozwoliliśmy, żeby to z nas zwisało.

Wy wiecie, kapitanowie i bracia, że jestem tylko nosicielem snu i że nie chcę urazić towarzystwa jakimś bezwartościowym poglądem. Ale był to sen bardzo długi i ciężki, a ja chyba nie rozumiem go dobrze, myślę, że dostałem go nie tylko dla siebie, ale po to, żebym się nim podzielił. Jest to kontynuacja snu Piątego, a ja wiem już, dlaczego w jego śnie leciałem przed nim do swojego śnienia. W moim śnie są, bracia i panowie szlachta, liczne pętla i zagadki, mój sen nie jest dla każdego. Jest to sen o snach, naładowanych przedmiotach, o plemienu, o końcu plemion i jednostce, i o Możliwości. Jeśli macie jakieś pytania, odpowiadam: Ten sen miałem dzisiaj, kiedy nie mogłem wydostać się z pudełka, a wy biliście się ze stalingami.

Czułem już, że w Rekina Štejna wstępuje głos, i rozejrzałem się po swoich bliskich. Sutanna miał zamknięte oczy, Sternik siedział pogodzony z sytuacją, wiedział przecież, że nie nastąpi biznesowy dzień, tylko wymiatanie Zony. David dalej leżał na stole, a w naszych sercach panował z jego powodu lęk. Rekin mówił:

Mój sen jest też o tym, czym jest Ziemia. A wy musicie to wytrzymać, łgarze i donosiciele, bo na końcu dam wam Możliwość.

Dalej, zaczynaj, okrutny Rekinie! Dawaj to! Jesteśmy gotowi! zachęciliśmy Szeherazadę i usadowiliśmy się wygodniej.

Mój sen zaczyna się tam, gdzie skończył się sen Potoka. Lecieliśmy wtedy nad polem kości, a potem znaleźliśmy się przed Twarzą, a Twarz była łaskawa i promieniała, i stało mi się to samo co Piątemu: leciałem pierwszy, to wiecie, alfonsy i rzezimieszki, ale nagle ta Twarz pogrubiała, zrobiła się twarda... była zła... a moje żyły i arterie, pełne życzliwości, wypełniły się ciężką, gorącą krwią i bałem się, przyszedł wielki strach, wy mordercy i najeźdźcy, i w trwodze, która wirowała mi w czaszce, moje widzenie ściemniało... ta Twarz skurczyła się w grymasie Złego i stała się maską z twardego drewna. A potem nagle, wy krzywoprzysięzcy i fałszerze, leżałem w trawie i widziałem was, rozbójnicy i piraci, w trawie obok siebie. Musimy przyjąć, przyszło mi do głowy, także i te żywoty, widziałem was, wy faszyści i komuchy, ciebie, Kocur, jako Awanturnika w rozdartym futrze, z krwią kapiącą z rozciętej ręki, ciebie, Bohler, jako Smutnego Męża z mieczem w jednej ręce i młotem w drugiej, a ciebie, Potok, jako Tego, Który Skacze, opierałeś się o oszczep, i ciebie, Krul, ty byłeś bez broni. A ja byłem Tym, Który Jest W Wielu Miejscach, miałem łuk i kołczan ze

strzałami, było ich jednak mało. A nasze spojrzenia, szanowni konkwistadorzy i mordercy młokosów, kierowały się w jedną stronę, ku drewnianemu posążkowi naszego bożka, tego, który jest w pamięci czasu jeszcze przed miejskim Starym Bogiem. Patrzyliśmy w twarz Swantowita, pana gromów, i Tego, Który Pije Krew Z Serca Ciemności I Wydaje Swym Dzieciom Ich Wrogów Sparaliżowanych I Lękliwych, byliśmy, mimo ran, głodu i strachu przed naszymi prześladowcami, szczęśliwi.

Byliśmy ludźmi jednego plemienia, które wpakowało się pod walec albo pomiędzy ostrza nożyczek, jak zdaje się brzmi, drogie łowczynie i drogie sędziny, modny dzisiaj termin Pentagonu. Ale w naszym ówczesnym języku mówiło się: dostać się pod młot. A Swantowit... to nie był żaden lekki wesołek, miłośnik kwiatów i owiec, jak utrzymywały nasze wstrętne marksistowskie belfry... było to bożyszczcze wściekłości dawnych ludzi Bohemii, która zresztą nazywała się wtedy inaczej... drewno tego posągu było mnóstwo razy zalewane krwią ofiar. Im więcej tych ofiar, tym nasze bożyszczcze było silniejsze i tym więcej dawało nam sił do łowienia nowych ofiar. To jest przecież logiczne. Ale nasi nauczyciele nam tego nie powiedzieli, zabroniono im tego. Musieli twierdzić, że nowy, współczesny człowiek jest inny, wspanialszy i lepszy. Jest bardzo, bardzo zdolny, tak nam to wtedy mówili, przypomnijcie sobie, wy psychopaci i paranoicy. Nic nam nie powiedzieli. Musieliśmy więc poznać Swantowita na własnej skórze. Służyliśmy mu, a on nas chronił. Tylko że... byliśmy małym plemieniem i chociaż mieliśmy wielu młodych wojowników... walczyli oni i tu i tam padali w bitwach... to jednak kobiet i dziewcząt było w plemieniu więcej niż nas... było ich naprawdę wiele, tych kapłanek, siostr oraz przyjaciółek i narzeczonych... nie udawało nam się ich odpowiednio ukoić... byliśmy coraz bardziej wyczerpani od tych bitek... to one zdecydowały, że musimy przenieść się gdzieś dalej, wybić gdzieś wszystkich w okolicy i nałować im facetów i bawołów... co ja będę ciągle rodzić, powiedziała jedna, to boli, nakradnę sobie jakichś cudzych dzieci, przecież to wszystko jedno... usłuchaliśmy potężnej Ewy, bracia moi, wy bałwochwalcy i fanatycy, i ruszyliśmy dalej... posąg Swantowita tam zostawiliśmy... byliśmy pełni pychy i myśleliśmy, że mamy dość sił... wytrzebiliśmy kilka osad różnych miękkich ludów i nałowiliśmy kobietom facetów, żeby ukoiły się w objęciach niewolników... żeby nie meły wciąż ozorem i nie skarżyły się... my woleliśmy łowić i zarzynać... tylko że dostaliśmy się pod młot.

Na północy atakowali nas Pszowanie, od południa nadciągnął Lud Siekiery, przed nami były mocne wały Zliczanów, a od tyłu nagle natarli Kędzierzawcy. To jest klasyczny młot i okrażenie. Byliśmy pomiędzy nimi wszystkimi i ze sobą zetrzeć się nie mogli. Początkowo walczyliśmy... ale bardzo ostro na nas nacierali... wpadaliśmy w pułapki... kobiety znowu burczały z niezadowoleniem... zastanawialiśmy się nawet nad ugodą... chwilową... tak kiepsko już z nami było... głupcy, strofowała nas Ewa, dlaczego zostawiliście tam Swantowita? Durnie, nie będę z wami sypiać... ale to Ewa wtedy zdecydowała, że nie będziemy ze sobą targać tego posągu! To było niesprawiedliwe! Rzeczy przedstawiały się coraz gorzej, nasza siła była już tylko w strachu... zabijaliśmy, żeby nie zabito nas... nie było to już zabijanie z nadmiaru energii i z radości życia... poznaliśmy drugą stronę medalu, kiedy nas tak szczuli w wilczym kręgu... starców musieliśmy zostawić w lasach, nie było komu nosić ciężarów... i tak zresztą potraciliśmy wszystkie swoje majątki... podczas ucieczki. Trafiliśmy do borów, gdzie łowili Lemuzowie, szczególnie pełna nienawiści i okrutna horda podludzi, połączyli się ze swoimi odwiecznymi wrogami Doudlebami, żeby nas zniszczyć. Po ich ataku, który jeszcze odparliśmy, nasze towarzyszkę zabiły wszystkie małe dzieci... wiedzieliśmy już, co je czeka... byliśmy otoczeni przez podludzi, przez wstrętne niepojęte plemiona... zaczęliśmy się godzić z myślą, że ród ludzki wymrze... kobiety także chwyciły za broń... w tych bitwach, które nastąpiły, okazywały się jeszcze bardziej dzikie niż my... nie było mowy, żeby je zdobyli jacyś inni, wstrętni i niepojęci faceci, którzy nawet nie umieją właściwie robić tych rzeczy... wiedziały, że nie

przyprawimy im żadnych młodych niewolników, których by sobie wyćwiczyły... wzywały już jedynie Marzannę, tak ja i my... dotykały naszych żeber, a w bitwach były przed nami... do jedzenia mieliśmy tylko korzonki... i jabłka.

Po ostatniej strasznej bitwie rozproszyli nas, w umówionym miejscu zesła się zaledwie trzydziestka, plemię było zniszczone. Kobiety zostały już tylko trzy... gdzie jest Ewa? pytaliśmy, ona była mocna, dawała nam siłę... zranili ją... i jeden z nas musiał ją zabić, przyniósł jej włosy, żeby nie wpadły w ręce wroga, podzieliliśmy je między siebie... musimy wrócić do Swantowita, nie mamy wyboru... a to była kiepska perspektywa... przejść całą drogę pośród dzikich niehumanicznych plemion... na bagnach napadły na nas skrzaty, takich niehumanów nigdy przedtem nie widzieliśmy. Teraz niestety zobaczyliśmy ich z bliska. Na wiklinowych tarczach mieli namalowanego żółwia, cali byli oblepieni błotem. Atakując, krzyčili Nindza! Nindza! I zabili dwu naszych druhów. Dotarliśmy do Charwatów, z którymi mieliśmy kiedyś chwiejny sojusz, byli bowiem równie bezlitośni jak my, lepiej było się połączyć i łowić słabszych... Charwaci jednak za bawoły i niewolników wydali nas Chebkom, których od wieków miażdżyliśmy... kilku z nas uciekło... kobiety wszystkie już padły, bez ich obecności, ich innego zapachu i innych zgrabnych ruchów byliśmy załatwieni... musimy ukraść kobiety... ale potem z ośmiu zostało nas już zaledwie pięciu, a jeden był tylko Krulem, Krul nie nosił broni, to był wariat, przeżył cudem... całymi dniami tylko bazgrał w piasku... co robisz, Krul... wysmiewaliśmy się z niego... te, bazgroła, choć zatańczyć i napaść na kogoś... on przeżył w plemienu tylko dzięki potężnej siostrze Ewie, to ona go chroniła... dajcie mu spokój... on robi pismuny, będziemy ich potrzebować, żeby nic nie zapomnieć, żebyśmy byli ze swoimi umarłymi... ależ Ewa, pamiętamy przecież każdą kość, każdy kawałek ciała, każdego zabitego mamy w swoich sercach... wy tak, wasze dzieci nie... tak, to prawda, skrobaliśmy się po natłuszczonych czuprynach, a jeśli właśnie nie mordowaliśmy i nie napadaliśmy albo nie byli mordowani czy napadani, co zlewało się ze sobą, atakowaliśmy Ewę i Krula: niby po co mają to pamiętać... same bzdury... to nie wasza rzecz, powiedziała Ewa, postarajcie się złowić paru niewolników, jestem jakaś niespokojna... nasza piątka, Awanturnik, Smutny Mąż, Ten, Który jest W Wielu Miejscach i Ten, Który Skacze... i Krul, dotarła w końcu do posągu Swantowita. I my czterej, wy bandyci i złodzieje stad, tylko sobie przypomnijcie, my czterej staliśmy i prosili Swantowita, a Krul, ten nieszczęśnik, znowu odłamał gałązkę i bazgrał w piasku, my czterej zaś czekaliśmy, a potem Swantowit przemówił do nas... tylko przypomnijcie sobie, wy gwałciciele dziewic i zabójcy dzieci, wiecie, co nam powiedział... a my podeszliśmy do Krula, staliśmy teraz dokoła niego, tylko przypomnijcie sobie, wy łowcy skalpów i cenzorzy, staliśmy dokoła niego z czterech stron i Awanturnik uderzył Krula jako pierwszy, Smutny Mąż zerwał mu futro, Ten, Który Jest W Wielu Miejscach plunął Krulowi w twarz, a Ten, Który Skacze dziabnął go oszczepem... a potem go zabiliśmy.

Usłuchaliśmy wtedy Swantowita, wy generałowie i radiotelegrafiści, a kiedy Krul był martwy, wycięliśmy swemu bratu serce, rozkroiliśmy je na cztery części i zjedliśmy... ofiarowaliśmy wtedy Krula, wy sędziowie i grabarze, żeby przeżyć... jego serce było słodkie i było, a w nas znowu wstępowała siła... i Awanturnik spojrzął na swoje zagojone ramię i krzyknął, a Ten, Który jest W Wielu Miejscach tupął w ziemię, a Smutny Mąż śmiał się... Ten, Który Skacze wbiegł na pagórek i trzymał się za nos... poczuł dym i oszczepem pokazał kierunek... i pobiegliśmy, nie czuliśmy już ani głodu, ani strachu, tylko dziką radość, która nas upajała, cieszyliśmy się... serce Krula w nas żyło, czuliśmy je jak mrowienie w każdej aorcie i w każdym naczyniu włoskowatym ciała... i biegliśmy jeden za drugim, czterej bracia połączeni ofiarą... pod pagórką była palisada... może powinniśmy poczekać na zmrok... ale Awanturnik niecierpliwie zaskowyczał, Smutny Mąż kiwnął głową, Ten, Który Skacze oblizwał sobie wargi, a Ten, Który jest W Wielu Miejscach wstał... ruszyliśmy, pełzliśmy w trawie jak węże... Ten, Który jest W Wielu Miejscach stał nieruchomo, łytał na wszystkie

strony oczyma, strzała była przygotowana... Smutny Mąż zabił młotem psa, który jako jedyny wybiegł nam naprzeciw... Ten, Który Skacze wspiał się na palisadę i otworzył bramę... Awanturnik wbiegł do środka jako pierwszy i powalił dwóch mężczyzn, którzy tam stali... nie spodziewali się tego, atak w biały dzień... a za Awanturnikiem wbiegli do środka także pozostali... szybko i cicho... przemykaliśmy się pośród drewnianych chat i zabijaliśmy... nasi nieprzyjaciele byli jak sparaliżowani, nie widzieli nigdzie żadnej hordy, nie słyszeli ryku obcych wojowników... byliśmy cisi i wielu ich zabiliśmy, zanim w ogóle chwycili za broń... dopiero teraz zaczęło nas to cieszyć, mogliśmy dać im odczuć naszą zrzęczość i naszą nową siłę, a potem nie czuli już nic. Leżeli ze szklistymi oczami, brodami w górę, w zaroście tkwiła im starzała albo mieli tam krwawą ranę od miecza, albo ugryzienie... niektórzy niewolnicy powstali przeciw swym panom i witali nas radośnie, ale ich też zabiliśmy, nasza siła była wielka i rosła dalej, sycona krwią... najbardziej się potem broniły niektóre kobiety... drapały nas i gryzły. Niektóre się przebiły... oszczędziliśmy tylko te, które się broniły, zbiliśmy je, leżały nieruchomo... te, które prosiły o życie, częstowaliśmy kopniakiem i rozcinaliśmy je, a ich dzieciom głowy rozbijaliśmy o ściany chat... potem nikt już nie żył, a my podeszliśmy do tych kilku kobiet, które oszczędziliśmy... zgwałciliśmy je i daliśmy im swoje nasienie, bo wiedzieliśmy, że nasz czas nastał.

A potem już nigdy nie byliśmy nadzy i wynędzniali. Kobiety, które oszczędziliśmy, musiały wykopać dół i spalić w nim wszystkie trupy. My dobrze im się przyglądaliśmy, a jeśli któraś zapłakała nad ciałem męża albo dziecka, zapamiętywaliśmy to. Parę z nich uciekło... daliśmy im spokój. Ale trzy zostały. Te poznały, kim jesteśmy. Nie płakały. Tylko od nich chcieliśmy mieć synów. Wyruszyliśmy w okolice i wybijali osady miękkich ludzi. A potem natrafiliśmy na ludzi nowego plemienia. Byli żółci i mieli skośne oczy, siedzieli na nieznanym zwierzętach. Najpierw myśleliśmy, że to jedno zwierzę z dwiema głowami i sześcioma nogami. Dowiedzieliśmy się, czym są, dopiero kiedy niektórych uśmierciliśmy. Nie mieli żadnej szczególnej siły, płynęła z nich krew jak z innych. I po nich zostało tylko ścierwo. Na niewolników się nie nadawali, nie chcieli pracować. Zabraliśmy im konie i nasza siła wzrosła. Potem naszej krainy zaczęli unikać także ci żółci ludzie.

Było nas czterech: mroczni książęta Marzanny, i chroniliśmy się z czterech stron. Ponieważ nasza kraina pustoszała, a ci, których nie zabiliśmy albo nie zmienili w niewolników, uciekali, kazaliśmy swoim niewolnikom postawić wieżę. Musiała to być wysoka wieża, bo potrzebowaliśmy rozległego widoku. Chcieliśmy widzieć jak orły. Chcieliśmy, żeby wieża dotykała chmur.

Nasze pierwsze kobiety już umarły, ale dały nam dzieci. Nasi synowie spali na gnoju i chłodzie. Poniżaliśmy ich i bili, żeby nabrali twardości. Ci, którzy przeżyli, nie kochali nas, ale bali się. Nasze córki, te, które przeżyły, umiały walczyć równie dobrze jak oni. Ale potrafiły robić więcej rzeczy. Zbierały korzenie i z nich i z kamyczków, i z pazurów drapieżników umiały wywróżyć nam kierunek. Umiały przykładać pajęczyny, śliny i okłady brzozy na rany swych braci, tak by rany owe się zagoiły. Jedna z nich była potężna. Nazywała się Porywa. Porywca miała wielką siłę. Rządziła niewolnikami i kierowała budową wieży. I bracia jej słuchali.

Raz wyznaczyła nam kierunek, jechaliśmy daleko, aż do wielkiej rzeki. Natrafiliśmy na udeptaną drogę i zatrzymaliśmy karawanę. Namierzyli na nas oszczepy. Jeden z naszych synów śmiał się i wjechał w ten las oszczepów, i krzyczał na obcych wojowników naszym językiem. Odpowiadali mu bezsensownymi słowami. Wrócił, a z boków jego konia płynęła piana i krew. Co z tą hołotą, ojcowie, wołał nasz syn, wilk, nawet mówić nie umieją, to niemcy. W jednym z wozów była stara kobieta z małym chłopcem, mówili jak my. Może dlatego ich oszczędziliśmy. Chłopiec miał przy sobie dziwną rzecz. Był to przejrzysty kamień, jasnoczerwony, a kiedy któryś z nas unosił go do słońca, stawał się złoty. W kamieniu była muszka, nie ruszała się. Potrząsaliśmy kamieniem, żeby poleciała. Może była

martwa. Ale miała skrzydła, tak jak muszki w locie. Nie była wykrecona skurczem, a jej skrzydła miały swoje kolory. Uważnie obejrzelismy sobie ten kamień. Był to czar. Kamień zatrzymał życie, nie zmiądzzył go, ale miał to życie w sobie. Jak to się stało?... pytaliśmy i potrzęsali kamieniem. A jak się nazywasz, chłopcze... spytał któryś z nas... chyba z szacunkiem. Mógł to być czarownik. Samo, odpowiedział chłopiec. Któryś z nas dał mu nóż i miecz, inny owinął go purpurowym płaszczem. Położyliśmy na wóz także łuk i strzały. Żeby odwrócić jego gniew. Zabiliśmy przecież jego sługi.

Czar nas zaniepokoił. Mieliśmy siłę Marzanny, widzieliśmy, jak nasi wrogowie krzyczą i umierają w konwulsjach, i proszą o łaskę. Widzieliśmy, jak uciekają. Wiedzieliśmy wszystko o ruchach niewolnic, kiedy kładliśmy się z nimi. Niektóre orientowały się, co je czeka potem. Wiły się pod naszym ciężarem i myślały, że to już śmierć. Ale kamień, który miał chłopiec, to była śmierć innego rodzaju. My spędzaliśmy czas w biegu i boju, w kamieniu czasu nie było. Może powinniśmy byli zabić chłopca, a kamień zniszczyć.

Poganialiśmy swoich niewolników przy pracy na budowie. Wieża rosła, ale powoli. Od chwili, kiedy zobaczyliśmy kamień, wiedzieliśmy, że dzieją się nowe rzeczy. Baliśmy się o swój czas. I byliśmy jeszcze bardziej oszalali i okrutni. Byliśmy w stanie wojny ze wszystkimi ludźmi, łowiliśmy ich i przeganiali. Nieszczęśnicy. Tylko nas kochała Marzanna, sama Śmierć była naszą siostrą. Tylko my czterej związani byliśmy umową wyrwanego serca. Tylko my mieliśmy dość siły, żeby spośród siebie ofiarować swego brata, Króla Dawida, i zjeść jego serce.

Do naszych lasów przybywali wojownicy innych ludów. Na razie zawsze udawało się nam ich przegnać. Czekaliśmy jednak. Budowla rosła, ale jeszcze nie dotykała chmur. Jak daleko jest do nieba? pytaliśmy samych siebie. Budowla nie była nawet tak wysoka jak góry na horyzoncie. Łowiliśmy kolejnych rabów. Czyniliśmy ich z wojowników, wielu wolało umrzeć niż słuchać naszych rozkazów i świstu bata. Z czasem jednak wyhodowaliśmy nową rasę. Rasę niewolników. Na starych i słabych nasi synowie wypróbowywali miecze. Niewolnicy bali się zestarzeć.

Potem się to stało. Porywa znikła. Uciekła z jednym z niewolników. Nasi synowie prosili, żebyśmy wzięli ich ze sobą, byli bardzo poniżeni. My jednak czuliśmy, że to nasza sprawa. Wyjechaliśmy. Awanturnik, Smutny Mąż, Ten, Który Jest W Wielu Miejscach i Ten, Który Skacze, jechaliśmy w milczeniu. Poganialiśmy konie. Nie wiedzieliśmy, dlaczego Porywa to zrobiła. Gdyby zapragnęła jakiegoś mężczyzny, dostałaby go. Jej bracia uczyniliby dla niej wszystko. Jeśli zapragnęła wypełnić swoją samotność, wystarczyło wyznaczyć kierunek. Ale ona nas opuściła. Z niewolnikiem. Nie był to nawet wojownik, był z jakiegoś tchórzliwego rodu. Popędziliśmy konie, wiedzieliśmy, że ich doścignemy.

Porywa siedziała w trawie na zboczu, pies tarzał się o parę kroków od niej. Patrzyliśmy na swoją córkę i nikt z nas nie chciał tego zrobić. Ona miała też dosyć czasu, aby to uczynić. A mimo to siedziała tam z opuszczoną głową. Czekwała na nas. Ojcowie moi, powiedziała... wy wiecie, kim jest Porywa... uniosła głowę i spojrzała na nas. Była bardzo potężna. Nie chcecie tego zrobić, bo wiecie, kim jestem, ciągnęła, i chcecie wiedzieć, dlaczego odeszłam. Powiem wam to... coś się stało... rządziłam na budowie... i poganiałam niewolników, ale potem coś się stało... serce tego mężczyzny przemówiło do mnie, a jego mowa była bardzo piękna... chciałam słuchać, ojcowie moi, twarz moja czerwieniała, odwracałam się... ale mówił do mnie bardzo pięknie, a jego mowa dźwięczała we mnie... a ja, ojcowie moi, wiedziałam, że gdyby ten niewolnik zechciał, wszystkich was bym zabiła... wy wiecie, kim jestem... i że dręczyłabym swych braci, podpaliła palisadę i wieżę... gdyby ten niewolnik zechciał... ale on chciał tylko odejść... nie jest to czarownik, ojcowie moi... jest to tylko mężczyzna... i pies. Wstała i podeszła do tego niewolnika, który tarzał się i skomlał, bał się... plunęła na niego, potem go objęła. A jej włosy tę plwocinę starły. Poszła w górę zbocza, zatrzymała się plecami do nas, a potem gwałtownie poruszyła ręką i padła na ziemię. Któryś z nas zabił

niewolnika, staliśmy potem nad swoją córką, wiedzieliśmy, że to nie wystarczy, że musimy odnowić swoją siłę, że po tym, co uczyniła Porywa, musimy swoją siłę powiększyć. I któryś z nas chwycił Porywę za nogę i ją odwrócił, inny zanurzył w jej ciele koniuszek miecza i otworzył to ciało, następny wyciął wątrobę. A czwarty ją podzielił. Wróciliśmy i dalej władaliśmy krainą i sycili Marzannę. I czekali.

Z lasów przybyło nowe plemię. Gnało przed sobą zastępy. Uciekające plemiona mieszały się ze sobą. Nasi synowie opowiadali, że ci nowi mężowie to Ludzie Boju. Mają hełmy z rogami byków. W bitwach gryzą krawędzie tarcz, a idąc do ataku, niekiedy wyrrywają drzewa, i to z korzeniami, i rzucają je przed siebie. Nic nie może ich zatrzymać, tylko śmierć. Postawiliśmy nowe ostrokoły i pogłębili fosę. Uciekinierów, którzy dotarli aż do bram, przegналиśmy strzałami i kamieniami. Biczowaliśmy niewolników, mieliśmy nadzieję, że dokończą budowę wieży i jeszcze na nią wejdziemy. Ludzie Boju natarli na nas w biały dzień. Mężowie ci wyli jak wilki, nagle byli za każdym drzewem, ich hufce wybiegły z lasu, skakali przez kamienie, biegli skuleni i kluczyli pośród strzał. Niektórzy z naszych synów wypadli przed bramę, bo chcieli wypróbować nowych wojowników. Witali się z nimi wyciem i śmiali się do siebie. Ale ujrzeliśmy, że miecze naszych synów pod uderzeniami Bojów pękają i łamią się. Ich miecze i topory były inne niż nasze. Wielu z nich zabiliśmy strzałami i kamieniami, ale z naszych synów nie wrócił ani jeden.

Wiedzieliśmy, że nasz czas dobiegł kresu, poszliśmy do niewolników. Musieliśmy ich zabić, żeby nie zaatakowali nas od tyłu. Wiedzieli, co ich czeka, i starali się przegryźć więzy. Bojowie was zwyciężą! zawołał jeden z nich. To bogowie, to leśni bogowie, wasza kraina będzie należeć do nich. Nagle znowu usłyszeliśmy wycie. Odbiegliśmy na wały. A jeden z nas wrócił i zapalił budowlę. Po raz ostatni wezwaliśmy Marzannę i poczuli lodowaty dotyk na żebrach.

Oślepiły nas iskry z płonącej wieży. A kiedy przebito pierwszego z nas, zaczęliśmy tracić siłę. I ci nowi ludzie rozerwali nasze ciała. Wieża przewróciła się i niewolnicy spłonęli razem z nią. Tak to było.

Uch, Rekin... błagalnie jęknął Bohler, już dość, przecież... Jasne, powiedziałem, przecież koło się toczy... Słuchaj no, a naprawdę zaraz pierwszego dnia załatwiłem jednocześnie dwóch gości? spytał Kocur. Spojrzeliśmy na miejsce, gdzie siedział David. Nie było go tam. O, kuźwa, przecież to była tylko taka bajeczka, zawołał Rekin. Przecież to mi się tylko śniło! Przecież to tylko sen! Wybiegliśmy z mieszkania. Na korytarzu Davida nie było. Zbiegliśmy na dół. Patrzcie! zawołał któryś z nas. Na wyłączniku koło stróżówki był krwawy ślad kciuka. No tak, to mu krwawi, zauważyłem, powiedział Bohler. Wyszedł na dwór, powiedział Kocur z rozpaczą w głosie, ale dokąd on pójdzie, w takim stanie, przecież jest jak jakiś zombi. Może go znajdziemy, powiedziałem. Rekin puścił się już pędem. Pobiegł za domy. Sprawdź szopy i podwórka, wy lećcie na przystanek, szczechnął Bohler. Pobiegliśmy z Kocurem w kierunku miasta. Muszę powiedzieć, że chociaż z tego padruga silny facet, to w biegu mi nie dorówna. Może siedzi w tamtym, wskazałem. Tramwaj odjeżdżał ku centrum, wokół było ciemno, tylko iskry elektryczne oświetlały jego zakrzywioną trasę. Światła w oddali gotowe były połknąć pojazd, połączyć się z jego mętnym żółtawym blaskiem. A to pech, Kocur kopnął kamień i posłał go na drugą stronę torów. Może poczuł się lepiej, może podjął decyzję. Przecież wiesz, Potok, plemię jest rozbite. Wiem, ale dokąd on może pójść?

Musimy wierzyć, powiedział Rekin, że nic mu się nie stało. Nie pozostaje nic innego, powiedział ktoś inny. Możemy rozejrzeć się w znanych miejscach i popytać, zaproponowałem. Tak, zrobimy to, z czasem... Teraz mamy tu Zonę, to jest najważniejsze. W końcu odszedł sam. W końcu, panowie, to jego sprawa. Da sobie radę... musi. Ale wiedzieliśmy, że nasz padrug jest bardzo, bardzo osłabiony. A jeśli nie umówił się w żaden sposób z Helenką, z Pokiereszowaną, bo... on właściwie nikogo w mieście nie znał, ci rozmaici obcy szefowie, biznesowi urzędnicy... takim nie można zawierzyć... takim chodzi

tylko o to, żeby dostać się do koryta, ale David nie zna nawet innych paczek... nauczyliśmy go, jak się poruszać... ale nie jak się poruszać, kiedy zmieni się sytuacja, zastanawialiśmy się.

Odszedł przecież sam. Jego sprawa. Może... źle się czuje. Może chce skończyć ze sobą. Może chce skończyć jako człowiek Tajemnicy. Może nie chce dalej tego ciągnąć bez umowy. Jego sprawa.

Siadajcie wreszcie, sępy i ścierwojady, bo rzeczy muszą dojść do końca, a ja jeszcze nie zacząłem mówić, zachęcał nas Rekin. Mój sen ciągnie się dalej, ale jest o innej gromadzie. Mój sen był szybki i powolny, a na jego końcu, wilki i wilczyce, mam Możliwość! I dowiecie się, czym jest ziemia pod waszymi nogami. Więc nie kręćcie głowami, przestańcie rozstrzygać teraz rzeczy w tej chwili nierozstrzygalne, wierzcie, są różne drogi, różne możliwości, są różne rzeczy... a jedną z dróg była droga ludzi Tępego Noża, kiedy zaczęła się dla nich noc E.

Plemiona uciekały i mieszały się ze sobą. A potem to, co z nich zostało, zagnano za ogrodzenia. Gnali ich w ten sposób, żeby razem byli ludzie różnych plemion, takich, między którymi panowała wrogość, żeby się wzajemnie wybijali... ich czas był rozbity, a nowi ludzie, którzy chcieli nadać krainie własną nazwę, już ich nie tolerowali... włożyli ludziom Tępego Noża obroże i zmuszali ich, żeby jedli ich bezsensowne rzeczy i wykonywali ich bezsensowne ruchy... tak przynajmniej wydawało się ludziom za tymi ogrodzeniami... a tych, co ich niewolili, nazywali wasiczu, białe duchy, ze względu na bezsensowny kolor skóry, i nie uważali ich za ludzi, bo tylko oni byli Déné, ludźmi. A zbiegiem okoliczności ludzie, którzy zbudowali ogrodzenia, uważali za podludzi właśnie ich.

W jednym takim ogrodzonym miejscu ludziom Déné śmierdziała trawa, a woda nie smakowała, więc umierali... nie było tam żadnych ruszających się zwierząt, do których można by strzelać i które można by szczuć, a była to kraina, gdzie nie było orłów, jedynie sępy... Déné ich nie lubili... wkrótce nie było tam też żadnych wrogów, bo Déné ich zgładzili, oczywiście oprócz silniejszych wasiczu.

A poza tym... to było dla Déné najgorsze. Na ogrodzonym terenie nie rosły żadne drzewa. A Déné układali swoich umarłych na drzewach. Wiedzieli, co to jest Ziemia, wiedzieli, że Ziemia jest zbiorową ludzką mogiłą. Było dla nich całkiem jasne, że tylko głupcy i niewolnicy Złego zagrzebują umarłych albo ich palą. Wiedzieli, że te masy umarłych i popiół już przeciążają Ziemię. Śniło im się, że wraz z kolejnym plemieniem czy ludem wrzuconym do dołów Ziemia odchyła się od swego kierunku i zaczyna błądzić w kosmosie. Jest rzeczą niewątpliwą, że z powodu bezustannego mordowania Ziemia, obciążona trupami, pewnego dnia stanie się zbyt ciężka i zabłądzi w starym miłym wszechświecie. Utraci swoje miejsce, swoją tajemną drogę, i polecą gdziekolwiek, najprawdopodobniej wleci staremu Intruzowi czy Diabłu do dupy.

Takie były wierzenia Déné. Dlatego układali swoich umarłych w koronach drzew, oddawali ich powietrzu, wiatrowi, jak również orłom i innym drapieżnym kuzynom... niektórych nie lubili, ale nic nie mogli na to poradzić, tak po prostu było... na ogrodzonym terenie nie rosły drzewa, więc zakopywali swoich umarłych i palili ich tak jak wasiczu, i czuli, co się dzieje z Ziemią. Nudzili się i umierali, a tymczasem pili Ognistą, której o dziwo tam nie brakowało... była ściśle zakazana, ponieważ, jak podają liczne studia i dysertacje, Déné po jej spożyciu w wielkich ilościach stawali się „psychopatycznymi mordercami”. Istniało jednak kilka fundacji kulturalnych, które hodowały koszykarzy, malowaczy i poetunów ze względu na podatki od folkloru, Ognista szła więc do rezerwatu wagonami... o sztukach podludzi ukazało się nawet podobno kilka humanistycznych artykułów w odpowiednich rubrykach dzienników. Kiedy rozmaite jury ujrzały owe stworzone na kacu wytwory, gadanie nie było końca, żeby jurorzy mieli za co żyć, a metal płynął, krytycy stroili długopisy i od razu znalazł się materiał na kilka konferencji, a zakompleksieni idioci

bezkarnie i bezterminowo wyrażali swoje poglądy... i, szanowni słuchacze i spikerki telewizyjne, doszło do tego, że z nudy i wobec bezwartościowości śmierci wszędzie dokoła Miniasty zabił swoją żonę... stało się to pod wpływem Ognistej, więc nikt mu tego nie wyrzucił, ale nie było to nic dobrego... a kiedy Miniasty wytrzeźwiał, gorzko żałował swojego czynu, pochłastał się i prosił swoją żonę, żeby mu wybaczyła... a ona może to zrobiła, a może nie, nikt tego nie wie, bo nie ożyła... a potem Naszyjnik uciął nos swojej małej siostrze i śmiał się z tego... też był pod wpływem Ognistej, więc o niczym nie wiedział... i do wszystkich dotarło, że zrobił to z powodu obroży, nikt mu nic nie powiedział, ale wszyscy wiedzieli, że to, co się dzieje, nie jest dobre. I zostało obiektywnie stwierdzone, że Natanis z powodu obroży wlaźł na drzewo, przywiązał się za nogi i opuścił w dół, głową w mrowisko, co odnotowano w licznych wybitnych studiach i kilku dysertacjach. Déné mówili mu, żeby dał temu spokój... on jednak powiedział, żeby to oni dali spokój jemu, żeby patrzyli i byli wobec jego losu jak bracia, bo on ścierpiał obrozę i tak się za to wstydzi, że wreszcie postanowił... że się sparzy ze śmiercią... przez noc wytrzeźwiał, ale postanowienia nie zmienił... i przyszła Pte San, Zmarnowana Wygrana, i powiada: Woda Ognista gorsza jest niż Gromowy Kij! Rozbijcie butelki i zabijcie wasiczu, którzy sprzedają wam to święństwo za wasze kobiety. Wy nachlani bezwstydnicy. O wszystkim zapomnieliście. Jesteście ludźmi? Wszyscy byli akurat pijani i to, co powiedziała Pte San, wydało im się doskonałym pomysłem, poszli i zrobili to. Pte San była potężna i w większości zrobili to, co powiedziała. Kiedy nikt nie patrzył, skończyła też cierpienia Natanisa. Déné zabili wszystkich wasiczu, dopadli także zarządcę ogrodzonego miejsca, który miał najwięcej tytułów i był w wielu radach nadzorczych, i mieli wspaniałą zabawę: przecież kiedy skarżyli się mu, że nie mają co jeść, powiedział im, żeby żarli trawę. A oni zabili go i napchali mu trawy do ust, więc żre ją ciągle. Zabawili się, ale wiedzieli, że najwyższy czas zniknąć.

Montowali strzelby i pistolety, których nie wolno im było mieć. Już dawno wiele ich rozebrali, a zamki, sprężyny i lufy, cyngle pistoletów i bębenki koltów mieli rozmaicie wplecione we włosy i nosili je jako ozdoby. Wasiczu śmiali się z nich i gadali coś o głupich barbarzyńskich ozdobach i nadzwyczaj dziecinnych zabobonach. Tylko że teraz już tu żadnych wasiczu nie było. A kiedy dla ludzi Tępego Noża zaczęła się ich noc E, przestało się z tego barbarzyństwa śmiać znacznie więcej innych wasiczu. Przeszli się nawet uśmiechać, przestali być.

Jeźdźcy wyruszyli pierwsi, a za nimi szły kobiety i dzieci, ponieważ koni na razie zbyt wielu nie mieli. Wiedzieli, że w pobliżu ogrodzonych terenów jest kilka szwadronów kawalerzystów. Mówi się, że jako pierwsi wyjechali Miniasty i Naszyjnik. Wielce się zagubili i było im wszystko jedno. Kawalerzyści ataku Déné nie oczekiwali i tego dnia niemało z nich przestało się śmiać. Miniasty poległ i dowiedział się, czy mu żona wybaczyła. Zginęło ich więcej. Ale zdobyli sporo strzelb i koni, a ich siła zaczęła powracać. W pobliskim lasku jeźdźcy zsiadli z koni i odpowiedzialność, która leżała na prerii, wziął na siebie Tępy Nóż. No dobrze, dobrze, bracie, mówili mu pozostali... wódz Józef, Niedźwiadek, Ojokoltsa, Śpiący Królik, Abenak, Krwawy Nóż i inni... no, tak, ale ty wiesz... nie musieli tego mówić, ale zaczęli znowu żyć według prawideł... i Tępy Nóż kiwnął głową, bo wiedział... co by się stało, gdyby swoich ludzi nie przeprowadził przez pułapki i pozwolił im wpadać w sidła i potrzaski, gdyby nie odgadł zagadek, gdyby jego serce zamarło ze strachu. Wyruszyli na północ, do swojej ojczyzny.

Nie wiedzieli, że ojczyzna ta już nie istnieje. Nie wiedzieli, że duchy postawiły tam setki i tysiące billboardów reklamujących rozmaite zbędne towary. Nie wiedzieli nic o bardzo trującym dymie, który wlecze się nad horyzontem jak oparzenie po skórze, kiedy walec się obraca. Nie wiedzieli, że dżdżownice nie są już policzone. Nie wiedzieli, że mrówki przestały być wolnym ludem i że wycofują się przed żółtozieloną mieszanką.

O wieżach wiertniczych ani o ropie, która napędza pojazdy, żeby mogły gnać autostradami, nie mieli pojęcia. Zresztą i tak by myśleli, że to jakieś bzdury. Gównu wiedzieli o kociej koli i fistaszkach łącznie z kijami bejsbolowymi. Nie czytali Kafki. Varhola ich nie interesował. Spotkali tylko Josifa Szwejka, który jest wszędzie, ale go zabili. Nie przypuszczali, że ziemia i ludzie mogą stać się tylko swoimi fotografiami. Był to lud dosyć tępy.

Wiedzieli tak mało, nie wiedzieli nawet, że na przykład telegraf, który po ich wyczynie zwoływał coraz to nowe szwadrony kawalerzystów, prowadzone w większości także przez ludzi Déné, tyle że z nieprzyjacielskich plemion, to nie Droga Bez Uszu, tylko po prostu i najzwyczajniej w świecie telegraf... mieli swój język, którego bezsensownie, tępo i wstecznie trzymali się z dzikim uporem... podobnie jak trzymali się swojego ruchu, z każdym krokiem w głąb nocy E, dalej od ogrodzeń, powracała ich siła... pochodzili z różnych plemion, wódz Józef i jego syn Naszyjnik byli z Przebitych Nosów, Wowoka, który uczył ich tańczyć zakazany taniec, był Pajutem, pozostali wywodzili się w większości z Czejenów... ale teraz było to obojętne, stworzyli nową społeczność obronną i wymieniali między sobą słowa, bo musieli się porozumieć, żeby nie zginąć czy przynajmniej nie tak zaraz... byli bandą Tępego Noża.

A serce Tępego Noża nie zamierało, nie kisło, przeciwnie, było słodkie i czerwone jak nigdy przedtem i Tępy Nóż biciem swojego serca pomagał ludziom w przejściu przez pułapki... unikał potrzasków, a sidła wywracał na drugą stronę.

Kawalerzyści ich otaczali. Wyjeżdżali z miejsc, gdzie przedtem nic nie było. Ludzie Tępego Noża szybko przekonali się, że chociaż ziemia jest ciągle tak samo duża, to jednak się zmniejszyła. Połączenia za pomocą drutu i bez niego bezbłędnie kierowały kawalerzystami. Tylko że Ludzie Tępego Noża mieli połączenia z różnymi światami i zaczęli wykorzystywać siłę. Potęgi były im życzliwe. Kiedy pojawiła się mgła, wykorzystali ją. Kiedy padał deszcz, pomógł im. Kiedy paliło słońce i żołnierzom wyskakiwały pęcherze, ledwo dotknęli lufy lub cyngla strzelby, wojownicy Tępego Noża wynurzali się nagle przed nimi ze słonecznego blasku, a topory i młoty chłodziły im dłonie. Niekiedy dobrze było iść wodą i przyjaźnie zanurzać się w jej miękkim i lśniącem świetle, bo do kawalerzystów przyłączali się szanowani obywatele z psami wyćwiczonymi przeciw ludziom. Poległ Niedźwiadek. Zabito Abenaka, tego, który prowadził młodych mężczyzn. Także Wowoka dotoczył swój taniec do końca.

Za każdego zabitego z gromady po stronie wasiczu wyrastał jak gdyby dalszy oddział prześladowców. Mówi się, że dla Śpiącego Królika było to jasne i uważał za właściwe oznajmić to innym: to tak jak z trupem człowieka i tysiącem robaków. Mówi się, że pozostali kiwnęli głowami. Kiedy Śpiący Królik poległ, nie smucili się bardzo, bo przypomnieli sobie, co powiedział o człowieku i jego robakach, i podobno wargi zmarszczył im uśmiech. Pokazali w nim zęby liściom lasu, piaskowi dołów i kamieniom, pośród których się ukrywali. Rzeczy drzew i gleby przyjęły podobno wilczy uśmiech jako swój i pomagały ludziom gromady. Niektórym starym ludziom potęgi powiedziały, żeby dalej już nie podążali; zostali razem. Niektórzy z rannych położyli się wśród skał, milczeli i gryźli wargi, żeby nie przemówić z bólu, kiedy ich bracia przechodzili obok. Zostali tam, a ich kości stwardniały.

Wódz Józef i Naszyjnik jechali z tyłu. Krążyli. Pozostali byli po bokach i z przodu. Ochroniali kobiety i dzieci. Słuchały one słów Pte San, Siostry Cielęcica Bizona, Koszyków Wiele i Żółtej Kobiety. Kobiety w większości były z różnych plemion, ale teraz ograniczyły słownictwo i pomieszały alfabety; musiały rozumieć się wzajemnie. Podobno złościło je, że nie mogą obficie używać przydawek, przeżywały bowiem bardzo dziki i barwny okres. Byłoby na pewno rzeczą piękną mówić o nim. Ale musiały nazywać rzeczy w biegu. Niekiedy wystarczyło tylko kilka rzeczowników do nazwania tego, przed czym trzeba w biegu zrobić unik. Często najbardziej niezbędnym zdaniem był stłumiony okrzyk. Szept i

mowa rąk. Ludzie Tępego Noża wiedzieli: wystarczy, że przeżyje jeden wojownik i chociaż jedna z Tych, Które Są Chronione, żeby nasienie gromady przetrwało. Ale poległ Ojokoltsa, Niedźwiedzi Łeb, Góra Mięsa. Poległ Krzywy Grom i Niesie Dynię. Ludzie z tymi śmiesznymi i niezrozumiałymi imionami w języku, który już prawie nie istniał, chociaż był właśnie przez gromadę tworzony, umierali jeden za drugim. Mieli już dużo broni, toteż stare kobiety albo te, które nie chciały już żyć, jechały na boki i na przód i uśmiercały wrogów. Niektórzy kawalerzyści chwalili się przed swymi kolegami szczególnymi trofeami wojny plemion. Wycinali kobietom z bandy Tępego Noża narządy płciowe i nawlekali je na łąki siodek. Powietrze szybko trofeum wysuszało i narządy nigdy już nie wilgotniały, chyba że na deszczu. Siostra Cielęcia Bizona nie rodziła więc dzieci; jeździła na koniu. Dzisiaj jest w muzeum. Ukryta w magazynie. Niektórzy mówią, że czeka na nieprawdopodobnego wojownika.

Otrzymując te stare informacje, człowiek czytającego czasu, połykacz całego spektrum strumieni danych i śmierci, kaleka obecnej doby, w której nie ma prawideł i wszystko jest dozwolone, powinien jednak skryć swoje ewentualne nieusprawiedliwione i pseudohumanistyczne wzburzenie. Nie tylko ze względu na pożary wszędzie dokoła. Gdy się bowiem kobiety bandy od czasu do czasu dostawały do wziętych do niewoli, badały ich męską siłę za pomocą przedmiotów. W monografiach naukowych i zbiorowych tomach poświęconych historii napisane jest, że trwało to długo i bolało. Nie wiadomo, kto zaczął.

Kawalerzyści występowali przeciw ludziom Tępego Noża, kula przeciw kuli i nóż przeciw nożowi. Że było to sto, a potem tysiąc noży na jeden, to inna sprawa, ale polowanie miało prawa. Potem coś się stało. Wtedy wódz Józef powiedział Naszyjnikowi: Hm, hm. Z każdej wsi, z każdego miasteczka, z każdej farmy, gdzie krowy lub kurczęta wychowywały się w niewoli, przybywali szanowani obywatele i przyłączali się do polowania. Szeryfowie, szefowie, kucharze, bankierzy, psychoanalitycy, klawisze, nauczyciele, politycy, wyborcy, hamulcowi i eurożurnaliści, wszyscy zmienili parę kanałów w swoich pudłach, ale ponieważ *Dallas* ani *Dynastia* nie były akurat dostępne, chwycili strzelby, pożegnali się z żonami i drobiazgiem i jeszcze mając sonet z telewizyjnego magazynu kulturalnego w swoich wielkich nietoperzych uszach, wyruszyli. Wielu z nich złowił wódz Józef. Ale później poległ. Obywatele gonili bandę kawałek za swoje rogatki, a potem w domu opowiadali i pisali scenariusze, i poświęcali się analizom, zjeżdżali się na konferencje pokojowe i drukowali łzawe reportaże. Niektórzy uchwalali nawet na konferencjach pozytywne rezolucje, mianowicie, że polowanie na podludzi musi się skończyć. Uchwalili ich sporo, uchwalili je aż do końca.

Kraina zwierząt i ludzi stała się jednym pasmem domków letniskowych, nieskończoną farmą drobiową, a tam, gdzie nie było budynków, tam były pólka, nic nie leżało odłogiem, w swojej dzikości. A na trop bandy wpadali coraz to nowi i nowi niepotrafiący się niczego nauczyć obywatele. Ci, którzy czegoś się nauczyli, nie mogli już mówić. Ich doświadczenie było nieprzekazywalne. Niektórzy chcieli tylko sfotografować dzikusów, ci jednak, w swej nieprzewidywalnej tępotce, nie uświadamiali sobie tego faktu i zabierali im aparaty i skalpy.

Nastała zima. Gromada była w swojej normalnej sytuacji, w okrążeniu. Tym razem jednak za łańcuchem kawalerzystów ciągnęły gromady obywateli. Organizowali karnawały, loterie i konferencje pokojowe. Bawiło ich to. Krwawy Nóż uważał, że to wariaci. Możemy ich pozabijać, mówił. Ale przyjdą następni, powiedział Wilcze Dziecię. Krwawy Nóż jednak ruszył. Trybuny ucichły, dopóki nie podszedł na odległość strzału, słyhać było tylko jego śpiew. Gromada ruszyła za nim. Niektórzy padli od kul. Krwawy Nóż podobno chwycił kule w locie i nakierowywał na swoją pierś, pocisków było wiele. Uderzenie Gromu nie wytrzymał siły jego pieśni i chciał być lepszy, dumny był ze swojej reputacji śpiewaka. Ich głosy krzyżowały się w nocy, łapiąc kule. Ci dwaj, którzy wyruszyli, nie mogli tracić czasu na zabijanie obywateli. Nie mogli robić z nich mięsa, ponieważ ich próżność zwyciężyła i

rywalizowali w pieśni. Ale pocisków było wiele. Później w umówionym miejscu Tępy Nóż liczył ludzi. Zostało ich już tylko trzydziestu, kilku wojowników, starcy i kobiety. Kobiety żyły tylko trzy. Pte San, Siostra Pancernika i Żółta Kobieta.

Sądzę, że metal tylko pomógł piersi Krwawego Noża, mówiła Żółta Kobieta, jego głos brzmiał mocno jak woda bijąca w ściany cebrą. Ja natomiast uważam, kwaśno mówiła Siostra Pancernika, że również głos Uderzenia Gromu nie był bez siły. Kobiety z powodu chwały swych mężów omal nie chwyciły się za kudły, ale przerwał im Wilcze Dziecko. Obie ręce miał złamane. Drogie siostry, myślę, że teraz przyszła moja kolej i że żabie skrzeczenie obu wojowników przemogę prawdziwie męznym głosem. Zanim zdołały się do niego odezwać, przyjechali Naszyjnik i Tępy Nóż i powiedzieli, że ich zdaniem warto by w odpowiednim miejscu wykopać okop i zostać w nim; mogliby w ten sposób rano przywitać wasiczu i trochę ich zaskoczyć. W kopaniu nie będę zbyt przydatny, mówił Wilcze Dziecko, lepiej ułożę dla was jakąś pieśń.

Była zima. Ludzie gromady mieli na szczęście płaszcze jeszcze ze skór dawnych wolnych zwierząt; niemniej płatki śniegu ważyły niemało. Tej nocy były cięższe niż kule. Wielu starców zamarzło. Niektórzy przykryli swymi kożuchami śpiących i wypełzli z okopu, mieli wrażenie, że ich czas zniknął, i poszli go szukać. Ci, którzy pozostali, musieli rano zabić konie i zjeść ich mięso. Nic cieplejszego niż krew koni tam nie było. Duchy ich otoczyły, ale tym razem naruszyły prawidła. Nie zabijały, czekały. Do ludzi Tępego Noża podpełzło tylko kilku dziennikarzy z Kamerami Inc. i zaczęli kręcić; kręcą do dzisiaj tam, gdzie są. Potem do okopu zaczęły wpadać szrapnele. Nie wydam skalpującym nożom już ani jednego swojego człowieka, zadeklarował generał Sherman. Mówi się, że niektórzy jego ludzie wymiotowali, kiedy zobaczyli, jak z okopu wylatują porozrywane ciała. Podobno nie czuli się już jak wojownicy. Niektórzy podobno odrzucili ten sposób walki i zostali ukarani. Kiedy po śniegu toczyła się głowa Pte San, Zmarnowanej Wygranej, krzyczała imię Natanisa; zabrała swemu bratu wolność i obawiała się spotkania z nim. Ci ludzie Tępego Noża, co przeżyli, wsiedli na konie i ruszyli na działa. Podobno niosły ich chmury, a z chmur runęła lawina. Koni, których nie rozerwały granaty, było niewiele. Następnego dnia ci, co przeżyli, przekonali się, że mróz jest potężny. Rozcięli koniom brzuchy i ukryli w nich przed zimnem małe dzieci. Wiedzieli, że umrą, ale mieli nadzieję, że duchy oszczędzą przynajmniej najmniejszych. Chcieli, żeby nowe plemię przeżyło w ich pieśniach. Ale wkrótce nie został nikt, kto by te pieśni śpiewał.

Ale mówi się... Żółta Kobieta przywiązała Wilcze Dziecko do konia i przerwali blokadę. Nie wiedzieli, dokąd jada, zamieć ich oślepiła. Dotarli do gór, gdzie przezimowali. Żółta Kobieta przywiązała Wilczemu Dziecku gałęzie do rąk i kości się zrosły. Polowali. Jakoś przeżyli. Wilcze Dziecko widział, że brzuch Żółtej Kobiety rośnie. Ona jednak chciała jechać dalej, wysoko w góry. Ziemia jest pełna grobów, mówiła mu... Ziemia to grób, przecież wiesz... musimy dostać się bardzo wysoko.

Ziemia połknęła ludzi Tępego Noża i stała się dla nich jamą. Nikt nie wie, gdzie leży Tępy Nóż. Wiadomo tylko, że odrzucił swoją brozę.

Żółta Kobieta zaprowadziła Wilcze Dziecko wysoko. Unikała wądołów i jarów, gdzie mogły być kości. Dopiero tam, gdzie była tylko skała, pokazała, w którym miejscu można by postawić chatę. Potem pojechali dalej, z dzieckiem. Chcieli się dostać do Kanaki, gdzie jacyś ludzie żyli na starą modłę i gdzie było dużo drzew.

Mówi się, że dwaj jeźdźcy, Wanatabe i Isztu, ujrzeli ich sylwetki na horyzoncie jako pierwsi. Nikomu ze swojej gromady nic nie powiedzieli, ale ruszyli. Wielka radość, bracie, powiedział podobno Isztu... już mnie śmiertelnie znudziły łowy na tych głupków wasiczu... nie znają prawideł, boją się... strasznie śmierdzą... nie umieją mówić. I Wanatabe odczuł wielką radość, bo znowu polował na ludzi, a to wymagało zručności i siły. Jeśli bowiem chodzi o plemię Lakotów, nawet całkiem małe dziecko poznałoby po tym, jak jechali ci na horyzoncie, że to ludzie. Wasiczu nie umieli się odpowiednio poruszać.

Kiedy Wilcze Dziecko ujrzał zbliżających się jeźdźców, wiedział, jaki mają zamiar. Złapał pałkę. Ale Wanatabe i Isztu pozostawili strzały w kołczanach. Poznali tych, którzy nadjeżdżali. Jesteście ludźmi? spytał Wanatabe formalnie. Isztu zrobił znak plemienia. Żółta Kobieta odpowiedziała, że są z gromady Tępego Noża. Słyszeliśmy... powiedział Isztu znakami... że znieśliście plemiona i że was pobito. Wanatabe zostawił palce w końskiej grzywie... to jest wielka... wielka i święta chwila... szanowny bracie i dzielna siostrzo z plemion... witajcie u ludzi Siedzącego Byka. Dziecko otworzyło oczy i wyciągało ręce do lśniących ozdób obu jeźdźców... pamiętało je z poprzednich żywotów, jego ojciec i matka je utracili... tych czworo Déné wiedziało, że ozdób jest u Lakotów więcej niż wystarczająco wiele... przycisnęli więc pięty do boków swoich zwierząt i pojechali szybko.

A jeszcze jeden członek bandy Tępego Noża, Naszyjnik, Przebity Nos, również wyrwał się z okrążenia... nie pamiętał, jak tego dokonał, później twierdził, że wyniósł go orzeł... błąkał się po okolicy na piechotę, dopóki nie zmiażdżył podludzi z kilku kurzych farm reedukacyjnych i nie zdobył ekwipunku i uzbrojenia... gonili go milicjanci i zaciskali pętlę, ale on przeciął węzły... zapadł w lasy, gdzie nie było ani ludzi, ani wasiczu... uczył spokój i opatrzył swoje rany... jestem człowiekiem, powiedział sobie, ale po pewnym czasie wyjechał z lasów, żeby przyłączyć się do innych ludzi albo zabijać wasiczu, zanim oni zabiją jego, nie chciał być sam... polowali na niego i z pomocą maszyny zabili mu konia... odpęzł... a po wielu dniach dotarł do lasów, gdzie ciągle jeszcze polowały Wrony i gdzie nie było jeszcze nieludzi... ujrzał dziewczęta, które zbierały drzewo... było tam wiele drzew... dziewczęta z krzykiem uciekły przed zwierzęciem, które przylazło na czterech łapach... ale jedna z nich, Gawrona, poznała go... wiedziała, kim jest, i nie obawiała się. Witaj, powiedziała... to jest dobra chwila, bo zbiegiem okoliczności... mówiła, wyplatając ze swoich włosów czarne paski skóry... naprawdę szczególnym zbiegiem okoliczności właśnie dziś skończył się czas żałoby po Małej Tarczy... był to dobry mąż... w kotle gotuję właśnie pewnego pieska... mięso na pewno jest już dość miękkie i pozwalam sobie ufać, wojownikowi, że nie pogardzisz kęsem... jeśli masz akurat czas i nastrój... zapraszam cię. Uch, powiedział Naszyjnik i padł na ziemię. Gawrona uznała, że w ten sposób wyraził swoją zgodę.

Tak więc, szanowni przyjaciele i nieprzyjaciele, powiedział Rekin, podobno trojgu ludziom z trzydzieściorga udało się uciec i ludobójstwo znów się nie udało. A pewien pomyłony, czyli mistyk, z owych liczb wywodzi postać tego, co w pewnym wieku wziął odpowiedzialność leżącą na pustyni, rozkrzyżował ręce... chciał znieść plemiona... my wszelako jesteśmy praktykami i śmietanką uczonych. I dlatego, chłopcy, z pewnością znacie nazwę tego niemal wybitego ludu. Bohler! Irkuci, panie przewodniczący! Znakomicie... Kocur! Inguszowie, panie szefie ministerstwa! Wspaniała odpowiedź... Potok! Ikwowie, hipisie jebany! Fantastycznie... za tego, co znikł, odpowie duchowy administrator... Inuici, bratru! Celująco. Jesteście dobrze przygotowani. Są różne rzeczy, drogi, pułapki i potrzaski... są tu różne rzeczy, różne możliwości, przecież wiecie... w nagrodę nazwę tego ludu tysiąc razy wytatuujcie sobie na serduszkach. Kapewu?

Tak jest, towarzyszu dyrektorze, ryknęła gromada uczniów w sali gimnastycznej i zapłaciła za kolejne Rekinie bajeczki i zagadki ogromną psychozą... a Bohler tymczasem z poważnym wyrazem twarzy wyjmował z szuflady igły do tatuażu, atramenty i skalpele. I nici. Nici na później.

Stałem z innymi w sali gimnastycznej, wytrzymałyśmy parę minut ciszy za szefa naszych szefów, Brezniewa... a potem poszliśmy znowu do klasy, pani profesor Poselová zaczęła pytać... ja siedziałem w ławce obok Mileny, niechaj imię jej będzie zachowane, chroniliśmy się, bo zaczynaliśmy przeczuwać, co się dzieje i o co chodzi.

Była to szkoła jak każda inna. Prócz tego, że do tej starej pięcioklasówki dostało się sporo dzieci z rodzin reakcjonistów. Z jednej strony chodziło o dowód dla reszty świata, że wszystko jest w porządku i że uczyć się euklidyzmów mogą wszyscy hultaje, a z drugiej o to,

żeby dzieciaczki były pod kontrolą. Świat wtykał nam mikroskop, krawat i podwójnego stolina. Musieliśmy z Mileną, niechaj imię jej będzie pochwalone, uważać, odpowiednio się ruszać i mieć się na baczności.

Czasem musiałem ją przywiązywać za jej długie czarne włosy do ławki albo wrzucać do wody. Ona kłuła mnie cyrklem, sprytnie kradła mi drugie śniadanie, które zjadała w dziewczęcym sraczu... wtedy ciągle byliśmy głodni. Czas dzikiego dojrzewania spędzaliśmy razem, niebezpieczne pułapki zmienialiśmy w podręczniki samoobrony koniecznej. Walczyliśmy napełnieni podobnym szaleństwem jak inne małolaty, zdobywające kolejne wtajemniczenie chińskiego tajczy. Musieliśmy się starać.

A inni hultaje... czy są teraz w handlu, czy pod walcem, czy zstąpił na nich duch święty, czy porwali ich diabli, tego nie wiem. Pani profesor Poselová uczyła języków. Trudno powiedzieć, dlaczego tego starego dziwadła od razu nie wywalili. Hm, hm, no i co? mruzczała pod portretami najwyższych funkcjonariuszy. Najlepsze przyszło, kiedy nastął dzień czeskiego bohatera, kosmonauty Remikina. Klasa siedziała pod telewizorem w odświętnych szmatach, to był wielki dzień, pierwszy Czech w kosmosie! Ramię w ramię z radzieckimi pilotami wrócił do nas na Ziemię nieoślepiiony rajem i dał świadectwo: To już udowodnione, mówił Remikin, że żadnego Boga tam nie ma. Mówił i napychał się knedlami, a zapijał piwem. Spokojnie! Ja stanowią dowód i mówię wam, Ziemianie, Boga nie ma. Byłem tam... widziałem to na własne cwane czeskie gały! Nic tam nie ma! Nikogo! Więc spokojnie! Jedziemy dalej! I ten dzień, kiedy bohaterski Czech nad Czechami, Wszechwiedzący Skrzat, Pan Kosmiczny Zwiad, luneta i peryskop narodu wróci! z wyżyn w dół i każdemu truł, że on wie na fest, jak ze wszystkim jest, w socjalizmie zapanowała radość. Zawyły syreny i huknęły petardy, Czesi kłaniali się w tańcu wokół jołki, telewizja nadawała o godzinę dłużej, a wszyscy złoczyńcy głęboko westchnęli. Ten Remikin to kawał gieroja i geniusza, odetchnęli z ulgą komunistyczni posłowie i inni bolszewicy skurwiele, był tak daleko, a teraz nam to mówi! Wszystko jest świetnie! Nie ma nic, więc wszystko jedno! Pani profesor Poselova spokojnie opierała się o tablicę i mówiła: Hm, hm, doskonale, no, ten Remikin... weźcie już to pudło. I zaraz ci najbardziej zatwardziali i całkiem cyniczni hultaje i głupole zrozumieli, że Poselová była znacznie dalej niż jakiś tam Remikin i wróciła... wie więcej.

Nie opowiadała o żadnych wstrząsających sprawach. Byłem u niej kilka razy, na ścianach miała zdjęcia krewnych, którzy nie wrócili, dlatego poselstwo pozostało jej zadaniem. Milena, niechaj jej imię będzie wywyższone, nosiła ochronną menore, ja krzyż, wkrótce zaczęliśmy się wymieniać z Poselová naładowanymi przedmiotami, książkami... dobre, złe, głupie, czytaj to wszystko, Potok, mówiła mi, ale nie daj się zwariować, E to tylko jedna z liter alfabetu, są też inne. Ale, pani profesor, przecież to tak jak z zepsutym zębem, wystarczy jeden i... ale gdzie tam, różnie to wygląda. Stój prosto! I dawaj dzienniczek, stawiam ci dwóję za postawę. Życie to nie kanał. Zaszuj sobie tę kurtkę! Umyj się. Ręce też. Wałęsaj się po różnych miejscach. Patrz. Ucz się! I pozdrów reakcję.

Dlaczego tak długo ją tam znosili? Sam słyszałem, jak mówi inspektorowi: Ale skąd, nie jestem z obozu prawicy... ani lewicy, ja jestem z obozu koncentracyjnego.

Czasem nie dało się tam wytrzymać, włóczyliśmy się z Mileną, niechaj imię jej będzie wymawiane z życzliwością, przynosiliśmy fałszywe zaświadczenia z ginekologii i kradli czas. Uczcie się! mówiła pani profesor Poselová, wy dużo czasu nie macie... srogo nas egzaminowała, ale pierwotniaki, ułamki i autominerały zostawiała specjalistom. Zresztą jakieś tam ułamki nas nie interesowały... do tablicy, Potok!

Światłówka czy oko, roztwór kwasu czy złoto, czołgi czy papier, dolina czy szpicak?

Jedno i drugie!

Nornik, druty, obrót, pocenie się, wyskok, skłon, kobieta, koło, trawa, wicher, asfalt, słońce, bok?

Wszystko!

Dlaczego?

Nie wiem!

Bardzo dobrze, drogi uczniu, zapisuję ci za to piątkę. A zadanie domowe przed ostatnią odpowiedzią: uzupełnić słowa „tymczasem” i „może”. Masz na to mniej więcej, no, piętnaście lat. Pozdrów reakcję.

A kiedy zaczęli po mnie przyjeżdżać gliniarze, niechaj ich imion nikt nie pochwali, i miałem wreszcie doskonałe zwolnienia, czasami nawet na kilka dni, po prostu zwolnienia na mur-beton... Poselová mówiła: na pewno odpocząłeś, drogi uczniu, do tablicy. I zaczynało się pytanie.

A kiedy gliniarze, niechaj ich imiona będą pohańbione, zaczęli przyjeżdżać częściej, a Milena, niechaj jej imię będzie w poszanowaniu, bez moich drugich śniadań mizerniała i chudła, słyszałem po drodze do czarnego samochodu, jak Poselová wysyła sygnał... dobrze sobie w lochu odpocznij, drogi uczniu, i nie zapominaj, że po akcji protestacyjnej można schować się za budynkami... w lesie... a gdyby się zaczęło, to w piwnicy synagogi, Starej, jest jeszcze kilka gniazd ckm po Bar Kochbie, i nigdy nie zapominaj o spisku!... i miej się na baczności... Pewnego razu, kiedy znowu odpoczywałem, zasadzony w żelazo i beton jak osobliwa roślina, dotarło do mnie, co to takiego spisek, zrozumiałem ten plan międzynarodowego żydostwa... i uświadomiłem sobie, że naprawdę istnieje... naprawdę wielki i tajny plan... i że jego celem jest przeżycie. Kiedy przejrzałem, natychmiast zgłosiłem się do regionalnego dowództwa Mosadu... ale nie wzięli mnie ze względu na płaskostopie, żeby wszystko było jasne. Na mojej szyi kołysał się krzyż, a ja musiałem ten plan uznać za swój, ale z drobną międzyplemienną poprawką, po prostu rozszerzyłem go na całą ludzkość. Piątka, powiedziała pani profesor... ale z czasem to uzupełnij... zamknęła notes. I tak ją wyrzucili. Już nie żyje. Niedawno mi mówiła: Są różne rzeczy. Liczne możliwości, a pośród nich dwie... wałęsając się, uważaj, uczniu... jest masochizm, droga niewolnika... i jest ludzki instynkt samozachowawczy... jest nędzne skomlenie i jest niezbędny lament... co? Tylko jedno, a potem też jedno, odpowiedziałem. Dobrze, uczniu, w suchym powietrzu usłyszałem trzask, zamknęła notes.

Bohler zatrasnął okno, bo na dworze zrobiło się już zimno. Rekin uśmiechał się do nas i mówił. Zostaliśmy w domu już prawie całkiem sami. Pod nami była Zona. Wiedzieliśmy, że padrug opowiada nam swoje sny tak uporczywie, bo się żegna... idzie do domu, jak powiedział. Nie wiedziałem, które miejsce na świecie tak nazywa. Jego rzecz.

Nie wiedziałem też, dokąd sam się skieruję. Gazownicza. A może zostaną w domach. Wystarczyło przejść niewielką odległość, żeby znaleźć się w mieście. Dzwony nie dzwoniły, ale to i tak zauważyło niewiele osób. Miasto jest dziś z pewnością takie samo jak w inne dni, mam to w pewnej mierze przebadane. Nowe chodniki dojrzewały, a potem tak jak stare żyły ulegały zwapnieniu, rozpadały się. Kreski i łuki ulic tworzyły niekiedy nowe nieoczekiwane pułapki. Niektóre domy uśmiechały się, kiedy indziej człowiek wolał odłożyć wizytę. W dole w chaosie rur sunęły z rozżarzonego brzucha bąbelki mrocznego westchnienia, a tuż za nimi kompanie szczurów. Niektórzy ludzie byli ładni, niektórzy mniej, wszyscy przyzwyczaili się do elektryczności. Przecież izolacje z tworzyw sztucznych i tysiące kilometrów cienkich i grubych przewodów zapewniały bezpieczeństwo, elektryczność nie zabijała. Niekiedy człowiek robił się uważny, zawsze wiele rzeczy działo się jednocześnie: lustrzana kobieta kochała się, czysta rozkosz, i żelazo pułapki opadło, kurwa nasienie połąkła, a księżyc przebił chmury, tak samo jak codziennie do tej pory. Osądź to. Wypróbuj. To żelazo, tą kurwę, ten księżyc. Osądź to. Chcesz? To nie twoja rzecz.

Patrzyłem z dołu, ale czasem leciałem i wszystko było przyspieszone. Co tu jest? I o co chodzi? Dlaczego? A dlaczego nie? Ciągłe ta sama historia. Stary Kaphulet gapi się w swoje lustro, a ono mu mówi: tylko ty jesteś galantem. Pozostali to psy i idioci. Zabij ich! No, dalej. I monster chwyta za topór. Stary Montheek prowadzi akurat ze swoją lśniąca taflą podobne

rozmowy. Wyciąga błyszczącą stal spod osełki i wybiega na ulicę. Żarty na bok! jęczy. I wszyscy inni też! Potem im J + R tremo rozbili. Zapłacili za to stosunkowo wysoką cenę. Ale byli razem. Nikt już im nie mógł nic zrobić.

A teraz opowiem wam, hołoto, mówił Rekin, kolejną wymyśloną historyjkę swojego snu o rzeczywistości, nie chodzi o gromadę, tylko o jednostkę. Był sobie raz Rębo, napisał: stoję u źródłu, a z pragnienia ginę, zębami szczękam nad ognistą płytą... a może nie napisał tego on, tylko ktoś inny... pewnie jakaś baba... wszystko jedno... Rębo uciekł swojej starej matce z domu i wkrótce potem zadał się z działami kulturalnymi i doświadczył strasznych rzeczy z telefonicznymi idiotami, o tym wam opowiem.

Rębo kombinował kolory z samogłoskami i spółgłoskami, zmieniał język... wynajdował alfabet... torował drogę innym, tym, co przyjdą po nim... ale ciągle ktoś do niego telefonował, bo jest mnóstwo idiotów, którzy nie wiedzą, co to znaczy pić samotność... i chcą mówić o swoich nudnych żywotach, rozstrzygać sprawy plemion i paczek i analizować je... Rębo mieszał swoją samotność z Ognistą i wciskał ją w swój alfabet, który robił dla ludzi bez plemienia, ponieważ był jasnowidzem i wiedział, jakie pułapki jeszcze się pojawiają... było to dla niego jasne... ale idioci ciągle telefonowali i umawiali się na spotkania i pieprzyli na naradach, gdzie przedstawiali swoje poglądy na rzeczy poznawalnego świata...

A Rębo odwrócił się plecami do karnawału i poszedł sobie, bo Ziemia raniła mu stopy. Powiedział „nie” swojej matce, powiedział „nie” działom kulturalnym, powiedział „nie” miastu, a kiedy Satyr zadzwonił do niego z pierdla i spytał: Czy mogę cię jeszcze pocałować, zanim zdechnę? Rębo powiedział „nie” i zarznął telefon.

Ostre kości Ziemi sterczały wszędzie i kaleczyły go. Postanowił spieprzać. Moje serce pluje tytoniem z okrętu, powiedział i dał się wynająć. Zbiegł na Cejlon i przez dżunglę próbował dotrzeć do gór, żeby mieć pod sobą twardą skałę, a nie zbiorową mogiłę.

Wiedział, że ważne sny to te, które dostaje się twarde na twardym podłożu, a nie na miękkiej ziemi, która jest... wiecie już, czym. Tylko dlatego, że był jasnowidzem, przeżył najazd goryli i ataki makaków i dostał się na sam szczyt. Był maestus i errabundus i wiedział, że gdyby nie przeżył na tej wysokości, to i tak wszystko jedno. Był jasnowidzem i wiedział, że na szczycie, zwłaszcza na Cejlonie, są jeszcze miłujące wolność mrówki i że wystarczy, żeby spotkał jedną z nich, a ta przekaże już wiadomość swoim towarzyszom... rzeczy, które napisał, zostaną wobec tego jako zagadki i pułapki dla tych, co przyjdą po nim... jedna jedyna miłująca wolność i dumna mrówka całkiem wystarczy, bo życie złączone jest z innymi, to było dla niego oczywiste. Był z niego VOYANT, jasnowidz, był to jasnowidzący orzeł i w swoim ważnym śnie widział Mussoliniego, który proponował mu małżeństwo ze swoją córką i połowę republiki, jeśli będzie mu się kłaniać, ale widział też Abisyńczyków i króla Menelika, który właśnie liczył krzemienie na oszczepy.

Czuł podmuchy mroźnego wiatru, kiedy walec się obracał, widział to, co nastąpi, i przeczuwał, co Abisyńczyków czeka, że otwiera się dla nich dół...

Wypiął się na wierszyki, zostawił je na Cejlonie i pośpieszył do Abisynii... wstąpił na ścieżkę biznesową i nakupił na Ukrainie kałasznikowów, które opylił Abisyńcom... specjalnie dużo forsy na tym nie zarobił, nie umiał liczyć, ale wiedział, dlaczego to robi... potrzebował m.in. czegoś konkretnego, żeby całkiem nie zwariować... handlował bronią i sprzedawał ją plemionom... i tylko dzięki Rębodowi Abisyńczycy mogli odpierać czołgi stalingów... i tylko dzięki temu, że ich sporo ukatrupili, nie wyginęli i ich nazwa nie jest dziś zapomniana. I koło plemion zostało nienaruszone, i poza literą E został jeszcze cały alfabet i język Abisyńców i E jest tylko jedną z wielu liter.

Potem ucieli mu nogę i umarł.

Tak, koledzy, uśmiechał się do nas Rekin, tak to było z jednostką, która nie miała żadnego plemienia... trochę to zwulgaryzowałem... wydaje się to wam niewiarygodne, ale i bez plemienia da się robić różne rzeczy... i dlatego z tą postacią nieoczekiwanie wyjechałem...

mówię wam bez plemienia, bo to właśnie was czeka, wy Podeuropejczycy, wy Czesi i inni przybysze na ziemi Bohemii... będzie to trudne, ponieważ przy waszych mniej więcej, przepraszam, swobodni jeźdźcy i ziemianie, śmierdzących kołyskach w tych zimnych szczytach kamienicach nie było żadnych dobrych wolnych zwierząt, osły i krowy posłano w celach reedukacyjnych do obór dla osłów i krów, a już w żadnym wypadku nie było tam wodza Józefa, tylko sobie dobrze przypomnijcie, wy odrzuty i naczynia grzechu, kto stał przy waszych kołyskach, nikogo innego prócz ciągle jeszcze tego Adolfa i ciągle jeszcze tego Wissariona tam nie było, przecież pamiętacie... wrzeszczał Mowgli na wilki... i jeszcze zdążyli przejechać pazurami po waszych tchórzliwych serduszkach, pokryjcie się ochronnym tatuażem, trzeba wam tego. Przecież jesteście ostatnimi ze starego czasu... i przypomnijcie sobie! Przypomnijcie sobie, jak to się zaczęło, przypomnijcie sobie, kto zjednoczył plemiona... Samo, Frank, zdrajca własnego ludu, zaczęło się to od zdrady... sfiksował od tych bajek, które opowiadała mu jego stara czeska niania, Sława, i obrócił się przeciw własnemu plemieniu, ten wasz dziadunio, ojciec krzyżowania się, mieszania... przypomnijcie sobie czasy, kiedy chrześcijanie oddawali cesarzowi nie tylko nędzny grosz, ale i swoje dzieci w jakichś drużynach i przyszkolnych warsztatach, a tymi dziećmi byliście wy... powiem to głośno i bez obwijania w bawełnę: całkiem mimowolnie doszło tu do wytworzenia podeuropejskiej bękarcej megarasy, wychynęła jak Wenus z piany czy jak Baba Jaga z błota, zależnie od tego, jak kto się czuje, niczego wam nie rozkazuję, ha. A ci dwaj, co stali koło waszych kołysek, to byli artyści organizacji państwowej, oni wiedzieli, jak efektywnym mordercą jest państwo, jeśli wypuścić strzałę E... wy szanowni słuchacze, ewentualni przyszli obrońni snajperzy i potencjalni humanistyczni czyściciele etniczni... pouczał nas Rekin... wy wiecie, że częścią swojej bękarcej praskiej istoty należę do Ludu Księgi... a ów lud wyrwał się z nocy E na palcach przez otwór na zawiasy, i to wyłącznie absolutnym cudem... ale ten Lud Księgi ma zdumiewający i stary alfabet i wszystko, co się stało, napisał, spisał i zestawiał i dlatego to istnieje, dlatego jest to rzeczywiste i nie zostało zapomniane.

Ale jest tutaj jeszcze jeden lud, wyćwiczony w sztuce przeżywania, ten lud nie pisze, ten lud ma swoje kroniki tylko w bliznach, niekiedy na cudzej skórze... jego zabici nie są znani, ich nazwisk nikt nie zna, jak gdyby ich w ogóle nie było... nie są napisane na ścianie żadnego skrwawionego domu modlitwy, ponieważ ten lud w nocie E tryskał swoją krwią bez domów modlitwy... ten lud żyje w trudnej koegzystencji z państwem i państwo zawsze było jego oprawcą, to Lud Gromady, który pielęgnuje rodzinę i nie przeszkadza mu, że czasem jest zawoszona... nikt z tego plemienia nie był nigdy tak głupi, żeby wynajdować ruchome koło, przez które nikt już nikomu nie może uciec... czy elektryczne pochodnie, żeby w aurze kłamliwego postępu można było harować absolutnie bez przerwy... czy wreszcie na przykład nienaturalne telefony, które skracają życie i ziemskie odległości... przeciwnie, ten lud sprytnie ściąga reklamowe billboardy na okolicznościowe ogniska... i prowadzi swoją miniaturową wojnę kieszeni i majchra, a cóż to jest wobec eksterminacji... to bardzo szczególnie lud, bo nigdy nie ruszył w pole i nigdy nie zniszczył innego plemienia, jako że ani trochę nie daje sobie rady z organizacją... nigdy nie kopał dołu dla innego plemienia, bo łopata ani kilof nie wydały mu się wystarczająco interesujące... a od gaszonego wapna na superzbiorową mogiłę ludzie tego plemienia dostają czkawki i ręce latają im na boki... ten lud dobrze wie, jak ważne są sny i wałęsanie się, wie, że jest to prawdziwa sztuka, kiedy sen i kolor wypełnia miejsca, gdzie dotąd ryczały groźne lwy podświadomości... i Goliat rzekł: Kto nie jest z nami, jest przeciw nam i zostanie zabity lub poddany reedukacji... a Dawid rzekł: Żyć i dać żyć innym... ale ty przecież ciągle się wtrącasz! I napiął procę. Wy sławni drużynnicy, wy wiecie... dajcie żyć... i uważnie obserwujcie pstre i hałaśliwe tłumy przestępczych Romów... ponieważ ich plemię podtrzymuje życie gromady i rodziny i będzie ostatnim, które wie, czym gromada jest... i że nie istnieją tylko prawidła państwa z jego

supermarketami i tiptopowo podobnymi potworami z reklam w bliskiej oddalonej zglajchszaltowanej przyszłości w najlepszym wypadku... a R. nie przypominają reklam nawet z daleka... i nawet nowosmok pseudodół Medija ich nie połknie, raczej zwymiotuje... są zbyt często ochlani i hałaśliwi, nieładnie wyglądają w Ziarnistej... drapieżnika za kraty do innych drapieżników... ale ziemia nie może stać się dołem dla kolejnego plemienia... tego już by nie wytrzymała, wy wiecie, co się szykuje... wiecie, że znowu się zaczyna, dosłownie codziennie, jak wszystko inne... wszelki dzień E był wczoraj i nie zagasł... ale są różne rzeczy, różne możliwości, rozmaite drogi, szanowne siostry braci i szanowni bracia sióstr, i nie jest to zbyt piękne. Ziemia jest, jak się zdaje, całkowicie przeciążona, ale zostaje jeszcze jedna możliwość, powiedział mitoman brzytwa Rekin... a potem opowiadacz brujo Delfin popłynął z ciemną wodą przyływu, przedarł się przez fale i wynurzył się koło piaszczystej plaży, wbił w nas swoje płonące szmaragdowe oczy i mówił... wy wiecie... możliwości są, a jedną z nich jest nadzieja.

Jakie to wspaniałe! zawołał pierwszy z nas.

Jakie to banalne! zawołał kolejny z nas.

Jedno i drugie! zawołał ostatni z nas.

A potem zaczęliśmy bić Delfinowi brawo, był cały schrypnięty.

NOWY STAN HELENY. STUDNIA I CO W NIEJ JEST. NUMERY
BOHLERA. «TO NA RAZIE». IDĘ DO NIEJ.

Poszliśmy do kuźni i wrzuciliśmy do ognia srebrne ozdoby, ponieważ nasze plemię się skończyło. Zostawię sobie orła, powiedział Bohler, jego mi byle kto nie zabierze... poza tym nie warto. Ja zostawiłem sobie Czarną Madonnę. Każdy zatrzymał swoją silną rzecz, reszta skończyła w palenisku. Kto czuł taką potrzebę, skracał grzywę. Włosy skręcały się w ogniu i zapewne trzaskały, ale słyhać tego nie było. Skorzystałem z okazji i obciąłem sobie paznokcie. Kiedy wyszliśmy z kuźni, na podwórzu stała Helena.

Gdzie jest David?

O to chcieliśmy spytać ciebie.

Konwulsyjnie wciągnęła powietrze.

Pozwoliliście mu odejść...

Wyjaśniliśmy jej sytuację.

Muszę iść za nim, powiedziała. Może poszedł do domu. Do nich. Do Losinów.

To nie przyszło nam wcześniej do głowy.

Podajcie mi adres.

Ale nigdy też nie przyszło nam do głowy, że moglibyśmy chcieć się dowiedzieć, z której wsi i z jakich gór jest nasz brat.

To rzecz niecierpiąca zwłoki... powiedziała Helena.

No, może w lecie... niektóre góry, niezdecydowanie powiedział Bohler.

W lecie już się urodzi. Będę miała z Davidem dziecko, powiedziała Helena.

Nie powiedziała tego ani z dumą, ani z lękiem, po prostu nas poinformowała.

Ono tym nie wie? spytałem.

On teraz nie wie o niczym, powiedział Kocur.

Bohler przydeptał mu stopę. Powinnaś go znaleźć, powiedział do Heleny, ale może później... i nie stój tu tak, dodał... idź do mojej Laotanki, my się pakujemy... nie pojedziesz do domu?

Do domu. Ha, powiedziała Helena. Z tym? dotknęła swojej twarzy. Elikسير o dziwo jej nie pomógł ani w żaden sposób nie zaszkodził.

Helenko... ciągnął Bohler... jakaś operacja plastyczna, odejdz stąd... na nas czeka Zona, nie możesz tu zostać, skoro spodziewasz się... przecież wiesz. Musisz zaraz odejść. Mogłoby mu to zrobić krzywdę.

Nie mogliśmy jej pomóc. Musieliśmy zostać i zakończyć sprawę Zony, poczekać na Rudolfa. Patrzyliśmy, jak nasza padruka odchodzi, szła sama, z pustymi rękami, tak jak kiedyś do nas przyszła. To nowe życie, które miała w sobie, niosła gdzieś, chyba daleko od Zony. Poczekaj, pobiegł za nią Bohler, potrzebujesz forsy, idziesz do Laotańców, tak? Prawda, że tak?

Nic nie potrzebuję, odsunęła go.

Helena, to na razie! zawołałem.

Na razie, powiedział Kocur.

Tak, uważajcie na siebie. Na razie.

To pożegnanie znała, wiedziała, co w sobie zawiera.

Wyszła z domu i odeszła.

Staliśmy na podwórzu, paliliśmy i czekali na Rudolfa. Ale szybko to poszło, nie? ochryplym głosem powiedział Rekin. O tak, nie ma co, odpowiedział mu Kocur. Masz bilet na samolot? Tak, powiedział Rekin. A ty, Potok, dokąd pójdziesz?

Ja chyba zostanę przez jakiś czas tutaj. Muszę znaleźć pewną dziewczynę.

Mówiłeś, że znalazłeś siostrę, stanął przy mnie Rekin. Jak wygląda?

Słuchaj no, to moja siostra.

Jak wygląda, do cholery? Co jest? Wyjeżdżam stąd i chcę o was coś wiedzieć, tłumaczył Rekin.

Opisałem ją. Ze znajomością rzeczy mówiłem o jej dosyć drobnej, ale mocnej figurze. Prostymi słowami wspominałem o jej biodrach, kiedy chodzi. Coś powiedziałem też o jej wspaniałej twarzy z wystającymi kośćmi, tymi, co trzeba. O jej bladości, która oznacza walkę duchową. Nadmieniałem coś także o jej trzepoczących rzęsach, nie przemilczałem również pojawiających się od czasu do czasu zielonych błysków. Mówiłem o jej delikatnych piersiach, które nie są jakoś przerażająco duże ani niepotrzebnie drobne, mówiłem też o jej plecach, jak gdybym czuł miękkość skóry w każdej komórce palców... mówiłem o zawrotnej chwili, kiedy siostra dotyka mojego żebra, które z powrotem tężeje w lód... gadałem jak żołnierz, z ogromnym żarem... kumple zgromadzili się wokół mnie... takie rzeczy muszą przecież same w sobie walczyć z Zonami, powiedział wzruszony Bohler. Ja... powiedział Rekin, ja ją chyba znam... w kibucu Masaryk pewna moja dobra przyjaciółka... sambra... Bezwzględny Kocur miał przymknięte oczy. Kroczyłem po tym podwórku dumny jak paw. Jest cudowna! Czasem, prawdopodobnie... jest okrutna jak kocica, ale nie w sercu. Jest moja! Ależ nie, jest swoja, czyja chce! I nie jest Jewrejką, Rekiniasty, to raczej... Czeszka... Eskimoska, coś pomiędzy... To wszystko jedno, powiedział Rekin. Tak, dla ciebie może to być wsio ryba, myślałem.

A potem usłyszeliśmy sygnał. Był to Rudolf. Otworzyliśmy bramę i samochód wjechał na podwórze. Zatrzymał się dopiero przy schodach do piwnicy. Rudolf wysiadł, wziął czeki i powiedział: Teraz miejcie się na baczności i niczemu się nie dziwcie. I nie gadajcie niepotrzebnie. Jesteście tu tylko wy czterej? Tak.

Dobra. Was znają. Nikt inny nie ma żadnego interesu, żeby tu być. Z samochodu wysiedli dwaj faceci w czerni, grzebali z tyłu przy bagażniku. Po co ciągasz ze sobą czarnych szeryfów, Rudolf? zdziwiłem się. Tylko się zaśmiał. Stał tu, wychudły, w okularach, wyglądał jak młody chłopaczek, ale ja wiedziałem, że już dawno młodym chłopaczkiem nie jest.

Mówiłem, żebyście się niczemu nie dziwili. Ci dwaj to nie żadni szeryfi, należą do skirwoli.

Do kogo?

To medium.

Owa dwójka otworzyła wreszcie bagażnik i wyjęła z niego wózek zakryty jakąś płachtą. Był mniej więcej wielkości wózka dla dziecka. Pchali go obok nas ku wejściu do piwnicy. Spojrzałem na nich. Zrobiło mi się niedobrze. Zauważyłem, że Bohler się poci. Ci dwaj faceci byli zupełnie tacy sami. Musiały to być bliźniaki. Nawet poruszali się identycznie. Cere, czy co to tam było, mieli szarawożółtą, jak z gumy. Ich oczy, którymi uważnie nas zmierzyl, nie ruszały się. Każdy z nich, wykonując wspólny ruch, ujął lewą ręką uchwyt wózka. Przyszło mi do głowy, że to maszyny. Wózek zakryty był płachtą, jadąc, skrzypiał, coś się w nim ruszało.

Spojrzałem na Bohlera. Nie podobało nam się to.

Wierzcie mi, powiedział Rudolf. Jeśli ktoś albo coś... zaśmiał się krótko, potrafi załatwić Zonę, to tylko skirwola.

Te dwa roboty, czy co to tam było, ostrożnie zniosły wózek po schodach. Szliśmy z Rudolfem za nimi. Nieśliśmy świece. Za chwilę będzie tu aż za dużo światła, wyszczerzył

zęby Rudolf. Weszliśmy w ciemność. Z wózka bił blask. Rozlana żółć nakłutego słońca, przyszło mi do głowy. Ci dwaj podeszli do samej studni, do jej cembrowiny, która w tym osobliwym świetle wyglądała jak wylot krateru. Postawili tam wózek.

Wbiiałem wzrok w kołowrót. Jego stary, drewniany, wygładzony przez wieki mechanizm, obity żelazem, wydawał mi się czymś bardzo znajomym. Czymś ze świata ludzkiego, w którym się poruszam. Słyszałem szum przelewającej się wody. Powierzchnia wody lśniła mrocznym blaskiem, była to powłoka głębi, zmarszczyła się drobnymi falami. Widziałem coś takiego po raz pierwszy w życiu. Woda na ich nadejście czekała. Szum zdawał się wypełniać całą przestrzeń piwnicy, wszędzie tam, gdzie sięgał mój wzrok. Także sklepienia ponad nami. Słyszę oddech Zony, przyszło mi do głowy i wzdrygnąłem się. Woda ciągle się marszczyła. Staliśmy za wózkiem, ktoś, chyba Bohler, zaczął się cicho modlić, ale Rudolf krzyknął na niego. Bądźcie cicho, wszyscy, nic wam się nie stanie.

Woda poruszała się jakby sama z siebie, a potem zobaczyłem, że w jej głębi rozlewa się światło i sunie w górę, wypływa na powierzchnię. Ci dwaj zerwali płachtę z wózka i zobaczyłem

Głowę. Była wręcz monstrualnie wielka... cyrk, przyszło mi do głowy... wielka, łysa, z odstającymi uszami, które wyglądały jak lejki. Głowa była czarna i trzymała się prosto na cienkiej szyi. Widziałem to stworzenie tylko od tyłu. To mi wystarczyło. W niektóre oczy lepiej nie zaglądać. Więc to jest skirwola... pomyślałem... z prastarego słowiańskiego boru... więc jeszcze istnieją... stałem kilka metrów za Głową, nagle zwózka wysunęły się ręce, długie i silne ręce dorosłego człowieka, były obnażone i zakończone pazurami, potężnymi pazurami. Pazury lśniły w zielonkawym świetle, a woda w ich blasku zdawała się bezgłośnie wybuchać swoim światłem. Światło wypływało ku nam z głębi i rzucało na nas poblask, woda zaczęła wrzeć, ale bił od niej chłód, może były tam głębinowe prądy i kotłowały się... w tym świetle widziałem twarze swoich padrugów, powiedziałbym, że tak samo jak ja starali się nie mieć w tej chwili niepotrzebnie wielu uczuć ani poglądów na to, co się dzieje.

Chcieliśmy wierzyć, że siła Głowy jest po naszej stronie... Rudolf uśmiechał się z wyższością, to mnie uspokoiło, on jest człowiekiem, więc gdyby groziło nam niebezpieczeństwo... co tam, powiedziałem sobie, to może być siła tak potężna, że nigdzie nie zdołałbym uciec, wytrzymam to... długie nagie ramiona wycofały się z powrotem do wózka, potem dostrzegłem, że trzymają jakiś przedmiot, łąły coś do studni, jakąś ciecz... w studni odezwał się syk, światło było w niej tuż pod powierzchnią, może szykowało się do tego, żeby taflę, to wieko wody, przebić od środka, wyrwać się na zewnątrz... potem długie ramiona wzięły w dłonie podobiznę bóstwa, mogła być z drewna, i rzuciły ją z całej siły do studni, przez krótką chwilę widziałem posążek, była to postać podobna do tych dwu, którzy stali przy wózku, nieruchomo, jakby wyłączeni.

Tylko ja ciągle przestępowałem z nogi na nogę i swoim zwyczajem przynajmniej poruszałem palcami stóp. Potem zobaczyłem, że ręce z pazurami trzymają jakąś książkę, otworzyły ją i skubały, rozdzierały, a kawałki, skrawki papieru opadały ku wodzie.

Woda wydawała się teraz plazmą o tysiącu ciał zlepionych w żywą materię, chwytiała papier, fale nieregularnie rozpryskiwały się i łapały skrawki w locie. Kiedy kawałki rozerwanej książki opadały na taflę, ta zamykała się nad nimi, jak gdyby papier wessały ogromne usta. Światło w studni było chyba energią, którą tafla uwięziła jak skorupa, ale światło cisnęło się z głębi i chciało powłokę przerwać... tuż pod powierzchnią gęstniało, było blade, potem nabierało barwy roztopionego srebra, mogłoby nas może oślepić, ale była nad nim ciemność wody. To ona je trzymała.

Ręce z pazurami podały książkę, a potem znowu uniosła się w górę Głowa i stwór zaczął śpiewać... spojrzeliśmy po sobie ze zdumieniem... był to tak silny i piękny głos, że przez chwilę zacząłem wątpić w to, że dobywa się z Głowy, ale tak właśnie było.

Nie mogę go raczej określić jako głos męski albo kobiecy, powiedziałbym, że dla mnie słowa i zdania były w rodzaj u męskim po prostu dlatego, że ja jestem tego rodzaju, i po to, żebym zrozumiał. Głowa śpiewała i śpiew kierował się prosto do studni, widziało się czy czuło, że w nią się wsuwa i znika... woda wrzała, teraz powietrze było gorące, pieśń odbijała się od ścian piwnicy i od sklepienia i leciała w dół. Woda w studni wiła się jak jedno ciało.

Słowa pieśni zapamiętałem:

*W świętych sadzawkach jest tylko woda.
Wiem, bo kąpałem się w nich.*

*Bogowie rzeźbieni w drzewie i kości słoniowej nie odzywają się.
Wiem, bo błagałem ich.*

*W świętych księgach Wschodu nie ma nic prócz słów.
Wiem, bo zaglądałem do nich.*

*Kabir mówi o tym tylko, co sam przeżył.
To, czego nie przeżyła, nie jest prawdziwe.*

Woda niespodziewanie wytrysnęła i przelała się przez brzeg studni. Odskokczyłem, ale woda się nie wylała, przez brzeg przeszła tylko mgła, i nagle we wrzącej wodzie ujrzałem... był to grzbiet węża, żyłkowana macka potwora, pełna brodawek, zobaczyłem, że z głębi wypływają dwa światła, w srebrnej pianie, w którą zmieniała się woda, światła lśniły jak dwie krwawe tarcze, był to łeb węża. Nagle wynurzył się ze studni i jego olbrzymie ciało przez chwilę wiło się wysoko nad nami, jak gdyby wąż przeniknął przez sklepienie, jakby sklepienia tam w ogóle nie było, ciało węża przypominało ogromne, potworne drzewo, przez pstrokatą skórę przebijały się błyskawice blizn, śliskie ciało, które biło wodę, ktoś usiał brodawkami, były jak grzyby, niektóre łuski połyskiwały, inne wyglądały jak głębokie ropiejące rany, a syk wypełniał nam bębunki uszu... podniosłem głowę i ujrzałem pysk węża, jego oczy już nie lśniły, były ślepe, pokryte skórą, kawałkami skóry... woda tryskała, ale na nikogo z nas nie padła ani kropla, chyba byliśmy jeszcze w mocy tego śpiewu, a potem wąż zniknął.

Nie pamiętam, czy wsunął się z powrotem do studni, czy po prostu przestałem go widzieć. Nie słyszałem już też szumu wody, oddechu Zony.

I nagle na cembrowinie studni pojawił się kot, przeciągnął się i miauknął, zeskoczył, za nim pies, potem przemknęła wiewiórka i oto już kolejne zwierzęta szły po powierzchni wody, psy i koty, jakiś piesek skoczył na balustradę i wściekle drapał się za uchem... zagubione psy wróciły razem ze swoimi pchłami, a potem nagle na powierzchni wody pojawiła się dziewczyna, a za nią druga, trzymały się za ręce...

Nie ruszajcie się jeszcze, kretyni! wrzasnął Rudolf. Głowy nie było już widać, ci dwaj mocowali na wózku płachtę.

Córki Doktora Hradila przechodziły przez balustradę, jedna z nich powiedziała: Cześć... wujkowie, czy są tu mama i tata? Pomogłem jednej z nich, podałem jej rękę, kiedy schodziła, była zimna, lekko się o mnie oparła... Cześć, powiedziała znowu... jej oczy były lodowato zimne, jak dwa sople, świeciło z nich srebro, dotknęła mnie... Jak tam było? spytałem. Różnie, odpowiedziała szesnastolatka. Potem usłyszałem... po wodzie człapała ku nam... to przecież babcia Macešková, zawołał Bohler i rzucił się pomagać. A tak, witajcie, kawalerowie, to znowu ja. I prowadzę tego chłopczyka. Jest tam jeszcze ktoś? spytał

Kocur. Nie, już nie, powiedziała jedna z siostr. Byliśmy tam tylko my, dodała druga.

Milczeliśmy, koty i psy wybiegały z piwnicy. Cieszyłem się, że wróciły, ale czułem się okropnie zmęczony. Temu małemu chłopcu oczy także błyszczały srebrem. Czy jest tu mama i tata? spytał. Cholera, szepnął mi Kocur. To mały Kučera.

Wydawało się, że córki Hradila wiedzą, co stało się z rodzicami tego małego. Jožko, pójdziesz z nami, jesteś teraz naszym braciszkiem. Mamy wielu braci, będziesz mógł się z nimi bawić. Chłopak uśmiechnął się z zadowoleniem i wziął jedną z nich za rękę. A ja pójde do domu, kawalerowie, powiedziała babcia Macešková. Byliśmy tym wszystkim dosyć zaskoczeni i nie zdobyliśmy się na żadne pytania. Woda zabrała tych ludzi i zwróciła. Wiedzieliśmy, że jest już po Zonie.

Bohler i Laotanka wybierali się na Skałę. Kocur chciał rozejrzeć się po mieście i spróbować jakiegoś biznesu, Rekin miał w kieszeni bilet na samolot. Ja nie mogłem się doczekać, kiedy pójde szukać siostry... a David... David zniknął.

Nie chciało nam się wypytywać siostr ani starej Maceškovéj, co się z nimi działo. Ich rzecz. Poza tym trochę się wstydziliśmy. Zona powstała na naszym terytorium. Najważniejsze, że mieliśmy to już za sobą. Kwestie związane z Zonami są bardzo ciemne. Byliśmy szczęśliwi, że ta nasza jest już czysta. Nie szkodzi, że straciliśmy całą forszę. Patrząc wstecz, uświadamiam sobie, że było nam to naprawdę obojętne. Uważaliśmy bowiem, że tylko głupcy i źli ludzie nie sprzątają po sobie.

Rudolf czekał na podwórzu. Te dwie istoty siedziały w samochodzie.

Słuchaj no, Rudolf, powiedział Kocur. Chcielibyśmy temu... skirwoli podziękować. Tobie też.

Darujcie sobie, powiedział Rudolf. Dziękują za was pieniądze.

To świetnie, powiedziałem, że skirwole jeszcze istnieją.

Ha, ha, ha, zaśmiał się Rudolf... ty jesteś dobry. To wszystko wam się wydawało.

Jasne, jasne, powiedziałem.

Tak, palanty, stwierdził Rudolf, hipnoza, sprawiłem, że uśpieni poczuliście dużą ulgę.

Chcesz może powiedzieć, mruknął Bohler, że te czeki są prawdziwe?

Rudolf włożył rękę do kieszeni i wyjął je. Tak, są.

No, dosyć blefów, powiedział Kocur. Tak czy owak dzięki. Ministerstwu też.

Tam już nie pracuję, powiedział Rudolf Prywatna inicjatywa. A na ciebie, Potok, jutro wieczorem czekam w Galaktycznym. Mam dla ciebie parę informacji. Zostajesz w mieście, nie?

Taa.

Wiem. No to, chłopaki, wszystkiego dobrego. A tych z tej studni raczej zostawcie samym sobie. Nie wiadomo dotąd, jakie skutki powodują Zony. Te dziewczyny są śliczne, ale jednak.

Dzięki za ostrzeżenie, damy sobie jakoś radę.

Kto napisał te słowa, którymi skirwola to czyścił? chciał wiedzieć Bohler.

Miłosz, pouczył nas Rudolf.

To ktoś z ministerstwa? spytałem.

Nie, powiedział Rudolf. To znaczy właściwie nie wiem. Jakiś Polak.

Aha, powiedziałem. To są dobre słowa. A ten wąż! Człowieku, po każdej łusce można by jeździć na sankach!

Nie można by, powiedział Rudolf. No, jakoś to sobie przeanalizujcie...

To na razie! Wsiadł do samochodu. Staralem się rzucić okiem na wózek, ale widziałem tylko tych dwóch w czarnych mundurach. Siedzieli jak posągi.

Dziewcząt już nie było, wiedziały o prosektorium i poszły do swoich. Nie pytaliśmy, skąd to wiedzą. Chłopaka wzięły ze sobą, poinformował nas Kocur. Wasyl mówi, że Macešková poszła do swojego mieszkania. Kozaczysko pyta, czy może tu zostać po naszym odejściu. Powiedziałem, że jasne, dobrze?

Tak, powiedział któryś z nas.

No to... przyjaciele, powiedział Bohler... myślę, że moja Laotanka już się spakowała... rano jedziemy na Skałę, a gdybyście kiedykolwiek mieli ochotę... brama jest otwarta, Woda w kieliszkach... tej mojej też będzie tęskno za wami...

Było to dla mnie jasne. Uhm, powiedziałem. Chętnie kiedyś wyskoczę za miasto, brachu, do ciebie i Leśnych Ludzi. Jeszcze zostaną jakiś czas w domach. Cieszę się, że będzie tu Wasyl. Albo złapiecie mnie na Gazowniczej. A wy dwaj? odwróciłem się do padrugów.

Ja znikam nach Izrael, to już skapowaliście, powiedział Rekin. Do woja.

Mam trochę rozkręconą pewną drobną rzecz, powiedział Kocur. Myślę, że szczęście zacznie mi sprzyjać. A jak będziecie mieli ochotę na biznesy... kontakt za jakiś czas zostawię w znanych miejscach. Żal mi Davida.

Wiecie, powiedział Bohler, że nie zanudzam was specjalnie cytatami. Jeśli stało się coś złego, to chyba Davidowi. My, łącznie z moją skromną osobą, jesteśmy już dosyć obrzydliwymi i cynicznymi ruinami i swoje przeżyliśmy. Przynajmniej Kanał. Myślę, że dobrze by było modlić się za Davida. Rzeczy nie wyglądają najlepiej, ale ciągle jest nadzieja. Kiedy ty, Rekin, interpretowałeś swoje sny, między innymi ten o dziesiątym zatraconym plemienu izraelskim, przyszedł mi do głowy cytat ze starego Izajasza. 40, 31, jeśli to kogoś interesuje. Nie chciałbym bluźnić nadaremno, zwłaszcza po tym, co wspólnie przeżyliśmy... no, odważę się... posłuchajcie:

Ale którzy oczekują Pana, nabywają nowej siły; podnoszą się piórami jako orły, bieżą a nie spracują się, chodzą a nie ustawają.

Dobre, nie? powiedział Bohler. Kiwaliśmy głowami i z przyzwyczajenia macaliśmy się tam, gdzie do niedawna nosiliśmy srebro. Dzięki, dzięki, Domu Modlitwy, to dobre wersety, będziemy pamiętać, jasne, Sutanno... odzywały się tu i tam nasze głosy, może ostatni raz w harmonii... w gęstniejącej szarości podwórka. Potem Bohler powiedział: No to... idę... a wy dwaj też idźcie do tramwaju, nie?

Możemy wsiąść do pojazdu, zaproponował Kocur. Mam tam swoje katany, szmaty biznesowe i tak dalej. Zostawię to sobie.

No to wszystkiego dobrego, rzuciłem w otwarte okienko.

Cześć, Potok, powiedział któryś z nich.

I lepiej zamknij za nami bramę.

To cześć. Na razie.

Nara.

Patrzyłem, jak pojazd na tej ostatniej ulicy zmniejsza się i zmniejsza, w końcu skręcił za róg. Bramę zamknąłem. Moje samotne kroki na podwórzu brzmiały dziwnie.

Byłem zadowolony, że w domu jest jeszcze Wasyl i ta starsza pani, Macešková. Położyłem się gdzieś w mieszkaniu byłej gromady. Całą siłą mózgu starałem się wyczarować upojne obrazy swojej siostry. Nie byłem w najlepszej formie. Czułem się wręcz bardzo osamotniony.

Nagle zadzwonił dzwonek. Było to mocne dzwonięcie. Skoczyłem na równe nogi i ruszyłem ku drzwiom. Potem wróciłem. Po majcher. Dzwonek nie milkł. Kto tam? spytałem. To tylko ja, kawalerze! Była to Macešková. Poczulem sporą ulgę.

Stała w ciemnym korytarzu. Dlaczego pani nie zapali światła, pani Macešková. Ależ ja mam dobry wzrok, młody człowieku, zaśmiała się. Światło włączyłem ja. Miała twarz jeszcze bardziej zapadniętą i bledszą niż przed studnią. Jeśli dobrze pamiętałem. Czego pani potrzebuje? Ależ nic... chciałam tylko wiedzieć, gdzie lulacie. Kto tu jest, a kogo już nie ma. Ciekawska baba. Ale... może była zaskoczona, że dom jest prawie pusty. Spróbowałem jej to wyjaśnić. Wydawało mi się jednak, że nie słucha. Patrzyła na mnie. Oblizwała swoje stare wargi. Wyglądała, jakby była nie całkiem przytomna. Coś nie było z nią w porządku. No, w końcu przebywała w Zonie całkiem długo.

Mimo że mówiłem z nią uprzejmie, ni z tego, ni z owego odwróciła się i poczłapała z powrotem... nie ma tu żadnych sąsiadek, nie ma z kim plotkować, biedna stara. To dobranoc, zawałem za nią... i proszę niczego się tu nie obawiać! Nie odpowiedziała. Ledwie zamknąłem drzwi, zapukał do nich Wasyl.

Wchodź, wchodź, malczuk. Możesz tu spać. Miejsca jest dosyć.

Ty znasz etu babuszkę? spytał.

Tak, ona zdies' żywiot dołgo.

Kakaja ona?

Baba. Normalna stara czarownica. Staraja striga.

Wasyl wytrzeszczył oczy

Nie, spokojnie, to się tylko tak mówi. Napijesz się Ognistej? Wódki?

Da! Tak.

Piliśmy, dopóki nie zasnęliśmy. Ciągłe pytał, czy naprawdę może zostać w tym mieszkaniu. Nie przypuszczał nawet dureń, jak się cieszę, że jest ze mną. Wypił taką dawkę, że nawet nie wrzeszczał przez sen, chyba.

Następnego dnia wykonałem najpotrzebniejsze poranne czynności, ubrałem się w świeże rzeczy i wyszedłem. Spróbowałem wyrzucić z głowy wszystko, co było. Nie chodziło jedynie o to, że inaczej głowa by nie wytrzymała, po prostu pragnąłem już tylko zobaczyć Czarną. Tramwaj był dla mnie zbyt wolny.

Zachowałem się też praktycznie; kiedy Wasyl gdzieś wybył, policzyłem swoją kasę. Gdzieś w paleolicie biznesowej wydałem większe pieniądze na kolekcję biznesowych garniturów, krawatów i butów, ale Organizacja wyrównała mi te straty. Jedliśmy i pili na ogół razem, zajmował się tym Bohler. W znanych miejscach mieliśmy kredyt, wiedziałem, że Kocur postarał się o to. Przez cały miniony okres sprawiłem sobie tylko kilka swoich ulubionych kurtek na ulicę i kilka par butów do biegania. Nie lubię, kiedy przy bieganiu ból sprawia każdy gwoździak. Nie ma żadnego sensu, żeby człowiekowi płakały pięty. Czysz na Gazowniczej ciągle odpowiadał wyglądowni i położeniu tej dziury. Właściwie nie wydawałem forsy. Jeśli nie liczyć perwersyjnego hamburgera od czasu do czasu. Zostało mi parę niezłych pensji, które wkładałem pod poszewkę na poduszkę. Szmata umknęła uwadze hitlerów. Teraz wysypałem zawartość poduszki i dosyć zdumiałem się sumą. Z drugiej strony, hamowałem swój entuzjazm, w ogóle nie wiem, jak przez te lata wszystko podróżowało. Na pałace mnie nie stać, ale na wiejską chałupę na pewno. Coś z tego włożyłem do kieszeni, coś do butów, resztę z powrotem do poszewki. Uświadomiłem sobie, że Czarną widywałem tylko w pięknych wprawdzie, ale trochę sfatygowanych rzeczach. I poważnie zacząłem wątpić, czy pierze spodnie, w których widziałem ją cierpiącą. Dużo na piosenkach nie zarobi. Może jakiś prezent na początek... przejaw dobrych manier i przyjaźni... forsy miałem jak lodu.

Szedłem ulicą, facet bez plewienia, nikt, skierowałem się prosto do siostry. Było ciągle wcześniej, dla mnie czas niezwykły, siostrzyczka na pewno jeszcze śpi... tam gdzie wysiadłem, od ludzi się roilo... każdy z nich to na ogół niemila powłoka, pełna tylko własnego losu... przemykali w tramwajach, wskakiwali do nich, czytali gazety, różne druki... niektórzy rozmawiali... samochody trąbiły do ataku, do szturm... wszystko migotało mi przed oczami, zmieniało się... chwilami wyglądało to na zupełny absurd, chodniki były pełne, wszyscy szli zarabiać, zarobić się, zarąbać, włączyłem się w ten strumień.

Nie miałem plewienia, nigdzie już nie przynależałem. Kim teraz jestem? przyszło mi do głowy. I co zrobię, kiedy ją znajdę... Potem sobie przypomniałem... przecież spotkałem kiedyś Królową, dawno temu na obczyźnie, szukałem jej... może to opowieść Jichy stosunkowo niedawno, chociaż ten moment wydawał się teraz zapomniany gdzieś na korytarzach, w których gwizdże czas... mówił przecież o swojej podróży do Europy... może ta opowieść sprawiła, że przypomniałem sobie swoją własną podróż. Wtedy w Berlinie. Z

Jakobem Kopicem, moim współnikiem. Tam podarował mi Jakob dobre zdanie, wtedy w metrze. Przypomniałem je sobie, dawało wolność.

Byliśmy w Berlunie szybką grupką. A nie mogliśmy płacić w metrze ani innych środkach komunikacji, z których musieliśmy korzystać, żeby wszystko widzieć, słyszeć, wszystkiego dotknąć i wszystko obwąchać. Stan naszych finansów nie był najlepszy. Byliśmy pasażerami na gapę.

WTEDY W BERLUNIE. KRÓLESTWO KANAKÓW. TA CIEMNA.
ZNAJDUJĘ KRÓLOWĄ. I TRACĘ.

Berlun, wspominałem... jedziemy pod jakąś sztrasę, gapimy się na reklamowe poglądy, siedzimy zadowoleni, mruzcimy zadowoleni, i już nas mają. Znowu nas wymacali. Kontrola! Dokoła szum. Czarni, żółci, biali, pstrokaci, wszyscy spieprzają. Nas chwycili. Kopic udaje atak serca, ja beczę. Wyciągamy karty z obozu. Machnęli ręką. A potem znowu... siedzimy. I przychodzi kontrola. Idą prosto do nas. Słuchaj no, mówi Kopic, to dziwne, jak to się dzieje, że idą akurat do nas? Przecież byliśmy już normalnie uczesani, zęby mieliśmy wymyte, buty napastowane, a nasza odzież była super. Odstawialiśmy się według reklam, mieliśmy bezbłędne marynarki w pepitkę, trójdżinsy, podkolanówki a la kormoran, Kopic miał bajeczną czapkę ze znakiem Pi Beta Kappa. Zazdrościłem mu jej. O ubranie... postaraliśmy się. I wyglądaliśmy tak samo jak tubylcy dookoła. Język mieliśmy swój, to jasne, ale przecież w metrze się milczy. Słuchaj no, patrzy na mnie Kopic... już kapuję, ty to masz wypisane na gębie! Hy, jęknąłem, co? Nie wiem, ale masz wypisane, odmienność! Patrzę na niego... patrzę na pozostałych białych w metrze... aha! Ty, Kopic, mój drogi, masz to wypisane także.

A potem się to stało. Potem Kopic ofiarował mi to właściwe zdanie. Jedziemy znowu metrem, żeby obwąchać parę sklepów i jakieś hitlerowskie zabytki, dookoła huczą kolorowe grupki, a tu kontrola! I znowu prosto do nas! Kopic nie wytrzymał, pociągnął za hamulec, a ja rozbiłem kopniakiem okno, Jakob rzucił drabinkę i lecimy do tunelu. Za nami inni. Migają policyjne latarki, nas nie dostaną! Biegniemy zadyszani, za róg i znowu za róg, gliniarze za nami, a tu nagle chwyciły nas jakieś ręce i wciągają w głąb niszy. Nie bronimy się, za duża przewaga sił. Gliniarze przelecieli obok, Kopic sypał pieprz, żeby ogłupić psy. Znaliśmy to. Bardzo dobrze. Patrzę, kto nas chwycił, Kopic idzie na zwiady. Próbuje okpić tą bandę... nic mu nie zrobili, to wybawcy. Przede mną stoi niski gość, czarny jak but. W nosie ma kiel, który świeci w ciemności. Ungara, Bułgara, Polisha, Rumana?... wypytuje klient. Prawie zgadł. Mam to wypisane. Ich bin Czekoslovakija! biję się w piersi. Ich wajs, komunisten, niks gut, firers! Kwacz... gościu. Und ju? pytam, Angolak, Kongan, Ugand... he? Najn! Najn! Ich Kanak! bije się w drobną pierś pięściami. Gut? mówię. Niks gut! Komunisten? próbuję. Niks, mówi. Banditen. Niks esen, kajn witaminen, grose problem. Aha! Mam jasność. Dokument? pyta. Niks. Niks legitimacjonpapier, legalite kajne? Ju? Kajne! mówi. Arbajt, marle, gut gelta? Kajne, odpowiadam. Ja! mówi i zastanawia się. Ich arbajt hir. Tunla! Co? nie rozumiem Tunla! Tuleri! Ki! Ki! Pokazuje, że niby macha łopata. Najn, ja nie chcę! mówię. Kanak ciągnie mnie za ramię. Idziemy do tyłu. Wytrzeszczam oczy. Jest tam jakaś kopalnia czy co, jest ich tam mnóstwo, małych, czarnych, zwinnych. Kopiają ziemię i odwożą wózkami.

Przychodzi zadyszany Kopic. Czysto, oznajmia i wytrzeszcza oczy tak samo jak ja. Mój przyjaciel Kanak tłumaczy: Tuleri, kipa! Esen hir grose, grose, big! Kanakland kajne! Pokazuje nam międzynarodowy gest gwizdnięcia czegoś. Mruzcimy na znak zgody. Tuneleri! Nach Kanakenland! Aha, Kopic zatrybił. Oni przekopują się do domu. Globe, mówię. Globe, przez? Ja, nach globe, mówi Kanak radośnie. Esen konzerw und dzus supermarket Dojczland nach Kanakland fir kindern und fraulen Kanak und niks problem! Grose und grose gut. Fersztejn zi? Ja, mówi Kopic, nach Kanakland przez globe wifil kilometr? Kimter? nie rozumie Kanak. Ajn metr, pokazuje mu Kopic, stary praktyk języka. Wifil metr nach Kanakland? Ja, rozumie nasz wybawiciel. I rysuje w piasku liczbę. Patrz no,

mówię do Kopicą, jak popatrzyś z tej strony, to 60 kilometrów, a z tej 90, to stale jest do zrobienia. Tylko że Kanak liczby maże. Kajne problem! Kimter niks problem. Oni raczej nie wiedzą, ile to jest, sądzi Kopic, i nie ma to dla nich znaczenia. Ja! mówi Kanak jak gdyby rozumiał. Arbajt!? Pokazuje na wózki i łopaty. Wzdrygamy się. Ale... może jest tam fajnie, w Kanaklandzie... palmowe wino na przykład, morze... Nie wygłupiaj się, mówi Kopic, nie mamy czasu. Może zrobiliby nas dozorcami, przecież jesteśmy biali... Nie mamy czasu, mówi Kopic. Ma rację. Au widerzejn... wszystkiego najlepszego, życzymy Kanakom. Rozstanko. Po chwili jesteśmy na powierzchni. Idziemy. *Ja tu jestem na czarno, ol rajt!* śpiewam piosenkę Antonina, też w Berlinie w tym czasie, *nasmaruję gębę czarnym kremem i ruszę w podróż!* No tak, mówi Kopic. Kanacy... słuchaj no, my też jesteśmy Kanakami! No tak, zrozumiałem. Natychmiast. To jest to ważne tożsamościowe zdanie. Zstąpił na ciebie, Kopic, Duch Święty czy może jesteś z rodu proroka Eliasza? I to jest możliwe, mówi z powagą Kopic. Ma rację. Wszyscy jesteśmy Kanakami. Megarasa z tunelu. Cała ta banda wtedy w Berlinie po drodze do Europy.

Deringer to Kanak, nazywano go też Komandorem, bo kamieniał, Šiška to Kanak, był to agent wywiadu brytyjskiego, uważał na nas, był w pogotowiu i miał odbezpieczonego gnata, Borowiak, ten Polisz, to Kanak, także Šimuna albo Šmelina, miał różne paszporty... Simako i Ciharu to Kanaczki, ciągle trzymały się za ręce, głaskały się, dotykały się dzióbkami jak turkawki, dzwoniły na siebie ząbkami, żyły razem, jedna w drugiej w upojnym splecieniu, ciągle ze sobą targały różne kuleczki i pałeczki, w Tokaido przesadziły z feminizmem, dostały się pod względem społecznym pod młot, a psychicznie na dno i... ruszyły w drogę, nasmarowały gęby czarnym kremem i skończyły z nami w Berlinie, a może zaczęły? Wasisz to Kanak, ten, co na okrągło śpi, boi się śmiertelnego ruchu ulicznego, śpioch pokłuty, braciszek igły... Patrák, Czech całą gębą, ciągle rysuje mapy, wszystko wie, nigdzie nie jeździ, taki szajbus... ale twoja baba i prawowita małżonka, Kopic, jest przecież Dojcz, buduje nam językowy most... zanim przyjęła moje wspaniałe nazwisko, wyszczerzył zęby Kopic, nazywała się Jabłunkowskaja... to stara Ukrainica. He, Kanaczka jak cholera! Dzieci Kopica to Kanacy, wszyscy jesteśmy Kanakami. Może i łaskawy Bóg... jest w istocie...? Morze Kanaków. A Růženka Simonidesová, Kanaczka, tam rozbiliśmy swój namiot, to była nasza nora. Żyło w niej trzydzieści kotów, zrobiliśmy dla nich specjalne przełazy, koty żarły haszysz, przewracały go we wnętrzościach, a ja zrozumiałem, co to takiego shit. Byliśmy kanackim królestwem, chłopcy wybudowali jak brzozy, dziewczęta były piękne jak dziewice, w większości eurotrash. Mark był Anglorem, żył w domu z potworem, skończył w Berlinie. Kanak. Czwórka Holendrów jak z Brojgla, profesjonalni Kanacy. Wprowadziliśmy własną walutę, kanaczary. Spaliliśmy w rozwieszonych kanakach. W centrach handlowych Aldi przekopywaliśmy się przez hałdy towarów, bezlitośnie, po kanacku. Miewałem kanackie stany: zza rogu wyjechała zakonnica na koniu, ale w jednej chwili zmieniała się w faceta na rowerze, starego Kanaka. I powoli powstawało to, co najważniejsze, tajny i otwarty język kanackiego królestwa.

Nie mieliśmy dużo czasu. Wiele naszego czasu pożarł Ścierwojad, pułkownik Czasojad, potwór nad potworami. Ja kochałem demonstracje! Były wolne, zaprawdę... Au! Sland! Er! Raus! Pierwsze słowo jak pterodaktyl, drugie jak ruszt. Bębenki, piszczałki, dudy, szałamaje, chorągwie powiewały, bardzo mi się to podobało. Nie opuściłem ani jednego spotkania patriotycznego. Auuuu, wrzeszczałem, sland, to brzmiało chyba po celtycku, i bardzo konkretnie: er! I ta lśniąca końcówka: raus! jak cięcie kosy. Królowa lodu chrzęściła zamarym trenem. Szedłem w pochodzie. Nikt nic nie poznał. Jestem bardzo piękny, wszyscy tak uważają. Mam jasne włosy, niebieskie oczy i przejrzystą skórę z krostami po ospie. I jestem we właściwym miejscu globu i w odpowiedniej chwili. Ty jesteś taki inteligentny, powiedział Kopic z zawiścią. Opowiadaj, błagał w norze, jak to wyglądało na manifestacji? Ale dasz mi forszę! Spuścił wzrok. Coś ty! On na żadną demonstrację iść nie

mógł. Dostałby drągiem. Te jego kły jak u dzika, oczy brązowe, migdałowe, kędziory na głowie i ten haczykowany nochal! On nie mógł! Z nim sprawa była jasna. Kiedy podczas demonstracji ktoś mówił do mnie: Kamerad... wyszczerzałem zęby i wskazywałem kciukiem uszy i wargi... głuchoniemy kamerad... i ci idą z nami, mówili ci faszyści, a przy tym wiedzą, co ich czeka, kiedy znowu wygramy, za chwilę, no, to wzruszające... kiedy wrzeszczałem, krzyk nikał w grzmocie głosów... w ten sposób ich przechytryłem i w końcu mogłem sobie swobodnie podemonstrować, a raz zauważyłem... z tyłu idą jacyś chłopcy, ogoleni na łysą pałę, w mundurach, ale ciągną ciężary, kłody i koły, saperzy? Przynąłem się do nich i nie wierzę własnym uszom: Może mi, Mirku, herr oberst pożyczysz bykowiec... raz... może nas uznają, Jarko, jeśli będziemy się bardzo, bardzo starać... tak, Jindro, jesteśmy niepełnowartościową rasą, ale oni są tacy fantastyczni... byli tu Czesi, ślepcy... opanowała mnie wściekłość... ale potem żał, sami wyzdychają, biedacy, ech! Ciągnęli tam ładunki.

Nie mieliśmy czasu. A tam wszystko było bajeczne! Obcokrajowcy precz, to na pewno. Było nam jak u Pana Boga za piecem. Jedzenie prawie za darmo, picie też. Mnóstwo ciekawych rzeczy. Kiedy człowiek sobie użył i wpadł na ulicy na gliniarza i jakby przez pomyłkę zatoczył się uchlany, gliniarz mówił: inszuligenzi bite, i tylko spojrzeniem dawał człowiekowi czerwoną kartkę... ale ja na kartki naklejałem znaczki i wysyłałem te kartki do swojej starej mamusi.

Byliśmy królestwem Kanaków. Nie pracowałem, nie było na to ani godzinki. Kopic tak, on jest niespokojnym duchem i do tego ojcem rodziny. To tu, to tam zamiatał i sprzątał. Wystarczyło tego dla wszystkich. W pracy kradł ścierki i piękne popielniczki z tworzyw sztucznych.

Chodziliśmy na ogromne bazy, gdzie ludzie z naszych krajów uczyli się gospodarki rynkowej. Kopic dawał wyraz swojemu geniuszowi. Z czasem nie wystarczyła mu nawet ruletka, z którą wkrótce był na ty. Znalazł ją na jakiejś słabo oświetlonej bocznej uliczce. Była to kanacka ruletka i doszedł z nią do porozumienia. Koło kręcili tam Grecy, Italiańcy albo Asyryjczycy. Krótco mówiąc, Cyganie. Żadnych drobnych prac, tłumaczył mi Kopic, lepiej rozkręcić coś dużego, ewentualne nadwyżki możemy zawsze zniszczyć albo dać biedakom. Miał rację. Siedziałem i gapiłem się, pilnowałem pakunku z popielniczkami. Kopic polował wśród rynkowych ludzi. Towar opchnęliśmy Marokańczykom, ci z kolei opędzłowali go Polakom, ci Turkom, od których popielniczki wykupiliśmy powtórnie i posłaliśmy je dalej. Często mieliśmy czyste zyski sięgające sześciuset procent. Kradliśmy rowery, pomagaliśmy w ten sposób tubylcom, powinni ich lepiej pilnować i niech wiedzą, co ich czeka.

Podczas swych wędrówek w drodze do Europy spotkałem sporo wyrzutków. Ciekawe były zakłady karne. Cóż to było dla tych wszystkich sybiraków, członków niezłych szajek z Katowic i Gdańska, dzieci Ceaușescu i wszystkich Albańczyków! Podobno uzdrowisko na Krymie! Na wszystkich tych sanatoriach burmistrzowie i radni mogli spokojnie zawiesić tabliczki Interhotel Paradajs. Rosyjski gangster powiedział: Nic wam nie powiem. I nie powiedział. Bo w tych upragnionych państwach, drogie dzieci, zakazane były tortury. Nie żeby czasem kogoś nie pieprznęli... jakiegoś Czarnucha, Arabusa, żółtego bandyty, powolnego Polaczka... to i owszem, ale nie dawało się to porównać z piekłem, jakie ci ludzie mieli zakodowane w swoich komórkach. Kurdyjscy wygłodniali peszmerdzy na urlopie, tureckie szare wilki, ukraińskie wściekłe psy, nadwołańscy burłacy, romscy kryminaliści ze wszystkich części świata, Czeczeńcy z bliznami po katordze, bukareszteńscy mafiosi, wszelcy Angolczycy, żołdacy... niektórzy z nich spędzili całe lata w kopalniach, w pierdlach, gdzie na nocny beton ciekną wody gruntowe wprost z... wiadomo skąd... a kiedy tych ludzkich strzępów żał już nawet Szatanowi i woli wodę wychłęptać... to klawisz bierze gumowego węża... żeby te skurwiele przez przypadek nie przeżyły, a tu proszę, sporo ich

przeżyło... i tutaj nie mogli się nadziwić... Ech, to naprawdę wystarczy, jeśli powiem, że już tego nie zrobię. A to? To jest mydło? Całe dla mnie? No... czuję się nagle jak sam ataman Ralfo Walentino Belmondowicz, wreszcie! Ale i tak się nie myli, kradli to mydło na bazar albo dla swojej Lenoczki czy Staziczki, Agly, Wandy, Łatki, Wargi czy Mońki. A to co takiego... trzy koce, trzy koce na noc, Matko Boska! A to? To jest piżama, też na noc, mówił stary dobroduszny strażnik. A do jedzenia co sobie pan aresztant życzy: solona wołowina, polędwica czy tofu? Wszystko. Dobra, dobra, jest nam przykro, ale mamy tylko pięć gatunków tytoniu... a aresztanci, którzy byli w pierdlach upragnionych krajów już któryś raz, wiedzieli, co powiedzieć... Naprawdę?... To ugryź się wdupę, ty stary zakładzie poprawczy, to tak przestrzega się moich praw człowieka? I wybuchał nieduży bunt z samej porywczosci i ciekawosci, co się stanie... cieszyli się z tego miejscowi eurożurnaliści, bo ich złodziejskie bandy i wyrzutki ludzkości to naczynia połączone. Mieli wreszcie co robić. Nie ma trupów, nie ma historii, stare znane hasła.

Mówię teraz tylko o świecie podziemnym. Najbardziej niesamowite były dokumenty. Po wszystkich tych klauzulach wyjazdowych i formularzach, i wciskaniu kitu, i wypisach z archiwów człowiek wreszcie na własną rękę przemierzał upragnione państwa. Było to możliwe. W pierdlu skomlenie: Tak, wróć do domu, zaraz, do swojej starej rodziny. Tylko że... nie mam na bilet, czyli tiket, i żadnej kenkarty. Znalazłyby się pieniążki? Tak. Całuję rączki. Tylko bilet, też dobrze. A czy pójdzie ze mną Uzbrojona Ochrona Kolejowa? Coś pan, zwariował, jest pan chyba pełnoletni. Tak, panko, pardon, szefie szefów, naturalnie herr komendant. Bilet opchnie się zaraz w restauracji dworcowej, gdzie mamy zabawę. Do innego upragnionego państwa szło się wprowadzić przez granice, ale tylko wariat fatygowałby się przez punkty kontroli. Do dzisiaj szedłbym z zamkniętymi oczami. Tak chyba zresztą czasem chodziłem, byłem ciekaw, gdzie będę, kiedy uniosę powieki ku niebu.

Uchodźcy! Radni spotykali się z ekonomistami, dyplomowanymi inżynierami i lekarzami. Telefony w sztabach generalnych ryczały. Ta hołota, mówił radny, wykupuje całą tanią karmę dla naszych kocich i psich pupilków i moja Dajenka jest w niebezpieczeństwie. Oni to dają potem dzieciom, że niby to pożywne. A wybierają się tu następni. I radni mówili sobie: ten Stalin, Pol Pot. Hodża, Husajn... no, jednak tego. Ale nie mogli posłać karabinów maszynowych, bo rozbiliby swój czas. Byli w miejscu, gdzie krzyżują się dwa światy, dwa czasy. Wszystkie te szwajcarskojapońskie chronometry były na nic. Zrywają nam wszystkie nasze kolorowe plakaty reklamowe i wpychają ten papier do butów i za koszule, kiedy robi się zimno. Wobec tego damy im forszę. I rozkręcili kilka akcji afirmatywnych. Ale wyrzutki ze Wschodu nakupiły tylko więcej konserw i więcej soków, a niekiedy lepsze gnaty i lepszą jakościowo herę, na samokształcenie nie poszło nic.

A potem pewien radny w tej pułapce czasu mówi, niech sobie będą, ogrodzimy ich tylko drutami, niech będą, samo to wygnije... z czasem. Może i ma rację, na razie, ale... zwłaszcza przy tych zakładach karnych, od czasu do czasu klawisz lekko dotyka kabury pistoletu na biodrze, wiaterek stroszy mu czuprynę, kiedy, nachylony, nasłuchuje ryku wyrzutków... właśnie odmówili jedzenia szpinaku i chcą jeszcze jeden koc... a potem dotyka także gnata, który ma pod pachą, a kiedy idzie niedaleko jakaś wolna demonstracja, nie wydaje mu się to najgorsze... i od czasu do czasu, kiedy spali się jakiś absurdalny kurdyjski barłóg albo irracjonalna angolska noclegownia... telegraf akurat nie działa, depesze nie dochodzą, koła buksują... a trupy palą się w płomieniach... poczekamy, zobaczymy, powiedział ten radny. Tak, czekamy, co się stanie.

Kiedy się tak wałęsałem, żeby, o ile to możliwe, wszystko widzieć i wszystko słyszeć, i poczuć na własnej skórze, udało mi się, Berlun: za naruszenie ciszy nocnej i jazdę bez trzymanki, Dormut: chuligaństwo i prowokowanie, wtedy zeżarłem po raz pierwszy w życiu karczocho, którego znałem dotąd tylko z literatury, i zasmakowałem, Milano: nie wiem, Pariz: nie pamiętam, Gibraltar: nie powiem, Munchen: spanie w prywatnej psiej budzie, i to

mnie nieźle rozżłościło, bo temu psu było to całkiem obojętne; wtedy zdrzemnęliśmy się tam we czwórkę.

Po udanej okrężnej trasie turystycznej, wypełnionej zgłębianiem kanackiego, wróciłem do nory i oddałem Kopicowi sporo koców i mydła. Tylko jedno jedyne wonne pudełeczko sobie zostawiłem, no. Bo gdyby przypadkiem... i poszliśmy na bazar.

A kiedy tak tam stałem i kręciłem się, i łapałem rozmaite słowa i powiedzenia, kiedy plemiona mieszały się w koniecznym do przeżycia biznesie... i kradło się pieniądze i słowa... doświadczenia i słowa... przychodziło mi do głowy, że może coś się dzieje, że przez to mieszanie powstaje jak gdyby nowy język... kanacki... i może jest to już język pokoju, znowu przedbabelski... są teraz przecież biedni, muszą się dogadać... a zanim znowu będzie nam wspaniale i wszyscy będziemy wyglądać jak z plakatu, i weźmiemy się do budowania... przecież teraz się potrzebują... tylko że ludzie na bazarach wyglądali na ogół źle, zaniedbanie, byli albo bardzo wychudzeni, albo pękaci, z oczu wyglądały im rozmaite cierpienia i głód... bezpieczeństwa i przedmiotów... musieliby się zmieszać także z tymi przystojnymi tubylcami... żeby skończyły się plemiona... oni jednak ich nie chcą, to jasne... szmaty, w które rumuńskie Cyganichy zawijają swoje zawszone dzieciaki... tego nie można było dać nawet psu, wiem, widziałem je. Byłem tam. Może tutaj, mówiłem sobie, będzie niestety konieczne... naprawdę niestety: jeszcze parę Oświęcimiów, Murów, tu czy tam gułag... trzeba będzie przejść jeszcze dłuższą drogę... zanim do wszystkich to dotrze.

Spieprzamy! Spieprzamy! Nie gap się, jazda! wyrывał mnie często, bardzo często z fantazjowania czy rozmyślań Kopic, bo krąg znowu się zacieśniał, obława... chwyciliśmy popielniczki i wskoczyli na rumaki, a jeśli nam je ukradli, kradliśmy inne i znikali... a preria pod kopytami naszych kucyków ciągnęła się w nieskończoność, a my jechaliśmy, sprytnie skuleni, i kluczyliśmy, a pociski Haidów i Mandanów nas nie dosięgały.

Dużośmy nie kradli... tylko niekiedy... chyba jak wróbelki, mieliśmy wszelkiego organizowania po uszy, a na wielkie przekręty brakowało nam czasu. I nastroju. Można tam było zobaczyć bardzo wiele różnokolorowych rzeczy. Patrz no, to żółte, wali po oczach, nie znam tego, mówił Kopic. Rozumiem, mówiłem ja. Zsiedliśmy z rowerów, starannie je przywiązaliśmy, weszli do domu towarowego i wrócili z niego, na nosach mając piękne okulary słoneczne. Przy innej reklamie objawy zaniepokojenia pojawiły się u mnie. Nie znam tej beżowej, stare rany z pierwszej światowej świerzbią i otwierają się do wewnątrz, jasne, że będzie padać. Zatrzymaliśmy się i weszli do domu towarowego, wyszliśmy z niego w płaszczach przeciwdeszczowych i z parasolami. Kopic miał do tego radio. Włączył je. Oj, to była nieznaną, ciężką, przemysłowa i fanatyczna muzyka! Kopic zbladł. Ale mechanizm działał. Kupiliśmy, jak trzeba. Czasami zatrzymywaliśmy rowery, stali na chodniku i gapili się. Potem ruszaliśmy i każdy prowadził przywiązanego do siodełka jucznego rumaka. Jak tam liczy? zawołał Kopic. Prawie zdycha, odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Hatatitla też już ledwie rusza kopytami, mruknął Kopic. Dalej jechaliśmy na świeżych rowerach, żeby zmylić pogoń. Czasami musieliśmy się ratować... poświęciliśmy jeden z bicykli i odjechaliśmy na tym lepszym, staliśmy każdy na pedale z jednej strony. Trzymaliśmy się siodełka i pedałowaliśmy na przemian... nigdy nas nie złapali. Ach, Berlun, to dopiero było sanatorium!

Potem pracowałem w burdelu. Myłem spluwaczki, wynosiłem kosze ze śmieciami i zamiatalem, byłem małym koboldem. Być takim koboldem jest wspaniale, kobold wszystko widzi, wszędzie jest i znaczy mniej niż trocina na podłodze w barze, nikt sobie nie usurpuje prawa do niego. A ze szmatą i kubłem wejdzie wszędzie, nikt go nie widzi, czy jest legalny, czy nielegalny. Szybko zaprzyjaźniłem się z kurwami. Nie brakowało tam oczywiście idiotek, papli, pyskaczek i gderliwych bab, ale niektóre dziewczyny były w porządku.

Szczypta Czeszek, tabuny Rumunek, armia Ukrainek, pole Polek, wagony Węgierek, jedna śliczna Żydówka i inne. Zauważyłem: wędrowniacy ludów zaczęła się w burdelach. Ma to

na sumieniu jedna z wielkich ludzkich żądź: pragnienie świeżego ciała. Włoszki, Greczynki i Turczynki narzekały na utratę pozycji. Organizowały podziemie. Nie petycje, tylko witról. Czasem nie były to przelewki. Kurwy to plemię, chyba tak jak producenci zabawek albo gladiatorzy, powstają tylko biznesowe klany. Francuzki miały swoje „r”, którego po kanacku nie umiem zapisać, potem przyszły Czeszki z „r”. Moje serce pałało miłością do sióstr mojego plemienia. Czołem, kurwy, mówiłem. Czołem, robolu, odpowiadały. Panował spokój. Słuchałem legend ich flegmatyczności: jak tylko człowiek nie uważa, masz go tam, skręcisz w lewo, masz go tam, uchylisz się na prawo, masz go tam ciągle. Kutasa albo nóż, tojfla albo raka, wszystko jedno.

Nauczyłem się porzekadła: Cingelosz, bangelosz, czerń i biel, dobra praca to nasz cel. Miało to dobry rytm, dziewczyny podobno lepiej radziły sobie z tymi wszystkimi obrzydliwymi wieprzami. Czasami okazywały mi wdzięczność, ale prawdziwą, dziarską, przed południem, zanim koło zaczynało się kręcić. Na ogół nie były jeszcze całkiem wykończone. Opowiadały mi rzeczy, o których nie wiedziałem. Permutacje, kombinacje, wariacje, moczowe, tłuste, wilgotne, jak również krwawe. Nawet język nie jest sprawiedliwy, wiem, nawet w języku słowo pies jest tego samego rodzaju co pan. Ale niektóre dziewczyny, te głupie, zaczynały marzyć o swoich polach z traktorami i naftowymi stawami. Wróciłyby do taśm w fabrykach. Przyjechały tu po skarb i szybko przekonały się, że mają dług nie mniejszy niż właśnie ta skrzynia błyszczących dukatów. Winne są za mieszkanie, ogrzewanie, jedzenie, szminki, łachy. Za ochronę! Złotego Zachodu żelazna krata w dół. Te były już pod walcem. Mięsa kawały, widok niezbyt wspaniały. Inne były inteligentne i silne, nie dopuszczały do swych ciał śliny, choćby to ciało było już rozbite i przeorane jak sama matka ziemia. Znały się na rzeczy. Wiedziały, jak wydobyć z wieprzów forsy i co z nią zrobić... w takich zakochiwali się studenci i mordercy. Jeden tak, drugi nie, ty bierz, ty już nie... ciągle to samo. Biegałem tam z mopem, podpaskami, śmietniczką... założyłem niewielki biznes zapinkowy i prezerwatywowy, handlowałem też szminkami, przynajmniej nie musiały wychodzić na drugą stronę ulicy. Niektóre w swojej drodze do Europy nie zobaczyły prócz tej ulicy nic innego.

Litkę, była to Słowaczka albo Słowenka, już nie pamiętam, wziąłem na jarmark. Patrzą na nas, powiedziała w cukierni. Lubiła słodczyce jak mała dziewczynka. Nie patrzą, kłamałem. Było to po niej bowiem widać. Co z niej za jedna. Rzucą się to w oczy, jakby płonął Mars. Patrz no, karuzela, i to jaka, zachwyciła się. Wypróbowała ją. Samochodzikami też musiała się przejechać. Znowu kawiarnia. A potem jej zaświtało: Musimy wracać. Idziemy. Chodź. Los! Bite! Czekaj, chcę jeszcze na strzelnicę, chcę sobie postrzelać. Ustrzelę ci serce z piernika! Z tego, jak na mnie spojrzała, wnioskuję teraz, że to była jednak Słowenka. Staliśmy tam w wesołym miasteczku, kłóciliśmy się, oczywiście po kanacku. Wokół nas ludzie. Wpadali na nas. Szli się zabawić. A my staliśmy im na drodze. Sytuacja była niezręczna. Odwróciła się na swoim wysokim obcasie i pobiegła, myślała, że biegnie do wyjścia, ale pomyliła się. Biegła aż na sam koniec lunaparku, ledwie za nią nadążyłem. Tam trafiła na ogrodzenie, kurwa głupia. Przewróciła się i rozpłakała. Wysypało jej się wszystko z torebki. Wrzucała do niej swoje drobiazgi razem z błotem. No, chodź już... Litka! Wstawaj! W końcu doprowadziłem ją jakoś do taksówki. To dopiero była wycieczka, mówiłem sobie posępnie, a forsy poszło! Obserwowałem z samochodu wszystkich tych ludzi, domy, maszyny, widma. Co innego miałem robić? Na nią patrzeć nie chciałem. Jechaliśmy w milczeniu aż do tego burdelu, gdzie mieszkała. I z którego nie mogła się wydostać.

Ale następnego dnia znowu witała mnie wesoła jak ranny ptaszek. Czołem, robolu! Czołem, kurwo! To słowo przyswoiłem sobie chyba już we wszystkich pobabelskich językach. I zaczynałem mieć tego dość. Lepiej było jeździć z Kopicem na rowerze. A co się tyczy wszystkich tych kombinacji i permutacji, i tabliczek mnożenia, i alfabetów w tym domu smutku, zaczynało być mi od nich niedobrze. Słabe i mocne wstydlive odory. Dużo

mokrych rzeczy. Glutki, szitki. Dużo plam. Kudły i włosy. Każde świństwo ma kilku smutnych albo zezwierzęconych zwolenników. Ich rzecz. Ale te kurwy w większości były niewolnicami. Wiele z nich nie było tam dobrowolnie, to bzdury, że same tego chcą, ten, kto to mówi, powinien dostać po ryju. Niektóre były oczywistymi ofiarami, te dostałyby się na dno wszędzie. Niektórym to się podobało. Niektóre uciekły za złotym snem i odmówiły rezygnacji z niego. Śniły dalej z zamkniętymi oczami, a na koszmary senne brały prochy. Wiele też zmuszano biciem w twarz, nędzą, strachem. Uciekły tu przed wojną, potworną ulicą, fabryką. Przed tatusiem-idiotą i niebezpiecznym kochankiem. Było tu kilka dziewczyn, które mogły mieć co najwyżej czternaście lat. Starzały się bardzo szybko. Koks, chłanie i łóżko. Nie miały świadomości niczego. A czymże innym jest niewolnik? Mordy alfonsów były takie same, jeśli nie gorsze, niż mordy tajniaków. Dziewczyny dostawały manto. Kiedy były niegrzeczne, a czasem tak sobie. Żeby wiedziały, gdzie są i co są warte. Malownicze i romantyczne życie kurwy wymyślił jakiś literacki deliryk jako nagrodę za niesamowite walenie konia, lizanie, szczypanie, obciążanie druta i dotykanie... musiały mu porządnie rozwibrować nerwy... zanim mu stanął. Może są także inne burdele. Ale jeśli jest tylko ten jeden...

Była tam też pewna szczególna rzecz, o której się nie mówiło. Nie dawało mi to spokoju. Także z Litki, która dostała się do baru, a to już jest pewne miejsce w hierarchii, nie mogłem nic wydobyć.

Ta kobieta chodziła cała ubrana na czarno, także na twarzy miała czarny welon. Nosiała kapelusz, bardzo elegancki, jeśli mogę to oceniać. Ja stałem gdzieś w kącie klatki schodowej, przyjąłem postawę obronną za mieczem, czyli szcztoką do zamiatania, a w swojej tarczy moczyłem szmatę. Przystukała po schodach obok mnie, jakbym nie istniał. Chodziła tylko o określonym czasie. Poruszała się, jakby krajała powietrze albo raczej jakby szła obok niego. Ja wiem, czym jest taniec. Ona tańczyła każdym poruszeniem ciała, ale z ogromną powagą. Była w surowości i chłodzie swoich ruchów... wolna. Chciała, żeby tak było. Każdy marszałek, każdy mąż stanu, który z czerwonego dywanu kiwa do tłumów głową, mógłby się nauczyć, co to takiego godność. Widzieć, jak ta... dama kroczy po schodach burdelu. Miała własny pokój, tylko dla siebie. W środku nie wolno mi było sprzątać. Raz zapukałem do drzwi, ciekawość przejmowała mnie dreszczem. Wiedziałem, że nikogo tam nie ma. Otworzyła wizjer, był tam w drzwiach wizjer. Widziałem jej twarz, właściwie tylko część, bez welonu, wystarczyło mi to. Wokół oczu miała czarną maskę, nie widziałem ani skrawka jej skóry, tylko oczy. Te oczy były nagie, jak gdyby nic za nimi nie było. Były władcze, lodowate, bardzo złe. Upuściłem szmatę i coś jąkałem. Wizjer się zamknął.

Wiedziałem, kim jest Domina, co znaczy w tym burdelu. Biczowanie, tylko jeden z numerów kombinatoryki. Tylko że to było coś innego. Zbiegłem na dół do baru i mówię Litce: Wielkiego kielicha. A jeśli chociaż trochę lubisz tego robola, co stoi przed tobą, mów, kim jest ta kobieta. Ich firszten niczewo. Co, jesteś już tylko szminką, Litko, tego mi nie rób. Widziała, że jestem wykończony. To, co powiedziała, utkwilo mi w głowie, mój mózg przełożył to z kanackiego. Ty ją widziałeś, nie? Tak... maskę i oczy. Słuchaj no, ile ona kosztuje. Za numerek? Dziewczyna za barem powinna była wiedzieć takie rzeczy. To nie dla ciebie... podała sumę, która zaparła mi dech. Tyle kosztuje rols rojs, nie? No, może nawet dwa, powiedziała Litka. Zaczęła wycierać kieliszki, nagle miała pełne ręce roboty. Przecież także wiesz, że do niej chodzą od tyłu, tym korytarzem, do którego nam nie wolno. Ten korytarz zbudowali tylko dla niej. Jasne, że wiem, udawałem wtajemniczonego. Ale ona chodzi po schodach. Chodzi tak, jakby wszystko tu należało do niej, mówię Litce. Tak, czasem nawet przystanie przy barze. Myślę, że jej się tu... podoba. Niekiedy tak patrzy na ludzi, na dziewczyny. Dziewczyny boją się jej. Z nikim nie rozmawia. A wiesz, co o niej mówią dziewczyny... że jest nieżywa. Co takiego? No, ale to niemożliwe! Dziewczyny mówią, że jest nieżywa, ale ja myślę, że to może sławna aktorka, jakaś gwiazda... a goście

chcą z nią tutaj ze względu na otoczenie. Litka, ty wcale nie jesteś głupia, kajn durak, wcale nie. Pewnie tak jest. To pierwsze jest niemożliwe. Nu, wiesz, jak rendżeją Ruskie: wsio możliwe... między tam i tam, niebem i ziemią, dokończyłem i pokazałem kciukiem. Und under ziemią, dodała dziwka po kanacku. Zaśmialiśmy się z tego. Litka, strzel sobie jeszcze jednego na mój rachunek. Znalazłem inną pracę. Diferent dzob. Łuczszą rabotę. Grose marka. Geld. Ty odchodzisz? Warum? Przygnębiło ją to, wiem. Kieliszków było więcej. Powiedziała, żebym koniecznie kiedyś wpadł... ot, tak. Ale nie wpadłem. Miała trochę nadziei, wiedziałem to, że ją stamtąd wydobędę. Na to mnie stać nie było.

I znowu zaczęła się jazda z Kopicem i wesołość, i pęd. Przeganiałem burdel z głowy. Uczyłem się słów od Simako i Ciharu. Omako, szeptały i łypały okiem. Omako, omaku, omaken rajt nau, Ciharu san e osi, Simako san, he? Koisi awek mua, ju super ober lesbian sisters, ja? Nain, nain, niks omako awek mua, niks omako awek nu! Rian! Chichotały, trzymały się za ręce. Spacerowaliśmy po Berlunie i zwracaliśmy sobie wzajem uwagę na rzeczy godne zapamiętania i cudowne. W pewnym oknie wisiał manekin. Miał skrwawioną twarz. Keczup kapał z niego na bruk. Nagel fir president! Prezydent, który coś takiego znosi, w szczególny sposób rządzi narodem, politykowaliśmy z Kopicem. Tu jest inaczej, podsumował Jakob. Wszedłem do piekarni po bułki. Było tam jezioro, w którym pływały łabędzie. Bułek było chyba ze sześćdziesiąt gatunków, a żadna nie wyglądała normalnie. Uciekłem. Japońskie Kanaczki parsknęły śmiechem, a potem same poszły kupić bułki. Wołałem poczekać na zewnątrz, paliłem papierosa za papierosem i obserwowałem życie. Niosłem im torbę. Ogromnie im się to podobało, przypuszczam, że niekiedy robiły zakupy tylko po to, żeby jakiś facet mógł za nimi nosić torbę. Czegoś takiego nie znały. Raz po raz oglądały się za siebie i chichotały. Czasem machały do mnie. Jenów miały jak lodu. Pracowały w filmie.

Podobały mi się te ich forsiaki, były przewiercone. Przypominały mi muszle, które niektórzy czarni Kanacy nosili na szyi. Może jakoś tak powstały pieniądze? Ludzie ze skorupiaków, a ludzkie pieniądze z ich ochronnych pancerzy. Wszystko jest możliwe. Z dziećmi Kopicą graliśmy jenami w monety. Dzieciaki wygrywały. Tak... tak, mówiłem do siebie, nie musicie ciągle wygrywać... zaglądałem w migdałowe tonie ich oczu, oczy im błyszczały, kiedy mnie obdzierały... ważne jest tylko, żebyście nigdy nie przegrały fatalnie, Hansi i ty, Małgosiu, bądźcie ostrożni na swojej ścieżce w lesie, omijajcie pułapki, spalcie poczware, która chce was pożreć.

Ciharu i Simaku bez przerwy moczyły się i szorowały. Berlun wydawał im się brudny. Z jakich bielusińskich pastwisk pochodzicie, o dziewczęta koloru miedzi, złotawe? Ale one z nich uciekły. Znały się na zakupach, my pozostali z kolei na innych rzeczach. Bardzo zdziwiło mnie, kiedy oznajmiły, że sprzedawcy wydają im się nieuprzejmi. Ja wstydziłem się w sklepach. Szczególnie pachnące ślicznotki pakowały mi kilo ziemniaków albo litr mleka w jedwab, przewiązywały to jasną wstążką i jeszcze uśmiechały się jak do narzeczonego. Zbyt dużo uśmiechów, tyle względów, mnóstwo życzliwości. Simako san wyjaśniła mi jednak, że jest to tylko inny pakt szczepów.

Dis lumen, wskazała długim pomalowanym paznokietkiem ekspedientkę, in Tokio aut of dzob. Imposibyl tu tacz jour nous. Łen tok tu pizden. Zanim właśnie zwolniona biedaczka dosmarkała, zrozumiałem. I na mojej twarzy rozbłysnął uśmiech, tak jednak, żeby nie było widać zepsutych kłów. Ol rajt, na ja, paniatno, hontoo, pakt szczepów. A pod spodem, co tam fermentuje... znam to bardzo dobrze.

Prawie nie spałem. Ale upodobałem sobie bar Dywanowy. Tam nie cierpiałem. Poza tym wszędzie cierpię jak zwierzę. Miewam szczególnie przeciwstawne wyobrażenia. Miotają mną silne uczucia. Bywam dziwny. Ale w barze Teppich nie cierpiałem. Obserwowałem nici i nitki kobierców, jak splatają się w ornamenty i biegną dalej, i znikają. Po drugiej, nieznannej stronie. A strona prawa, którą mogłem obserwować, pełna była czworonogów i ptaków, i

kwiatów, i ludzi. Trwali tam razem w olśniewających kolorach i nic nie płoszyło spokoju ich obecności. Jeźdźcy siedzieli na koniach, na wyciągniętych rękach trzymali sokoły. W górze szybował orzeł. Czekał. Muzykanci wstrzymali oddech, nie wypełniał barbarzyńskich instrumentów z powyginanego drewna, księżniczka czekała z wysuniętą nogą, gotowa do tańca, gotowa ucieszyć swego miłego, stał pełen miłości, nieruchomy. Widziałem to, był to obraz stworzony przez nici kobierca.

Ale potem znowu zacząłem cierpieć. Zobaczyłem tą kobietę. Kochałem ją od pierwszego wejrzenia. Jej blada krucha twarz w obramowaniu gęstych czarnych włosów. I każda kość tej twarzy! Delikatnie dotykała ręki swojego towarzysza: teraz mnie prowadzisz, ale tylko dlatego, że ja ci na to pozwalam, przecież w każdej chwili mogę unieść się w powietrze...

Wiedziałem, że kocham jej kroki i to, jak smaga powietrze skrajem swojej sukni... to, jak tylko przez chwilę, przez niedostrzegalne mgnienie oka, dotyka małym paluszkiem jakiegokolwiek punktu całkiem nieważnej przestrzeni, przestrzeni, która przedtem, zanim w nią wkroczyła, tylko istniała... nienaladowana... pusta i pozbawiona treści... już ten przestwór mógłbym kochać i zatrzymać dla siebie w szkatułce z kości słoniowej z krawędziami obitymi srebrem, zachować go aż do końca swego czasu... ale wolałbym zachować ją samą, rzecz jasna. Usiedli parę kroków ode mnie. Tubylec strzelił palcami i wulgarnym ostrym głosem straszył kelnera; zmuszał go, żeby przyjął bezsensowne zamówienie. Zakasłałem, dając znak, że wstanę... spojrzała na mnie... musiałem oprzeć się o stolik. Poczuję ogromną psychofizyczną żądzę. Spojrzałem w jej kierunku. Siedziała tam ciągle. Zrobiło mi się niedobrze. Geny oszalały. Te malutkie zwierzątka, które ma w sobie każdy, zaczęły przegrupowywać siły. Mój rytm biologiczny rozpoczął nowy rozdział życia. Jestem człowiekiem wrażliwym.

Tylko że... próbowałem zrozumieć. Obserwowałem tego jej partnera. W chwili zamętu dobrze jest nakierować się na przeciwnika, uczynić go obiektem nienawiści. On jednak... musiałem to przyznać, był sympatyczny... wysoki facet... przecież moja kobieta też nie spędzałaby wieczora z jakimś podejrzanym typkim, to oczywiste, uspokajałem się... ubrany był normalnie, nie przesadził, buty, spodnie, coś pod tym, coś nad tym... tak, jest w porządku... a ja? Coś tam za paznokciami, coś we włosach, no tak, spluwaczki i kurwy... byłem przecież koboldem, Kanakiem... nie mogła zobaczyć mojego dzikiego czerwonego serca pod niechlujną górą od dresu, ujrzałaby tam samą siebie, jak w lustrze weneckim... nie mogła nic wiedzieć o moich tkliwych i głodnych zakrzywionych ramionach... na razie... obwąchałem Dywanowy i wlałem pod stolik, przy tym ruchu kobierce stopiły się w rozmazaną kolorową gmatwaninę... spokojne ciche barwy rozpląnęły się w chaos... pod stolikami ruszyłem w drogę... ostrożnie jak koczokodan... umknąłem tropicielom... byłem tam i słuchałem... to u nas, na naszym moście Karola... sprzedawała tam jakieś czapki, to rodaczka, uradowałem się, ale zaraz zamarłem: panie! Powiedziała mu „panie”! Od kiedy to Kanaczka, córka wolnego ludu, ma jakiegoś pana, omal nie przestałem nad sobą panować... jeszcze panie... zrozumiałem, Szczepanie mówi, aha, on ma jakieś imię, no, to niesamowite... a potem odezwał się on, mówił po kanacku, ale odwróconym kanackim, on uczył się jej języka! On ją kocha, to jasne. Inne powody są absolutnie wykluczone, zawyłem, wzdrgnęli się... ale rozmawiali dalej... wciskał jej coś o wielkich tournée, niesamowitych salach koncertowych, szalejących fanklubach, mnóstwie programów i striptizie... potem jednak usłyszałem... translation, redukcjon... i tak dalej... muszę swojej kobiecie przypomnieć los dudziarza Švandy, uświadomiłem sobie... zostań tutaj, mówi jej ten Szczepan... pasujesz do tego miasta... masz to miasto u swoich stóp... wszystkie miasta będą u jej stóp, ale ze mną, cholera, mamrotałem do siebie pod stołem, jakoś to zorganizuję... albo nie, tylko to jedno miasto, jej miasto, miasto jej języka, macocha wstrętna... chyba nie zwariowała, przecież tu by się wykończyła, dziewczuszka moja... muszę ją uratować, choćby gwałtem... tylko że... tak, Kanak pod stołem, muszę się jakoś...

przebrać, tak, i zaatakować... nie wytrzymam tego, czy nie powinienem sprowokować awantury... nie wytrzymałem, oblizałem jej kolano, spoliczkowała go. Udało się! Szybko odpełzłem. Kolano było dobre.

Wsiadłem na rower. Nie wolno mi stracić ani minuty! Wieczorne powietrze wcale mnie nie chłodziło, tylko rozpalało, rozwścieczało. Porwę ją. I zaraz się z nią ożenię, żeby nie mogła uciec. Kopic poradzi sobie z rolą księdza. Pędziłem przez wieczorny Berlun jak sam King Kong.

Wstawać, Kanacy! Wpadłem do nory. Jazda, dawać co, kto ma! Muszę się odstawić, mam rendez-vous, love, love, big koisi awek ma fam, ma pręses, szis gros biutiful! Wyciągałem ciuchy z naszych pudeł i Kanaków z łóżek. Berlun to stolica bohemy i hitparady. Subkultury. To musi działać! Wybrałem alternatywny strój. Kopic miał jeden krawat. Mam to na bazar, bronił się. Szarpaliśmy się, aż szmatka się rozdarła. Jakoś to sfastryguję, gdzie jest igła i nitka, martwiłem się. O, tak! Jesteś mi winien 60 DM, złościł się Kopic. Zabrałem mu marynarkę, też była naszą jedyną, zamiatał w niej. Pożycz mi tę swoją czapkę Pi Beta Kappa, skomlałem. Ale był wpieniony. Zabrałem jego dzieciom jakąś czapkę łyżwiarską, miała dobry kolor. Albo nie, Cihari, łejk up, help a mersi, hilfe! Gdzie trzyma ten szykowny kapeluch... brała prysznic... Simako jadła węże... prosiły, żeby im nie przeszkadzać... ciągle tylko biorą prysznic albo jedzą węże, albo puszczają latawce. Chirina! Chirina! To znaczy po kanacku: Szybko! Szybko! Ale jest to zrozumiałe także w pozostałych językach... pożycz mi mikado... bądź miła, bądź mu ta, mutasana san, hontoo? Dajwak! Jamb, dakt, Hai? Hai! W końcu je zmiękczyłem i doprowadziły mnie do porządku. Śmiały się na całego. Było mi to obojętne. Agentowi Šišce wziąłem gnata... dla pewności... miał też kapitalne szelki! Natychmiast je włożyłem. Spadały mi getry. Wskoczyłem na rower. Kurwa, nie miałem butów ani skarpetek... ale już jechałem... zatrzymywałem przechodniów, przyglądali mi się... zwracałem ich uwagę na swoje ubóstwo... zdobyłem przynajmniej parę fajek i jakieś drobne, przydadzą się mnie i żonie na początek... z jakiegoś sznura zerwałem szlafrok i włożyłem go na siebie... sznur też zabrałem, na wypadek gdyby się broniła... ludzie gapili się na mnie... no, co, barany... gapili się na mój multikulturowy strój... niech ich diabli wezmą... pędziłem jak wiatr, jak burza, pedały skrzypiały... księżę Kanaków jedzie! Wpadłem do baru Teppich, była tam! Ale... patrzyli na mnie wszyscy... katastrofa... panowała absolutna cisza... gęby rozdziawione... ojej... chyba byłem czerwony... mikado... a moja ukochana... moja ukochana uśmiechnęła się, podczas gdy inni ryczeli ze śmiechu... tylko się uśmiechnęła... serce mnie bolało... przyszli kelnerzy, kucharze... Macie the, macie mate? zaplątałem się, wpadając w kanacki... pocilem się, wylałem coś na siebie, uciekłem, rowerowi nie było na miejscu. Szedłem piechotą, było to straszne.

Ale nie, nie poddałem się. Zaznajomiłem Kopicą ze swoim planem. Odkryłem Królową Kanaków, mówię mu. Opisałem ją. Powiedziałem, jaka jest! Uwierzył mi, dlaczego nie. Owiniemy ją w dywan albo tepich i zawlecjemy do nory. Ze Szczepanem już sobie jakoś poradzimy, ha! Zaatakujemy też z dachu. Ciharu i Simako będą przebrane za kwiaciarki i będą stały na cynku, Šiška załatwi, co trzeba, na górze, gdyby plany wzięły w łeb, weźmiemy też Holendrów, gdyby sprawa się rypla, niech będzie w to zamieszanych więcej ludzi. I Deringera, on zrobi tam komandora... przestraszy ich! Růženka Simonides będzie ciągnąć fałszywy wózek... Petrak narysuje mapę, ustali kierunki i długość odcinków, unikniemy błędów w ocenie odległości... Wszyscy byli za. Tylko Ciharu i Simaku trochę... przyzwyczały się do intymnej atmosfery w naszej grupie... nie chciały porzucać kolein... musiałem im obiecać, że Królowa Kanaków będzie ich niewolnicą, że mogą ją sobie sfilmować... wtedy kiwnęły głowami... obiecanki cacanki, a głupiemu radość... ruszyliśmy... w nocy, w płaszczach, z drabinami... jej jednak tam nie było! Tylko dywany... znikła mi... miłość moja... i już nigdy jej nie widziałem, chyba.

Już dość, powiedziałem sobie. Potok, przestań wspominać młode lata, masz co innego do zrobienia. Ale... przyszło mi do głowy, skoro mógł napisać książkę taki Jícha, to dlaczego ja bym nie mógł. Tylko że napisałbym ją po kanacku. Na ciele zmienionego świata, na ruinach minionego czasu rozpocząłbym wspaniały rozdział piśmiennictwa kanackiego! Kolejnego z postbabelskich. A jak już, to już. Napiszę tą książkę nie wygładzonym językiem postbabelskim, tak jak ją usłyszałem podczas swych wędrówek w przeszłości, terażniejszości i przyszłości.

Oczywiście... wszystko już zostało napisane... ale człowiek musi się starać, jak mówił mój towarzysz walki... gliździarz... wszystko jest już napisane, wszystko jest oklepane, też musiałbym w kółko... ciągle to samo, ale to i tak wszystko jedno, nikt nie słyszy... a na paczkach... stosach paczek z książką byłoby napisane: Fragile! Very fragile! Only for Kanaks!

A może, marzyłem, byłaby z tego forsa, kupa moniaków od grup wydawniczych, poruszonych mędrców i literatów, od subskrybentów. Przecież wszyscy już mówią... przecież wszyscy jesteśmy... Kanakami. Taki to pomysł zrodził się podczas tego wspomnienia. Szalony.

SZUKAM, SZUKAM, ZNAJDUJĘ TYLKO NOŻE. KRZYŻÓWKA PAJĄKA,
INNE ŚLADY. JESTEM NA ŻOŁDZIE. JÍCHA... WTEDY NA RZECE
KONGO. WASYL. ZNOWU STUDNIA. UKOCHANA W WODZIE.

Kiedy rozejrzałem się dokoła, stwierdziłem, że dotarłem bliżej miejsca, gdzie powinna mieszkać siostrzyczka. Przeszedłem kilka cygańskich ulic, na chodniku ostatniej z nich płonął siennik, a śniade dzieci rzucały w siebie błotem. Ostrożnie je ominąłem. Dalej były fabryki. I rzadka trawa, kurz, stare pole. Kolejne budynki, w szeregach, Chebków 33, taki był adres. A w domu przecież ją odszukam. To już będzie przyjemność. Ręce nie pociły mi się, były zimne. W gardle coś pulsowało. Pod numerem 33 parter był cały oszklony. Biuro. Napis głosił: Związek Rusinów w Czechosłowacji. Ostatnie słowo było przekreślone. Ktoś nagryzmolił na nim: „Czechach”. To słowo jednak było też przekreślone, topornymi literami dopisano: „A gdzie Morawy?” Kolejny obywatel zostawił po sobie komunikat: „Ruskie won!” Pomieszczenie było puste. Zadzwoiłem do drzwi. Natychmiast mi otworzono. Czego pan sobie życzy? Opisałem swoją siostrę. Jak się nazywa? spytała... urzędniczka. Nie wiem. Nie wie pan, jak się nazywa pańska siostra? zdziwiła się. Długo byliśmy osobno. Rozłączeni. Możliwe, że trochę ją to wzruszyło. Mieszkałem długo... całe ejdzys... na obczisnie, powiedziałem z zachodnim akcentem. Ach. Chwyciła przynętę. Szukam swojej małej sista... siostrzyczki. Wie pan, ja mieszkańców domu nie znam, mówiła... ale pański opis całkiem pasuje do pani Mariakovej... która pomaga nam w Związku. Sprząta? spytałem ze zrozumieniem. Zmarszczyła brwi. Ależ, proszę pana, mówi, pani inżynier przygotowała nam komputerową bazę danych... To chyba nie ona, posmutniałem. Ma na brodzie małą bliznę, ciągnęła Ruska, po upadku z roweru? Tak, wykrztusiłem. Wobec tego to będzie na pewno pani inżynier, oznajmiła moja informatorka. Ale przyjdzie do nas dopiero za dwa tygodnie. Tho je teribyl, powiedziałem. Muszę w interesach, do Brusel. To może wpadnie pan do pana Meždeka? On jest... pan architekt jest jej przyjacielem... Słucham?! No, pańska siostrzyczka nie jest już taka mała... panie Mariak, to już przecież młoda dama! Zaproponowała mi adres. Rusini to Rosjanie? okazałem zaniepokojenie. Nie, powiedziała trochę zjeżona. Jesteśmy głównie z Rusi Podkarpackiej. No, czyli Ruscy, pomyślałem... do tego Karpaty, Rumuni, Drakula, Ceausescu, no, rozważałem w milczeniu. Podała mi paperek z adresem, było to na drugim końcu miasta. Bardzo dziękuję. Rozstaliśmy się tak samo, jak się powitaliśmy, chłodno.

Zdecydowałem się na metro i szedłem przez rury. Rojących się ludzi starałem się nie zauważać. Czarna jako pani inżynier, absurd, może powinienem był poszukać w tamtym budynku. Wrócić mogę zawsze. Sooolingen! Kupujcie solingen! zawodził ktoś na peronie. Ciach, ciach, ciach, ciach, ciach, ciach, kroi mięso, że aż strach, bo solingen zna swój fach! Jakaś babcia zanudzała tam czekających na pociąg, miała przymocowaną do brzucha deskę, a na niej pokrajany pomidor, kawał jakiegoś ścierwa i jeszcze coś zielonego. W rękach błyskały jej zestawy noży reklamowanej przez nią marki. Popatrzyłem, czy to zielone to nie kiwi, którego w tym czasie nie znałem, ale była to papryka. Baba już mnie nie puściła. Proszę spojrzeć na ten cud, machała mi machem przed oczyma. Krają cienko, krają grubo, każdej kuchni będą chluba, uciesz nimi swoją lubą! Tym mnie podbiła. To zapakujcie mi jeden, matko. Już się robi, panie doktorze! Wepchnęła mi komplet. A drobne zostawcie sobie, matko, powiedziałem tej starej spryciarze łaskawie. Tysiącrotne dzięki, niech pana Bóg błogosławi, doktorze! Wsiadałem już i słyszę: Nie jestem twoją matką, ty łachudro!

Wolałabym się utopić! Pociąg ruszył, a ja trochę się zaczerwieniłem. Współpasażerowie patrzyli na mnie i uśmiechali się pod nosem. Zrobiłem groźną minę. Pomogło.

Meżdek. Atelier fotograficzne. Cały ten dom przypominał najbardziej jakiś dyktatorski szpital. Bardzo czysto, biało. Śmierć i cierpienie w przyzwoitej postaci, pod przykryciem, w kącie. Wszystkie wycieraczki identyczne. W holu mieli dozorcę z gnatem. Dokąd pan idzie? Do pana Meżdeka, oznajmiłem. A, fotki, co? Sprawdzał mnie, jak gdyby nie było to napisane na skrzynce. Oczywiście, powiedziałem kokieterynie i przeszedłem. Przed drzwiami stały pantofle i buty, zależało to od tego, kto był tu w domu, a kto nie, to skapowałem. Boją się złodziei, stąd goryl na dole. Jakoś nie wydawało mi się, że facet Czarnej może mieszkać w takim miejscu. Miałem wrażenie, że Czarna lubi raczej miejsca, gdzie ludzie się nie boją. Ale czy idę naprawdę do niej? Stałem przed drzwiami dłuższą chwilę, zanim usłyszałem kroki. Wolę iść na pewniaka. Coś trzasnęło jak drzwi lodówki. Zapukałem. To działa w niewiarygodny sposób. Ludzie przyzwyczajeni są do dzwonka, a kiedy się do nich zapuka, zwykle otwierają, nawet jeśli nie mają ochoty na niczyją wizytę. Są po prostu ciekawi, co to za zmiana. Kroki w mieszkaniu umilkły. Pukałem cicho, ale uparcie. Z ufnością. W końcu drzwi powoli się otworzyły. Nie wierzyłem własnym oczom. Stał w nich dziadek z bajki. Miał na sobie różowy szlafrok, na nogach pantofle z pomponami. Patrzył na mnie przestraszony. Miał takie niebieskie oczy... i różowe usta, pomalowane szminką! Kiedy mnie zobaczył, opadły mu kąciki warg. Niektórym ludziom nie podobam się od pierwszego wejrzenia. Chciał zamknąć drzwi, ale mu w tym przeszkodziłem. Po chwili staliśmy w mieszkaniu obaj. Facet był wcieloną ofiarą. Błagał o litość całą swoją postacią. Nie zaczął wrzeszczeć ani obrzucać mnie wymysłami. Wydawało się raczej, że spodziewa się oberwać, bo na to zasłużył. Wybrałem odpowiadającą tej sytuacji taktykę. Gdzie jest? wychrypiąłem. Milczał. W tym milczeniu była prośba. Gdzie jest? spytałem. Moja siostra! Tu, powiedziałem dramatycznie i dotknąłem swojej brody, tu ma bliźnię. A, chodzi panu o Maruškę, napięcie trochę z niego opadło. Głos miał, jak można się było spodziewać, piskliwy. I drżący. Ale Mařenki tu nie ma, ona przychodzi tu posiedzieć tylko czasem. A gdzie to robicie? wrzasnąłem. Wkurzał mnie. Boże jedyny... o co panu chodzi... panie... cofał się przede mną, już nie tylko głos mu drżał. Weszliśmy do pokoju... on tyłem, ja za nim... na środku stał kołnierz na biegunach cały we wstążkach i kokardkach... na oknach różowe zasłony, pod ścianami kanapy, na nich pluszowe zabawki, rozmaite lalki, jedna ogromna... była tam kolorowa piłka, zauważyłem skakanki... Maruška nigdy mi nie mówiła, że ma takiego wielkiego brata, przecież porozumielibyśmy się... ona przychodziła tu odpocząć, odrobić zadania, gdzie ja bym tam, kiedy pana nie ma... jestem już stary... to dobra dziewczuszka... Nie tknąłbym tego dziadka, ale skoro szło o Czarną, skoro jest w takim stanie, że musi chodzić odpoczywać tutaj, do tego stworzenia...

Nie kłam pan! To zainteresuje policję, to wasze atelier! Ale nie, proszę, proszę, niech sobie Mařenka... ja muszę się z nią zobaczyć, z dziewczuszką, proszę spojrzeć, co dla niej mam... pobiegł, a właściwie raczej potańczył do szafy w ścianie... otworzył ją, proszę zobaczyć, jak się o nią troszczę, chcę dla niej jak najlepiej... wyciągał z szafy sukienki, białe w kropki, luksusowe ciuszki, złota nić... te lubi najbardziej... białe letnie sukienki z bolerkiem... nie, nie mogło chodzić o Czarną... bolerko!... wydawało się, że fotograf jest w swoim żywiole... my nigdy, proszę nawet tak nie myśleć, panie starszy bracie, ja nie jestem taki, ona dla mnie tylko... tańczyła... usiadł na tej kupie szmat... sukienek... Chcę te zdjęcia, powiedziałem... Nie mam żadnych!

Wstałem i ruszyłem ku niemu. Nie, naprawdę... proszę poczekać, chwileczkę, tylko to wyszło w Paryżu, u Laurenta... przebiegł przez pokój, szlafroczek furkotał, pogrzebał w papierach na stole, wyciągnął jakiś żurnal mój, przekartkował go, a potem pokazał mi dwie fotografie, wyrwałem mu gwałtownie te święte kartki i podszedłem do okna... była na nich bardzo młoda dziewczyna, a Czarna już taka młoda nie jest... ale coś... chyba szyja... twarz

pograżona w półcieniu, miała obnażone nogi, kostek Czarnej jeszcze nie znałem... na jednym ze zdjęć dziewczyna była sfotografowana trochę z boku i to, jak unosiła ramiona, było uchwycone... na wieczność, to, jak zginała rękę w nadgarstku... jest piękna, bardzo piękna, powtarzał obok mnie Meždek... to tajemnica, są tajemnicą życia, jego bramą... No tak, wszyscy jesteśmy z pizdy, chciałem być wstrętny... śmierci... one mają swoją tajemnicę w środku, jak płeć, nie widać... nie jak my... to sobie wezmę, wyrwałem fotografie, a resztę papieru rzuciłem na ziemię... och, powiedział... jak bardzo go nienawidziłem... nawet gdyby ta Mařenka nie była Czarną... fotografuje je, ograbia, co tam pieprzy, dlaczego chce je pokazywać, przecież świat... przecież właśnie ze względu na jej piękno ktoś pewnie tą dziewczynę zabije, to może się zdarzyć... stał i patrzył na mnie, chce ją pan zniszczyć, tak jak zniszczył pan ten magazyn, pan nie jest jej bratem, pan chce ją mieć tylko dla siebie. Te fotografie poza magazynem nie mają wartości, pan chce tak tą cudowną istotę wyrwać z życia... nagle zadzwieczał dzwonek.

Meždek zadrżał... Czy to ona? Chyba chrypiałem. Nie, powiedział z wahaniem... nie wiem, który z nas dwu znalazł się przy drzwiach pierwszy, ale otworzyłem je ja.

Stała przed nimi kobieta, jak wyrzeźbiona w kamieniu, za rękę trzymała małą dziewczynkę. Dziewczynka wyglądała jak aniołek z obrazu z Najświętszą Marią Panną. Może miała tak wyglądać. Złote włosy opadały na ramiona. Usteczka odrobinę pod karmione szminką. Stała trochę opornie. Tak chyba wyglądają małe dziewczynki, kiedy zabiera się je do dentysty i kiedy obieca się im największe ciastko z kremem na świecie i kucyka pony. Dostyc tego, mistrzu, powiedziała kamienna dama. Trzyma nas pan tu tak długo, żeby nas sobie obejrzeni. Wyminęła mnie i weszła do mieszkania, dziewczynkę ciągnęła za sobą. Meždek zamknął za mną.

Stałem na ulicy. Zdjęcia włożyłem do kieszeni katany, gdzie były już solingeny. Chmura zasłoniła słońce. Było dla mnie jasne, że muszę iść do lokalu Hadraby, straciłem trop, nie wiedziałem, gdzie szukać. Możliwe, że wtedy tylko tak rzuciła nazwę jakiejś ulicy. Nie miałem nastroju na spotkanie z Hadrabą i Jíchą, ale tam muszą coś wiedzieć.

Och, Psico, twój uczeń i twój wódz, pacjent Potok, robol Potok, więzień i handlowiec, stary aktor cię woła, zapomniał swojej kwestii. Gubi się w kulisach, nie pamięta fabuły spektaklu... Psica się nie odezwała, tylko ja wiedziałem dlaczego. Moja Psico, daj mi siłę, przecież byliśmy jak Piękna i Bestia, tylko czasem nie wiedzieliśmy, kto jest kim... zanim to się stało, zanim nam się to stało, nie tylko mnie, nam obojgu, kiedy wzleciałaś w powietrze, bo tak to właśnie było, muszę w to wierzyć... odleciałaś do lepszego świata... niech będzie ci dobrze, gdziekolwiek jesteś.

Chyba czekałem, czy jednak się nie odezwie, ale panowała cisza, ulica pełna była tylko swoich odgłosów, których człowiek z miasta nie zauważa.

Bądź pozdrowiony, powiedziałem Pajęczakowi i skinąłem głową. Niechaj twych wielbłądów będzie tak wiele jak ziarenek piasku na pustyni, niechaj żony twe zawsze będą przy nadziei, a twoi synowie niechaj ujarzmią obce plemiona...

A, ciau, aktorze, to z *Makbeta*? spytał prostaczek. Nalać kielicha?

W żadnym razie. Poluję. Piwo.

Bar świecił pustką. O tej porze było właściwie zamknięte. Panował tam przyjemny półmrok, żeby przypadkowy wędrowiec mógł się skupić. I żeby łatwiej pozwolił się obrabować z forsiaków. Pajęczak rozwiązywał krzyżówkę. Tego nie trawię.

Alebezener, cztery litery.

Nura.

Hę? Skąd to wiesz?

Nie wiem. Intuicja.

Nie, to nie to. Nie wychodzi mi...

Mnie też nie. Czarna tu dzisiaj śpiewa?

Nie. Metal na cztery... na u. To łatwe.
Jutro tu będzie?
Czarna już tu nie śpiewa. Kojec na siedem... kurde...
Co? Co powiedziałaś?
Kojec. Hm, zagroda?
Co?
Nie wiem. No, nie wiem.
Co powiedziałaś o Czarnej?
O niej? Czarna Mary już tu nie fika, już się nie dało. Co jest?
Stałem przed nim.
Słuchaj no, Potok... z tobą zawsze są jakieś hece. No. Napij się piwa. Spoko. Jest jeszcze wcześniej.
Muszę ją znaleźć. Chcę jej adres. Dlaczego już tu nie pracuje?
Wymawiałem słowa starannie, jak automat. Miałem straszną ochotę trzasnąć Pajęczaka.
Nie wiem dlaczego. Nic mi nie zrobił. W dodatku wygląda na silniejszego.
Słuchaj, zapytaj Hadraby. To on ją wypieprzył. Jego rzecz. Ja jestem barmanem, kapujesz? A o co chodzi? Masz z nią jakieś interesiki? Jest ci winna forszę? No to masz pecha, u nas też wisi na sporą sumkę. Pracując tu, oddawała długi.
Nie mam z nią interesów, podoba mi się.
Co? No, ładna to ona jest... jeśli lubi się ten typ. Chcesz to piwo czy nie?
Taa.
Ale jest dziwna.
Taa?
W takim lokalu jak ten ludzie muszą się trzymać razem. Znasz te hordy, co tu przyłażą.
Ona jest za bardzo skupiona na sobie. Udaje szefa, a nie jest szefem.
Ona jest szefem, Pająku.
Nie tutaj. Ona jest najwyższą swoim szefem.
No właśnie, może to o sobie powiedzieć niewielu ludzi.
Niewielu ludzi, he, he, dobre.
Też się czegoś napijesz? Z tych waszych drinków? Czy może nie ma już tych numerów w programie?
Nie, są. Nie napiję się. Piwo.
Hadraba będzie?
Może przyjść w każdej chwili, jak chcesz, to do niego zadzwonię i powiem, że tu jesteś.
Należysz do nas, nie?
Jasne. Co u Jíchy?
Noo, nic. W porządku. Wyciąłem sobie taką jego rymowanekę. Pajęczak nachylił się nad barem i zaczął czytać: Stoję u zdroju, a z pragnienia ginę... he, he, spojrzal na mnie, przy barze to dobre, nie?... zębami szczękam nad ognistą płytą, mam swą ojczyznę, tę obcą krainę, nikt mnie nie wygnał, a jestem banitą... to ładne, powiedział Pajęczak.
Tak, to bardzo piękne słowa. Ojczyzna. Oj, czy zna, czy nie zna. A zdrój, jest taka woda mineralna.
Banita, to znaczy, że wszystko jest z nim do bani, nie? spytał Pajęczak. Chyba czuł, że jako aktor i artysta rozumiem jednak stare słowa lepiej.
Tak, świat go wkurwia. Więc on znowu pisze, stary Jícha?
Chyba tak. Ale jak wiesz, mamy pracę.
Zbrodnia i kara?
Cicho bądź... a właśnie Czarna... ona ciągle, jak gdyby nigdy nic, ale oczy ma wszędzie, uszy ma wszędzie, kuta na cztery nogi... wiedziała.
Coś ty zwariował? Ona taka nie jest. To nie jest żadna... odbiło ci.

Nie, nie, ja nic nie mówię. Spytaj Hadraby. Mnie jest wszystko jedno. To on jest szefem. Zadzwoń do niego.

Bądź tak dobry.

Siedziałem i drobnymi łykami popijałem piwo. Nie smakowało mi. Nic by mi nie smakowało. Pajęczak do krzyżówki nie wrócił. Stał i patrzył. Tak zarabia na życie sporo ludzi.

Słuchaj no, Potok...

Co?

Ten wasz Ukrainiec... pytali tu o niego. O was.

Kto? Tajniaki? Którzy?

Nie, jacyś Ruscy. Dziwnie mówili. Powiedziałem, że nic nie wiem. Jak zawsze.

Kto to mógł być?

Nie wiem. Ćwoki jakieś. Dziwnie ubrani. A wiesz, co mówili? Że podobno szuka go jego mama! Dobrze, co?

Dziwne.

Hm.

Zauważyłem, że mają jakiś nowy papier na ścianie. Przesunąłem się w jego kierunku. Macie tu sinema? Od kiedy to Hadraba zajmuje się kinematografią?

To przyciąga ludzi, powiedział Pajęczak. W kinach już tego nie dają.

Czytałem program: same kultowe kawałki. *Blue Velvet*, *Winnetou*, *Po tamtej stronie*, *Łagodność serca*, *Blade Runner*, *Dziadek Mróz*... wpadnę kiedyś, w nagrodę, obiecałem sobie.

Przyszedł Hadraba. Pajęczak rzucił się do kieliszków, udając, że ciężko pracuje. Tak, tak to wygląda, kiedy dawnych współbojowników, którymi, jak sądzę, w tych swoich pipidówkach byli, rozdzieli biznesowa ścieżka. Hadraba wziął mnie aż na zaplecze, gdzie nikt nas nie mógł usłyszeć.

To co z tym Laotańcem? Gdzie zniknął? pytał gwałtownie.

Tym mnie zaskoczył.

Odezwie się do mnie, jestem pewien. Słuchaj, Hadraba, z nami koniec. Organizacja nie istnieje.

Rudolf coś tam wspominał. Wchodzisz w naszą grę, nie?

Zatrzymali mnie, Nabiałowiec z jeszcze jednym, z tych waszych fotek.

Viška, zaśmiał się Hadraba. Dawny kryminalista. Pedofil. Popędziliśmy im kota. Chodzi o to, żeby znaleźć tego żółtka i dowiedzieć się, czego tu chce. Ubecy ze względu na niego wyłażą na powierzchnię dosyć szybko. Znajdź go. A... Rudolf mówił, że szukasz dziewczyny. Swojej koleżanki. Zavorovej? Zarzuciliśmy sieci i znajdziemy ci ją. Także za granicą.

Mocno wątpię, wyszczerzyłem zęby. Potrzebuję jednej rzeczy, Hadraba.

Hm?

Pająk gadał jakieś bzdury o Czarnej... jak ona się właściwie nazywa?...

No, przecież Czarna. Słuchaj, ja wiem, że to głupie, te podejrzenia, tylko że ona... jest dziwna.

Masz jakieś dowody?

Na to dowodów nie ma. Ale lepiej dziesięć razy zrobić błąd niż raz się pomylić!

Ona? To niemożliwe.

Słuchaj, między nami mówiąc... to była decyzja Jíchy, że ją wypieprzyliśmy. Przesłuchiwał ją, a ona zaśmiała mu się w nos.

To jasne! Idiota! Miał na nią ochotę, ale mu nie dała. Kretyn! Poeta. Dupki z was, przez tajniaków dostajecie rozmiękczenia mózgu. No, to im się udało. Wreszcie cię mają, Hadraba!

To jeszcze nie koniec zabawy. I nie denerwuj się. Ona się nie zgubi.

Mnie się zgubiła. Masz jej adres?

Nie.

Myślałem, że eksploduje mi głowa. Ale położyłem ją tylko na stole. To Hadrabę zaskoczyło.

Ty z nią kręcisz?

Chcę z nią kręcić. Bardzo.

Nie wygłupiaj się, Potok. To wariatka.

Ale jest piękna. Fantastyczna.

Chleje!

Wszyscy chleją.

No, ja cię trochę rozumiem. Mnie też kiedyś wzięło... Hadraba zanurzył palce w brodzie... nie przeszkadzała mi paka, przeszkadzało mi, że nie jestem z nią, to niesamowite, zaśmiał się Hadraba, mnie też tak to wzięło, że się nie wstydziłem, jak teraz ty... to robi z człowieka dziecko... ale jest przyjemne.

Jest straszne, powiedziałem.

Też.

Ale w niej jest coś dziwnego. Ileż razy widziałem, jak jątrzy facetów ot, tak sobie. Najbardziej jej się podobało, kiedy siedziało wokół niej sześć wilczurów, śliniło się i skakało sobie do gardła. Kapujesz, nie ma z tego nawet żadnej zabawy, tylko tak, próbuje.

Jej rzecz.

Tak. I tego, co się rozpędzi.

Dam sobie radę.

Tak mówią wszyscy.

Jest z kimś?

Ciągle z kimś łązi. Ma ich wszystkich gdzieś. Kutas jej się odbija w każdym oku... a przy tym, przecież nic nie ma! Co to za ciało, skóra i kości... ma tylko ten swój głos i cipkę.

Przestań pieprzyć.

Zawsze lubiła przytargać tu jakiegoś młodego chłopaka. Tu go bajerowała, całkiem faceta ogłupiała, zanim do czegośkolwiek doszło, a potem go zostawiała, zupełnie uchlanego. Tak te biedaki na ogół kończyły. I jeszcze dostawały po mordzie od pijaków. Mięso. A ona patrzyła. W dodatku ciągnęła z nich forszę. Nie mogłem już znieść tych jej sztuczek. No a w końcu pobili się o nią marynarze. Rozpaliła ich. Wiesz, jak śpiewa i co przy tym robi. Wiesz, że kiedyś przebrała się za małą dziewczynkę? Wiesz przecież, jak to z nią jest. Ale to było dosyć paskudne. Musieliśmy ich wyrzucić. Jeden został. Chyba stracił jakieś zęby. Był nawalony, więc go nie bolało. Miał rozbitą głowę. A Czarna siedzi. I patrzy. To się jej podobało. A ten gość nieźle w tej bitce oberwał, ale w gruncie rzeczy wygrał, rozumiesz, co mam na myśli. Chodziło mu o nią. Ona ich prowokowała. Widziałem po jej oczach, jaka jest zadowolona. Mruczała jak kot. A facecik podchodzi do niej i mówi: Panienko, nie napiłaby się pani czegoś? A ona: Spierdalaj, ty pedale. Kto cię jebie, że tak śmierdzisz? Tak. Zrobiło się cicho. Ona siedzi tam w czerwonym sweterku, sukienka nad kolana, i patrzy. Wiesz, że czasem nosi tu dziecięce ciuchy? Gość był całkiem zamroczony. Powinien raz dać jej nauczkę. Nic bym mu nie zrobił, Pająk też, wszyscy mają jej już po uszy. Ale marynarz się cofnął. Ona czymś promieniowała. Siadł sobie gdzieś, załatwiła go. Najpierw go pobili, walił swoich kumpli... przez to ścierwo, nędzną dziwkę.

Zamknij się.

Uspokój się. Lubilem ją. Ale zaczęła przeginać pałę. To nie były zwyczajne świństwa, jakie robi każda. Każdy. Ona sprawdzała, jak daleko można się posunąć. I podobało jej się to. Historię z tym gościem widzieli wszyscy. Słuchaj, ludzi zaczęło wkurwiać, że Czarna robi sobie z nich publiczność, każe im oglądać te swoje upodobania. Rzygać się chciało. Zabijaka spłynął. A ona staje przed mikrofonem i mówi: Chce ktoś jakąś piosenkę, galernicy...

miejska hołoto? A może chcielibyście coś innego? Poszła do baru i zaczęła chlać. Piła już tylko Tajny smak. A to nie jest dla każdego. Przecież wiesz. Jakie ma prawo obrażać gości? Dlaczego jest taka zła? Bierze moniaki, to niech stoi w gównie! Tak jej powiedział Pająk. Chlusnęła mu w twarz. Pająk udawał, że niby nic się nie stało. Puścił jakiś bigbit. Zabawa znowu się rozkręciła. Ale marynarz nie wytrzymał. Chlapnął nieźle, dodał sobie kurażu i idzie do niej. Chciał pokazać, jaki jest twardy. Podszedł i chwycił ją za tyłek. Zatrzymałbym go... tego Czarna nie znosi, no, nie dziwię się... tutaj przychodzą różne typki... ale ona początkowo nic, powoli się odwróciła i mówi: A, to ty, robaczku... człowieku, ona go pocałowała, musiała mu wsunąć język do gęby, stali tam... no, jest zaprawiona, odetchnąłem z ulgą... tylko że nagle się cofnęła i tak wyrznęła go kolanem, że zgiął się wpół, tylko stęknął... złapała flachę i trzask go włeb... upadł, ona na niego skoczyła... tego już było za dużo... Pająk ją chwycił, we trzech nie mogliśmy jej utrzymać... ścierwo.

Trzej goście z Północy, no, to na taką chudą dziewczynę jest naprawdę coś!

Głupi jesteś. Rozwaliła mu czachę. Dobrze mu tak, wstręciuchowi, mówi, jak się dowiedziała. Teraz pewnie się ukrywa. Nie wie chyba, że wyszedł z tego, krowa cholerna. Jej najbardziej się podobało, jak się o nią bili. Słyszałem różne rzeczy o tych jej wyczynach! Ostatnio tak było bez przerwy. Cieszę się, że już jej tu nie ma.

Przecież przyciągała wam ludzi. Tymi śmiertelnymi songami.

Taa, to fakt. Na początku to bardzo pomogło. Nie mówię, że nie. Ale w ostatnim okresie... lepsza jest gitara i jakieś nastrojowe śpiewki. O czym ona ostatnio śpiewała... ciągle o ludzkim mięsie... kwiaty ze skóry... nie wiem, kto jej to pisał, chyba jakiś zboczeniec... a może sama sobie pisała te słowa... Jicha się wściekał... głos ma dobry, owszem. Ale lepiej dam filmy. Niech ludzie oglądają i siedzą cicho. Niech będzie spokój. Ona po prostu prowokuje niedobre rzeczy. To jedno ją bawi.

Słuchaj no: jak jej nie znajdę, pierwsze, co zrobię, to pójde do Laotańca i wszystko mu powiem. A drugie, co zrobię, to połączę się z Romulem i powiem mu wszystko o was. Jesteście terrorystami. Jestem z wami tak długo, jak mnie szantażujecie. A Jicha to kretyn.

No jasne, Potok. Spodziewałem się czegoś takiego. Myślę, że nie jesteś normalny. Bołkońskiego 7. To adres. Nic więcej nie wiem. Potrzebujemy cię, bo znasz tego żółtka. Poza tym nic do ciebie nie mamy. Ale przecieki... tego bym ci nie radził. Tkwimy w tym już nie tylko my, także tacy, co cię nie znają.

Hadraba, brachu, ja cię też znam. Dzięki za adres. Do ciebie też nic nie mam. Cieszę się, że wykończyłeś Marsjanina i w ogóle. Ale mam swoje sprawy. Spadam. Idę do niej. Gdyby się pojawiła, powiedz jej o mnie.

Taa, taa.

To Praga ile?

Trzyście.

Dzięki, cześć.

Cześć.

Była to typowa szcurza kamienica. Dużo ich jest na mapie mojej głowy. Galeryjki nad podwórzem. Tu nie pozwolą wam zaraz po robocie zanurzyć się w samotności. Na galeryjkach pulsuje kolejne życie przed powrotem do domu. Tam człowiek staje się tematem plotek. Tam zaglądają wam wokna. Wszyscy inni lokatorzy. Dobry Boże, tak to tutaj wyglądało. Na drzwiach była tabliczka: Czarny. Zobaczą jej ojca, to niesamowite. Platynowe jaja. Wspaniały mąż, od którego bije blask. Zabijać go powoli za wszystkie jej cierpienia. A na dole piwnice. Tam dziecko idzie prosto z galeryjki, targa kubeł na węgiel i czasem chciałoby umrzeć, ale jeszcze nie wie, co to za pragnienie. Otworzyła kobieta. Wysoka, chuda. We włosach lokówki, na pachach mydliny. W ustach papieros, gęba zmęczona wiecznym bieganiem i „nie zdążę”. Zniszczona ciągłymi zakupami, daremnymi modlitwami, diabli wiedzą czym. Stara siwa wilczyca. To mogła być ona. Na sobie miała ubranie, jakie w

tym czasie nosiło się w takich miejscach. Z kuchni do stołowego i z powrotem. Wszystkie mają takie same. Albo waciaki. Kiedy byłem całkiem mały, wyobrażałem sobie w czymś takim także ciocię Południcę. Dzień dobry, mówię. Przychodzę oddać pani córce honorarium. Jestem z Barrandova. Przypuszczam, że taka wiadomość zainteresowałaby każdą matkę. Ani przez sekundę nie myślałem, że Czarna mogłaby tu jeszcze mieszkać. Ukrywać się tu też nie mogła, nie było gdzie. Chodź pan dalej, panie młody, zagrział jakiś głos. Facet miał na sobie podkoszulek, na stole leżała gazeta i stało piwo. To co... ile tego jest... Mařena była podobno w telewizji z Kornem, wołał z pokoju. Tylko go z daleka obrzuciłem spojrzeniem, wołałem zostać z damą w przedpokoju. Mieli tam wyszyte: „Daj Boże szczęście temu domowi”. Raczej im go nie dał. Gdzie jest moja dziewczynka? spytała. Miała otwarte usta, nie zamknęła ich, nawet mówiąc to krótkie zdanie. Nie strzeli pan sobie kielicha... panie producencie... ja panu to podpiszę, wrzasnął facet. Ty nie jesteś jej ojcem, krzyknęła kobieta. Ajajaj, znowu trafiłem na jakąś tragedię, wprost w oko cyklonu, przyszło mi do głowy. Ile tego jest? spytał facet. Proszę do kuchni, powiedziała i chwyciła mnie za ramię, on nie ma tu nic do powiedzenia. To jest do rąk własnych, ale porozumiemy się, szepnąłem tej pani, zanim wtoczył się facet... i zobaczył mnie... pan niby jest z Barrandova? wrzasnął. Na pewno! Spieprzaj stąd, młody. Wyszedłem. To, co się ma stać, już się dzieje. Czekałem w bramie. Potem przeniosłem się do mleczarni obok. Stałem w kolejce, żeby nie rzucić się w oczy. Była długa.

W końcu przyszła. Stała przed domem i rozglądała się. Na głowie miała chustkę, wyglądała na starszą, niż była. Pan wie, gdzie ona jest? spytała. Gdzie? Nie, proszę pani, ja jej szukam, ale jestem jej przyjacielem. Więc nie ma pan dla niej pieniędzy? Ależ tak, dam je pani. Ale gdzie mogę ją znaleźć? Pan jest z policji? Nie, przysięgam, że nie. Wierzę panu. Martička... wydaje mi się, że ta kobieta lubiła swoją córkę... kiedyś była z kolegami w takim jednym mieszkaniu... prosiłam ją, żeby wróciła... ale była uparta. Wtedy pracowała na Františku, miała ciągle nocny dyżur...

Ona jest... lekarką?

Nie, tylko pomocą pielęgniarską, chciała się uczyć, ale...

Gdzie jest to mieszkanie, w którym była?

Różana 3. Na Południowym Mieście. Kim pan jest?

Do kogo to mieszkanie należy?

Nie wiem. Dzisiaj przecież...

Jest na drzwiach jakieś nazwisko?

Pan Hozner. Z telewizji. Czasem przywoził Martičkę do domu...

Ma jakieś koleżanki?

Martička? Nie. Raczej nie. Nie wiem. Kim pan jest?

Dałem jej jakąś forszę. Staralem się pić spojrzeniem twarz tej kobiety, bo jeśli to jest matka mojej siostry... ale nie, nie dało się.

Więc tak. Czyżby Czarna była kiedyś małą pomocą pielęgniarską? Czyżby nie zdołała zostać nawet... siostrą, no tak. Przyspieszyłem kroku.

W jednej ze szkatulek wsiadłem do windy i pojechałem na górę, sam. Wszystko takie samo, anonimowe. Nikt tu nikogo nie zna. Żadnych pytań. Dostyc mi się to podobało. Jak już, to już, mówię sobie czasami. Panie Hozner, idzie do pana sprawiedliwość, koniec z wożeniem Martički... Dzwoniłem i dzwoniłem, ale nic to nie dało. Mimo że przedtem słyszałem kroki i kaszel. Poczekałem pół godziny i spróbowałem innego „Sezamie, otwórz się”. Dobrze jest szybko i nagląco zadzwonić trzy razy po sobie. Po przerwie znowu. Nie ma nikogo, kto by tego prostego sygnału nie wypróbował chociaż raz. Na przykład w dzieciństwie. Pukajcie do drzwi, a będzie wam otworzone. Musicie tylko wiedzieć jak.

Ten typ był strasznie chudy. Oczy mu pływały, nie wiem, czy mnie widział. Włosy po pas. Był w podkoszulku, pokłute ręce mu się trzęsły, były jak rośliny, miał to gdzieś. Poszedł z

powrotem w głąb mieszkania, w ogóle mnie nie zauważał. Poszedłem za nim, ostrożniej niż on, żeby igły nie porysowały mojej sztywnej skóry. W kuchni siedzieli kolejni dwaj. Na krzesłach przy stole. Poza tym prawie nic już tam nie było. Tylko smród. To Morti? Przyszedł Morti? Nie, tak się nie nazywam, powiedziałem. A czego tu chcesz? spytał jeden z ćpunów. Powiedziałem im, czego chcę. Na stole kuchennym leżały plastikowe paczuszki z jakąś drobną sieczką. Mnóstwo pastylek, fiołki z lekarstwami. Na kuchence alchemiczne naczynie, jak z katalogu starego mistrza Kelly'ego. Ten, co mi otworzył, nadawał się na szmelc. Zwinął się gdzieś w kłębek. Dwaj pozostali promienieli. Byli w nastroju do żartów.

Tej twojej wahine nie znamy. Nie ma jej tu, nie widzisz? Patrz no, on nas nie widzi, to znaczy, że nas tu nie ma! Chce wleźć pod stół, powiedział jeden. Chce dać sobie w żyłę, powiedział drugi. Wydało mu się to tak zabawne, że zaczął się turlać po ziemi. Czarna, nie wygłupiaj się, my mamy tyle kolorów... jakaś gąska... ma na myśli Brigitte Bardot, ma na myśli Marlenę Dietrich, nie, Diamandę, głupku!

Nie zamknąłem drzwi, ostrzegłem ich, że za mną mogą przyjść inni. Co? Ten w zrobionej na drutach czapce wstał. Słuchajcie no, chłopaki, powiedziałem dobrodusznie... my szukamy tylko jej, tej z blizną, was czniamy... ale... zależy to tylko od was... koledzy mogą zjawić się w każdej chwili, a kiedy zajmą się wami na komisariacie... Kłamiesz, ćpunie, powiedział ten w czapce... starałem się przewidzieć jego ruch, ale nie udało mi się to, walnął mnie mocno... tylko że ten drugi na niego skoczył... Francek, spoko, uspokajał go, bądź rozsądny... Słusznie! powiedziałem mocnym głosem jak jakiś kolumbijski sędzia. Możecie tu sobie dogadzać albo nie, to wasza rzecz... Francek, on ma na myśli Evkę Błękitne Oczko, tą z blizną...

Tak! zawołałem. Niema niebieskich oczu... trzeci naćpany wstał: Mnie to nie interesuje. Nie interesuje. Nie! Który to Hozner? spytałem. Żaden, powiedział Czapka. A gdzie jest? Tu go nie ma. Już nie, he, he, powiedział Czapka. Skłonność do żartów mu wracała.

Słuchaj, zwrócił się do mnie ten rozsądny, my nie mamy z nią nic wspólnego, ona jest już gdzie indziej... Gdzie jest? Przychodziła do starego Dernet... na dole, na pierwszym piętrze, w tym domu. Jeśli pieprzysz, to niedługo tu wrócę, obiecałem mu. Mówiłem poważnie. Powiedziałem to tak, żeby nie miał co do tego wątpliwości. Powiedziałem to z pasją.

Znowu jechałem szybem w skrzyni podwieszanej do liny. Już niespecjalnie mnie to bawiło. Tak bardzo wszedłem w rolę funkcjonariusza wydziału antynarkotykowego, że nie zdjąłem palca z dzwonka, dopóki mi nie otwarto.

Pierwszym, co mnie uderzyło, był guz na jego głowie. Drugim stłumiony głos. Powiedział: Wejdz, synu marnotrawny. Kto z braci cię posyła? Siostra.

Masz na myśli siostrę Asmorgas?

To moja siostra, powiedziałem.

Wszyscy jesteście braćmi i siostrami.

Twoim bracholem nie jestem, pasożycie, pomyślałem. Tak, powiedziałem.

Ile posłała na biednych? Ile zebrała?

Przedpokój tego mieszkania nie wyglądał osiedlowo. Przede wszystkim dlatego, że panowała tu niemal ciemność... Na ścianach dywany. Gobeliny? Jaka jest właściwie różnica? Po jednej z tych rzeczy nigdy się nie chodzi. Dernet mógł być w wieku tego fotografa. Ale cały ubrany był na czarno. Prawie tak jak ja.

Ty też szukasz pociechy, młody człowieku... posuwasz się po omacku i błądzisz...

Owszem, przyznałem.

Zatrzymaj swoje kroki!

Panie Dernet, ja szukam Czarnej, nazywają ją Evka. Proszę mi powiedzieć, gdzie jest.

Grzeszniku, szczeniaku, staruch, uklęknij!

Ja klękam tylko w kościołach, powiedziałem, może niepotrzebnie grubiańsko, a one są zamknięte. Klepnąłem Matkę Boską na swojej piersi. Dernet na mnie patrzył.

I to jest słuszne, albowiem Pius, ten Pijus, ten Picuś, ta hydra, prowadzi rzesze w ogień piekielny! Klękaj, psie.

Panie Dernet, bardzo proszę, szukam swojej siostry, swojej przyjaciółki, to proste!

Siostra Asmorgas nie żyje, chłopcze... a ty możesz się tylko modlić... dlatego cię posłała... wszyscy jesteśmy jej mordercami... staliśmy w pokoju, miał tam jakieś posążki, okno było tu zamknięte.

Trochę się pocilem. Przepraszam, panie Dernet, pan mi nie pomoże. Klęknij, krzykną i otworzył szafę czy może komodę... Asmorgas szuka młodych mężczyzn, takich jak ty, pij jej światło, a osiągniesz pokój... z szafy wyjechał ołtarz, było to jakieś urządzenie mechaniczne, pomieszczenie zapłonęło sztucznym światłem, Dernet klęczał na podłodze... ta rzeźba, była to normalna Maria, przenośny ołtarzyk za kilka tysiączków... miałem kumpla, który pracował w zakładach Tatra, znałem ten towar... poklepałem Marię po czole, lekko ją pstryknąłem, to robią dla Ameryki Łatiny... cała rzecz pojechała z powrotem, przestała się świecić... Dernet akurat się podniósł, wytrzeszczył oczy... Znasz więc znak? I upadnę, i kłaniać ci się będę. Rzeknij, a będę ci służyć.

Jezu Chryste, jak najszybciej stąd zniknąć, pomyślałem. Obląkaniec chwycił mnie za nogawki, klęczał.

Powiedz mi, Dernet, spróbowałem, gdzie znajdę dziewczynę z małą blizną na brodzie, dziewczynę, która szukała twojej obecności?

Idź prosto ulicą, a znajdziesz ją, krzyknął. To mi nie wystarczyło. Ciągle na mnie napierał.

Ludzie są chorzy i nieszczęśliwi, powiedział Dernet... może ją znajdziesz, ale w strasznym grzechu.

Już mnie to wszystko wkurwiało, odsunąłem go, ale bardzo delikatnie... gobeliny w przedpokoju pełne były ukrzyżowanych, ale nie był to Chrystus, były to kobiety. Ciała. Zrobiło mi się niedobrze.

Windą pojechałem przez pomyłkę w górę, ale w tej stosunkowo czystej skrzyni przynajmniej się uspokoiłem, przecież muszą być jacyś normalni ludzie, przecież Czarna nie jest... zboczona.

Przyszło mi też do głowy, że gonię za fantomem, ale taki głupi przecież bym nie był.

Plątałem się tu i tam i sprawdzałem poszczególne bloki. Wiedziałem, że długo tak nie wytrzymam, ale nie chciałem się zaraz poddawać. Będę chyba musiał wrócić na Bołkońskiego. Z uzupełnieniem honorarium.

Pętałem się po Kwietnikowym Mieście jak Nieznajka, obciach. Straciłem trop. Tego nie lubię. Pozostaje Rudolf. Będę musiał zwrócić się do niego. Czegoś ode mnie chcą, więc pohandlujemy. Ale niezbyt mi się podobało, że będą wiedzieć... na czym... na kim mi zależy. To niedobrze. Nic nikomu do tego. Kto wie coś takiego, ma cię w garści.

A potem, no, jasne, jakieś żarcie w barze, na stojaka, a jeszcze potem tramwaj i wszystko i wszyscy dokoła jak zawsze.

Leżałem w starym mieszkaniu byłej paczki i starałem się nie myśleć... o niktości... mieszkanie było ich pełne, kumpli... gdzie też teraz może kręcić się Kocur, z kim ustala plany...

Bohler ze swoją ślicznotką już wprowadzają się do mieszkania... Rekin, czy rzeczywiście dał się zwerbować, mówią, że już tam w wojsku był... tam podobno każdy, i David, Biedak.

Wstałem i wziąłem szmatę. Ten krwawy odcisk jego kciuka na wyłączniku na dole jeszcze był.

Kiedy wróciłem, coś się w mieszkaniu zmieniło. Stałem przy drzwiach... i węszyłem. Coś było inaczej. Nasłuchiwałem. Ktoś był w łazience. Tylko że właśnie tam była moja katana z nożem. I fotki... Pociągnąłem za drzwi i uskokczyłem. Ale to był namydlony Wasyl... jęknął z przerażenia. Rechotałem, czekając, aż dotrze do niego, co się dzieje... ale on jęczał ciągle i macał rękoma wokół siebie... oślepiony mydłem... złapał coś, moją kataną.

Ty głupolu! powiedziałem i wyrwałem mu ją, przecież ją zamoczysz. Rzuciłem mu ręcznik i z kolei sam skamieniałem.

Najpierw myślałem, że to jakieś ozdoby, ale z piersi Wasyla wyrastały paznokcie... wyglądało to jak pancerz... jakby jakieś istoty wysuwały z niego palce, jak kawałki miki czy czegoś podobnego. Miał te paznokcie w skórze.

Przepraszam, Wasyl, wyjąkałem, będę obok... zamknąłem drzwi i poszedłem się położyć. To się nigdy nie skończy. Nigdy się to dla mnie nie skończy, mówiłem w poduszkę.

Sądzę, że gdybym tam nie leżał, Wasyl by zniknął. Odszedł by gdzieś z domu. Pewnie na dworzec. Tak bardzo się wstydził. Spróbował szybko przejść koło mnie, cały czerwony.

Nie wygłupiaj się, cholera, powiedziałem mu. To twoja rzecz, nic nikomu do tego, że masz jakieś geny czy co. Inni ludzie nie mają nóg, uszu i co z tego?

Ja mutant.

Gównu prawda! Je też!

Ty nie znajesz niczewo.

Masz rację, pomyślałem. Wiem.

Eto z Czernobyła.

No jasne, znowu będzie pieprzył te potworne kawałki. Czasem opowiadał. O tym, jak to trzasnęło. Poszli obejrzeć piękną nocną zorzę. O tym, jak im mordercy wciskali kit, że niby nic się nie dzieje. O wszystkich tych ewakuowanych wsiach, do których wkradali się różni bandyci i biedacy i mieszkali tam. I mutowali. I umierali.

Geszefciarzom spodobały się strzechy na dachach dawnych czeskich wiosek i wesoło je sprzedawali. Nie tylko te strzechy. Zona była wielkim biznesem. Napromieniowanie, nikt nie wiedział, co to takiego. Nie zabije cię to teraz. No to o co cały ten hałas, Wania. Nie widać tego. A więc tego nie ma. Widać było inne rzeczy. Później.

Wasyl opowiadał o dzieciach, dla których ciele o dwu głowach było normalne. Dziwiły się, dlaczego tatusiowie to cudo na miejscu zakopywali. Trzynogie kurczątko. Te dzieci Czernobyła dziwiłyby się bardzo w zoo. I chyba ogród zoologiczny wydałby im się nudny.

Wasyl był harcownikiem potworności, znawcą zwiedzania panoptikum. Opowiadał nam, że kiedy z tej okolicy uciekł, ludzie w pociągu przesiadali się jak najdalej od niego, usłyszawszy, skąd jest. Kiedyś powiesił na wieszaku w jakiejś knajpie swój płaszcz, wrzucili mu go do ognia, bo dotknął innych płaszczy.

Ludzie, którzy ewakuowali się z Zony, a ewakuowały się całe wsie, byli wszędzie jak przekłęci. O Piołunie nie wolno było pisać i ludzie myśleli, że napromieniowanie jest zaraźliwe, jak grypa. Niektórzy z ewakuowanych nie wytrzymali tego i wracali. Przechodzili przez wojskowe zapory i wracali w swoje okolice. Szli bez pozwolenia. Na stalkera. Wasyl wiedział, że mogliby go zobaczyć ze śmigłowca. Wydrążył sobie w piwnicy jamę i tam przezimował. W lecie nie wierzył własnym oczom. Trawa nie była już zielona. Drzewa nie były drzewami. Nie widział nic żywego. Potem zobaczył gołębia. Nie mógł go jednak zjeść, ptak nie miał normalnych oczu. Miał coś zamiast nich. Wasyl myślał, że nadszedł koniec świata. Że Bóg oszalał, a on, Wasyl, jest ostatnim żywym człowiekiem. Podobno ani razu nie przyszło mu do głowy, że może oszalał on sam. To mnie zainteresowało. Musiał mi to opowiadać kilka razy. Podszedł do zapór, ale kiedy żołnierze go zobaczyli, przegnali go z powrotem. Że niby nie ma przepustki. Przeszedł w innym miejscu. Ale nie mógł wytrzymać wśród ludzi. Nikt mu nie wierzył, kiedy opowiadał, co się dzieje w Zonie. Według radia nie działo się nic szczególnego.

Wrócił. Wróciło ich więcej. Potem znalazł jakąś dziewczynę, też była sama. Krewni jej umarli. Nigdzie indziej się nie zaczęła, wróciła. Jedli te zwierzęta. Kiedy było z tym naprawdę źle, żywili się jajkami. Mówił: Nie wiesz, co w takim jajku jest. Z ludźmi z drugiej strony zapór wymieniali narzędzia rolnicze na jedzenie. Chowali się przed żołnierzami. O tym okresie Wasyl opowiadał chętnie... wyglądało na to, że był wtedy szczęśliwy.

Nie było żadnych przewodniczących, zebrań, pomniki przywódców bezsensownie sterczały na pustych wiejskich placach, nago... nikomu nie musiał się kłaniać, nie był już psem... był z tą swoją.

Tylko że potem zaczęły mu rosnać te paznokcie. Jeśli z nią też coś się działo, to mi o tym nie wspomniał. A raz Wasyl opowiedział, co im się urodziło. Dziewczyna zwariowała. Kiedy ją pochował, uciekł. Wśród ludzi czuł się jak monstrum. I nie wiedział, co będzie z nim później. Z jego ciałem. Sądził, że wkrótce umrze. Dlatego był taki wstydlivy i wolał spać w piwnicy. Wydawał się sobie naznaczony.

Wasyl, ale naprawdę, mnie to nie rusza. Jeśli rośnie ci trąba, twoja rzecz, kurde. Każdy jest inny. Co z tego.

Da?

Ty Czechu czarnobyłski...

U mienia nie ma legitymacji.

Chcesz jakichś papierów? Po co ci to?

Legalizowatsa.

To by się dało załatwić! Mam jeszcze znajomości! Problem w tym... Masz w ogóle jakąś bumażkę?

Przyniósł jakieś strzępki. Przyjrzelismy się im trochę. Taa, wydane w mieście, które nie istnieje, w kraju, który nazywa się inaczej, w państwie, które się rozpadło... podpisany przez ludzi, którzy umarli... na zdjęciu był ktoś inny... klasyka.

Jakoś uda się to załatwić, nie bój się.

Ale nie udało się. Wasyla dorwali Ludzie Wiary, słudzy Wielkiej Matki. Czy kto to tam był.

O nich nam Wasyl również opowiadał. Nigdy nie dokończył opowiadania. Byłem potem z nim. Ale końca też nie widziałem. Na szczęście.

Ludzie Wiary byli jedynymi, którzy zaopiekowali się nim podczas jego bezprizornej podróży po Związku. W innym wypadku pewnie skończyłby gdzieś w lochu. Na dwa lata swojego życia, które spędził w Zonie, nie miał żadnych papierów. Wymyślił jakąś historię: że pracował przy odwiertach ropy czy coś w tym rodzaju. Ale bał się. Wtedy już wiedział, że jest niebezpieczny, że wie o Zonie zbyt wiele.

Dostał się do dziennikarzy... z upragnionych krajów. Spotkali się w jakimś mieszkaniu. Tam po raz pierwszy i ostatni pozwolił komuś spojrzeć na paznokcie. Pozwolił się sfilmować i opowiedział całą swoją historię. Podał jednak inne nazwisko, nie chciał ryzykować. Tydzień później story, odpowiednio upstrzona wyzwiskami nieszczęsnego banity pod adresem radzieckiego rządu, wyszła w jednym z czołowych tygodników upragnionego świata. Mężczyzna z paznokciami był na zdjęciu na pierwszej stronie. Było tam oczywiście także jego nazwisko. Story przedrukowały również inne ważne tuby informacyjne. Musiał szybko zniknąć. Uciec. Aniuszce. Tak podobno jego nowi koledzy z ferajny nazywali śmierć. To też mnie zainteresowało. Aniuszka, naprawdę? Tak tkliwie? Da. Nad tym, co robił ze swoimi nowymi kolegami, Wasyl się nie rozwodził. Ale Ludzi Wiary spotkał także w Moskwie.

Oni ciebia... mienia...? Mienia się?

Pieriemiena.

Zmieniają?

Tak.

W tym czasie można już było to i owo mówić głośno. Wielka Matka, która od swoich wiernych dostawała pieniądze, mówiła to do mikrofonów radia. Miała regularne audycje. Z tego, co zrozumiałem z opowieści Wasyla, obiecywała ludziom, że ich zmieni... stara śpiewka... dajcie mi wszystko, co macie, a ja was dotknę, wyrwę z korzeniami i zmienię... Myślę, że Wasyl... czegoś takiego nie powiedział... ale myślę, że chciał się pozbyć tych

paznokci, przycinał je, to jasne, chciał się chyba pozbyć tego, czego doświadczył... i takich ludzi Wielka Matka znalazła sporo.

Skolko, Wasyl?

Miliony. Na Ukrainie. Mnoga w Bułgarii. Bałt!

Kiedy zauważył, że mnie ta opowieść interesuje, przyniósł obrazek. Właściwie zdjęcie. Była to Wielka Matka.

Eta ikun.

Ikona?

Nie, eto nowoje. Tak: ikun.

Po drugiej stronie był dziwny rysunek, obraz. Kolorowy. Twarz, kobieca, w jednym oku krzyż, w drugim gwiazda. Te oczy człowieka obserwowały, gdziekolwiek się zwrócił, tak jak niektóre fotografie umarłych na pomnikach. Ta sama technika. Gorsze było, że ta twarz miała w czole... gwóźdź. Albo śrubę. Mnie się to nie podobało.

Za twarzą był wagon. Po prostu wagon. Ale twarz Wielkiej Matki była miłosierna. Mogła mieć jakieś czterdzieści lat. Miałem wrażenie, że jest śniada. Chyba tak jak Hinduska. Skąd jest... ta pani?

Radilas' w Czernobyle.

Dokładnie tam, naprawdę?

Nie znaju. Nikt nie znajet. Ana... zmienia?... Zmienia ludzi w swoich riebionok... ana ich zaszcziszczajet.

Chroni?

Da. Chrani.

Kiedy Wasyl mógł przedstawić Wielkiej Matce swoją prośbę... powiedziała mu „nie”. Powiedziała mu, że jest na dobrej drodze... z paznokciami czy bez paznokci, i że przy niej musi już zostać. Że właśnie on, bardziej niż ktokolwiek inny, jest jej dzieckiem. A potem mi Wasyl powiedział, a była to rzecz, której innym nie mówił... nie wiem, może jeszcze Bohlerowi... że właśnie jego z kilkoma innymi Wielka Matka posłała do Pragi, tak jak innych posyłała do Sofii, do Bukaresztu, Bratysławy... pracowali dla niej w Polsce, we wszelkich możliwych miejscach... mieli zapowiadać jej przyście i zdobywać zwolenników, którzy chcą się zmienić... i dać jej wszystkie swoje pieniądze i ziemię, ponieważ zbliża się ostateczna wielka przemiana i tylko ci, którzy w odpowiednim czasie się zmienią, przeżyją...

Chyba lekko ziewnałem.

Wasyla to, zdaje się, dotknęło... powiedział, że rebionkami tej proroczki nie są tylko jacyś dumnie albo biezprizornyje jak on, ale i uczeni. Atomowyje.

No, tak, tak, powiedziałem.

Patok! zawołał Wasyl. Tego nie zdołałem go oduczyc. A kiedy rozmowa schodziła na Wielką Matkę, bywał patetyczny.

Eto sieriozno. Ana toże rabotała w etoj industirii. Ona... opowiadał, że ona jest podobno jednym z tych inżynierów, którzy przeżyli Czarnobyl, i że była tam przez cały czas. Że wie, jakie substancje brać, żeby promieniowanie człowiekowi nie zaszkodziło. Ale że człowiek musi się zmienić. Mówi rzekomo wszystkimi językami i jest dla całego świata.

Wszystkimi językami? Oczeń intieriesno, Wasyl. A dlaczego od niej uciekłeś?

Patrzył na mnie.

Aha, powiedziałem sobie. I niby przypadkiem i w niewymuszony sposób... zsunąłem się z łóżka. Przecież może on wcale nie uciekł. Bo co mi tu wmawia. Może cały czas pracuje dla tej sekty. Paznokciowiec. Przecież to, co się tu dzieje cały czas... Wasyl!

Ty chcesz s niej goworit'? Ana w Prapie. Ana... chce cię uwidiet.

Dlaczego? Dlaczego mnie?

I Wasyl opowiadał... twierdził, że im naprawdę uciekł, że chciał ten nowy świat, Zachód, przebadać, jak mówił, sam, ale że go znaleźli... przez jego ślinę, którą przyklejał etykiety Eliksiru Cudownego Doktora Hradila.

Mówił, że znowu jest z Ludźmi Wiary w kontakcie i że Wielka Matka go chce. A on... myśli, że nie ma wyboru. Wielka Matka chce mnie ze względu na Eliksir. Poglądziłem Madonnę. Wasyl patrzył. Uśmiechnął się. Coś wiedział.

Eliksiru już nie ma!

Wasyl wzruszył ramionami.

Ana znajet, szto Eliksir... superadidas.

Zobaczmy, Wasyl, dobra. Ale dzisiaj wieczorem mam spotkanie. Rabota. Więc z tą panią... z przyjemnością zobaczę się potem, panimajesz? Zawtra!

Wasyl znowu miło się uśmiechnął i kiwnął głową. Włożyłem buty i poszedłem po katanę. Swoją sejf, już dosyć spłaszczoną poszewkę, opróżniłem. Wasyl patrzył. I nie czerwienił się ani nie spuszczał oczu. Rozejrzałem się po mieszkaniu, rozglądałem się stosunkowo długo... przyjacielsko poklepałem Wasyla po ramieniu, to na razie.

Da. Zobaczymy się.

Schodziłem po schodach wolniej, niż mam w zwyczaju, bo wiedziałem, że robię to po raz ostatni. Spływam na Gazowniczą. Kilka razy radośnie podskoczyłem, rozstrzygnąłem, gdzie teraz będę. Zanim znajdę swoją miłość... Wielka Matka, no tak. Pocałujcie mnie w dupę, fanatycy.

W Galaktycznym było prawie pusto. Ostrożnie popijałem szczególną miejscową herbatę... zauważyłem, że odkąd szukam siostry, unikam Ognistej, chcę być przygotowany.

W Galaktycznym nie było żadnej estrady. Mieli tam inne rzeczy. Ale mnie nie interesowały. Galaktyczny nie był w piątym okręgu jak Czarna, nie aż tak bardzo na uboczu. Doceniałem widok na ulicę, czasem zabawny.

Na tej ulicy niekiedy odbywały się demonstracje. Dziś także, ale szczególnie ostro nie było. Zacząłem się niemal cieszyć na spotkanie z Rudolfem. Dotknąłem małej blizny na lewym ramieniu.

Zastanawiałem się nad swoimi porannymi wizytami. Kartkowałem w głowie. To musiały być fałszywe tropy. Ale jeśli Czarna myśli, że tego marynarza, który jej się naprzykrzał... szkoda, że mnie tam nie było!... mocno przymarniła, to mogła wyjechać z kraju... Co by zrobiła... tam gdzieś... z piosenkami.

Koło tej apteki... nie wyglądała wtedy szczególnie zdrowo. Apteka. Zielony neon. Idiota ze mnie! Tam muszę zacząć. Przecież gdzieś tam musi mieszkać. Przecież w nocy nie poszła po lekarstwa na drugi koniec świata. Jeśli nie znajdę jej koło apteki, wrócę do tego pierwszego domu. Mariaková... ta Rusinka musiała się pomylić. Dziewcząt z bliznami jest jak...

Chciałem zerwać się i iść, ale poskromiłem swoje rozedrgane mięśnie, nerwy, wydałem rozkaz sercu. Najpierw wyjaśnię sprawę z Rudolfem. W końcu... będę potrzebować jakiejś pracy. Przyglądałem się w mieście cenom, ulice były do mnie nastawione przyjaźnie, nie ma co mówić, ale ceny poszły w górę. Jakiś czas wytrzymam.

Trochę przyspieszyłem picie herbat. Nie przyszło mi do głowy nic mądrego ani wymagającego natychmiastowego działania... nie chciało mi się nawet wymyślać żadnych kawałów. Nic poważnego też zresztą nie. Moje ubranie nie wydawało mi się już tak czyste jak rano. Ale cieszyłem się na powrót na Gazowniczą. W ogóle na swoje nowe życie. Po pewnym czasie zjawiał się Rudolf. Usiadł i bez przygotowania wyrzucił z siebie:

No więc ta dziewczyna nazywa się Eva Slámová, urodziła się w Ponořanach. Jej ojciec siedział. Poważne przestępstwo. Teraz chyba pracuje dla nich. Powinieneś pogadać z Vohřeckim.

Która dziewczyna? On myśli o Psicy, bałwan, nic nie wie... czy może mówi o Czarnej...

Z kim niby mam porozmawiać? Nie mam ochoty z nikim mówić.

Z Vohřeckim, Nabałowcem. To ubek, ale teraz pracuje też dla nas, wyjaśnił mi Rudolf.

To znaczy, że dla kogo pracuje? wypaliłem błyskawicznie.

Nie łam sobie niepotrzebnie głowy, powiedział Rudolf. Słuchaj, Jícha nie żyje.

Co?

Znaleźli go w budynku na alei Wschodniej. Czekałem na niego w jego domu, a kiedy przekazano mi tą wiadomość, przekopałem jego biurko. Znalazłem kartkę z twoim nazwiskiem na górze. Chcesz wiedzieć, co na niej było?

Chcę wiedzieć, kto go zabił. I nic na to nie poradzę, ale trzęsą mi się nogi, a gdyby tak strzelić kielicha? Może ktoś chciał go okraść?

Nie, Rudolf pokręcił głową. Ktoś nas sypnął. Mieli wśród nas swojego człowieka. Wiesz kogo, Potok, Sámová. Pochylił się nad stolikiem i patrzył w papiery. Albo Slámová, to jest trochę rozmazane.

Nie wiem, którą kobietę masz teraz na myśli, i jest mi to obojętne. To Dostojewski. Ta wasza agencja, wy amatorzy, zabili go tajniacy, to jasne!

Wcale nie, powiedział Rudolf, chyba nie. Spotkaj się z Vohřeckim. Chce z tobą porozmawiać.

Dlaczego mam się spotykać z tajniakiem? Czego ty ode mnie chcesz? W co wyście wdepnęli?

O agencji Dostojewski wie bardzo niewielu ludzi. Ty jesteś jednym z nich.

No, przepraszam, chyba mnie nie podejrzewasz, że mam coś wspólnego ze śmiercią Jíchy.

Nie, akurat wtedy żegnałeś się z koleżkami w waszych domach.

Założyliście tam podsłuch?

Nikt go nigdy nie zdejmował.

Spróbowałem nie patrzeć na niego. Dał mi spokój. Wiedział, że trzeba mi czasu. Siedziałem ze spuszczoną głową... topiłem łyżeczkę w zielonej herbacie... świat, cała jego mapa, cały horyzont skurczyły się nagle do kilku ostrych kresek, w których punkcie przecięcia właśnie się mozolę. Ale tym, czego nikt mi nie weźmie, jest to ciśnienie... i pragnienie, żeby być z nią, posmakować jej skóry. Slámová, może naprawdę tak się nazywa. Wielka sprawa. Może i... pracuje dla nich. To straszne. Absurd. Ale nawet gdyby.

Spojrzałem przez okno. Ulicą powoli, majestatycznie przejechał transporter opancerzony. Wyrwał kilka płyt chodnikowych i z hukiem się oddalił. Słońce wysoko, wyglądało jak zimna błyskotka, kawałek metalu. Patrzyłem na nie. Trochę dalej, na placu, zaczęła się demonstracja. Transmitowała ją także telewizja, odbiornik stał nad barem. Dźwięk był wyłączony. Mówca machał pięściami, otwierał i zamykał usta. Gdyby ktoś go ustrzelił, nic bym nie słyszał. Postać na ekranie usunęłaby się w sposób niezrozumiały, plama na koszuli pojawiłaby się niespodziewanie, bez ostrzeżenia. Może pomyślałbym, że to jakiś głupi film. Może czekałbym, kiedy pojawi się bohater dzisiejszego odcinka, Pracus Czystus, i koszula, która w reklamie sama się wypierze i, hop dziś dziś, wyzmie. Wszystko jedno, kto ją nosi. Najważniejsze, że jest czysta. Nie interesuje mnie, dla kogo jest. Ja chcę siostry.

Wiesz, kim jest Laotaniec? ciągnął Rudolf. Mamy to właśnie od Vohřeckiego. Wyciągnął kartkę i przeczytał z niej: *Nguyen Dai Vang generał... dowódca jednostek specjalnych... z Wietnamu Południowego, po wymuszonym zjednoczeniu kraju w roku 1975 działał w ruchu oporu. Siedział dziesięć lat, potem uciekł. Przedostał się do Hongkongu. Organizował wietnamskie siły antykomunistyczne za granicą aż do roku 1985, kiedy zniknął w dżungli. Naczelnym dowódcą tajskich obozów partyzanckich.*

Tak? Naprawdę? Nie nabierasz mnie?

Vohřecký twierdzi, że ten facet wśród gasterbajterów werbuje ochotników do walki z komunistami. Tysiące z nich prysnęły już na Zachód, tu im się w fabrykach nie podoba, to oczywiste. Ale temu Vangowi chodzi podobno tylko o paru byłych oficerów. Kiedy

komuniści zdobyli Sajgon, ci speszał forsys po prostu wyrzucili dowody osobiste, zmienili tożsamość, niektórzy z pewnością także gęby, i rozpłynęli się w tłumie.

Tak informował mnie Rudolf

No, ja na polityce się nie znam, ale jeśli im tam włożyli komuchy, to się nie dziwię.

Słyszałeś kiedyś o wojnie w Wietnamie?

No tak, hippisi i tak dalej. Forman to przecież nakręcił.

Ach tak, powiedział Rudolf No, nie będę cię obciążał szczegółami... po prostu kiedy Amerykanie mimo wszystkich obietnic w końcu wycofali się z Wietnamu Południowego, komuniści zaczęli tam swoje sztuczki... wiesz, co to są obozy reedukacyjne?

Koncentracyjne? tylko tak zgadywałem.

Tak. Tam znikła większość tych, którzy Vanga interesują. Ale kiedy stosunki się zmieniły, niektórzy z tych, co byli długo pod powierzchnią, dostali się nawet do pracy w Europie Wschodniej. Kilku także do nas.

Rudolf, ale przecież minął już pewien czas.

Ale ten czas jest jak konserwa, kapujesz? Tam to trwa ciągle. Dusi się to we własnym sosie, jest tam bez przerwy.

Ożywiłem się. Wierz mi albo nie, ale to rozumiem bardzo dobrze...

Kiwnął głową. Tych, powiedzmy, specjalistów generał potrzebuje do swoich obozów partyzanckich w Tajlandii. Skąd ma brać nowych? Są to doskonale wyćwiczeni zabójcy, powiedziałbym: tacy Rambo w owczej skórze pracowitych robotników. Ten Vang jest tu ze względu na nich. Tutaj, zrozum... tutaj szaleje cicha ukryta bitwa! O tym nie pisną ani jedni, ani drudzy... Vang i ci jego porywają komunistów, członków wietnamskiej tajnej policji i ludzi z ambasady. Dają im narkotyki, przesłuchują, a potem zabijają.

Nie nabierasz mnie? No, możliwe to jest, ale... powiedziałem.

Niczemu się nie dziw! powiedział Rudolf.

No tak. Przypomina mi to zdziżalego Wiesenthala.

Widzę, że o tym słyszałeś, wyszczerzył zęby Rudolf Chodzi jednak jeszcze o coś innego. Pochylił się ku mnie i mówi: Według Vohřeckiego ludzie Vanga są też na Ukrainie. I chodzi im o pewien metal na cztery litery, zaczyna się na „u”.

Tego nie lubię, powiedziałem mu. Przypominasz mi Pająka.

Jakiego pająka?

Gdzie ten Vang nauczył się czeskiego?

Co? Tego nie wiem. Nie może umieć.

Przecież mówiłeś mi, że umie... a może to był Jícha.

No tak, powiedział Rudolf.

Ciągle nie mogę w to uwierzyć.

Jasne.

Do czego Vang potrzebuje mnie? spytałem.

Ciebie zna. Może ci wierzy. Pomagałeś im. I znasz sytuację tutaj.

Kamień rozbił okno, zasypały nas kawałki szkła, Rudolf błyskawicznie wsunął się pod stolik. Poszedłem w jego ślady. Gliniarze wrzucali do suki paru opierających się hałaburdów w czarnych kapturach. Przesiedliśmy się gdzie indziej. Nad barem wyłączyli telewizor, puścili za to muzykę, żeby nie było słycać odgłosów demonstracji.

Liczmy na to, że pomożesz Vangowi tych ludzi znaleźć. Wy jesteście tu ich jedynym kontaktem. A tylko ty zostałeś teraz z całej bandy. Jeśli Vohřecký ma dobre informacje, to Vang rozkręci całą sprawę. Będzie potrzebować jakiegoś Czecha, który pomógłby im trafić do wszystkich tych hoteli robotniczych. Jesteś tu sam jeden. Postawiliśmy na to.

Żadnych hoteli robotniczych nie jestem ciekaw. Jícha, ten o nich sporo wiedział.

Tak. No właśnie.

Co?

Tego nie wiem. On wiedział, że dla jakiegoś Wietnamczyka nie jest rzeczą łatwą ich znaleźć. Przecież nawet w ministerstwie nikt nie wie, gdzie jest ten czy inny żółtek. A z Wietnamcem nie będą gadać żadni kierownicy tych hoteli ani ludzie z tych fabryk. Nawet gdyby Wietnamiec umiał po czesku.

Dlaczego zabili Jíchę?

Chcesz tej dziewczyny?

Co z Nabałowcem i tym drugim?

Vohřecký to skomplikowana osobowość, był w Angoli. Jakoś cię znajdzie.

Zwariuję przez ciebie, Rudolf. Od kiedy to w takim ubeku jest coś skomplikowanego?

Nie wolno patrzeć na sprawy tak czarno-biało, uspokajał mnie. Mamy inne czasy.

Jestem już na żołdzie?

Kiedy powiesz „tak”.

Ile?

Jakieś pięć.

Różne rzeczy podrożały, jak zauważyłem.

No to dziesięć.

Dobra.

Siedziałem sam. Jícha. No, szczególnie go nie lubilem. Ale powinni teraz przynajmniej wydać jego rzeczy. Kto? Próbowałem sobie przypomnieć, co mi tam w barze recytował Pająk. O zdroju. Zapomniałem, ale... mógłbym coś jego wydać ja.

Za forse od Rudolfa. To by było w dobrym stylu. Ale Jisze i tak jest już wszystko jedno. A komu nie jest, zastanawiałem się. Znajdę tą swoją dziewczynę i pryśniemy. Gdzieś, dokąd nie sięgają żadne długie palce z paznokciami tak brudnymi, że każda konstytucja jest na nie za mała.

Do baru wbiegło kilku chłopaków w kapturach, za nimi gliniarze. Wyciągnęli ich w sekundę. Nie było nigdzie w okolicy żadnego fotoreportera z lampą błyskową, więc chłopcy nawet się nie opierali. Ta chwila właściwie nie istniała. Potem wszedł jakiś żebrak. Miał okulary ślepeca, ale tylko go grał, tej etiudy by w Akademii Teatralnej nie kupili. Kelner go wyrzucił. Miał zza baru całkiem dobry widok. Chociaż takie widowisko mógł tu spokojnie oglądać codziennie. Moją ojczyznę wstrząsają bowiem konwulsje, a szczury hasają po powierzchni.

O mało nie zapomniałem o papierach Jíchy, które przyniósł mi Rudolf. Rozerwałem kopertę. Na początku była notka: *Zrobię to jako nowelę, spróbuję też dramatu. Naradzę się z Potokiem, mogłoby im się to przydać. Oni jeszcze grają.* Proszę, proszę! Wiadomość od umarłego... i z dawnych czasów. Rzuciłem na to okiem.

Obrzęd inicjacyjny, studnia opowieści, bohater musi przejść przez tunel, gdzie z oślizgłych ścian szyderczo sterczą tylko długie kosmate członki obrzydliwych pajaków, gdzie pod stopą odzywa się mokry i zimny plusk potwornej ropuchy, gdzie w echu kroków bohatera słychać ukradkowe stąpanie sobowtóra, kiedy ciszę rozcina trzepot pokrytych łuskami skrzydeł, na każdym kroku niebezpieczeństwo nagiego upadku, okrutnego morderstwa. Które boli. I chichot drwiny. Nad głową dudni gdzieś nieskończony pociąg. Historia życia jako inicjacji, ostateczne wtajemniczenie w dojrzałą postać przed obliczem śmierci, dojrzałość oddzielona jest od grobu tylko jakby cienkim murem na trzy cegły i od sąsiadów słyszysz stłumioną rozmowę i kaszel, jako zapowiedź przyszłych tajemnic, jakiejś fabuły, nie wiesz, co tam jest. Tych parę chwil z życia głównego bohatera rozpościerających się od zimy pierwszego spotkania w półmroku baru aż po złotawy odbłask w górach latem (w odpowiednim czasie będzie to opisane), kiedy był wpleciony w koło namiętności, kiedy wił się i umierał z powodu samej wizji ust swojej małej dziwki, podobnie jak w celi czy w tym

słonecznym domu, gdzie doszło do gorączkowego splecenia się członków i w samotności pełnej obgryzanych paznokci, źle strawionej wody i niemożliwej do strawienia paranoi. W owym czasie próby najbardziej podobał się tancerzom ze starego ludu, z cieniutkimi naczyniami włoskowatymi swojej percepcji postępował jak ze starą szmatą, z niechcianym obrazem podarowanym podczas pijatyki. Percepcja została poszarpana z taką samą pieczołowitością, z jaką kiedyś ojcowie i dziadowie wbijali dojrzewającym drewniane kolce pod skórę pleców i ud, by za rzemienie wlec ich na pustynię, gdzie zostawali pomiędzy jawą a snem i gdzie słabsi umierali z wyczerpania. Ale ten, kto przeszedł przez święte szaleństwo tańca snu, zdobył siłę i ujrzał zwierzęcą postać swego protektora, wracał w krąg plemienia i był z całą powagą zapraszany do uczestniczenia w codziennym życiu, jak gdyby nic się nie stało, i posłuszny swojej mocy dalej w tańcu miłości i śmierci pił samotność, która go nie zabiła, dojrzał, zbliżył się do końca. Tylko że nagłownego bohatera nie czeka żaden barbarzyński brat, żadne plemię, nikogo innego poza nim samym na końcu tej drogi nie będzie. Nic, tylko ten las, bór z cierniami, dziwką i jej miodem. Dobrze.

No, prawdę powiedziawszy, Jicho, powiedziałem sobie. Ale wolałem nie dopowiadać tego do końca... jakaś nieduża jednoaktówka, coś emocjonalnego bym z tego wyskakał, raczej jako coś na pamiątkę... ale.

Szedłem przez miasto ku aptece. Ku neonowi. To był teraz diament błyskający w mojej pamięci. Pewny punkt, wokół niego owijało się całe purpurowe, wilgotne mięso mózgu. Miejsce, gdzie ją po raz pierwszy zobaczyłem.

Byłem we wszystkich domach. I nic. Byłem głodny, wszedłem do jakiegoś sklepu warzywnego i cieszyłem oczy spojrzeniem na nieznane owoce. Porządnie rozkręcali tu sprawę witamin! Zjadłem kilka bananów, nie wystarczyły. Wyszedłem. Był wieczór. Bardzo beznadziejny. Nie miałem już siły jechać na ulicę Chebków. Skierowałem kroki na Gazowniczą, do dziury. Zostawię to na jutro, muszę się przespać.

Słyszałem odgłosy starego domu, szedłem po schodach do nory, powoli wyłączałem się, szykowałem do odpoczynku... Byłem znowu w swoim schronieniu, skąd wyszedłem. Tutaj znam każdą wilgotną mapę na ścianie, wiele razy po nich podróżowałem. Przeszedłem galeryjkę, plecami do wszystkich okien. Tego nauczyłem się szybko, inaczej nie mógłbym tu zostać. Otworzyłem drzwi... i skamieniałem. Na krześle przy stole ktoś siedział. W pokoju panował mrok. Nie, to nie ona... mężczyzna poruszył się i zapalił lampę, był to Vohřecký. Nabiałowiec.

Wchodzi i zamknij drzwi.

Zrobiłem to, właściwie poczułem ulgę. Zawsze lubiłem szybki montaż, ale ten Rudolf... on jest szybszy.

Jak w domu, jak w domu, co?

Ależ tak, powiedział Vohřecký.

Gdzie jest ten drugi? Sam wypada pan niekompletnie.

Przejdzie ci ta skłonność do żartów, siadaj.

Tykanie nie podobało mi się, ale wiedziałem, że przywyknę.

Tak więc jutro przystępujesz do akcji. Vang ma już swoją bandę żółtków prawie całą, brakuje mu tylko paru. Nie może ich znaleźć. Jutro pójdziesz do nich, pójdziesz z wizytą do starych przyjaciół Laotańców. Tak ich nazywacie, nie, tych Wietnamców? Pójdziesz do tych, z którymi kontaktowała się ta żółta od twojego kumpla, Boglera. Jeden z nich pracuje dla nas. Przyjdzie tam Vang. Zaproponujesz mu swoje usługi.

Wkurwiacie mnie wszyscy.

To twoja rzecz. Nawiasem mówiąc, przejrzałem, tylko tak, z wrodzonej pilności, przejrzałem wszystkie teczki z okresu, kiedy ta twoja... Zavorová... wyemigrowała. A może

nie wyemigrowała? Co, panie bojowniku o prawa człowieka? Nie zrobiła czasem czegoś innego? Na przykład czegoś paskudnego, przez co musiała szybko zniknąć. Nawet swojemu pupilkowi nie dała łapy?

Nuda!

Wy matołki, rozrzuciliście kilka ulotek i myśleliście, że to nie wiadomo co... prawa człowieka!

Nie pieprz głupot, gliniarzu... ty tego nie możesz zrozumieć... to było prawdziwe życie, co tu będziemy gadać.

Naprawdę tak myślisz? Vohřecký pohaštał się na krześle. Na moim krześle. Ja ci coś powiem o prawdziwym życiu... ja byłem w Angoli! A wy tu pisaliście petycje... wiedzieliśmy o wszystkim... to wszystko było zabezpieczone, a ja... ty nie poszedłeś do wyborów, ty głupolu, i myślałeś, że żyjesz. Walczyłeś tylko ze swoją zapłakaną mamą! Jak cię zamknęliśmy, chodziła po ścianach.

Przyszło mi do głowy, że Vohřecký jest podпиты. Dlaczego mi się tu zwierza? Ale właściwie... może coś z niego wycisnę.

Chce się pan czegoś napić? Mam fernet... znowu mówiłem mu per „pan”.

Tak. Ale posłuchaj, cały czas mnie wkurwialiście, chłopaczki... i ci głupi filozofowie, co gadali jak najęci, że niby prawa człowieka... literaci, ci głównie byli niezadowoleni, że nie pokazują ich w telewizji. Poszli do kotłowni tylko po to, żeby ktoś ich sfotografował i posłał zdjęcie na Zachód. Umieli się sprzedawać. Ale wy, bałwanki. Wiesz, było mi was żal. Tego Bociana, temu musiałem przyłożyć, żeby zrozumiał. Ten twój kumpel, Hadraba... ha, ha, ha, a teraz mój kumpel, to jest przynajmniej facet. Wiesz, że raz mnie pierdolnął? Prawa człowieka! No to dałem mu spokój. Żadnych praw. W Angoli był Jesus Morales, Kubaniec... to była chodząca śmierć, fridom fajters bali się go... tam, kochasiu, jak raz jechałem dżipem, natknąłem się na jakąś kobietę... stanąłem, a ona kładzie się na ziemi i rozkłada nogi, to był pierwszy mój dzień, tak je Kubańce wyćwiczyli... potem to było normalne. Morales chodził cały na czarno, w dżipie miał ckm... nazywali go Jezusek... nie znosił katabasów, raz z tego powodu powystrzelał całe wesele... jak wchodził do wsi, wszyscy spieprzali: Olcata, okata Chesito, nagada! Idzie Jezusek, uciekać!... to brzmiało mi w uszach pierwszej nocy, zanim się przyzwyczaiłem... kiedy jeździł tam po drogach, to trąbił... miał to gdzieś... wiedział, że na niego fridom fajters polują jak na nikogo innego... a wy nic nie wiedzieliście o prawdziwym życiu, jak ty to nazywasz... prawdziwe! Prawdziwe było, jak go dorwali, a my potem znaleźliśmy jego głowę... w kuchni... nogi mu fajters powiesili na bramie, ciągle znajdowaliśmy jakiś kawałek... tam nikt nie wiedział, kto jest kim, przecież niektórzy Kubańce to też czarnuchy... a mundury walały się tam wszędzie, mundury wszystkich wojsk... tam nie ściągano ich z trupów... A ja i pozostali byłem Czeskosłowacja, nas było niewielu, tylko specjaliści, speszal forsys, co się tak gapisz? No, o tym dzisiaj nikt nie mówi. Bez naszych lekarzy Kubańce by powyzydychali! Kto budował mosty? Czuję się wtedy dumny, że jestem Czechem... prawdziwe było, jak szliśmy przez wodę i Frantę Mazlů trafili, został w błocie... to wasze to była tylko zabawa! Przecież daliśmy wam spokój! A wiesz, czego uczyliśmy się tam na czarnuchach, wiesz? Z prądem elektrycznym, tak, tak, kochasiu... czarnuchy są wytrzymałe...tam, gdzie padali nawet Kubańce, czarni leżli spokojnie przez bagna i szukali min, no, zawsze znajdowali tylko jedną... jedną czarną... dziewczynę przebili bagnetem, doktor Rak od nas zaszył jej brzuch, a ona znika z łóżka... znaleźli ją w kobiecej ubikacji, jadła jabłko! A co wy robiliście w tym czasie, pisaliście petycje... Vohřecký roześmiał się na cały głos.

A wiesz, ja mam doktorat, z psychologii, wiesz to? Wy myślicie, że jesteśmy tylko pałowaczami... a wiesz, co do Angoli przyniósł socjalizm? Podobno wyzwolenie kobiety. Tak o tym pisały feministki z Zachodu! Sontag, nie znasz tego? Krowa. Tam baby to były niewolnice, a facet miał ich pięć, dziesięć, żeby uprawiały pole... to się rozwaliło, te rodziny,

i tak ukrywały fridom fajtersów, potem był głód, bo sami tego nie obrobili, ale ważny krok został zrobiony, kochasiu... mógłbym ci dużo o tym opowiedzieć...

Wy byliście po stronie Diabła...

Ale, ale, skąd to niby wiesz? Ty fanatyku, dureń z ciebie. Wy macie tego swojego Boha zamiast pierdła w dawnym klasztorze w Valdicach, zamiast szubieniczki, wy idioci. Mamy na was wszystkich haki. Wy już bez jakiegoś straszaka... Nikt nie wie, po czyjej byliśmy stronie, musiałbyś być jasnowidzący, jak ślepy młodzieniec, cha, cha, cha. Ale dosyć zabawy. Instrukcje dostałeś i wypełnisz je. Będziesz z Vangiem tak długo, jak się da, a potem powiesz nam, gdzie tych swoich ludzi gromadzi. Tego ten nasz nie wie. Musimy ich przyskrzynić, zanim prysną na wschód. I żebyś sobie nie myślał, jeden z nich będzie cię śledzić. Masz to gwarantowane!

A on wam nie wystarczy?

Gównu wiesz! On z nimi będzie aż do końca. Ty nie, to by była głupota. No, podniósł się. Pewnie i szybko. Nie, nie był pijany, tylko udawał. Nie wiem dlaczego. Hasta la vista, bejbi, pomachał mi w drzwiach. Potem je za sobą zamknął.

Kolejne drzwi, o których myślałem, że tylko ja mam do nich klucz. Lekko je kopnąłem. Lekko kopnąłem także krzesło. Parę razy walnąłem też w stół. Mocno, z powietrza i obiema pięściami. Specjalnie mi to nie pomogło. Zauważyłem, że butelkę wziął ze sobą. Po ścianie laź jakiś mały owad, zabiłem go, został tam. Położyłem się na łóżku. Potem wstałem i otworzyłem szafę. Z łóżka do szafy prowadzi moja ścieżka, jakieś cztery kroki. Za nią umywalka. A potem drzwi, koniec nory. Dalej świat. Do klozetu było daleko, aż do stacji metra. Kiedyś marzyłem, że witaminowe fabryki wynajdą wreszcie żarcie, po którym się nie sra. Moje poetyckie stany bywały tu z rańca jednoznaczne: głowa pusta, kiszki pełne.

Szafa pełna była przebrań, szmat. Pudełka z wizytówkami. Wymienne nazwiska i zawody. A całkiem z tyłu było kilka sukienek i kurtka... kobiece rzeczy, to mi zostało po Psicy. Jakieś tomiki wierszy, które lubiła. I kilka jej chustek na głowę i zapinki... to po niej zostało. I sny.

Piękne było to, że czasem znajdowałem jej włos. W kącie. W kurzu na półce. Niespodziewanie leżał na podłodze, kiedy wstawałem rano. Zdmuchnął go tam jakiś dobry wiatr. Włosy nie gniją. Jedną z tych chustek położyłem na jaśku, chciałem, żeby mnie zabrała. Usnąłem.

Obudził mnie dzwonek. Zerwałem się na równe nogi, musiała już być noc. Ale nie chciałem otwierać. Już nie! mówiłem sobie. Już nie mogę... ale dzwonek był wytrwały, nie był to żaden znak, ten ktoś dzwonił nieprzerwanie. Omamionemu snem, przyszło mi do głowy, że jeśli otworzę, za drzwiami będę stał ja sam.

Ale o takich rzeczach człowiekowi nie wolno myśleć, bo jeszcze się zdarzą. Szarpnąłem za kłamekę, stał tam Wasyl z jakimiś dwoma, Wasyl się uśmiechał.

Pajdiom! Matka tiebia żdiot.

Wasyl kierował, ci dwaj siedzieli przy mnie, każdy po jednej stronie, chyba po to, żebym nie wypadł. Nieprzyjemne wrażenie. Patrzyłem, dokąd jedziemy, jechaliśmy przez miasto, w milczeniu. Pusto, nikogo na ulicach. Parę oświetlonych nocnych lokali, w świetle nie trzepotał żaden nachtigal.

Wasyl znał drogę, kierował maszyną bardzo pewnie, potem zrozumiałem, skręciliśmy i pojechali do domów. Moi nowi współtowarzysze... chyba Rosjanie, obaj byli krzepcy, uśmiechali się. Ale coś w nich... byli jakoś nazbyt w porządku. Garnitury. Włosy dumnie ostrzyżone na jeża. Jeden nawet miał chusteczkę w kieszonce marynarki, byli czyści, ogoleni. Jakby dopiero co wyszli z wanny. Czuję wodę kolońską. Spojrzałem na ich buty, lśniły, ani pyłku. Tylko fasony niespecjalne... nawet Bata by się wyrzygał... sprzed jakichś dwudziestu lat, może znacznie więcej, mam na to oko. Chyba nie żadni gangsterzy. Raczej dobroduszni chłopci, tacy... prostytutki. Burlacy po śmierci. W niebie żadnej rzeki, lin, już nigdy więcej. Muzyki z Tuzexu, Pewexu czy Bieriozki, przyszło mi do głowy i zaśmiałem się.

Spojrzeni na mnie zadowoleni, też się uśmiechnęli. Gładką skórę na twarzach mieli napiętą, mogli mieć chyba po czterdzieści lat, ale... nie było widać ani jednej zmarszczki. Dziwni ludzie. Wasyl zatrzymał samochód. Poszliśmy do domu. Sądziłem, że wejdziemy do mieszkania gromady... ale Wasyl skręcił do piwnicy. Nie, Wasyl, tam nie! krzyknąłem i odwróciłem się. Za mną stali ci dwaj i uprzejmie się uśmiechali. Tam nie! Spróbowałem ich odsunąć, ale stali, jakby byli z granitu. Wasyl chwycił mnie za ramię, chodź, powiedział. Eta nada.

Jakoś zwlekli mnie po schodach na dół, a do studni podszedłem już sam. Już ją widziałem. Siedziała na krześle i opierała się o balustradę. Podszedłem do niej, ciągnęło mnie. Oczy jej w mroku błyszcząły, nie bałem się. Była to Wielka Matka.

Zauważyłem, że dokoła stoi jeszcze kilku... wieśniaków... Ona jest miłosierna. Miała przyjemną szeroką twarz, trochę śniadą, jak na tej fotografii. Żaden tam technikolor. Ta twarz nie była ani stara, ani młoda. W oczach płonęła jej... spokojna radość. Wyglądało to, jakby była zadowolona, że mnie widzi. Nagle wydało mi się, że w piwnicy widzę... Kocur, Bohler... to niemożliwe... zamrugąłem, nie. Byli to ci wieśniacy.

Gdzie są twoi koledzy, gdzie są twoi przyjaciele? Wielka Matka mówiła do mnie. Wiedziałem, że to, co mówi, jest przeznaczone tylko dla mnie. Poczułem coś w rodzaju błogości, gładziło mnie to, ten głos gładził... jak gdybym pływał w ciepłym morzu, w falach... gdzie są wszyscy twoi przyjaciele, gdzie są dziewczyny, które lubiłeś? Gdzie są wszyscy? Gdzie się podzieli wszyscy, których znałeś? Znikli, rozbiegli się, dzieciaki, gdzie są ci, z którymi się bawiłeś? Gdzieś przecież muszą być, przecież nie możesz zostać sam... przecież ich wszystkich woda nie porwała, nie skrępował drut, przecież nie zabrał ich pociąg? Przecież gdzieś ktoś musi być. A twoja miła... tylko ją chcesz czcić... tylko ją lubisz... za nią chcesz umierać... gdzie ona... czy nie jest w okrążeniu? Czy nie jest samotna? Czy się nie boi? Gdzieś w domu... na ulicy... czy nie zgubiła się w lesie? Może jest sama... w ciemności... może cię nie słyszy... a może jest tylko tobą... gdzie są wszyscy... dlaczego musiało się to stać... i dlaczego dzieje się to ciągle... pękła piłka, rozpadł się zamek z piasku... połknęła was latająca bestia... wypuściliście papierowy latawiec, przez chwilę się śmiał, przez chwilę trzepotał na sznurku, w dal poleciał, aż tam, gdzie wasz wzrok nie sięga... a teraz z wysokości powraca... i jest to Potwór i chce zjeść... ale mamy również szczęśliwe bajki... dla Jasiów i Małgoś... ta chatka, to było serce mamusi, a oni je zjedli... serce matki... ale mamusia im przebaczy i weźmie ich z powrotem... do siebie, do ziemi... ja jestem Wielką Matką... i wszystkich was ogrzeję i ukoję... będziecie we mnie i nie poczujecie ani głodu, ani strachu... ani zimna... ja jestem Wielką Matką... we mnie jest ciepło, tylko we mnie płonie słońce... we mnie się zmienicie, dzieciątka przez wszystkich opuszczone... ja jestem Wielką Matką, a wy to dzieci przemiany, Matka was pocieszy i będziecie dziećmi... bezpiecznymi.

Myślę, że nie widziałem wtedy ani nie słyszałem nic prócz twarzy i głosu Wielkiej Matki. Widziałem, jak jej piękne oblicze... rozgrzewa się, bił od niej blask... szedłem ku niej powoli, bardzo powoli, żeby słyszeć ją jak najdłużej... a potem zobaczyłem, że naprawdę wystarczy tylko kiwnąć głową i powiedzieć: Tak, dobrze! I wszystko się zmieni, i będę przeżywał tą błogość, którą czułem, będę mógł nią żyć.

Ale... patrzyłem na nią i podchodziłem bliżej... i widziałem jej oczy... i ten blask, i chyba chciałem się weń zanurzyć, i ujrzałem jej włosy, jej czarne włosy, i cofnąłem się.

Wiem, że stało się to ze względu na te włosy. Przypomniały mi o moim pragnieniu i zawróciły mnie.

Stałem przy Wielkiej Matce, jakieś dwadzieścia centymetrów od jej twarzy... i teraz... teraz to była bezzębna twarz... prastarej... starej cygańskiej czarownicy, wykrzywiła usta, wściekle przeszła mnie wzrokiem, a potem nie zwracała już na mnie uwagi.

Wstała i podeszła do Wasyla, który leżał na ziemi. Inni, którzy tam byli, poszli w jej ślady. Chwyciła go za włosy, mówiła do niego po rosyjsku, szybko, ale rozumiałem.

Ty kłamco, czekała na niego, ty głupcze, ty chciałeś uciec swojej mamusi, muszę cię ukarać, głupku... jakoś tak mówiła, była to farsa... i było to obrzydliwe... mnie zostawili w spokoju. Ale Wasyl... on leżał na ziemi. Przecież wiesz, mówiła mu baba, że już nie możesz ubiegać'... podszedłem do Wasyla... odstała, wszyscy patrzyli.

Wasyl, Wasyl, wstań, szto się wygłupiasz, przecież to tylko stara baba... tych paru jej wujaszków... z Wasylem może dalibyśmy im radę... ale on leżał, Paznokciarz. Wasyl, wstań i chodź! To też nie pomogło. Dałem mu lekkiego kopniaka. Nie, powiedział.

Spróbowałem zarzucić go sobie na plecy, ale był za ciężki. Nie chciał. A ta baba się uśmiechała! Jednak ruszyłem w jej kierunku, wujaszkanie ruszyli się także. Wiedziałem, że jest tu ta studnia. Dziesięć metrów do dna. A tam... Już nie patrzyłem na Wasyla, tyłem szedłem do drzwi i po chwili byłem na korytarzu, biegłem... i nagle, jak kawałek szmaty... jakiś ptak smagnął mnie skrzydłem po oczach albo nietoperz czy coś podobnego... zatrzymało mnie to, serce waliło mi, rozbujane biegiem i przestraciem... ale nic, nigdzie... poszedłem ku drzwiom, powoli, powstrzymywałem się, żeby nie skoczyć... usłyszałem kroki, ciche, szurające, ale to przecież... z załamania korytarza wyczłapała babunia Macešková.

Oj, babciu, ale mnie pani przestraszyła. Musiałem oprzeć się o ścianę.

Co to, kawalerze, serduszko? Dokucza? spytała babcia.

Wie pani, pani Macešková, że mamy tu wizytę?

Myśli pan o tych panach, tych panach geologach? To są bardzo mili panowie, przynieśli mi węgiel. Pomogli zdjąć firanki... coś tam do siebie mrucała.

A pani, spytałem, czy ma pani... jakichś krewnych, znajomych... ma pani gdzie pójść, gdyby tu nie dało się mieszkać?

Co ty mówisz, kawalerze, gdzie bym miała iść?

Spojrzała na mnie, te oczy... pełne były srebra, jak wtedy, kiedy wyszła ze studni... Aha, ona musi tu chyba zostać, przyszło mi do głowy.

Dlaczego, kawalerze, nie zajdziesz do mnie na herbatkę... taki chłopak musi pić zdrowe rzeczy.

Nie, bardzo dziękuję, pani Macešková, ja już muszę iść... na schodach z piwnicy usłyszałem kroki i wybiegłem bardzo szybko. Myślę, że było to mądre posunięcie.

Przebiegłem przez jezdnię, nigdzie tramwaju. Ruszyłem ku miastu po torach. Zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Wszystko, co mogę, tego nie muszę, przyszedł mi do głowy nonsens. Kiedy wszedłem pomiędzy budynki, zaczęły przychodzić mi do głowy inne rzeczy. Świtało. Patrzyłem. Najpierw przyglądałem się wiosennemu błotowi, leżą w nim różne rzeczy, to robią wszyscy archeolodzy. Na podstawie osadu dowiesz się, o co chodzi. Nawet gdyby rurami wydechowymi zagrażała ci cała równina rozfalowanych pojazdów, daj tym rzeczom trochę krwi z oka... badaj. Studiowałem napisy na sklepach. Gdzie znikły wszystkie te masolitskie Tesle i Mięsa, Wędliny, i Agitpropy, Suntny, i Kiszczuki, Sowchozy i Pitoreski, wszystkie te mroczne aleje mojej kochanej młodości? Teraz na szyldach były nazwy własne. Na ogół ludzkie nazwiska. To i owo było zrozumiałe. Tu i ówdzie dotykałem tynku. Z niektórych znaków musiałem się śmiać, inne były niepokojące. Do pokory nie skłaniało nic. Wolałem znowu podnieść głowę i czytać szyldy: Związek Rusinów w Republice Czeskiej. Coś mnie ukłuło. I oto tu jestem, powiedziałem ze zdziwieniem. Ale potem zobaczyłem go i dałem nura za róg.

Szedł chyba z nocnej zmiany, włókł się, miał dość. Właściwie nie wiem, dlaczego skryłem się, a potem szedłem za nim. Coś mi powiedziało, żebym tak zrobił. Chyba trochę drżałem. Skradałem się napięty, gotów uskoczyć. To chyba nie był przypadek, że jest właśnie tutaj... dziękowałem domom za ich język, za znaki, one mnie tu doprowadziły... trochę się zataczał,

tylko trochę, nie obejrzał się ani razu... potem wszedł wreszcie do domu... teraz już biegłem... szedł na górę, na strych, ja stąpałem po schodach leciutko, pod nim, kiedy otworzył drzwi mieszkania, skoczyłem do środka i pchnąłem Pajaka przed siebie. Tylko jęknął.

Leżała na łóżku. Zapaliłem światło, nie otworzyła nawet oczu. Czarne włosy na poduszce, leżała na plecach. Podciągnąłem rolety i otworzyłem okno. W pokoju był smród. W głowach łoża... swojej miłej... zobaczyłem butelki... puste, opróżnione do połowy, była tego cała bateria... pochyliłem się nad nią, twarz miała opuchniętą, ręce pod cienkim kocem. A na kocu, od spodu... zerwałem tę szmatę... ręce związane sznurami, sznury krępowały jej także tułów, tylko nogi były wolne... na sobie miała podarty podkoszulek, była spocona... coś wrzasnąłem, ukląknę i wyjąłem nóż... nagle Pajak pociągnął mnie z boku... spadł na mnie... tylko że... wściekłość... po chwili go waliłem, ciągle, ciągle bym go walił, chyba nawet o tym nie wiedząc, nie wiedziałem, że go biję, w głowie miałem mgłę, była czerwona... a potem usłyszałem... Co pan robi? powiedziała wyraźnie i głośno.

Patrzyła na mnie. Niedobrze mi! powiedziała. Przeciąłem sznury, trzymałem ją w ramionach. Będzie... picie? Piciu? wyglądała się, twarz nalana. Zamknęła oczy, głowa jej opadła. Dotknąłem jej czoła, policzka... musiała mieć gorączkę, była na moich rękach bezwładna, położyłem to rozpalone ciało z powrotem.

Ech, powiedział Pajak. Stał za mną, w ręku trzymał mój nóż. Podał mi go. Uwierzyłem w to do końca, dopiero kiedy znowu trzymałem majcher, ostrzem ku niemu. Podniósł ręce. Był trochę przymarniony, ale gość z Północy...

Słuchaj no, mówi.

Co jej jest, ty kreaturo. Przywiązana?

Słuchaj, tak postanowił Jícha. Ona... utrzymałem ją tutaj tylko wodą.

Dlaczego nic na sobie nie ma? Gdzie jej ciuchy? Ja cię zabiję.

Nie, przełknął ślinę. Nie. To bzdura. Zabrałem jej, żeby nie uciekła, wierz mi. Ja... to mnie nie interesuje.

A Jícha? Gadaj.

On nie żyje, przecież wiesz.

To mi obojętne, on... przesłuchiwał ją tutaj?

No, powiedział Pajak.

Nie, powiedziałem. Tego za wiele. I kto jeszcze? Hadraba?

Już nikt, przysięgam. A przyszedłem teraz, żeby ją puścić. Tak zdecydował Hadraba. Była dla ciebie. My byliśmy przeciw, to Jícha, wierz mi. On wiedział, ona spotykała się, wiesz z kim? Podobno z Višką. Musiała na nas donosić, poważnie.

Tak powiedział Jícha?

Tak.

Masz tu łazienkę?

Wskazał brodą.

Zanieśliśmy ją tam i włożyli do wanny. Idź stąd, powiedziałem mu. Wrzuciłem do wody rozmaite sole i szampony, wszystko, co tam ten ośmionogi playboy miał. Nie chciałem za długo oglądać jej nagiej, kiedy o tym nie wiedziała. To było ciężkie zadanie: utrzymać jej głowę nad powierzchnią i trochę ją umyć, tylko przyskałem wodą. Ostygła. Wstyd dawał mi po twarzy, ale nie mogłem nie zauważyć... twardych piersi i pupy.

Piękne! Niewiarygodnie małe brodawki. Żadnych tatuaży. Może coś tam... na udzie, na wewnętrznej stronie. Ale przezwyciężyłem pokusę.

Jestem w domu? Otworzyła oczy. Jesteś ze mną, uspokoiłem ją. Znowu je zamknęła. Zaczęła lekko ruszać głową, a rękoma ubijała pianę... nagle na jej twarzy rozlał się uśmiech... Zimna! powiedziała. Dodałem ciepłej. A potem: Jesteśmy na podwórzu? Może myślała, że jest gdzieś w balii, trochę wymyłem jej plecy, kiedy siedziała... potem znowu

opadła. Ale ciągle uśmiechała się do tej piany. Namydliłem jej i splukałem także włosy. Śmierdziały wodą. Trzymała się. Ehm, ehm, powiedział za mną Pajęczak, wzrok miał skromnie odwrócony, podał mi szklanę. Alka Saltzer, mruknął. To nowość. Wrzuciłem cztery pastylki. Posłusznie to wypila. Wytrzeszczyła oczy, potem zaczęła uderzać rękoma w pianę, coś sobie nuciła, ciągle była nieprzytomna. Siedzieliśmy z Pajakiem na brzegu wanny, plecami do niej... gdyby się topiła, będzie plusk... paliliśmy.

Słuchaj no... powiedziałem po chwili, nie powinniście byli.

Wiesz, jak jest... powiedział... a ja tylko...

Ty w nią to lałeś? Przecież ją to mogło zabić!

Siostra w tej chwili sapnęła i uderzyła rękami w wodę. Ochlapała nas.

Jej nie. Jej wystarczyło, że miała jedną rękę wolną, o.

Słuchasz rozkazów! To już gdzieś słyszałem. Ty też.

Kurde, tak, do tego doszło.

To olej to.

Ale... co będę robić... gdzie indziej.

No tak. Że też tak ci przywaliłem, słuchaj, nie wiedziałem...

Daj spokój i wybacz, zaśmiał się Pajęczak, ale to nic nie było, gdybym tylko chciał, dałbym ci do wiwatu. Nie chciałem.

Naprawdę?

Tak. Jasne.

No. Może i tak. Przynies jej ciuchy. Bądź grzeczny.

Tylko żebyście jak najszybciej znikli. Zadzwoń po samochód.

Wyszedł.

Znam twój adres! krzyknąłem za nim.

Ciebie, Potoczku, wszedł znowu w drzwi, niosąc jej ubranie, ciebie się nie boję.

Kiedy wyrwałem mu z rąk jej rzeczy, przycisnąłem je do twarzy, były czyste... a ważne kolory, które nosiła moja siostra, promieniowały siłą, czułem ją, przypomniałem sobie Łowcę, tego Laotańca... i wiedziałem już, że do niego i tak pójdę, mimo tego, co wbijał mi w głowę Rudolf, a potem Vohfecky, pójdę, ponieważ jeśli jest coś z prawdy w opowieści o zagadkowym generale, to on mnie interesuje... on i jego ludzie, to nic, że wykorzystali Organizację, że nas okłamywali, chyba mają powody, interesują mnie... i nie mnie jednego.

Pajak, może byś się zdziwił.

Dajmy temu spokój, nie, powiedział. Może się jeszcze spotkamy.

Dobra. A buty?

Postawiłem ją na ręczniku. Natychmiast usiadła. Jakoś ją wytarłem. Ubierać musieliśmy ją obydwaj, bo opierała się, ciągle była pijana w sztok, chociaż już nie tak nalana. Jej twarz zaczęła ożywać. Chwilami miała otwarte oczy, ale spojrzenie całkiem szklane. Butów Pajęczakowi nie pozwoliłem jej włożyć. To wymaga pewnej delikatności, takie wysokie buty. Kiedy wlekliśmy ją przez pokój, musiał ją przez chwilę trzymać sam. Rozpędziłem się i kopnąłem w butelki, kilka z nich rozbiłem. Rozdeptałem szkło. Pajęczak trzymał Czarną i patrzył na mnie z niesmakiem. Nic jednak nie powiedział. Wsadziliśmy ją do taksówki. Uważaliśmy na kolana. Żadna karetka nie była nigdy lżejsza, jak kroki anioła.

To cześć, powiedział Pajak. Wszystkiego dobrego.

Czołem.

Ruszyliśmy. Właściwy adres podałem taksówkarzowi, dopiero kiedy przejechaliśmy kilka przecznic. Siostrzyczka trochę chrapała. Było to bardzo urocze. Wóz musiał wstrzymać swe koła. Przesiadłem się do tyłu. Spała i we śnie trzymała mnie za rękę. Ani drgnąłem. Jeszcze nie chciałem jej obudzić. Byłbym głupi.

I zaczęło się. Wiedziałem, że jest trochę podrapana, więc jeszcze zanim się obudziła, posmarowałem ją maścią. Cieszyłem się, że Jícha już nie żyje. Ta mocna kobieca maść też

należała kiedyś do Psicy. Jak wszystko tutaj. Ale pachniała ciągle tak samo, więc zaryzykowałem. Miała na ciele jeszcze kilka małych blizn. To było dziwne... wszystkie prawie takie same jak ta na brodzie. Ale nie tworzyły żadnych narkomańskich wzorów, rozsiane były nieregularnie.

Wymiotowała żółtą pianą. Bałem się, czy to nie zatrucie... o mózg. Ale oddychała regularnie. Dłonie zaciśnięte w pięści, próbowałem rozewrzeć jej palce, widziałem, że wbija sobie paznokcie w skórę. Nie dało się. Miała chyba takie sny.

Spałem na ziemi. Rano nie było jej w łóżku, nie wiedziałem, że potrafię skoczyć dwa metry w górę. Z pozycji leżącej. Ale potem usłyszałem wodę. Stała za szafą. Przy umywalce. Na pewno musiała się zdziwić, że jest całkiem czysta. Czarna, powiedziałem, żeby się nie przestraszyła, i zrobiłem te dwa kroki. Chyba z powodu wody nie była szybka, bo miednica trafiła mnie tylko w ramię, a potem trzymałem ją już za nadgarstki i patrzyłem jej w oczy, była w nich wściekłość, wokół siebie miała owinięty koc, spadł z jej nagiego ciała, zamknąłem oczy i puściłem ją, bo teraz było albo-albo... wy kurwy zasrane, cedziła przez wargi... wiedziałem, że muszą być jeszcze spuchnięte... dajcie mi już spokój, bydlaki... Czarna, krzyknąłem, to idiotyzm! Ty już... ja ciebie tylko proszę, żebyś została, już nikt cię... nie więzi, możesz iść, ale...

Kim jesteś?

Nazywam się Potok, znasz mnie.

Rzuciła miskę na podłogę, brzęk był głośny, pozwoliliśmy, żeby wybrzmiał. Odszedłem kawałek od drzwi, żeby miała wolne przejście... jeśli chce, wołałem nie robić niepotrzebnie ruchów w jej stronę... w niewielkiej przestrzeni było to trudne. Stała przy łóżku, znowu owinięta kocem, masowała sobie nadgarstki, widziałem zarysy jej ciała. Była drobniejsza, niż myślałem.

Masz papierosa?

Będzie ci niedobrze.

Wiem. Jestem... nazywają mnie Czarna.

Ależ... ja wiem! Ubierz się.

Zostaw mi koc.

Przy kawie doszliśmy do tego, że się właściwie znamy. Że z całą pewnością obserwowaliśmy się już od dłuższego czasu.

Śpiewałaś wtedy, to był wtorek albo środa... wieczorem.

Tak, siedziałeś tam z jakąś rudą. Paliłeś!

Owszem, paliłem, ale byłem z Tanią... to blondynka!

Nie mów... Ja myślałam...

No... hm... jedna ruda... tak, a ty poszłaś wtedy z tym, z Pikną!

Nie, nonsens... chociaż właściwie, tylko mnie odprowadził!

No tak. A potem przy szatni, kiedy zgubiłaś katanę...

Ooo... to także byłeś ty, ten, który miał mój numerek!

Jaki numerek... nic nie wiem o żadnym numerku.

Aha, no, wszystko jedno. Więc... zawsze mi się podobałeś. To, jak patrzyłeś.

Poważnie?

Dlaczego zamknąłeś oczy... przy tej umywalce?

Nie mogłem tego wytrzymać.

Widziałam jakieś twoje przedstawienia. Kiedyś.

No i... co o tym myślisz?

No... dobre. Boli mnie głowa.

Ja twoje piosenki bardzo lubię. Chcesz proszek?

Tak. Jaki?

A nie jesteś głodna? Co jadasz?

Nasze słowa... kiedy rozmawialiśmy, zlewały się ze sobą. Tego jej głosu nie znałem.

Upewniliśmy się, że się rozumiemy. Nie chciało się jej wychodzić. Powiedziała mi, że Hadraba obiecał ją ukryć. Nie powiedziała dlaczego, pewnie uważała, że to wiem albo że nic mi do tego. A potem przyszedł ten... ze wstrętem wykrzywiła twarz. Nie powiedziałem jej, że Jícha nie żyje. Nie wspomniałem też o tym marynarzu. Było to z mojej strony pewnym świństwem, wiem.

To, że jesteśmy w ograniczonej przestrzeni, wcale nam nie przeszkadzało. Poznawaliśmy się wzajemnie. Do tego potrzebny jest oddech. Jeszcze nie wiedziała, o co chodzi. Wypełniałem czas, zanim dotrze to do niej i zrozumie... Śmiała się. Chociaż wyglądała ciągle na zmęczoną. Błaznowałem... łąziłem po ścianach. Odpowiadała. Włożyła moją chińską czapkę i wygłupiała się, spróbowała jakiś gorset, który został po kurwach, ale oczy ją zdradziły, nie była taka, chociaż oszukiwała ciałem... szybko stwierdziłem, że jest dorosłą kobietą i że gra.

Wyciągnąłem zdjęcia, ponieważ słów zaczynało brakować, a monumentalna cisza budzącej się skłonności wzajemnej szarpała mi wnętrze... wyglądało to dokładnie tak jak święta niedziela w prastarych praskich kulturalnych rodzinach... tylko bez tortów od Sachera... przeglądała moją motylą i mysią kolekcję fotografii i czasami stuknęła palcem w twarz wspólnego znajomego. Zgadywaliśmy, co dany gość może robić w nowych czasach... i na podstawie zgadywanek, domysłów i gadania odgadywaliśmy sobie wzajemnie... nie umknął mi ani jeden gest zmęczenia pod luźno opadającym welonem jej piękności.

Potem pokazałem jej także wszelakie swoje tajemnice rodowe i rozmaite domowe sztuczki z kluczami, maszynki do gotowania itd. Wiedziałem, że nie muszę wygłupiać się z żadnymi pośpiesznie skleconymi opiniami na temat życia, o którym nic nie wiem, ani z męskością, ani z masochizmem czy machizmem, nie mówiąc już o poglądach politycznych. Nie chodziło mi o najbliższą noc, kiedy nadejdzie, chodziło mi o wszystkie. I o dni też. Przyjmowała mnie spokojnie, jak otwarta brama. Nie mówiliśmy o tym, wiedziałem, że zostanie. Cieszyłem się, że jest tak załatwiona tym piciem... także jej twarz. Czułem, że to ona jest tą, którą mam pod powiekami od chwili, kiedy pomiędzy snem a jawą po raz pierwszy mignęło tam kobiece oblicze. Wiedziałem, że Psica... sprytnie kieruje moimi krokami. Stamtąd, gdzie się znajduje. Gdyby Czarna była tu w całej swojej nocnej krasie, chyba bym się nie opanował. Zaczęliśmy dzień powoli, ona wynurzała się z kaca tak jak wczoraj z piany. Potem powiedziała, że chce się położyć.

Ja, Czarna, mam coś do zrobienia.

Mogę tu zostać? Zamykała już oczy.

Przyjdę wieczorem. I wybac, to głupie, ale jak co, to do reklamówki, tutaj... na strychu jest kosz na śmieci.

Tak, widziałam. Potem możemy iść do mnie. Przyjdź szybko.

I usnęła.

ELEGANT. SPLATALIŚMY SVOJE SŁOWA. OŚWIETLONA ULICA.
 KREWNI. W NIEJ I ZA SŁOWAMI. PRZEMIANA. DLA KOGO PRACUJĘ.
 CHCĄ MNIE DORWAĆ. LAS JEST PRZYJAZNY. CZARNA. DLACZEGO
 TERAZ?

Przebiegałem przez niezbędne miejsca, leciałem. Spróbowałem tramwaju, ale był strasznie nudny. Przyszło mi do głowy pytanie: czy będzie tam, kiedy wrócę. To ona. Siostra. Kiedy bezmyślnie stapałem po bruku, idąc do miejsca, gdzie mieszkali kumple Laotanki Bohlera, w myślach pojawiały mi się obrazy. To źródło, mój obóz, gdzie przez całe lata byłem wystawiony na ataki małych muszek i przeloty helikopterów, ta bezsensowna nora z faksem i telefonem, ze względu na sprawy gromady... ale ja chyba ciągle czekałem na inną wiadomość... w myśli nora tężała i stawiała się budynkiem, pałacem Hermafrodyty, schronieniem i domem przetrwania. I rosła aż pod chmury, daleko od kruczych pól, ku innym przelotnym braciom.

Przerwałem gadaninę ulicy, miałem w sobie mowę siostry. Moje serce było słodkie i czerwone. I tam, gdzie przedtem miłość nie mogła odpłynąć, gdzie się zlepiała, żeby odbijać fale nienawiści, żebym nie zabijał albo nie zwariował, albo nie wiem co... marszczyły się falki, w których kapały się dwie nagie ręce ciała... ręce ciała miłości... głaskały wodę... jakoś tak to było i jest... jeśli trochę przesadzę.

Otworzyłem oczy, bo uderzyłem się o latarnię, i zauważyłem w brudzie ulicy kwitnące drzewo, chyba jakąś zmutowaną jabłoń. W rowku. Dokoła tyczki. Wbili je tam ludzie, którzy chcieli mieć drzewo. Po moim sercu łąziły w tej chwili dumne mrówki, na kombinezonach napisane miały „Wolność albo śmierć”, a ten drugi komponent był przekreślony, nie krwią nieprzyjaciela, tylko jakąś pozbawioną znaczenia krechą.

Musiałem się ciągle śmiać. Ale wiedziałem, że to akceptują, uśmiech to podstawowy grymas ich plemienia. Chyba nawet byli zadowoleni, że mnie widzą. Chociaż nie raczyłem zapukać, tylko wtargnąłem do środka.

Wszyscy Laotańcy byli wkupionych szmatach. Tu i ówdzie dostrzegłem tatuaż, tylko u facetów. Mieli rozmaite ubrania, niekiedy zdołali z tych obcych bezsensownych materiałów stworzyć nowe kombinacje. Czasem można było pęknąć ze śmiechu. Tak więc mój śmiech, efekt czystej radości, był wesoły. I tak to zawsze potrafili wyczuć. Rozmawialiśmy ciągle w tym języku francuskoczeskoloaotańskorosyjskoindochińskim, ale przede wszystkim w języku gestów, poklepywania się i toastów. O dziwo przyszedłem akurat na kolację, mieli jakąś uroczystość. Natychmiast zrozumiałem, że jest to także moja uroczystość.

Całkiem zapomniałem, dlaczego właściwie przyszedłem, było mi dobrze. A w reszcie chwil, niewypełnionej szybkimi przyjacielskimi rozmowami, pomiędzy dowcipami i popijaniem, tylko czasami ścisnęło mi się serce... jeśli jej tam nie będzie, jeśli mi w nocy zniknie... dokąd miałyby iść... to byłoby wszystko jedno... nagle ktoś zgasił światło, zaczęli trajkotać, a potem rozległ się jeden pełen energii głos... był to chyba Tino... Co jest? Jęknąłem i chwyciłem talerz... to nic, powiedział ktoś przede mną, zaraz znowu zapalą, przestraszyłem się, ten Laotaniec mówił znakomicie po czesku. Co się dzieje? Nic szczególnego, może niewielka nieprzyjemność, będzie dobrze. Tak? Naprawdę? Wstałem. Proszę usiąść, a przede wszystkim nie wychodzić na dwór.

Mój współtowarzysz zapalił świeczkę. Był to ten elegant, pozostali z pomieszczenia znikli. Kilka dziewcząt myło naczynia, ściągały obrusy.

Potem to usłyszałem. I bolesny okrzyk, i następny, pomieszane głosy i tupot, i znowu krzyk, znałem go, już się domyślałem, o co chodzi... i ktoś padł na ziemię... chyba mordą na bruk... niedobry dźwięk. Całkiem blisko. Potem głosy zaczęły się oddalać. Tupot. Nogi, które po kogoś idą. Odeszły.

Co jest? spytałem Eleganta, niepotrzebnie.

To nic, czasem przychodzą aż tutaj, powiedział.

Kto?

Ależ panie Potok, jest pan tu z innego powodu. Ma pan, żeby tak powiedzieć, misję, posłannictwo. A ja osobiście jestem szczęśliwy, że i po tym, jak pańska wspaniała ojczyzna rzuciła jarzmo komunizmu, są tu ludzie chcący pomagać w walce o wielką sprawę.

Wytrzeźwiałem. Tak, dziękuję, nie ma gdzieś jeszcze kropelki tej ryżowej?

Ależ proszę, proszę. Nie pozwolił, żebym sobie nalał. Zrobił to sam.

Rozmawialiśmy chyba godzinę. Wy tłumaczył mi, czego ode mnie chcą.

Potem zaczęli wracać. Nie było już tam tak wesoło.

Mesje Tino, powiedziałem mu w kuchni, gdzie poszedłem za nim, okej?

Me li, okej. Okej.

I zaczęło się. Szperanie po polach, w fabrykach. Zdumiewałem się tym, jak to w mojej obrzydliwej uroczej Bohemii jeszcze wygląda. Dokładnie tak, jak mówił Rudolf: nikt z nimi nie rozmawiał.

Tu czy tam musiałem tego czy innego kierownika pobudzić do działania podniesionym głosem – żeby się ruszył ze stołka i przyniósł spis pracowników. Podawałem się, czasem tylko dla zabawy, za jakiegoś posła. Bydlaki. Wystarczyło powiedzieć: Nie jesteśmy tu dziś, ponieważ interesują nas Precjoza, Celuloza, ale dlatego, że panu Jindřichowi... Z POWIATU bardzo zależy na współpracy z cudzoziemskimi robotnikami... tworzymy nowy wydział... pan naprawdę nie zna towarzyszeki, to jest, przepraszam, pani Maturkovej z ministerstwa... Nie? No cóż, pan dyrektor to na pewno wyjaśni, gdzie macie telefon?

W tym kraju w tym czasie nikt nie wiedział, co i jak. Ci, którzy przez całe życie tylko słuchali przełożonych, na ogół nie byli zdolni zarejestrować przyśpieszonego ruchu na politycznej strzelnicy, gdzie tak długo wszystko jedynie gniło. I niemal każdy z nich miał krechy za bumelantwo, kradzieże, donosicielstwo albo za coś innego. A jedynym, co w nich działało, był strach o kretyńskie miejsce.

Ujmując rzecz krótko: nigdzie nikt nie wiedział, kto jest kim.

Zacząłem wyciągać z szafy ubrania. Przez bramę w marynarce, przez płot w waciaku, rzadko mi się myliło. Od czasu do czasu łapaliśmy języka na bazarach, gdzie kramarzyli Chińczycy czy Wietnamce, czy Laotańce, czy kto to tam był, ale Elegant nie miał szans, nie znali go. Ja przynajmniej mogłem udawać geszefciarza, który winien jest coś Pu albo Minhowi, albo Lanowi. I czasem pomagało, kiedy wyciągałem forszę. Ale na ogół wodzili mnie za nos. Ci goście nie wierzyli absolutnie nikomu. A do dziewcząt nawet się nie zwracałem, nie odpowiadały, znikwały i zamiast ich uroczych ciał w jednej chwili miałem przed sobą jakiegoś napiętego golema gotowego walić albo uciekać. Albo jedno i drugie, zawsze z uśmiechem.

Żeby wejść do fabryk i hoteli robotniczych, pokazywałem czasem rozmaite legitymacje prasowe. Początkowo się udawało, ale szybko zauważyłem zmianę sytuacji: ludzie z fabryk i urzędów przyzwyczaili się do tego, że od czasu do czasu pojawia się jakaś dziennikarska świnią... i krytyczne artykuły nikogo już nie wyprowadzały z równowagi. Jeździliśmy od jednego hotelu robotniczego do drugiego i szukaliśmy. Szukaliśmy „krewnych”, jak wyjaśnił mi Elegant. On jeden mi pomagał. Przynajmniej telefonował do różnych instytucji, które musieliśmy sprawdzić, żeby „krewnych” znaleźć.

Łowcę widziałem tylko raz. Było to w mieszkaniu na peryferiach. Wsiadliśmy do samochodu gdzieś koło dworca Anděl, tym razem prowadził Elegant. Pędził wśród

budynków i gorliwie gadał, wieczór gęstniał od nadciągającej zewsząd ciemności, a dla mnie było jasne, że samochód kręci się w kółko, żeby znikł mi z głowy plan miasta. Potem taki jeden, co siedział z tyłu, zawiązał mi oczy, dzięki, Ojczy chrestny, zażartowałem. Nie odpowiedział.

Piliśmy herbatę, mówiliśmy niewiele. Wszystko było aż nazbyt jasne. Nie wiedziałem, czy Elegant... dla kogo jeszcze pracuje, ale nie mogłem sobie wyobrazić, żeby Łowca nie miał w tej sprawie jasności. Wcale go nie zaskoczyło, że z kamienną twarzą przyjąłem jego pojawienie się w pokoju w garniturze.

Przypomniałem sobie, jak wsunął się do mieszkania Kučery... i wzdrygnąłem się. Wiedział, że wiem. Miałem nadzieję, że nie zapomniał o tej pamiątce, którą mi zostawił na ramieniu. Tatuaz z twarzy zmył. Położył na stole forszę, sporo. Dotknąłem palcem wskazującym swojego podkoszulka, kiwnął głową. Kontrakt, biznes, żołąd, żadnych poufałości. Zgarnąłem forszę. Elegant szczyrzył z tyłu zęby.

Ale rozkleiłem się. Później... w samochodzie, kiedy rozgadany Elegant zaczął opowiadać o tych okropieństwach... facet, którego wieźliśmy ze Słowacji, tak koło pięćdziesiątki, chrypliwie się zaśmiał, kiedy Elegant przez chwilę trajkotał w tym ich środku porozumienia. W restauracji, gdzie jedliśmy, pokazał mi to. Miał to przez całe piersi i na rękach. Także z tyłu. Trochę z obozu, trochę po rekinach, na tej skorupce, na której opuszczał okrutną ojczyznę, rekiny niemal go dorwały.

Ten pan zjadł swoje dziecko, zanim przepłynął ocean, poinformował mnie Elegant ze słodkim uśmiechem. To znaczy kawałek oceanu. A to, że nie ma paznokci, początkowo przeszkadzało mu w pracy w przemyśle chemicznym.

Jakoś nie zmuszali mnie, żebym dokończył swój ser wyprażany. Co jadł on, żeby przepłynąć ocean... udało mu się, bo miał posłannictwo, tego Elegant nie musiał podkreślać. Elegant... był chyba perwersyjny, zapewne te sagi cierpienie narodu rzuciły mu się na mózg, ciągle mnie tym karmił.

Ja tam jestem opłacony, jeżdżę dla was i mówię, resztę zostawcie w spokoju.

Historia kołem się toczy, panie Potok, proszę zwrócić uwagę, ten pan, po którego jedziemy i którego mamy nadzieję dziś znaleźć, był oficerem. Bardzo zdolny desantowiec, mamy jego dokumentację. Nasz przełożony, którego możemy nazywać generałem Vangiem, naprawdę wysoko go ceni. Niech pan sobie wyobrazi, że ten pan własną ręką wykonał wyrok na całej wiosce zdrajców... wtedy w delcie Mekongu... i rzeczywiście przyszła kolej i na niego... kiedy go złapali, najpierw bambusowe drzazgi...

Dosyć tego! wrzasnąłem na Eleganta i zatrzymałem samochód. Śmiał się. No dobrze, znowu rozwirowałem koła.

Czas pracy był nienormowany. A mnie stało się coś z czasem. Mogłem latać z Elegantem przez cały dzień, ale kiedy wracałem... w domu była Czarna.

Pierwszego wieczora wróciłem od Laotańców i zwałem się koło jej śpiącego ciała. Obudziły mnie palce dotykające mojej twarzy... to jej palce... dotykały mnie tak, że każda sekunda mojej skóry żyła własnym życiem... zapomniałem o wszystkich żywiołach, których próbowano nauczyć mnie w szkole, bo powoli wchodziłem w ich treść, w nieskończonym spokoju, w przewalającym się w sobie szaleństwie...

Przepraszam, strasznie chrapiesz...

Co, jak pies?

Jak prosię.

Byłem trochę urażony. Ale... przywróciła mnie. Wszystkie te dotknięcia przywracały mnie sobie samemu i znowu mogłem wylatywać w codzienne życie i wracać do niej. Nie rozmyślaliśmy nad tym, które nasze dotknięcia są zmyślne, zmysłowe albo całkiem bezmyślne, nie zastanawialiśmy się nad tym podczas tych kilku pierwszych nocy, a poza tym

nie widywaliśmy się, a ja nie wiedziałem nawet, czy ona zostaje w mieszkaniu... i nie pytałem... stwierdziłem, że w istocie nie ma nic poza byciem z nią.

Oczywiście, mógł mnie przejechać samochód, mogłem rzygać po historyjkach Eleganta, mogli mnie w końcu zamknąć, przecież czasem podawałem się nawet za policjanta, i to było możliwe... ale myślę, że w chwili śmierci znowu wróciłbym do siostry.

Czarna, słuchaj... to już jest... idiotyczne.

Ale nie było, z nią nie, z nią po prostu... było, wyrzucałem z głowy wszelkie szmaty, skrawki i bandaże, którymi człowiek przez wszystkie te lata obrony koniecznej obwija mózg... żeby łatwiej przeżyć w świecie pełnym tajemnicy.

I mimo że chyba zbliżałem się do rozkoszy... że byłem z nią, miałem sny. Czasem wynurzają się człowiekowi z głowy. Dawniej musiałem przez nie tańczyć, zamęczać się za dnia, żeby w nocy nie żyć, ale teraz: nawet mimo pracy z Elegantem i jego horrorów, mimo wszystkiego, co dzienne, chaotyczne, całej jawy tylko ona była w moich snach. We dnie i w nocy była moją miłością, moim oparciem w zmaganiach ze światem, bo się moim światem sama przecież stała, ale w snach... wiele razy widziałem jej twarz i wyciągałem do niej rękę, napinając się cały, ale ta twarz zmieniała się w grymas... wtedy w piwnicy Psica zmieniła mi się w staruszkę... Czarna zmieniała się w coś... w coś straszego, chciałem w tym śnie krzyknąć, ale nie wydawałem żadnego dźwięku, z ulgą się budziłem i oto znowu stała nade mną, naga, uśmiechała się, położyłem jej ręce na piersiach i ta twarz zaczęła znikać w grymasie, w niekobiecej masce, spod skóry przeświecały drogi, którymi wyrzynają się zęby, krzychałem i znowu bezgłośnie się zbudziłem. Czarna, wycharczałem... Co? Jeszcze chcesz? Przycisnąłem się do niej i widziałem ją... a jej uśmiech się rozfalował i wargi znikwały i odsłaniały mięso, a potem pustą ciemność za mięsem... tak podróżowałem ze snu w inny sen, a niekiedy, niekiedy się od tego snu odbijałem, bo nie mogłem go wytrzymać, i spadałem głęboko w dół, i dopiero w ostatniej chwili całą siłą mózgu zatrzymałem się i znowu się wznosiłem... odbiłem się od dna... tam była moja miłość, a kiedy już wiedziałem, że to mi się nie śni, przecież czułem jej dotyk, czułem jej wargi... otworzyła oczy i pochyliła się nade mną i mówiła coś uspokajająco... czułem jej włosy na swoich ramionach i otworzyłem oczy, a ona znowu była Potworą.

Tak żyłem w nocy, we mnie to żyło, przeze mnie. Z ciemności jamy za snem piąłem się w górę, a tam nie było mojej miłej, powietrza, tam kiwało się wahadło.

Ale gdybym gdzieś w dole, w głębi ucieczki przed grymasem tego, kogo kocham, został, to już bym nie wrócił, to wiedziałem.

No, coś niedobrze, powiedziała. Mam sobie pójść?

Nie.

Moja przyjaciółka, nieziemska gwiazda, ta, która zbiera popiół z serca, ta, która jest lśniącym klejnotem, zrobiła śniadanie. Parę razy już nawet wychodziliśmy razem z domu. Na przykład obejrzyć grobowce czeskich królów. Widziała je po raz pierwszy w życiu. Wkrótce przejęła moje zwyczaje, także strzepywała popiół w fusy. Czasem myła naczynia. Było to chyba coś w stylu małżeństwa. Pozwoliłem jej przejrzeć szafę. Mogła popatrzeć na suknie, które należały do Psicy. Nie podobały się jej. Była przyzwyczajona do swoich kurtek, stalowych spodni i szybkich butów.

To jest zbyt nowoczesne. A to... z kolei za bardzo postnowoczesne. To jest dobre, tryumfalnie zdjęła z wieszaka białą w kropki... Psica miała ją na sobie do bierzmowania.

Wieczorem wróciłem po szczególnie nieudanych rozmowach z dyrekcją huty aluminium... musiałem im powiedzieć, że kręcimy o Wietnamczykach film. Taki idiotyzm, kogo to interesuje. Ale podlizywałem im się. To prawdziwa męka. Lepsza jest taktyka koperty, jaką stosowałem w Organizacji. Tylko dla wyjaśnienia muszę dodać, że to była bardzo szybka praca, nie wiedziałem, kiedy odezwie się Vohřecký, a Elegant spytany, dokąd tych znalezionych posyła, tylko się śmiał i zaczynał opowiadać horrory... nie miałem się

wtedy czasu dowiedzieć, komu należałoby kopertę wręczyć, czy szefowi, czy zamiataczowi... żeby uzyskać potrzebne wiadomości.

Kiedy powiedziałem Elegantowi, że w naszym nieistniejącym projekcie filmowym będzie grał urzędnika ambasady, zaśmiał się. Ale oni tam zadzwonią, powiedział. Nic nie szkodzi, do tego czasu dostaniemy się do hotelu i pan z facetem porozmawia. Doskonale... z ambasady, cha, cha, jakiego państwa? spytał Elegant. Pańska sprawa. Na przykład Angoli. To bardzo dowcipne, panie Potok, naprawdę. A wie pan, dlaczego od robotników, których spotykamy, nigdy nic się nie dowiemy? Są głupi... Nie, wcale nie, oni właśnie myślą, że jesteśmy z ambasady. Aha. To dlaczego, panie Elegant, nie podłączy się pan pod tajniaków z ambasady? Niech pan któregoś podłączy... Elegant tylko się śmiał. I pędziliśmy dalej.

Raz przeszedłem przez bramę... było to niedaleko granicy austriackiej, a chociaż wokół tego hotelu robotniczego było ogrodzenie z drutu, handlowało się bez ograniczeń... Przeszedłem z naręczem pończoch, strażnik przy bramie bez słowa wyciągnął rękę, podałem mu jakieś podkolanówki... w hotelu tętniło życie, potknąłem się o kość i wpadłem na wózek dziecinny, w którym rozwrzeszczało się niemowlę, zainteresowało mnie to... kołysałem tego pędraka i coś mu śpiewałem, był to całkiem mały mieszaniec... cholera, jak ten będzie mówić... w korytarzu mieli ponaklejane tu i ówdzie fotografie cypatyh piosenek, wielkie białe baby, no i rzecz jasna: Bruce Lee się pręży, jego mieli wszędzie... przyszło jakichś trzech i w tej chwili zapomniałem nazwiska szukanego faceta... pończochy tam zostawiłem. Elegant napisał mi coś na karteczce, poszedłem znowu. Spadaj, powiedział strażnik z rękami tym razem pustymi. Policja kryminalna, powiedziałem mu z rozkoszą i wykrzyknikiem i pokazałem legitymację. Nie był pewien... kartkę wepchnąłem potem jednemu z tych trzech... sumiennie czekali przy pończochach, studiowali łacińskie litery... Gdzie jest pan Viet, co to pisał? Przed hotelem, w samochodzie. Pan jest nas pijaciel, arbata? Co? Arbata, pić? Tak, dzięki, na chwileczkę.

W pokoju czarowała telewizja. Paru z nich rozwalało się w waciakach na łózkach, telewizja szła z wyłączonym dźwiękiem, gapilem się na obrazki, moi nowi gospodarze... nie byli tacy jak Laotańce, którzy przyjechali wprowadzić nielegalnie, ale inaczej... niektórzy pogrążeni w swoim folklorze... wesoło wskoczyli na ścieżkę... te waciaki i ta telewizja, wciągnąłem powietrze... zmęczenie, zwietrzałe piwo i złe pytania, które stapiają się w jedno, bardzo niepokojące, podmywające grunt: Co my tu robimy? Co dalej? I gdzie by pojechać? I po co?

Patrzyli na mnie, paru z nich wstało i ulotniło się, zauważyłem, że pod łóżkiem leży maczeta, wokół kłęby kurzu, ale na niej ani pyłku... no tak, w tym domu, dookoła drut... to było niewolnictwo, a herbata była gorąca.

Wyglądałem przez okno, nagle otworzyła się brama i przed hotelem zatrzymał się samochód policyjny, strażnik gorliwie podszedł do niego, a więc jego jednak nie wykiwałem... podniosłem się, ledwie moi gospodarze zaczęli rozmawiać, widzieli kierunek mojego ruchu i wyraźny gest, bardzo szybko i z pełnym zrozumieniem wstali, no tak, między nami handlowcami... nic, nic, powiedział jeden, poprowadził mnie korytarzem do okna, łazienka była dosyć niesamowita, prysznice wyrwane ze ścian, jak po bitwie... myć się tutaj, po co? W takich miejscach ludziom przestało zależeć na ważniejszych rzeczach niż mycie, wyszedłem przez okno i skoczyłem... skulony uciekałem pośród pokrzyw na tyły budynku, przez lasek przemknąłem do samochodu, wybiegłem na szosę... jeden z tych, którym dałem kartkę, siedział w rowie, głowę miał zwieszoną na piersi, pozostali dwaj dawali wycisk Elegantowi... puściłem się pędem, zmagali się bezgłośnie... jak tylko to do mnie dotarło, zawołałem głośno: Hola, ho! Odskoczyli od niego, ale zobaczywszy, że to tylko ja, znowu zaczęli, przebiegłem jednak obok, ja ich nie interesowałem, i wpadłem do samochodu, a kiedy poczułem, że zadyszany Elegant, po wszystkich tych podróżach poznawaliśmy się już po dźwiękach, wsiał z tyłu, nacisnąłem na gaz.

Jechaliśmy w milczeniu. Zacząłem się zastanawiać, może Czarna ma forszę, może wystarczyłoby tego, żeby wyjechać do Wiednia, do Budapesztu... gdzieś tam, ale Elegant nagle powiedział: Niech pan się zatrzyma. Zrobiłem to. Byliśmy pod mostem, myślałem, że jest ranny albo coś w tym stylu, ale ktoś zapukał w okno, był to ten Wietnamczyk, który siedział w rowie i wyglądał na załatwionego... jęknąłem i kurczowo chwyciłem kierownicę, ale Elegant poklepał mnie w ramię: To jest przecież ten pan! Dzisiaj wyszło to naprawdę wspaniale. To jest pan kapitan Zueng, jakoś tak to powiedział.

Dobra, Elegant, jak chcesz, przez pomyłkę zacząłem mówić mu per ty, ale zatrzymamy się na kawę.

Była to naprawdę piękna restauracja w zajeździe. Jako żółtków nie zamierzali ich obsłużyć, a mnie nie chcieli puścić do ubikacji, skoro nie chcę zamówić bez nich. Pojechaliśmy dalej, Elegant się podśmiechiwał i trajkotał z nowym nabytkiem, a ja... ja się wstydziłem. Choćby to miał być jedyny... odważny czyn w moim życiu. Zahamowałem i zawróciłem brykę. Panie Potok, ehm, powiedział Elegant... mamy przecież posłannictwo, nie ma sensu się denerwować... kurwy, wstrętne tłuste knedle, wściekałem się... mam gdzieś posłannictwo, Elegant... to jest posłannictwo, ja go zmiążdżę, bełkotałem, a w duchu widziałem tego kelnera... bezwartościowy typ, idiotyczna europejska mieszanka, gadane jak z telewizji, poganin bez snu... czeska świnią, jeden z milionów... wycisnąłem z tej bryki, nawiasem mówiąc niezłej, Łowca i jego ludzie nie byli nędzarami, szybkość piekielnego konia... krwisty obraz tego pseudosyna Szwejka i Stokurwy płonął mi pod czachą... Elegant próbował mnie przekonać: To nam nie da satysfakcji, nie, to nie... kapitan milczał, gość w kombinezonie roboczym, jemu było to chyba obojętne... na kogo się szykujemy... zatrzymaliśmy się, wpadłem tam, kelnera nigdzie nie było... wbiegłem do ubikacji, do kuchni... Kogo pan szuka? spytała mnie miło mała blondyneczka, przypominała mi Lwicę... ech, tu go nie ma, poszedłem na salę... Elegant i kapitan siedzieli przy stoliku i pili piwo, była jeszcze na nim piana... mają tu świetną wołowinę w sosie śmietanowym, wezmę z sześcioma knedlami, pan kapitan też, niech pan siada, panie Potok, ale, ale, jako kierowca chyba pan nie powinien... wypilem mu ten kufel.

To był znakomity pomysł, żeby tu wrócić, w ogóle ma pan wiele inicjatywy, pan generał jest z pana bardzo zadowolony... potem Elegant zaczął analizować aktualną politykę ministerstwa spraw zagranicznych w stosunku do komunistycznych państw Azji Południowo-Wschodniej, z doświadczenia wiedział, że to działa na mnie usypiająco... kapitan się odżywił... zacząłem się śmiać... blondynka uwijała się przy naszym stoliku... panie Elegant, proszę powiedzieć mi jedno... Tak, oczywiście, od tego tu jestem, drogi przyjacielu... Dla kogo pracuję?

Dla dobrej sprawy, może być pan tego pewien, nawiasem mówiąc, nie zna pan jeszcze historii pana kapitana, to lotnik, a kiedy po piętnastu latach wrócił z obozu reedukacyjnego, bo wie pan, jego mama była przewodniczącą Konfederacji Religijnej w Hue, więc kiedy kapitan wrócił do rodzinnego domu, do tej wioski, mama była na polu, wisiała tam, wie pan, komuniści ją ukrzyżowali...

Czarna siedziała przy małym stoliku, puszczała sobie muzykę, na stole paliły się świece, czekała na mnie. Miała białą suknię, a poza tym inną fryzurę. Włosy zaczesła do góry. Zdjąłem jej tą sukienkę, nie oszczędzałem jej specjalnie, już mi na niej nie zależało, tylko szybko spojrzała, ale podobało jej się to, zwaliliśmy się na łóżko i kochaliśmy się... i od tej chwili nie miałem już tych snów. To wspaniale, powiedziałem... I ciągle będzie, powiedziała. Jeśli nikogo nie masz... Nie, tylko ciebie... No, myślałam o tych sukniach, są czyjeś. Gdzie ona jest?... To już są tylko suknie. A ty jesteś sama?... Tak... Nie chcesz gdzieś pójść, wieczorem? Tak. Jeśli myślisz o tym facie, którego walnęłaś, to nic mu nie jest. Nie musisz się ukrywać. On już wyjechał. Wiem to. To dlaczego chowałaś się tutaj, przecież... Odpoczywałam, wiesz. Jestem zmęczona... Hm.

Potem pojechaliśmy do niej, zaraz następnego dnia. Wziąłem parę swoich łańców, poza tym właściwie nic nie mam. Mieszkała naprzeciw Ohrady. Na poddaszu. Spory pokój, była tam też kuchnia i... już żadnych reklamówek i żadnego strychu. Tylko schody i nory, było to wspaniałe. Stół i jakieś półki. Aparatura do muzyki. Wyglądało na to, że w dowolnej chwili może zmienić adres.

Wtedy uroczyście przekazałem jej solingeny, znikła z nimi w kuchni, a ja przeczesywałem katanę... fotki, które zabrałem staruszkowi, znikły. Czarna... ale dałem temu spokój. Czy je zabrała, czy je zgubiłem... tak samo było, kiedy opowiadałem o swoich poszukiwaniach. Bołkońskiego. Nie znam, może dawniej nazywała się inaczej... rodzice mieszkali na Lenina, nie wiem... Dernet, nie znam... jakichś ćpunów spotykałam, w końcu kto ich nie spotyka, ale na osiedlu? No, tak, Czarna, to chyba nie był trop, cieszę się.

Musiałem obejrzeć sobie to poddasze, ale oprócz jej mieszkania było tam tylko jeszcze jedno. Z tyłu. Nie podobało mi się nazwisko na tabliczce. Ten Max, mówiła Czarna... to taki spokojny facet... ten pan Špon już się może wyprowadził, dawno go nie widziałam.

Czasami w nocy na parapet przylatywały gołębie. Czarna mówiła, że dawniej dawała im jedzenie. Ciągle badałem jej twarz, jej ciało... kiedy nie jeździłem z Elegantem, potrafiłem siedzieć na miejscu i na przykład tylko udawać, że czytam... z nią potrafiłem nawet milczeć... a to już jest coś, jeśli człowiek nie musi wypełniać tego strasznego umierania czasu słowami, oznacza to zaufanie... o szczęśliwym okresie nie da się mówić, jest on tylko nieprzerwanym powtarzaniem się tkliwości, a tkliwość jest poza słowami.

Słuchaj no, nie odwracasz stron, już od pół godziny.

Trochę rozmarzyłem się o tobie.

Ja jestem tutaj.

Piliśmy. Ale Ognista działała na mnie inaczej niż przedtem. Raczej mnie kołysała, kiedy splataliśmy ze sobą swoje słowa, a chwilami także języki... miałem wrażenie, że czuje moją potrzebę, najpierw, że poddaje się jej, bo po prostu nie ma innego wyjścia albo akurat ma ochotę z kimś być, ale potem... zwłaszcza kiedy leżeliśmy obok siebie, a ona mnie dotykała... całkiem możliwe, że także tego potrzebuje, że czuje głód, ten sam, który czuję ja.

Nie miała żadnych ochronnych amuletów, ciało czyste, niemal... srebra nie potrzebuje, mówiła mi, a ja jej wierzyłem. Madonny z szyi nie zdjąłem, chociaż... Czarna tego chciała... bądź całkiem nagi... nie znoszę, kiedy faceci mają jakieś kółka. Tego swojego srebra nie zdjąłem jednak nigdy.

Opowiadała, słyszałem jej przytłumiony głos obok siebie... ucieszyło mnie, że kiedyś również grała, nie w Pradze, i zaskoczyło mnie... ty pracowałaś w gazecie? Ty byłaś sekretarką, zaraz zemdleję! W telewizji, naprawdę? Tego nie mogłem sobie wyobrazić. Później o tym, jak polubiła śpiewanie, jak spodobało jej się, że dociera gdzieś śpiewem... i do ludzi.

Lubiłaś pracować... w Czarnej?

Tam nie. Ale lubiłam śpiewać... nasrać to tym idiotom w kutasy. I widzieć, jak tego chcą, jak się na to łakomią...

Przecież nie wszyscy są...

Z góry to są mordy. Jedna mordą. Czasami zlewa się to ze sobą.

Nie ma czasu sobie wybrać?

Czasem tak, czasem sobie człowiek wybierze... ja wybrałam sobie ciebie. I jesteś tu. Pamiętam, wiesz, jak was nazywaliśmy?

Nie.

Spokojny stolik. Tam mało stolików było spokojnych. Ciągle... ktoś wyciągał rękę do mojego tyłka.

Myślałem, że cię to bawi... a Hadraba opowiadał... wszystko jedno.

Nienawidziłam tego... z tobą siedział tam czasem taki chłopak, z wielkim nochalem... taki chudy, ciemne włosy... on też mi się podobał.

Rekin!

No... nazywa się David, tak mi powiedział...

Nie. David wygląda inaczej.

Powiedział, że nazywa się David, nie wiem dlaczego. I chciałam spytać... po co wtedy wlałeś do tego kontenera... zraniłeś się...

Było nudno, wszyscy się gapili... spokojny stolik, tak?

Opowiadałem jej także historię o żebrze. Jak je Bog wyrwał temu pierwszemu. Nie wierzę, powiedziałem, że wziął tylko to żebro i dał to żebro jej. Ucieszyłem się, że zna pradawną bajkę o Hermafrodyce. Kiedy mi o niej mówiła, było to tak, jakby mówiła mi o niebie i o dole.

Nigdzie indziej przecież nie byliśmy.

Dni mijały. Nie liczyliśmy ich.

Te dni... moja miła hałasuje na schodach, popija piwo „Trzej muszkieterowie”, któregoś popołudnia siedzi tylko w czerwonych majteczkach z pajęczynką na krawędziach... ciągnie mnie za włosy... podwija swoje niesamowite rzęsy tajemniczą pałeczką, trzymam ją za głowę... a w powietrzu gdzieś nad nami i innymi drżą druty, z kanałów unosi się para, mury domów nabrzmiewają stuletnim tynkiem, pasami zdziczałej miejskiej skóry... idziemy koło boiska, skąd dobiegają lakoniczne polecenia, jest duszno, idziemy przez most, powoli, znużonymi krokami, bo zanoszą się na burzę... czujemy pierwsze krople i ona zatrzymuje taksówkę, jedziemy w górę, powietrze otwiera się błyskawicą, ostre światło, światło z góry. Oświetlona ulica.

To jasne, że facet przychodzi z góry, skoro daje nasienie, kobieta bliższa jest ziemi, dlatego rodzi, ale facet lata. Boi się więc bardziej wszystkiego, co jest w górze. Kobieta trzyma i jest na dole, to jasne, ja w to wierzę.

Ale przecież w ziemi też są... niebezpieczne rzeczy.

Wszystko jedno. Ziemię można wytrzymać.

No, Czarna, skoro to mówisz, to pewnie wiesz... kim jest ten Moriak na twoich drzwiach, to ojciec?... nie chcę, ale wypytuję.

To jestem ja. Nie mój ojciec! On nie! Już mnie śmiertelnie wkurwiało to wieczne „ova”. To sobie praojciec Czech wymyślił dla swoich kobiet, przecież wszystkie były jego. Żeby nie musiał pamiętać nazwisk i teraz każda jest „ova”.

Ty jesteś „a”. Miałaś kiedyś dziecko?

Nie.

Zostałem u niej. Kosztrze opuściłem, nawet się nie pożegnałem. A raz, kiedy siedziałem na oknie, a Czarna coś opowiadała, coś z przeszłości... dostrzegłem niewiarygodną grę światła, był to prawdziwy skarbiec kolorów, mały pajęczek prządl swoją sieć z wielką szybkością, to nie była pułapka, w to coś nic by nie złapał, to była chyba zabawa albo raczej tajemne przesłanie radości ruchu, wiadomość dla kogoś... pajęczyna była delikatna i tajemnicza, poruszała się na wietrze, powiewała unoszona jego porywami, jakby była tu tylko dla niego, albo odwrotnie, on jakby był dla niej, to się łączyło.

Wieczorem czasem gdzieś szliśmy, na razie unikaliśmy znanych lokali.

W tej kawiarni miejsce było tylko przy szachowym stoliku, kiedy Czarna poszła zadzwonić, nie pytałem do kogo, jej rzecz, rozłożyłem szachownicę, tylko tak sobie... przyszyłymi namyśl konie i laufry z chleba... póki robimy z chlebem to, a nie co innego, mówił mi tam pewien staruch, wszystko jest w porządku, wszystko jest całkiem wiosenne.

Wiosenne, powiedział.

Chcesz zagrać?

Spróbujemy.

Poruszaliśmy figurami w różnych logicznych ciągach, ale ponieważ mówiliśmy przy tym i popijali, nigdy właściwie nie dokończyliśmy tej pierwszej partii... zbliżyliśmy się ku szachownicy chyba jak ku punktowi ciężkości, dobrze, kiedy coś znajduje się na stoliku... do tej kawiarni chodziły na ogół tylko starsze panie, często tylko my wlewaliśmy tu w siebie trochę więcej kieliszków... kelnerom to się podobało, tak jak i nam... raz Czarna parsknęła, bo jej czarno-biały... pingwin pomógł włożyć parszywą katanę i mówi: Zapraszamy znowu, łaskawa pani... ja się nie śmiałem... A na dworze chwyciła mnie i powiedziała: Czegoś takiego nie znam, będziemy razem. Ty... Czarna... nie mów takich rzeczy, bo ja... nigdy mnie nie opuścisz. Szliśmy przez kałużę, a mnie się przez chwilę zdawało, że to jama, która dokądś prowadzi, szyb, a kiedy bawiłem się słabymi błyskami w ciemnej wodzie i mrużyłem oczy, Czarna powiedziała: Uwierz w to, że cię nie opuszczę, już nigdy, nawet się nie da. Ale ty... nic nie wiesz! Ty bardzo mnie lubisz. Spojrzałem na nią. Patrzyła... ze złością, jakby jej się to nie podobało, jakby to, co nas czeka... a ja wierzyłem, że czekają nas dobre rzeczy razem... jakby tego nie chciała... była zła. Wszyscy mnie wkurzacie! Ty też! powiedziała. Odwróciłem się i gdzieś poszedłem, a kiedy obejrzałem się przez ramię, zobaczyłem, że stoi tam przy kałuży, sama... nieporuszona, widziałem jej oczy, tylko ten blask, czułem ją, była we mnie... jej postać jest wypalona na moim ciele, a to, co przekracza te kontury, dawno odciąłem... i tak trwa do dzisiaj, po wszystkim, co się stało... potem szliśmy obok siebie w milczeniu, a miasto było przyjazne. Nie wiem dlaczego.

A rano Elegant uśmiechnął się, kiedy wziąłem kopertę, czuł chyba, że mam ochotę zwiać. Ruszyliśmy do jakiejś fabryki, dwa dni telefonowaliśmy w tej sprawie. Do środka weszliśmy bez trudności. Tym razem Elegant był trochę... rozedrgany, co było rzeczą niezwykłą, może znaleźliśmy się już tak dobrze, że nie uważał za konieczne nakładania przede mną maski... przecież takie życie trwało już trzeci miesiąc... wszystko szło jak po maśle, znaleźliśmy blok, korytarz, nikt o dziwo nie stał nam na drodze... Elegant przystanął i wyjął papierosa... tym razem, panie Potok, mam nadzieję zobaczyć swojego syna, proszę więc pana o wyjątkową gotowość do działania w wypadku jakiejkolwiek potrzeby... połknąłem to, co miałem na języku, mianowicie, że nie jestem żadnym gorylem itd., i spytałem: Syna? Widać było, że się waha... jakoś nie chciało mu się otworzyć drzwi... przez to, że znowu mówi, dosłownie wraz z ruchem języka wracała mu pewność siebie: Wtedy, kiedy odbiliśmy naszą, żeby tak powiedzieć, rodzinną łódkę od brzegu ojczyzny, która stała się dla nas niegościnna, a nawet niebezpieczna i macosza, rozszczerły się karabiny maszynowe... Elegant dramatycznie ściszył głos, a ja z przyzwyczajenia postawiłem oczy wstępu i chwyciłem się za serce... już wiedziałem, że go to bawi, był to nasz język... wiosłowaliśmy jak wściekli, ale jeden z moich synów, najstarszy, został trafiony, wpadł do wody... potem dowiedzieliśmy się, że go uwięzili, poddano go reedukacji, a potem... jak większość panów, których znaleźliśmy i przetransportowali na miejsce przeznaczenia... zmienił tożsamość i twarz, panie Potok, twarz również... i boję się, że go nie poznam... Elegant powiedział to szeptem i widziałem, że czuje się źle... ale... był najwyraźniej wypełniony tym, co nazywał posłannictwem... podszedł do drzwi i otworzył je.

Facet wcale dobrze nie wyglądał, trochę przypominał żabę, małpę z wytrzeszczonymi oczami w ogromnej głowie, tak wyglądają mrówki żołnierze. Patrzył na nas z otwartymi ustami, nie spodziewał się odwiedzin, gapił się, oparty plecami o lodówkę, dla pewności otoczoną łańcuchem z dwoma zamkami. Ale bez wątplenia był to on, podniósł się i coś wyjąkał... Elegant lekko się zakołysał, wytworny gość w garniturze, a naprzeciw niego on... pośród innych był to taki osiłek, mrówka żołnierz. Elegant otworzył ramiona, zaczął coś głośno i szybko trajkotać, widziałem, że to właśnie jest ta chwila, więc cofnąłem się pod okno, patrzyłem na dwór, czekałem obok.

Ciągle się wstydzilem. Za kierowników hoteli robotniczych, urzędników, telefonistki, szefów... kiedy dowiadawali się, że chodzi o żółtków, zachowywali się na ogół okropnie, ich

życie wewnętrzne całkiem niepotrzebnie znajdowało wyraz w aktach okrucieństwa, często mimowolnych... tępota... ciężało od tego wspólne niebo nad nami... z pewnością lepiej jest leżeć w gnoju niż układać się ze strasznym człowiekiem.

Może były jakieś wyjątki, nie spotkałem ich, nie było czasu... po którymś bezskutecznym wypytywaniu znowu się rozkleiłem, upiłem się, mimo wszystkich uspokajających manewrów Eleganta uchlałem się i wszcząłem awanturę w jakiejś wiejskiej knajpie, żółci mieli tam wydzielony stolik, żeby przypadkiem nie doszło do jakiegoś mieszania się, o którym przecież w *Szpitalu na peryferiach*, *Kobiecie za ladą* ani w kapralu Zemanowiczu nigdy nie było ani słowa, wobec czego taka rzecz nie istnieje... krzyczałem coś o chłopach w sąsiedztwie pewnych obozów, gdzie praca czyniła wolnym od wszystkiego... Elegant odegrał japońskiego turystę i robił im zdjęcia, żeby nie dali mi w mordę, miałiby rację, przesadziłem, dałem się ponieść pysze, powinienem był dać im spokój...

Wszystkie stare sztuczki i przebrania, i kanty, po prostu szybka praca, wcale mnie to nie cieszyło, wstydziłem się za ludzi swojego plemienia także przed Elegantem, a on żył tu, jak mi zakomunikował, dziesięć lat, znał to i śmiał się z tego. Nie wiedziałem nawet, dlaczego tak bardzo mi to przeszkadza, tylko ze swojego wstydu, który mącił mi krwawą we wszystkich żyłach, chwilami wyciągałem jakieś poczucie, że zagrożeni jesteśmy właściwie i my z Czarną... mocno i pod każdym względem.

Nie wiedziałem też, co to właściwie za kapo ten Łowca, instynktownie byłem z nimi, ale myślę, że ich posłannictwo... że po prostu zrobiliby wszystko, nie przestraszyliby się żadnego świństwa, byli wojownikami, i to w dość okrutnej wojnie. Petycje ich nie interesowały.

Panie Potok, pouczał mnie znowu kiedyś Elegant, wprawdzie wiemy już, że wszystko jest inaczej, ale co naprawdę do czego należy i czemu służy, to prawdziwa zagadka... dotyczy to, rzecz jasna, całego wszechświata, także najdrobniejszych przedmiotów, żeby posłużyć się konkretnymi, na przykład semtex, wie pan, wy, Czesi, posłaliście go wtedy naszym nieprzyjaciołom we właściwej chwili... to dało Amerykanom popalić, ale wie pan, nasi ludzie... no, pan wie już dużo, ale czy pan wie, że nasi chłopcy, którzy w imię swojego posłannictwa przenikają z Tajlandii i spędzają na ścieżkach niekiedy całe tygodnie, żeby ukarać jak najwięcej komunistów, mają małe kawałki semtexu na żołądek? Naprawdę, szczególnie nasi ludzie, a zwłaszcza, niech się pan nie gniewa, ci z Europy Wschodniej, mają trochę zepsute żołądki. A mały, naprawdę malutki kawałek semtexu potrafi zmęczonego wojownika porządnie przeczyścić, proszę mi wierzyć.

Ponieważ było już jasne, że jestem co najmniej jedną nogą w pułapce... raz w przedpokoju Eleganta, kiedy znaleźliśmy piątego z krewnych, dostrzegłem kilka znanych, znanych z telewizji, kuferków, lśniły stalowo, a ja ani jednego z nich nie mogłem unieść... Elegant natychmiast stanął przede mną, uśmiechał się, może trochę smutno, nie wiem. Nie powinienem był tego dotykać. Nie powinienem był tego nawet widzieć. A skoro już zobaczyłem, powinienem był udawać, że to nic takiego. Może poddawał mnie próbie.

Ta miłość do niej rzuciła mnie na liny, pożądanie trzyma mnie w łańcuchach manii. Mimo wszystkiego, w co wdepnąłem, mimo tego szarpiącego niepokoju, który utrzymywał mnie w napięciu, byłem zadowolony. Wiedziałem, że za niektóre rzeczy się płaci... a czas z Czarną był najpiękniejszym czasem... myślę, że niewielu śmiertelników przeżyło coś takiego, czerpałem z niej siłę... bardzo niewielu facetów może, kiedy Stary Bog puści im film, znaleźć parę klątek, na których są z siostrą... przecież każdy facet czy facio, także nieszczęśnik, skreślony przez wszystkich wypierdek, szuka swojej siostry, nie ma nic innego, jest to możliwość... życia z bogami już tutaj, każdy jej ruch to wojna ze Złym, jest w tym również łaska, wiedziałem... policzone są chwile przebywania tutaj i znaleźć siostrę znaczy wiele... i im więcej czasu pochłaniały jazdy z Elegantem, im bardziej zbliżał się koniec mojej pracy, tym lepiej byłem przygotowany.

Całą noc czekaliśmy na przyjście rannej zmiany. Czekaliśmy na wschód słońca nad cegielnią w dolinie. Jedni się budzili, inni, zabłoceni, właśnie przychodzili. Kombinezony śmiesznie na nich wisały, mieli waciaki, czapki uszanki. Jak chcą się w tym porannym półmroku rozpoznać, tego nie rozumiałem. Niemniej Elegant nagle się poruszył. Szturchnął mnie łokciem. Poznał tego, po którego przybył, to był szósty. Poszliśmy w kierunku hotelu robotniczego, ja z przodu, zaopatrzony w swoje śmieszne podrobione dokumenty, na wypadek, gdyby był tam strażnik. Myślę, że na wypadek, gdyby strażnicy byli także z przeciwnej strony, Elegant zaopatrzony był jeszcze w coś innego. Ale nie pytałem o to. Raz mi powiedział, że tajne służby ich kraju noszą nazwę „Drapieżna ryba pod wodą”. A wasza? Ja słucham rozkazów generała Vanga, odparował.

A potem raz z Czarną, moją miłą, stało się to... przemiana. Byliśmy już razem tak długo, już tyle jedno o drugim wiedzieliśmy, dawno już znałem rysunek, który miała na skórze uda, znałem go na pamięć, ale mimo to... każdy dotyk, każdy pocałunek był jeszcze bliższy, jeszcze mocniejszy, dokładnie tak jak w literaturze romantycznej, w jakimś kiczowatym romansidle... rano krzyknęła, zbudziłem się z gwałtownym dygotem, byłem w niej, chciałem się poruszyć, ale nie dało się, trochę się odchyliłem, żeby jej piersi, przyciśnięte do moich, mogły wciągnąć powietrze, ale... byliśmy połączeni. Nie mogliśmy się od siebie oderwać. Boli cię to? spytałem jeszcze odurzony snem. Nie, ale nie mogę wstać ani nic!

Mogliśmy poruszać tylko rękami albo nogami, leżeliśmy na boku i próbowaliśmy pełznąć... położyłem się na plecy, trzymałem ją za ramiona i uda, czułem, jak porusza łopatkami. Była na mnie, całkiem nas to wyczerpało, odpoczywaliśmy... byliśmy jak nagi... pająk, jak jakiś nowy stwór, dziwaczna istota, skóra i włosy, i paznokcie, oczy... Ty, siostrze, powiedziałem jej, ale ja cię kocham... No, najwyższy czas, wreszcie to z ciebie wyszło, ja też cię kocham... stare słowa sprawiły nam ulgę, coś takiego wypowiada się trudno... i chociaż nie mogłem się ruszyć, poczułem, że ona rusza się wewnątrz, bardzo delikatnymi i czułymi... upartymi... falami, krąży, i stało się to... Ale z siostrą dziecka mieć nie mogę, przemknęło mi przez głowę, kiedy upadliśmy, jeszcze ciaśniej spleceni, ponieważ teraz połączyły się także nasze ręce i nogi, i języki... chciałem czuć ją językiem, ponieważ dowiedziałem się od niej, że kiedy kocham ją językiem, jest to jeszcze piękniejsze i bardziej skomplikowane niż mowa... wtedy już sobie dawaliśmy wspólną mowę, tą drogę, zanim wybuchną obrazy w głowie... albo wpadną w słowo języka... ale droga, którą musiałem w niej, wilgotnej i tkliwej, przejść, to, czego od niej i w niej nauczyłem się dobić językiem i jego pieszczotami... żeby westchnęła z rozkoszy... to była droga za głosem, który jest czymś więcej niż słowo i nie da się słowem wyrazić... tylko że teraz... nie mogliśmy się od siebie oderwać.

Słuchaj, mój najdroższy, powiedziała Czarna, może bym wstała... może już, kawę? No tak, ale, powiedziałem ja... to ty, ty mnie ścisnęłaś... O, naprawdę? Bzdura, to ty tak wyrosłaś... idźże!

Musiała jednak przyznać, że co najmniej jest to sprawa nas obojga... próbowaliśmy się wyswobodzić, ale nie dało się... ponad jej nagim ramieniem zobaczyłem drzwi, przestraszyłem się, myśl, że przyszliby, ktokolwiek, stamtąd i zobaczyli nas, nie wytrzymałoby tego, chcieliby nas rozdzielić, to było niebezpieczne... a my w tej nowej kwestii miłości byliśmy całkiem bezbroni, opanowała mnie panika, Czarna pode mną znikła, gramoliłem się ku drzwiom, żeby sprawdzić, czy przynajmniej są zamknięte na klucz, ona jest mniejsza niż ja... ale wścikała się... uderzała głową o szczyt łóżka, ugryzła mnie, jej włosy przeciekały mi przez twarz, gmatwanina jej włosów, nic nie widziałem... potem zaczęło boleć, bo już mnie nie obejmowała, znowu położyłem się na plecy, leżała na mnie i odpoczywała... Nigdy cię nie pytałem, ale powiedz mi, skąd masz te blizny... Nie! Powiem ci to, kiedy sama będę chciała! Masz je... od dawna? Roześmiała się... O to ci chodzi? Tak, mam je od dawna, od bardzo dawna... ciągle się śmiała... Hadraba mówił, że jesteś zła...

mnie nie wydajesz się taka. Potem dostrzegłem ruch, gmerała ręką w kieszeni moich spodni, wyciągnęła to... słyszałem szcęknięcie... Czarna, nie! Nie rób tego! Przycisnęła mnie i czubkiem noża ukłuła mnie z tyłu, delikatnie, ale przestraszyłem się... podniosła głowę i spojrziała na mnie, nóż w ręku, szarpnęła tyłkiem, byłem ciągle w niej... Wybacz... czytałem gdzieś, że wskutek szoku da się to rozluźnić... szpilką! Przepraszam, całowała mnie, żebym już się nie śmiał... podała mi nóż, chyba wtedy zrozumiała, że to chodzi o jej zaciśnięcie... Lekko ukłułem ją w ten piękny tyłek, dwa razy, ale nie pomogło... Poczekaj, powiedziała, musimy czekać, kiedy nie będę się tego spodziewać... Tak sobie rozmawialiśmy... próbowaliśmy zrobić kawę, było to całkiem zabawne, chciałem wywołać szok za pomocą zimnej wody, ale nie pomogło, gorąca też nie... Czarna... już jesteś po prostu trochę zniszczona, już z ciebie zdarta dziewczyna, ty wilczyco, jakie tam szoki na ciebie... Zostanemy tak, szeptała mi, bo... znowu zaczął się ten kolisty ruch w niej, wpadałem w nią i znowu byliśmy bardziej razem, i ciągnęłoby się to dalej... może zdołalibyśmy przewycieżyć... nawet śmierć i zostali tak... jak postacie na starej rycinie, jak figury wyszyte na kobiercu... ale rozległ się dzwonek, dzwonił, bez żadnych znaków, skamienieliśmy.

I nagle rozluźniło się, przewaliliśmy się na łóżku, ja usiadłem. I odezwał się głos: Przepraszam bardzo... Czarna głęboko odetchnęła... czy jest tam pani Moriak... owa? Tak... Mówi Křepelka, jestem z brneńskiego oddziału Związku Filatelistów, przepraszam, czy mogłaby pani znowu schować coś dla pana Spona, a mogę wejść, proszę pani? Nie! A nie wie pani, czy on, pan Spon, czy nie zostawił u pani takiej koperty? Nie! I nie mam czasu.

Dziwak poszedł sobie. Byłem rozczarowany, filatelisty jeszcze nigdy nie widziałem. Trochę pieściliśmy się wszystkimi częściami ciała, ale ponieważ w nocy specjalnie dużo nie spaliliśmy, a ja miałem wolny dzień... znowu, obejmując się ciasno, zasnęliśmy, ale już tak bardzo blisko siebie nie byliśmy. Mnie to przeszkadza, szepnąłem i przycisnąłem ją mocniej... Wiem... był to poranny cud, przemiana... innych potrzeb nie mieliśmy... a jeśli, jeśli życie może być także takie, choćby na chwilę... to zgadzam się, pomyślałem, kiedy zasypiałem i w kręgach pod powiekami znowu widziałem twarze, kolory chaosu i kręcące się koła, i metalowe wieże, które nakłuwały powietrze... ale teraz wyglądało to inaczej, nagle dowiedziałem się, dlaczego to jest... nie żebym to rozumiał, ale było to... radosne, byłem częścią tego chaosu, miało to sens... i chaos miał swój kolor, widziałem go, ale zaraz zapomniałem, był jak uśmiech.

Kiedy obudziłem się i poruszyłem, żeby być bliżej Czarnej, czar prysnął, stała przy oknie... u Spona coś się dzieje, powiedziała, ktoś tam wszedł... idź zobaczyć, proszę cię... czyżby się bała... to mnie zdziwiło, no, mieszkała tu sama tak długo. Na poddaszu.

Zaraz zauważyłem, że jedna płytką podłogowa... nade mną były tylko wiązania dachu, strasznie zakurzone... moje kroki wzbijały kurz, wznosił się w kolumnach, promienie słoneczne wpadały tu przez lukarny... płytką lśniła, promień odbijał się od niej i zostawiał jej swoje światło, był to silny blask, a potem drzwi mieszkania gwałtownie się otworzyły... stał tam wyrostek... żuł gumę... Pan Spon? spytałem uprzejmie... Na Jowisza, powiedział ten pędrak, chodźcie tu, chłopcy, patrzcie, co za typ tu się pęta... wyleźli kolejni gówniarze, ale nie, ci byli trochę starsi... najgorszy z nich, chuligan z loczkiem na czole, mówi: Odwal się, obywatelu, bo możesz ponieść uszczerbek na zdrowiu... gówniarze kombinują stary język z nowym tak jak ja, ale guzik o tym wiedzą... O, to dopiero waźniak, zawył jeden z nich, rudy, miał średniowieczne pumpy, wokół szyi łańcuch, nacięte nadgarstki, że niby podciął sobie kiedyś żyły... za nim laźł następny... było ich pięciu, to sporo, a ostatni z nich prowadził psa... warczał i ślinał się, był to pies bojowy, bigget, ta rasa jest zakazana, używa się ich do nielegalnych walk gladiatorów, uwielbiają je bananowi młodzieńcy, znudzeni pseudoigrzyskami... powoli wycofywałem się... widziałem, że w mieszkaniu Spona walają się jakieś papiery, leżą przewrócone krzesła, z tyłu była jakaś skrzynia, chyba czegoś

szukali... jeden z nich, wysoki blondyn o pedalskich ruchach... kokieterijnie kołysał biodrami, ruszył ku mnie, sięgnąłem do kieszeni, że niby... chłopcy tylko patrzyli, chyba był to szef... Słuchaj no, kiciuniu, mówi ten fircyk... czy ty jesteś? Nie przybyłeś czasem przez czysty przypadek z... Brna? Zaświtało mi. Ja nie jestem żaden fiutelele, yyy, filatelista, ja tu mieszkam... Więc gdzie jest ten palant, kurwa? spytał blondyn. Gdzie jest ten gość, co tu stał na drodze? Do kurwy nędzy... blondyn podniósł ręce, a przez twarz przeszedł mu niepoczytalny grymas... jeden z bandy skoczył do niego... nie wariuj, Miran, przyskrzynimy go, daliśmy ci słowo... Pracujcie, chłopcy, jęknął ten czarnowłosy, który trzymał Mirana... i rudy i jeszcze jeden, który miał na głowie czerwoną wytłuszczoną czapkę, już biegli schodami w dół... ciągle stało tu trzech... szef, chyba kompociarz... trzech to ciągle sporo, zwłaszcza po słodziutkich doświadczeniach... i ten pies!... rozedrgały mi się nogi, nie mogłem się opanować, teraz już coś miałem, Czarną, a trzeci gówniarz mówi: Puścimy na niego najpierw Cwaniaka, odgryzie mu jaja, ale będzie zabawa... jak wtedy z żółtkami, nie? Odpierdoliło wam, pofilujcie na mnie, facet jest z Brna. Kim jesteś? spytał szef. Mieszkam tu na strychu. Ale... powiedział blondas i coś mu się stało z oczami, ale tu jest tylko jedno mieszkanie! Tak, kiwnąłem głową, jakoś to na niego podziałało. Ty jesteś... musisz być... Moriak. Morti! Tak, mieszkam z siorą. No... blondas połknął ślinę, drugi gówniarz cofnął się o krok, a kiedy jakby... niezobowiązująco i całkiem miło... spojrzełem w kierunku ostatniego, zobaczyłem, że gość opiera się o belkę i studiuje wiązania dachowe, klepnął psa w pupę, pies usiadł. Ale gapił się na mnie.

No, szefie, powiedział blondas, wybaczone, mamy tu robotę... a ona wie, mamy z nią umowę. Wy macie umowę... z moją siostrą? podniosłem głos. Tak, przysięgam, jęknął blondas falsetem. Wyszedłem tylko rzucić okiem, powiedziałem... i wracam. Zrobiłem to. Nie pożegnałem się z nimi.

Łamałem sobie głowę nad tym, co może mieć Czarna wspólnego... z tymi małolatami, czyżby z baru... jakieś narkotyki, walki... gladiatorzy, bzdura. Przeszedłem koło dziwnej płytki podłogowej, teraz promienie lepiły się do niej bardziej matowo, słońce się przesunęło... i zatrzymałem się, bo usłyszałem... to była Czarna!... mówiła: Rusz się, idź. Starczy, spływaj, cholera.

Ona... szeptała, puściłem się pędem... facet schodził po schodach, zniknął, Czarna mnie złapała, kiedy zobaczyłem jej uśmiech, uderzyłem ją, zdumiona wytrzeszczyła oczy, opadła na ziemię, ale ciągle mnie trzymała, objęła mi kolana, chciałem ją odepchnąć, trzymała mnie mocno... Nie! Nie, nie wolno ci... jeszcze nie! Ty ścierwo, już nie mogłem jej strzelić, zrobiłem to w szaleństwie, podniosłem ją, odwróciłem ku sobie, usłyszałem ten dźwięk, tylko nie to... Czarna, wybaczone, nie byłem sobą... z całej siły chwyciłem ją za ramiona i odwróciłem do siebie, ale ona nie płakała, śmiała mi się... w twarz.

Wszedłem do mieszkania i zacząłem się pakować... rzucałem tymi kilkoma rzeczami... stanęła pomiędzy mną a drzwiami i mówi... Nie rób tego, nie ma sensu. Kto to był? Słuchaj... to moja rzecz. Tak, mnie jest obojętne kto... ale dlaczego mi nie pozwoliłaś... To dawne rzeczy, bardzo dawne. My mamy czas. Czarna, ja ci nie wierzę. A ja cię kocham.

Wiedziała, jak to na mnie podziała. Właściwie nie rozumiałem, dlaczego mnie chce. Ze względu na łóżko... takim pyszałkiem nie byłem... jedyną możliwością było to, że nie kłamie, że mnie... może lubi. Albo tego nie wie, ale chce lubić. Albo jest w tym coś, o czym nie wiem ja... no, dobra, poczekam. Zostałem. Chętnie. I o nic nie pytałem.

Znowu siedzieliśmy wieczorem nad szachownicą i próbowali różnych możliwości, ruszaliśmy pionkami i figurami. W kawiarni wisały naprzeciw siebie lustra, można było w nie patrzeć i widziało się jedno w drugim, a w nim była kolejna nieskończoność, spokojnie i w oczywisty sposób, jak jakieś kawałki mięsa na desce do krajania.

Czasem garbiłem się i marszczyłem na rozmaite sposoby nad szachownicą i drinkami i udało mi się dołączyć do obrazu również tą poważną, często pełną namiętności twarz mojej

ukochanej, zatracala się w lśniących powierzchniach i znów się z nich wynurzała, ciągle dalej i dalej, a potem tutaj.

Niekiedy musiałem jej dotknąć, czasem mruzczała jak kot, podobało jej się to. Teraz muszę cię potrzymać, powiedziała i zrobiła to, a teraz muszę cię pocałować... szybko wsunęła się pod stół i dotknęła go, czasami tak mnie podniecała, że kiedy przez tkaninę dotykała go wargami i tańczyła językiem, musiałem ją chwycić za kark... rozpiąłem się... kilka razy musieliśmy wyjść z sali, do ubikacji, ściany były tam klasycznie usiane napisami... studiowałem obscena albo zamykałem oczy, ale i tak zawsze były przed nimi, za jej ramieniem, trzymałem ją na sobie, staliśmy za zasłoną, zaczepiła się o moje biodra, ręce trzymałem od spodu jak tyczki i jak gałęzie... pingwiny podejrzewały, ale dawały nam spokój... sama Czarna wypijała w jeden wieczór więcej niż przypadkowi przechodnie... bo w tej kawiarni nie było ani telewizora, ani wideosraczek, ani niby to gier, nie było nawet gazet codziennych, chodziło tam niewiele osób, ziewali, patrząc na siebie w przeciagu, w tej szopie skazanej na bankructwo...

Dość często szliśmy sami gdzieś w nocy. To wystarczyło. Byłoby nam dosyć trudno zareagować na kogoś innego.

Czasem mówiłem jej, skąd właściwie biorę forsę i co robię. W zarysach. Nie wyglądała na zainteresowaną. Chociaż żyliśmy z tego oboje. Może to dlatego, że pewien gatunek ludzi, niewykluczone, że ci, co przywykli żyć samotnie... nazbyt mają się na bacności, nie lubią niepotrzebnych rozmów, pytań, strzegą swojej wolności i wolności drugiego. Chociaż może najchętniej by się tej wolności wyzbyli.

Niekiedy opowiadaliśmy sobie różne sagi o swoim minionym życiu... ja mówiłem o sobie czasem w trzeciej osobie, tak mi się to dawne życie wydawało niewiarygodne. Ale niełatwo było mówić o mojej ostatniej paczce. Też miała dużo do opowiedzenia... słuchałem. A ten facet na schodach... widziałem go tylko od tyłu... nie był młody. Pewnie ktoś był.

Szachy... opowiadałem, gdzie się tego nauczyłem, skleciłem dla niej parę balladek, gadałem jak najęty...

Czasami przerywaliśmy grę i szliśmy się przejść, patrzyliśmy na ludzi... nic nie napędzało mi strachu, trzymaliśmy się za ręce, czasem.

Chodziliśmy do kawiarni często, a kiedy obeszliliśmy kwadrat ulic, wracaliśmy do swoich przerzuconych przez krzesła kurtek, do nieskończonej partii i do wszystkiego, na co właśnie mieliśmy ochotę, a co tam było.

A jaką to umowę mają z tobą łotrzyki ze strychu... co tam pieprzył ten ich szef?

Jeśli masz na myśli te małe robaczki... zanim zaczęłam w Czarnej, pracowałam jako instruktorka, w barakach... te dzieciaki miały tam salę prób.

Ty się zawsze płaczesz w swoich kłamstwach... i mat!

To są moje prawdy, a poza tym nie ma żadnego mata, twój ruch.

Niekiedy jednak Elegant i jego bandyci nieźle dawali mi popalić. Trudno było to wytrzymać. Wieźliśmy akurat jakiegoś gościa, który spędził parę lat w Kambodży, czołgiste, i Elegant mówił: Nie tylko zaufanie do pana jest już niezachwiane, ale również, jak pan może przy swojej godnej podziwu skromności zauważył, znajduje wyraz w odpowiednim wynagrodzeniu finansowym, drogi i szanowny przyjacielu... ja zazgrzytałem zębami, ponieważ jego horrory odbierałem już tak samo jak jego uprzejmości, a on to wiedział, dręczył mnie, dopóki się... nie zaśmialiśmy, bo tak się zwykle kończyło... skromności, mówię, ponieważ muszę powiedzieć, że nawet niektórym naszym chłopcom przywrócił pan wiarę w Czecha, tak, przywrócił ją pan swoją nienaganną pracą, tak to wygląda, panie Potok, to nie jest rzecz drobna... kurwa, świnią, dupa, lewar... kątem oka spojrziałem na niego, ponieważ rozmaitych wulgaryzmów, jak w języku literackim i pomyłonym nazywa się w gazetach niektóre słowa, ten wykształcony mąż nie znał i czasem udawało mi się go zagiąć... i teraz ścichł i rozmyślał... a potem mówi... tak, lewar, już rozumiem, czeski jest naprawdę

cudowny, lewar, to trafne, po chińsku to jest su t'ing, a po mongolsku hutan nagor, tak, czeski jest, jak bym to, panie Potok... mówił ten językoznawca, a może i zabójca... tak, czeski jest arcyprawny! Czyż to nie piękne, ach, Neruda, Jirásek, Placák, wielkie postaci! Jestem szczęśliwy, że... do dyskusji włączył się czołgista: toi da tung song voi puli pozikan tiap!... nasz przyjaciel, mówi Elegant, oznajmia nam, że w Stanach Zjednoczonych spotkał pańską rodaczkę, niejaką Pavlinkę Ponzkovą... szeska siefczina, dobra siefczina! mlasnął czołgista. Zatrzymałem samochód i przebiegłem się po lesie. Zaczynam mieć zszarpane nerwy, powiedziałem Elegantowi, musicie obaj być cicho, bo wpakujemy się na coś. Wytrzymał tylko chwilę.

Lewar, to niezmiernie ciekawe, a przy tym Hanč twierdził, że ordynarnych słów nie da się już wymyślić, gadał Elegant, proszę sobie wyobrazić, panie Potok... proszę łaskawie skrócić w lewo... że teraz pojedziemy dzień i noc i... Słucham? Boi się pan, że pana dziewczyna będzie się troskać o pana? Przecież pan zatelefonuje. Wie pan, ten nasz czołgista jest naprawdę przedostatni, potem musimy odwiedzić jeszcze jednego... krewnego i pożegnamy się... mam jednak nadzieję, że wkrótce powitamy pana jako gościa honorowego w naszej wyzwolonej ojczyźnie... proszę skrócić!... pan generał Vang chciałby osobiście wyrazić panu swoją wdzięczność.

No, powiedziałem sobie trzeźwo, więc teraz się dowiem, gdzie jest to miejsce. Skąd on wie o Czarnej?

Co pan powiedział o mojej dziewczynie?

No, że może pan do niej zatelefonować, żeby nie obawiała się niepotrzebnie o pana.

Pan wie, że jestem... z kimś?

Jedynie przypuszczam.

No, bzdury, nagle znowu zacząłem się zastanawiać, czy ten typek to łącznik Vohřeckiego, nie, on zrobiłby kluski z Nabiałowca i ugotował, chociaż dopiero na ucztę wiadomo, kto kogo ugotował. Po niej.

Jícha kojarzył mi się z tym... co zrobił Czarnej... a poza tym już o nim nie myślałem...

O czym pan myśli, panie Potok? odezwał się za mną głos mego pana. Rozsądniej byłoby chyba jechać prosto, nie jest dobrze zjeżdżać na lewą stronę. Mogłyby z naprzeciwka jechać jakieś auta!

Wyobrażałem sobie, ile na tym kursie zarobię... jeśli skończy się to dobrze i jeśli będę szybki... i jak koperty od Rudolfa połączę z moniakami od Łowcy i jak wyjedziemy... przynajmniej na jakiś czas... dalej jechaliśmy autostradą... wieczorem uświadomiłem sobie, że ten facet jest czołgistą... obudziłem go i usiadłem z tyłu obok Eleganta, wyjątkowo milczał... nie dało się jednak zasnąć, chyba inaczej kieruje się czołgiem gdzieś w kambodżańskiej dżungli, tak żeby wszystkich żywych w zasięgu wzroku zmienić w trupy, a inaczej sunie się po jakiejś zaszrajonej europejskiej autostradzie... byłem przez chwilę grubiański w stosunku do tego kochanka Pavliny... potem obudził się Elegant i poinformował mnie, jak to było z Pol Potem i Salothem Sarem i o tym, co robili Czerwoni Khmerzy, kiedy zabrakło im wapna na groby... wiedział to z pierwszej ręki od czołgisty... Elegant, pan przecież ma prawo jazdy?

Ależ oczywiście!

No to niech pan siądzie za kierownicą, ja już nie widzę na oczy.

Proszę wybaczyć, panie Potok, ale to jest pańska praca.

Ten kretyn w motelu naprawdę nie wynajął nam pokoju: Znieśliby podobno Eleganta, daliby dla niego łóżko rozkładane w moim pokoju, ale czołgista był w kombiniezonie roboczym... mimo że czeski Eleganta był lepszy niż mój, recepcjonista mówił, jakby był on powietrzem: To jest prywatny motel, powiedział mi, jak gdyby interesowało to kogokolwiek poza Diabłem, z którym zawarli tu pakt.

Kopałem nogą w grudki żwiru, Elegant o dziwo mówił krótko i rzeczowo. Wy tłumaczył mi, o co chodzi. Człogiście było to obojętne... on przywykł do fabryki, na autostradzie czuł się jak w raju. Chociaż nie miał już odwagi prowadzić. Wypiliśmy piwo, Elegant zadowolili się koniakiem i zostaliśmy w samochodzie.

Pan przede wszystkim nie wie, powiedział mi Elegant, co to jest dla naszych ludzi, kiedy na nich czasem nacierają ci młodzi... ten oto pan pułkownik załatwiłby ze skutkiem śmiertelnym czterech z nich w osiem sekund, między nami mówiąc, jest to jedyna rzecz, na której naprawdę dobrze się zna, ale nie może... ma posłannictwo... bardzo frustruje go fakt, że pod tym względem nie może się zachować właściwie, a ci młodzi są bardzo nierozsądni i bardzo nieostrożni.

Wepchnął mi pod nos zdjęcie, wycinek z gazety... nie powinienem był patrzeć, co ten poe mógł mi podsunąć... twarze czterech dziewcząt, Azjatek, były zmalretowane, wykrwawione i dobite, nosy połamane, dawałem każdemu z tych kwiatów jakichś siedemnaście lat... Elegant nawijał...

Tak wzięły mnie kiedyś obroty kół i kółek, że zbudziłem Czarną i: No to jedziemy! Tobie, siostrze, żadnych rozkazów, ale rusz się, jedziemy!

Dokąd, co się dzieje?

Musimy zaraz ruszać do Paryżewa, muszę tam wymierzyć klasę szkolną, tam nauczył się stawiać płot ten cały Pol Pot, weź sznurek i kredę, chcę to zobaczyć... może coś zrozumie.

Nie, nie zrozumiesz, poza tym chcę spać!

Na ogół kiedy już mocowaliśmy się na tym łożu z nocnymi biesami, musieliśmy się na siebie rzucić, przedtem pilnowałem, kto jest na górze, a kto na dole, teraz było to czasem zagmatwane... kto kogo utula, kto kogo miażdży, zawsze w zgodzie z pragnieniem, pragnienie było wspólne. Nic nie stało mu na drodze, chęci trzymania tego drugiego, siebie samego. Czarna... nie mówiła tak jak ja, ale... mieliśmy coś wspólnego. Te małe blizny. Na pewno nie były skutkiem wypadku na rowerku, nie pochodziły z żadnego miło bezbronego wieku dzieciństwa, kiedy dziewczynka klęka w nurcie strumyka i pod kamieniem łowi raki. Nie, ona miała swoje za uszami. Stąd te palce w pięściach, stąd niekiedy w nocy... leżała z otwartymi oczami. A kiedy czasem płakała... tylko wtedy, gdy myślała, że śpię. To jest dosyć paskudna rzecz, kiedy dziewczyna płacze tak, żeby leżący obok niej przypadkiem się nie obudził. Raz złapałem ją za włosy i przewróciłem, nie mogłem tego cichego żalu wytrzymać... ale tak przyłożyła mi kolanem, że zobaczyłem gwiazdy... potem miejsce, które zaatakowała z przyzwyczajenia, jak, chlipiąc, mi wytłumaczyła, leczyła oddechem i włosami, maczanymi w nasiąkniętym łzami... i zaczęliśmy od nowa.

Cóż ja wiedziałem. Niekiedy musiałem męczyduszyć, nudzić nawet wtedy, kiedy minęła rozkosz i ciała zbierały siłę na następną: Jedziemy! Czarna, chodź. Pojedziemy gdzieś!

Po pierwsze, nie chcę, powiedziała Czarna, po drugie, nie chcę, po trzecie, nie chcę, a po czwarte, nie tak, jak ja chcę, tylko jak chcesz ty!

Dzięki, już nie chcę.

W nocy przed tym wyjazdem długo rozmawialiśmy. Powiedz mi, jak to było pierwszy raz, Czarna, co myślałaś... dlaczego cię wtedy nie znałem... skąd jesteś?

Jestem z tobą, nie? Też masz pytania w łóżku... a ja ci nigdy nie powiem, dopóki sama nie zechcę... ale jednego takiego lubiłam, miał samochód.

Hm, to się dziwię... jakaś głupia bryka...

Nic nie wiesz, ty nic nie wiesz... to było nagle, szybko... poczekałam gdzieś, na peryferiach, żeby mnie nie widzieli... i nagle znaleźliśmy się za miastem, daleko, rozumiesz? Nie znałam nic w okolicy... a on mi pokazywał kościoły, cmentarze, nie wiedziałam przedtem, że są tam zamki i tak dalej. Byliśmy też razem nad jeziorem, chciał, żeby jakiś wędkarz zrobił nam zdjęcie, na pamiątkę, ale mówię mu: Nie! Co za idiotyzm to

fotografować, nie można. A ten zamek, taki olbrzymi, byłam bardzo młoda. Te drzwi, nie wiedziałam przedtem, że rycerze byli niskiego wzrostu, niżsi niż my, że mieli mniejsze drzwi i łóżka... byłam strasznie młoda.

Rycerze, wiem! Wchodzili też drzwiami, no tak! Czego nie wiedziałas o zamkach, przecież w szkole...

Tego tam nie słuchałam, tych ich bzdur.

Jasne... był starszy. Nie jestem zazdrosny!

Jesteś... i bądź! Bo mu to dałam. No, to nie było pierwszy raz, nie... ale chciałam, był dobry. Musieliśmy gdzieś, gdzie nie było ludzi... to był cmentarz. Na cmentarzach nikt nie przeszkadzał. Ludzie chodzą tam do nich tylko w określone dni. Tośmy przyuważyli. Pachniały kwiaty. Tylko po tych dniach, poza tym dają sztuczne, głupki. One umarłym nie pomagają, jak myślę. Robiliśmy to tam, tak było najbezpieczniej. Ale nie przemówiło to do mnie. Nie tak jaktobą, przysięgam, dlaczego nic nie mówisz... co jest?

Akurat skoncentrowałem się na jej uchu, wachałem je. Przypominało mi konchę, muszlę, było niesamowite. Słuchałem go, coś słyszałem... ale to tylko jej burczało w brzuchu, przesunąłem czubkiem języka... zaczęło ją to podniecać, ale mnie przypomniało... morze.

Czarna, wstańmy i ruszajmy, zaraz. Nad morze! Że też nie przyszło mi to do głowy, nigdy nie widziałem morza... zobaczę je z tobą, także dlatego jesteśmy razem. Na pewno! Wynajmiemy sobie łódkę i popędzimy, słuchaj, ty będziesz na nartach wodnych, ja cię pociągnę... będziesz machać... słuchaj, na mojej brązowej piersi będą krople, potem campari i ruletka... będziemy tam incognito, tajemniczy cudzoziemcy! Możesz na tych nartach zatoczyć koło, potem wrócimy... kokosy i palmy... zgarniemy forszę... możesz śpiewać w takt przyływu, słuchaj, na twoich wargach wraz ze słowami jakiejś piosenki będzie srebrna piana tej wody, chcesz? Potem cię zakopię w piasku, wystawać będą tylko twoje piersi i głowa, chcesz? A potem ty zakopiesz mnie!

Siadłem na łóżku i chwyciłem kierownicę, Czarna sunęła na nartach jak królowa, wzzzz, wzzzz, zakręcałem, chwyciła mnie i położyła się na mnie.

A powietrze tam będzie dobre. Będziemy gdzieś na plaży, w piasku. A jak mnie zakopiesz... cha, cha, cha.

Piszcząca, śmiałem się... ale ona nie... Nie wygłupiaj się, Czarna, kochanie, co ci jest... przycisnęła twarz do prześcieradła, nie chciała, żebym ją widział, chyba żebym widział jej oczy... wilgotne.

Ojej, co ja zrobiłem? Co jej jest? Co ją napadło? Nie rozumiałem.

Autostrada. Nie mogliśmy spać. Patrzyłem na każdy kawałek asfaltu, zapamiętywałem go. Tak więc... jutro poznam ten ich bungalow. A potem chyba zgłoszą się tajniacy. Zdziwiłbym się, gdyby to nie działało.

Dobra, Elegant, zdecydowałem się, że spróbuję, i przy następnym postoju mówię... Więc wy pracujecie dla Vohřeckiego i innych, chcę tylko wiedzieć, gdzie jest ta wasza chałupa, i mogę zaręczyć...

Dzień dobry, rozległo się za nami, stał tam Łowca.

Sa wa? mówię mu z miłym uśmiechem. Trochę już mówi po czesku, pomyślałem samozachowawczo...

Sawa, mesje Potok.

W prowadzeniu zmieniałem się teraz z Elegantem, który trochę spotulniał, nie traciliśmy więc czasu. Łowca i Elegant wymieniali niekiedy parę słów, Elegant był aż uderzająco milkliwy... szef serdecznie przywitał się z czołgistą... i to było piękne... ci dwaj faceci, kawał świata od swojego plemienia... witali się tu na autostradzie obok motelu, tuż pod reklamą jakiegoś idiotyzmu, w tle księżyc o sile wszystkich lamp błyskowych, które błysnęły kiedykolwiek od pamiętnego dnia w głębiach eonów, wtedy zaczęło się stworzenie

wszystkiego... parę słów, uśmiech od ucha do ucha, poklepywanie, trwało to tylko chwilę, potem zauważyłem, że czołgista... Łowca był ich szefem, wojennym wodzem, słuchali go, wystarczyło im nie słowo, ale gest, sugestia gestu.

Rano poszedłem po jakieś mleko, panowie wtulili się w kąty samochodu, musiałem zatrzymać się na skraju wsi, patrzę... czegoś takiego nie znałem. To po ukraińsku? pytam jakiegoś gościa, z ponurą miną obszedł mnie dokoła. W sklepie gapili się na mnie... cholera, powinienem być inaczej się ubrać, myślałem, że jedziemy do fabryki i na tym się to skończy, mleko brali do baniek... jedna z kobiet wyglądała jak moja babcia, zanim zachorowała na to... mówili... chyba po rosyjsku, cholera, gdzie ja jestem? Ale towary były bohemijskie czy czechosłowackie, rozmaite artykuły drogeryjne, tu i ówdzie jedzenie, różne drobiazgi, podroby, podróbki... jakie tu są bilety... bankowe? Zdrętwiałem. Namacałem portfel, który dał mi Elegant... jakiś Murzyn lepiej się tu orientuje niż ja, mnie chodzi tylko o ćwiczenie swego ducha, o miłość i śmierć, ale ze mnie idiota, przyszło mi do głowy... ten gość wpadł na mnie umyślnie, wołałem się odsunąć... chciałem tu widzieć czołgistę, ilu sekund by potrzebował, gdyby nie spodobał się miejscowym, na worach z ziemniakami siedzieli jacyś faceci, pili wódkę, jeden z nich mnie złapał, pociągnął na worek obok siebie: Chcę mołoko, mówię. Aj tuna, wcisnął mi dwieście gram wódki, wypiesz ją, jesteś chłop, nie wypiesz, jesteś pizda! Było dla mnie jasne, co by zrobił, gdybym okazał się drugim przypadkiem... wołałem wypić stakan, było to straszne, ale sklep ożył, babcie podchodziły popatrzeć na mnie, siedziałem na worku, kręciłem głową, macie tu telefon? Hej! Do Pragi, proszę... A, z Prahi? To wywołało burzę wesołości, zakryłem twarz rękami, ale nie, byli przyjaźni, jakaś babcia ciągnęła mnie za włosy, chyba tak jak konia... facet wepchnął mi pod nos drewnianą tackę, była na niej słonina, najeżona sierścią... Zakanszaj! Opychali się tym. Wziąłem słoninę do ręki, ale na półce dostrzegłem pomidora, podskoczyłem i już go gryzłem, nie, była to młoda papryczka, to wywołało kolejny wybuch wielkiego śmiechu, co potem robiłem... podyktowałem sprzedawczyni, pani właścicielce numer... przychodzili następni, za najbliższym bukiem się ostrzygę, obiecałem sobie, były tam lasy bukowe... przed sklepem zatrzymała się bryczka, przebiegło stado prosiąt... facet, który nalał mi wódkę, jadł teraz loda na patyku i proponował, żebym sobie polizał, ktoś inny klepnął mnie w ramię i powiedział: Ty na pewno syn Havla, tak przynajmniej zrozumiałem... to jest Francek, Czech, krzyknął ktoś w sklepie, wszedł włóczęga... na ramionach miał jakąś psią skórę... Czech! Francek mnie objął i zaczął całować, śliniliśmy się. Aparatka! Chwyciłem telefon... Czarna! Co, że jest szósta? Przepraszam, ja, nie wiem, gdzie jestem... Francek wyrwał mi telefon z ręki i mówi: Paninko, spokojna bądźcie, tuna jesteśmy wszystkie w Ubloj! Tuna jesteśmy Rusniacy! Ja i wasz junak, co... zaczął się drapać w ucho i z miną winowajcy zwrócił mi słuchawkę... tam strumień obelg, przecież tylko ja rozumiem jej mowę, nie ociągałem się, żeby nie miała czasu: Kocham cię jak wariat, nie, nie jestem na dworcu, wróć... dostrzegłem, że sklep ucichł, wszyscy stali się uważni, niektóre babcie podeszły bliżej, pewnie niedosłyszały... Nie, Czarna, jestem chyba ciągle u nas, chyba na Słowacji, tak, jestem trochę zawiany, ty też? Ja też spałem sam... to znaczy z Elegantem, bzdura, to przez tą wódkę... Co? Ktoś mi coś mówił... Tak, Czarna, jestem gdzieś koło Użhorodu... podobno Ušanica jest tu najbliżej... Ubla... nie, tak nic się nie może nazywać... może jestem gdzieś w Polsce... co? Po co paszport? Celnik? Cel? Nikt? Tak, kochanie, też uważaj na siebie... patrz tu na mnie jak na Marsjanina... tak, za dwa dni, może są tu samoloty, zadzwonię, jak się dowiem, gdzie jestem. I proszę, wybacz tą noc... ale i tak, jak to skończę... pojedziemy nad morze. Cześć. Nara!

Ludzie w sklepie znowu zafalowali, ktoś wpadł do środka. Cyganie! Cyganie! Nie su tuniajsze, su nierusniackie! Właścicielka poszła za ladę, faceci znikli za workami ziemniaków, a do izby weszli Elegant i Łowca... wszyscy gapili się na nich, mnie jakby szlag trafił... Elegant podeszedł do lady i powiedział: Dzień dobry wszystkim. Czy

dostaniemy jakieś pieczywo i mleko, i kawę? Tele... ciele... cinę? Głos trochę mu drżał, pomylił się... Ktoś za workami powiedział, był to Franczek, to su Czechy, nowe Czechy! W końcu wybraliśmy coś do jedzenia, jakieś sardynki w oliwie. Łowca był ciągle uroczystry, także oni czuli, że... to ktoś. Szef.

Musieliśmy tam chwilę zostać, żeby się poznać, nie pozwolili, żeby im to przepadło, takie zagranicznaki... Ale do Łowcy się nie garnęli, konwersacja spadła na mnie, a ja przez większość czasu głupio szczyrzyłem zęby, wódki przecież nie mogłem odmawiać, żeby ich nie urazić, ale Elegant wpadł w zapał, gadał... na dworze rozległ się krzyk, do sklepu wbiegli dwaj gliniarze, całkiem spanikowani... wyskoczyłem przed sklep, pod nasiąkniętym odwieczną wilgocią murem stał tam czołgista, machał jakąś żerdzią, zobaczyłem przewrócony samochód policyjny i sześciu smerfów leżących na ziemi... Czyje to jest? biadolił jeden z mundurowych, myśleli chyba, że czołgista to jakieś zwierzę... Łowca syknął na niego... zaprowadzili nas do sali obrad, zgromadziła się tam cała wieś, wszyscy ze sklepu świadczyli, że zachowywaliśmy się nienagannie... w końcu razem z Elegantem jeszcze przed kolegium znaleźliśmy komendanta policji... Jest nam przykro z powodu tej sprzeczki i żałujemy, że nasz mechanik ponabijał guzy waszym młodym ludziom, to świr... gadałem coś tam... potem Elegant pokazał komendantowi naszą siłę nabywczą, poszło jak zawsze, po chwili jechaliśmy dalej, czołgista wyglądał na weselszego.

Prowadził znowu Łowca, ja siedziałem z tyłu i dławiałem się, chwilami ze śmiechu, a chwilami chyba przez tą słońcę, a potem, niby to wyczerpany, zasnąłem.

Ale przez cały czas pilnie obserwowałem drogę. A jeśli kogoś w tym sklepie mieli, musiało być dla niego jasne, przede wszystkim z tego telefonu, że jestem kompletnym idiotą. Którego chyba nie warto załatwić. W historyjkę o tym kolejnym kliencie, którego mam znaleźć, nie uwierzyłem. Przeciwnie, byłem pewien, że moja praca zbliża się do końca i że już mnie nie potrzebują.

Pewnego razu nad szachami ni z tego, ni z owego powiedziała... że bardzo powoli zaczyna rozumieć, kim jestem i dlaczego się nią zająłem, ale że to chyba była kwestia miłości.

Te właśnie słowa powiedziała. Niekiedy mieszałyśmy języki, ponieważ naszą przyśpieszoną mową pewnych rzeczy z tego, co przeżywaliśmy, nie dało się powiedzieć. Dużo było poza językiem. Jak mowa ciała. Opowiadała mi o ludziach, którzy chcieli się do niej zbliżyć i których musiała odtrącać. Ona nigdy nie miała plemienia, ale też kobiety mają je rzadko.

Moja Czarna... po raz pierwszy dowiedziałem się, że nawet najmniejsza, najcieńsza żyłka, każdy włos mojego ciała... jest. Nigdy nie rozumiałem jej smutku... czasem z kolei ona musiała mnie oparzyć albo oblać lodowatą wodą, bobym nie zdzierzył. Mocno się obejmowaliśmy, także dlatego, że nie słyszeliśmy dzwonów. Czasem skakała na mnie z boku, a ja ją obracałem w powietrzu. Na dole byłem ja, na kawałkach szkła, żeby się nie skaleczyła, a na górze była ona i zrywała pajęczyny. Niekiedy obracaliśmy się.

Może gdyby metalowy dźwięk serca dzwonu krajał przestrzeń nad dachami i szedł, rozcińczany przez mury domów, krawędzie... w dół, moglibyśmy go łapać i rozpoznawać na chodniku, tam, gdzie byliśmy. Kiedy to powiedziałem, ożywiła się... i zaczęła opowiadać o tym... swoim przyjacielu, który miał ważny samochód... wziął ją do odlewnika, takiego, który robi dzwony... do jednego z ostatnich. Uznałem to za ważny znak.

Przekonałem się, że moja miłość składa się z wielu części, czy było to ramię, czy oddech, czy rzeczy, które miała na sobie, albo każda drobina jej skóry, wciąż od nowa zdumiewał mnie fakt, że to ona. Może z nią było tak samo... może dlatego robiliśmy sobie zdjęcia. Niekiedy potrzebowaliśmy nawet bicia. Zimna lodu i ciepła masła. Wielki głód wszystko wysubtelniał, dlatego wszystko było dozwolone. Śmierć była wszędzie, ale Czarna miała ręce wyciągnięte dłońmi do góry.

Ja ją znalazłem, wyciągnąłem z pajęczyny. Przeciąłem rzemienie. Nie bałem się jej powiedzieć, że jej chcę. Ale potem tworzyła mnie ona. Raz widziałem grób, gdzie było jej nazwisko, obudziła się również.

Czarna, to było złe... to było straszne! Ty mi nie chcesz powiedzieć, kiedy po raz pierwszy... z kimś byłaś. Stałem w tym śnie przy twoim grobie, albo nie, nie był twój! Było tam tylko nazwisko, przypomniałem sobie, kiedy po raz pierwszy widziałem nagą kobietę... byłem chory, często, jako dziecko. Ojciec wziął mnie do lekarza. Do wojskowego... mówiłem ci już, że mój ojciec był żołnierzem? Komuniści wyrzucili go z wojska, potem coś tam zamiętało... ale miał jeszcze znajomych, owszem. Uczyli mnie łaciny, kurde. Ten lekarz kazał mi się rozebrać, mierzyli mi temperaturę. Wtedy miałem wysoką gorączkę, ciągle mi się zdawało, że rosną mi ręce i głowa, że już nie zmieszczę się w pokoju. Babcia moczyła mi ręce w misce z zimną wodą. Z powodu tej gorączki wzięli mnie w końcu do lekarza... ale dopiero tam, w poczekalni z tymi kretyńskimi plakatami, też je pamiętasz? Jezu... w jednym wariatkowie był napis: *Radosne myśli to olej ludzkiego motoru*. No, to mnie wtedy wzięło. Cały się rozłożyłem, jak mnie dowieźli. Trząsałem się jak pies, kiedy to zobaczyłem. To było dawno temu. Chcesz tą popielniczkę?

Taa. Daj ją o tak. Dobrze.

Po prostu... dopiero na miejscu tata mi powiedział, że mnie tam zostawią... i że będzie mi się tam podobać. Nie wiedziałem, że nie pójdę zaraz do domu. W szpitalu było czysto. Pokój był wielki i czysty. Było tam dużo dzieci, jednemu chłopcu moja mama przyniosła wielką morską muszlę, byłem wściekły. Właściwie, wiesz, Czarna... kiedy ci mówiłem o morzu... podpowiedziało mi to twoje ucho! Przypomniało mi tą muszlę. Była moja. Mama wytłumaczyła mi, że ten chory jest z domu dziecka, że nikogo nie ma. Mój wujek... ten mi z kolei przyniósł armatę, model działa z wojen napoleońskich. Pragnąłem jej już długo. W szpitalu po raz pierwszy w życiu widziałem nagą kobietę. Pierwszej nocy leżałem przy oknie, nie mogłem spać i patrzyłem przez nie. Był tam mały domek, światło się w nim paliło, potem dzieci na sali powiedziały mi, że to kostnica. Widziałem, co jest w środku, na stołach leżały trupy. Dwu ludzi przyniosło zwłoki w worku. Ściągnęli go i poszli sobie. Patrzyłem na nią. Miała czarne włosy, tak jak ty... ale dłuższe. I piękne piersi, To dostrzegłem już wtedy. Oślepiło mnie to, wcale nie przeszkadzało mi, że nie żyje. Patrzyłem, zanim zasnąłem. Potem już nigdy światło się tam nie świeciło.

Może ci się to tylko śniło.

To wszystko jedno. Och, tak... Czarna. Czasem się także boję... walczę. Ty też. Gdzie jesteś, wyciągnąłem ku niej rękę.

Poczekaj jeszcze... jestem tu. Zapaliła lampę. Wyłącz! Masz papierosa? Ty mnie wybrałeś na siostrę, a ja powiedziałam „tak”. Gdybyś mnie nie chciał, i tak bym cię lubiła... przecież się znamy. Ale byłbyś zubożony o mnie. Ja... czasem jestem zarozumiała. Ciągłe gadasz, że to niebezpieczne... daj spokój! Gdyby ludzie nie byli takimi tchórzliwymi gównami, ludzki świat byłby inny... chociaż... to takie pieprzenie. Ale jednak... tak powstają kompleksy, a one, tak myślę, są bardzo niebezpieczne. Kochanie, ale my się nie boimy aż tak bardzo, prawda? Spróbujemy... przecież idziemy razem, ty i ja... Bądź czujny, proszę.

Czarna, nie myśl sobie... muszę ci to powiedzieć. Boję się czasem... także z tobą, Masz rację, zobacz, kiedy naładowane nienawiścią... maski się okruszą, to widzisz, że ciało pod spodem gnije... ludzie, jeśli chcą, potrafią być strasznymi świniami, sama mówiłaś... przecież także ja, przecież wiesz... boją się powiedzieć, tak, powiedzieć!... że coś jest piękne, że coś jest dobre... łatwiej jest coś zniszczyć, zadusić... ja to znam... najtrudniej jest powiedzieć komuś to, co ci powiedziałem, wiesz co... powiedziałem ci, że cię kocham.

Siostra jęknęła, usiadła na łóżku i patrzyła na mnie, wygłupiała się... robiła ze swoich dłoni jak gdyby lornetkę, patrzyła na mnie przez szczeliny... ty to powiedziałeś, ja się

wstydzę! Słuchaj, kopnęła na bok koc, lepiej chodź tutaj... i pierdol mnie, rusz się, ja chcę... teraz.

Dotykała swoją skórą Mojego Ochronnego Zwierzęcia, mego latającego tanecznego symbolu, a w pewnym momencie powiedziała: Byłam, znowu będziesz zazdrosny, ale to idiotyzm!... Byłam z jednym facetem, a ten miał tak... ptaka. Orła miał na swojej skórze.

Co takiego?... podskoczyłem. Jak się nazywał... Bohler?

Tego nie wiem. Nie pytałam go. Tylko raz byliśmy ze sobą, raz się spotkaliśmy. To obojętne... ale ważne jest to, co mi powiedziałaś, a ja tobie... wierz mi. Zawsze. Niekiedy nie jestem sobą, przecież piję i tak dalej. Ale nigdy nikogo tak nie kochałam. Czyli właściwie nikt we mnie nie był. I zniszczę każdego, kto chciałby cię skrzywdzić. Bez litości. Ty nie wiesz...

Daj mi też zapalniczkę. Czarna, ja wiem. Może już teraz wiem, kim jesteś... przeczuwam to... i posuń popielniczkę, tak... dobra.

Z czasem zaczęliśmy powiększać swoje terytorium. Chyba przez to, że miasto rosło, było tu ciągle coraz więcej rzeczy... chodziliśmy po bruku, w nocy zawracaliśmy głowę taksówkarzom, w powolnych tramwajach ze zdenerwowania czasem okręcaliśmy się wokół pręta, zwłaszcza ja, poważnie siedzieliśmy w metrze, patrzyliśmy przed siebie i udawaliśmy przed innymi pasażerami i razem z nimi, że nic, ale to całkiem nic się nie dzieje... chodziliśmy też na przykład do teatrów. Tam przynajmniej nie spotykaliśmy znajomych.

Obserwowaliśmy suknie i maski, coś z tego potem wykorzystaliśmy. Czarną chyba trochę drażniły piosenkarki. Wiedziałem, zauważyłem... czasem nuciła sobie i stroiła głos. Chyba jej jednak tego brakowało. Ale fascynowało ją to, że na ogół z góry odgadywałem, o co w granym właśnie kawałku będzie chodziło i jak to się skończy. Patrzyła na mnie błyszczącymi oczami i tylko wyrzucała z siebie z wydechem: Jesteś niesamowity! Nie powiedziałem jej, że te sztuki w większości czytałem. Kiedyś. Jedną etiudkę, którą grali w jakimś teatryku na końcu świata, nawet sam napisałem. Ale pod własnym nazwiskiem, więc nie wiedziała.

W foyer musieliśmy czasem golnąć sobie kilka wódek, Czarna dzwoniła klejnotami, które sobie na te wieczory pożyczła. Ja byłem napudrowany. Całowałem ją w dekolt i rzucałem w nią różami. Na Czechowa szampana, na Shepparda whisky, tego nie poplątaliśmy. *Latarnia Jiráska!* Na tym byliśmy kilka razy. Wodniki, ich barwinek. Podczas przedstawienia szeleściliśmy papierkami. Zawsze zostawiała po sobie na krzesle gumę do żucia. Niech widzą... niech widzą, że to nie żarty, mówiła siostra. Damy sykały. Kiedy ta niewierna kobieta, Jaga, zadusiła swojego męża, Murzyna, Czarna się rozszłochała, tak nie wolno! krzyczała. Chcieli ją wyprowadzić, interweniowałem. Idioci, co macie przeciwko Murzynom, ofuknęła biletera. Potem mi opowiadała. Byłem zazdrosny. Ciągle.

A po pewnej świetnej sztuce poprawiłem fabułę: Czarna! Miałem sen. Naprawdę nie wyglądało to tak, kiedy Ulisses dotarł do domu, to wprawdzie zabił tych zalotników, ale tylko dlatego, że... byli młodszy i przystojniejsi, i bogatsi niż on, on był już starym kundlem... a to były młode chłopaki, nie patrz tak na mnie! Zabił ich, bo i tak nic innego na wyspach nie robił, ciągle tam zabijał i rabował, zaczarował nawet Cyrce, zabrał jej biznes, hodowlę prosiąt... dotarł do domu na zamek, a Penelopa na niego wiernie czekała, dobra żona... ale Ulisses wleciał do środka i mówi: Wybacz. Czekałaś wiernie i długo. Ja wyruszyłem powojować sobie, jestem w końcu facetem. Przecież dlatego mnie chciałaś, nie? Ale wybacz, jesteś już stara. Przyprowaździłem sobie cudowną niewolnicę, szesnastkę. Dziewczyno! Podnieś ręce nad głowę, obróć się. Widzisz, Penelopo, te piersi, ten tyłek? Widzisz te lśniące włosy? Widzisz te zęby? Przypomina ci to coś? Tak, byłaś taka, Penelopo. Dawno temu. Nie przeszkadza ci chyba, że jestem szczerzy, nie? Jestem facetem, przecież wiesz. Wiesz, ilu nieprzyjaciół zmiażdżyłem w swoich podróżach i ile napisałem pieśni? Dlatego mnie chciałaś. Spotkałem ją i jest teraz tutaj! Całe życie miałem ją pod powiekami, ty tylko

przypadkiem znalazłaś się na mojej drodze. Tak się rzeczy mają. Wybacz, Penelopo, było nam ze sobą dobrze. A teraz... idź stąd.

Czarna włożyła okulary. Jesteś głodny, przyjacielu?

Tak.

Mam niestety tylko kawałek suszonej... mortadeli. I kawę. Ale tylko czarną. Chcesz?

Tak.

Chyba powinieneś bardziej się starać, ciągle tylko coś pieprzysz... a może by tak raz wymyślić szczęśliwe zakończenie, wiem, że to trudne, boisz się?

Tak. Trochę tak.

Jednej rzeczy nie znosiłem. Kiedy wkładała ciemne okulary, traciłem jej oczy. Przychodziło mi do głowy, że pod tymi okularami jest ktoś inny. Znałem jej oczy, także kiedy były zielone, częściej były brązowe z plamkami. Może zależało to od światła, od tego, czy zapalaliśmy świeczki, czy lampę albo czy był dzień. Tego nie zdołałem stwierdzić. Ale potem zaczęła brać okulary również do łóżka. Powiedziałem jej, że sobie tego nie życzę. Tylko się roześmiała. Wierz mi... to dobre także dla ciebie... przez chwilę nie widzieć.

Tak bardzo skoncentrowałem się na jej ciele i oddechu, że czasami nie widziałem oczu. Próbowaliśmy tego także z maską, a czasami kładłem jej na twarz poduszkę albo poszewkę. Może człowiek jednak chce być niekiedy sam, Tylko ze swoimi minami i grymasami. Nie można ciągle się uśmiechać.

Ale w moim sercu była miłość. Trzymałem je zamknięte z nią w środku. Tak to wyglądało. Z nią byłem w rzeczywistości. To wiem.

Czasem... to się tam dostawało. Przyszedłem do domu po kolejnym najeździe, gadki Eleganta dźwięczały mi jeszcze w uszach, a ona miała włączone radio, najpierw komentator mówił o Indiach, potem zabrał się do Pakistanu, musnął Iran, północną drogą skoczył na południe, potem gadał coś o Egipcie, nie pominął Libii i już przeleciał się przez świat, nic nie ominął, musiał chyba rozluźnić sobie krawat. Otworzyłem okno i wyglądałem na ulicę. Na rojących się ludzi. Przejechała jakaś cysterna, z czymś tam. Żółta.

Co jest? odezwała się po chwili siostra.

Nic, chyba już tego nie wytrzymam. Tak w ogóle nic się nie dzieje... ale zauważyłaś, nieprzerwane katastrofy?

Są też dobre rzeczy.

Jakie?

Powietrze twardniało mi w uszach, kawały bazaltu.

Co ty, nie gadaj, strzel sobie winka, zapal papierosa, chodź tu do mnie, wejź we mnie, rusz się.

Zauważyłem, że ma nową... chyba bluzkę czy co to tam było. Na ramionach nic, nagie, tylko jakieś tasiemki... białe. A tak w ogóle to miała rację.

Ale wtedy rzygała żółcią. Mogłem co najwyżej potrzymać jej głowę. A tej nocy, zanim do samochodu wsiadł Łowca... nie chciała jechać ze mną nad morze.

Staliśmy na leśnej drodze. Podjąłem próbę. Zacząłem się trochę jakby nerwowo kręcić i mówię do Eleganta: Moja robota skończona. Idę. Dajcie mi odejść. Elegant rozłożył ręce. Drogi i szanowny panie Potok, to przecież nie wchodzi w rachubę! Może pan myśleć, co pan chce, ale jakże istotną rzeczą jest orientalna gościnność. Teraz pójdziemy przez las, pan generał będzie szedł jako pierwszy, za nim nasz nowy przyjaciel, a za nim pan. Za panem będę ja, drogi panie Potok... błagam pana... proszę zrozumieć... dobrze będzie, jeśli również w tej kolejności dojdziemy na miejsce, prawda?

No tak. W tej chwili nienawidziłem... Łowcy. Wtedy na ulicy, kiedy dźgał wokół siebie bambusem, a ja byłem obok niego... on wył, wtedy było inaczej... teraz ma posłannictwo. Ale ja nie jestem żadnym komisarzem.

Przeszedł obok mnie, jakby mnie nie widział. Szliśmy leśną dróżką, wokół nas krzywe drzewa, szliśmy przez bagno, w kałużach na dziwacznej ścieżynie obserwowałem dżdżownicę... niemożliwe do nazwania stworzenia, nazwy, jakie im nadają w laboratoriach, to nonsens... pójde i zobaczę... szliśmy wądołem, Łowca się zatrzymał. Przed nim na ścieżce leżał przewrócony pień. Czołgista i Elegant podbiegli do niego i na oczach władcy zaczęli szarpać się z zawadą... nie spuszczali przy tym oczu ze mnie, to dopiero było zabawne. Drzewo miało splątane korzenie, nie zauważyli niedużej gmatwaniny w uścisku pokrzyw. Obluzowałem korzeń, podniosłem drzewo i pień uskoczył poza ścieżkę. Łowca kiwnął głową i ruszył. Czołgista spróbował chyba iść na skróty i zapadł się w bagno... tylko po kolana, ale nieźle się spietrał... szliśmy dalej, Elegant za mną nie wytrzymał, zaczął znowu perorować, ja chciałem raczej słuchać ptaków, dlaczego męczyć się ludzką gadaniną aż do końca...

Panie Potok, jest pewna bardzo ciekawa różnica kulturowa, czy wie pan, że w naszej ojczyźnie w ogóle nie chodzi się na spacer? Ludzie na ogół starają się zdobyć pożywienie. Może tylko poeci i filozofowie, ale oni są dzisiaj poddawani reedukacji... u nas do lasu się nie chodzi, nasz las jest inny, nie uwierzyłby pan. Można wejść do niego tylko z kijem na tygrysy. Nie, nie, to żart! Nie uwierzyłby pan. Ten oto nasz przyjaciel, który właśnie nieostrożnie zszedł z drogi, przebył dziesiątki kilometrów w najniebezpieczniejszej dżungli świata. Uciekł z obozu i skierował się do Tajlandii, kolega jest rzeczywiście wyjątkowy... gdyby umiał pisać, mógłby stworzyć pewne studium porównawcze, udało mu się przeżyć obóz reedukacyjny w ojczyźnie, potem w sąsiednim Laosie, aż tam dotarł, a potem, niech pan tylko pomyśli, przez kilka lat nowego człowieka robili z niego Khmerzy... i on to przeżył, mimo że nikt tego od niego nie żądał. Takie studium porównawcze byłoby niezmiernie ciekawe, wydostał się też z dżungli i dotarł do Tajlandii, gdzie przeżył kilka obozów dla uchodźców, a kiedy był głodny, jak się przyznał...

Chyba dlatego to tak działało na Pavlinę, co?

Pański cynizm, panie Potok, jest całkiem nie na miejscu, ja pokazuję tutaj panu fenomen... proszę to porównać... ten pan idący przed nami jest prawdopodobnie jedynym człowiekiem na świecie, który pokonał tak wielką drogę, a jednak zapada się w błoto w pierwszym śmiesznym europejskim lasku, gdzie nie ma ani węży, ani min... ani ludzi, oprócz nas, ma się rozumieć. Ale my jesteśmy przyjaciółmi.

Tak, było dla mnie jasne, że dałby mi dowód swojej przyjaźni, gdybym na tej ścieżce zaczął choćby mało zauważalnie podskakiwać. Chwilami chciało mi się wyć, chwilami wypełniał mnie spokój. Jedno moje dziecinne ja nie chciało uwierzyć, że po tym wszystkim, co razem przeżyliśmy, mogliby... z zimną krwią... ale przecież wiem, że ludzie z posłannictwem są najgorsi. Komisarze. Pozbawili się wyboru.

Szliśmy przez ten las chyba godzinę, nigdy tak bardzo nie czułem lasu. Chyba z przyzwyczajenia obserwowałem go, zapamiętywałem, wchłaniałem w siebie. Chwilami przychodziło mi do głowy, że on o tym wie. I że jest mi przyjazny. Ci chłopcy wokół mnie, nasze drogi się skrzyżowały... ale oni mieli w duszy swoje liany i węże, swoje orchidee, smoka by może utaćcowali, ale niedźwiedzia mam w swoich komórkach ja... sosnę... ich mokradła są inne, oni nie wiedzą, jak przejść przez bzy ani jak uniknąć krzaków ostreżyn. Byłem na swoim terytorium i to mnie trochę cieszyło. Mimo wszystko. Wiem nawet, że oni po prostu szli... szli do kryjówki, bo mieli wielu wrogów. Ale poza tym o tej leśnej dróżce, o tej ścieżce nie wiedzieli nic. Nie czuli tego co ja. Potem Łowca się zatrzymał.

Byliśmy na pagórku, wyszliśmy z parowu i teraz staliśmy na górze, ukryci za drzewami, były to buki. Pod nami jaśniał biały dach, obrzydliwy jednopiętrowy domek z dykty,

tworzywo sztuczne i blacha. Niektórzy ludzie w miejscach na końcu świata zostawiają po sobie coś takiego.

Elegant mnie wyprzedził, zęby lśniły mu w uśmiechu... jest pan naszym jedynym gościem, panie Potok, jedynym, mamy nadzieję, proszę spojrzeć... pokazał mi, co trzyma w ręku... była to szyszka... ten owoc, wyjątkowo wspaniały i egzotyczny, jest dla nas czymś więcej niż wszelkie supernarzędzia... rzucił szyszkę na dach pod nami, a po niej zaraz drugą... stuk! stuk!... i las wokół domku zafalował... najpierw ujrzałem ruch, potem dopiero ich, wyskakiwali... tak: hop, hop... tego późnego popołudnia byli za krzakami... czołgista i ja gapiliśmy się na nich, on się cieszył... zesliśmy na dół.

Domek okazał się kamuflażem, za krzakami mieli wykopane jamy, w nich mieszkali i czekali. Powitania jak szczenięcia, nie marnowali czasu... skinąłem ku nim głową... kapitan klepał mnie po ramieniu, ale już mu nie wierzyłem... najstraszniejszą postacią był jednak Elegant junior. On zresztą Elegatem nie był, był to... mankurt. Może nie wiedział, że żyje. Na ojca spojrzał tak, jakby to było powietrze, zupełnie nie garnął się do niego. Oczami wisiął na Łowcy. Ale ani mru-mru, powiedziałem sobie... Cóż mogłem wiedzieć o tym, jakie oni mają w sobie piekło. I tak jestem z nimi, chociaż... Nikt już nie próbował mi wmawiać, że ruszamy szukać jeszcze kogoś. Dzień już zresztą powoli i niewątpliwie gasł. Starąłem się wchłaniać wszystko w siebie z uwagą. Rzeczy świata smagały mnie jak bluszczy.

Mieli tam samochód. Dosyć obszerny dla tych siedmiu, których wyciągnąłem z fabryk, i dla szefa. I dla Eleganta. Myślę, że z miejscem dla mnie raczej się nie liczyli. Wyruszałem pełnić swoje posłannictwo. Moje było najwyraźniej bliskie końca.

Chcę porozmawiać z generałem, powiedziałem Elegantowi. On nie jest generałem... i nie ma czasu. Podszedłem do Łowcy i odezwałem się do niego po francusku, zadyszany, jak jakiś gawrosz. Pan... generał nie chce mówić językiem kolonialistów, przełożył mi Elegant. Spróbowałem po rosyjsku. Nie podziałało. To ugryź się w dupę, ty kutafonie! Elegant się uśmiechnął.

Wejdzmy do domu, wziął mnie za ramię, nie miałem wyboru. Elegant!... Zdradzał nas pan od początku. Nie, jestem z wami. Niech pan nie kłamie! Wyjątkowo nie kłamie. Sprowadziłby ich pan. Nie chcę, mam ich gdzieś. Brał pan od nich pieniądze. Przecież nie wierzyliby mi, ja chcę tylko spieprzać stąd z siostrą... Wiem, powiedział Elegant. A jej pan wierzy? Zatrzymałem się... jakby mnie ukąsił. Elegant, ty ją znasz? Pytam się, czy jej pan wierzy... Wierzę... ale. No właśnie, powiedział Elegant.

W środku panował upał, nie wietrzyli. Z bliska wszystko było powykręcane, poobijane, kto wie, jak długo tu ten domek stoi. Ale czeski fałszywy marmur to rzecz dosyć nowa. Podszedłem do okna i otworzyłem je, byłem odwrócony do Eleganta plecami. Niech pan jeszcze trochę poczeka, powiedział. Za dużo światła. Słucham? Pan ciągle kłamał, panie Potok... te pańskie słowa... nica, natana, chjura, małka... ten pański totuk, dapiz, lewar... przejrzałem wszystkie słowniki, te słowa nie istnieją... Ha, Elegant, teraz już tak! To prawda, wie pan, że jestem profesorem... literatury porównawczej... komparatystyka, mówi to panu coś? W żadnym wypadku, ale teraz może już mi to być obojętne, nie? Co pan miał na myśli... z tym światłem... Ja, panie Potok, nie tylko jestem profesorem, jestem też wyszkolony... i Elegant puścił się pędem, w tym pokoiku nie było to łatwe, ale on jest drobny i zwinny, uderzył głową w ścianę, twarzą... pomyślałem, że zwariował, jestem pośród szaleńców, jeden jedyny normalny, przecież moja Czarna to też szajbuska... był trochę zamroczony, ale rozpędził się znowu i tym razem coś chrupnęło, trochę ugięły mu się kolana, kręcił głową... chyba nos, ciekła mu krew... ja pana, panie Potok, puszcę, a to wszystko robię po to, żeby myśleli, że mnie pan pokonał, co ich, zaśmiał się, zdziwił... ja jestem chrześcijaninem, panie Potok, ale moja rodzina, to, co z niej zostało, to buddyści... coś panu powiem, słowa, których pan nie zna, wyjął z kieszeni małą figurkę, jakiegoś demonka... była ze złota, chyba... powściągałem się przed komentarzem... to jest SIAKJA

MUNI, powiedział Elegant, kazałem wykonać go w Paryżu, jest to Bóg Szczęścia mojej rodziny, puszczę pana, bo może w ten sam sposób ktoś gdzieś puści kogoś z moich... już się zmierzcha? Czy to już zmierzch? Zbliża się... zmrok? Był chyba trochę ogłupiony tymi uderzeniami, wyszkolenie... bo usiadł i wyjął gnata... z tłumikiem, znam to z kina... i mówi... skoro się zmierzcha, niech pan już biegnie, proszę, niech pan biegnie, żeby pana nie złapali, bo drugiej szansy dać panu nie mogę, a mnie generał nie da może nawet tej pierwszej, widział pan poza tym mojego syna? Teraz rozbiłem sobie twarz, ale pan przynajmniej mnie rozerwał, więc może dociągnę to do końca... małka, totuk... dapiz, tak, granice poezji są ruchome jak granice chińskich organizmów państwowych... zatrzymałem się i z okna mu mówię... ale totuk wymyśliła siora... Znikaj! Rusz się! I wystrzelił, zrobiło to tuk! a potem znowu tuk! tego wykrzyknika nie wymyśliłem, a kiedy obejrzałem się w biegu, byłem na zboczu i widziałem, zobaczyłem, że Elegant już na tym krześle nie siedzi, było przewrócone, nie zdołałem zobaczyć, czy leży w kałuży... biegłem... ale na górze wyhamowałem, tylko głupcy walą pędem przez las... i zaczęło się... hop, hop... przemykali... nie zwracałem na nich uwagi, byli przede mną i z boku, a ja powoli i cicho szedłem w drugą stronę... ale nie byli to żadni durnie, to nie ulegało wątpliwości. Miałem chyba tylko taką przewagę, że był to mój las i że w dzieciństwie się bawiłem, byłem teraz złodziejem, ale policjanci byli przeraźliwie prawdziwi, gorsi niż wampiry... szedłem powolutku... oni raczej biegli, myślę, że po cichu i pochyleni... a kiedy pierwszy buk zaproponował mi swój pień i swoją koronę, przyjąłem propozycję i zostałem tam wiele godzin... nad ranem dostrzegłem dwóch, szli, węszyli, a w rękach... w rękach mieli tylko jakieś trzciniki, to mnie przestraszyło... następnego dnia skradałem się po zboczu, już pozwalałem sobie na szybkość, ślizgałem się po stoku pomiędzy kamieniami, niektóre obchodziłem dookoła... a kiedy obszedłem jedną kamienną górkę, zobaczyłem, że za nią siedzi syn Eleganta.

W rękę miał trzcinę, siedział i patrzył na mnie, ani pisnął. Stałem nieruchomo. Zacząłem się trząść, nie dało się tego opanować. Powiedziałem chyba: Ach. On jednak się nie ruszał, czy to mi się śni? Kopnąłem w kamień, mankurt machnął ręką. Przeszedłem obok niego... i ciągle czekałem. Ale potem zobaczyłem... w oczach miał łzy. Kiedy potrząsnął głową, jedna wielka skapnęła mu z brody. Dziwne stworzenie. Obok niego wszedłem znowu do lasu. Machnął za mną ręką.

W końcu doszedłem do szosy. Była pełna dziur, bałem się ciągle, że jej żwir zniknie za następnym zakrętem. A po... pewnym czasie, nie wiem już po jak długim, usłyszałem znajomy warkot, przeniknął mnie na wskroś... bo to było najdziwniejsze, najbardziej nienaturalne, że w tej okolicy w ogóle nie słyszałem urządzeń technicznych, żadnych robotów ani pił tarczowych, żadnego motoru, samolot nie przeleciał, srebrny ptak w smudze wessanego powietrza... nie zapiszczała żadna sygnalizacja uliczna, nic. Czegoś takiego już nie ma.

Był to zupełny grat, połatana bryka, facet wzdrygnął się, kiedy wyszedłem z lasu, ale samochód zatrzymał. Dzień dobry, nie byłby pan tak dobry i nie podwiózł mnie? Miałem pokorne spojrzenie i kolejne wyrażonka w zapasie. Co... dokąd jedziesz? spytał. Potężny, w czarnym swetrze, starszy ode mnie. A na szyi... srebro! Nie mogłem uwierzyć.

Był to mleczarz, miał w tej półciężarówce bańki z mlekiem. Szczęściarz ze mnie. Trochę tym handlował, jak zrozumiałem. Jechaliśmy, opowiadał.

Wyniósł się z miasta. To tutaj całe było dawniej terenem wojskowym, opowiadał, wystawiając łokieć z okienka... wszystkie wsie tu wysiedlili. Teraz to otworzyli, po rewolucji. Żołnierze gdzieś sobie poszli, ruscy też. To była rewolucja, jak myślisz? Coś mruknąłem. Teren strategiczny, tam, machnął ręką, masz Polskę, tam Ukrainę, to jest chyba Słowacja, a tam nie ma nic, zażartował. Dobrze się bawiliśmy.

Podrzucę cię do Ušanicy, na pociąg. Jak się tu znalazłeś? Aaa, tak tam, zrobiłem sobie wycieczkę, rozglądam się... Jasne, kiwnął głową. Miejscowi się tu nie pchają, przesądni. Jest tu paru Rusinów, w górach, schodzą na dół tylko po wodę i gumę do żucia... tu łążą co najwyżej miastowi. Niedaleko mieszka taka jedna rodzina z dziećmi. A jeden tu wypasa. Miejscowi... nie uwierzyłbyś, jakie rzeczy opowiadają. Podobno tu straszy. Straszyli to tutaj banderowcy, a potem już nikt. I podobno... jest tu jakaś fabryka, jeszcze z czasów wojny. Zakopana. Podobno jak Niemcy poszli, uruchomili ją Ruscy. Takie tam gadanie. Było tu kiedyś trzęsienie ziemi. A tak poza tym nic się tu nie dzieje, więc ciągle to pamiętają. Ziemia się zatrzęsała.

A co ty tu robisz? spytałem Gadatliwego.

Ja... ja coś tu znalazłem! powiedział z entuzjazmem i zatrzymał auto. Przestraszyłem się, znowu jakiś szajbus... Pociągnął mnie do tyłu i w bagażniku rozgarnął koce, były tam różne dziwne kamienie...

Co miałeś z biologii, to są trylobity! Z miłością wziął jeden kawałek w rękę i obracał nim, żebym mógł go obejrzeć ze wszystkich stron... odkryłem jaskinię, są ich tam setki! Miał szczęśliwą minę. Wspaniałe, ogromne kawały... i jest tam coś jeszcze, powiedział i zamrugał. Kwiaty. Znasz to? Wyciągnął z kieszeni żółty kwiatek i zgniół go w palcach. Mocny zapach.

Gdzieżbym tam znał.

To jest szafran... są tego całe łąki, dam to do analizy, czy to nie mutant... jakbyś chciał tu do pracy, to się dogadamy!

Poczułem prawie nieodparty bodziec... najpierw muszę do swojej dziewczyny.

To ją tu sprowadź, co ci przeszkadza?

Jesteś świetny facet... powiedziałem mu szczerze... że niby Czarna... może tak, może nie... pewna możliwość była. Ale przede wszystkim miałem o czym marzyć.

Radzę ci jedno, powiedział, kiedy już znowu jechaliśmy... ostrzyż się, niedobrze jest zwracać na siebie uwagę... nie lubią tu tego.

Nigdzie nie lubią.

Miasto to co innego... tu wszyscy wiedzą o wszystkich, chociaż dzielą ich kilometry. Każdy zaraz wie, jak pojawia się ktoś nowy. Albo jak znika.

To mi się nie podoba, powiedziałem.

Tak już jest, nie da się nic z tym zrobić. Przez chwilę milczał. Ale potem mówi... tak, jestem zadowolony, ten, który pasie, też... ale nie wiem jak długo... czasem myślę, że znalazłem swoje miejsce... a czasem mówi mi coś, żebym co prędzej stąd spieprzał... jest tu coś dziwnego, naprawdę. Nie wiem co. Gdzie chcesz wsiąść?

Przy dworcu. To jest Ušanica?

Tak.

Cholera!

Przyzwyczaisz się.

Jedź dalej. No jazda!

Przed dworcem stał Łowca.

Zsunąłem się na podłogę, przycisnąłem się do blachy. Mój nowy znajomy był pojętny, jechał dalej... to był Rusek? spytał.

Nie. Nie wiem.

Jakiś Kazach, Kałmuk czy co... mówił facet, to zbieg? Są tu zbiegowie, nie chce się im do matuszki Rassii, chcą do Niemiec. No, nie mogą się tam ich doczekać. Ich ojcowie wszystko tam pociachali, a dla chłopaków to jest wolność. Niesamowite, jak to się wszystko toczy, co? Już dawno nie mówiłem z nikim normalnie. Pracowali tu też w fabryce porcelany Mongołowie. Mongoł z porcelany, tak się tu mówi, dobre, nie? Ale nie dało się... z miejscowymi. Dziwię się, że ten się pokazuje. Ty z nimi robisz interesy? Daj temu spokój,

dają flinty za wodę, ale weszły w to już gangi... ostrzegam cię, wyglądasz normalnie... Dokąd jedziesz? Ja muszę do laboratorium... to jest aż w... Mezilavorie, znasz?

Nie.

No to poznasz.

Samochód kluczył pośród kawałów betonu. Jedyńi żywi ludzie byli na targu paprykowym. Był piękny. Z wyjątkiem tego betonu. Beton. Sztuczny marmur. Dziegieć.

Tutaj, właśnie tutaj przenieśli ludzi z lasu, kapujesz? Do bloków! Ziemię im zabrali. Domy wysadzili w powietrze, wszystko znikło, żeby nie można się było zorientować. A telewizję dali im za darmo, łapiesz? Niby jako rekompensatę... No, jasna rzecz! Jak to na nich mogło podziałać. Teren strategiczny... Wiesz, że nie ma map tych okolic? Albo są specjalnie zafałszowane. To wszystko będzie trwało całe lata! Wszędzie leżą pijaki! Ten może nawet chciał, żebym się na niego wpakował. Musiałbym bulić. Z tym burakiem daleko bym nie zajechał. Tak, patrz no, za rogiem stoją jego kumple, oni naprawdę próbują wykręcić ten numer, a ja myślałem, że fantazjuję. Pokręcił głową.

Tu niebyło żadnego gotyku, chłopie, pouczał mnie mój wybawca. Barok? Jaki tam barok! Może kilka malowanych skrzyń, poza tym nic... pastuchy, człowieku. Nomadowie. Starożytność, a potem zaraz Stalin. Lepianki, a potem bloki. To by się Tatarzy zdziwili, jakby wrócili... Jest tu parę drewnianych cerkiewek, żeby nie można było nic powiedzieć, synagogi też już szlag trafił, Żydów tu już nie ma, tu nie, najbliżsi są aż w Preszpurku... poza tym jest tu ten cały komunizm i zostanie tu na wieki, budynki... o, tam jest muzeum tego sławnego Rusina... nie dosłyszałem nazwiska, bo o mało nie przejechaliśmy kota... spasiony, leżał i drapał pazurkami w powietrzu... coś drapał i nie chciał się ruszyć. Był czarny, jakżeby inaczej. I w końcu przez tą drogę przebiegł.

W pociągu drzemałem, tylko tak na krawędzi snu, używałem sobie... teraz, kochanie, teraz się spakujemy i ruszymy... gdzieś... może to będzie morze, a może nie, dzień się kołysze... może szafran, może inne zapachy... byłem w przedziale sam.

Wszedł konduktor, delikatny, zgasił światło na korytarzu, bo rozdzierało oczy, gniotłem powieki... pędziliśmy przez tunel, podaję mu bilet, ma śmieszna czapkę... guziki ze znakiem kolei, mundur... z tunelu bryznęło światło, przede mną stał Łowca, patrzył niewidzącym wzrokiem, a w pięści trzymał trzcinkę, kręcił nadgarstkiem... wiem, że na jednym końcu taka trzcinka ma tępe zakończenie, na drugim jest ostrze... skoczyłem na równe nogi, wałnąłem głową w okno i obudziłem się... co się stało, kawalerze, mówi ktoś... siedzi tam jakaś starsza kobieta, zlany byłem potem... zły sen, węz, chłopcze, miętówkę, czyści oddech... Nie, dziękuję, usiadłem... wygląda jak pani Macešková, staruszka, chusteczka w kwiatki, jak moja babcia... ale musiałem iść do ubikacji, oparłem się na chwilę o umywalkę, powiedziałem lustru: I pozdrów Czarną, umyłem się... staruszka już tam nie siedziała, chyba pomyliłem przedział, może poszedłem w drugą stronę, nie wiem. Dojechałem bez przygód, był dzień.

Dworzec Południowy, tutaj ratownik Bohler zwykł wyławiać swoich typasów, tętnił życiem. Aż nazbyt. Teraz chodzili tu już policjanci z numerkami. Typasy roiły się po kątach. Łypały oczami w bok. Wypiłem kawę, a potem zrobiłem coś, czego nie robiłem jeszcze nigdy. Kupiłem dla Czarnej bukiet. Nie wiedziałem, jak to przyjmie. Róże owszem, ale to coś innego. Mieli tam też wieńce i znicze, uśmiechnąłem się tylko pod nosem. Na strych wbiegłem. Niebyło jej tam. Nikogo niebyło. Mieszkanie dokładnie wysprzątane. Jakby nikt nigdy w nim nie mieszkał. Nie wiedziałem, że mamy w domu odkurzacz. Nigdzie żadnej wiadomości. Usiadłem.

Godziny się przetaczały. Przetaczały się nade mną i były ciężkie. Były ciemne. Spróbowałem zajrzeć do szuflad, ale... chociaż zobaczyłem jakieś papiery, nie przejrzałem ich. Tego nie wolno robić, to wbili mi w głowę, tego mnie nauczyle. Nie poszła na zakupy ani

na spacer, zostawiłaby wiadomość, przecież rozmawialiśmy. Bukiet leżał na podłodze. Wazony zostawiłem puste. Ciągłe było jeszcze jasno.

Teraz, Czarna, teraz, kiedy uwolniłem się od tajniaków, teraz, kiedy uciekłem z pułapki, z wielkiej pułapki... dlaczego teraz?

WŁOSY ZWIĄZAŁEM. CHODŹMY! POWIEDZIELI MI. SIEDZIAŁA
NIERUCHOMO. KIM JEST MOJA SIOSTRA. WIDZĘ W LESIE I... W
GÓRACH. CO MAM ZROBIĆ. ICH STUDNIA SKRZYDŁO KRUKA.

Znowu na dworze wszystko powoli ciemniało, znowu przyszedł moment przemiany... siedziałem, coś się zaczęło i nie skończyło, toczy się dalej wzdłuż własnej osi, wciąga mnie, czułem w sobie dziurę, niepokój.

Zapaliłem papierosa, a kiedy się zaczęło, szukałem jej zapachu na fotelu, w którym siadywała, trzymałem sztucce, którymi jadła. Do gardła podeszła mi żółć, a w oczach czułem ciśnienie światła. Pozwoliłem mu się osłepić, w korytarzu, w przedpokoju, gdzie było ciemno, macałem rękami, nie zapaliłem lampy.

W łóżku znalazłem kilka jej włosów, mocno związałem nimi palce, po dwa. W łazience znalazłem w otworze odpływu kolejne włosy. Kruki. Lubi wodę, czystość, ale wszystkiego po sobie sprzątnąć nie mogła. Włosy związałem pod paznokciami, lepiej je czułem, kiedy sprawiały mi ból. Pachniały, mimo że były w wodzie, w wodzie, która spływała po jej skórze.

Był wieczór, patrzyłem przez okno, po ulicy chodzili ludzie, chodzili też ludzie sztuczni, mutanty, z tej wysokości nie dawało się ich odróżnić od siebie, ale jednak niektórzy zdradzali się chodem, ukradkowymi ruchami. To moja ulica, moja dzielnica, moje miasto, mówiłem sobie, ależ nie, nic do nikogo nie należy, nie długo. Z knajpy w sąsiednim budynku słychać było kłótnię, pijacy wytoczyli się na ulicę, stanęli pod latarnią, w słabym świetle. W kałuży koło jej słupa stał pies. Chłęptał deszczówkę. Odrapane mury kamienic czynszowych, metalowe kraty w oknach. Kosz na śmieci, kanał i wysuwająca się z niego chmurka pary. Przez parę nie było widać tablicy na plakaty ani samych plakatów z twarzami aktorów, ani plakatu z twarzą polityka. Tory błyszcząły, a kiedy z brzękiem przejechał po nich tramwaj, dalej świeciły zimnym blaskiem. I tędy ma iść? pytałem sam siebie. Tędy ona ma iść, sama? Czy ktokolwiek inny? To nie może być dobre dla nikogo, to nie ma sensu, czegoś takiego przecież nikt nigdy nie mógł chcieć. Tego miasta, tej ulicy, takiego samotnego chodzenia.

Zapaliłem jeszcze jednego papierosa i łąziłem bez celu po mieszkaniu, słucałem muzyki, w tym rozdygotaniu wyciągnąłem z kieszeni wszystkie swoje mapy, lekarstwa, bibułki do skrętów, scyzoryki, żyłетки, kastety, pręty, rzemyki, notesy, gry. Próbowałem zerwać paznokciami parkiet, tam przecież był magazyn pistoletów i samopalów, metalowe części lżejszych typów lśniły w tym gorącu tak mocno, że aż oczy bolały. Napinałem cięciwę łuku i pękła, i ze świstem przecięła mi skórę na nadgarstku, zmąciła tatuaż. Potem wziąłem gwoździe i kołysałem Brata Gwoździa na kolanach, czyściłem mu skórę nożem rzeźnickim. Zbudziło to psy w domu, dołączyły do rytuału. Miejskie degeneraty, ale to mają w komórkach. Ależ tak, wiem przecież, że w każdej sekundzie... że inni giną, przypalają im stopy, ściskają ich kaftanami bezpieczeństwa, rzucają prosiakom.

Może... jest taka możliwość, może na mnie kolej nie przyjdzie... teraz ty, ktoś, leżysz w zimnej dziurze, w ciemności, na dzień, godzinę, minutę przed torturami, a potem to nadejdzie, pewnego razu to nadejdzie, usłyszysz swój krzyk i w jednej jaśniejącej ciężkiej sekundzie osłepiającego bólu z całą pewnością będziesz wiedział, że jesteś. Nikt przed tym nie ucieknie, w którymś z żywotów nadejdzie ból, będziesz ostro i pewnie wiedział, że jesteś, będzie to jeden jedyny moment, będzie bolał, żeby dał ci poczuć, że jest rzeczywistością.

Ten Bog. Żebyś wiedział, że ból jest rzeczywisty, wszystko inne to tylko dekoracje, żłuda i zwid, pierwsze wypalone papierosy, nieśmiałe pocałunki i niezobowiązujące żarty. A dlaczego ty... dlaczego teraz ty, dlaczego nie ja? Odpowiedź już znałem.

Tak więc nie żałuj sobie od czasu do czasu chwili, w której byś przynajmniej popieścił spojrzeniem swoje miotacze min, swoją trybunę, swoje pukawki, powoli kłują się rozżarzoną oszczepem, słońce praży mój hełm, zaschłe strupy na skórzanej katanie znowu nabiegają krwią i ropą, żyją. Gdzie jesteś, siostrzyczko, ty bestio. Było ciemno, w pokoju płonął tylko blady blask metalu... lśnił... jednak tym chytrusom chociaż trochę uranu świsnąłem, podpieprzyłem go dyskretnie, udało się... wiedziałem, komu to dam. Być może.

Leżałem na łóżku i czekałem, przykucnąłem na piętach i czekałem, jeszcze zanim przekręciła klucz w zamku i drzwi się otworzyły, sekundę przedtem, wiedziałem, że przyszła. Zwietryłem jej bliskość, czy to był zapach? Może kiedy się poruszała, w całej swojej żywej piękności, rozdzierała powietrze przed sobą i wysyłała do mnie jakąś falę? Objąłem ją i ścisnąłem tak mocno, że nie usłyszałem odpowiedzi, coś mówiła, kłopoty, mamy kłopoty, pomogę ci, zrobię wszystko, co będziesz chciała, powiedziałem, wtedy leżeliśmy już obok siebie. Świtało, więc widziałem jej twarz, chciałem w głąb, chciałem widzieć czaszkę. Chcę ci coś powiedzieć... trzeba coś zrobić... tak, teraz musimy coś zrobić, ugryzłem ją w wargę. Oparła się stopami o moje golenie, leżała na mojej kości udowej, prawie jej nie czułem, był to przyjemny ucisk. Jej oddech na mojej twarzy. Potem cofnęła się, rozpląnęła się w ścianie: Bądź czujny, przyjdę do ciebie, usłyszałem.

Obudził mnie ostry brzęczący dźwięk dzwonka.

Byłem nieprzytomny, leżałem nagi. Jak to zlekceważę, nie będzie tego, mamrotałem, a może tylko myślałem. Ale dzwonek brzęczał ciągle.

Ubrałem się, zakryłem się spodniami i koszulą, swojego srebra nie zdejmuję. Byli to Vohřecký i Viška, weszli do środka.

Vohřecký otworzył okno, Viška stał przede mną i szczyrzył zęby. A ja sobie przypomniałem... wreszcie miałem go przed sobą, wyszarpnąłem to z obnażonej pamięci... obwisłe ramiona, mocna budowa ciała... łysina... he, Viška... powiedziałem... Już wiem, blok 12, oddział C, więzienie na Pankracu... to był on, zatrybiłem, jak jego przestępstwo zakwalifikował Had raba... a tak, dzieciaki, pewnie zerznął jakiegoś chłopczyka, dziewczynkę?... to była ta cela... kawałek dalej byliśmy przecież ja, Bohler i jakiś kierownik sklepu z warzywami, mnie wypuścili po amnestii, Bohlera nie, musiał odsiedzieć trójkę, chyba dlatego, że był księdzem... tą celę, gdzie siedział Viška i mordercy, nazywano szczekarnią, chodził tam czasem klawisz z wilczurem, który na rozkaz czekał, żeby nie było słyhać, jak sprawiają zbrojeńcowi łomot... to ciekawe, nawet najgorsze kreatury w pierdłu nienawidzą tych, którzy krzywdzą dzieci, uważają ich za podludzi... dlatego przyłączył się do tamtych, żeby go nie zatłukły oprychy, pedofil... dzień dobry, mówię do Viški... uśmiechnąłem się do niego, awansował pan, co?

Siadaj, powiedział do mnie Vohřecký, lepiej siadaj.

Jak mnie znaleźliście? Gdzie jest... wyrwało mi się.

Panna Moriaková? spytał Vohřecký, ależ ty, koleżko, jesteś głupi. Także usiadł

To niemożliwe, nie wierzę.

Tak głęboko upadłeś, chłopcze, że nawet już nie milczysz buntowniczo na przesłuchaniu.

Evka dziewczka? Ma na myśli Evkę dziewczkę? powiedział Viška... Evunię kurwunię, o niej myśli, kretyn.

Wietnamców znajdziecie sobie sami, czy kim oni tam są... a Czarna, nic na nią nie macie.

Ale na ciebie mamy, chłopcze, powiedział Vohřecký i nie żartował... już od dobrych paru tygodni mamy, mówiłem ci, że przejrzałem teczki, ale nie tylko... znaleźliśmy Zavorovą... co ty na to?

Milczałem.

Nie żyje.

Nie mów takich rzeczy! Nic nie wiesz, tajniaku.

A my uważamy, że zabiłeś ją ty.

No proszę, naprawdę?

Wiemy już, gdzie była przez wszystkie te lata. A wiesz, gdzie ją znaleźliśmy, to, co z niej zostało? Pod węglem... w piwnicy. No, ty wiesz, gdzie ona była. Barbara Závorová, śliczna dziewczyna... uduszona. Głupie, nie?

Nic nie wiecie...

Ale to jeszcze nie wszystko, Vohřecký zerwał się na równe nogi i chwycił mnie za ramiona, ściągnął mi koszulę, jednym ruchem rozerwał guziki... Viška przyglądał się temu.

Tale, to właśnie to, powiedział Vohřecký... a wiesz, że pewna pani poznałaby tego mordercę... dosyć precyzyjnie opisała nam, co miał na szyi, taka baba, co to sprzedaje świece w kościele, ale już tam nie mieszka, nie myśl sobie... i opisała nam właśnie to, tą twoją świętą, ty dupku. Czy to w ogóle jest chociaż ze srebra, tak, chyba tak. Ta baba szła po węgiel, widziała was, ciebie i ofiarę, bała się ciebie. Ale mamy to zapisane. Widziała też, że zgwałciłeś tą dziewczynę.

To nieprawda! A to jest Matka Boska!

A potem ją zadusiłeś. To nam w laboratorium potwierdzą.

Ale nie zerwali mi jej. Medalion ciągle był na mojej skórze. Był zimny.

Zabiłeś Zavorová. No to idziemy, kreaturo. Wstawaj, idziemy na komisariat. Ale cię tam przywitają. To się będą gapić na artystę...

Siedziałem.

Chyba żebyśmy pojechali... no, może jednak wyjedziemy z miasta? Co ty na to?

To, że w samochodzie siedział Rudolf, było mi obojętne, ale tam... na miejscu obok kierowcy... miała okulary i siedziała sztywno, nie poruszyła nawet głową... ciągle miałem nadzieję, że ją zmusili, że trzymają ją ze względu na mnie... także potem, kiedy już znaleźli, dowiedzieli się... ale ledwie wyjechaliśmy na autostradę, Viška, który prowadził, zaczął błaznować, zatrąbił, potem jeszcze raz... trąbimy koło apteki, na znak wychodzimy i... odwrócił się do mnie i śmiał się... to mnie przygnębiło, zdruzgotało... nie odzywałem się, ale kiedy Viška... złapał ją za udo i mówi: Evka dziewczka, Evka wytrzyma, ach, jak ona trzyma, kurwiczka z przodozgryzem, no, te ząbki, co, ostre, ostra dziewczuszka z bliznami... uderzyłem Rudolfa, który siedział obok mnie, i zacząłem na nią krzyczeć.

Wyglądało na to, że Viška tylko na to czekał, zahamował, wyskoczył z samochodu, ale Vohřecký go zatrzymał... trzymali mnie... a Rudolf mówił przy moim uchu uspokajająco, cicho: Tak musi być, wybaczone, nie dziw się, nawarzyłeś piwa, a potem ukłuł mnie w rękę igłą... żyła temu ostrzu chyba wdzięcznie się nastawiła, chłonęła je, było mi wszystko jedno, co to takiego, widziałem tylko czarną skórzaną kurtkę swojej dziewczyny i jej włosy... od tyłu. Byłem bezsilny.

Kiedy się obudziłem, był dzień. Siedziałem na miejscu z tyłu, pierwszą rzeczą, która zobaczyłem... Czołem, powiedział Vohřecký. Staliśmy przed jakimś... drewnianym kościółkiem, widziałem nawet pajęczyny we wszystkich rogach, dzwonnice, Vohřecký dotknął mojego ramienia, całkiem delikatnie... obudź się już, no dalej... poza tym była tam już tylko ona, plecami do mnie... zdejmij te okulary, kochanie, popatrz na mnie, chociaż raz... prosiłem... Zamknij się! rozkazał Vohřecký, nawet nie drgnęła... Evka dziewczka, cieszyłem się, że nie ma tam Viški... poszli coś zjeść, poinformował mnie drugi ubek, chcesz także? Czarna, to niemożliwe, nie wierzę... wzdrygnęła się gwałtownie, otworzyła drzwiczki, zatrzasnęła, odeszła.

Tak się nie da, człowieku, zrobisz taką rzecz, a potem wszystko ma być w porządku? powiedział Vohřecký... teraz pokażesz nam, gdzie są, i jesteś wolny jak ptak... zaraz jedziemy, chcesz coś zjeść?

Nie.

Jasne, Evunia ot tak sobie puściła się z takim chuliganem, żartował Viška, chociaż prowadził, od czasu do czasu zerkał na mnie, ot tak, po prostu z miłości, co, kiciuniu? No co. Przecież Evunia kurwunia uwielbia dziadunia. Co nie? Prawda? Znowu złapał ją za udo.

Rudolf obok mnie milczał, widziałem, że się poci. Zaprowadzę was tam, powiedziałem do Vohřeckiego, ale niech już będzie cicho... Tak, Michale, powiedział Vohřecký, starczy... Zamknijcie pierdolone gęby, ja prowadzę!... wstydzilem się przy nich mówić do niej, a potem nagle uświadomiłem sobie, że chcę umrzeć, ta myśl pojawiła się w jednej chwili i już została... pójdę pierwszy, mówiłem sobie, i już z tego lasu nie wrócę, nie chcę żyć, koniec... trochę bałem się też Psicy, czułem, że jest gdzieś niedaleko... zatrzymaliśmy tam, gdzie kiedyś zatrzymał się Elegant... przecież to było dopiero co, a moje życie pękło... kiedy wysiadłem z samochodu, Vohřecký związał mi ręce... usiadłem... Viška mnie kopnął, siostra... Czarna to widziała... powstrzymali go... tylko nie to, powiedział Rudolf, był komiczny, wyglądał pośród tych prostaków jak studencik, Vohřecký ze sterczącym brzuszyskiem, Viška, taki zapaśnik...

Po paru krokach Rudolf mnie rozwiązał, puścił mnie przed siebie... tylko raz się zatrzymałem, tam gdzie czołgista wpadł w bagno, i stwierdziłem, że Czarna została w samochodzie, zostawiła mnie... poświęciła mnie, kto wie z jakiego powodu... tą sprawę z Psicą wytłumaczyłbym jej, nie, milczalbym... więc ona przez cały ten czas... byłem chyba ciągle zamroczony po tym zastrzyku, bo zamiast ryc ziemię rękami i zębami, szedłem po niej... nie pozwolą mi z nią porozmawiać, nawet jej już nie zobaczę, gdybym się tak do niej jakoś przekradł przez las... zatrzymałem się, czekajcie, chcę coś powiedzieć... stanęli, może dlatego, że mówiłem cicho... Co jest? odezwał się Rudolf. Przecież ich jest... ośmiu albo dziewięciu, to są żołnierze, przecież nie macie z nimi szans.

Szanowny pan narobił w portki! powiedział Viška, no, gdyby to były dziewczyny, co? Nie martw się, powiedział Rudolf i pchnął mnie do przodu.

A potem stanęliśmy nad jarem, ścisnąłem w rękę kamień, który miałem rzucić na dach, i po raz ostatni szepnąłem do Vohřeckiego: nie wygłupiajcie się, przecież... oni was... przecież będą walczyć... jedyna szansa, że już pojechali... ale pośród drzew zarysował się cień i ruszył ku nam, był to Łowca, Rudolf rozpostarł ramiona i mówi: SIAKJA, proszę pana... SIAKJA... to my... jeszcze raz powtórzył to słowo, wytrzeszczył oczy i zakołysał się na kolanach, z szyi sterczała mu trzcinka... Vohřecký był dwa kroki przede mną, sięgnął pod pachę, ale potem zacharczał, chwycił się za brzuch... ja już biegłem... las zaczął się ruszać... słyszałem, a przede wszystkim czułem to ich: hop, hop, ktoś śmignął przez krzaki, pobiegłem po łuku, potem jeszcze raz, dostrzegłem Vohřeckiego, jego biały prochowiec wydymał się na wietrze... stali przy nim, chyba po to, żeby go dobić... zatrzymali się, ale znowu wokół mnie: hop, hop... gałązka uderzyła mnie w twarz... dzięki Rudolfowi ręce miałem wolne... wpadłem na bagno, ale kolor mchu mnie ostrzegł... jakoś to zauważyłem i przeskoczyłem przez nie... co wstrzyknęli mi w żyłę... bok w ogóle mnie nie bolał, dyszałem... właściwie przez całą drogę, kiedy byłem nieprzytomny, odpoczywałem... a teraz się dowiem, jest tam Czarna, sama, ich dopadli... dowiem się, to dodawało mi skrzydeł... wpadłem między kamienie, ostrożnie przedzierałem się przez to miejsce... złapałem oddech w rowie, czy co to tam było... a w moich żyłach znowu płynęła radość... ale i nienawiść... bo jeśli mnie tak zdradziła, to przeczuwałem, co zrobię... i już jest tam samochód... potem go zobaczyłem, ale nie mogłem już biec szybciej... Viška skoczył na mnie, czekał tam, uchyliłem się... byłem przy samochodzie, ona trzymała kierownicę, rusz się, jedź, szarpał za klamkę, zatrzasnąłem uchylone drzwiczki, zawył z bólu... jedź, ty krowo, na co czekasz... powoli obszedł auto i usiadł obok niej... jedź, dziewczusko moja, na gaz, sprzęgło, tak, jak cię uczyłem... tego dumnowatego zostawimy tu, nie?

Mierzył do mnie. Obaj łapaliśmy oddech. Czarna ruszyła.

Jestem tu, Czarna, syknąłem. Nie zareagowała. To już nie potrwa długo, powiedział Viška. Zatrzymaj się przy tym stogu, Evka. Tak, tutaj, a ty wyłaź. I idź na pole, no, rusz się. Dalej! Ruszyłem, bo Czarna też wysiadła, szedłem do niej, ale on był szybszy.

Co powiedziałem? Na pole. Raz, dwa, pięć kroków i stój. Odwróć cię. A ty dawaj, zabij go! Waliłaś się z nim wystarczająco długo, zobaczysz... jak się teraz zwali. Evka, musisz! Rozkazuję ci... zabij go!

Odwróciłem się, czas się dla mnie zatrzymał... bo zrozumiałem... ta, która mierzyła do mnie, Czarna... wiedziałem już, kim ona jest... za ich plecami rozdarła się mgła, ktoś tam stał... poczułem nadzieję, ale był to tylko strach na wróble, ze słomy, mgła znowu go pochłonęła... teraz już wiem, że moja siostra to śmierć... szukałem jej, a teraz mnie ma... zamknąłem oczy i odezwało się: puf! – i jeszcze raz... to jest moja siostra, śmierć, a to jest mój koniec.

Stałem, ogłuszony jeszcze wystrzałami. Ostry suchy wiatr ciął mi twarz... usłyszałem krzyk, było to raczej... coś zwierzęcego. Otworzyłem oczy... Czarna go kopała, leżał na plecach, kopała go w twarz, a potem podskoczyła i uderzyła go w twarz piętami... podbiegłem i przewróciłem ją... krzyczała jak oszalała... Co jest, co jest? bełkotałem, jakoś ją odciągnąłem... pistolet leżał na ziemi, lufa była gorąca, włożyłem go do kieszeni i pociągnąłem Czarną... leżeliśmy w lesie, samochód był już niewidoczny... on także.

Leżała z twarzą wtuloną w mech, ramiona jej drgały... musimy stąd zniknąć, powinniśmy pojechać samochodem, jego powinienem wepchnąć w stóg, nie wiedziałem, co powiedzieć, trzymałem ją... potem usłyszałem silnik, ktoś jechał szosą, mogli to być... tak, niech to będą oni, zółci, popychałem ją przed sobą, przewracała się, ale dostaliśmy się głębiej w las... musiałem już jakoś przerwać milczenie, szarpnąłem ją i zerwałem jej okulary... miała oczy jak gdyby odwrócone na lewą stronę, ostre i głębokie, ale była to ona, objąłem ją na ziemi, bo upadła, i mówię: Dzięki, jesteś moja... jesteś taka dzielna... zaplątałaś się w te ich sprawy, nie szkodzi, to już przeszłość.

Idioto, powiedziała, to był mój ojciec.

On? Aha. Jaki jest teraz miesiąc? spytałem.

Co mówisz?

Nie wiem. Zastanawiałem się, czy będzie w nocy zimno.

Oboje wiedzieliśmy, że tej nocy nie możemy nigdzie iść.

Zostaniemy tu? chciałem do niej mówić.

Jest mi wszystko jedno.

Nie, chodź, póki jest jasno.

Nie chcę, nie chcę tego, zawołała.

Ale to jest.

Wiesz, co sobie myślałam przez całą drogę?

Nie.

Że przyrastam do tego samochodu, że jestem tym samochodem, coś jak zaprząg.

Uhm.

Nie da się opowiedzieć.

Ale już... teraz już będzie w porządku. Myślałem, że jesteś śmiercią. Nie tylko moją, po prostu, że jesteś śmiercią... patrz, ten pień, jest całkiem jak człowiek.

Krzyknęła.

Nie... dobra, nie jest. Chodź.

Tej nocy spaliśmy w lesie, w liściach. Zasnąłem, chociaż moja siostra leżała z otwartymi oczami i dygotała. Ale potem z kolei nie spałem ja. Bo przyszła po mnie Psica.

Zobaczyłem ją, kiedy wstałem... to las mnie obudził, chciał, żebym szedł dalej, dokądś, wiedziałem to. Nie wiedziałem, że będzie tak blisko. Najpierw wisiała między drzewami, potem zeszła na ziemię. Miała księżyc za plecami. Stała przede mną. Mała Psica. Głową

sięgała mi do ramion. Ale nie odważyłem się jej dotknąć. Uśmiechała się. Miała białą suknię i rozpuszczone włosy. I była piękna.

No widzisz, powiedziała, znalazłeś ją.

A ty, Psica... wybaczyłaś mi?

Co było, to było. To bolało, wiesz? Ale ja mocno byłem do ciebie przywiązana. To chyba była wielka miłość. Więc i potem... chciałam cię zobaczyć.

Ja ciebie też, ciągle cię kocham.

Wiem, wiem.

Dlaczego tak się stało? Psica... ja nie mam pojęcia.

Ja też nie.

Aaa, Psica... czy to bardzo bolało...

Nie, raczej się przestraszyłam. Ty jesteś szybki... a ja, ja jakoś o tym zapomniałam... zdarza się... u nas jest inaczej. Powiedziałam to, żeby cię rozbawić. Znasz to, nie?

Taa... to był sen. Psica?

No?

A to też jest sen?

Zgaduj, zgadula. Za dużo mówisz. Przygotuj się, musisz teraz iść.

Ale jak to... przecież jest tu ona! Nie mogę... jeszcze. Przecież wiesz, co zrobiła!

Nie bój się, będziesz mógł wrócić. Z jej powodu.

Mogę o coś spytać... zanim pójdę?

Tylko szybko.

Lubisz ją?

No... Psica się zachmurzyła, znałem to tak dobrze! Ten jej wyraz powagi... jej wargi.

No... wy już jesteście... trochę inni. Coś się zmieniło. Ale chodź już! I żebyś sobie nie myślał... jak cię tu nie będzie, będę ją chronić. Wierz mi i nie bój się o nią. Ale mnie, mój miły, mnie już nigdy nie zobaczysz.

Leciałem. Jej ostatnie słowa brzmiały jeszcze we mnie... bolało to i czułem się jak nędzarz i jak zagubiony pies, ale nagle... przelała się przez to wszystko fala... radości, myślę, że posłała ją ona, bo kiedy ja lecę i idę... gdzieś, gdzie iść muszę... Psica czuwa czy co tam robi... nad biedną Czarną, więc siostra jest bezpieczna... przeczuwałem, że tak jest, i zacząłem się rozglądać... potem szedłem przez śnieg, ale było mi lekko, szedłem zdecydowanie, a mój oddech był ostry, szedłem po linii prostej, drogą wojownika, wiedziałem to, otaczały mnie góry, może chce dać mi sen... szedłem długo, a z każdym ruchem byłem silniejszy, potem coś mnie znów uniosło, żebym zobaczył, co musiałem zobaczyć... zobaczyłem swoje ślady, zataczały krąg... więc to jest moja linia prosta, omal nie jęknąłem, ale świadomość tego, że wiem, była silniejsza niż... nie wiedziałem już, czym jest rozczarowanie, a potem nagle znowu była wokół mnie trawa... stałem na wzgórzu, a pode mną były domy. Unosił się z nich dym. Było lato, ciepło i moja sfatygowana kurtka doskonale się nadawała. Dotknąłem Matki Boskiej i poszedłem. Przeczuwałem, dokąd mnie posłała... nie wiedziałem dlaczego. Ale bardzo, bardzo chciałem go zobaczyć.

Stał w ogrodzie, koło niego starsza kobieta... ach, Boże, wyrwało mi się jak dawniej... ta kobieta poprowadziła go do krzesła... poruszał nogami.

Widzisz go? syknęła mi Psica do ucha.

Tak. Ale co... co mam robić?

Będziesz wiedział, powiedziała Psica. Idź.

Chyba coś szturchnęło mnie w plecy... skrzydło, tchnienie...

Psica, on... czy jest mu lepiej? Ta pani go prowadzi.

Tak się prowadzą idioci. Idź! I zrób to.

Poruszyłem się. Potem już nie słyszałem Psicy.

Wybiegły ku mnie psy, owczarki, stałem w miejscu. Z drzwi tego... gospodarstwa... wyszedł mężczyzna. Patrzył na mnie nieufnie, ale psy przywołał.

Wejdźcie, panocku! Do ty lodówki?

Nie, panie... Losin. Ja... przyszedłem do Davida.

Wytrzeszczył oczy... a potem popędził do domu, wszedłem na majdan.

David! Brachu, to ja... siedział na krześle i patrzył przed siebie, starsza kobieta krzyknęła... facet wybiegł z drzwi ze strzelbą.

Odsuń się, mama! On je z ty bandy! Ciebie zabijem!

Złapała za lufę. Nie! Sam przysed, ani nie wis cemu. Ty podź dalej, synku. Davida ostaw.

Ja... stałem koto niego i dotknąłem go, był zimny jak lód i w ogóle mnie nie zauważył... kłócili się, stary chciał mnie zastrzelić, przypomniałem sobie, jak David opowiadał swój sen... przesadzał z tym miejscowym dialektem, żebyśmy się śmiali, my, pełni pychy chuligani z miejskich dziur...

Zostałem tam na dłużej... i z czasem ten język chwyciłem, był stary, ale ponieważ żyli tu od dawna odcięci od świata, uległ mutacji... nie był czysty, a potem stwierdziłem, że za tymi wzgórzami i w górach dookoła są kolejne chałupy i różne lepianki, gdzie ludzie mówią... po czesku i że wszędzie ten język jest inny, inaczej powykręcany, zależnie od tego, jak czas przechodził tu przez tarkę... zauważyłem, że na przykład stare huby, którymi myli naczynia, nazywają detyrgynkami, a talerze disami, był to wpływ undergroundu, anderów.

Kiedy już się trochę z nimi zżyłem i ze strony braci Davida nie groziło mi niebezpieczeństwo, Abram i Kubik, z całą powagą mrugając do mnie jak spiskowcy, wzięli mnie raz do Jaskini, która należała do gospodarstwa Hołecków i młodzi Hołeckowie, znów znacząco mrugając i przykładając palec do ust, zaprowadzili mnie do środka... do anderów, jak mówili... byli tam niektórzy chłopcy z tych osad, a nawet dziewczyny, które z piskiem uciekały na boki, i był telewizor.

Chyba przez dwie godziny pokazywali film o budowie jakiejś tamy, potem był śnieżny show z reklamami czy czymś w tym rodzaju, wideoklipy... i młodzi gapili się na to. Co jeszcze... kiedy przynieśli z góry babcie, a ta zaczęła śpiewnym głosem: ...przyjechali z wozami, wedle obietnic śli i nic... ino pusce Benatu, ino bagna Benatu... a w górze gwiazdy Benatu i starzy jęli kopać, kopali i karcowali, i palili, i prosę: była tu miedza Haloba... a tu piękne, od razu najpiękniejsze pole Losinów... i Kropackowa struga... a tak mówiła przez całe wieczory, młodzi to znali... nie mieli nic pisanego... tylko w tej starej Biblii... od bracisków dobrych, kralicaków... pisał stary Losin imiona synów i córek, którzy urodzili się albo umarli, tak jak robił to jego dziad i ojciec jego dziada... dopiero później zrozumiałem, dlaczego nalali mi kapuśnioku do plastikowego talerza z reklamą coca-coli, a sami jedli go z kamionkowych... dlatego, że była to wielka rzadkość, wszyscy chłopcy mi zazdrościli, a najmniejsi nie zdołali się pohamować... kiedy kończyłem jeść, powoli, ceremonialnie jak inni, przechodzili koło mnie, wiercili się i gapili... najpierw widać było napis na brzegach, a potem butelkę coli, nie chciałem ich dręczyć, więc czasem łykałem zupę jak pies, aż stary sykał, a Abram unosił brwi... to wszystko i wiele innych rzeczy nadeszło jednak później.

Teraz stałem przed domem wśród kurzych gówieńek, gdzieś czekały wielkie psy... wokół mnie rozmaite dziwne szopy i komórki, ten dom... no, z bliska to była straszna rudera... potem zobaczyłem jego kciuki, były zawinięte grubą warstwą, a ta warstwa nasiąkła... ciągle mu to cieknie... ktoś mnie z tyłu walnął, chłopcy... czterech przeciwko mnie, to dobrze, bo kłócili się między sobą, a potem znowu wtrąciła się stara i przegnała ich... migało to mi w głowie jak w wodnej jamie, gdzie pławiło się konie, Czarna... ma chyba potężną ochronę w lesie... a kiedy raz siadałem na drewnianej ławie, błysnęło mi: a jeśli Psica ją skrzywdzi, jest taka silna, ale znowu poczułem powiew skrzydeł i moje serce z ulgą się rozhuściło... stara postawiła przede mną talerz zupy... ci chłopcy i chłopaki, bracia Davida, siedzieli pod ścianami, u szczytu stołu stary... modlili się... a ja, tępak, łyżkę w

rękę... jeden z nich, drał, patrzył na mnie ze swojej modlitwy bardzo nienawistnie... odłożyłem łyżkę i szybko złożyłem ręce, całkiem jak kiedyś... jeśli stara będzie mnie bronić, wytrzymam tu, pomyślałem... a obok siedział David.

David się nie modlił, połykał zupę gorącą, był... to nie był już on. Twarz miał obrzmiałą, białą... dynia, przyszło mi do głowy, pocilem się w swojej winie, no tak, to chyba my... a potem nie powiedzieliśmy Helenie, gdzie on jest, nie wiedzieliśmy, nie strzeżliśmy brata swego... nikt mnie o nic nie pytał... No, pozwolili mi tam być. Ich pierwszy nienawistny atak opanowała stara... a potem chyba zwyciężyła wrodzona dobroduszość, tak wtedy myślałem... a także ciekawość.

Uratowało mnie może na początku... zupełne głupstwo... kiedy do mieszkania Czarnej wpadli ci dwaj i Vohřecký rozerwał mi koszulę, kiedy kiwnąłem im głową, włożyłem na siebie jakieś podkoszulki, które Czarna oceniała zmrużeniem kącika lewego oka... teraz więc wisiała na mnie wyjątkowa mieszanina, której przewodziła bawełna z jakąś reinkarnacją chyba Travolty, pod tym miałem podobny zestaw, na przykład SUPER DISCO... zerwałem wtedy z wieszaków swoje zdobycze z barów hamburgerowych, katanę, którą Czarna miała tam chyba po kimś, nie pytałem jej... chłopcy chodzili za mną po gospodarstwie, bałem się, że coś mi zrobią, za to, co się stało z Davidem... ale oni mnie sobie oglądali... do Davida mnie najpierw nie chcieli puścić, starałem się... bo sądziłem, że Psica posłała mnie tu, żebym mu pomógł... i może, ale chyba myśląc to, bluźniłem, jakoś naprawił to, co zrobiłem... jej.

Panocku, wy skąd? zastąpił mi drogę jeden... z Pragi... zakrzyknęli, chwycili mnie i zawlekli do babci, babcia leżała... i zaczęła mówić... coś z tego złapałem... myśleli tu, że to cudo Praga wyśle swoich ludzi, którzy ich tam zawiozą, całkiem poważnie mówili mi, że w Pradze żyją najlepsi ludzie ze... serokim sercem... bogaci i sześni... a gdzie jestem ja? pytam Abrama, on był niewątpliwie szefem tych chłopaków... W Banatce, tu je Banatka wsady dokoluška i pan Vladan Dragač, pan mogliły... Mogiły? No, od tego nie zmądrzałem... potem przed dom dobiegł ostry głos starego i chłopcom skończyła się sjesta... popatrywałem na Davida, obok mnie był jeden taki... wszyscy ci chłopcy byli na ogół dosyć dobrze zbudowani, chyba ciężko pracowali, a chociaż na pewno nie znali pewnych figli i podstępów, które znałem ja, nie chciałem urazić nawet tych spośród nich, którym szło dopiero na piętnasty rok... ten jednak był garbuskiem, włókł się za mną, coś bełkotał... poszedłem za budynek spojrzeć na chłopców, to było dosyć niesamowite... orali, ale jak: dwóch było zaprzężonych do pług, a trzeci ich poganiał i kierował nimi... mieli konia, ale tylko jednego... jak zrozumiałem koń był dla Abrama, on albo Kubik jeździli po zapasy... mały połamaniec ciągle lazał za mną, ciągnął mnie za kurtkę... zrozumiałem go... chciał zobaczyć podkoszulki, całkiem oszalał na punkcie pewnego okropieństwa, na którym była wieża Eiffla i Café Suka, skąd to mogłem wziąć, to... dałem mu ten podkoszulek... nie wierzył, że na serio... zaraz to na siebie włożył... sięgało mu do kolan, ciągnął mnie za sobą... gdzieś, był to chyba spichlerz, wspinał się po schodach jak wiewiórka, kołysał tym swoim kalekim ciałem... tam mi pokazał: Pssst! I pociągnął mnie do tyłu, za worki, wyjął skrzynkę i zaczął w niej grzebać, potem podał mi jak świętość jakąś książkę, coś starego, były tam fotografie z Egiptu, piramidy, wielbłądy, miałem o tym pewne wyobrażenie... potem wyjął... widokówkę z zegarem na ratuszu staromiejskim, położył ją na ziemi, a między książkę i kartkę podkoszulek z wieżą Eiffla i powiada: Mów! Co jeszcze jest, powiedział to całkiem normalnie... musiałem usiąść na worach... Losin, wskazałem na niego... Potok, wskazałem na siebie.

Potok, tak, powiedział on, co jeszcze jest?

Gdzie jesteśmy... ty, chłopcze cały!

Banatka! zaczął bełkotać, nie bardzo go rozumiałem, ale brzmiało to jak język romski albo romański, od czasu do czasu stare słowo...

Ja Beniamin, klepnął się po klatce piersiowej. Potem znowu wyjął książkę, zeszyt... miał tam wklejone okręty i... la mare, mówił, la mare... stuknął w papier, patrzył na mnie...

Ja nie! powiedziałem szybko, też nie znam... morza też nie.

Nie?

Wieczorem stara zabrała mnie do Davida. Miał paradną, jak to nazywali, tylko dla siebie, spał na piecu, zrozumiałem, że także mam się na ten piec wgramolić, nie miałem ochoty... dość ciężko znoszę jakieś bliskie... ale sprzeciwy mi nie pomogły, stara miała wprawę dzięki swoim pędrakom, zgasła świeczkę, leżałem w ciemności obok Davida, pobratymca... chyba zaraz zasnął, oddychał regularnie, leżał na plecach, musiałem leżeć obok niego... czego ta baba chce, co to za kara, zasnąłem, dopiero kiedy się rozjaśniało, obudziło mnie coś w rodzaju pisku, był to chyba David, stał przy oknie... zacząłem do niego mówić... patrzyłem, stał na stołku, odwróconym do góry nogami, a ten pisk wydobywał się spod niego, zgniótł tam mysz czy coś innego, biedak.

Rano stara pokazała mi, jak zmieniać Davidowi opatrunek, wzięła nas do kuchni, stał tam ceber z ciepłą wodą, na dworze jeszcze świtało, ale tu byli już wszyscy, tych dziesięciu czy dwunastu braci, żadnej dziewczyny... wszyscy milczeli, a my opatrywaliśmy go, gromadzili się tu tak każdego ranka, patrzyli na rany Davida, były czyste, bałem się jakiegoś gnicia, ale nie, były całkiem czyste, krew sączyła się... z jakiegoś bezdenne wnętrza, a David się trzymał.

Potem Beniamin chwycił mnie za rękaw i poszliśmy. Z Davidem. Mały garbus zajmował się owcami. Nie miał już na sobie mojego podkoszulka, ale przyniósł mi... kiedyś to mogła być koszula. Może z czasów napoleońskich. Włożyłem ją. Sprawilo mu to radość.

Siedzieliśmy na wzgórzu pośród owieczek, Beniamin mnie wypytywał, ja jego, do niczego to nie prowadziło.

Banatka, cholera! Już nie wytrzymałem i zacząłem kijkiem rysować na ziemi... świat. Gdzie jesteście?

Tu, uderzył w ziemię. Wziął grudkę i położył ją na mojej bardzo niedokładnej mapie. Stuknął ją palcem i powiedział: Pan Vladan Dragač...

Pan Mogiła? spytałem.

Beniamin kiwnął z zadowoleniem. Nic więcej z niego nie wydobyłem.

Spróbowałem zająć się Davidem, ale... David siedział tam, gdzie go posadziliśmy, jego ręce szperały w trawie, siedział w kucki... opowiadałem mu to czy tamto, ale bawilo to tylko

Beniamina... od czasu do czasu odrzucał mi jakieś moje gorsze słowo... więc trochę się powstrzymywałem... jestem tu między owieczkami, z jednej strony idiota, wybacz, David, z drugiej połamaniec, wybacz, Beniamin, a ja pośrodku jak król Saloman, sobie nie wybaczę.

Psica, co mam robić? Jak mam się z tego wygrzebać, musi być jakiś sposób, jakaś sztuczka. Helena! wrzasnąłem na Davida. Nic. Tylko że... Beniamin nadstawił uszu.

Sucy pomiot, mówi.

Co, Beniamin, przecież... ona Davida, Helenka!

Tak, kiwnął głową Beniamin.

Była tu? Milczał.

Uciekła, jak go zobaczyła, tak?

Nie.

Co gadasz, jak nic nie wiesz, wymyślasz sobie, zarozumiałcze...

Spojrzał na mnie spode łba. Ale moje słowa zadziały. Wahał się... tak, musiałem uroczyście przysiąc, że go nie zdradzę, a teraz złamałem tą przysięgę.

Abram powiedział suka. Nie będzie z Davidkój tutok, nie z bękarciem.

Przecież była w ciąży!

Wim. Dlatego ją przegnali.

Nic więcej się nie dowiedziałem.

David. David wyglądał ciągle tak samo, wszyscy się na pewno przez ten czas zmieniliśmy. Tak, postarzeliliśmy się i ochrypli.

On nie. Ale miał w twarzy szczególny rys, była to, nawet przy tej nieszczęsnej ogólnej tępotcie, chyba pasja. Chwilami, ale tylko chwilami, wyglądał, jakby wszystko wiedział, nad wszystkim panował... jakby coś w nim w środku pracowało. Z konkretnym celem. Ale możliwe, że tylko wyobrażałem sobie w nim jakiś ruch.

Chłopcy traktowali go z szacunkiem, kiedy szedł przez majdan tym swoim mechanicznym krokiem, schodzili mu z drogi albo delikatnie go prowadzili: nie nazywali go inaczej niż Davidko, Davidik i podobnie. Przy tym między sobą... ciągle się prali, szturchali... stary ich nękał, stara też ich ustawiała... ale... w ciągu tych dni nigdy nie widziałem, żeby któryś marudził samotnie w kącie, że mu brat rozdeptał mały angielski samochodzik lub popełnił inną podobną zbrodnię... nie, na ogół byli... rozochoceni, byli nieposkromieni... niekiedy nawet walczyli ze sobą jak konie... ale zauważyłem, że nie ma tam żadnego kopania w jaja, żadnego wykorzystywania przewagi, wydrapywania oczu... były to raczej ćwiczenia: kto kogo... szybko miałem się przekonać, że brutalność zachowują dla kogo innego... a kiedy czasem wybuchała jakaś prawdziwa kłótnia, Abram i Kubik ją zażegnawali....

Ci dwaj wyglądali całkiem jak Losini, tu wszyscy nosili stuletnie obszarpane ciuchy, nawet młodzi chłopcy mieli kapelusze, od czasu do czasu biała koszula... jeden mówi: wy to ten panocek z Pragi? Tak. Niech siądą ze mną. Jestem Cermak, to mój bratko, tyż Cermak. My żyjemy tam, machnął ręką, wskazując za górę. Chodźcie do nas, Losini, skrzywił głowę i splunął... my dobre Cechy, jedyne tutok. Losini, eee. To pikna штука, to jest z ojczyzny... omacał moją kataną... nagle zauważył Davida, wyprostował się gwałtownie i razem z tym drugim podeszli do niego, Benjamin zniknął w trawie, bezszelestnie uciekł... ale ci dwaj nie chcieli Davida skrzywdzić... gapili się na niego wręcz nabożnie... tu jest ten, który pasie... widzisz kciuki, to prawda, świnta prawda... to on, ma je, singumaty... jucha dece... gapili się, chciałem zniknąć, bo coś wisiało w powietrzu, ale nie mogłem zostawić Davida... podszedłem do niego i zobaczyłem... dlatego zawsze ma ręce w trawie... zauważyłem już wcześniej, że kiedy tak siedzi, ciągle tymi rękami myszkuje, a kiedy do niego podchodzę, przesuwają się trochę, podstępnie, przyszło mi raz do głowy... a teraz zobaczyłem... rozrywał koniki polne, mrówki, zgniatał larwy... były tam kropelki krwi, odrażająca magma... a za nim, tam gdzie siedział przedtem, może nie chciał, żebym to widział... także skrzydła, nóżki, żuwaczki, małe ciała owadów rozdarte na dwie części, laża tam mucha, nie, nie laża, nie miała ani skrzydeł, ani nóg... i przypomniało mi się, jak raz Benjamin rzucił w Davida jaszczurką... a kiedy indziej przyniósł mu ranne jaskółcze piskłę... wziąłem małego na bok i spytałem o to... powiedział, że Davidko się ze zwirzokami bawi... tak, bawił się z nimi... przerażająco się bawił i gdyby Cermakowie chcieli się teraz pobawić z nim, chyba bym go zostawił, żołądek podszedł mi pod gardło... a oni gapili się na niego, w milczeniu poruszali wargami... nagle odezwał się jakiś dźwięk, huknęło i jeden z Cermaków przewrócił się na wznak w trawę, w głowie miał dziurę... drugi zmiatał gdzie pieprz rośnie... biegli ku nam Losinowie, wszyscy, chyba wszyscy ci chłopcy z widłami i siekierami, Danik miał fuzję, nie zwracali na mnie uwagi, gonili Cermaka... potem przywłókł się zdyszany Benjamin, rzucił mi spojrzenie, mrugnął do Davida i ukląkł nad zabitym Cermakiem, włożył mu rękę do kieszeni... wyciągnął jakiś sznurek, kozik, wepchnął to sobie za podkoszulek z wieżą Eiffla... w nocy znowu leżałem na piecu obok Davida, w tym niedużym pokoiku, i mówiłem do Psicy... dotykało mnie nieruchome ciało z twarzą dyni, nie było gdzie się odsunąć... a ja mówiłem do Psicy: to za wiele, nie mogę tego zrobić, już zgaduję, czego chcesz... David chyba przez sen przerzucił przeze mnie nogę, szarpnąłem się i patrzę: leży z otwartymi oczami, nieporuszony... może czeka... nie, Psica, nie mogę tego zrobić...

A następnego dnia nie wrócił Kubik, który pojechał po zapasy, chłopcy poszli go szukać. Przynieśli go, konia przy nim nie było. Wiedzieli, dokąd po niego iść. Zaczęły się przygotowania do wojny, chyba da się to tak nazwać... do mnie przysłała tego dnia tylko stara... czegoś chyba chciała, ciągle powtarzała: Co tam Davidkoj?

Kręciłem głową. A ona na mnie patrzyła, ukosem, spod oka... czyżby wiedziała?

Te stare kobiety, co całe życie siedzą na dworze... Niektóre. Na pewno dużo wiedzą.

Nagle powiedziała do mnie: Juz pódzies, juz bystro. Wstrząsnąłem się od tych słów, bo... czasami było nie do wytrzymania... to, że jestem tutaj i że Czarna... leży w lesie, gdzieś tam. Ciemniało mi w oczach. Było to czasem bardzo męczące, ale otoczenie było tak nowe... musiałem być czujny... a czasem, kiedy już nie wiedziałem, co robić, i upadałem na duchu... niekiedy czułem lekki nacisk, jakby tych skrzydeł... wierzyłem Psicy, nie, wierzyłem w Psicę.

Chłopcy byli na majdanie, a Benjamin szturchał mnie i mówił, że wieczorem ruszają zniszczyć już wreszcie tych ohydnych Cermaków... aż tu nagle przybiegł jeden z mniejszych chłopców, którzy stali na wzgórzach na straży, i woła: Vlado, Vlado jedzie.

I usłyszałem: buch, buch... chyba końskie kopyta. Losinowie ucichli, nagle wszyscy nabrali wyglądu zmęczonych i nieszczęśliwych... byli załamani... nie rozumiałem, co się dzieje... wyszliśmy wszyscy przed... to gospodarstwo i tam zobaczyłem, że zbliża się do nas po równinie jeździec, purpurowy płaszcz mu łopotał... koń bił kopytami, ale chyba był tam jakiś pogłos, stukot nienaturalnie rozchodził się po okolicy... a może tam w tej chwili nie było poza tym nic żywego, może wszelki ruch ustał... jeździec pędził ku nam, a Kaspar szturchnął mnie i mówi: Naprzeciw wiatru, siwy koniu, gnasz, wichrom nastawiam swoją twarz, jadą wozy, koni żal, po ten kwiat, w wielką dal, znam teraz słowa, znam ten song... to nie tak, mówię mu, ale on... po policzku płynęły mu łzy i powiedział: Właśnie tak.

Widziałem już jeźdźca, ach, powiedziałem sobie... był to Księżę Pychy, tak, poznałem Ciemnego... z oczu były mu gniewne błyskawice, bódł konia ostrogami, ale krew mu nie ciekła... zęby pana lśniły, były długie i ostre... zacząłem dygotać... stara mi szepnęła: ciebie nie bacy. To jest nas świat. To jest pan nas Vlado.

I oto był już przy nas. Abram ruszył ku niemu i kłaniając się uniżenie, mówi: Sługa was, Abram. Ty nie, szcęknał jeździec, pancerz mu w zachodzącym słońcu... rozżarzona kula sunęła właśnie w dół... pancerz mu błyszczał, ale ręce, w których Dragan trzymał lejce, były ciemne, były to ręce... chyba zgnilizna grobu zamiast krwi.

Ty, powiedział jeździec i wskazał na Danika. Ten powoli odłożył strzelbę i podszedł. Nikt nie lamentował... przyjmowali to... jak zjawiska przyrody, przyszło mi do głowy, Wiedziałem... że do tego świata nie należę, powiedziała mi to stara, już się domyślałem, kim jest... że to straszne, ale że ma chyba z Księciem pakt dotyczący życia swojego rodu... stary stał przygnębiony, podobny do swych synów... Danik doszedł do konia, zniknął... chyba w fałdach płaszcza, a jeździec powoli się odwrócił i... odjechał.

Poszedłem do marynarskiej kabiny Beniamina i wyciągnąłem jego widokówkę, zegar ratuszowy, patrzyłem na nią... Rudolf wstrzyknął mi narkotyk, podpowiedział mi instynkt samozachowawczy, i wszystkie te rzeczy mi się śnią, tymczasem jadę z ubekami samochodem... ale to by znaczyło, że mam jeszcze przed sobą... nie, nie, muszę przyznać, że się w tym spichlerzu trochę rozplakałem...

Hej, panocku! Był to Benjamin, był blady, ale trzymał się... ty nie wis nic! Danika on nabije na pal, pan z mogiły, pan Vlado, nie inacej. Ale braty nie pódą na Cermaki i nie zginą, wis. Ino jeden. Danik, bratko mój. Pan Vlado jest lo nas bardzo, bardzo dobry. Daje nam tu ostać. Podź, cosi ci pokażę!

Wieczorem jednak kapuśniackę jadło się znowu w spokoju. Ale ja już się zdecydowałem. Chociaż... to, jak chłopcy na przykład orali... zmieniali się, pilnował tego stary z Abramem, więc kiedy jakiś chłopak zbyt często używał na braciszka bata, dostawał odpłatę zaraz

następnego dnia... a czego jeden nie zorał, zostawało drugiemu, mieli to wymyślone jak szalki wagi... i w ogóle traktowali się wspaniale... i to, co im opowiadała babcia... jak powstała każda miedza i leśna droga, i każda struga, mieli w sobie, znali ziemię, po której chodzili... kontaktowali się z innymi, oczywiście z wyjątkiem Cermaków, i nawet przy tej dosyć dużej nędzy... wiedzieli, jak mi się wydaje, czym jest wszechświat, wiedzieli, że żyją, i sprawiało im to radość... Beniamin ciągle podskakiwał na swoich krzywych nóżkach, pokrzykiwał, ale dostrzegał każdego trzmiela... i oddychał z nim... a to, co robił swymi rękami David... Beniamin mi powiedział, że sam by tego nigdy nie zrobił, że Davidko się po prostu zatracił, tak to przyjmował, jako wyjątek... i do strasznej wizyty widziałem, że nie chcą się nikomu przypodobać, ich życie płynęło w zgodzie z pewnym porządkiem... i chociaż tęsknili do swojego dawnego kraju, który sobie tymczasem całkowicie wymarzyli, łącznie z Perłą... byli tu chyba szczęśliwi. Ale uderzałem jakby w mur, zawsze kiedy kierowałem rozmowę na dziewczynę.

Usłyszałem gdzieś, że córki Losinów odeszły... i nie mówiło się o nich. Bracia... od czasu do czasu któryś na krótko zniknął i inni go szukali, a kiedy wracał sam, chmurzył się... zauważyłem to, stara coś napomknęła... wszyscy już byli spokrewnieni. Chalupowie, Joleckowie, Bendarowie i Kedikowie... wszyscy, którzy tworzyli to plemię. I pewnego razu Kaspar... po Kubiku grał z Abramem pierwsze skrzypce... odszedł.

Tego dnia stary w ogóle nie wyszedł ze swojej paradnej. Chłopcy, którzy akurat nie pracowali, znudzeni pętali się po majdanie... niektórzy też już wiedzieli, że odejdą... że tutaj się to zbliża do końca. Bo... przyprowadzić obcą, nietutejszą... tego tu jeszcze nikt nie zrobił. Helenę przegnali.

To będzie twoje zadanie, Abram, przyprowadź jakąś z zewnątrz, przecież to wszystko jedno, przecież chciałeś ochronić młodszych bracioli przed księciem, no to im pokaż, co i jak, poderwij jakąś... nietutejszą, nietutejszą kobitkę... będzie dobra!... dla ciebie... nauczysz ją mówić po waszemu i waszych spraw, ona cię też nauczy, no, pomyśl... mówiłem mu ze znanstwem rzeczy. Byłem o jakieś dwa, trzy lata starszy.

Mam wrażenie, że w ogóle mnie nie rozumiał. A przed tą kolacją, przed ostatnim talerzem zupy mały Beniamin mi to pokazał. W piwnicy.

Prowadził mnie korytarzem, mieli tam ziemnioki i kapuche, potem schodziliśmy po drabinie i ten mały... pokazał mi studnię, wieko było przegniłe, Beniamin zachichotał i zrobił gest oznaczający kobietę... dość obrzydliwy jak na swój wiek, a potem położył rękę na kroczu, wykrzywił swoją już i tak zwichrowaną twarzyczkę i mówi: tu Ondráš, bratko mój, i tu Julia... jego konbina... Cermacka!

Ten gówniarz najwyraźniej rozkoszował się sprawiedliwością, której uczyniono tu zadość... uniósł wieko i rzucił w dół łuczywo... były tam dwa szkielety... i włosy, one nie gniją... w starej studni, w chłodzie i pajęczynach, były z sobą złączone, i jeszcze coś było w tych szkieletach, drut... Ondráš j Julia jego, powiedział Beniamin i połączył te znaki, które zrobił swymi powykręcanyimi palcami, i szczyrzył zęby... nie wiem, co mnie opętało, wymierzyłem mu policzek... parsknął urażony... mama prawiała... powiedział, że mama kazała mu pokazać mi tę rodzinną tajemnicę, tę hańbę rodu Losinów... uciekli, ci dwoje... razem, ale niedaleko... Beniamin... zaraza na te wasze rody... to taka piosenka, której jeszcze nie znasz.

W rodzinnym wieczerniku nikt akurat specjalnie nie sypał dowcipami, miejsce Danika było puste... od czasu do czasu spoglądałem ukradkiem na starą, ale zawsze dolewała mi kapustnej, zachowywała się jak zawsze... wszyscy milczeli, ale Beniamin miał chyba rację, gdyby ruszyli na Cermaków, kto wie, ile byłoby pustych krzesel... diabli wiedzą.

David oddychał niesłyszalnie, znowu miał otwarte oczy... leżałem obok niego i dotykaliśmy się... po raz ostatni spróbowałem: David, przyjacielu... ty tego chcesz... więc ty tego chcesz... jeśli tak, zamknij oczy, daj mi znak, proszę cię... tylko że nagle zgasła

świeczka, guzik widziałem, polizałem palec i zgasłem tłący się knot, i powiedziałem sobie, że wobec tego tak... najpierw się nad nim pochyliłem, a potem chwyciłem poduszkę i położyłem mu ją na twarz... musiałem go przydusić całym ciałem... położyłem się w ubraniu, pewnym indiańskim chwytem spętałem mu nogi, żeby nie kopał... wyglądało to jednak, jakby śmierćssał niczym mleko... po chwili było po wszystkim... musiałem położyć się na plecy, czekałem na skrzydła, byłem pewien, że teraz, kiedy to zrobiłem, Psica zabierze mnie stąd, ale nic się nie wydarzyło... czekałem.

David już sztywniał, sięgnąłem mu do oczu, żeby je zamknąć, ale zrezygnowałem... ma braci i tatę... stałem obok trupa zdjęty grozą nad swoim czynem, zszedłem z pieca, ona mnie tu zostawiła! Tylko ona wie dlaczego... nagle ktoś zapukał do drzwi.

Stałem już przy oknie i otwierałem je. Była to stara. Davidko mój, mówi cicho... nie poruszyłem się... miała świeczkę... podeszła do niego, a potem odwróciła się do mnie i mówi: Idziemy. To jej słowo było złamane i rozbite, głos chwiał się w komorze jak płomyk świeczki... szedłem przed nią... tak, przyszło mi do głowy, że ją powalę i ucieknę... ale przede mną były dwie izby pełne oddechów śpiących... w każdej chwili oczekiwałem krzyku, którym ich obudzi, a oni, co mi robią... Psica, szepnąłem, chyba będę musiał dużo przecierpieć, dużo zapłacić za twój ból, ale potem będę z tobą?... wpadałem na łóżka, nogi mi się plątały, stara jednak... szła cicho... a śpiący leżeli jak zakłęci... oddychali otwartymi ustami i nawet się nie poruszyli... ostatni przy drzwiach był Beniamin, też chrapał, laska leżała pod łóżkiem... tu jest Benik, nie pozegnas się z nim?... zaprowadziła mnie do izdebki obok!... niezgrabnie obszukałem kieszenie, wytrząsałem rękawy, ale udało się, położyłem mu na poduszce podkoszulek z napisem SUPER DISCO... a potem poszliśmy... stara mnie prowadziła, szliśmy ścieżkami w górę... tak wysoko z owcami nigdy nie byłem... szła przede mną i prowadziła mnie, to się trudno mówi... ja tej kobiecie zabiłem syna... na górze świstał wiatr, szliśmy między głazami, chwyciła mnie cienkimi silnymi palcami za ramię, chciałem ją podeprzeć, staruszkę, ale to ona mnie prowadziła, tak żebym się nie potykał... ciągnęła mnie... potem znaleźliśmy się na równym terenie, chyba całkiem na górze, a w dali był głaz... zadrzałem... mogiła... tam mnie prowadzi, do tego kamienia... proszę pani, nie.

Nie bój się, ty głupi... spojrzałem na nią z niedowierzaniem, pod chustką błysnęły oczy, kąćki ust uniosły się w leciutkim uśmiechu... stara kobieta, ale ten głos... Psica? Ty jesteś Psica... Jestem, kim jestem, a ty chodź... za dużo mówisz, ciągle... idziesz z powrotem do niej. I kochaj ją.

Zaprowadziła mnie do mogiły, płonął tam nieduży ogień, ja drżałem, bałem się, że zobaczę Pana Pychy w jego zbroi... ale siedział tam staruszek w pocerowanych szmatach, wyglądał jak owczarze z okolicy... Dziadku! Prowadzę panocka, powiedziała Łosinka... wraca, już to rękami urobił.

Jużeś młodego do rajy posłała, duża casu ci to wzieno, stara strzigo... siądnicie tutok!

Znowu nie rozumiałem ich języka, zresztą wiele nie mówili, staruszek wrzucił do ognia jakieś liście, zioła i... było to chyba skrzydło kruka, kierował na mnie gryzący dym, który wlażył mi do oczu i nosa... z początku widziałem nawet poszczególne piórka, ale ciągle machał tym w moim kierunku, a stara zaczęła śpiewać, dostrzegłem, że rozpuściła włosy... i wsunęła w nie grzebień, śpiewała i cesała się... nie, kaleczyła się nim, szarpała włosy, płynęła jej krew... A dziadyga nic, zważał tylko na ogień, pieśń była coraz cichsza, siedziałem i nie mogłem sobie pomóc, kołysałem się w rytm pieśni... był to długi kawałek, a potem... byłem nagle sam w nocy, wysoko, leciałem... leciałem, niezależnie od swej woli.

JEDNO Z TYCH MIEJSC... GDZIE BYŁA TWARDA ZIEMIA. MROWISKA.
KOŚCI. ONA WIE WIELE RZECZY. KOCHANIE... PIEPRZYŁEŚ GŁODNE
KAWAŁKI! CHAŁUPKA I OGIEŃ. WILCZY SEN.

Otworzyłem oczy i przestraszyłem się, te płonące punkty tuż przy mojej twarzy... zakryła je powiekami.

Wybacz, powiedziała Czarna i przeciągnęła się w liściach, uśmiechałeś się we śnie, teraz, a to ciekawe... bo przez całą noc zgrzytałeś zębami i...

Wybacz. To było niesamowite! Latałem i... zerwałem się na równe nogi i zrzuciłem katanę, i...

Mrówki? zainteresowała się siostra.

Nie, patrz... SUPER DISCO, mam to tutaj!

Usiadła.

O, wieża Eiffla, mam je.

Te twoje... przebrania... niespecjalnie je lubię... ale to obojętne, opadła na liście jak podcięta, twarzą do ziemi.

Dotarło do mnie... gdzie jesteśmy i dlaczego... i co się stało.

Słuchaj, przytuliłem się do jej twarzy, będzie w porządku, przejdzie... miałem sen...

Ty ciągle masz jakieś sny, ale słuchaj, Czarna odwróciła się do mnie, ja po tym wszystkim miałam bardzo dziwny sen. Chcesz wiedzieć jaki?

No.

To było dziwne... leżałeś obok mnie, ja nie spałam... bardzo się bałam, te drzewa, ich korony na wietrze są jak duchy, i myślałam o tych czasach... z nim, jak mnie dręczył, wiesz, jak mnie nazywał, to idiotyczne, nazywał mnie: Dupinka! Dupinka... przynieś, potrzyмай. To było straszne... i jeszcze... to ci opowiem później... i nagle nie byłeś przy mnie ty, tylko kobieta... dziewczyna, dotykała mnie, obejmowała... powiedziałam sobie w tym śnie: jaka jesteś zwyrodniała, zrobisz coś takiego, zabijesz... a potem taki sen... z kobietą! Ja raz... no, to nieważne... ale ona mnie obejmowała... i dotykała mnie, moich piersi... i na dole i bardzo mi się przyglądała... jakby mnie badała, ale nie jakoś podniecająco, i było mi ciepło...

Może... wiem, kto to był!

Czekaj... więc wiesz, że miała białą suknię, jak panna młoda...

Jasne, że tak!

To pewnie wiesz – no tak, ty chyba wiesz wszystko – że jak otworzyłam oczy, ona była... najpierw trochę jak ja, to mi przyszło do głowy, czułam się trochę, jakbym patrzyła w lustro... z wyjątkiem tej sukni... a czuć ją było, wiesz... ziemią, czymś zimnym... i przyszło mi do głowy, że czuć ją grobem i że ona to moja śmierć. Albo że to jestem ja.-Nieżywa.

Nie, nie mów takich rzeczy...

Jeszcze ci coś powiem i koniec... o nim! Po tym długim okresie z nim i po tym, jak mu uciekłam, dopiero w tym śnie uświadomiłam sobie, no... że to nie było tak... to, jak on mnie nazywał: Dupinka... myślałam o tym w nocy i teraz wiem...

Czarna przysunęła wargi do mojego ucha i szeptała.

Wiem, że mi się to chyba czasem nawet... podobało! Ja tego od niego... zaszemrała mi do ucha... chciałam. Czasem. To straszne, nie... mógłbyś mnie teraz kopnąć, jak nic.

Nie, dla mnie jesteś taka, jaka jesteś. Nie przejmuję się.

Tak? Naprawdę? Ty z kolei latałeś, no dobrze... a jeśli ci powiem, że byłam może na drugiej stronie... w ziemi, w dole, i że tam przeszłam... przez pewne miejsca? Musiałam się nawet czołgać! A jedno z tych miejsc było bardzo ciche... i puste. Chcesz?

Nie, jeszcze nie.

Byliśmy chyba trochę zwariowani. Szliśmy przez las, ja z przodu, Czarna za mną. Nie było tam żadnych dróg, ale między drzewami dało się iść. Początkowo cieszyliśmy się, że w okolicy... nikogo nie ma. Nigdzie nie widzieliśmy dymu ani nie słyszeliśmy żadnych odgłosów. Była to dziwna, pusta kraina. Czarna szła coraz wolniej. Miała te swoje, powiedzmy, rockerskie... buty... i od czasu do czasu zatrzymywaliśmy się. Nie mówiliśmy o tym, że jesteśmy głodni. Kiedy nogi zaczęły ją bardzo boleć, wyścieliła but liśćmi i znowu przez jakiś czas można było iść.

Czarna... teraz wiele rzeczy się skończyło, kiedy dotrzemy do domu... wyjedźmy gdzieś. Przynajmniej na jakiś czas.

Myślisz, że nas szukają?

Myślę, że go znaleźli, ci... żółci. A on i chcą stąd zniknąć, oni się o niego... o ich ciała postarają. Jesteś cudowna, inna by się załamała, rozleciała na kawałki, a ty...

Co ty mówisz, przecież jestem załamana.

No, ja chyba też... na razie idziemy. I Czarna...

Yhm?

Mówili ci coś o mnie... co... zrobiłem?

No, powiedziała Czarna szybko. Nie mówili, ale...

Co?

No, śmiali się z ciebie.

Aha.

Natrafiliśmy na drogę. Żadnych śladów opon, to zauważyłem. Koła... wozów. Droga prowadziła do doliny. Pierwsze domy zobaczyła Czarna. Ale były to ruiny. Tam, gdzie kiedyś były dachy, teraz wystawały całe drzewa. Droga zarosła ostrężynami i różnymi chwastami. O mało nie nadepnąłem na zardzewiałą kosę. Weszliśmy między domy, przyciśnięci do siebie, chcieliśmy... przejść przez to jak najszybciej, bo domy otoczone były skałami, obejść tej wsi nie mogliśmy.

Ktoś mi mówił, że tu... wysiedlili jakichś ludzi...

Patrz!

Pokazała... to była cerkiew, ale musiał ją zniszczyć wybuch... dach, kopuła była rozerwana... widzieliśmy porzucane nagrobki, połamane krzyże...

To są mrowiska, powiedziała Czarna.

Na wielu grobach... myślałem, że to ziemia, ale przyjrzałem się z bliska... to było żywe, ruchy mrówek... wyglądało to tak, jakby z grobu wypływała jakaś materia, która żyje... poszliśmy dalej... ja z przodu, nagle coś zgrzytnęło, wzdrygnąłem się... Nie! krzyknęła Czarna... Nie ruszaj się! Stoisz na studni... ostrożnie spojrzałem pod nogi, wieko ze spróchniałego drewna chwiało się... Czekaj, nie ruszaj się, bo się zapadniesz... nie musiała tego mówić, może gdybym podskoczył... wyciągnij rękę... nie sięgnęła do mnie, ale to chyba dobrze, przynajmniej jej nie wciągnę... brzeg wieka chrupnął... łamię się, spadam... łap, spojrzałem w jej kierunku... stała przytulona do młodego dąbczaka, ręce miała wyciągnięte przed siebie, a w jednej z nich... chwyciłem koniec paska i odbiłem się... trzymała, mój ciężar przycisnął ją do drzewka, obtarła sobie twarz... leżeliśmy w trawie... Czarna, ty wiesz wiele rzeczy... Tak, zaraz wiedziałam, że tam musi być studnia, tak samo mieli rodzice, tuż przy domu. Gdzie? Nieważne, może ci to kiedyś powiem, ale nie teraz, ciągle widzę tam jego. Nawet teraz? spytałem. Szczególnie teraz, powiedziała.

Szliśmy doliną, musieliśmy przejść jeszcze przez kilka wsi i wszędzie cerkwie i cmentarze były rozbite wybuchem, i wszędzie żyły na grobach mrówki... rude mrówki z żuwaczkami... przechodziliśmy koło małego cmentarza, do którego prowadziły schody wyciosane w skale, chciałem spojrzeć na nazwiska, przekonamy się może, gdzie jesteśmy... Nie chodź tam, powiedziała Czarna i została na drodze. Ale na cmentarzach przynajmniej nie było porzuconych w trawie zardzewiałych kos ani porzuconych odkrytych studni, nie baliśmy się, że zwalimy mur, a raz... zaskoczył nas zmrok, poszliśmy na cmentarz, tam była twarda ziemia... musieliśmy się do siebie przyciskać, bo baliśmy się, chyba w tym mrowisku były jakieś fosforyzujące gałązki, czytałem kiedyś o spróchniałym drewnie.

Ależ nie, bracie, to muszą być robaczki świętojańskie, masz je we włosach, odgarnęła mi kłaki z czoła, leżałem na niej... chyba nie powinniśmy, ten biedak w ciemnościach grobu pod nami, nie chcę wiedzieć, jak się nazywał, musiałbym o nim myśleć... mów sobie, że mu to sprawia radość, powiedziała siostra i poruszała się pode mną, oparła się nogami o kamienną tablicę, popękana i pełną dziur, prowadziły gdzie indziej, w chłód... ale potem powiedziała: zostaw! Damy temu chyba spokój, nie umarli... ale tamto drzewo na nas patrzy, mam wrażenie... obejrzałem się przez ramię, u rozwalonej bramy cmentarza stało samotne drzewo, jego korona kołysała się na wietrze, patrzyło.

Wstaliśmy i poszliśmy dalej, w nocy.

W kolejnych wsiach... no, już się przyzwyczailiśmy. Dziwne i przygnębiające było to, że tu i ówdzie, chociaż wszystko było rozwalone... w niektórych domach, przez zwalone ściany widzieliśmy ich wnętrza, zostały rozmaite kredensy, krzesła... miski... tu i ówdzie krzyże na ścianach, byłem rad, że nie był to pogański lud.

Myślisz, parsknęła moja przyjaciółka, że im się to na coś przydało...

Jasne, że tak!

Jaki ty jesteś inteligentny, dobra, dobra, może i tak...

Siadłem na pniu, właśnie opuściliśmy jedną wieś, i mówię: Słuchaj, kochanie, nigdy nie zanudzałem cię sprawami wiary, ale musisz wiedzieć... że był kiedyś taki facet, ksiądz Bogomił, i ten facet powiedział, nie czyńcie obrazów Boga, to nie jest dla każdego... tylko dla mocnych ludzi okrutnego Boga, a on ma ze swoją żoną, jej imienia nie można wymówić, ciągle się zmienia!... ona jest wieczna... ma dwóch synów, Logosa, słowo, i Lupusa, czyli wilka, czyli Wojownika, ci bracia, młodszy i starszy, wspierają się wzajemnie...

Dobra, a masz fajkę?

Tak.

No to mów dalej, zdjęła buty, to ogromnie zajmujące, te twoje teorie...

Stary pop Bogomił, czyli Teofil, sprytnie wymyślił z tą cenzurą, wyobraź sobie, że niektórzy wykorzystują już obraz Boga do reklam... napisy są w starym języku, owszem... na przykład Bóg pali tylko cygara Jupkas, palcie je również... albo Bóg przed telewizorem, kiedy w najlepszym czasie antenowym pokazywane są nielegalne walki gladiatorów, chrupie tylko paluszki Avizo, i wy to róbcie... sam widziałem, wkurza mnie to... Bóg i cała hepi family pije już tylko uroczą kawę Dagoberts, to znasz?

To tak.

No widzisz... a pop mówił, że świat to uścisk, zawsze dwojga, dnia i nocy, mężczyzny i kobiety i tak dalej, także nonsensu, i że jest to niepoznawalne, jak sen... a ty walczysz ze wszystkim, ale jesteś częstką. I czasem, tylko czasem ujrzysz... zaledwie przez chwilę ujrzysz koło świata... a potem wracasz, żeby przejść przez kolejne pułapki i sidła, i złudy, przechodzisz przez oszustwa... i idzie tylko o to, żeby być wolnym, być sobą, uniknąć niewolnictwa... a my, którzy wiemy o tajemniczości, jak ja cię kocham! – kochamy orły, bo one widzą... gdzieś jeszcze są... i chodzi o to, żeby znaleźć w padole łą swoją istotę, czyli to drugie, żeby człowiek był cały, chociaż na chwilę! – i żeby żył dla kogoś, a tą namiętnością i siłą uczucia podobno da się pokonać nawet własne cierpienie, zagłuszasz

straszną samotność... z tym drugim też walczysz, jak ze sobą, ale w miłości wszystko jest dozwolone... jeśli zaś chodzi o innych, istnieją też prawidła, ale!... kiedy dobierają się do ciebie, możesz wszystko... a znaleźć tą istotę możesz dopiero uniknąwszy pułapek... orzeł jednak widzi również przyszłość, raczej ją czuje... ale ty śpisz!

Nie, popatrz na moje buty. Tutaj wylazł gwoździak, uwiera.

A czasem można też lecieć, przynajmniej przez moment...

Ty tak... ty ciągle latasz... ale popatrz na moje nogi. Całe skrwawione.

Dam ci swoje buty.

To kolejna bzdura, po chwili nie mógłbyś iść ty.

Dałem jej przynajmniej skarpetki, a ona obie wypchała liśćmi, do butów włożyła korę, rozpięła je... szliśmy w milczeniu... miałem wrażenie, że to, co się stało, że to, co zrobiła, las i domy, koło których przechodziliśmy, że po prostu wymazujemy swoim ruchem całą grozę... przecież musiała mu to zrobić, mówiłem sobie.

Ten pistolet... masz go? spytała.

Mam i zostanie u mnie.

Co jest? zatrzymała się.

Ja... nie gniewaj się, Czarna... ja myślę, że mnie także chciałaś zastrzelić.

Rano następnego dnia powiedziałaś, że mnie i tak chcesz... taką, jaka jestem. Myślisz tak ciągle?

Tak.

No to dobra... kiedy tak tam stałeś i patrzyłeś na mnie, i miałeś przerażoną minę... a ten skurwiel mi powiedział: Zabij go. Nacisnęłam cyngiel.

Złapała mnie za ramię, bo zachwiałem się... słuchaj no, nie będziemy tutaj płakać ani pełzać po ziemi, tak było. Nacisnęłam cyngiel, ale pistolet nie wypalił. A ty zamknęłaś oczy, jak wtedy koło umywalki, kiedy cię walnęłam... wtedy się poznaliśmy, pamiętasz?

Jasne, że tak.

No, potem wpakowałam to w niego. Może... może chciał tego? Po co mi to dawał? Przecież musiał wiedzieć... co czuję. On jest, był inteligentny, nie myśl sobie. A do tego... on mnie kochał! Ale po swojemu. Inaczej nie umiał. Wzdrygnęła się.

Nie chcę się nad tym zastanawiać, Czarna, to dla mnie za szybko. Przynajmniej wiem, że umiem zamykać oczy we właściwym czasie i we właściwym miejscu. Nie patrz. Tam nie patrz!

Ale zobaczyła to także. W jednym z domów z rozwalonymi ścianami białą w pokrzywach szkielet, ludzki... a zaraz obok, wśród kawałków różnych mebli...

To był pies, powiedziała siostra. Bardzo duży.

A z ułożenia kości... ludzkie były rozrzucone, ale kości psa... pies leżał, zdechł chyba we śnie, ale nie, raczej jednak z głodu, bo nie mógł sam wyjść na zewnątrz.

Coś mi tu mówił, żebym nie patrzyła... po tym wszystkim, przecież nie żyją, no.

Chyba nie chciałem, ten szkielet... długie włosy, to była kobieta.

Aha. Nawet nie zauważyłam. Może niektórzy ludzie zostali tu skuci?

Rozejrzałem się dokoła. Las, do którego weszliśmy, był ciemny. Żadnego dźwięku, nawet ptak nie zagwizdał. Słyszeliśmy tylko szelest liści pod nogami.

Myślisz, że dojdziemy do tej Ušanicy? Tam jest pociąg, tak mówiłeś.

Gdzieś dojdziemy.

Potem szliśmy przez łąki, świeciło słońce i... byliśmy głodni, ale może ponieważ szliśmy... było nam weselej... siostra się rozszczebiotała... nawet śpiewała.

To dziwne, powiedziała, właściwie nie śpiewałam, nie próbowałam głosu tak na dworze, brzmi inaczej... wypełnia przestrzeń, odważnie, po bezkres. Przytaknąłem.

Z jej głosem wszystko wyglądało lepiej. Przypominałem sobie, jak do mnie dotarł po raz pierwszy, wtedy na Skale... musiał to być jej głos... powiedziałem jej to.

Może miałam właśnie na strychu otwarte okno.

Tak, było lato.

Włóczęga w końcu nam się spodobała... gdzieś dojdziemy... jesteśmy razem... Trochę połąziliśmy po dębowym zagajniku, zrzucaliśmy orzechy i jedliśmy je... na drodze uśmiechnęły się do nas gruszki i dzika kapusta, chrupaliśmy siekierzannę i próbowaliśmy dzikich oraczek... dało się to jeść... szliśmy po tłuczniu, jeziora zapierały nam dech w piersiach, zapiliśmy dzikie owoce wodą źródlaną... rzucaliśmy w siebie kamyczkami i gałązkami. Potem siostra przez chwilę pływała, a ja ogromnie ją podziwiałem... miała w wodzie całkiem białe ciało i była delikatna... na brzegu nabrała niebieskiego odcienia.

Położ się, szybko.

Zimno mi...

Widziałem czterech facetów, szli jeden za drugim po przeciwległym zboczach, ale chyba oślepiła ich słońce, dlatego nas nie widzieli... zapewne... siostra zaczęła szczerkać zębami, ale może nie z powodu zimna... mieli wprawdzie mundury, ale brudne i obszarpane... mieli też giwery, przeszli po zboczach jak widma i znikli w lesie.

To nie byli gliniarze, powiedziałem, chyba żołnierze.

Lepiej mnie trzepnij, braciszku, bo przecież... nie śpię, a to byli jacyś esesmani czy co... pierwszy miał na czapce CA czy SA.

Aha, wobec tego to byli dezercerzy... ubierz się!

Już nie jest mi tak zimno... to dziwne... mam ochotę. Chcesz?

Zestroiiliśmy ze sobą swoje szybkie i powolne ruchy, nie było to chyba najmądrzejsze, przyszło mi nawet do głowy: co to się z nas porobiło, przestraszyliśmy się i może to zbudziło w nas... ale nie, długo byliśmy rozłączeni. Wyłączeni.

Możliwe, że będziemy musieli spędzić jeszcze jedną noc na dworze. Było ci zimno?

Siostra zrywała jakieś kwiatki i plotła... wianek.

Wyrwałem jej go.

Zostaw to, co cię napadło... Aha. No tak, to głupie, już nie będę.

Szliśmy w milczeniu.

Jak tam nogi?

Kiepsko. Będziemy tam już niedługo?

Gdzie?

Gdzieś... ty mnie prowadzisz, patrzysz na drogę, skracaj mi czas opowiadaniem, albo nie, ja ci opowiem... ten Odys to był paskudny dziadyga!

Ha, co za przypadek. Tak to już jest. Facet po pięćdziesiątce, sześćdziesiątce! Kiedy jest facetem i jest w porządku, to... nic się nie da zrobić, a kobiety... może czarownice, ale to jest kwestia ducha, to okrutne, wiem!

No, już ci mówiłam, też kiedyś grałam, nie w Pradze... ale o czymś zapomniałeś, ten Odys miał kumpla... opowiem ci to, o czym zapomniałeś... Agamemnon, chłwał z Odyssem i jeszcze z innymi, walczyli razem, mieli w tym obozie wojskowym niewolnice, a ich żony czekały. I wiesz, jak to było... dobrze wiesz... kiedy Agamemnonowi zachciało się wreszcie domu i wiernej żonczki, przywłókł się do zamku, zrzucił buty i mówi: Klitajmestra, cho no tu! Patrz, jakie skalpy przywiozłem... zapaskudził cały dywan... i wiele bohaterskich pieśni ułożyłem, jestem herosem... patrz no, pokazywał jej różne noże i miecze, i szczyryki, które ukradł słabszym... ją te ostrza przerażały, ale już się do tego przyzwyczaiła przez ten czas, kiedy z nim to ciągnęła, żyła, z herosem... I patrz no, babo, pokazał jej złotą maskę i różne cenne części uzbrojenia z ozdobami, scenami przedstawiającymi go, jak miażdży nieprzyjaciół albo układa pieśni... no i żono, masz tu korale, tylko... cofnął rękę... czy byłaś mi wierna, muszę spytać... Jasne, że tak, przecież ty jesteś najlepszy, tęskniłeś? Coś tam mruknął... tęsknił, pewno, kiedy było tyle roboty... przywłókł się po latach do żony i zaraz zaczął pieprzyć, kogo dorwał... i gadał, że jego nie dorwali, bo jest najlepszy... Klitajmestra

na to: tak, bohater z ciebie, nie chciałbyś się trochę wykąpać przed ucztą?... i muszę cię ostrzec, że będzie... mortadela. Ale tego już nie słyszał, pociągnął z dzbana i ryczał jakąś pieśń... a ty wiesz, przyjacielu, powiedziała Czarna, jak to potem w tej łaźni wyglądało... był tam ten, który Kiltajmestrę kochał, i była ona, i czekali z toporami, znasz to?

Tak, ale Odys...

Nie, pozwól, kochanie, zapomniawszy, pieprzyłeś głodne kawałki! Nie powiedziałaś mi, nie wiem dlaczego, jak to było naprawdę, dużo zapomniawszy... chętnie ci to opowiem, powiedziała Czarna i od razu zdawało się, że się jej w tych bolesnych butach idzie lepiej... Odys powiedział Penelopie... idź stąd. Wszystko jej szczerze wytłumaczył, był to przecież facet. A Penelopa zbladła i zadrżała, i cofnęła wyciągniętą rękę, którą mu podawała... a wiesz, co było w tej ręce, mój miły? Wiesz to, dobrze to wiesz, był w niej klucz do łaźni. A w łaźni schował się jeden z zalotników Penelopy, był to, jak powiedziałaś, młody chłopak... przystojniejszy i delikatniejszy niż Odys, nie był naznaczony bliznami i nie miał szorstkiej skóry... i nigdy nie parzył się petami, nie kaleczył się ani nie leżał na ulicy w kałużach, na ucztach nie wrzeszczał bez potrzeby, był pełen umiaru... a ciała nie miał zrogowaciałego i opuchłego od bitew ani tym bardziej od chlania, gdzie tam, uprawiał sporty, biegał i rzucał dyskiem, uczył się także rzeczy na temat kobiet... i wiedział, jakie szaty są piękne... czasy bowiem w ojczyźnie Odysa się zmieniły, szanowny przyjacielu, czego on sam, wążając się po różnych wyspach, nie wiedział... ten młody chłopak... to był przyjaciel Penelopy, tak to wyglądało... miał gęste, miękkie włosy, runo! I... Czarna wybałuszyła oczy i zerknęła na mnie, kataną zakryłem to swoje DISCO SUPER i być może trochę poblądłem... na ciele był gładki, ale był bardzo silny, nie myśl sobie, i inteligentny... i Penelopa kochała go, była mądra i on... to wiedział! I Penelopa mimo wszystko podała ten klucz Odysowi, ale on ją powalił i złamał jej serce... i poszedł ze swoją niewolnicą, i śmiał się, i klepał ją po tyłku, i łykał ze dzbana, na tą niewolnicę nawet nie spojrzął i poszedł... a Penelopa tymczasem szła, była zgarbiona, nie z powodu wieku, tylko tego ciosu, miała siwe włosy, nie z powodu wieku, tylko od czekania i długiego żalu, a po jej pięknej i dumnej twarzy płynęły łzy... otworzyła łaźnię i wypuściła tego młodego chłopaka, zaprowadziła go do komnaty i ze ściany zdjęła miecz, Odys miał tam swoją kolekcję, to go interesowało... rozmaite bagnety... i coś temu młodzieńcowi pokazała ręką z okna... Odys leżał na gnoju i głaskał starego ślepego psa... obu ciekły z oczu łzy, rozpoznali się, pies był starym bękartem, nazywał się Czort, to było dla Odysa typowe... polowali razem i bawili się przez długie godziny... i ten pies to była jedyna istota, którą Odys naprawdę kochał, tylko jemu był wierny, z nim nie bał się o swoją wolność i nie musiał wymyślać żadnych sztuczek, żeby być sam... pies polizał mu starą bliznę... Odys pocałował go w nos i pies w tym momencie umarł, Odys leżał w gnoju... i płakał... a młody gość biegł tymczasem po schodach, skakał jak tygrys, a w zaciśniętej dłoni trzymał miecz... tak to wyglądało... po prostu nikt tam nie był szczęśliwy, może na chwilę... westchnęła Czarna... bo była w nich tylko dzikość, nie pokora... ale to już tylko tak pieprzę, co ja tam wiem... szła i szła, a ja schowałem się jej za drzewem, specjalnie, żeby zobaczyć, co zrobi.

Spodziewałem się, że krzyknie i zacznie mnie szukać, śmiałem się w swoją szczec. Ale potem... nie podobało mi się w samotności, ani trochę. Wybiegłem na drogę, nigdzie jej nie było... Czarna, wyjdź!

Dobra, załatwiłaś mnie i masz rację, tak to wyglądało, dokładnie tak, jak opowiedziałaś... wybiegłem z lasu, rozpościerała się tam równina, trawa, pagórki... nigdzie jej nie było, znikła... może... wleciała w powietrze... upadłem na ziemię, tylko nie to, nie tak jak z Psicą, tylko nie to... nie mogę być taki... przecież ją kocham, może właśnie dlatego... nie, przecież jestem sobą i wiem, co robię... może właśnie dlatego... patrzyłem na swoje ręce, które zabijają... biegałem wkoło i wołałem, może wróciła do lasu, szuka mnie i błądzi... przypomniałem sobie wieś za nami i szkielety, niedobre miejsce... a potem zobaczyłem

sylwetkę, na wzgórzu... chyba musiałyby lecieć, ale może mówi do siebie... myśli, że idę gdzieś za nią albo że pobiegłem na chwilę w bok... to na pewno ona, biegłem... wdrapywałem się na wzgórze... stała tam bez ruchu, chyba jest na mnie zła... dobiegłem i skamieniałem, był to słomiany strach na wróble, zamiast twarzy miała ta kukła dynię, a w niej wycięte usta, dziurę zamiast nosa, dziury zamiast oczu... była to kukła na krzyżu z kijów, słoma wyłaziła ze starej marynarki pełnej dziur... nogi ugięły się pod mną... Hej, co ty tam robisz, poczekaj na mnie, kurde! Czarna stała pod wzgórzem. Znalazłem się przy niej, zanim zdążyła powiedzieć „cholera”.

Patrz, zmrużyła oczy, tam jest strach na wróble! To świetnie, to znaczy, że są tu gdzieś ludzie, nie? To znaczy... ludzie, mam na myśli stację kolejową. Jest tam pole. Ty, miastowy, potrafisz w ogóle odróżnić żyto od pszenicy?

Trochę zdziwiła się, dlaczego ją tak serdecznie i gorąco obejmuję i całuję, ale nie tak bardzo... czasem dawaliśmy sobie rozmaite znaki czułości i życzliwości, a jeśli zapomniałem wspomnieć o tym, że przez większość czasu trzymaliśmy się za ręce, to nie wiem dlaczego.

Była to kukurydza. Napychaliśmy się nią.

Patrz, mówię do Czarnej, to wygląda jak skalp! Wyciągałem kukurydziane włosy i układałem je w barbarzyński czub...

Jadłeś kiedy marynowaną kukurydzę, prażoną albo gotowaną, albo łuskaną? Zrobiłabym to, ach, żeby tak mieć tu garnek. U nas strachy na wróble miały czasem garnki na głowie, ten nie ma... babcia zaraz by powiedziała, że jesteśmy w biednej okolicy...

Hm.

Obeszliśmy pole, droga prowadziła w górę, znowu na wzgórze, na samym jego wierzchołku stało samotne wysokie drzewo... kierowaliśmy się ku niemu, zaczęło padać... krople były ciepłe i przyjemne, potem niebo rozdarła pierwsza błyskawica... O, patrz, Czarna, to wspaniałe, ta blizna się śmieje!...

Rusz się, szybciej, to niebezpieczne stać na równinie, musimy lecieć... tak, schowamy się pod to drzewo... Pod drzewem na nas tak bardzo nie padało... błyskawice malowały niebo, a grzmoty nim wstrząsały... siostra się śmiała... zerwałem z siebie szmaty i wybiegłem na deszcz... siedziała pod drzewem i śmiała się, były to prawdziwe konwulsje... ja także wylem, chyba jakoś się w ten sposób oczyszczaliśmy... tarzałem się po trawie i jęczałem, bez słów... siostra też się rozebrała, skoczyła na mnie, wiliśmy się jak węże, pełzaliśmy po mokrym zboczku i wrzeszczeli... światło nad nami wybuchowało, a pioruny biły z potężnym hukiem. Próbowwała coś zrobić z głosem i wydawało się, że z jej kwilenia i popiskiwania rośnie chmura nad nami... po chwili głos już przesywał powietrze jak energia, trochę chyba jak blask... ja wrzeszczałem: Ho, ty, Bogu, weź nas oboje, ty Morderco maluchów, ty Stary Skurwielu... i krzyczałem jeszcze: Dlaczego tu jesteśmy? i: Możesz nam naskoczyć, Maniaku, a potem przyszło mi do głowy, że maniak pochodzi od słowa Manitou, i dosyć mnie to rozbawiło... rwałem trawę, cicho, siostra sunęła pod moimi kolanami, padało, krople spływały jak nieskończone mokre sznurki, przecinałem je w locie dłońmi, tańczyłem i podskakiwałem, a siostra próbowała stanąć na rękach, znalazła sobie jamkę, głowę wsparła o ziemię, machała długimi białymi nogami, złapałem je i trzymałem... nagle... ognista kula lecąca jak jakaś żywa istota z sykiem minęła mój łokieć, siostra zaczęła opadać, musiałem ją puścić, pulsująca kula przemknęła między jej nogami, które gwałtownie leciały na ziemię, przestraszyłem się, czy ogon nie opalił jej kostek... piorun kulisty przesunął się obok nas znowu i jeszcze raz, stałem bez ruchu, siostra leżała, patrzyła... a potem ta rzecz zaczęła skakać po równinie, wyskoczyła wysoko, opadła na ziemię i znikła... Myślisz, że wróci? spytałem, właściwie wołałem, żeby przekrzyknąć deszcz... Nie, powiedziała siostra, już stała... mieliśmy oboje gęsią skórę i dla pewności natychmiast się objęliśmy.

Pod drzewem, które ciągle było przyjazne... pod jego gęstym listowiem tak bardzo nie padało, ubraliśmy się... deszcz zaczął zamierać... gdzieś pod nami było pole kukurydzy,

powinniśmy byli narwać jej na zapas, cholera... ale z drugiej strony musi tam być wieś... Myślę jednak, najdroższa, że dzisiaj będziemy jeszcze na dworze. Nie jest nawet specjalnie zimno... może znajdziemy stóg. Mnie jest wszystko jedno, powiedziała siostra, zaczyna mnie to bawić, a poza tym... może, wiesz, po tym, co się stało... może to nie szkodzi, jeśli nie znajdziemy się zaraz w domu. Myślisz, że nas szukają? Zawsze lepiej jest się chować, jak gdyby człowieka szukali, wyrecytowałem jej słowa nauki. Bardzo ładnie trzymałeś mi nogi. Nie było ci w nocy zimno? Przecież ci mówiłam... w końcu spałam z tą dziewczyną... jak mogłoby mi być zimno. A dzisiaj przecież będę spać z tobą. No tak, jak najbardziej. Poza tym zdaje mi się, że ty ciągle chcesz jechać nad to morze... chyba lepiej byłoby zniknąć. Myślisz, że... ze względu na to. Ale całkiem możliwe, że jeśli znaleźli go Wietnamce albo jeśli cała grupa była jakoś ubezpieczana, uprzątnęli ciało i nic się nie dzieje... albo... Skończ z tym, dobrze? Masz rację, Czarna, to jest jak czarna chmura. Ale jest już znacznie lepiej, nie? Tak, jasne, powiedziałem. A nie masz fajki? Jak wyglądasz z forszą? Zajrzałem do butowi wszystkich kieszeni... powiedziałbym, że na bilety do Perły i parę kieliszków, i jakieś przekąski chyba wystarczy. Ślinka mi przez ciebie cieknie! Ja też mam tylko parę tysiączków, to masz w końcu fajkę czy nie? Ależ tak, trzymaj... zapaliła. Obserwowałem rozżarzony koniuszek papierosa. Lekko poruszyłem okiem i już widziałem... niezapomniane rzęsy, każda z nich jest żywym przedłużeniem uroku delikatnej skóry powieki, i oto poruszyła nimi, patrzy na krajobraz, posyła szybkie badawcze spojrzenia... dobrze wycelowane błyskawice... wyciągnąłem się, żeby zakryć jakikolwiek cel na sobie. Naprężyłem się, żeby dosięgnąć. Byliśmy blisko siebie. Burza się skończyła.

Na chałupkę natrafiliśmy już w całkowitej ciemności. Dach był z kijeków z naciągniętą na nie tkaniną nieprzemakalną. Wewnątrz nora wyścielona kocami. I było tam ognisko.

Ziemniaki, krzyknęła siostra. I jakaś... jak to się... karota!

Ja znalazłem flaszkę. Poza tym nic tam nie było. Przypomnij sobie, siostrze... dezserterzy... ale już rozpałałem ogień.

Powinniśmy chyba stąd zniknąć, powiedziała siostra, ale już otwierała butelkę... no dobra, zostaniemy, zobaczymy, co się stanie... kochaliśmy się w tej dziurze i wydawało nam się, co sobie powiedzieliśmy, że tak to musiało wyglądać kiedyś w jaskiniach... najprawdopodobniej, przekazałem siostrze wiedzę antropologiczną, według malunków... od tyłu, na klęczkach, bo plecy na kamykach, ech, dodała siostra i uśmiechnęła się, ziemniaki się tymczasem spaliły. Wrzuciliśmy nową porcję.

Łykaliśmy z flaszki. Najdroższa... zatrzymaj mnie bezlitośnie, jeśli znowu się rozgadam... ale moje serce... usiadłem raz na pniaku, kiedy szłaś z przodu i nie trzymaliśmy się za ręce... wyjąłem je i chcę ci powiedzieć, że moje serce jest miejscami czarne, pokłute i obciążone, może dlatego marzę o morzu i wyspach... nie wiem, co ci ta dziewczyna, która trzymała cię w nocy, powiedziała... ale moje serce jest ciężkie... i powinienem cię poinformować, że na swej drodze... to znaczy w dawniejszych czasach... moje serce...

Ty, powiedziała Czarna i przysunęła się... ty ciągle głędzisz o swoim sercu, ale pomyśl o moich nogach... bolą! I cała jestem mokra.

Rozebrała się, suszyła swoje rzeczy, patrzyłem na nią, bo w tym migotliwym blasku jej skóra była złocista i delikatna... siostra siedziała przy ogniu, który spokojnie i przyjaźnie grzał jej piersi i szczupłe biodra, badałem wzrokiem kościsty zarys jej żeber, od dołu występowały ze skóry, sterczały, mocno trzymały słodycz raju wnętrzości, ją, eden jej ciała, krucze włosy stapały się z ciemnością, a bladeść twarzy rysowała się wyraźnie, kiedy cofała się przed językiem żaru, wstrząsała głową, a potem przysiadła na piętach, dłonie kładąc na uda... odwróciła się, a płomień migotał odbiciem na skórze jej pleców, na smukłym karku, nigdy dotąd nie widziałem jej poprzez ogień, poprzez lotny płot płomieni, gdzie blask zmienia się w ruchy powietrza... odwróciliśmy się oboje, bo usłyszeliśmy jakiś dźwięk... był to ogromny facet, wytrzeszczył oko, na drugim miał czarną opaskę, tylko stęknął, skulonego

u jego nóg może mnie w cieniu nie zauważyć... widziałem jego obuwie, wysokie sznurowane buty, spodnie miał zielone, dezerterszy, przebiegło mi przez głowę... jeśli nawet jednak mnie nie zauważył, Czarną widział bardzo dobrze i wydawało się, że na krótką chwilę skamieniał... nie zdarza się przecież, żeby facetom materializowały się takie wyobrażenia, przyjść do swojej nory i znaleźć tam ciepło ognia i nagą kobietę, nieznaną... kiedy zerknąłem na Czarną, zdrętwiałem również... wprawdzie zgarnęła na siebie swoje ubranie, ale... przyjaźnie uśmiechała się do olbrzyma i gładziła się po piersiach... myślałem, że zwariowała... facet, gdyby tylko chciał, rozgniółby mnie na miazgę... w chwili, kiedy dotarło do niego, że tam ta naga kobieta naprawdę jest i że uśmiecha się do niego, westchnął głęboko, rozpostarł ramiona i ruszył ku niej... zrobiłem to szybciej, niż mógłbym o swoich ruchach choćby pomyśleć... podciąłem mu nogi, a kiedy padał, uderzyłem go gałęzią, którą wyrwałem z ogniska, próbował podnieść się na rękach, ale waliłem go po łbie, a potem kłułem go tą gałęzią po twarzy, obaj wrzeszczeliśmy... Czarna chwyciła mnie za ramię i wyciągnęła z chaty, biegliśmy i potykali się... zatrzymaliśmy się gdzieś daleko, dygotaliśmy... dlaczego to zrobiłeś, no, dlaczego? spytała Czarna, potrząsając mną przy tym... Co? Co się pytasz?... to zrobiłaś ty, rusz się, na pewno są tu gdzieś inni. Kto? Owczarze? Jacy owczarze, to był dezerterszy, przecież widzieliśmy ich. Bardzo się mylisz, miał długie włosy i brodę, to był jakiś miejscowy prostak! Nie miał munduru? Widziałem jego buty... Nie, był w jakichś szmatach, to był owczarszy, na wsi często nosi się buty wojskowe... Mogliśmy się dogadać. Ty kurwo! Co ty mówisz, przecież głaskałaś sobie cycki, zachęcałaś go! Co ty pieprzysz... idioto... zakryłam sobie piersi, kiedy gapił się na mnie... a ty na niego skoczyłaś, dlaczego? Przecież masz tego gnata, do cholery! Mogliśmy to załatwić bez awantur, a gdyby coś nie wyszło, to byś go... postraszył pistoletem. I nie mów do mnie „kurwo”! Rozzłościła się i rzuciła na mnie z zakrzywionymi palcami, przewracaliśmy się w trawie, gryzła, trzymałem ją nad sobą na rękach i nie wiem czemu... chyba z tego wszystkiego... wybuchnąłem śmiechem, ona na moich rękach znieruchomiała i szepnęła: Patrz. Zobacz.

Położyłem ją na sobie, zsunęła się w trawę. Odwróciłem się, w dali płonął ogień. Mocny, dobrze go było widać w ciemności. Płomienie smagały noc, a nad ogniem unosiła się biała para... przecież ten materiał był nasycony deszczem... wiedziałem, że to ta chałupa.

To on tam został, powiedziałem bez sensu.

Siostra obróciła do mnie twarz, była zalana łzami, chodź tu, powiedziała, wsunęła mi głowę pod pachę i płakała. Ja nie mogłem. Patrzyłam na gwiazdy. Może to przyjdzie kiedy indziej. I mam nadzieję, że ona będzie przy tym. Kiedy dotrze do mnie ten dzisiejszy wieczór, mówiłem sobie.

Zasnęła. Może przyszedł tam, bo Psica nie chce, żebym tej swojej ukochanej powiedział... a pistolet, uwierał mnie, wyjąłem go z katany i wsunąłem za pas... nie zależało mi zupełnie, żeby siostrzyczka wiedziała, gdzie go noszę. W magazynku był tylko jeden nabój, który... schowam.

Patrzyłem na gwiazdy i w nie, źródła zimna, nieruchome oczy na skrzydłach jakiegoś stwora albo otwory prowadzące gdzie indziej. A potem także zasnąłem. Byliśmy dosyć zmęczeni.

I miałem swój... był to wilczy sen. Wybiegliśmy, Raksza skomlała z radości... je też, urwaliśmy zamek klatki i w ogrodzie zoologicznym grzechotało przez całą ostatnią noc, jeden z nas urwał zamek uderzeniem łapy, łańcuch spadł i oto już biegliśmy, biegliśmy po twardym zmarzniętym śniegu, przez las, po grudach i kamieniach, nasze pazury szczękały, a my nawet nie staraliśmy się zamazywać śladów, bo biegliśmy... daleko stąd.

Oczy płonęły jej jak węgielki... od czasu do czasu kłapała na mnie zębami, lizała mnie... tam, gdzie miałem bliznę po obroży, łysinę na szyi, gdzie sierść mi już nie odrosła... dotykała nosem miejsca na żebrach, gdzie zranił mnie kiedyś drut kolczasty i gdzie jego

kawałki już zostały, zarosły... ja także na nią kłapałem, miała blizny w środku... tresura, tam uczyli ją służyć i podawać łapę, i toczyć oczami, i układać wargi w ciup, tam wkładali jej kokardy i rozmaite stroje, żeby była z niej grzeczna dziewczynka, dobrze wychowana panienka... ciągle na baczość, coś jak bałwan ze śniegu, ale sexy... tam mojej siostrzyczce pokazali, jak ruszać zadkiem, kiedy szefom się zachce... za forszę na mieszkanie, żarcie i szminki żyć pośród idiotów aż do śmierci... a energię wykorzystywać na naukę, w którym momencie zrobić uch i ach, kiedy zasrani szefowie głoszą swoje prawdy... ale teraz biegliliśmy... a naszym tropem był szybki zamrażający oddech, który przelatował między kłami... moja miła była warana i lubita i umiała ciąć pazurem i językiem, ja też się starałem... uczyliśmy się wzajem od siebie, co dla tego drugiego jest dobre, i to dodawało każdemu z nas sił... biegliliśmy i ziemia obracała się pod nami, biegliliśmy koło grobów i przeskakiwaliśmy przez nie, unikaliśmy kości i szklanych spojrzeń, i spojrzeń pustych oczodołów... wilczych czaszek... i ominęliśmy sidła i pułapki, mieliśmy za sobą różne doświadczenia... spadających pali i zatrutego mięsa... przebyliśmy bez uszczerbku terytorium rudej sfory... i spotkaliśmy nawet ostatnie białe wilki, które były powykęcane chorobą... a wielkie czarne wilki nas goniły, ale uciekliśmy im... my, szare wilki z Karpat, toczyliśmy z nimi odwieczną wojnę, dziwiły się, że uciekamy, i na próżno kłapały szczękami, przeczuwały, że na nie też przyjdzie kolej, że przylecą helikoptery... biegliliśmy bok w bok i nasze ciała dotykały się... biegliliśmy po ziemi, która się obracała, a wiatr świszczwał nam w uszach jak lament nad każdą martwą sforą... i może nawet szczękaniem pazurów na drodze przyśpieszaliśmy ruch ziemi... biegliliśmy po ziemi, masowej mogile, biegliliśmy daleko stąd... jak najdalej... a potem... ale potem stanęliśmy nad ostatnim urwiskiem, nad przepaścią, i pozostawało tylko skoczyć i zanurzyć się w tej płaszczyźnie, tam wszystko się zaczęło... głębia pod nami lśniła jak lustro i Raksza, moja siostra, z wywieszonym językiem cofała się, a z gardła ozwało się jej warczenie, mroczne i wściekłe... Alcela szturchnęła ją w bok nosem, ale ona go drapnęła... jesteśmy na miejscu... chodź, siostrzo, tam nie możemy już zostać, nie, tam nie... chodź, skoczmy... polecimy i będziemy już zawsze razem... ale Raksza zawróciła i pobiegła z powrotem... wilk stał nad przepaścią, i zawahał się, ale wahał się tylko chwilę... pobiegł za nią... Raksza była na zboczu góry, znalazła tam jamę i została w niej... a Akela nie rozumiał, nie wiedział nic... został na zewnątrz sam... z dziury w ziemi odzywało się tylko warczenie... ona go ostrzegała... potem nastąpiła cisza... Akela został sam... a to nie miało sensu, mógłby sam wrócić nad urwisko... i lecieć... ale to nie miało sensu... wył, był sam z księżycem, który rozwibrował mu nerwy, Akela nie miał się o kogo oprzeć... wbiegł do lasu i zabił pierwsze zwierzę, które zwietrzył... zaniósł je do jamy... Raksza wciągnęła mięso do środka... dni biegły, Akela szalał ze smutku... ta samotność, kawałek od stromizny, i ta zdrada... nie wiedział nic... a potem zobaczył Rakszę, wyszła z jamy i wlokła się zmęczona, wokół niej były jakieś stwory... wysysały z niej życie, zabierały je... Akela zaatakował... ale Raksza wiedziała o tym, spodziewała się tego... powaliła go, odwrócił się do niej pozbawionym ochrony brzuchem i nadstawił szyję, tętnicę szyjną, było mu już wszystko jedno... ale ona nie naruszyła prawideł... wróciła do tych stworów... Akela został sam z księżycem, teraz już jednak wiedział... i wył inaczej.

Czego tak wrzeszczysz, na Boga, czego wrzeszczysz? Ty nie umiesz spać, powiedziała Czarna, Nie, nie umiesz. Zgrzytasz zębami, a teraz nawet wrzeszczałeś!

Wybacz. Ale gdybyś wiedziała, co mi się śniło! Zdziwiłabyś się!

Szanowny pan latał?

Tak, a właściwie nie... teraz to było inaczej, całkiem inaczej. I przemówiło to do mnie. Ty włazłaś do dziury i...

No, jasne, słuchaj. Prawie nie spałam. A może jednak to był sen. Było to dziwne. Słuchaj, zbudził mnie dzienny hałas, łoskot. Coś jakby maszyny, wiesz? Nie wiem, chyba wstałam,

dochodziło to spod ziemi. Próbowałam cię zbudzić. Ziemia się trzęsła. Jakby było pod nami jakieś lotnisko albo fabryka czy coś w tym rodzaju. Chwilę chodziłam, a potem poszłam... Czarna pokazała ręką, trawiasta równina się tam zwężała, słuchałam i coś mi to mówiło... poszłam tam, nawet się nie bałam, oglądałam się, żeby nie stracić cię z oczu... tam jest jar, człowieka, położyłam się i patrzę, jeździły tam jakieś wózki, popychali je ludzie, wychudzeni, skóra i kości, groza... a w tym jarze były w zbczu metalowe drzwi, byli tam jacyś strażnicy... ze środka dochodził ten hałas i biło światło, jak wtedy, kiedy topi się żelazo czy coś w tym rodzaju... ludzie, którzy ciągnęli wózki, jak zwierzęta, mieli bluzy w paski, jak zebry, ale wiesz... to mi wystarczyło, poleciałam z powrotem, metalowe drzwi... był tam wszędzie bluszcz czy coś takiego, oderwany od muru. Nie wiem, czy to był sen.

No więc... Czarna, jeśli chcesz, po niezbędnej porannej toalecie... pójdziemy popatrzeć.

Tak, chcę. No to idź, tam na stoku jest taki mały potok, rzeczka za drzewami, idź się umyć. Ja poczekam, już byłam. I... wracaj szybko.

Jej sen bardzo mi przypominał inny sen, czy to jest logiczne, czy to jest magiczne, czy to w ogóle jest? Mruzczałam do siebie... kościotrup Josef Novák, nie pozbędę się swoich snów... obóz śmierci w podziemiach... zobaczyłem rzeczkę, ukląknęłam, wykąpałem swoje palce... no, Czarna powiedziała, żebym się umył... palce wyryły wodną bruzdę tylko na chwilę, potem dwa nurty połączyły się ze sobą, woda płynęła między kamieniami i kamyczkami po piasku dna i ponad nim, uparcie sunęła w nieznaną, była ciągle taka sama i zmieniała się... powtarza się to i zmienia, gdzieś to dąży, jak mowa i jak czas.

Potok wstał, wyciągnął nóż i po raz ostatni ciął nim, aha, powiedziałem sobie, tak ich oszuka! Po prostu nie będę się bronić, nie będę uczestniczyć, czhuri des, czhuri chudes, już nie.

Wrzuciłem nóż do potoku i woda się nad nim zamknęła. To takie proste, mówiłem sobie, miałem przecież tylko sen... o plemienu, było nas pięciu, a ja mam też pięć zmysłów... czy to jest bezsens?

Nikt się nigdy nie dowie, o co chodzi. Świat, tak, a ja miałem kumpli, Krul węż, Sternik wzrok, Bohler słuch, Rekin dotyk, Piątek smak i sługa Boga na wyspie, no, chyba nie zgorszą nawet jakiegoś stosunkowo pobożnego człowieka, mówiłem sobie.

Nas było pięciu, czyli ja. A jeśli moja siostra jest śmiercią, to nie muszę jej koniecznie kochać, ale nauczę się z nią żyć aż do końca.

Ale Czarna... Czarna to kobieta... śmierć przecież nie może cierpieć, śmierć nie ma blizn... będę jej wierzyć. Gdzieś dojdziemy.

Miałem bardzo humanistyczny nastrój, kiedy usiadłem koło siostry na pniaku, uśmiechałem się i często mówiłem: kochanie tu, kochanie tam... w odróżnieniu od niej czułem, że w nocy naprawdę nie spała... śpiewałem jeszcze malutką piosenczkę swojemu dobremu majchrowi, na pożegnanie... Czarna wyciągnęła z kurtki paczuszkę... tak bardzo byłem przesiąknięty szlachetnością i franciszkanizmem, że spojrzeniem pieściłem każdego pełzającego po ziemi robaczka, pajęczka... im mój majcher już nie zagrozi! Czhuri des, czhuri chudes, już nie!... Czarna znowu zabiła komara... trochę sposepniałem... ale musiałem wstać i poprawić sobie pasek, bo uwierał mnie pistolet.

Patrz, co mam, to znaczy mamy.

Co? Ty masz jedzenie... dobra kobieta!

Tak... kiedy tak tam... macałam wokół siebie, nie wiem nawet, nie rozumiem... włożyłam do kieszeni na drogę kawałek... mortadeli. A teraz mam tu całego martwego białego kurczaka... niewiarygodne! Przyszło ci do głowy, że jesteśmy tu jak zakłęci i że to, co się stało, wcale się nie stało?

To mi, siostrzyczko, przychodzi do głowy ciągle... ale spróbuj... uszczypnąłem się mocno... tylko ból jest rzeczywisty.

I rozkosz, powiedziała siostra. Chcesz?

Jestem głodny jak wilk.

Schrupaliśmy kurczątka, było takie bezbronne! Szczrzyliśmy do siebie zęby i odrywaliśmy mięso od kości, które pieczołowicie ogryzaliśmy, naczynia krwionośne szarpaliśmy rękami, całkiem jak królowie.

No to chyba... powiedziała siostra, pójdziemy zobaczyć. Czy jest tam ten parów.

Nie musimy, on tam jest. Wiem. Widziałem to, pewien facet, to znaczy facet, po prostu zakomunikowano mi, że jest.

A czy nie powinniśmy tego gdzieś zgłosić? Na komisariacie albo w ONZ czy w UNESCO, nie wiem.

Że mój stary sen to potwierdzenie twojego nowego snu?

Przyjdą, rzucają na to okiem...

Wiesz przecież, jak to wygląda.

Masz rację. Idziemy, wstawaj!

Ruszyliśmy odświeżeni i posileni, pośród wiatru i trawy potężnie otwierały nam się pory... o tym, co zrobiliśmy tym ludziom, nie mówiliśmy. Na to potrzeba czasu.

Mieliśmy się znowu na baczności, Małgosia od czasu do czasu wdrapywała się na drzewo i rozdzierała sobie dżinsy, a ja niekiedy wybiegałem naprzód i kluczyłem po lesie, miotałem się w trawie i obserwowałem plener, ale droga przebiegła bez przygód i bez spotkań.

Tylko raz... zobaczyliśmy gdzieś daleko w dolinie wozy, jechały jeden za drugim, drewniane wozy z budami, ciągnęły je konie i woły, wokół krążyli jeźdźcy... jadą za sobą jak wagony, te kryte wozy, siostrze, może tu wcale nie ma pociągu... ale nie, to chyba uchodźcy, popatrz, na wozach są nawet małe dzieci... kto gdzie się przenosi?... ciągle ktoś gdzieś indziej, wszystko jedno, powiedziała siostra mądrze... w dali zobaczyliśmy góry... lśniły w słońcu i pewnie wskutek zjawisk atmosferycznych, może gdzieś tam była burza, niektóre skały fosforyzowały zielonkawo albo płynęły w błękicie dalekiego nieba... na szczytach był śnieg, połyskiwał, gdybyśmy byli bliżej, bolałyby nas od tego oczy... stanąłem, musiałem użyć całej swojej siły, by powstrzymać się od zawycia... tam kiedyś pójdziemy... tak, a co z morzem, powiedziała siostra, a może jedno i drugie?

Jedno i drugie; wyobraź sobie, że kiedyś spotkałem cypryjską Greczynkę czy Turczynkę, która powiedziała mi, że na ich wyspie na górze jeździsz na nartach, a jak zjedziesz na dół, masz tam zaraz plażę! Ale teraz jest to podobno zagrodzone drutem kolczastym.

No to za jakiś czas, zaproponowała.

Widzę, że chcesz ze mną jechać, to wspaniale.

Owszem, powiedziała siostra i kopnęła kamień... ten bohater Odys wolał powalczyć sobie razem z Agamemnonem i Menelaosem... może ty także?

O, ja nie, moja droga, przecież wiesz, że mam kategorię „niezdolny do służby wojskowej”, poza tym wojna...

Na pewno znasz, bracie, pierwszą część *Odysei*... jak rzucił synka pod maszynę, udawał, że jest stuknięty... potem mu się w woju spodobało. To był jego syn, ale my dwoje... ty brat, ja siostra...? Tylko się śmiałem, bo nie wiedziała nic o moim wilczym śnie... a ja jej o nim jeszcze nie powiedziałem, na to potrzeba czasu, myślałem wtedy.

W tym śnie mieliśmy szczeniaki.

POD STARYM MUREM. DO HALI, FACET Z CEGŁĄ. I POCIĄGIEM. I
DALEJ, GDZIE INDZIEJ.

W końcu droga się przełamała i oto nagle staliśmy w błocie i kurzu pośród kawałków szkła i reklamówek, a przed nami leżało miasteczko. Leżało na całej linii.

Był tam drogowskaz: Ušanica 3 km. Nie zwróciliśmy specjalnej uwagi na budynki, absolutnie niczego nie szukaliśmy. Z wyjątkiem dworca.

Może by tak do jakiegoś niedużego butik, najmilsza, po tych przygodach, albo coś chlapanąć, zmyć kurz, wyczyścić arkebuza... żartowaliśmy sobie i skradaliśmy się wzdłuż muru, bo nie byliśmy pewni, czy nie znaleziono naszych ofiar i czy ich znalezienie nie zdenerwowało kogoś na tyle, żeby wyruszyły komanda.

Dworzec wyglądał inaczej, niż zapamiętałem z przelotnej wizyty w Ušanicy. Kasa zamknięta, żywej duszy. Dopiero później pojawił się jakiś włóczęga. Zareagował, kiedy wcisnąłem mu tysiackoronówkę. Powiedział, że tu w Mezilavoriu... co? Wyjaśnił, że Ušanica jest dobrych 70 mil na wschodni wschód... Drogowskaz? Mało to drogowskazów? Pociągów dużo nie ma, ale na Pragę... coś tam jedzie dokładnie o północy, ale nie poleca... to bardzo, i powiedział jakieś słowo, które mogło znaczyć, że jest to drogie... nam to nie przeszkadza... no, tylko żebyśmy się nie pomylili i nie zapłacili za dużo.

Wałęsaliśmy się tu i tam, ale staraliśmy się nie zwracać na siebie uwagi, co było dosyć trudne... popiliśmy trochę, dla przyspieszenia mieszając... pobyt na łonie natury chyba nas uzdrowił, bo alkohol nie działał, ale siostra mówiła, że może jest przeciwnie: działa tak mocno, że tego nie zauważamy, że tylko myślimy... jasne, tylko myśleć, tylko! Ty, moja miła, instynktownie wiesz to, do czego ja dochodzę po latach pracy i modlitw, ogromnie cię podziwiam, w ten sposób z miłością łączy się admiracja, wielka siostra pośród stosunków międzyludzkich... no widzisz, że ta woda działa, już znowu się rozkręcasz, gadasz jak najęty... oparliśmy się o róg pięknego starego muru, pokrytego zgniłymi porostami, była to synagoga.

Zapuszczona, ale z nowymi szybami w oknach.

Ty nie wiesz, siostrzyczko, że moi praprapra przybyli z Odessy, prowadzeni przez Aladyna czy Apollina, a może Ahaswera Potoka, w tej kwestii zapisy rodzinnej biblii nie są zgodne. Nikomu tego jeszcze nie powiedziałem, zresztą to niczyj interes, pieczołowicie zabezpieczałem sobie tyły przez wszystkie młode lata! Tylko oni osiedli na wsi, ponieważ Potok w języku Bohemii coś znaczy, a moi przodkowie chcieli wtopić się w tło; założyli zaraz karczmę... inni poszli do gett, a ci moi wybrali przebranie i maskę, żeby przeżyć, próbowali takiej strategii, uznali swoje dwuznaczne nazwisko za znak od Niego... kiedy inni dotarli do Bohemii, od razu na granicy radośnie mlaskali, pożerając czosnkowe kulki i pociągali się z zadowoleniem za pejsy, bo nigdzie nie widzieli tu kozaków, a tylko dobrodusznych i wesołych ludzi... jedynie mój przodek był nieufny i czujny, dzięki temu żyję i jestem tu z tobą... już ten przodek śnił o lataniu, w Odessie miał sklep z gołębiami, gdzie kupował pewien bocher, który potem pisał o tym historyjki, był to dziennikarz, ha, był głupi i pisał o sobie, więc go w końcu stalingi zaszczuły, zabili go... nikt tego o mnie nie wie, tylko ty, mam się na baczności!

Ja też zdradzę ci coś, przyjacielu, pod tym starym murem... po raz pierwszy zobaczyłam niebo u babci gdzieś w Transylwanii, nie wiem nawet, jakie państwo tam teraz jest, szybko się to zmienia, zresztą wcale nie chcę wiedzieć, a kiedy moja mama umarła, wilki rozerwały ją na kawałki na borówkach... musiała zbierać borówki, żeby kupić mi elementarz tego

obcego języka... siostra niepowstrzymanie się rozpląkała... potem zjawił się ten łajdak, mój ojciec, kiedy przyjechał swoim żyguli, cała wieś wybałuszała na niego gały, został u nas na całe lato, jak mi to pierwszy raz zrobił, powiedziałam o tym, ale nikt mi nie wierzył... taki świetny facet, wszystkim rozdaje gumy do żucia i lusterka, i zapalniczki, jeśli jej to nawet zrobił, rzecz zostaje w rodzinie, ich sprawa... i wszyscy ci chłopcy, co zaczęli się wtedy za mną oglądać... tam już czternastolatki to kobiety, wiesz?... ale tyle nie miałam... żaden z nich go nie zabił, a każdy by tam za coś takiego zabił własnego brata, nie, świnię, w niedzielę chodzili do kościoła, a nocami odprawiali czary i wszystko było klawo... on potem załatwił dokumenty i kupił mi sukienkę, kremy i cukierki... i dziewice i wszyscy inni gratulowali mi, że wyjeżdżam na Zachód, do Czechosłowacji, a babcia? Ona wiedziała... i słuchaj, myślę, że zostawiła mnie, żebym dotknęła dna... no, wiesz, to, co ci wtedy mówiłam... o swoich wrażeniach, to najstraszniejsze?

A potem babcia posłała mi ciebie i dała mi ten pistolet i was dwóch, żebym się zdecydowała... a teraz jestem wolna, ty nigdy nie będziesz mną w niczym komenderować... jeśli nie będę chciała. A ja to później, po latach, powiedziałam także w szkole, bo czasem... nie można było tego wytrzymać, w piwnicy, żeby sąsiedzi... ale wszystkiego teraz nie powiem... w szkole nazywali mnie Wampirą, ze względu na to, skąd pochodzę, i nie wierzyli mi, on, ten knur, był wtedy wielką szychą, więc woleli udawać, że wszystko jest w porządku... nagle siostra umilkła, bo zza rogu wyciągnęła się do nas ręka zimnego wichru i siostra, która szlochała, zaczęła w tej lodowatej chwili trząść się jak osika... powiedziałem jej to... jak osika, kołek, położyła sobie rękę na sercu, dobry żart, chwyciła mnie i chyba w wyniku dalszych skojarzeń szepnęła: Ty chyba musisz jednak być starszy, bo tak umiesz to robić mojemu ciałku. Na to nie miałem co powiedzieć.

Ha... szliśmy dalej, a pogoda się zmieniła, zaczęło mżyć, weszliśmy w pierwsze otwarte drzwi... była to dziwna hala.

Półmrok. Stąpaliśmy ostrożnie, nagle krzyknąłem. Ze ściany zwisała poskręcana szmata, nie, był to papier, a na nim widniała kobieca twarz, nie wiem dlaczego, ale przeżegnałem się, ta twarz była słodka... Czarna zmarszczyła krytycznie brwi, słuchaj no, to jakaś latawica, pewnie aktorka, gwiazda jedna... podszedłem bliżej, tak, była aż nazbyt słodka i... blondynka... obok była kolejna poskręcana szmata, ze ścian tam kapało... błę, to jest... siostró, to jest krzesło elektryczne, a na nim, zdaje się, siedzi morderca... chyba zaczęliśmy drzeć, co to za straszna rewia w tej dziwnej krainie czarów... objęliśmy się, miałem zamknięte oczy, bo zobaczyłem, że tych szmat zwisa ze ścian więcej, może... nie lubię bluźnić nadaremno... to coś w rodzaju drogi krzyżowej, jakiś modernizm... A siostra szeptała: A teraz powiem ci tą ostatnią rzecz, dobrą i bardzo złą... trzymaj mnie, o tak... myślę, że ten facet nie był nawet moim ojcem, że tam tylko węszył... bardzo się boję, że mu mnie babcia sprzedała i że wszyscy o tym wiedzieli, tam jest wielka bieda. Ciągłe o niej myślałam i chciałam wrócić, ale żeby dowiedzieć się, czy to prawda, będę może musiała tam pojechać i spytać tej starej wrony. Pojedziesz ze mną?

Czarna, pojedę, gdzie tylko zechcesz, ale... jeśli to prawda, musielibyśmy ją za to... musielibyśmy to zrobić. Musiałbym.

Może nie, powiedziała Czarna, może dowiemy się, że nie miała wyjścia. Z jakiegoś powodu. Myślałam o tym! Te góry tam, chciałbyś je zobaczyć, nie? Tam jest inaczej. Tam mają legendy i bajki, to by cię zainteresowało.

Czarna, a mają tam też legendę o jeźdźcu z mogiły, o Księciu?

Skąd o tym wiesz? Mówiłam ci?

Nie wiem. Może wspomniałaś... słuchaj! Tak nie można, nie wolno nikogo sprzedawać. To ci się nie może ze mną stać. Nie może! Sprzedać. Nie powinnaś kontaktować się z pewnymi ludźmi, telefonujesz, nie wiem, do kogo, będę cię chronić... zmienimy się.

Tsss, syknęła Czarna. Nie wolno ci mną komenderować, wiesz przecież!

Z kolejnego malowidła musieliśmy zerwać płachtę, żeby je zobaczyć. Była to twarz faceta, sympatyczna. To jakiś Joseph coś tam, poszukiwany za zabójstwo, przesyłabizowałem.

Zdjęcie z pierdła, dorwali go, to jasne. Tylko spojrzeliśmy po sobie i wzięliśmy się za ręce.

Kolejna rzecz... rozbity samochód... przypomniałem sobie Viškę, jakoś tak wyglądał, kiedy zrzuciłem z niego Czarną, milczałem.

Niektóre z tych szmat to były płótna, chociaż teraz zniszczone tynkiem i nasiąkłe wodą nie wyglądały już na płótno. Ale żaden z obrazków nie był specjalnie zachęcający.

Patrz no, stary morderca własnych ludzi, Kim Ir Sen, popisywałem się swoim wykształceniem, stojąc przed wizerunkiem polityka w mundurze polowym.

Mordę ma rozwalcowaną jak stara suka, patrzy na pewno, jak komuś przypalają jaja, oceniła go Czarna. Ten, co go sfotografował, to też musiał być szajbus.

To jest malowane, poprawiłem ją.

Wszystko jedno, powiedziała.

Następny akt sztuki: to wzięło nas oboje. Forsa. Ten szaleniec malował forszę, chyba coś go gryzło.

Ależ nie, właśnie był całkiem spokojny, uważała Czarna.

Kolory, gdyby było słońce... ale także w półmroku, a w miarę jak obraz nasiąkał wilgocią ze ściany, moniaki skręcały się jak robactwo, chwilami wyglądały komicznie, a chwilami jak gdyby tryumfalnie... no, to mamy cię, gapiszonie, jesteś nasz. Kiedy wyjaśniłem swojej kobiecie, jak to widzę, powiedziała: Ja myślę, że ta kobitka, ta blondyna... że już nie żyje, dlatego zląkłeś się, ale już się nie boisz... natomiast te forsiaki skręcają się dla ciebie, bo są jeszcze ciągle bardzo żywe. Po prostu żyją, zmieniają rzeczy. Ludzi.

Taa, a to co ma być? Jakies konserwy, ładne, takich nigdy nie widziałem, takich mi rodzicielka moja na drugie śniadanie nie dawała.

Ha, dla nas to powinna być Trenčinská fazula. Albo może Husí krev?

Tak, ale tak czy owak... to jest dziwne.

Jak wszystko. Tak właściwie wyglądają ludzie, teraz.

Tak, ale nie tutaj. Na szczęście.

To długo nie potrwa, ludzie są już poubierani w etykietki... chcą być tacy sami, błyszczą jak blacha... wesoło się tam przekrzykiwaliśmy, a kiedy siostra gwałtownie poruszyła łokciem, tylko kiwnąłem głową, też to usłyszałem, za kolumną... ktoś tam był... gadaliśmy głupstwa i niepostrzeżenie przesuwalimy się... za róg, podciągnąłem pasek.

Mordy twojej kirpicza хочzetsia! krzyknął ktoś, wpłynęliśmy za róg, a zza kolumny wyłuskał się drobny facecik w okularkach...

Włóczykije, chcecie kupić cegłę, zawołał nienaturalnym basem.

Patrzyłem na niego i zostawiłem pasek w spokoju, siostra powiedziała mi, ale tak, żeby to słyszał... Czego chce, co się wygłupia... ten pan? Przecież my tu tylko oglądamy, nic nie wzięliśmy! A do mnie szepnęła... ten gość jest jak zapałka, nie wie, kim jesteśmy... zostaw go!

Wyszliśmy zza rogu i powoli, dobrodusznie szliśmy w jego kierunku. Stał tam koło kolumny i wazył w ręce cegłę, jakby był jej wytwórcą, gdzieś przy piecu... ale widać było, że nie traktuje już swojej propozycji poważnie.

Dzień dobry, mówię.

Jesteście z Pragi? Przyjechaliście popatrzeć, ale przecież już zamknięte! Rzucił cegłę na ziemię.

Co tak na nas z cegłą, powiedziała siostra.

A, bo przychodzą tu tacy różni... i niszczą to. Powiniennem mieć miotacz min. Nie chcą tu tego! A przecież on był stąd, pracowałem tutaj nad tym, nawet nie wiedzą, kim on był.

Ja też nie wiedziałem, ale przy siostrze wstydziłem się spytać. Miała chyba podobny problem. Facet siedział w kucki i wyglądał dość marnie.

No tak, powiedziała siostra i poklepała go po ramieniu, przecież to tylko obrazki.

Jezusmaria! wrzasnął facet i ukrył twarz w dłoniach. Coś bełkotał, zrozumiałem tylko... jak zwierzęta... jak bydło... to niesamowite... cywilizacja... typowe! Wróć! Niech się to zawali! Mam swoje sprawy... Andy. Ach, Andy, pierdolić to wszystko.

Powoli się z siostrą wycofywaliśmy. Na dworze po tej rewii grozy głęboko wciągnąłem powietrze. Biedny chłopak, powiedziała siostra, chyba rozminął się z gustem miejscowych. Myślisz, że on sam to malował? Jasne, wygląda na takiego. Ale przecież mówił coś o gościu, który stąd pochodził. To był chyba ten Joseph, powiedziała Czarna, portretuje z miejscowych jakiegoś mordercę i blond kurewkę, a potem się dziwi, głupek. Akurat chcą tu mieć na ścianach swoją forszę, swoich morderców, swoje konserwy, trupy, pukawki, miejsca straceń... wyliczała Czarna na palcach... są głupi, nie wiedzą, że nic innego nie mają... prawie. Kto by to chciał, w jakiegokolwiek takiej mieścinie.

Masz głowę nie od parady, Czarna, właśnie tak to wygląda!

Wyszliśmy na zewnątrz, było ciemno... przed poobijaną synagogą, w której, jak zauważyłem, siostry wolałem o tym nie informować, był magazyn margaryny... zdradziliśmy sobie swoje tajemnice, jej sekret był straszny... ja powiedziałem jej tylko trochę, najważniejszego z siebie nie wycisnąłem.

Wyjątkowo milczeliśmy, ale nagle siostra mnie szturchnęła, na zegarze na wieży niemal minęła już północ, pobiegliśmy na dworzec i ledwie zdążyliśmy wskoczyć do ruszającego pociągu, przy drzwiach stał jakiś facet, blady jak ściana, spytałem go: do Pragi, tak? Na Pragę! Prague? Nach Prag, kurwa, chłopie... tylko kiwnął głową i patrzył jak gdyby z wielkiej dali, był chyba uchłany... znaleźliśmy wolny przedział i rozsiedliśmy się w nim, uśmiechaliśmy się, i chyba dlatego, że w miłości i na wojnie wszystko jest dozwolone, jak mówią już stare *Protokoły mędrców Syjonu*, w namiętym uścisku dwoje stapia się ze sobą i nigdy nie jest nudno, szczególnie kiedy jest to ciągle takie samo i ciągle nowe i dokądś prowadzi... prowokacyjnie zaciągnęliśmy zasłony, bezczelnie zablokowaliśmy drzwi i zaczęliśmy się pożerać w metaforycznym sensie słowa. Potem opanowała nas senność. Drzwi gwałtownie się otworzyły, wszedł był to ten blady, który stał przy wejściu do wagonu, ale miał mundur, konduktor. No, chyba się nieobraził. Stał, uśmiechał się, zacisnął nawet blade, wąskie wargi... dwa razy na Pragę, mówię, zaskoczyło mnie, że uniósł banknoty do światła i z rozbawieniem je oglądał, jak gdyby nowe, samodzielne czeskie forsiaki widział po raz pierwszy w życiu, potem podał mi dwa bilety, wepchnąłem je do kieszeni.

Uuu, wstrząsnęła się siostra, ten gość był dziwny. Dziwnie go było czuć.

No tak, syn jakiegoś bacy w niedopasowanym mundurze. Przecież wszyscy się tu krzyżują. Ale dziwny był. My też jesteśmy dziwni. Rano czy kiedyś tam jutro będziemy w Pradze.

Jak Bóg da, powiedziała siostra.

Dlaczego miałby nie dać? No... wolałem zamilknąć.

Po chwili poczułem pragnienie... i głód.

Też bym coś zjadła... tylko nigdzie nie chodź. To idiotyczne, ale słyszysz ten pociąg?

Aha. W ogóle nie słyszałem podkładów, kół. Rzuciłem się do okna, krajobraz uciekał, zmieniał się, ciemność nie, tylko od czasu do czasu błyskały światła jakiegoś miasta czy gorodka, czy czego tam... bo gdzie właściwie byliśmy.

Wiesz, najmilsza, to chyba jest jakiś zachodni supernowoczesny elektryczny... sinkanzen.

Co tak zbladłeś?

Nic, absurd. Idę to zbadać. Choć ze mną, jeśli się tu boisz.

Ja? najeżyła się. Właśnie zdjęłam buty, ciągle mnie boli, wracaj szybko.

Szedłem korytarzem, zaglądałem do przedziałów, nie było w nich nikogo, tu i ówdzie na podłodze pety, plamy, butelki, podniosłem jedną z nich, bo potoczyła mi się pod nogi... jakaś... nie znałem... ale wewnątrz była pajęczyna, a w niej jeden mały, czarny... no, specjalnie się tu nie sprząta... poszedłem dalej, już chciałem zrezygnować, w pustych przedziałach powiewały zasłony, wysuwały się na zewnątrz, w noc, jak gdyby chciały uciec, zasłony obdarzone wolą, ty idioto! Zamknij się, tylko sobie szkodzisz, mruknąłem do siebie... ale wkońcu znalazłem wagon restauracyjny, też był pusty... na stołach obrusy, sztuczne kwiaty oraz solniczki, z tyłu przy barze czymś bardzo zajęty kelner plecami do mnie, podszedłem do niego i grzecznie zakasłałem, odwrócił się, a ja nagle poczułem, że serce zaczyna mi gwałtownie bić... był to ten sam facet... uśmiechał się... piwo, wychrypiałem, bir... uklonił się i zniknął, w końcu dlaczego nie, przecież pociąg jest pusty, więc może zdążyć ze wszystkim, ma większą pensję, uspokajałem się całkiem bezskutecznie... podał mi reklamówkę z butelkami, a kiedy dałem mu pieniądze, znowu się uśmiechał i kręcił nad drobnymi głową... uważałem, żeby być jak najdalej od niego, niektórych typów ludzkich po prostu nie znoszę, instynktownie i od pierwszego wejrzenia.

Opanował mnie strach. Wyobrażenie pustego pociągu, przez który muszę przejść, zasłon, które wrywają się w nicość... otworzyłem jedną butelkę o okno w przedsiönku restauracyjnego i osuszyłem ją całkowicie, siostró, wybaczyć! Czarna... zrobiło mi się czarno przed oczami. Jest tam sama, napałem gwałtownie na drzwi i omal nie upadłem. Na korytarzu siedziała cygańska rodzina, rozwalona na swoich tłumokach. Gapiłem się na nich, jakby jakiś głupek przyszedł do swojej starej do sypialni, a tam, no, życzę mu wszystkiego najlepszego... jeden z gości wstał. Przelazłem przez nich. Z całego pociągu dobiegał hałas, unosiły się tam kłęby tytoniowego dymu. Przebiłem się przez bandę pijanych żołnierzy, dwoma palcami ścisnąłem nos przy ubikacji, przelazłem przez nastolatka owiniętego kurtką, na której błysnęła mi wyhaftowana czaszka, leżał na brzuchu. W jednym z przedziałów siedział na ławce wilczur, włóczęga z gitarą leżał na podłodze, warknąłem. Ludzie na korytarzu chlali piwo i żarli suchary, patrzyłem z bliska w ich rumiane twarze, jednemu nadepnąłem na nogę, żeby sprawdzić, czy żyje, opędził się jak od muchy. Ech, chyba kiedy stałem w restauracyjnym, pociąg zatrzymał się, tak, tak było... jesteśmy z Czarną przewrażliwieni... Ušanica jest przy granicy, wsiedli teraz, to jasne, po co mieliby się męczyć z celnikami... fajki! Będzie w złym humorze, ja też. Wymieniłem dwa piwa na paczkę jakichś... bielomorki, no, zobaczymy. Nieduży mór, biała zaraza, to mi się nie podobało, ale śpieszyłem się. Z korytarza, pełnego dymu i mgły jak z księżycy, od czasu do czasu wynurzała się jakaś postać i przeciskała się obok mnie, stałem i łapałem powietrze, uchryyyujcie, usłyszałem, miało to być pozdrowienie, zaklęcie, tajne hasło? Chrunchru, przepraszająco powiedział mameluk w turbanie i odsunął mnie, suń się, powiedział rodak i wpakował się na mnie. Z niektórych przedziałów dobiegało chrapanie, gdzie indziej słychać było wrzaski, chlali, napychali się, rozbijali butelki. Dostrzegłem mundur armii radzieckiej. Leżał na plecach i chrapał, obok niego włóczycy w oficerskiej czapce na głowie, czerwony podkoszulek, kolczyk, sine tatuaże, wszędzie. Spali tu jeden na drugim, chrapiący żołnierz okazywał złoto zębów, na kołnierzyku koszuli płwocina. Przy ubikacji stłumione odgłosy bójki. Ktoś miał coś zapłacić, ktoś coś przewoził albo zgubił, albo ukradł, lepiej nic nie wiedzieć. Cały pociąg zgodnie świętował pokonanie kolejnej granicy. Wprawdzie paru handlarzy być może wysadzono, ale pozostali niepowstrzymanie pędzą do Pragi. W wagonach wszędzie śmierdziało.

Ale Czarnej w przedziale nie było. Tylko jej buty. Wskoczyłem z niego i sprawdziłem wszystkie ubikacje w okolicy, zaglądałem do sąsiadów, co nie obeszło się bez drobnych utarczek i wymian uprzejmości, wróciłem i ciągle były tam tylko buty. Padłem na kolana i prosiłem go: Ja wiem, że jesteśmy w tym sinkanzenie, ale proszę cię, uczyniliśmy wiele

zła... przyjmę wszystko, na co zasługuję i na co zasługuje ona, ale proszę cię o jedno, bądźmy razem, na wszystko się zgadzam...

Czarna wpadła do przedziału ze śmiechem i zaraz zorientowałem się, że jest zalana, za nią wlał facet, wysoki, dobrze zbudowany, z potężnymi ramionami... łysina, na niej melonik, w ręku miał butelkę Jacka D., wyglądał jak handlarz świń na wielką skalę... spoko, kochanie, objęła mnie za szyję. Ona, choćby była nawalona jak messerszmit, bardzo dobrze wie, co mnie gryzie... ten pan ma dla nas informację, nie jedziemy wcale do Pragi, parsknęła Czarna i opadła na swoje miejsce... Taa, rzeczywiście, młody człowieku, to uciecha spotkać Czecha, ten pociąg, znaczy się po waszemu vlak, jedzie do Warszawy, a tam jest taka dzielnica Praga i ja tam mieszkam, nazywam się Józef Szwejh, a wy to podobno pan Potok, tak mi mówiła pańska siostrzyczka, już śpimka, jakie to milutki! Siostra siedziała z rozłożonymi nogami i chrapała... a nie zna pan pana Potoka z Porziczi nad Sazawą? Bo tam stary Vávra ma przewoźnictwo i kiedyś opowiadał, jak tam w tym roku, co to trafiłem do niewoli, piorun kulisty zmiotł oba kościoły, a dlaczego? Dlatego że przyleźli tam cudzoziemcy... pochylił się ku mnie i mówi... jak tylko pociąg stanie, łap dziewczynę i znikajcie, i nie oglądaj się za siebie, wierz mi, pomagam już tu dość długo, ten pociąg jedzie prosto w dół! Siostrzyczce włożymy buciki, niechże naszą senioritę miło łechce pod kopytem, chi, chi, facet dzikim gestem wskazał sufit, a potem ucho... znak podsłuchu... byłem przerażony... a więc się nie pomyliłem! Pytanie tylko, czy kłamie, czy nie, zdecydowałem się zaryzykować, w pociągu ani trochę mi się nie podobało... facet kiwnął głową, a potem pociąg się zatrzymał. Złapałem Czarną i rzuciłem ją na drzwi i jeszcze raz, obudziła się: Lecimy, chodź, powiedziałem głosem zarezerwowanym na straszne chwile... wlokłem ją korytarzem, który był... znowu całkiem pusty... nikogo, tylko na końcu skrzypiały drzwi... zataczaliśmy się, Czarna zaczęła już dochodzić do siebie, o nic nie pytała, mądra dziewczynka... jeszcze obok trzech pustych przedziałów, cały czas spodziewałem się, że z ciemności wynurzy się jakaś ręka, obejrzałem się, ten blady cienki facet biegł za nami, i to jak... skakał, dojrzałem jego twarz, był podobny... do osy... usta i nos spływały w jeden otwór, w którym... bulgotała żółta piana... musiałem się zatrzymać i patrzeć, ta piana jak gdyby się gotowała, widziałem żuwaczki... biegł i ta jego... twarz rosła, wypełniała korytarz... podniósł ręce, chciał mnie udusić, drapałem go paznokciami w szyję... nagle coś mnie... Czarna chwyciła mnie za rękę, szarpnęła i wypadłem na peron, twardo... a pociągu nie było.

Braciszku, boli cię coś? klęczała przy mnie. Zrób jakiś ruch, proszę cię,

Co robisz, wszystko w porządku. Trochę się uderzyłem. Podnosiłem się.

Ach, ty jesteś... wydawało mi się, że cię trafił.

Co takiego? Kto?

Ten wstrętny facet, który szedł za mną, przecież strzelał do mnie! Bałam się, że cię postrzelił, nie? Tak upadłeś, aż mnie to bolało. Ale dzięki, że mnie wyciągnąłeś, byłam nieprzytomna ze strachu. Ta lufa. Po prostu rosła, wydawało mi się, że wypełnia cały korytarz. Cud, że mi głowa nie pękła ze strachu, dziwię się, że ten pociąg w ogóle odjechał.

Ale przecież to ty wyciągnąłeś mnie! Dlatego upadłem.

Co?... to ty wyciągnąłeś mnie za rękę. Byłam z nim na korytarzu, a on strzelił, to było straszne... zakryła sobie twarz.

Czekaj, Czarna, chyba domyślam się... ciebie pistoletem, mnie udusić, to były... demony. I przeszliśmy przez to, myślę, że wymknęliśmy się. Może dlatego, że się modliłem. Nie wiem.

Ja też bardzo się modliłam, cały czas.

Słuchaj no, ale ten jeden nas uratował!

Wcale nie, chciałam się ruszyć, kiedy mówił ci, żebyśmy wysiedli, wiedziałam, że potem chce strzelać. Pistoletem mnie zmusił, kazał przyjść do ciebie. Udawałam, że jestem pijana.

Że upiłam się tym jego fernetem. Kiedy ci mówił, żebyśmy wysiedli, chciałam krzyknąć. Ale nie mogłam się poruszyć. To było okropne.

Jeszcze przez chwilę mówiliśmy o tym pociągu grozy. Chłodne nocne powietrze wyciągało to z nas. Wokół panował spokój, peron był mały, nikogo. Byliśmy razem, sami w nocy, i właśnie wyrwaliśmy się z pułapki, czego więcej chcesz?

Co tu masz? zainteresowała się siostra.

Nie wypuściłem z ręki reklamówki, niesamowite!

Sięgnąłem do kieszeni i znalazłem w niej papierosy, ale clea, cudowne clea. Ostrożnie zapaliłem jednego i na twarzy rozlał mi się uśmiech.

Siostro, tak, teraz jesteśmy w rzeczywistości, siądźmy na chwilę.

Jeszcze jedno... dlaczego chciał mnie zastrzelić, to wiemy oboje, ale dlaczego ciebie chciał udusić? Nie powiesz mi?

Wzdrygnąłem się.

Jeszcze poczekamy, co?

Jak chcesz. Ja ci wierzę. I chyba wiem. Nie gniewaj się, ale dziewczyna, która mnie obejmowała, w nocy po tym... mówiłaś, że ją znasz. Kochałaś ją?

Tak.

To była ona? siostra wypuściła pytanie wraz z oddechem.

Zostaw mnie.

Ja cię nigdy nie opuszczę.

Siedzieliśmy oparci o odrapaną ścianę poczekalni, poskramiając pragnienie i pałac. Piwo było prawdziwe. Czarna oznajmiła, że jeśli nawet jest czarodziejskie, ma to gdzieś, i tak piła już rozmaite świństwa. Miałem wrażenie, że mnie też nie zaszkodzi. Poza tym płaciłem normalnymi pieniędzmi, a jakaś logika chyba jeszcze obowiązuje! Siostra gorliwie potakiwała. Dla pewności kilka razy pocałowaliśmy się pożądliwie i namiętnie. Potem delikatnie i czule. Błędziliśmy rękami po swoich ciałach. To też działało. Czekaj... a mamy forse? Muszę kupić sobie jakieś buty, w tych już się nie da. Zdjęła je. Obszukaliśmy się. Prawie nic, parę tysięcy, starczy na jakieś dwa obiady. Ale praskie. Tutaj na więcej. Jakies tenisówki gdzieś ci świsnę albo pojedziemy autostopem, albo na gapę, albo wymyślimy coś innego, pocieszałem ją. Sięgnąłem do kieszeni, gdzie schowałem bilety, które sprzedał mi błady Asasello. W kieszeni były dwa suche liście, rozpadały mi się w palcach. Z pewną obawą spojrzeliśmy na puste butelki. Ale co tam!

Nagle złamała się wpół i zaczęła się wić, szybko opadłem na ziemię i dotknąłem jej... ale ona ryczała ze śmiechu... bracie... lepiej nie podnoś głowy... podniosłem głowę, wisiała tam tablica, a na niej napisane było: Ušanica. Ja się nie śmiałem, strasznie kłąłem.

Zapaliliśmy kolejnego clea.

Może coś stąd pojedzie?

Siostra znowu zaczęła się wić.

Zrozum... tutaj... wsiądę do pociągu... co najwyżej razem z bandą zakonnic... przynajmniej... nie będą się... mną interesować!

Zacząłem się zastanawiać, jak długo będzie się śmiała.

Mam pomysł, siostro, zdrzemniemy się tutaj, a jak się trochę rozjaśni, zobaczymy więcej.

Tak... wiesz, co mi przychodzi do głowy, ty masz takie sny, nie boisz się spać?

Jasne, to mój problem od wczesnego dzieciństwa, dlatego muszę w dzień szaleć. Dobrze usypiam po wypiciu. Pewna znana szamanka, której zwierzyłem swoje obawy, że za dużo piję, parę razy mnie wysłuchała, a potem poszliśmy na wódkę. Powiedziała mi, żebym pił dalej, że w ten sposób przynajmniej przyhamuję swoje szaleństwo. Ale mówię teraz o starym czasie. Z tobą, najmilsza, wygląda to inaczej. Jest mi znacznie lepiej i jestem spokojniejszy!

Może... od kochania się?

Na pewno. I od wszystkiego.

Tak. Odkąd jesteśmy razem, wszystko jest łatwiejsze.

Nagle znowu złamała się w pół ze śmiechu i chichotała, i ryczała. Tym razem nie rozumiałem dlaczego i starałem się zasnąć.

Obudziłem się... i patrzyłem prosto na... przyszło mi do głowy słowo janowiec albo niecierń purpurochmurowiec, albo skarbiec krzewu różanego... było to miłe i znane, dmuchnąłem, leciutkie drgnięcie przebiegło przez ten orgiastyczny krajobraz snu... wyostrzyłem wzrok, było to ucho siostry, włożyłem w nie czubek języka, podskoczyła... ach, to ty? No to lepiej mów od razu... co ci się śniło?

Tym razem nie chciało mi się nic wymyślać.

Nic. Absolutnie nic! A tobie?

Nie powiem, zaczerwieniła się.

Szliśmy uliczką, a potem ulicami. Ot tak, żeby się rozejrzeć. Pusto, wałęsaliśmy się od rogu do rogu. Badaliśmy sytuację. Czytaliśmy poobrywane afisze zeszłorocznych zabaw. Okna. Za niektórymi były rodzinne kłamoty, często widzieliśmy zarysy mebli. I ludzi. Czasem nic. W górze takie samo niebo, na dole strużki brudnej cieczy. W kinie grali: *Motorowa piła*. Odcyfrowaliśmy to, obrazki były nieodgadnione. Tam, gdzie kończył się chodnik, znaleźliśmy skwerek z jakimś pomniczkiem. Usiądź, powiedziała siostra koło ławki, coś ci powiem.

Nie będzie ci się to chyba podobać. Ja mam czasem sny... o kimś. Bardzo go lubię, czuję się z nim bezpieczna i dosyć szczęśliwa. Lepiej to z siebie wyrzucę: ten facet mnie myje. Ja jestem w wannie, a on na mnie chlapie wodą i myje mnie mydłem, i dotyka mnie. Jest delikatny, ale silny. I wiem, że przedtem byłam bardzo... brudna. Gniewasz się?

Nie, wcale nie! Może się zdziwisz, ale nie! Widzisz jego twarz?

Nie, mam zamknięte oczy i nie mogę ich otworzyć. Potem ktoś tam przychodzi, ktoś zły, i ten facet go przegania. Tylko słowami. Ten sen się powtarza. Nie gniewaj się, ale może kiedy dowiem się, kto to taki... będę chciała być z nim.

Patrzyła na mnie ukosem. Widziała, że się uśmiecham.

To ci nie przeszkadza?

Nie! Chodź, idziemy dalej.

Koło jakiegoś domu, gdzie był sklep z czymś tam, ale nie spożywczym, stał autobus. Kierowca zapalał motor. Mały grubawy gość w okularach. Wskoczyliśmy do środka, było nam wszystko jedno, dokąd autobus jedzie, byle dalej... jak najdalej stąd. Siedzenia miał tylko z przodu, poza tym było tam pusto, kilka skrzyń. Gdyby chciał nas wyrzucić, chyba wyjąłbym gnata. Uśaniczy mieliśmy już po prostu powyżej uszu. Rozmowy z kierowcą zostawiłem siostrze, jest ładniejsza. Chociaż ten facet... potem zaczęło mnie to wkurzać, ona jest raczej drobna, ale kiedy wypnie piersi... oceniał ją spojrzeniem. Nie chodzi o to, że jakiś gość na nią spojrzy. I moje oczy są ożywione. Trafiają się jednak obrzydliwe handlowe spojrzenia, które od razu zastanawiają się nad ceną. Od tego pobytu w Berlinie jestem na to wrażliwy. W huku motoru nie słyszałem, o czym mówią. Powinienem był wtedy być stróżem siostry mojej.

Wróciła... wściekła, chyba więc wyjechał z jakimiś grubiaństwami. Jakżeby inaczej, dziewczyna w potrzebie.

Co to za typ?

Znasz przecież tych skurwieli... pieprzył to i owo, jasne, że tak. W dodatku jest chyba naprany. Czech.

Dokąd jedziemy?

W porządku, mówił, że jedzie przez miasto, gdzie jest węzeł kolejowy i są pociągi do Pragi, a koniec trasy ma na jakimś targu koło węgierskiej granicy, jakieś Kvasíce.

Węgierskiej? To dziwne. A jakie jest to pierwsze miasto?

Mówił, że węgierskiej, może mieszkają tam Węgrzy, nie wiem. A ten węzeł jest w Czechach! Mamy szczęście.

Jak się nazywa?

Noo, powiedziała siostra cicho... jakieś Bezbožice.

Wobec tego w żadnym razie. Zwariowałaś? To jasne jak słońce! Tam chce nas zawieźć, spadamy...

Spoko. Daj se siana.

Złapała mnie za rękę, co pomogło.

No więc jedziemy do tych Kvasic czy jak to się nazywa. Ma tam jakiś handelek, jest tam targowisko, będzie też połączenie.

Co on sprzedaje?

Nie wiem. Nie mówił.

Ale powiedziała to jakoś dziwnie. Po chwili znowu zasnęliśmy. Autobus nas ukołysał. A krajobraz dookoła był pusty, zauważyłem to w krótkiej chwili, kiedy nie spałem. Pole. Tu i ówdzie jakaś droga. I od czasu do czasu kukła na kiju, do płoszenia ptaków.

Wstawajcie, dzieciaki, jest już wieczór! Facet stał przed nami, na koszuli miał kręgi potu, kołysał się, robił dużo hałasu, błazen, nie był pociągający.

Bracie, powiedziała siostra ze zdziwieniem, on mnie dotyka!

Facet zdjął łapkę z jej piersi, zrobił figlarną minę i mówi: ho, ho! Wyspany? Ja jestem Pepek, a wy jesteście w moim salonie jedyną menażerią, za chwilę pójdziemy coś zjeść, bando! I pogadamy.

Nie wierzyłem własnym oczom, dotknął uda Czarnej.

Siostro... to samobójca, wykrztusiłem.

Więc jesteście rodzeństwem! Od razu poznałem, proszę ze mną na słówko, panie... wy dwoje dajecie dyla, dwoje dylarzy! Wy dwoje... czym jesteście? Narkomanami? Czy może coś zwędziliście? Siadaj! Ta jego łapka miała w sobie nieoczekiwaną siłę. Trzymał mi ją na ramieniu i chociaż teraz leżała na nim bezwładnie jak... zdechła ryba... to przecież trzymał. Już teraz za drogę winni mi jesteście sporo kasy, ale nie chcę żadnych horrorów, ta młoda to piękny kąsek. Niby w porównaniu z tym, co jest dokoła. Chodź pan ze mną i dogadamy się, graba.

Czego pan chce?

No, panienska wie. Nie jest takim śpiochem jak ktoś tutaj. Jakiś wspaniały braciszek! To pełna życia dziewczyna, ani słowa. Za tydzień będziecie mieli forsę na podróż dookoła świata! A jej wystarczy prysznic. Znasz to, nie... przychodzi baba do lekarza...

Znamy, znamy.

No to jedziemy. Na hamulec i poślizg, pisk szybkich kół... cha, cha, cha!

Nasz kierowca siadł za kierownicą. Czarna przez cały czas milczała.

Powiedz mi, co jest grane... Założę się, że gdybyś tu miała swoje czarne okulary, tobyś je teraz włożyła. Co z nim wypychiłaś, kiedy spałem?

Nic, nie szalej! To bydlę... chce, żeby się z nim przespała czy coś takiego.

Chcieć to sobie może, ja mu się nie dziwię, każdy by chciał, z tobą... jesteś przecież wspaniałym kąskiem, chociaż... no, nie mamy już siedemnastu lat, siostro!

To dopiero skarb, ten twój braciszek, ciągle by chrapał, a może go zaczarowałaś, chodź no tu, bródko... zerwałem się z miejsca, a facet opuścił rękę. Nie byliśmy już w autobusie sami. Na drugim miejscu siedziała jakaś kobieta. To jest Vlasta, przedstawił ją Pepek, teraz pojedziecie razem, a za godzinę jesteśmy na miejscu.

Czarna, dlaczego ja ciągle śpię?

Mnie zawsze mówiłeś, że sypiasz mało.

Może jest mi z tobą dobrze i to dlatego. Albo złapałem jakiegoś wirusa.

Chyba nie, musimy gdzieś się dostać. Gdzie indziej.

Jesteśmy gdzie indziej.

Vlasta przysiadła się do nas, było jasne, kim jest. Ale wydawała się całkiem miła.

Jak was Pepan znalazł? Ile masz lat, ty jesteś młodziutka, skąd jesteś?

Czarna coś jej powiedziała.

To będziesz pracować dla Vandasa?

Potem nas oświeciła. Vandas był Grekiem albo Węgrem i czymś w rodzaju władcy targowiska, miejscowym szefuńciem. Chyba prawdziwą małą. Vlasta bez przerwy o nim gadała, najwyraźniej go ubóstwiała. Ja jej prawie nie słuchałem, znowu zacząłem drzemać, wiedziałem, że Czarna nastawia ucha, więc gdyby jakaś informacja...

NA TARGOWISKU. BAR SZPINAKOWY. UŚMIECHNĘŁA SIĘ. STANIE
SIĘ TO. I IDĘ. MAM PIEŚŃ. ZIEMIA SIĘ ZATRZĘŚŁA.

Targowisko było za miastem. Ale. Było to targowisko mętów, Berlun w porównaniu z tym był czymś z Kudamem. Czymś. Tu panował rozwirowany chaos, tu była protoplazma, z której tu i ówdzie wyglądała jakaś, na ogół dość potworna, gęba. To było coś jeszcze niegotowego, coś, co znika w momencie swojego poczęcia. Anomalia. Tego, co widziałem, nie było jeszcze na żadnych zdjęciach. I nie będzie. No, może na jakichś zwojach skądś z Chin, ale tutaj ludzie byli mieszaniną. Już tego wszystkiego nie ma, jest tylko w mojej myśli, a tam obrazy nachodzą na siebie szybko. Z tych ludzi wielu już na pewno nie żyje. Nie ci, którym mogłoby być gorzej. Ci, którzy zarobili i utrzymali swoją pozycję, są gdzie indziej.

Niedawno kartkowałem „Światowy rocznik magnatów”. Był tam facet bardzo podobny do Vandasa. Przekazał czek na cele dobroczynne. Uchwycili go przy tym lampą błyskową. Stał w papierowej wieczności ze słynnymi luminarzami życia politycznego, towarzyskiego i kulturalnego jednego z głównych narodów.

Nie, to nie był Berlun ani Perła. Na najniższym ekranie mojej świadomości pojawiały się szpiczaste skórzane czapy, świst strzał, ten mętny obraz najeźdźcy, mam go w komórkach, tak jak zdegenerowane miejskie psy mają w komórkach wilcze wycie.

W oddali w niemal czystym powietrzu leżało miasteczko, którego nie chciałem sobie wyobrazić, wystarczyła straż przednia osiedli, a w innej dali, bo tam, gdzie stoję, niemal zawsze rozpoławia się wszechświat, rozciągała się równina, może step, może puszcza, czy ja wiem. Niewątpliwie byliśmy koło jakiejś granicy. To było dno. Klębiła się tu mieszanina, fusy Europy Wschodniej, głównie rosyjscy, polscy i rumuńscy handlarze.

Ale tacy, którzy nie mogli się dostać gdzie indziej. Chodziliśmy z Czarną pośród straganów, większość rzeczy leżała na derkach, w pudełkach po butach, w skrzynkach po warzywach, na plastiku. Przechodziliśmy od szczoteczki do zębów ku bagnetom. Ech, siostró, koło czego chodzili Adam i Ewa, tam, w Edenie? Szemrzące potoczki, wierzby, przyjazne małpy, jabłka... nie bierz tego jako wymówki, siostró, absolutnie nie! Już to przełknąłem. Taa, powiedziała siostra. Oferowali sporo rzeczy z magazynów armii radzieckiej. Jak szalony sen drobnego szmaciarza walały się tu żołnierskie plecaki, poszczególne części mundurów, któż by to w tym kraju włożył na siebie, ludzie chcą przecież żyć, zdziwiłem się. Niektóre mundury były brudne, to nie był praski most, chyba mieli to dla strachów na wróble. Zainteresowała mnie zielona waga z napisem Wojennyj Okrug Wtoroj Armii, co na niej wazono, w jakiejś kuchni wymierzała michom dzienną dawkę na gówna, na przeżycie, michy były tu także, niektóre niewątpliwie pochodziły z więzienia, i mnie z takich kiedyś herbata i sosy kapały na ręce przez dziurki w ściankach, a niekiedy na dole pojawiał się napis *Karta 77* albo *Chce mi się pierdolić*, albo *Ale żarcie!*, dno zawsze jeszcze kryje jakąś niespodziankę, żeby Ciemny się nie nudził. Bagnety mieli skromnie ukryte pod derką, one w odróżnieniu od wojskowych budzików i aparatów fotograficznych marki Zenit zachowały blask i wyglądały na możliwe do użycia.

Słuchaj, Czarna, taki aparat miał kiedyś pewien mój kolega ze szkoły. Podczas lekcji PO naszą klasę, tylko chłopców, zaprowadzili kiedyś do piwnicy szkoły na targu Świętego Gawła, była tam strzelnica z materacy i kawałków drewna, strzelaliśmy do tarczy, a kiedy instruktor gdzieś poszedł, posadziliśmy na konia, taki przyrząd gimnastyczny, znasz to?... wielką lałę z bakelitu, ktoś ukradł ją na podwórku córeczce woźnego, ją zostawiliśmy w spokoju. Koledzy wetknęli bakelitowe nogi w kolorze mięsa, muszę to tak powiedzieć, w

uchwyty konia. Trafianie w nią było znacznie zabawniejsze niż w papierowe tarcze. Trafiłem dwa razy, raz w brzuch, raz w oko. Rozwaliliśmy ją na drobne kawałki. Dobrze strzelał Bajza, Hála też, pamiętam. Potem Szczęściarz zrobił nam ze sztucznym truposzem, tą tarczą, zdjęcie, właśnie tym zenitem. Zarobił krocie, mówię ci, każdy chciał mieć fotkę. Chłopcy robią takie rzeczy, myślę, że to nic nie znaczy. A może tak?

Ty nie wiesz, co robią dziewczynki.

Tego zdjęcia mogę poszukać na Gazowniczej, gdzieś je mam. Chcesz zobaczyć, jak wyglądałem, kiedy miałem dziewięć lat?

Nie, chyba nie.

Wyobraź sobie, że byłem dosyć chudy.

Tak, to możliwe. Ludzie się zmieniają.

W wieku dojrzewania zacząłem więcej jeść i chodzić z dziewczynami.

Musiały być tobą porażone.

Oglądaliśmy sobie ten nędzny jarmark... rzucaliśmy okiem na podkoszulki z Rambo i na różne małe ostre psiska, które w tym kurzu wszystkim włożyły pod nogi. Nad targiem dominował wielki namiot... brudny, innego słowa no to nie ma. W namiocie tym były skrzynie z mnóstwem towarów, piętrzyły się tam rozmaite szminki, drobiazgi dziesiątej klasy, bubki, klipsy, pupetki i szampony, grzebały w tym na ogół kobiety. Z drugiej strony był wielki interesujący kocioł, pod nim ognisko... chyba dlatego interesujący, że przypominał mi odwrócony dzwon... podszedłem... gulasz? wrzasnął wielki tłusty facet, był spocony, a na kałdunie miał niewiarygodnie obrzydliwy fartuch... kiedy jednak zobaczyłem ciekawą mieszaninę, z której biło falami gorąco, nie oparłem się... facet stał i gapił mi się przez ramię... na Czarną... jeden gulasz, ed' gulasz, człowieku, przypomniałem mu o kliencie... nem, dwa, powiedział, dla was dwa, kete... wrzucił porcje do misek i przyniósł je nam na deskę, która była oparta o dwie beczki, Czarna z zainteresowaniem podeszła bliżej... wiesz, jak się po węgiersku powie Czarna? spytała mnie moja miła, kiedy skończyliśmy jeść... nie, lepiej nie mów... Fekete, pięknie, nie? Fantastycznie. Patrz, te papryki są jak pięść, pokazałem jej, spróbowałbym...

Chcesz? spytał mnie ten sprzedawca gulaszu i nie spuszczał oczu z Czarnej.

Nie, odpowiedziałem także za siostrę.

W jednej z części namiotu jakiś facio miał punkt sprzedaży warzyw, były kolorowe, duże i małe, chaotycznie porozrzucane. Wałęsaliśmy się tu i tam po całym targu i oglądaliśmy różne osobliwości i ozdóbki, była to w gruncie rzeczy wyprzedaż najokropniejszego badziewia... to wszystko zniknie, Czarna. W innym kraju puściliby na to tylko koparkę... zauważyłem całe komplety popielniczek, wszystkie były takie same i był na nich napis *Mitropa*... na końcu jakiegoś ciągu handlowego stało kilka bryk, stare żelastwo marki Pobjeda, był tam trabant i jeden czeski wóz, który nazywam koma... brodziliśmy w piasku i kurzu, obserwowaliśmy ludzi i to, co sprzedawali, koło pewnego straganu z czerwonym winem musiałem się wesprzeć na siostrzyczce... Czarna, możesz się ze mnie śmiać, ale ja jestem wzruszony, rzuć okiem na te figurki, na jelenie, jak się kruszą, i patrz, te gromady leninów, nie, patrz no, jezusmaria! Nie rycz, bo ci to kupię, ostrzegła mnie... zobaczyłem chyba ze sto kufli z portretem J. Sz... jestem rozczulony jak stara kurwa, drżą mi wnętrzności, patrz, Czarna, czegoś takiego już nigdy nie zobaczymy, to wszystko zniknie, wyprzedaż... przecież to są okropieństwa... jasne, ale widziałem to przez całe życie, ty też, a teraz już tego nie będzie... patrz no... na jednym ze straganów mieli szkolne mapy i plansze, poznałem pterodaktyla... chyba okradli szkołę... dlaczego szkoły nie mają pieniędzy, wszyscy handlują... nie chcesz tej wypchanej łasicy, a może to kuna? Motyle! Jeżozwierzak... siostró, wiem, to jest wstrętne, a wielu tych ludzi to tępi zasmarkani złodzieje, ale poczekaj, aż to przeorają reklamy... chlapniemy jeszcze butelkę, ja tego nie wytrzymam, kręci mi się w głowie... podszedłem do jednego ze straganów i sprzedałem tam kataną, była dosyć poszarpana, ale

częściowo ze skóry, sprawiłem sobie górę od dresu i od razu stało mi się przy straganie lepiej, nie wyróżniałem się... Słuchaj, bracie, mam wrażenie, że tam jest jakiś prawienormalny bar, chodź tam na chwilę, muszę się trochę umyć... uznałem, że lepiej zdjąć bluzę od dresu. Jakbym się znalazł na innej planecie. Czysto i pusto. Ale kelnerzy czujnie się zerwali, kiedy tylko skrzypnęły drzwi. Czarna kiwnęła im z gracją głową, a ja byłem wdzięczny losowi za swoje zdrowe DISCO SUPER, które bez przerwy płonęło mi na piersi. Coś zamówiłem, chyba wino, i przez szklaną taflę obserwowałem owadzie rojenie się targu, tutaj kupcy nie chodzili, to miejsce, umieszczone strategicznie przy szosie, było chyba tylko dla turystów, ci goście usadowili się tu odpowiednio wcześniej. Może sami się obawiają, że trochę zbyt wcześnie. Kelnerzy mówili po niemiecku, spróbowałem tego i roztajali. Germany? mówiłem, żeby rozmowa szła dalej, i: Ich bin turist... aus Nederland! Austria! uklonił się z wdziękiem kelner. Pizza szpinakowa, przeczytałem z jadłospisu, cwaj mai bite. Ja. Zaskoczę swoją piękną, nie możemy tylko popijać... takiej jeszcze nie jadłam, to będą... to morski szpinak? W swoich podróżach na nic takiego nie natrafiłem, ale może są to algi... z Morza Sargassowego. Z Morza Martwego... ługowane solą, mam pragnienie, powiedziała siostra i błysnęła wyczyszczonymi zębami. Szkło przeciął promień. Nad barem było zdjęcie weterana z mikrofonem, były tam baletnice i para jakichś aktorów. Wisiał tam także czarny Numa w rękawicach i uśmiechał się do nas przez ochraniacze na kły. I powiedziałem jej to. Wszystko. Powiedziałem jej, co się stało z Psicą. Nie wiem, czy byłem tak szaleńczo odważny, czy tak tchórzliwy, że nie chciałem już tego nosić sam.

Przestaliśmy jeść. Wlepiała wzrok w papierowe serwetki. Po chwili podszedł kelner. Szmelc gut? Ja, natürlich. Siostra wyciągała widelcem szpinak z ciasta i powiedziała: Tego szpinaku nie zapomnę. A potem uśmiechnęła się do mnie.

Nie pamiętam, jak stamtąd odeszliśmy. Miałem ten uśmiech w sobie. Na zewnątrz się ochłodziło, włożyłem bluzę od dresu. Przez szkło dostrzegłem kelnera. Czarna zamachała do niego. Zostawiliśmy tam całą forszę. Ta szpinakowa pizza była droga.

A potem... ciągle gadałem, sporo wypiliśmy... Czarna chciała iść do miasta, wynieść się stąd... przekonałem ją, żeby zostać, obserwować życie... w kilku miejscach płonął ogień, niektórzy handlarze najwyraźniej tu nocowali. Przy jednym z ogni dostrzegliśmy Pępka i Vlastę, jedynych znajomych. Mieli śliwownicę. Przysiedliśmy się. Trzymaliśmy się za ręce.

Rano zerwaliśmy się gwałtownie, niemal natychmiast przytomniejąc. Byliśmy w autobusie, owinięci kocem. Ale wewnątrz wozu wyglądało inaczej, było podzielone ścianką ze sklejki, w jednej części leżał włosiany materac. Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, dosyć otepliali, zobaczyliśmy, że autobus został ozdobiony kawałkiem dykty z napisem *Salon masażu*, była na nim namalowana... ośmiornica z Věstonic, zażartowałem... ale nie było mi do śmiechu. Schodki autobusu chłodziły nogi. Autobusów było tam więcej, przeważnie pełnych towaru. Tu i ówdzie przecierał oczy jakiś brudas i zabierał się do śniadania. Na kacu... wałęsaliśmy się po ożywającym targu... patrzyłem, czy gdzieś tam nie leży jakiś pomidor, przynajmniej... siostró, to straszne, wybacź, mea culpa. Co? No, jeśli już to wszystko sobie obejrzałeś i pożegnałeś się, moglibyśmy ruszyć... chyba autostopem, ta twoja nowa kurtka, strojniś z ciebie! Noo, noo, proszę, już się wypali, żuczek z... motylką, chodźcie na kawkę, musicie się posilić, żadnego poszczenia! Był to Pepek, siedział w namiocie i machał. Wszedłem tam pierwszy, no, pożegnamy się... z alfonsem. Vlasta siedziała tam również. W jej twarzy widziałem naprawdę niszczycielskie efekty minionej nocy. Właśnie zakrywała je szminkami. Ile ty właściwie masz lat? syknąłem do Czarnej w naszym języku. Już dwadzieścia sześć, dłaczego? Wyglądasz na młodszą, siostró. A ty ile masz? Też tyle, skłamałem. Jestem chyba infantylny, włóczykij i tak dalej. Smutno mi. Tak, powiedziała Czarna, ale ta kawa jest dobra. Pan Vandas pyta was, Pepek wskazał tłuściocha, który poprzedniego dnia podał nam gulasz... więc to jest szef, wytrzeszcza świńskie gały na moją dziewczynę... jakim językiem

mówicie. Tylko się tak wygłupiamy, powiedziała Czarna i sączyła kawę. Tak w ogóle mówimy normalnie, po czesku.

A potem się zaczęło. Coś mi się stało. Jakbym upadł. Przez cały dzień biegałem w tym wirze i szumie i właściwie wlokłem za sobą Czarną. Miała do mnie cierpliwość, no, w końcu jestem dosyć dowcipny. Poza tym ten ranek, kiedy piliśmy kawę... Pepek raczej żartem proponował jej pracę, a Vlasta kiwała głową... do namiotu weszli dwaj gliniarze, oblał mnie pot, rozsiedli się koło Vandasa i wzięli sobie kawy, gadali ze sobą, Morawianie ze Słowacka... Pepek ciągnął mnie za rękaw, mrugał znacząco, wystawiał język i dowcipkował, chcesz się zapoznać? To największe dwie świny wśród żandarmów na całym świecie, możesz być pewien... z entuzjazmem opowiadał niewiarygodne historyjki związane z zawrotną karierą Vandasa... otwarcie szefa targowiska podziwiał... i możesz być pewien, że siedzisz tu obok dzięki mnie... no, także swojej siostrze, he, jest chuda, ale cyce ma dobre... zamknij się, powiedziałem raczej ze zdziwieniem niż czymkolwiek innym... tak się przecież mówi między facetami, powiedział Pepek i lekko się cofnął... ale gówno... no, to już lepiej... jak ci mówię, ci gliniarze to prawdziwe psy i szczekają, jak im Vandas każe, kapujesz? To zrozumiałem, siostra też.

Vandas, Vandas. Gulasz robił sam i sam go sprzedawał. Chyba go to bawiło. Krajać mięso. Miał wokół siebie kilku gburów, dlatego znosił Pępka, nie pojmuję. To Vandas pobierał tu podatki. Działał też jako sąd pojednawczy. On decydował, kto i gdzie wystawi swój stragan. On decydował, kto tak, a kto już nie, kto zacznie, a kto skończył.

Jakie stosunki łączą go z miejscowymi gliniarzami, zrozumieliśmy z siostrą aż za dobrze. Może dlatego nie śpieszyła się i pozwoliła mi wygłupiać się na targu. Było to naprawdę coś w rodzaju upadku. Po południu już znowu byłem pijany. W euforii wymieniłem swoje spodnie, razem z paskiem, na wojskowe. Dali mi też trochę pieniędzy, transakcja trwała pół godziny, a mnie i małego Azjatę chyba bardziej niż biznes zadowoliła wymiana słów. Kiedy się przebierałem gdzieś za budą, cieszyłem się na to, jak Czarną przestraszę, i o mało nie wypadł mi pistolet. Nic łatwiejszego niż kupić sobie kaburę, mamrotałem, tuzin rodzajów... ale kupiłem sobie kolejną flaszkę. Spodnie były na mnie za duże.

Zawierałem przyjaźnie przy straganach i chełpiłem się... w kurzu. Słuchałem. Dowiedziałem się m.in., że śmierć to po albańsku „vdakja”, a więzienie „burg”. Pierwsze brzmi aż nazbyt słowiańsko, a przy tym drugim mózg ratuje się, wyrzucając na brzeg przysmaki z McDonalda, czy to coś znaczy? Uznałem, że tak. Najwięcej się opowiadało przy straganie z wodami kolońskimi. Te buteleczki musiały być kradzione, jeśli się myślę, w nic już nie uwierzę. Ale nie świsnęli ich w Kolonii. To jakaś fabryczka chemiczna w sąsiedztwie rozpylała swoje kwiaty. Dlaczego najwięksi opowiadacze i łgarze schodzili się w pobliżu zapachów, tego nie wiem. Może za względu na tą Albanę. Pokazałem ją Czarnej. Jakoś tak wyglądałaś dziesięć lat temu! Wiesz, że na mnie ciągle popatrywała? Siedzi i popatruje... No, nadymałem się. Chodziłem w kurzu tu i tam. Ale potem, kiedy się zbliżyliśmy, mówiła, że nie wiedziała, czy nie jestem kobietą... jeszcze nie widziała nikogo z takimi włosami... telewizji nie mieli, w górach nie było gdzie wbić anteny, twarde podłoże. Ten facet to nie jest jej ojciec, żyje z nią. A ten, wczoraj mi mówił, że jest synem generała Rodinicza, pieprzy. A ten wczoraj twierdził, że ma farmę w Australii... A ta Cyganka przepowiada przyszłość. Wiesz, siostrzo, co mi powiedziała?! Co to masz za spodnie, zusmaria! No co... zawiąłem nogawki, są na mnie za duże. Wiesz, dlaczego ciągle kłamię? Żeby kiedyś mogli raz powiedzieć prawdę. Musisz ciągle kłamać, a potem, kiedy wreszcie odkryjesz karty, nikt tego nie zauważy. Ale ty wyrzucisz to z siebie i ulży ci. Tyle o opowiadaczach, siostrzyczko! Szkoda, że stary Homer już nie żyje, chociaż nie, dzisiaj załapałby robotę najwyższej w montażowni...

Pamiętam, że jeszcze z Czarną widzieliśmy, jak przygnali konie. Dla Vandasa. Wieczorem stado znikło. Jeźdźcami byli w większości Cyganie. Potem dni zaczęły przede mną

przemykać. Pewnego wieczoru biłem się z kimś przy ogniu. Ale głównie turlaliśmy się po ziemi. Niedługo nas to bawiło. Przestraszyłem się, że mi ją ukradł. Na szczęście w nocy wróciłem na to miejsce i pukawkę znalazłem.

Coś ci jest, powiedziała Czarna, kiedy usadowiliśmy się obok siebie w autobusie. Peppek i Vlasta chrapali na materacu.

Nie wiem, Czarna, co się dzieje, po prostu chcę, ale nie mogę. To podobno normalne. On nie chce!

Jesteś strasznie uchłany. Inaczej niż kiedy indziej. Niż ze mną. Brakuje ci radości.

Wiesz, co dzisiaj, Czarna, widziałem? Mają tu biggeta, urządzają walki... koło tamtej chałupy mają ziemiankę i puszczają mu szczury. Wygrałem trzy stowy. To było wstrętne, jak je pożerał. Niesamowite. Myślałem, że je tylko zagryzie, ale on je pożera, nie przypuszczałem. Cholera wie, jaki to gatunek szczurów.

Mój miły... opamiętaj się, musimy pryskać, chodź, pójdziemy zaraz. Jesteś... wybacz, nie pachniesz różami.

Tak, to z tego kurzu. Czarna, tego już nigdy nie zobaczymy, wszystko zniknie.

Ale przecież to jest obrzydliwe.

Ale ty jesteś piękna. Kobiety w porównaniu z tobą to nie kobiety.

Są zaharowane, gdybym żyła tak jak one, tobyś zobaczył! Chodź, idziemy.

Poczekaj do rana, naprawdę dziwnie się czuję.

Tylko że rano... rano Czarna sprzedała swoją kurtkę... potem ją zobaczyłem, skrobała razem z Vlastą stopy ziemniaków na gulasz. A Vlasta! Kilka razy widziałem w dzień kolejkę do tego autobusu, chłopcy gadali, palili i czekali... był to hit targu, ten Salon masażu. Raz stałem tam i przyszło mi do głowy, że gdyby Czarna... mówił, że po tygodniu mielibyśmy na podróż dookoła świata, ale takie świństwo... A w dodatku tu żadnego prysznicza nie było, tylko szaflik... to już wolałbym tam pójść zamiast niej... to trochę za dużo.

Czarna! Ciągle cię zanudza? Przewróciła się z boku na bok obok mnie.

Kto?

Peppek. Żebyś robiła to co Vlasta.

Głupi jesteś. Wyrzeźwiej, zresztą nawet nie musisz, i idziemy.

Jaka jest ta Vlasta?

Całkiem fajna. Ale zniszczona. Czasem mi powtarza, żebym to wzięła, że to nic takiego, czasem mówi, żebym jak najszybciej stąd przyskała. Mówi, że od gumy cierpną jej zęby. Powiedziała mi też, wiesz co? Że niektórzy z tych facetów nie widzieli nagiej kobiety! Ci ze wsi, górale, że podobno tylko po ciemku. Więc szaleją na jej punkcie. Ale z kolei niektórzy, wyobraź sobie... niektórzy na stare lata po raz pierwszy w życiu widzieli teraz gdzieś porno i myślą, że tylko tak to się robi... skoro to jest drukowane!

Jak się spiknęła z tym Pepkiem?

Nie wiem, to chyba jacyś krewni. Ale jest dobra, tylko głupia.

Są małżeństwem?

Nie wiem.

Ostrzyż mnie.

Naprawdę chcesz? Dlaczego?

Nie wiem. Po prostu chcę.

Pożyczyła od Vlasty nożyczki i ostrzygła mnie. Byłem bardziej nagi, dziwne uczucie, rano skołowałem czapkę. Płaską.

Przynajmniej nie będziesz miał wszy. Nigdy nie widziałam tak twojej głowy.

Podoba ci się?

Jest twoja.

Czarna, przecież to tylko przebranie, przecież głupiejemy. Jutro... pójdziemy na szosę.

Ale w tych szmatach, które mieliśmy na sobie, i tak nie mieliśmy szansy na autostop. Włosy spaliłem.

Czarna zaczęła pracować w kuchni, w namiocie. Zaraz się dowiedziałem. Vandas gdzieś zniknął, chyba w sprawach handlowych. On jej pragnął, to było widać. Peppek miał oko na klientów, pił, kłócił się z Vlastą, a w wolnych chwilach czatował przy Szpinakowym, a kiedy pojawiał się jakiś przyjezdny z lepszych krajów, żebrał. Swoją piosnkę, że jest przedsiębiorcą, któremu uciekł pociąg, znał w iks językach. Nakładał maskę „pocziwca z kośćcami”. Czasami rzucali mu parę fenigów. Na ogół jednak przejeżdżali dosyć szybko. Austriakom za szkłem musiało być na ich strategicznych pozycjach dosyć smutno. Europa ciągle jakoś nie może się zjednoczyć. Nie dało się liczyć eko. Szpinak pójdzie pod młotek, zrobiłem analizę ekonomiczną.

Czasem za dnia wynosili parę stolików, chodziłem tam na kawę. Kelnerzy wiedzieli już, że nie jestem żadnym Niderlanderem, ale było im to obojętne. Wiedzieli też, że nic tam nie rozwalę i że zapłacę.

Odkąd jednak powiedziałem to Czarnej, nigdy nie wszedłem do środka. Siadałem pod parasolem, piłem jedną gorącą kawę za drugą i leczyłem kaca. Miałem go bez przerwy. Kawa przywracała mnie do życia. Jeśli byłem przy forsie. Czasem coś mi wciskała Czarna, ale na ogół miałem szczęście, obstawiając biggeta. Był w tym jeden jedyny trik. Ludzie w większości wpadali tu tylko na chwilę. A mimo że większość z nich była ze wsi, nie zauważali od razu... że im więcej ich zeżre, tym bardziej leniwy się robi. Chłopi też na ogół myśleli, że szczura od razu zagryzie i weźmie się do następnego. Chociaż szczurki... rozbestiały się, kiedy tylko stwierdziły, że nie mogą uciec... gryzły go i robił się wolniejszy. Było to proste. Obstawiający, którzy widzieli to widowisko po raz pierwszy, na ogół pozwalali się wystrychnąć na dudka. Pies był bowiem na początku wściekły i szybki. A właśnie początek rozpalał niedoświadczonych graczy. Stefan, do którego psisko należało, sam się ze mną umówił. Zauważył mnie. Przyprowadzałem mu potem ludzi.

Czarna... chyba dlatego, że jej powiedziałem... trochę się przed nią wstydzilem. Wiedziałem, że musimy prysnąć, codziennie huczało mi to w mózgu. Ale póki nie było Vandasa, nie obawiałem się o nią. Możliwe też, że oboje trochę baliśmy się znowu ruszyć w drogę.

Pętałem się po targowisku i zawierałem nowe znajomości, widziałem, że mogę sprzedać pukawkę i że byłaby z tego forsa. Ale to zostawiałem sobie jako ostatnią możliwość. Jako ostatnią kulę. W pewnej mojej jasnej chwili siedzieliśmy z Czarną koło studni, która była obok Szpinakowego, i spojrzałem na siostrę... i przestraszyłem się... siostrze, ty też masz zmarszczki... koło nosa i tutaj masz siwy włos... wiem, powiedziała, od dawna, nie zauważyłaś, i co z tego?... nic, to piękne... ale... coś z nią było dziwnego, nagle zrozumiałem co... to był jej strój, ta prosta sukienka, jaką kobiety noszą... w kuchni... wszystko już sprzedała albo wymieniła... nie da się tak dalej, jesteśmy tu jak w pułapce... Czarna, sprzedam gnata i już! Pryśniemy stąd. Poklepałem Matkę Boską pod koszulą, żeby potwierdzić swoje słowa. Rozmawiałaś z Pepkiem? Tego kretyna unikam... spotkałem takiego faceta, podobno nazywa się Stefan, on ma samochód... Peppek mówił, że gliniarze o nas pytają, że jacyś tacy jak my, chłopak i dziewczyna, tu w tej okolicy ukradli benzynę, że ich szukają... no to co? Zrozum, póki jesteśmy u Vandasa, to choćbyśmy zrobili cokolwiek, chyba... ale ich szukają i gdyby nas przypadkiem gdzieś złapali, to wiesz, ty wiesz... siostrze, gdybyśmy pojechali ze Stefanem, on ma rodzinę na Węgrzech... słuchaj no, nie mamy forsy, dokumentów, nie mamy nawet na żarcie, nie wygłupiaj się! Mam pistolet. Sprzedaj go, ale uważaj. Przecież wiesz... ten Grek, czy kto to tam jest, ty wiesz to bardzo dobrze, on chce mnie zaciągnąć do łóżka, i jak się obronimy? Co ty mówisz, przecież jesteś ze mną! Gadasz głodne kawałki... ile razy byłeś ochlany albo siedziałeś ze swoimi znajomkami, a on do mnie mówił. A ilu on tu ma swoich ludzi! Wszystko może. Naprzykrzał ci się? Nie, naprawdę nie i

to mnie przeraża. On może chce czegoś więcej niż tylko się ze mną przespać i dlatego jest taki poważny. Aha, zadumałem się. A wiesz, on trzyma tego Pępka jako błazna czy coś w tym rodzaju... a wiesz, co mi powiedział? Co? Powiedział mi, że mnie podziwia, że wolę skrobać ziemniaki niż tamto, i powiedział, że gdybym tam poszła... Pepek podobno zawsze się wścieka, kiedy Vlasta ma okres, że małe obroty, tak mówi to bydłę... że gdybym tam poszła, już bym się mu nie podobała... Czarna, jestem zdumiony, zarumieniłaś się, cholera, tobie to pochlebia, to niesamowite! Słuchaj, braciszku, ta sukienka jest od niej, bo ty masz mnie gdzieś. Co? Ty w ogóle nie rozumiesz, że gdyby nie było Vandasa, nie mogłabym się sama po tym targowisku nawet przejść... a kim ja jestem, barową piosenkarką, nikim innym... a ty... kim jesteś... kochanie? Kim jesteśmy, co mamy, co my w ogóle mamy... nic. Tak to wygląda. Co ty sobie myślisz? Co myślisz o sobie... lecis w dół. Pasjonują cię szczury, kretyn. Ten Vandas jest okropny, ale to mężczyzna. Ale ty jesteś moją siostrą... Tak, jestem. Nie bój się, objąłem ją i przytuliłem, ale... zrobiłem to ostrożnie... Tak jak powiedziałem, sprzedam pukawkę, skołujemy jakieś ubranie, wsiądziemy do pociągu i za dwa dni wszystko będzie normalnie.

Ja ci nie wierzę, powiedziała. I nie mam już wiele siły. Nie mogę już tu siedzieć. Zrób coś.

Tak, zrobiłem. Poszedłem do Stefana, chcąc mu powiedzieć o pistolecie. Ale wdałem się w kłótnię z jakimś bałwanem. Pogodziliśmy się przy butelce i poszliśmy obstawiać. Ograłem go i kupiłem kolejną flaszkę. Była to wódka z czaszką na etykiecie, najdroższy alkohol, jaki tam mieli. Potem nie chciałem do niej przyjść. Spałem na dworze, tylko zajrzałem, czy jest w środku. Już leżała. Będę tu pilnować... tutaj widzę drzwi, mówiłem sobie. Księżyc odbijał się w tych metalowych schodkach i zanim zasnąłem, chłodziło mi to oczy. Rano mnie obudziła. Spotkam się z tobą w Szpinaku, powiedziała. Masz na kawę?

Tak.

Po dwóch było mi lepiej. Po trzeciej wreszcie przyszła. Wyglądała dosyć świeżo ta sukienka... właściwie jest ci w tym do twarzy. Bardzo, Czarna... chociaż, gdyby cię widziały różne twoje fankluby...

Wczoraj chciałam cię zranić... ale spałeś. Miałeś szczęście! powiedziała Czarna ze wściekłością. Nie rozumiesz, jak się o ciebie bałam, gdzie jesteś. Chciałam ci zabrać ten pistolet.

Sprzedam go sama.

Nie, nie, kochanie, powiedziałem. Ze mną nie wygrasz.

Ja z tobą nie chcę wygrywać, to mnie nie interesuje. Ja chcę stąd wyjechać. I to szybko. Inaczej stanie się coś złego. Czuję to.

Wstała i podeszła do studni. Dwa rudawe psiska lizały wilgotne kamienie. Spojrzały na nią nieufnie, większy się najeżył, odsłonił zęby. Sio, potworze, naleję ci, zaczęła pompować. Psy nieufnie czołgały się ku kamieniom, o które teraz rozpryskał się strumień chłodnej wody, zęby pokazały oba.

Widowisko przy wodopoju miałem codziennie, rozumiałem, że bezdomne psy, żyjące w niepewnej koegzystencji z panami targowiska, żywiące się tym, co wyżebrają, znajdują wśród śmieci albo ukradną, mają wystarczająco dużo powodów, żeby nie ufać wszystkiemu, co ludzkie. Żyły dokładnie tak samo jak handlarze, z tym wyjątkiem, że nie chlały, nie ćpały, nie paliły i w ogóle nie bluźniły, jak sądzę. Przyszło mi do głowy, że potem... będą miały większe szanse. Kiedy odjadą psim sinkanzenem. Każdy, kto mi w jakimkolwiek miejscu na naszym wspólnym świecie powie, że pies nie ma duszy, jest idiotą. Choćby nawet zajmował bardzo wysoką pozycję w swoim ziemskim Kościele. Choćby nawet miał złotą czapę i komzę po pięty, będę o nim myślał jak najgorzej.

Psi bandyci jednak mieli znikomą siłę nabywczą. To było dla nich niebezpieczne. Jeśli w ogóle wymianę kości na kopniak, kawałek łożu na uderzenie kawałkiem żwiru można nazwać handlem. Poruszali się w najniższym kręgu targu, cała sfora. Te dwa nieduże dranie

sprawiły wrażenie, że ludzkie istoty znają raczej z gorszej strony. Ze swojego stanowiska przypętał się Pepek i próbował klepnąć Czarną w tyłek, spieprzaj, powiedziała mu zirytowana. Alfons odwrócił się do psów. No to pogłaskam pieska, skoro kotek nie chce, powiedział, ale nie zrobił tego. Kundle znieruchomiły i pokazały kły. Jeszcze przez chwilę uszczęśliwiał nas swoimi gadkami, które znaliśmy już na pamięć, a potem poczłapał ku samochodowi z niemieckimi turystami. Był profesjonalistą, gdy tylko zwierzył ofiarę, jego chwiejna postać się wyprostowała, a w jego oczach i na całej pijackiej gębie jak mapa świeżo zdobytego terytorium pojawił się wyraz „nieśmiałej i chyba jakoś ujarzmionej dumy”. W wysiadających z samochodu Niemców celował chyba już od chwili, kiedy włożył dla nas maskę „dobrodusznego pijaczyny” z ręką wyciągniętą ku ciału Czarnej. Tak naprawdę nie chciał jej dotknąć, już wiedział.

Wyczekujące obok psy znowu zaczęły się czołgać, nieufnie badały przestrzeń wokół siebie, a ponieważ my siedzieliśmy bez ruchu, zabrały się do picia. Mniejszy z nich, kundel z kropkowanym nosem, miał na szyi sznurek, a pod nim małe czerwone wrzody. Chyba uważał, że należeć do kogokolwiek to absurd. Jego większy brat jedno oko miał martwe. Napiły się, a potem znowu ostrożnie, na brzuchach odczołgały się na jakiś metr od nas, dumnie się podniosły i pobiegły. Znowu zobaczyłem je dopiero po kilku minutach. Czarna odsunęła się, chlapanęła na mnie wodą. Była wkurzona. Dzisiaj zrobię coś, żeby zmienić nasz los, obiecałem sobie. Już wystarczająco dużo tych ziemniaków naskrobała. A ja... no to cześć, żegnałem się z tym zakurzonym miejscem, ze stosami badziewia, wiem, co tu się szykuje i o co chodzi. Znam to. Każdy stragan, każdą gębę mam w sobie, nic z tego. A właściwie zbyt wielu innych rzeczy nie znam. Co będę robić? Kawę Austriacy robią bez fusów, wlałem w siebie całą filiżankę i zagulgałem trochę dla zabawy. Kelner, który przez cały czas gapił się na Czarną, z obrzydzeniem odwrócił się od szyby. Kończymy pobyt tutaj, mówiłem w duchu i puściłem sobie strumień wody na twarz, z pluskiem spływała w błoto w kanale, pompa skrzypiała, to rekwiem, pomyślałem.

Nagle przygnały. Towarzyszyły im wrzaski i węgierskie przekleństwa. Mały pies pędził z przodu, większy sunął trochę spóźniony, z pyska sterczała mu ogromna marchew, w biegu się o nią potykał.

Psy ukryły się pod autobusem, poobtłukiwanym czeskim wozem. Wytrwale, ciche i przepełnione groźbą warczenie zdradzało, że nie zamierzają oddać marchwi. Autobus należał do grupy Cyganów, którzy właśnie przybyli. Z Vandasem rozmawiali po rosyjsku, zanim dołączył do nich handlarz koszykami, niewyraźna postać. Vandas chciał chyba skończyć z psami raz na zawsze. Jego namiot, wypełniony gorącym i smrodem, zapchany jedzeniem, musiał być dla psów naprawdę pociągający. Cyganie najwyraźniej twierdzili, że póki psy są pod autobusem, nikt nie będzie wokół niego robić zamieszania. Trudno powiedzieć, czy sami mieli ochotę na psią pieczonę, czy nie chcieli zadrzeć z ewentualnym właścicielem złodziejasków. Na pewno jednak nie zależało im na tym, żeby koło ich autobusu z Bóg jeden wie jakim towarem zaczęły pętać się wszystkie te indywidua, które wściekły ryk Vandasa zaczął wyciągać z bezczynności lub odrywać od biznesu... nie da się zbyt długo proponować podkoszulków z Batmanem, który lata, gdzie chce, podczas gdy nasz rodak musi w upale gapić się w jeden punkt, dłużyć w nosie, czekać na cud... i w najlepszym wypadku doczeka się jakiejś gorzały. Albo Vlasty.

Kłócić się, umawiać, kraść i handlować też nie da się przez cały dzień, a wysiłki Vandasa kazały się spodziewać, że jeśli pokona psi opór, przygotuje dla gęstniejącego tłumu ciekawe przedstawienie. Szef, zmęczony sporem z Cyganami, którzy delikatnie, ale zdecydowanie próbowali go z pomocą kilku ochoczych tłumaczy przekonać, żeby o psach zapomniał, ukląkł na ziemi. Dotykał bandziochem zakurzonej gleby i na resztę dnia kurz zlepił mu się z omastą wiecznego gulaszu i potem i okrywał brzuch jak pancierz. Z tylnej kieszeni wyłowił kawał żelaza, który z brzęknięciem, dźwięczącym jak ciche „tak”, zmienił się w

piętnastocentymetrowy nóż, zwałił się koło autobusu i zaczął pod wozem grzebać i kłuć. Sapał przy tym, ani psom, ani jemu nie chodziło już o marchew. Ludzie z targowiska towarzyszyli jego działaniom radami i kpinami w kilku językach naraz, Cyganie, którzy na widok noża trochę zmartwieli, zaczęli między sobą wymieniać wyniosłe uśmieški. Wyglądało na to, że oni raczej załatwiliby to z pieskami po dobremu, w końcu to u nich szukały azylu. Całkiem możliwe, o, całkiem możliwe, że psy rozumiały po cygańsku, w każdym razie na pewno lepiej niż Vandas, o ile Cyganie mogliby się dogadać z nimi, to z ich prześladowcą... było oczywiste, że on sam ceni ich jako potencjalnych klientów wyżej niż psy, ale za całkiem równych sobie ich nie uważa... dogadywanie się z nim utknęło w martwym punkcie. Śniadzi po prostu stali i czekali na to, co wisało w powietrzu. Chciałem wstać i odejść. Nie ruszyłem się jednak z miejsca. Vandas wrzasnął i gwałtownie wyciągnął spod autobusu pustą już rękę, z której ciurkała krew, uniósł ją do nieba i upadł na plecy, miał ją rozoraną po łokieć. Psom zostały w ich schronie marchew i nóż. Ludzie zawyli śmiechem. Jeden z psów szczeknął i wypadł pomiędzy nogi. Tłum zafalował, odezwały się nawet słabe oklaski, nogi, na które pies wściekle kłapał, usuwały mu się z drogi, unosiły się, trafiały, wirowały chmary kurzu i w końcu jakiś dobrze wymierzony kopniak zagnał psa z powrotem pod autobus. Od tych nóg był słabszy. Warcząc, wlaźł gdzieś na sam tył, nie było go widać, był to ten z nieruchomym okiem, ten większy, złodziej marchwi. Mniejszy się nie pokazywał. Vandas znowu już stał, trzymał się za rękę, którą mu, bezskutecznie, bo nie mógł wytrzymać w jednym miejscu, próbowała mokrą szmatą obwiązać jakaś kobieta, wciskał Cyganom banknoty. Zrozumiałem, że zmusza ich, żeby psa przejechali, oni mu, wzruszając ramionami, mówili: Ne ma benzina, najn gazka, nie jest petrol, pan, wyglądało na to, że wyciągają od niego forszę na kilka ładnych kilometrów zamiast tego kawałka, który wystarczyłby na psi kręgosłup.

Za Vandasem pojawił się Pepek, w rękę trzymał długi drąg, z takich, co to w niektórych porządnym gospodarstwach domowych służą do podpierania sznurów na bieliznę, a żeby je utrzymały, są na jednym końcu nabite gwoździami.

Czekałem, teraz powinien nadejść rój dobrych duchów, jakaś miłościwa księżna, z podkoszulków powinien sfrunąć do nas Rambo, powinienem sam być obdarzony siłą byka i pogardą dla śmierci, Panie, jeśli uratuję jedną psią bestię, wprawdzie odgryzie mi palec, ale z pewnością, co się tyczy karmy, wstąpię przynajmniej o jeden stopień wyżej. Ale nie podniosłem się.

Pepek zaczął regularnymi wściekłymi ruchami walić drągiem w miejscu, gdzie nikła nędzna trawa, wysuszona żarem, i zaczynała się zakurzona ziemia drogi, bił, nie wiadomo skąd ten pijaczyna brał siłę, perspektywa zacieśnienia korzystnej przyjaźni z handlarzem dodawała mu energii, bił, a warczenie zmieniło się w skowyt, w psie jęki, w nieprzerwaną litanie, zwierzęcą modlitwę w agonii, tłum koło autobusu stał cicho, czasem ktoś potrząsnął głową, syknęło splunięcie, odezwało się przekleństwo albo rada, potem Pepek wyciągnął drągiem trzęsącego się psa z rozdartym brzuchem i rozbitą głową i dobił go. Był to Jednooki. Mniejszy dostał chyba nożem. Cyganie ulegli teraz powszechnym namowom i przesunęli kawałek autobus, mniejszego kundla jednak przejechali, trudno powiedzieć, czy już wszystko miał za sobą, czy też przez chwilę czuł koła. Ciekawscy krótko omawiali dwa trupy, ogryziona marchew, długa jak tułów mniejszego psa, leżała tam również niby drwina z walki stworzeń o byt. Vandas pochylił się i wziął nóż, z brzęknięciem ulgi zniknął mu w kieszeni. Stojące dookoła cwaniaczki nagle przypomniały sobie o swoich straganach pełnych tandety, o strąkach papryki i podkoszulkach, i skarpetkach, i butelkach wódki, i zniknęły. Na drodze zostały dwa trupy, patrzyłem na pierwsze zwiadowcze loty ścierwie, na cienką smugę lśniących ciał miniaturowych mrówek, które przytomnie wyruszyły na obiecującą wyprawę po pokarm, po kęs, co nagle znalazł się na ich stole, spadł im z nieba. Pierwsze z nich brały się do oczu.

Targ za moimi plecami ożywił się, słuchałem odgłosów spod wieży Babel, nic się nie działo. Już nie. Już znowu nie. Może powinienem sobie jakąś sztuczką uprzyjemnić życie, chyba najrozsądniej byłoby wyczyścić sobie fantazję gorzałą z namiotu Vandasa. Trupy podobno potem uprzętnęli wyelegantowani kelnerzy ze Szpinakowego. Im to interesy psuło.

Siedziałem w namiocie koło Czarnej i Vlasty za górą ziemniaków. Vandas rozlewał nabierą gulasz, dzisiaj miał powodzenie. Zgłosiło się w sumie sześciu rzekomych właścicieli i chcieli za psy odszkodowania. W słowach tych chytrusów psy zmieniały się w najbardziej rasowe stworzenia, w panów psiego gatunku, w nadpsy równie wspaniałe jak ludzie. Co najmniej dwadzieścia tysięcy kosztowałby Brokula, był to legawiec irlandzki! wrzeszczał jakiś pijaczek. To jest dopiero gość, prawdziwy gladiator, zabił dwa biggety pełnej krwi, atakował go ktoś, komu gulasz smakował. Vandas z nimi nie rozmawiał. Rękę miał obwiązaną. Chyba po to, żeby nie poplamić bielutkiego bandaża, nałożył na rękę reklamówkę. Spraw gulaszu nie powierzył nikomu.

Widziałem, jak Czarna go opatrywała. Trzymał się, na czoło wystąpił mu gęsty pot. Obmyła mu ranę.

Tego nauczyłaś się u Świętego Franciszka, pomocnicza siostrze miłosierdzia? spytałem.

Po prostu to umiem. Wrzuciła ziemniak do gara i wyciągnęła rękę po następny.

Co tu masz? nachyliła się ku mnie Vlasta. To srebro.

Zostaw, nie dotykaj.

Co tak ostro, młody panie?

Uspokój się, powiedziała do mnie Czarna.

Masz jeszcze jedną skrobaczkę?

Nie.

Skoczę gdzieś po nóż i pomogę wam.

To bardzo miło z twojej strony. Ale noże są tu w namiocie.

To dobra, przyjdę za chwilę.

Ale nie przyszedłem, łąziłem gdzieś w kurzu, strzelałem kielicha i wydawało mi się zabawne zdejmować czapkę i przyczesywać palcami swojego jeża czy co to tam było.

Rano nie wstałem. W ustach miałem sucho, bolał mnie też język i był ciężki. Bolały mnie wszystkie kości. W głowie mi huczało i przenikały mnie raz mróz, raz gorąco. Leżałem w autobusie sam. Potem pojawił się Pepek, poznałem go, kopał mnie w bok. Spływaj stąd, chyba że interesuje cię Vlasta, he, he. Chciałem coś powiedzieć, ale nie mogłem ruszyć językiem. Potem przewaliła się przeze mnie czarna woda.

Braciszku, wstawaj, wstań...

Słyszałem jej głos... mów do mnie, powiedziałem... ten głos był jak wodospad, zanim do mnie doszedł, rozpadał się, zmieniał w parę, głos Czarnej, brzmiał mi w uszach. Gdzieś mnie nieśli, prowadzili.

Potem otworzyłem oczy, leżałem w namiocie Vandasa za skrzyniami. Pachniały drewnem. Otworzyłem oczy, była tam twarz, miękka, facet miał okulary.

No, wreszcie, to postawi go na nogi. Jaki tam tyfus, proszę pani. Ten język... to diabli wiedzą z czego. Ale powinien pójść do szpitala.

Potem patrzyłem na nogi, spod płachty widziałem nogi, niektóre miały na sobie ciężkie buciora, czarne buciki, prastare półbuty à la Masaryk, buty przypominające rekiny, buty rozkładane, z których sterczały ćwieki, wyłaziły dratwie, wystawały gazety, buty obtłuczone i pokryte zaschniętym błotem, z kolei do świeżego błota lepił się piasek jak miękki puder do rany, widziałem mokasyny gogusiów i pantofle w kształcie głowy psa Pifika, gumowe japonki, tenisówki, liczne sandały, czasem zamiast rzemyków były sznurki, widziałem też białe buty, wyglądało to, jakby nagie kostki przesuwwały brudne białe grudy, tyle na nich było kurzu, widziałem też bose nogi, to były dzieci, i widziałem buty z cholewami, nawet w tym upale, i buty wojskowe, a potem żółte znoszone czółenka, wszystkie te nogi gdzieś szły,

krzyżowały swoje drogi i wzbijały kurz, kasłałem i nie mogłem się poruszyć... i nie mogłem przebić się przez nie... a potem usłyszałem gdzieś koło siebie... stój, ty kurwo, i płąć, powiedz to... powiedz mi to, bo cię tak wybadam, że się zerasz... stój, kurwiczko... i ruszaj się, mój czas kosztuje, powiedz to... że jesteś kurwą... to było dziwne, bo chociaż miałem zamknięte oczy i nie mogłem ich rozkleić, to jednak pod powiekami tkwiły mi te nogi, pokryte kurzem buty i te odgłosy stosunku... chyba tu w autobusie... kiedy znowu otworzyłem oczy, na dworze było ciemno, czułem wosk w płótnie namiotu... a obok mnie leżała Czarna, spała... za skrzyniami z drugiej strony słyszałem rozmowę, grali w karty, mieli tam lampę naftową, czułem się lepiej... spróbowałem wstać, potykałem się i trzymałem się skrzyń, ale udało się... wyszedłem na zewnątrz, powoli... wysikałem się. Chyba miałem jeszcze gorączkę. Ale było mi lekko. Podobało mi się to.

Czarna... oddychała, nie poruszyła się, dłonie zaciśnięte, na ogół zrywała się, kiedy tylko jej tak dotykałem, miała lekki sen, tak jak ja. Poglądziłem ją po włosach, prześlizgiwały mi się między palcami, zauważałem te siwe, ale nie, były srebrne. Zobaczyłem, że mam długie paznokcie. Czarna, powiedziałem tchnieniem i opadłem ku jej nogom, najpierw chciałem je głaskać, bo moja siła wracała... ale nie, to nie jest właściwe, skoro tak twardo śpi... miała inne buty, swoje rockery chyba opchnęła... miała jakieś tpe buciki... sędzę, że w Pradze nie przysłoby jej nigdy do głowy, że coś takiego z frędzelkami kiedykolwiek na siebie włoży... zdjąłem to jej, nie poruszyła się, palce miała oblepione plastrami i... ona, która ciągle się myśla... ale nie wiedziała, że ja jestem tym ze snu!... miała brudne nogi, spała wbutach... powoli pocałowałem ją w duży palec, w paznokieć, były na nim ślady lakieru, cofnęła gwałtownie nogę i westchnęła... jak jakieś małe dziecko.

Vandas zostawił mnie w namiocie za skrzyniami, a Czarna nosiła mi wodę i lekarstwa. Jadłem bardzo niedużo. Parę razy przyszło mi do głowy... ale na myśl o chlaniu robiło mi się niedobrze.

Zdumiałem się, kiedy mi powiedziała, że przez trzy dni byłem nieprzytomny. Potem jakiś lekarz dał mi zastrzyk, ktoś od Vandas.

Nie będziemy o tym mówić, powiedziała Czarna, ale gdyby to trwało jeszcze trochę dłużej, musiałbyś pójść do szpitala. Teraz jesteś słaby, ale wiesz, że tu zostać nie możemy.

Czarna, jest jeszcze pewna możliwość. Mam różnych znajomych. Pojedziesz do Pragi sama i znajdziesz mojego kumpla Kocura. On da ci forszę. Znam też innych, może wystarczy, jeśli skądś zatelefonujesz.

Słuchaj, przyjacielu... ty nie rozumiesz, że jeśli odejdę, jeśli pozwolą mi odejść albo jeśli ucieknę, Vandas nie da ci tu zostać nawet godziny. A możliwe... że się rozżłości. Wiesz, co mam na myśli.

Aha. Tak.

Poczekamy, aż poczujesz się lepiej. Nic się nie da zrobić. Nie mamy innej możliwości.

Hm.

Lekarz przyszedł jeszcze raz. Była to ta miękka gęba z okularami. Nie chciał nigdzie dzwonić ani zanieść listu na pocztę, powiedział, że nie ma czasu. Wstrzyknął mi penicylinę czy coś w tym rodzaju. Nie chciał forsy. Był całkiem miły.

A tego pierwszego dnia, kiedy jako rekonwalescent przytupywałem na piasku i cieszyłem się ze swoich powolnych ruchów... i przechadzałem się... potem stanąłem przed autobusem ozdobionym dyktą i zobaczyłem, że po schodkach Salonu masażu idzie Czarna, szła do środka, szła zmęczonym krokiem innej kobiety. Odwróciła się, kiedy wypowiedziałem jej imię, a jej twarz... takiej jej nigdy nie widziałem. Ale to trwało tylko chwilę, potem się roześmiała, przywróciła twarzy kruchy wdzięk... i powiedziała: Ty nie leżysz? Co się dzieje?

Po co tam idziesz? Sprzątasz tam?

Ale już wiedziałem, nigdy się tak nie malowała. Tak używały szminek niektóre dziewczyny wtedy w Berlinie, malowały się, żeby nie było tyle widać. Niektórym klientom to się podobno nawet podobało. Nie wiesz, kto jest kim. Po prostu to robisz.

Czarna, tale nie można, złaź.

Co... mi tu będziesz! Nic nie wiesz, nie komenderuj! Ludzie czekają.

Stało tam parę typów. Sami faceci, te mordy.

Czarna! Przecież nie możesz tam, przecież możesz nawet mieć dziecko, a ja odejdę!

Ty! Znowu gadasz głupoty... co ty pieprzysz o dziecku... ty? tupnęła w stopień, ale odwróciła się do mnie.

Złaź! Ale już!

Nie wrzeszcz na mnie!

Któryś z tych facetów obok coś powiedział. Któryś splunął i zaśmiał się. Któryś mruknął: Do kolejki! Stanąłem przed nim. Tylko ruszałem rękami, coś mówiłem. Obszedł mnie. Drzwi trzasnęły, była w środku. I facet się poruszył, wchodził po schodach, szedł tam.

Odezwał się dziwny odgłos, bałem się, że to tak dźwięczy tylko w moim mózgu.

Ale nie, Peppek siedział za kierownicą, szczyrzył do mnie zęby i trąbił: tuu, tuu, widziałem, że robi to także ustami. Machał do mnie, a potem połączył ręce w znaczącym geście. Ktoś chwycił mnie za ramię, a potem twarze się rozmasały. W górze świeciło słońce. Wszystko się ze sobą stopiło.

Szedłem po grudach, było tam pole. I drut kolczasty, a za nim owce. Szedłem ku nim, ale zatrzymały mnie głosy.

Zabijemy go?

Chcesz? Ale on jest nieprzytomny.

No to poczekamy, aż się zbliży.

Były to Cienie. Ale tym razem je widziałem. Bardzo niewyraźnie, chwilami wyglądały jak kruki. Chwilami były to zarysy ciał, szli, było ich dwóch... zachowywałem się jak gdyby nigdy nic... wyciągałem drut z ogrodzenia i zwijałem go, jakbym został do tego wynajęty... szli od lewej strony, milczeli... wiedziałem, kim są Cienie... i wiedziałem, że nie wolno mi patrzeć, drut trzymałem w ręku, stąpałem ostrożnie, a w głowie dźwięczała mi nowa piosenka... nikt jej jeszcze nigdy nie słyszał... była też o starych rzeczach, które znałem.

No. Jesteśmy za nim. Odezwiész się do niego?

To nie ma sensu. Skoczysz?

Tak.

Wtedy wykonałem ruch, zgroza dodała mi sił, ciałem byłem pomiędzy nimi i chwyciłem ich, nie patrząc, miałem mocno zamknięte oczy, szarpali się, ale ich serca były małe, szybko dostrzegłem, że każde z nich zmieści się w dłoni. Umierali i syczeli jak węże, nie znali już słów. Dzioby i szpony nabiłem na drut. Bardzo chciałem podziękować za zwycięstwo, ale obawiałem się, do czego to może doprowadzić. Ciągnąłem to za sobą. Potem drut z ich szczątkami okręciłem sobie wokół szyi, bolało i musiałem zerwać z drzewa korę. Miałem szalik z kory, był szorstki i pachniał. Szedłem przez las krzywych drzew, szedłem do domu. Nie wiem jak długo. Ominąłem wieś i spałem w stogu. Chciałem iść także w nocy, ale księżyc nie świecił. Przewracałem się i potykałem. Potem zostałem w pozycji leżącej, a swoje myśli widziałem w postaci obrazów, byłem na nich z siostrą. Byliśmy na nich razem, spleceni ze sobą i nadzy, nie ruszaliśmy się. Nie było tam nawet tchu, nawet włos się nie poruszył, nic. Byliśmy tam. Kiedyś miałem zmęczone oczy i nasz obraz popękał. Ale potem zauważyłem, że jeśli kilka razy szybko poruszę powiekami, kolory obrazu się zregenerują i nasza skóra znowu będzie cała. Kiedy pojawił się księżyc, szedłem przez całą noc i znowu słyszałem pieśń... tą, którą miałem w sobie, kiedy szarpałem Cienie i nabijałem ich kawałki na drut:

*Słyszałem głos
widziałem maszyny
były tam kruki.
Dwa czarne ptaki z piórami oblizanymi przez dziwkę
syczała ślina dziwki
kapła na twardą ziemię zerwałem drut
i zabiłem je szpony i dzioby i drut
stały się naszyjnikami.
Świeciło słońce
ale była zima wojny. Miałem własną religię.
Ludzie byli pokarmem śmierci. Trzymałem ją w ręku
i głodziłem. I bałem się.
W krwi rodziły się potwory.
Z gleby rosły plamy.
Woda mełła ziemię i kości w jej wnętrzu.
Dotarłem do miasta i znalazłem ten dom
była tam moja miłość
miała biały strój
śmiała się
i nie żyła.*

Śpiewałem to i powtarzałem. Dużo słów. Czasem je zmieniałem. Kiedy świtało, zatrzymał mnie pies. Był to mały biały piesek, stał na zboczu, jakby strzegł drogi w dół. W głowie przestały mi huczeć słowa i spróbowałem przemówić do niego łagodnie i miło. Cofał się przede mną. Potem zobaczyłem ognisko, ktoś przy nim siedział. Szedłem w dół, piesek biegał wokół mnie, ale ani razu nie zaszczekał. Ten człowiek na dole wstał. Za sobą usłyszałem dudnienie, ziemia zaczęła drżeć. Miałem wrażenie, że się do mnie zbliża.

SREBRO

Wtedy, na początku wszystkiego, pochylił się nade mną śpiącym, wziął jedno, z klatki ciała wyjął serce i dał to serce jej; albo przynajmniej część. Ona zostawiła mnie w pomieszczeniu z lustrem, były tam też wszystkie drogi. I kiedy spojrzałem, kiedy pochyliłem się nad lśniąca powierzchnią, zobaczyłem jej twarz. Teraz liczę kawałki szkła.

KROWY. CO JEST W DOLINIE. CUD Z PSEM. WTEDY W BERLUNIE.

Przyzwyczailem się tam przebywać. I wkrótce wiedziałem już, kiedy mam wybiegać, żeby stada nie przekarmić. Byłem sam. To na zboczach zaczęła się moja samotna droga. Na zboczach było pięknie. Krowy zaganiała Suka, zaganiał je też Mały, Góral był do niczego, jego miałem zawsze za plecami. Ja albo Tomas.

Kiedy przyszedłeś i padłeś tu na ziemię, nie wiedziałem, co robić, mówił Ten, Który Pasię. Wyglądałeś strasznie. Przez ten pistolet myślałem, że jesteś zbiegiem albo jakimś gangsterem. Bo skąd byś wziął czezetkę? Mnie się zawsze podobały parabellum albo bereta, także nazwy. Magnum, to jest coś. Z tego da się puknąć!

Pierwsze, co pamiętam ze swojego nowego miejsca zamieszkania, to właśnie Tomas. Spojrzenie na niego. Zbijał mnie z tropu, pastuch. Leżałem w jego chałupie i przez szczeliny w ścianie, przez plastikowe płachty widziałem, jak kręci się wokół ognia. Wydawało mi się, że skądś go znam. A poza tym: pierwszego dnia, kiedy było mi lepiej, przyniósł mleko, pochylił się nad wycieraczką, pochyliłem się również, postawił garnek na ziemi, zrobiłem taki sam gest pustą ręką, usiadł, ja zaraz też usiadłem.

Co robisz? spytał ze zdziwieniem, powtórzyłem to pytanie. Potem mu powiedziałem, że chyba miałem jeszcze gorączkę, bo myślałem, że on to ja. Albo za pomocą tego małpowania gramoliłem się z powrotem do życia.

Chyba cię skądś znam, powiedział.

Mnie też się wydaje, że się znamy.

Masz szczęście, że nie siedłeś drogą obok, tam pasie stary Varhola, z nim byś się nie dogadał. No, ja to się cieszę, że znowu mogę mówić jakiś czas normalnie. Skąd ja cię znam, sądząc z wymowy, jesteś z Perły... Galaktyczny... też tam wycierałem kąty... bar Czarny, tam występowałem. Stamtąd mnie znasz.

Już wiem, powiedziałem. Szalałeś tam z drutami, śpiewałeś tam... Niebiescy Murzyni.

Tak. Zgadza się. Sporo czasu minęło. Poza tym była tam ta, nie wiem, jak się nazywa.

Tak.

Musiałem stamtąd wyjechać. Przynajmniej na chwilę. Mam tu tylko radio. A tego dnia, kiedy przyszedłeś... miałem trochę cykora. W Kvasucni, to jest za tymi wzgórzami, Ruscy zrobili obławę. Na swoich uciekinierów. I zastrzelili jakąś dziewczynę. Chcesz herbaty?

Nie.

Ciągle miałem w sobie jej obraz, ale coś się stało. Czasem mówiłem sobie, że tylko tu... wyzdrowieję... i wrócę na targ, żeby ją znaleźć. Ale. Nie potrafiłem sobie tego wyobrazić, nie chciałem. Salon. Co tam robiła. Od jak dawna tam chodziła. Tego było za wiele. Wszystko legło w gruzach. Czasem strasznie za nią tęskniłem, czasem myśli o Czarnej były jak ze szkła. A jeśli to, co Tomáš słyszał w radiu... to już tak czy owak wszystko jedno. A może, jako że wtedy jeszcze ciężko wlokłem się w górę, przyszło mi do głowy... może chciałbym, żeby jej się to zdarzyło. Wlokłem się tego dnia przez cały czas ze swoją winą i gdybym tego w sobie nie przetrawił, to chyba bym jednak umarł. Ale tego już nie chciałem. Nie tam.

Jeśli zostaniesz przez resztę sezonu, zarobisz... mówił mój nowy znajomy... ja jestem tu już osiem miesięcy... potrzebuję zmiany. Tutaj już... to dlatego, że wszyscy wyjeżdżają do miasta. Nikt tego nie chce robić. To koniec, zapędzą je do obory. Albo zarzną.

Za dnia była w dolinach pod nami mgła. Ale w nocy widziałem czasem światła, tylko niewyraźne błyski, powiedziałem mu o tym.

Tam nic nie ma. Dalej jest Bukowina. Galicja Wschodnia, słyszałeś kiedyś taką nazwę? Tu na dole dawno już nic nie ma. Tak, machnął ręką w kierunku północnym, tam gdzie może spotkałeś Mleczarza, tam były wsie. Ale komuchy powiedzieli, że zbudują tamę, i wszystkich wysiedlili. Tamy nie zbudowali, chyba po prostu chcieli się pozbyć tych ludzi, świnie. Niech z nich zostaną gołe kości, z nich i z tych ich inżynierów. Rozumiesz, Rusini tam żyli od dawna w zgodzie ze swoimi zwyczajami. Komuchy wtrynili im rady narodowe, ale oni dalej robili wszystko po swojemu. Nawet języka nie chcieli się uczyć. Osiem wsi. I były samowystarczalne. Na pewno już rozumiesz... jak im wyłączyli prąd, to świecili świeczkami. Lodówek i tak nie mieli. Kichali na wszystko. Na dół chodzili tylko po wódkę. A potem woleli pędzić bimber. To dawna historia. Tale, to byli chrześcijanie, widziałeś krzyże na grobach... ale wiesz, w tych lasach dokoła! Trzeba uważać. Poza tym wszyscy mieli pukawki, kłusownicy. Tędy przewalały się wszystkie fronty. I banderowcy. Tutaj nawet partyzanci z Powstania byli aż do lat pięćdziesiątych. Po wojnie zaczęli ich zamykać. Tutaj to wszystko się wymieszało. Popatrz, Szef Krów wskazał ręką, tam jest Przełęcz Lipowicka... słyszałeś o niej kiedy?... w podręcznikach tego nie ma. Tamtędy Niemcy szli na Ukrainę, a później z powrotem. To, co z nich zostało. A za nimi Ruscy i nasi. Mówi się... podobno jedna armia tutaj całkiem znikła. Ludzie widzieli, jak idzie... schowali się, oni musieli się chować przed wszystkimi. Razem ze zwierzętami. Zapytaj starego Varhola! Jak to wyglądało w jaskiniach... a jak wyleźli... nie było nikogo. Podobno ten korpus trafił na bagna, to idiotyzm. Nie uwierzyłbyś, co miejscowi opowiadają. O tym, co się dzieje pod ziemią. Ale dużo ludzi tu nie zostało. Gliniarze jeszcze w latach sześćdziesiątych bali się zapuszczać w te strony. Tutaj przychodzi się tylko po to, żeby uciec. No a potem... niby tama! Tak, wierzę, że Mleczarz ci o tym mówił, miał hyzia na tym punkcie. Cerkwie wysadzili w powietrze. Varhola opowiadał, że kierował tym jeden z nich, Rusin, i że podobno potem zabrał go Zmijak. Oni mają tu takie historyjki. Że niby pod ziemią żyje Zmijak. Początkowo nie czułem się tu dobrze i chlałem. I przez to ich gadanie nawet go widziałem. Wiesz, co pomaga? Człowiek nie jest przyzwyczajony do samotności i do tych drzew... i w ogóle. Ale ja sobie wybrałem jeden krzak, o, tamten, i przyzwyczajałem się do niego. Czasem w nocy był straszny, jak głowa. Czy coś. A potem przywykłem do niego i było w porządku. Jak był głową, to powiedziałem sobie: „i co z tego?” I było w porządku. Nie przeszkadza ci, że ciągle mówię? To tutaj niezwykle, tak z kimś siedzieć.

Nie.

Ty myślisz, że to stare sprawy, ale tutaj czas jest ciągle... zakonserwowany. Nie przeszkadza ci, że muszę o tym mówić?

Nie.

Tomas był zadowolony, że chętnie biegam na stok. On już to znał. Krowy pasły się na zboczach nad wzgórzem, a kiedy psy zaganiały je do zagrody, pasterz musiał stać na stoku i uważać. Niektóre łaciate były bowiem tak głupie, że najchętniej biegłyby bez przerwy. Kiedy już się rozruszały. Za pierwszym razem o mało nie uciekłem, stado pędziło, ziemia dudniła, przede mną wynurzały się rogi, kopyta... ciała krów, słońce świeciło mi w oczy, bałem się, że mnie zmiotą, a poganiała je Suka... i Mały. Mały się uczył, od czasu do czasu tak dostawał kopytem, aż się przewracał, dostać taki cios w czaszkę... ale był to uparty piesek.

Dał mi go stary Varhola... mówił, że musiałby go zabić... Wiesz, jak tu zacząłem? Przychodzę do starego z koszem na plecach i cieszę się na to życie na łonie przyrody. A gość prawie nic nie mówi, tylko w pizdu tu, w pizdu tam... i człowieku, na pniu stoi włączony telewizor. Idzie ciągle. Na baterie. Pytam go... co to za żółty kwiat, Varhola, o ten?... a on... żółty kwiatek, w pizdu... a potem idzie i kopie tego Małego w łeb... ja stoję, to znaczy nie, przed tym uciekłem... a potem się dowiedziałem, że mu kundel dwa dni wcześniej ukradł mięso. Mówię, że ten pies nie jest tego świadom. A Varhola: Czo ty tam wiesz, chuju!

No to zamilkłem. Ale Mały to rzeczywiście złodziej. Ja go nie biję, ale jak odejdę... będzie po nim.

Stałem na zboczach, w ręku kij, żeby nikt nie mówił... a krówki szły obok mnie, te pierwsze jeszcze całkiem godnie, potem szedł środek stada, już szybciej, a te ostatnie... a maruderów poganiała Suka... i Mały, to był błaznek... czekał na krowy, kłapał zębami, koziołkował w trawie... Suka była królową zaganiań, a on się bawił, uczył się... przechodziły koło mnie i sapały, parskaly, idź, krowo! Idź, ty wielka, idź, ty mała, hej, hej, ty Biała, Białko, ruszaj się, dalej, ty Wielka, i ty Sonia, gdzie ci się nadłamał róg, hej i hej? Sunęły, niesamowite morze grzbietów, nakrapiane i brązowe, ładna biała Mona, Mola i podstępna Mordwina, mała Bekta, szła też Beka, łypnęła na mnie okiem, żuła... he, krowy, ładne jesteście, idźcie już... tak, krowa nie pyta o nic, tylko żuje, jest mokra, gdy byka czuje, nie mam nic złego na myśli... krowy piękne... hej, hola, to krów doła, hej, bido, krowy idą, idź, Mahuleno, rusz swoje kości, Stazo, faluj, Polko, Żujko... hej, idźcie, damy, matki prasłowiańskie... suń, Bogini, ty, Huno, hej, Dano, chodź, hohoj, Okto, dawaj dalej, chono, Muno, klepnąłem krowę po zadzie, smagnęła mnie ogonem... w oko, była to symbioza, nabierałem sił... zostaw ją, Mały, bo cię strzelę kamykiem... Tak się stroiłem na stoku, nadawałem sobie odpowiedni ton, żeby być w harmonii z krowami... bo inaczej by padły. Mały przeganiałby je ze zbocza... i czasem musiałem zamknąć oczy, bo w środku rozcinał mnie ból... gdzie jest? Zdrajczyń. I kto kogo zdradził, powiedziałem sobie później i było to nie do wytrzymania.

Gdzie jest moja pukawka?

Na półce, pod książkami.

Będę musiał iść.

Nie wygłupiaj się! Czego ci brak... Potok? Wind? Automatów do gier wideo? Nie bądź głupi, czasu jest dużo. Masz w ogóle jakąś forszę?

Nie.

To czekaj. Na tydzień idę na dół. Możesz już mnie zastąpić, oglądałem cię wczoraj. Pogłaskałeś Sukę i dała ci spokój. Znaczący w porządku.

Na co ci ten tydzień?

Chcę trochę popić. Do kina. A w Ušanicy jest teraz burdel. Rozumiesz, osiem miesięcy. Także w zimie byłem w szałasie, ciągle w tym samym. Dziewczyny są też podobno w tej Kvasunicy czy jak to się tam nazywa. Wiesz coś o tym?

Nie. Daj spokój.

Kiedy poszedł, nie musiałem się przyzwyczajać do żadnego krzaka. Spałem obok krów, przy zagrodzie, i było mi z nimi dobrze.

Byłem całkiem pusty, sam. A w nocy... po tym cudownym zaganiu miałem czasem sny. Szły ku mnie z doliny. Zanim zasnąłem, zawsze widziałem tam światła. A we śnie nagle... wszędzie było błoto... co ci ludzie wyprawiali, wolę wprawdzie subtelniejszy humor, ale... nie mogłem się powstrzymać od śmiechu i czasem nawet budziłem się uśmiechnięty... ci współobywatele byli maluteńcy i wielu w kaftanach, które widziałem wcześniej... ale śmiali się, popijali i swawolili... jakiemuś sąsiadowi przywiązali do dachu wóz, kiedy indziej po dachu chodziła krowa, do tego zielona... dzieci bez przeszkód jeździły po stawie na łyżwach, a nad nimi unosił się facet ze skrzypcami, poły powiewały mu na wietrze, też był brodaczem, zarost tam mieli wszyscy, bródki, czarne i rude... a stare babcie miały zabawne peruki, młode dziewczyny też chodziły w czerni, ale tańczyły... śmiały się, a faceci stukali się kielichami... widziałem to w blasku we śnie, nad nimi był księżyc... też kolorowy, figlowali tam ze skrzypkami i basem, mieli też piszczalki, słyszałem muzykę, akompaniament do gęgania gęsi, kaczki przechadzały się po majdanie... poważnie, jak pingwiny... było to wesołe.

Za dnia natężyłem wzrok, ale nawet gdy mgła się podnosiła, nic w tej dolinie nie było, żadnych wsi. Mimo to co noc miałem ten sen, te sny, były podobne, ale za każdym razem

inne. Wyglupy i psikusy w jaskrawych kolorach, sąsiedzkie zabawy, Potok, to cię bawi... kręciłem głową, idź zaganiać krowy!

Kiedy stary Varhola pojechał po zapasy, Tomáš dał mi jakieś pieniądze i stary waciak. Stary, ale czysty.

Ten pistolet... kupię. Przychodzą tu czasem wilki. Z Polski. Co ty na to?

Chcę go mieć. Zresztą jest tam tylko jedna.

Skombinowałbym jakieś. No, jak chcesz. Na razie!

Dzięki. Na razie.

I zniknąłem z kolejnej stacji przesiadkowej. Już wiedziałem, dokąd chcę iść. Chciałem się dostać do tego domu z godłem i do piwnicy. Wiedziałem, że tej góry węgla już tam nie będzie. Ale stary czas... może. Utraciłem Czarną. Ciągłe tracę siebie, każdym ruchem serca. Ale zimna rękojeść pistoletu wciąż grzała mnie w brzuch i o niczym nie zapomniałem.

Może gdybyśmy spotkali się wcześniej... już wtedy w Berlinie... kiedy po raz pierwszy widziałem koniec... byłem przy śmierci.

Czarna też tam była w tym okresie, tak jak wielu znajomych, też pętała się po tych samych miejscach. Raz spytałem, co tam robiła. Zaśmiała się. Co bym... śpiewałam, też. A gdzie? Różnie. Może widzieliśmy się tam? Może i tak. Chyba cię tam widziałam.

Ale czas, który mieliśmy razem, był tak naładowany, że jakieś wypytywanie... Było mi to obojętne.

Siedziałem w pociągu i jechałem... do tego domu. Do tego starego domu, z godłem. I może ją tam znowu... po raz ostatni zobaczę? Usłyszę głos? Czy może już mnie nie prowadzisz? Psico?

Ponieważ wtedy w Berlinie mi się to stało. Powiem to sobie krótko. Państwo Kanaków się rozpadło. Jeden dostał się do Ameryki, dwoje na papierze połączyło się w młodą parę i pojechali do Australii, inny zabłądził w metrze i już nigdy nikt go nie widział... ktoś tam postawił na Legię Cudzoziemską, inny okradał mieszkania, zanim go złapali, a Růženka wstąpiła na uniwersytet, innego koleżkę powaliły narkotyki i wódka i przypominał zwierzę... potem definitywnie pękły granice i wielu wróciło... do domu. Ktoś tam został biznesmenem, ktoś inny napisał powieść, rodzą się też nowe dzieci.

Staliśmy z Kopicem przed pewnym sklepikiem... mieliśmy ostatnie dwie marki, bo eksplodowała ruletka... ech, jak to wytłumaczysz w domu? obawiałem się... coś powiem, czegoś nie powiem, idziemy, powiedział Kopic... kupiliśmy dwie zdrapki Bundesloterii... drżały nam nogi i palce... to niewiarygodne, szepnął Kopic... wygrałem jamahę! Gratuluję, czekaj, ajn moment bite, chwyciłem rożek losu i zrywałem go ostrożnie jak sreberko... Kopic! A ja kawasaki!

Jeździliśmy poważni i zasepieni na swoich nowych maszynach, nasz czas tutaj się skończył, to było jasne, poważną jazdą żegnaliśmy się z Krojcbbergiem, czekają na nas inne krzyże i skrzyżowania, to miejsce się zmienia... zauważyłem jednak... Ciharu i Simako miały dużo zdjęć ze swojego rodzinnego kraju, nawet świątynie tam miały, tego swojego sinto... zauważyłem, oblicza naszych maszyn były tak samo skośne jak oblicza demonów, taka sama estetyka... lepiej to sprzedać, zgodził się Kopic... i znowu byliśmy w paczce.

Kopic załatwił sobie i swojej rodzinie nowiutkie dokumenty i wyjechał... przez granicę... podobno jest tam napis, mówił Kopic: Witajcie w wolnej Czechosłowacji! Tego nie mogę przegapić, to jest coś nowego... ty jeszcze zostajesz? Jeszcze szukasz... Królowej? Tak, rozejrzę się za nią, wzięła mnie, ale nie mów o niej publicznie, nigdzie, to nie ma sensu. Dobra, dobra... i zostałem tam sam, znowu w nowym, czyimś mieszkaniu. A raz... skrócę łańcuch wydarzeń... kiedy mnie z tego mieszkania wyrzucili, łąziłem i patrzyłem... i na dworcu dostrzegłem miłe znane krzywe nogi, kołyszący się krok... Sa wa? Ciharu! Sa wa!... co za spotkanie, nawet objęliśmy się, a pytania i wyjaśnienia nie miały końca... tylko o swojej kumpelce nie chciała mówić i była przy tym smutna, i coś jej w oczach rosło, chyba

pomysł... pytała, co robię... Rjan! westchnąłem szczęśliwie. Chociaż forsa za motor się rozeszła. Bo chętnie pozbywam się moniaków, niechętnie je zdobywam. Lubię podłapać je cudem.

Następnego dnia zaproponowała mi chakturę, jakieś zdjęcia, dobra! Chociaż... zaraz jak przyszedłem, zaczęło to śmierdzieć... nie podobało mi się, najpierw filiżanka herbaty, odpręż się... mówiła Ciharu w szlafroku... więc to jest ta twoja kinematografia, aha. A po herbacie zaczęło się to, czego się spodziewałem... po odprężeniu nastąpiło szaleństwo, było mi całkiem obojętne, że dokoła przemykają faceci z oświetleniem, kamerami itp. A ta ich herbata była na tyle mocna i egzotyczna, że chyba nawet nie wiedziałem dokładnie, w czym biorę udział. W bardziej ścisłym splecieniu się ciał, kiedy źrenice już są obnażone i wystawione na działanie powietrza i zdarzeń. I tak człowiek na ogół patrzy w jednym kierunku, a to, co dzieje się dookoła, jest za murem. Ale oczywiście się to słyszy.

No tak, obrzydzenie. Przypuszczam, że gdybym w tym okresie żywił uczucie do jakiejś dziewczyny, wydawałbym się sobie co najmniej wyobcowany. Ale najwyraźniej nastąpił czas znużenia. Depresja, kiedy w półmroku szukasz tylko migotliwych błysków jakiegokolwiek poruszenia, bo chcesz mieć wrażenie, że żyjesz.

W dodatku... jak mętnie pamiętam, całkiem możliwe, że nie lubiłem wtedy w ogóle nikogo. Najmniej siebie. Szukałem Królowej... ale ona mi znikła. A jaką kobietę... czarną damę... spotkałem wtedy z Litką, już wspominałem... mylnie sądziłem, że po przeżyciach z burdelu tego rodzaju okropieństwa nie mogą już na mnie działać.

Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że pięter piekła ciała jest nieskończenie wiele i że wszystko idzie dalej. Ze męka nigdy się nie kończy, jak powiada klasyk. Byłem w końcu zwyczajnym młodym człowiekiem.

Po jakichś dla mnie szczególnie efektownych wygibasach Ciharu przyprowadziła urocą małą osóbkę i zaczęło się na nowo.

Tylko jednego nie rozumiem, powiedziałem swojej celuloidowej wtajemniczycielce... ja nie jestem żaden diskobolos... ciało, nie mam czym się pysznić... nie szkodzi, powiedziała szczerze, to specjalna historia, poczekaj na zakończenie, zapewniała mnie... mówiliśmy ze sobą po kanacku, ale jako że byliśmy sami, już to tak nie brzmiało... nie, nie było w tym odkrywczosci, frazy i wyrażenia skostniały... jakie zakończenie... będzie więcej części, a ty jesteś akurat taki, jak trzeba, to dobrze, że nie jesteś przystojny... no, przepraszam... przystojniakiem do filmu na pewno nie jesteś, jesteś niezgrabiaszem, jakiego potrzebujemy.

Te, Ciharu!

Przecież zawsze chciałeś to ze mną zrobić.

Chciałem, Ciharu, ale to jest tak, jakby się jadło, kiedy człowiek nie jest głodny.

Ty w ogóle tego nie umiesz, wybacz, ale jesteś jak dziecko, mów.

Co takiego?

Ale tego właśnie potrzeba do tego filmu, żebyś był taki, wszyscy jesteście tacy.

Kto?

No wy... to nie twoja wina.

Kręcili dwa razy, a czasem raz w tygodniu, ponieważ wszystko działo się w oparach narkotyku, było to dla mnie możliwe... chociaż zaczęli czarować z dekoracjami... jakieś historyczne kostiumy... a do tej ładnej dziewczyny, którą przyprowadziła Ciharu, dołączył jakiś facet, tylko siedział na tronie w masce smoka, nawet się nie ruszył, na szczęście... kolory w zamroczeniu mi się podobały... dużo z tego wytną, poinformowała mnie Ciharu... to musi być doskonałe, to jest tylko dla wybranych... mnie się ta ich superprodukcja taka wspaniała nie wydawała, oni nie widzieli *Moskwa zwycięża* ani innych tego rodzaju hitów... ale w jaśniejszych momentach doceniałem rekwizyty, było to prawdziwe drewno, rzeźbione, jak na mój gust za dużo było poduszek, jaśków i linek do zawieszania zasłon... a te diamenty są prawdziwe?

No właśnie, śmiała się Ciharu, naprawdę prawdziwe, wreszcie skapowałeś!

W izbie z tronem na ścianach były miecze, sztylety... są jakieś dziwne, właściwie nie mają rękojeści, a rycerze mieli je nawet zamiast krzyża, przypuszczam, Ciharu, że taki Ryszard Lwie Serce usłałby twoimi samurajami cały cyrk... Jasne, nie potrzebowali jakichś tchórzliwych ochraniaczy rąk, kręcili tym... o, tak! Zdjęła broń i niedostrzegalnymi ruchami nadgarstka ją rozwirowała, szybkość stała się nagle tak niesamowita, jakby w jej drobnej piąstce kręciła się świetlna smuga, miała miecz przy głowie, przy skroni, rozkołysała klingę i odbłyśki, odbijały się w niej chyba diamenty, strzelały z ostrza jak gwałtowne błyskawice... pokazała mi to, cofnąłem się.

Z czasem... chyba nie wytrzymała, w każdym razie zaczęła mnie uczyć tej ich tajemnicy, tego, co kochała, było to jedno potężne... pomału. Wszystko, ale pomału. Ale koniec był taki, jakby woda przerwała tamę albo jakby spłonęło miasto. Doszczętnie. I nie ma tam nic w krajobrazie... i zaczyna się od nowa, pomału, od podstaw. Gruntownie.

Chyba tak samo pomału jak wtedy, kiedy hoduje się to małe krzywe drzewko, troskliwie i z oddaniem... a kiedy drzewko wyrośnie, to jest nienaganne, jest jak klejnot. Dla tego, komu się podoba.

Chwilami obawiałem się, że kiedy cała rzecz się skończy, zapomnę swoich własnych ruchów... tego się nie bój, mówiła, masz to w sobie, jak pływanie, za to nie odpowiadasz, masz, weź herbatę... potem nałożyli mi jakiś pancerz, Ciharu chyba podobało się to, że trochę gniótł jej piersi, przynajmniej dawała to do zrozumienia... chociaż nierzadko częścią tego „pomału” było odsuwanie i odmawianie... dali mi hełm z rogami... jestem jak diabeł, a to mi się nie podoba... widzisz, jak dobrze ci idzie, chyba masz intuicję... grasz także... białego diabła przed smoczym tronem... ty masz nazwę na wszystko, Ciharu. Chodźmy gdzieś kiedyś, weźmiemy też tą dziewczuszkę, tą małą... a ona jest w tym filmie żółtą karlicą, wiesz? Zrozum, ja jestem Słoneczną Kobietą, ty atakujesz od przodu, a ona od tyłu, bo to Chiny... ale to jest bardzo zboczona przypowieść, dla kogo to ma być? Dla zboczeńców. Aha. Ale z nią nigdzie nie pójdziemy. Dlaczego nie? Nie pójdziemy i koniec. A jak ona się nazywa? Nie nazywa się, jest bez znaczenia. To nikt.

Z czasem zacząłem się tą małą interesować... zaczęło to być dość drastyczne... Ciharu ją na wszelkie sposoby przewracała, ciągnęła za włosy, zdaje się, że kłuła igłami... byłem omamiony herbatą, ale przyszło mi do głowy, że ta mała swojego bólu nie gra. A potem ją zabili. Byłem przy tym. Kiedy ten z tronu wstał i przebił ją, myślałem, że to pic na wodę, łącznie z krwią... a potem ugodziła ją Ciharu, to było straszne, co z nią robili. A ja nie mogłem się ruszyć. Patroszyli ją. Stałem tam, nagi, w mózgu płonął mi narkotyk i wzmacniał kolory tego, co widziałem, ciskał obrazy... stałem tam tylko w swojej śmiesznej... i prawdziwej zbroi, słyszałem warkot kamery, chłopcy, którzy tam biegali... chyba biegali szybciej niż zwykle... potem Ciharu, po tym wszystkim, poderżnęła jej gardło, a facet z kamerą pochylał się nad nią, w rozkroku... wstrząsały nią konwulsje. Zacząłem skakać.

W piwnicy nic nie było słyhać. Nie było tam okien. Miałem tylko jakiś szlafrok. Bałem się.

Może dlatego, że tak długo się znamy, mówiła Ciharu. Nie dowiedziałem się, dlaczego mnie stamtąd wyciągnęła. Czuję do niej wstręt... niewysłowiony. Trochę ją to dotknęło. Nic nie rozumiesz... powiedziała, takich dziewczyn są setki tysięcy, może miliony... oni wzięli ją z obozu, przynajmniej jakiś czas żyła jak człowiek... wiesz, ile ich jest, w Tajlandii, w Hongkongu, czekaj ą, żeby ktoś im pomógł... zrobiłyby wszystko, żeby się stamtąd wydostać... dawniej kręciło się to tam, te filmy... wiesz, ile kosztują? I wierz mi, że ci, co te filmy... co ich potrzebują, w zamian za taką jedną, którą... nakręcą, opłacą drogę setki innych, ona jest ofiarą. W ten sposób uspokajają złe siły. Czogoś takiego nie może kręcić każdy. Tylko my. Nie grzeb się w tym. Skąd niby sam wiesz, co jest dobre? A poza tym...

masz pojęcie, ile jest tych dziewczyn? I do niczego się nie przydają. Ty też nie jesteś wystarczająco dobry, żeby ze mną być.

Nie, nie. Ale tak czy owak dzięki. Myślałem, że przyjdzie kolej także na mnie.

Znowu się zaśmiała. Wyobraź sobie, powiedziała, że zacięła się kamera. To się nie zdarza. Dlatego Smok cię puścił. Tylko dlatego, ja nic nie ryzykuję. Masz szczęście, nikt nie uwierzył, że kamera zacięła się przypadkiem. Dlatego możesz odejść. Wierzą, że przeznaczone ci skończyć inaczej. Ale nigdzie o tym nie mów. To by było bardzo niebezpieczne. Dla ciebie.

Ciharu... a gdzie jest twoja przyjaciółka, gdzie jest Simako?

Milczała. A ja się zaśmiałem. Śmiałem się z niej, bo ogarniała mnie... straszna rozpacz. Nie, Ciharu, ja nie wiem, co jest dobre. Ty też nie. Gdzie jest twoja dziewczyna? Powiedz mi.

Chyba dlatego, że się śmiałem, odwróciła się i powoli poszła ku drzwiom... bardzo powoli, jakbyśmy jeszcze mieli sobie coś powiedzieć... ale potem tymi drzwiami strzeliła. Z siłą, której od tej kruchej istoty nikt nie oczekiwał. I drzwi się zamknęły. I zostały zamknięte do dzisiaj, bo nigdy już się nie spotkaliśmy. I mam nadzieję, że się nie spotkamy.

Po tym wszystkim zniknąłem z Berluna. A twarz tej małej długo miałem w sobie. I potrafię sobie przypomnieć gorzki smak tego, co mi dawali. I co zmieniało mi kolory tak bardzo, że jestem bezwartościowym świadkiem. Ten smak mam na języku, smaku skóry zapomniałem. Cały czas milczałem o tym. Jest to tak wstrętne, że na pewno nikt mi nie uwierzy, tak mi się zdaje. A w opisie tego, co z nią robili, byłem wyjątkowo powściągliwy.

DO DOMU Z GODŁEM. ALE... STRUNKA. WYPRAWA KRÓLA
KRONGOLDA. MISJA, PRZEMOWA TAM. CO MOGĘ ZROBIĆ. I
KRZYCZĘ.

Na dworcu... było tak samo jak dawniej, przybyło może kilka kolorów i przeszkleń, wiedziałem, że w tym domu będę piechotą za pół godziny. Jestem przecież na swoim terytorium. A pistolet miałem od Czarnej, po tym, co zrobiła, a tam w piwnicy, w dole, zaczęła się moja droga. Krąg się zamknie. Tylko że...

Tylko że strzeliłem sobie kielicha. A potem jeszcze jednego. Zostałem tam.

Ludzie, między którymi ugrzęzłem, byli ze wszystkich możliwych miejsc. Wspólną mieli tylko powłokę na twarzy. Maskę. Obojętną tępą maskę, chyba była to już maska z drugiej strony. Trafiłem z woliery do akwarium. Były tu nawet piranie. Te twarze czasem się otwierały, kiedy zapalało je jakieś wspomnienie albo, to najczęściej, butelka, albo wściekłość. Nawet ci najbardziej płaczący mieli w sobie tyle nienawiści. Omijałem... ludzi, ale jest to możliwe tylko o tyle, o ile, plecami człowiek natrafia na innych. Indywidua. Gangów unikałem. Były tu najczęściej tranzytem, tylko się spotykali, zatrzymywali na chwilę... i ruszali dalej. Dla kogoś, kto coś miał, dworzec był niebezpieczny. Szybko poznałem również korytarze. Dowiedziałem się, że Dziadkowi wystarczy powiedzieć: Spieprzaj! Silniejszych zostawiał w spokoju, słabsi mu za miejsce do spania na dole koło sraczy płacili. Gliniarze byli chyba zadowoleni, że mają tu wszystkie typki razem. Ta banda stałych bywalców jednak tak podupała, że rozboje w parku koło dworca jej nie dotyczyły. Zjedz, dobrodusznie powiedziała Szacuneczek i podetknęła mi talerz. Pan, który przyniósł sobie zupę, ani pisnął, odsunął się. Dzięki, wymamrotałem. Na podobne sztuczki pozwalała sobie tylko ona. Dostarczała rozrywki także personelowi tych paru bufetów i straganów, które tu były. Ich pracownicy też się zmieniali. Prawie tak samo szybko jak włączędzy. Najczęściej przebywałem w półmroku i w rogach pomieszczeń. Nie chciałem, żeby mnie przypadkiem spotkał ktoś znajomy. Nie wstydziłem się, to miałem już gdzieś. Rozmyślałem albo myślałem, że rozmyślam. Nie chciałem, żeby mi ktokolwiek przeszkadzał. Czasem mogłem myśleć przez dwie godziny, czasem przez pół, czasem dłużej, było to męczące. Chciałem tego. Przypominali mi się ludzie i urywki zdań, rozmyślałem o swoim błędzie. Poza tym zamącałem umysł. Zauważyłem parę z wywietrzników, niekiedy na dworze była mgła, niekiedy było ciemno. Kiedy spróbowałem wyjść na zewnątrz, kilka razy zatrzymał mnie upał. I owady. W hali, która była we wzgórzu, to znaczy pod ziemią, panował chłodek. Jeśli gdzieś sobie siadałem i byłem cicho, zostawiali mnie w spokoju. Jak się nazywasz? Warknąłem i odsunąłem się. Nie uczestniczyłem w zawodach o kawałki mięsa, o różne obrzydliwe resztki, tu czy tam coś znajdowałem. Zależało mi tylko na tym, żeby ciemność w głowie i światło, które ukradkiem... zapalało się tu i ówdzie... żeby utrzymać to w równowadze. Bolała mnie głowa. Kiedyś parę razy doświadczyłem szarpiącego bólu zębów. Teraz bolała mnie żyłka w głowie. Było to naprężanie i rozluźnianie. Był to mały sznureczek albo kawałek drutu. Pulsował, szarpał się. W głowie. To bolało.

Potem zaczęła mi dawać jedzenie Szacuneczek. Dawała mi też wino. Mówili mi, że chodziłem wtedy za nią jak piesek. Szacuneczek Liza. Była to starsza kobieta, miała w sobie chyba kilka kropli murzyńskiej krwi. Była kędzierzawa i miała wydatne wargi. Ksywę zyskała, polując na klientów. Mówiła zawsze „Szacuneczek”, a potem składała propozycję.

Kiedy było mi już lepiej, siadałem na pochyłości koło wywietrzników. Powiewało tam chłodne powietrze. Zwietryłem to i kiedy nikogo nie było, przysiądałem. Często tam

spalem. Na dworze ciągle było ciepło. Raz... sięgnąłem pod koszulę... pistolet tam był. Całkiem możliwe, całkiem możliwe, że przy swoich włóczęgach próbowałem się go pozbyć. Ale był tam.

Co ci jest? spytał mnie ktoś. Zamknij się! Ojej, Kaczucha nam się obudził... jak mnie nazywasz... chodziłeś tu jak kaczucha... o mało cię nie zwinęli, Szacuneczek cię zakablowała, to była zabawa... kch, kch. Siedzieliśmy między wagonami i popijali. Chcesz Ślinę? Chcesz sobie poślinić? pochylił się ktoś ku mnie. Pokryta strupami twarz. Odsunąłem go i poszedłem za podkłady... była tam góra podkładów, pewnego razu parę z nich odrzuciłem, zrobiłem mur obronny... nikt nie wiedział o tym miejscu. Tam spędzałem większość czasu. Czasu. Czas się nie ruszał. Pośród podkładów byłem jak w konserwie. Nie wiedzieli o mnie. Przyszło mi do głowy, że mógłbym to zrobić tam. Siedziałem i polegiwałem, kiwałem też głową... bo czasami niezłe bolała. Strunka.

Chodziłem koło kas i raz mi jakaś starsza zakonnica dała pieniądze, nawet nie musiałem dużo gadać... niewiele. Ale na flaszkę wystarczyło. Następnego dnia ta zakonnica pojawiła się tam znowu. Zaraz do niej popędziłem. Spuściłem kaskadę podziękowań. Podobała mi się jej stara twarz. Ona wiedziała! Z pewnością wiele wiedziała... po dłuższym czasie znowu się rozgadałem. Gargantua. Czuję, że jej mogę dużo powiedzieć. Brzęczałem wokół niej, podskakiwałem i syczałem swoje słowa. Nie odezwała się. Odszedłem, stała tam, niska, przygarbiona, w tym jednym z niewielu mundurów, jakie kobiety mogą nosić. Stała tam, tłum przelewał się wokół niej, w końcu wzbudziła mój niepokój: jej spojrzenie. Forse trzymałem w garści.

Czasami udawało mi się przez otwór ust nalać do głowy tyle alkoholu, że zatapiał strunkę i nie mogła się ruszać. Chyba się nasysała. Odpłacała mi potem, jak miałem kaca, była jak wahadło. Chodzi chyba o to, żeby strunkę przerwać, mówiłem sobie.

Nigdy nie zapomniałem o tym, co zrobiłem z nożem. Dlatego trzymałem się na uboczu. Z bezdomnymi człowiek nigdy nie wie. Najpierw by cię taki stary wylinialec obejmował, a po chwili chciałby ci oczy wydrapać. A ja już nie zamierzałem brać w niczym udziału. Ta ich mowa była tylko kością języka, gołą. Ale nie podobało mi się... kiedy miałem przez chwilę głowę czystą, bez mgły i bez bólu, że ich słowa do niej włączyły... straciłem już apetyt. Uch. Moja stara to pizda, bo to cipa. Uch. Na ogół tak czy owak rozmawiali tylko o tym, co gdzie zjedli, jak się kto ochlał. Co gdzie podpieprzyli... zupełnie tak samo jak ludzie na zewnątrz. Tutaj było to tylko trochę gwałtowniejsze.

Kiedyś pod koniec lata... było mi lepiej. I zobaczyłem, gdzie właściwie żyję. Wlokłem się w hali pomiędzy śpieszącymi się ludźmi, byli dla mnie jakby za ścianą, dokądś szli, z walizkami, z plecakami, w kolorowych ubraniach, gdzieś się kierowali, krawaty i spódnice. Dołączyłem do tłumu i zapieprzałem... razem. Na dole, przy kasach tłum rozpadł się na grupki, szli ku wyjściom, szedłem tam również, od czasu do czasu ktoś się zatrzymywał, kupował gazetę, fajki, coś do zjedzenia... szło się w hali pod jarzeniówkami, były tam plakaty... a potem pobiegli do tramwajów, poszli przez park, były tam autobusy, zauważyłem je... bokiem szło się do taksówek, przy wyjściu z hali zostałem sam. I rozmyślałem czy coś w tym stylu. Potem poszedłem na peron i czekałem na kolejny pociąg. Z wagonów bez przerwy wysiadali ludzie. Dokądś szli.

Siedziałem przy wywietrznikach, podrzemywałem, może siła wróci, głowa już mnie nie bolała, przeciągnąłem się. Czas się ruszyć, czas iść... dworcowi ludzie także niekiedy znikali. Niektórzy nawet mieli gdzie mieszkać. Ale przychodzili tu, dworzec ich przyciągał. Tutaj zawsze zdawało się, że coś się dzieje.

Był tam też Ondra, twierdził, że ma szesnaście lat, ale był bardzo mały. Chodził za mną. Kradł ze straganów rozmaite komiksida i chciał o nich opowiadać. Chciał się słyszeć. Chyba jeszcze raz to przeżywał. Czasem przychodził, siadał na wywietrzniku i zaczynał. Nie słuchałem go. Ale z czasem... on te komiksy strasznie przeżywał. I potem mówił mi: słuchaj

no, król Krongold spiął konia, a za nim wojska ciągnęły do Ziemi Świętej, krzyżowcy, a co się stało z królową Eleonorą? Będzie z królem Krongoldem czy zabrał ją ta świnka Merlin? To wyjdzie dopiero w przyszłym tygodniu... Ondra, ja wiem, te zeszyty wydawali w latach sześćdziesiątych... królowa Eleonora zostanie w wieży, Merlin ją zczarował, więc ma wizje rozmaitych rzeczy i krajów, gdzie była z królem Krongoldem, ale to jest głównie warte, daj mi spać. Opowiadaj... jak to było? Przecież dopiero w przyszłym tygodniu! Na jego twarzy malowało się napięcie. Ukradniesz to sobie, daj mi spokój. A może to wcale nie wyjdzie, poza tym wszyscy mnie już znają, to już nie jest łatwe. Opowiem ci, ale skombinuj flaszkę.

Ondra był bowiem złodziejskim cudem. Rozmaite darmozjady starały się go zbałamucić, rozmaite skurwiele ciągnęły go do swoich band... przede wszystkim Szacuneczek Liza, jej unikałem, od kiedy dowiedziałem się... ale Ondra miał ich gdzieś, uciekał im... przez całe życie był w jakichś zakładach i miał orientację... kradł, ale tylko dla siebie. I tylko jedzenie, czasem forszę, żeby gdzieś pojechać, gdzieś za miasto. A kiedy żebrał, dawali mu. Głaskali go po głowce. Widziałem to. Zamierzał wyjechać za granicę. Pomysł podsunęły mu te jego komiksy: pustynie, puszcze. Wymarłe miasto Machu Pikchu. Graal. Ludzie-małpy. I tak dalej. Targał ze sobą podarty atlas. Jego marzeniem była Legia Cudzoziemska. Poczekam, aż nabiorę sił, baranie! Musisz iść do szkoły, nie? Tam już byłem. Kiwałem głową, w końcu komiksy czytać umiał. Coś ci powiem, oznajmił mi pewnego razu... koło wywietrzników... ale nie wolno ci nikomu o tym mówić! Przysięgnij się! Dobra. Nie, podnieś rękę i przysięgaj, jak trzeba! Zrobiłem, jak chciałem. Nie mam szesnastu lat, tylko trzynaście, baranie. No i co? Tego nikt nie może wiedzieć, inaczej by mnie wsadzili. Aha, zamknąłem oczy i spróbowałem pospać.

Z flaszką był zaraz z powrotem. Korek wyciągnąłem zębami. No... królowa Eleonora marzyła o królu Krongoldzie, ale była daleko i do tego zczarowana. On też na swojej drodze... napotkał wojsko Tatarów, to była straszna bitwa, jeźdźcy padali pod kopiami, potem piechota pokonała tatarską obronę i wdarła się do obozu, doszło do walki jeden na jednego... to wino jest świetne, skąd to wytrzasnąłeś, to rizling!... Jak było dalej, co z Tatarami, mają łuki, nie! Jasne, na tym polegała cała rzecz, z daleka zasypali wojsko króla Krongolda salwami strzał i spowodowali ogromne straty, ale kiedy się zbliżyli, rycerze króla Krongolda byli silniejsi i mieli lepsze broje... mimo to bitwa trwała dwa dni i król Krongold został w końcu na jej polu z garstką najwierniejszych... Ondra, a fajki czasem nie masz? Mam! Dostali się na galery w porcie i... cholera, co teraz... przebrani za kupców doszli do stolicy, gdzie sprzedawali jedwab, owoce i warzywa... to idiotyczne, powiedział Ondra, niezadowolony... poczekaj tylko... ale inni kupcy uknuli spisek i w nocy w czarnych maskach zaatakowali, król Krongold z garstką najwierniejszych uciekł w ciemności... kopyta koni dudniły na deskach mostu, blask księżyca spłynął na welon mgieł i dojechali do równiny, gdzie szalała zaraza... i kilku z najwierniejszych powaliła ohydna choroba... a co tymczasem robiła Eleonora? spytał Ondra... Merlin spowił ją czarami, musiała służyć mu w pokorze, jako ostatnia ze służących, ciągle jej rozkazywał: zrób to i zrób tamto, rusz się, królowo, he, he, wściekał się Merlin... ta świnka pierdolona, zawołał Ondra, a policzki mu pałały... ona jednak była dumna i w swym wnętrzu kryła uśmiech dla króla Krongolda, wiedziała bowiem, że on jej szuka... w nocy była sama w swojej komórcie i... w kuchni zawsze się strasznie brudziła, a Merlin jej groził, świat zaś miał dla niej tylko najeżone sztylety i zastawiał na nią pułapki, gdzieś w wieży były zapadnie pełne okropnych pajaków, ją jednak niosła miłość do Krongolda, toteż nie stąpnęła na niewłaściwą płytę i nie spadła do piwnicy... czy w takich piwnicach były szczury i kościotrupy? zainteresował się Odra... jasne, że tak, nie przerywaj!... a król Krongold trafił do dżungli, tam napadli go dzicy ludzie, Utnapisztimowie... hi, hi, powiedział Ondra... ale on z pomocą lasera wydostał się po lianach, tymczasem z jego najwierniejszych pozostał już tylko rycerz Dolfus i mieli tylko miecze... ciąg dalszy nastąpi. Nie gadaj, nie gadaj... dostałeś wino! Już wypite. Przecież ja

tylko tak pieprzę. Nie, tak to było, powiedział Ondra, poczekaj tu... strunka była spokojna, głowę miałem całkiem jasną, chciałem iść... może w jakimś punkcie Caritasu dostanę ciuchy, w tych śmierdzą... no, fajny z ciebie chłopak, Ondra, jeszcze jeden rizling... to wino dodaje sił... mam też hamburgery, ale hamburgery to kupiłem, masz. Pierwszego kęsa nie mogłem połknąć, ale potem już się dało. Ale to już będzie krótkie, Ondra! Wiesz, co jest dziwne? spytał. Jak słucham, to też widzę te obrazki. Niektóre tak jak w kinie. Wiem, jak wygląda Krongold.

I rycerz Dolfus mówi Krongoldowi... panie mój, nie mogę dalej, tkwi we mnie strzała... umieram, zacny władco, zaprawdę i ku swej chwale! Ach, przyjacielu, mówi Krongold... tyś czci nie utracił, cny rycerzu, tyś padł w boju... tylko ci, którzy żyją, mogą cześć stracić... muszę ci jednak coś rzec, królu Krongoldzie... Cóż takiego? Idę z tobą, królu, ponieważ ja królową Eleonorę, Błyszczącą Gwiazdę, też miłuję, to grzech... Nie, Dolfusie, wszyscy ją miłują, to nie żaden grzech... w żadnym razie, dobry rycerzu... i Dolfus, rad temu, co usłyszał, wydał ostatnie tchnienie... Ondra się wiercił... to miał już tylko miecze? No właśnie, Krongold miał teraz dwa, a kiedy napadli na niego Beduini, krzyknął strasznie i uderzył na nich, wielbłądy się spłoszyły i wzbily tumany piasku i Beduini omyłkowo bili się między sobą, Krongold znał te sztuczki z Legii, więc wciąż biegał, wyznanie jego przyjaciela Dolfusa napełniało go siłą i tego dnia walczył jak cała armia i przegonił ich... był też inteligentny, z jednego Beduina zdjął burnus i owinał się nim... potem doszedł do wsi Zulusów, otoczyli go tam mieszkańcy, w rękach dzierżyli oszczepy i kije, bali się, że przybysz jest beduińskim wodzem, który chce wziąć ich do niewoli, to była niebezpieczna chwila. Zulusi byli pomalowani wyschniętym błotem w barwy wojenne, a szaman grzechotał grzechotką... ale Krongold wyjął identyfikator... więc miał fuzję, powiedział Ondra i zaprotestował, mówiłeś, że miał tylko dwa miecze! Tak, przepraszam, to inna część, Krongold tylko powiedział, kim jest i dokąd idzie, i żadnych represji... uradowali się, bo bali się Merlina, i pokazali królowi drogę, potem szedł przez pustynię... to już nie będzie mieć żadnej armii? zdenerwował się Ondra... czekaj... dotarł do jaskini, gdzie mieszkał Starzec komputerów, miał w łapie cierni, był to lew... lew z ropiejącą raną... a kiedy Krongold go zobaczył, wbił miecz w piasek i szlachetnym gestem wyciągnął do sterczącego ciernia prawicę... i on zrobił mu wojsko na komputerze! jęknął Ondra... dokładnie! i ruszyli, po bokach krążyli jeźdźcy wodza Józefa, wjeżdżali między diuny, obserwowali horyzont, byli to zwiadowcy, tropiciele, mieli przerażające żółte i czarne wzory na twarzach, a w żyłach pulsowała im szybka siła, między zębami ściskali kamienne noże, a w uda uderzały ich kołczany pełne strzał... na kolbach automatówpołyskiwały nacięcia... a z przodu szli olbrzymi Nindzowie, za nimi powiewały chorągwie i proporce Nestorianów, był tam Spartakus i jego ludzie, gladiatorzy i byli niewolnicy, to dopiero była mieszanka... powtarzali w rytmie marszu: Bicz, miecz, krew, krzyż... było ich sześć tysięcy, jak potem w Capui, i już teraz z pewnością nie byli u nikogo w niewoli... razem z nimi szły mniszki, siostry miłosierdzia z opatrunkami, bardzo potężne, nikt nie wie, dlaczego szły razem z nimi... potem następował żelazny szyk gwardii, niezliczone szeregi włóczników, cepników i procarzy, i Szkiperiowie z pistoletami, wojownicy, co zeszli z gór, stary naród, jazdę pod znakiem krzyża prowadził morderczy książę Ryszard Serce, garbus Czarnosen w bizantyjskiej zbroi, było mu już odpuszczone... tarcze Litwinów z namalowanymi na nich szkieleciami i z krążkami żelaza w środku, misiurki, oszczepy ludzi puszczy lśniące w ostatnich promieniach purpurowego słońca, Egipcjanie nieśli kosze rąk, mieli działka przeciwczołgowe i konie bojowe, wozy zaopatrzenia ugiwały się pod ciężarem skarbów, zaprawdę, ogromne wojsko zgromadził Starzec w hołdzie Krongoldowi... a Eleonora musiała słuchać rozkazów wstrętne Merlina, musiała się płaszczyć i parzyć kawę temu wieprzowi... te jego gadki!... stawiał przed nią czary i wabiki, bądź wolna, zapomnij o Krongoldzie, możesz być wszystkim, czym tylko zechcesz... mogę zmienić także siebie, no

powiedz, czym mam być, przymilał się obrzydliwy Merlin... mogę być zaledwie dwudziestoletnim chłopakiem i świetnie grać na gitarze... albo zmienię się dla ciebie w kierowcę formuły pierwszej... mogę też być pięćdziesięcioletnim pisarzem w swetrze i z fajką... no powiedz, Eleonoro, wszystko to załatwię... tylko zapomnij o królu Krongoldzie, zapomnij... krzyczał ze wściekłością Merlin i to słowo: „Zapomnij”, uderzało echem w ściany korytarzy i sal, aż nietoperze się bały... wstrętna świnia! zawołał Ondra, dlaczego ta świnia ma takie czary? Tego nie wiem. Ale król Krongold się zbliżał i rozłożył się pod wieżą obozem, a piękna Eleonora wyciągała ku niemu przez okienko wieży ramiona... w namiocie król z Ryszardem, podkomorzymi i innymi rycerzami układał plan... a barbarzyńscy Nubijczycy ustawili tymczasem katapulty i miotali na miasto ogniste kule i rozmaite świństwa, a Merlin dostał strzałę w oko... Ondra klasnął w ręce... ale nie zaszkodziło mu to i batem gnał swoje wojsko robotów na mury... Krongold wsiadł na konia, żeby się przejechać, hej, i wiesz, co zobaczył: z nieba opadał orzeł! Tak, orzeł. Kurwa mać!... a dalej?... dalej, Ondro... tak, dalej... dalej to wyglądało nieciekawie, człowieku... Krongold przed atakiem strzelił sobie puchar wina, ale to komputerowe wojsko w mig znikło pod ciosami topora Merlina i Krongold został sam... sam... i nie mógł pójść do niej, ona wołała, a on znowu strzelił sobie puchar, on ją zdradził, drań, no tak... daj mi już spokój... Ondra... to już koniec... Teraz gadasz bzdury! Pieprzysz! Tak nie było! Ondra szarpał mnie za koszulę, opędziłem się od niego... potem ciągnął mnie za włosy, chyba beczał... jesteś debil, taki sam debil... jak wszyscy inni.

Potem zrobiło mi się żal, jasne... rozzłościłem jedyne go człowieka, z którym dało się tu mówić... Ondra, nie wygłupiaj się, pomyliłem się, to nie było tak... odszedł urażony, udawał, że mnie nie widzi.

Ale było mi lepiej. Dostałem nawet w Caritasie spodnie i koszulę. DISCO SUPER było już też podarte. Dali mi coś z Myszką Miki. Wziąłem też waciak, chciałem być opatulony... bo tam, gdzie nikt nic nie miał, ja miałem pistolet... i Matkę Boską. Ze srebra. A ją musiałem chronić. Ze wszystkich istot została mi tylko ona. A gdyby to u mnie zobaczyli, musiałbym się bić. Jeśli w ogóle otrzymałbym taką szansę. Miałem też swoje klucze. Ale tam na razie pójść nie mogłem. To okropne, zadzwonię do magistratu, skarżył się Dziadek, mam jeszcze znajomości! Popatrz na nie, bezwstydnice... dwie rumuńskie Cyganki siedziały na ziemi i dawały pić swoim dzieciom... wiedziałem, że Dziadek raczej chodzi je podglądać... ale teraz był rozgniewany... psują interesy, ja jestem gość stąd, Wełtawą chrzczone, jakby nie wystarczyły te buraki, co tu leżą, teraz jeszcze cudzoziemcy, powinni się wynieść... ale nie odważył się nic zrobić, Cyganki nie były same, a ich faceci wzięliby dziadka w niezłe obroty... to zabawne, powiedziałem, właściwie kto z kogo robi niewolnika, te alfonsy... nędzne ścierwa, niech stąd spierdalają, groził im Dziadek z daleka... czy te baby ze swoich dzieci... poślę to do gazet, to jest okradanie porządnych Czechów... a może niektórych dzieci naprawdę nie wykarmią i czują się zmuszone, nic innego nie umieją, zabawne... ja bym je powystrelał!... kto z kogo robi niewolnika, ciągle... ale tamta ma piękne cyce, mlasnął Dziadek. No tak.

Jestem agresywny, ale księga też jest agresywna... mówił już chyba kopnięty kaznodzieja. Tłoczyliśmy się tam w Misji... Dziadek zaciągnął mnie do tej izby... w smród naszych szmat, ale na stole była zupa i kanapki, a nawet bułeczki, uch, powiedziałem sobie i zamknąłem oczy... tak, ta księga jest księgą wojny... Teraz wyciągnie *Chłopców znad Rzeki Bobrów*, matkojebca jeden, powiedział ktoś za mną... wy jesteście tymi, którzy krzywdzili i których krzywdzono... to przede wszystkim! zawołał inny głos zza moich pleców i facet wielki jak góra posunął się od drzwi do przodu... kaznodzieja go zatrzymał, był niski, przygarbiony, razem z gorylem przy wejściu tworzyli zgraną parę... odźwierny miał na sobie podkoszulek z napisem „Jezus cię kocha”, tam gdzie nie było podkoszulka, ukazywał się tatuaż... wchodząc do Misji, powiedziałem mu: I ciebie też, specjalnie, żeby zobaczyć, jak

zareaguje, spuścił tylko oczy i powiedział: Wejdźcie, grzesznicy, powiadam wam, dalej go nie kusilem... moja księga to księga wojenna, a jest nią Biblia, zawołał kaznodzieja i stanął na krześle... zrozumcie wreszcie historię... zacznij od siebie, kutasie, mruknął głos za mną, zaburczało mi w brzuchu, inni przyglądali się z zainteresowaniem... kaznodzieja przez chwilę balansował na krześle, ale potem uznał, że lepiej jednak zejść... bracie Arturze, zamknij drzwi, jest tu tłok i przeciąg... będziecie się smażyć w piekle! ryknął kaznodzieja. A to, co przeżywacie teraz, to spacerek! Stojący obok mnie Dziadek podrapał się po strupach, a jakaś kobieta z przodu zaczęła beczeć. Tak, to spacerek po ogrodzie różanym, tam na dole szatan będzie was nabijał na widły, o tak!

Czego straszy ludzi, cholera... warknął głos za mną... jakich ludzi, głupku? Gdzie tu jakichś widzisz? odpowiedział mu inny głos. Cicho tam! zagrzmiął kaznodzieja. Jest tylko jedna możliwość! Wpuście do swoich serc Jezusa, on do nich cicho puka, a smok wdziera się w nie szybko jak uderzenie bicia... nastąpiła dramatyczna pauza, w której rączka kaznodziei wykonała gest biczenia... ale Jezus! To nie był żaden płaksa, nie był to tchórz jak wy. Jak ty! wskazał na kobietę, a ta jęknęła. Jak ty! Kaznodzieja przebiegał między nami, wskazując nas palcem, wkurwiało mnie to. Nie, mylicie się, zawołał kaznodzieja, jakby ktoś coś choćby bąknął... przypomnijcie sobie Babilon, przypomnijcie sobie wieki poniżania i bicia człowieka, przypomnijcie sobie piramidy, ci na dole zawsze cierpieli pod biczem, a ci wyżej ponosili uszczerbek na duszy, wszystkich trawiły płomień, a oni musieli walczyć, spalać swój gniew we krwi nieprzyjaciół i swojej własnej... chętnie bym już pojadł! powiedział facet za mną... a mnie się chce rzygać, powiedział cicho inny... Jak wściekłe drapieżniki, tak żyli ludzie, albowiem nie znali... we wszystkich krajach świata mordowali się, wszędzie płacz i zgrzytanie zębów, i pożary... ale potem przyszedł on, wojownik, on jeden miał odwagę powiedzieć: Dostyc! Kaznodzieja znowu wskoczył na krzesło: A imię tego najdzielniejszego z wojowników brzmi Jezus... i powiedział: Kochajcie się, to możliwe... przecież inaczej wasze męki przedłużą się o całą wieczność! I niektórzy posłuchali i odnaleźli żywot wieczny. Hołoto jedna, nikt inny wam tego nie powie, wy w swoim poniżeniu i bólu jesteście bliżej Jezusa niż mieszkańcy wież dobrobytu, powiedzcie „Tak!” Odezwało się kilka „Tak”, chyba wszyscy chcieli już to mieć z głowy... Wielu zostało z Jezusem i są już poza światem okrucieństwa, tylko głupcy i zatwardziali tam pozostają, i sekciarze! oni będą gorzeć, ach, będą gorzeć... A Jezus tak był dzielny, że przyjął ludzkie ciało i dał się umęczyć, na kłódach, aby udowodnić... że to możliwe! Z miłości do ludzi! Zostawił dla was świadectwo swej męki, bo tylko męce uwierzycie, tylko ona jest dla was prawdziwa, o, nieszczęśni... tylko się nie zesraj, błażnie, powiedział ten facet za mną... tym razem mnie to wkurzyło, bo w smrodzie i pustce dookoła ten kaznodzieja miał przynajmniej historię, opowieść, tak, zabili go wtedy i trwa to ciągle, a mówią, że nic się nie dzieje... a do tego uświadomiłem sobie, że te słowa, które są w dziecięcych rymowankach, jak na przykład honor, wiara i tym podobne, spotyka się już tylko w tych starych opowieściach kaznodziejów, to jest podobne... ale we mnie był Bog i wiedziałem, że ten gość coś opuszcza... i ewangelista Łukasz zapisał jako jedyny, wy nieszczęśnicy, ciągnął dalej kaznodzieja, że w ogrodzie, w tym starym, zapuszczonym ogrodzie był Jezus sam i w trwodze pocił się... ktoś spadł z krzesła, a kiedy inni go podnosili, trochę hałasowali... ponieważ przyjął ludzkie ciało i jego cierpienie, chociaż nie musiał, ale on był dzielny, nie tak jak my, a ewangelista Łukasz, bando jedna, był lekarzem, wiedział, co widzi, ta trwoga była ludzka, Jezus bał się męki tak jak najędźniejszy z ludzi, i to była jego wojna... i zwyciężył, i dowiódł, że to możliwe... kochać.

Kaznodzieja otarł sobie spocone czoło, łypnął w różne strony oczami, potem mówił dalej o ciele na krzyżu, a kiedy facet za mną znowu coś powiedział, poderwałem się i mówię mu: Zamknij się! A powiedziałem to cicho i niebezpiecznie syknąłem, jakby moja siła... potem znowu szybko usiadłem, bo odzwierny się poruszył... ale nie chwycił tego chudzielca za

mną, złapał mnie, wyciągnął z szeregu, to nie byłem ja!... mówię, ale nagle klęczałem, odźwiernemu wystarczył jeden chwyt... a kaznodzieja mówi: Ty, synu, ty pojąłeś, alleluja, ty pojąłeś i stanąłeś w obronie... jeszcze przez chwilę tańczył wokół mnie, odźwierny cały czas mnie trzymał, a potem poszliśmy na zupę i herbatę.

Mnie jednak kaznodzieja zaciągnął do tyłu i ofiarował mi jakąś broszurę i iks świętych obrazków, ciągle mówił, ale nie miało to już tej siły... skarpetki, mówię... co, synu?... skarpetek nie macie... ach, synu, klęknął na jedno kolano i błyskawicznie zdjął buty, ściągnął je ze stóp... podał mi swoje... nie, nie, ojcze, dzięki... ależ nie... jakoś się stamtąd wyrwałem... w salce ciągle dosyć śmierdziało... i wszystko było już zjedzone. Podniosłem pokrywki z waz z zupą... smutna muzyka. Zostało parę okruszyn, zmiotłem je.

Na szczęście Dziadek czekał na dworze, stał tam jeszcze z facetem, na którego napadłem, a ten powiada: To było dobre widowisko, młody, tak trzeba, inaczej nigdy by nie skończył, he, he, estrada! Mieli kilka bułek, a Dziadek przeszfarcował dla mnie kawałek kiełbasy. Mieli butelkę rumu. Poszliśmy za wagony.

Niebieska Armia... początkowo bałem się ich jak gliniarzy, ale oni mieli nas gdzieś. Taki Dziadek stał się nawet dworcową maskotką. Mnie, ponieważ zachowywałem się spokojnie, nawet kiedy byłem pijany, zostawiali czasem na górze na peronie. Po prostu siedziałem i udawałem, że czekam na pociąg. Rozglądałem się... od czasu do czasu się zdrzemnąłem. Myślę, że wyglądałem jak normalny człowiek.

I teraz koło paru dworcowych przeszliśmy do tyłu. A, zawołał Dziadek na całe gardło, szacuneczek, lizać? Szła szybko przez halę... i prowadziła ją za rękę. Dość długo trwało, zanim zrozumiałem. Przecież specjalnie się nie rozglądałem i byłem zadowolony, kiedy wszystko mi się stapiało, a inni zostawiali mnie w spokoju.

Ślina miała zespół Downa. Nikt nie wiedział, czy to córka madame Szacuneczek, czy nie. Wszystkim było to zresztą obojętne. Prowadzała ją w głąb, do wycofanych z ruchu wagonów.

Nie uwierzyłbyś, jakie gabloty się tam zatrzymują i jacy faceci z nich wysiadają... widziałem wypucowaną brykę... marki nie pamiętam, ale nikomu ani mru-mru. Nie chcę wpaść w kłopoty. Mają na to oko! Znamy najważniejszych gości z magistratu, ha, mamy jeszcze znajomości! Nie wiedziałem... może to, co mówił, należało do dworcowej mitologii, tu każdy miał sporo opowieści. Niewiarygodne znajomości, tu każdy był hrabią Monte Christo, każdy złodziej zarobił milion, każdy ćpun pieprzył o złotym strzale, że niby zaaplikuje go sobie... ale dopiero jutro... ćpuni tylko się tu zatrzymywały, nie mieszkali tutaj, wszystkie te nieszczęsne wykończone pijaczki były kiedyś rzekomo sławnymi aktorkami i piosenkarkami. Te kłamstwa i półprawdy, i sentymentalne historyjki... każdy tu przeżywał iluzje o sobie, ponieważ codzienne starania o kawałek żarcia i ciepła, i miejsca do spania zabierały cały czas, niekiedy było to okrutne. Rzecz jasna... chodziło głównie o zamącenie świadomości. Nie tylko ja zataczałem się we mgle. Życie niektórych z tych włóczęgów było prawdziwą harówką... więc opowiadali swoje bajki i kłamstwa, bo nic innego nie mieli. Nikomu nie chodziło o to, żeby mu uwierzono... oprócz momentów zapłakanego kaca... był to też temat do rozmowy. Pozwalało to poruszyć czas.

Ślina naprawdę się śliniła. Raz widziałem, jak ją Szacuneczek Liza karmi. Maczała jej chleb w mleku.

Siedzieliśmy i popijali, powoli, żeby flaszka starczyła na dłużej... było lato, ale powietrze... już wyglądało to inaczej. To, co dał mi kaznodzieja, chciałem wyrzucić... zdziwiłem się, kiedy mi Dziadek wyrwał obrazki, nawet mnie skrzyczał, chudy strach na wróble. Dałem mu spokój. Siedziałem na metalowej beczce, a inni siedzieli na podkładach wokół ognia. Dziadek, facet z Misji, jakiś Polak. Przyczłapał też Ondra, przysiadł się do nich, udawał, że mnie nie widzi. Rozmowa kulała. Dziadek, natarczywie mrugałem na starego... ty chciałeś, bardzo chciałeś, żebym opowiedział do końca bajkę o królu Krongoldzie, nie? Dziadek zaczął się wiercić... tak, jasne, przecież obiecałeś... rzuciłem okiem na Ondrę,

siedział ciągle odwrócony plecami do mnie, ale wyglądało na to, że nadstawia uszu... Gość z Misji coś warknął, znudzony, ale Dziadek kopnął go w łydkę... poprzednio wszystko pomyliłem, całkiem mi odbiło... Merlin wprawdzie posiekał na kawałki komputerowe wojsko, ale, Dziadek, teraz dobrze uważaj... został jeszcze młody procarz od Lwiego Starca, był to jego giermek, on również poszedł z Krongoldem... i musisz wiedzieć, Dziadek, że ten procarz to był sprytny chłopak... wyglądał na szesnaście lat, ale był młodszy... to jednak wcale w niczym nie przeszkadzało, bo on, Dziadek, a to jest historycznie udowodnione... pić, szczerknął Polak, podałem mu flaszkę, podobno też się na nią złożył... on był od dziecka w genueńskich sierocińcach, a tam się niejednego nauczył... tak więc w niczym to nie przeszkadzało, że jest mały... i nie był wcale komputerowy, był to człowiek, toteż nie poczuł topora Merlina, chociaż wokół niego całe wojsko padało, jeden za drugim, mężowie w zbrojach, jak ścięci piorunem... tak to było w tej książeczce... ten giermek, procarz, był bardzo odważny, a kiedy zobaczył, że król Krongold stracił świadomość... ten procarz, nazywał się Ondraś, wdrapał się na wieżę i co widzi... Merlin pełźnie do komórki, w której płacze piękna Eleonora... i ma ostry sztylet, idzie, rozlega się skrzywienie, idzie, rzuca cień na podłogę komnaty, idzie... skrzyp... skrzyp... deski skrzypią, a Ondraś napiął procę i bach go... prosto w oko! He! powiedział Dziadek. Przecież strzała mu nie zaszkodziła, powiedział Ondra... strzała mu nie zaszkodziła, bo to była strzała komputerowego wojska, a Starzec lew nie wiedział... nikt tego nie wiedział!... że Merlin też jest zaprogramowany!... więc strzały z programu nie mogły mu zaszkodzić, ot i co... natomiast Ondraś miał prawdziwy kamień z pustyni i Merlin mocno się zachwiał... małemu procarzowi to wystarczyło, przebiegł koło niego cicho jak kot, wbiegł do komórki, a tam była królowa Eleonora, padli sobie w objęcia... nie, właściwie to nie!... tam, no tak, aha... jak to było... ogólnie paranoja, stwierdził Polak i owinął się kocem... wzięli koc i prześcieradła i machają do Krongolda, Krongold zauważył jakiś ruch... i opamiętał się!... skoczył na swego szlachetnego arabskiego rumaka i pocwałował... tymczasem Merlin... no to jest jasne, wściekał się... był wstrząśnięty, ale wściekał się, wydrapywał paznokciami drzazgi... spod drzwi... Ondraś stał przygotowany z procą... a Eleonora klęczała i wznosiła do nieba białe ramiona: Spiesz się, najdroższy, śpiesz się, Krongoldzie... a król od rzucił ciężki pancerz i wbiegł do wieży... nagle drzwi komnaty rozpadły się i do środka wpadł Merlin, rzucił się na nich z okropnymi szponami... Ondraś spodziewał się tego, był sprytny!... szybko napiął procę i w drugie oko! Bach go! I Merlin padł na ścianę... ale zaraz znowu się na nich rzucił... Ta chwilka jednak wystarczyła! Do komórki wbiegł Krongold, a kiedy ujrzał Merlina, przebił go! Eleonora omdlała w jego ramionach. Kim jest ten młodzieniec? spytał Eleonory król Krongold i chmurząc się, wskazał Ondraśa... to jest, królu, cny żołnierz, to on dwakroć powalił potężnego i złego czarodzieja Merlina! powiedziała piękna Eleonora i ofiarowała Ondraśowi plectonkę ze swych złotych włosów. Tak więc rzecz się przedstawia... pasuję cię na rycerza, zawołał piorunowym głosem król... i weź to, dzielny bohaterze... i podał Ondraśowi ogromny miecz obficie wysadzany diamentami... miecz poległego rycerza Dolfusa... jeno bohaterowie mogą nosić miecze bohaterów, zawołał Krongold i komnata zadrżała... Ondraś został więc rycerzem... Aha! Dlatego miał Krongold te dwa miecze, tak... a w zamku czarodzieja Merlina były niezliczone skarby... wyekwipowali wspaniały okręt i popłynęli do Genui... a Krongold poślubił Eleonorę... a Ondraś... no właściwie to... no tak... Ondraś został z nimi! Normalnie go adoptowali... i mieszkali razem w wielkim zamku w wysokich górach... w powietrzu, i pilnowali dróg... są jeszcze inne części, o tym, jak Ondraś wyprowadza swego arabskiego rumaka, narzuca na niego czaprak i jedzie spotkać swe kolejne przygody... no, co jest? Już śpicie... ja tu mogę ochrypnąć, a oni śpią... flaszkę wykończył Polak... no, wspaniale... chrapali wszyscy... goście z Misji ciekła ślina... Ondra był skulony u nóg Dziadka, też w łachmanach, zasnęli. Poszedłem za podkłady.

Nie obyło się bez wypadków... ta strunka w głowie, już rzadko ją czułem... wprowadziłem sobie regularne godziny, siadałem na peronie i oddawałem się myśleniu o Czarnej, już nie wierzyłem, że wysiądzie z pociągu... już się tego nawet przestałem bać... a kiedy się raz wzdygnąłem, była to inna dziewczyna... resztę dnia jakoś zawsze sobie wypełniałem: laziłem, gapiłem się, spałem... przyszło mi do głowy, że spróbuję odejść z dworca, pójdę na Gazowniczą, tam wezmę sobie ubranie i jakieś pieniądze, coś tam będzie, umyję się, żeby na ulicy nie zwracać na siebie uwagi, a potem pójdę tam, dokąd iść muszę, zrobię to. Poklepałem pistolet.

Sama odezwała się do mnie. Nic szczególnego, ale młoda, trochę nalana twarz, jasne włosy. Chwyciła mnie za rękę. Słowo nastąpiło po słowie, ramiona się dotknęły. Pomacałem ją pod stołem, żeby wszystko było jasne. Nie pogniewała się, we mnie zarżało... przesunąłem spojrzeniem po swoich szmatach, panował półmrok, wypiąłem pierś... po kilku kieliszkach otwarcie się migdaliliśmy... a ja czułem podniecenie, a więc z całą pewnością zdrowiej, pomyślałem egoistycznie. Nie wychodziłem z tym popijaniem z półmroku, żeby nie zobaczyła, jak jestem wystrojony. Zacząłem cieszyć się na Gazowniczą. Teraz mogę tam iść... zdrowszy. Przedtem nie mogłem sobie wyobrazić, że znowu stoję przy tej umywalce. Jak wtedy z nią. Może ma tam nawet jakieś swoje rzeczy, drobiazgi. Przedtem bym tego chyba nie wytrzymał.

Ruda garnęła się do mnie. Pielęgniarka na wakacjach w mateczce. Z pewnością gadała bzdury, ale było to ładne. To znaczy, że jeśli się przewrócę i rozbiję sobie mordę, to mnie zabandażujesz, tak? Tak ci go zabandażuję, że nie uwierzysz... owinę ci go tą swoją... to będą dopiero przeżycia, chwaliła się. Umówiliśmy się, że ja zapłacę za alkohol, a ona za taksówkę. Albo zostaniemy u mnie, albo weźmiemy forsy i gdzieś pójdziemy. Do piwnicy pójdę zaraz z rana, to będzie stylowe pożegnanie, mówiłem sobie. Mówiłem sobie z mężnym uśmiechem. W taksówce trochę rozrabiała.

Tak... to jest Gazownicza, powiedział kierowca. Nazywa się tak samo.

Poznałem sklep na rogu, ale poza tym... ta ulica, która należała do najgorszych w mieście... wiele domów miało nowe fasady, czekaj, zostaw mnie, odsunąłem ją, tutaj jest butik, wystawa z tojflnikami, sprzedają szkło, tu... bank, to nie do uwierzenia...

Wysiadacie czy jedziemy dalej?

Poczekajcie tu, powiedziałem kierowcy i rudej, szedłem jak we śnie. Pod numerem 23, gdzie powinna znajdować się moja dziura, był hotel. Szklane drzwi, kelnerzy, stoliki... hotel Europa, no, jasne, bardzo oryginalne... kaktusy, na ścianach jakieś chińskie grobowce, luksus... nienatępna muzyka, czerwony dywan...

Pan dokąd? spytał mnie jakiś facet w mundurze, portier. W świetle jaśniejących kandelabrow patrzył na moje ubranie.

Ja tu mieszkam.

Ach, tak... zobaczmy. Który apartament?

Co... co takiego?

W którym pokoju.

Na strychu, w dziewiątce.

Ale tego już nie ma. Teraz jest tu hotel, jak raczy pan widzieć.

A co z moimi rzeczami, do cholery?!

Proszę zgłosić się na ratuszu, wydział 77. Byli lokatorzy, którzy nie zgłosili w odpowiednim terminie swych roszczeń, zostali przeniesieni do Magazynów Miejskich. Pan nie zgłosił swych roszczeń i nie może już pan zgłosić.

Co? A gdzie są ci ludzie?

Nie otrzyma pan od nas żadnego lokalu zastępczego.

Gdzie są ci wszyscy, co tu mieszkali?

A gdzie mają być? Gdzieś poszli.

Wgramoliłem się z powrotem do taksówki. To niesamowite... moje mapy marynarskie, fotografie... kilka marynarek...

Dokąd teraz?

Z powrotem!

Ruda zrozumiała dopiero po chwili. Więc nic nie masz? Nie. Taksówkarz zatrzymał samochód, żeby dać jej wysiąść. Nie pożegnaliśmy się. Uciekłem mu potem przez krzaki. Smutne, ale nieuniknione.

Udało mi się uchłać jak za starych czasów. Do czego może dojść? mówiłem sobie. Co ja właściwie mogę? Co jest w moich siłach? Wieko definitywnie się zatrzasnęło. I ze wszystkich tych czarnych rogów i kątów... ze wszystkich dworcowych pysków zaczęła we mnie wnikać zła siła, nie usprawiedliwiam się, to ja ją tam wpuściłem. Najpierw poszedłem za podkłady. Do swojej komory. Znalazłem tam flaszkę, grzeczny chłopiec! Wiedział, że tu bywam, i zostawiał mnie w spokoju. On zna dworzec najlepiej, wie, gdzie się co dzieje. A jednak co go czeka. Jeśli przeżyje, będzie z niego włóczęga. Może król włóczęgów, jeśli będzie silny. He, he, rycerz na koniu, to mu szybko przejdzie. Zacząłem być zły... Dziadka obwiniał o to, że jest mi dłużny forsz... był sam i bał się... coś wysupłał. Piłem. Cóż ja mogę? Cóż takiego mogę? To był mój refren. Na bok, debilu... odsunąłem kogoś... kogoś, z kim może dzień wcześniej popijałem, obejmowałem się, znajdowałem wspólny język, całkiem możliwe, że obok siebie chrapaliśmy w takich samych zawszonych szmatach... jego opowieść, wyszczerzyłem do nędzara zęby, milczał, ulotnił się. Jego szczęście. Mógł oberwać za moje męki, skurwiel. Mógł już wszystko miecza sobą, nędzny zasraniec. Dziś nie pamiętam, kto to był. Poszedłem do ubikacji, gdzie nigdy nie wchodziłem, nagle strunka rozdzwięczała się nieznosnie i nie mogłem... siedziałem tam i kiwałem głową, i chciałem, żeby się to skończyło... i musiałem słyszeć wszystkie te dookolne odgłosy i głodne kawałki... tak bardzo mnie bolało! Wyrwałem lustro ze ściany, trochę ten sracz zdemolowałem. Jakiś goguś wolał szybko się wymknąć. Jestem człowiek, który może wszystko. To, rozwaliłem nogą bakelit, i to też, rozbiłem pięścią żarówkę, płynęła ze mnie jucha, to dopiero mnie rozwścieczyło... poszedłem na dół, koło żeńskich ubikacji bywały w tym czasie dziwki... ty chodź ze mną... nie, ty nie, była młoda, tego nie chciałem, ty, wybrałem stare pudło, zachrypniętą kurwę, ledwie się wlekła... ile dasz? Ile chcesz, ale chodź, rusz się... chodźmy za krzaki... wyszliśmy aż na górę, w okolice wywietrzników, w cień słabego światła, zauważyłem, że na krzaku są krople, chyba rosa, czy to możliwe? Co mówisz... jaka rosa? Jak to chcesz? Przejechała mi ręką po spodniach. Stwierdziłem, że to Szacuneczek Liza. Ale co ona robiłaby na dole, ma przecież inne stałe miejsce, wszystko jedno... dotykała mnie, gęba w szminkach, jak maska, maskara... przecież ci nie stoi... ile dasz? To ci dam... klęczała na ziemi, usta miała otwarte, przyłożyłem jej lufę do czoła, szybko, żeby nie widziała, żeby się nie bała... nacisnąłem cyngiel, miała w głowie dziurę, dopiero potem ten dźwięk kopniakiem rozwalił noc, krew chlusnęła, usta były ciągle szeroko otwarte, odwróciła się, nogi wyrzuciła w powietrze, wystrzał mnie ogłuszył. Nie, to nie mogło jej boleć, pistoletu już nie trzymałem... widzisz, powiedziałem sobie, to wszystko możesz... a gdybyś chciał, mogłaby cierpieć, są różne możliwości i to jest straszne. Prerażenie, więc ja mogę... także i to. Stałem i czekałem... wystrzał musiało być słychać, czekałem... aż ktoś przyjdzie, gliniarze... ktokolwiek... ale nic się nie działo, leżała tam, pod krzakiem, były na nim krople. Lśniły. Liście w zimnym świetle sterczały tak samo jak przedtem. Pochyliłem się ku niej... czy to jest Szacuneczek, czy nie... i ach... krzyknąłem albo wyszło to ze mnie z oddechem... było to ciało i twarz staruszki, siwe włosy, spuchnięte ciało... było to ciało mojej Psicy, to była staruszka, którą wtedy trzymałem w ramionach, tam, gdzie mi się oddała, w piwnicy.

Biegłem przez park, ręce przyciskałem do twarzy, słyszałem swój oddech i zęby, słyszałem, jak uderzają o siebie, nie panowałem nad szczękami... twarz mi drgała.

Leżałem pod krzakiem, był już prawie dzień. Głowa mnie bolała. Ale strunka spoczywała w spokoju gdzieś w ciemności. To był sen, przemknęło mi przez myśl, to, co wczoraj... ja bym przecież czegoś takiego nie zrobił... ale pistoletu nie miałem... wstałem... znalazłem to miejsce. Pognieciona trawa, owszem... tu leżała, ale nic tam nie było, na liściach plamy... nie krew, zerwałem liść, zbrązowiały, stwardniały, ledwo żyje w wietrze i kurzu... poszedłem na dworzec, do hali, wlokłem się... w ubikacji puściłem sobie strumień wody na głowę... wszystko porozbijane, ale tak jest zawsze, nie wiem, żarówkę mogli wymienić. Szukałem Dziadka. Jakimś cudem... miałem trochę pieniędzy, kupiłem mu kawę. Wiem, że mam u ciebie dług, Dziadek, ale wczoraj... no, ubzdryngoliłeś się, a potem chrapałeś w parku. Dziadek, podobno wczoraj... zabito tu jakąś kobietę... Ja nic nie wiem, mówi się tu diabli wiedzą jakie rzeczy, co ci jest? Kac. No tak, kobietę, kurwy przychodzą i odchodzą. Chyba mi się to śniło... wypilem łyk kawy. Może i nie, powiedział Dziadek. A!... oparzyłem się. Co mówisz, Dziadek, ty coś wiesz. Ja nie wiem nic, skąd mam wiedzieć, jakie ty masz sny... cholera... odczłapał... odbija ci tu szajba, zawołał za mną, lepiej stąd odejść... jesteś jeszcze młody... idź stąd!

Chyba po długim czasie naprawdę się pomodliłem... i myślałem też o swoich, o starej rodzinie... posłałem ich do diabła, wtedy, w pradawnej epoce, pustej, wydrążonej... ale tam mnie zawsze prowadzili. Do kościoła, kiedy byłem mały. Musiałem tam chodzić. Teraz mówiłem: Nie jestem godzien, abys przyszedł do mnie, ale powiedz tylko słowo... a będzie uzdrowiona dusza moja. Mówiłem to z żarem. Ale było cicho. Tylko ja krzyczałem, bo... obmacałem się, czy nie zgubiłem też Matki

Boskiej... w takim razie nic już nie wiem, jestem stracony. Była tam. Na mojej szyi.

Wyszedłem z hali i szedłem przez park, odchodziłem, nie z powodu tego, co powiedział mi Dziadek, nie z powodu tego, co wczoraj... jeśli to się nie stało, ten sen był tak samo ważny, o czymś mówił. Odchodziłem... świtało, a o świcie zwykle jest trochę mgły, trochę chłodu, nagle słyszę za sobą: Czeka! Dokąd idziesz?

Odchodzę.

Wiesz co... idę z tobą.

To niemożliwe, tam nie...

Ale nie, idę z tobą...

Nie.

Wiedziałem, że ten chłopak... że tam ciągle jest. Słyszałem, że biegnie, i odwróciłem się.

Ondra! Zatrzymał się.

Mówię ci... że to niemożliwe!

Możliwe!

Słuchaj no... podniosłem kamień. Zostaw mnie w spokoju. To niemożliwe.

Weź mnie ze sobą...

Daj mi spokój! A ponieważ ruszył pędem, rzuciłem kamieniem.

Nie chciałem go trafić. Wiedziałem jednak, że jest przyzwyczajony. Że inaczej by nie zrozumiał. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, że ciągle tam stoi. Drobna postać. Wkurzało mnie to. Wyszedłem z parku.

W ZMIENIAJĄCYM SIĘ POLU KOLORÓW. Z KOŚĆMI JĘZYKA ITD. NIE
WYDAŁO MI SIĘ WŁAŚCIWE. KOGO SIĘ BOJĘ. DALEJ KU
BALKONOWI. POKAZUJE MI TO: CZUJĘ WIELKI GŁÓD. KAMIEŃ. ONA
MA ZASŁONĘ, JEST MIŁA. MÓWI: MUSISZ. MUR I CO JEST ZA NIM.

Nie poszedłem do domu z godłem. Ale kiedy znalazłem się w mieście, gdzie wystarczyło mi skoczyć na jej strych... do tego mieszkania, gdzie dzieliliśmy nasze sprawy... też nie mogłem, nie dało się.

Klucz miałem. Schowałem go bezpiecznie w wewnętrznej kieszeni waciaka. Wszystko mnie rozboleło. Strunka nie odezwała się, jej pilnowałem. Ale ucisk w piersi. Tam, gdzie miałem srebro, czułem całą skórę, jakby mi wyrosły łuski. Jakby mnie mądra i łaskawa twarz Matki Boskiej ciągnęła do ziemi. Do ziemi. Szedłem na ogół ze spuszczonej oczami. Nie chciałem widzieć innych ludzi. Tramwaje mnie przerażały, zniknąłbym w żelaznym brzuchu. Ludzie wisiele tam na metalowych prętach i wyglądali przez okna. Szedłem bardzo ostrożnie i powoli, pilnowałem drogi. Została tylko jedna.

Takiego jak teraz Wysypiska nie pamiętałem. Oczywiście... coś tam do mnie dochodziło. Rozszerzyło się. Ojcowie miasta uznali za korzystne wynajęcie nieeksploatowanych przestrzeni potężnym firmom zagranicznym. Z kilku dobrze prosperujących krajów przyjeżdżały tu ciężarówki z odpadkami. Nie tylko wyrzucano mnóstwo rzeczy, które miejscowi jeszcze wykorzystywali, ale nawet za to płacono.

Teraz Wysypisko ciągnęło się od ostatnich osiedli w nieskończoność. Wisiał nad nim opar. Był żółty, od czasu do czasu porywał go wiatr. W wielu miejscach ku niebu unosił się dym. A niebo było mętne, nasycone wodą chmury ledwo się ruszały. Ale w tym kierunku nie patrzyłem. Musiałem iść ostrożnie, uważać, na co nadepnę. Miękkie rzeczy często cuchnęły. Szybko natrafiłem na dróżkę, ścieżkę. Wysypisko jedynie pozornie było martwe. Wzdłuż ścieżki smażyły się opony, wiatr owionął mi twarz żarem. Pod papierami bulgotała jakaś niewiadoma toń. Były tu sztuczne góry. Nawieźli je tutaj. Obchodziłem góry i szedłem kanionami. Gdzieniedzie był popiół. Położyłem dłoń na usta, bo miejscami wiatr go rozrzucał. Między hałdami odpadków niekiedy było bezwietrznie, czasami na otwartej przestrzeni musiałem podbiec, żeby nie dosięgnął mnie język żaru. Tu i tam podłoże było twarde. Nie kołysało się. Szedłem polem blachy. Były w niej dziury. Tu zaczynało się cementarzyisko wraków. Tam spotkałem pierwszego człowieka, chciałem tego uniknąć, ale musiałem zejść ze ścieżki. Była to dziewczyna, najwyżej piętnastoalbo szesnastoletnia, oberwana i wychudła. Miała paznokcie obgryzione aż do skóry, zauważyłem to, bo ciągle mi nimi machała przed oczami. Pryskając śliną, rzuciła mi prosto w twarz: Nie widziałeś Baśnaka? Gdzie jest? Muszę z nim porozmawiać! Cofnąłem się trochę: Nie znam. O, to przepraszam, powiedziała... nie masz jakichś drobnych? Wyminąłem ją. Byłem już daleko, w głębi Wysypiska. Ścieżkę, którą szedłem, przecinały inne dróżki. Widziałem stopy skrzyń. Wszystkie jednakowe, jakaś olbrzymia siła narzuciła je na siebie. Część była zgnieciona. Wszystkie były jednakowe, ale niektóre leżały na boku, inne na sobie, widziałem chyba wszelkie możliwe kombinacje ich ustawień. Pokazywały rozwalone boki, wieka, dna. Były związane drutem. Przyszło mi do głowy, że to może jest nieskończoność. Gdybym był grafikiem, robiłbym takie widokówki z kosmosu, kiedy już go zdobędziemy. Potem znalazłem kontener pełen zgniłych cytryn. W tej pozieleniałej żółciznie były welony lśniących owadów i czarnych much. Ale niektóre owoce okazały się całe, wpychałem je do kieszeni.

Nie wiem, skąd się tam wzięli. Może wyleźli z jakiejś dziury. Było ich trzech, a jeden mówi: Spierdalaj. Spierdalaj stąd! Posłuchałem. Słyszałem już o ludziach z Wysypiska. W końcu szedłem jedną z ich dróg. Tutaj w mazistej obrzydliwości sterczały koły. Staralem się mieć je po jednej stronie. Któraś z toni pełna była robactwa, z zamkniętymi oczami i ustami przeszedłem przez jego zasłonę. Tylko od tego bzykotu swędziało mnie całe ciało. Może się tam rodziły, może właśnie tam niektóre opuszczały ziemię. Chciałem dojść do jakiegoś miejsca, które nie należy do nikogo. Może takie miejsce jeszcze na Wysypisku jest. Zapchali je szybko. Może szybciej, niż było zajmowane. Wśród hałd dostrzegłem zardzewiały szkielet autobusu, był tam kawałek blachy przypominający komin. Dymiło się z niego. Na schodkach siedziało dziecko. Na sznurach suszyła się bielizna. Obszedłem to miejsce. Gdzieś dalej były maszyny. W tej żelaznej gmatwaninie niektóre maszyny wyglądały jak kości potworów. Płaty blachy, dźwignie, szkielety kół. Kiedy świeci słońce, metal niewątpliwie błyszczący, tu i ówdzie były plamy rdzy, jak wielkie krople, jak gangrena. Przeszedłem pod czymś, co kiedyś było taśmą montażową. Zmieniłem ścieżkę. Natrafiłem na dwóch staruszków, siedzieli przy małym ognisku. Zardzewiała pompa owinięta szmatami była może jedynym mechanizmem, który pozostał ze starej zabudowy. W wielkiej puszcze gotowała się woda. Jeden ze starców miał na sznurku psa. Pies szczeknął na mnie. Szedłem jakąś ścieżką na chybił trafił. Bałem się, że się zapadnę w coś, czego nie znam. Gdzieś. Mogli mieć też fałszywe ścieżki, dla tych, którzy nie mają tu nic do roboty. Gdybym żył tutaj, właśnie tak bym to zrobił. Nawet Wysypisko nie może być nieskończone, nie jest dla każdego. Raz stos śmieci osunął się przede mną, spadałem w jaskrawe kolory. Były to tylko plastikowe worki i opakowania. Po soku. Multivitamin Nectar. Musiały ich tam być miliony.

Stałem na miejscu, gdzie nie było nikogo. Nie widziałem ziemi. Tylko papier i plastik, ale nie cuchnęło tam. Poza tym wszędzie nad Wysypiskiem unosił się smród. Tu nie było nawet jednej muchy. Gdzieniegdzie zapach był gryzący, gdzie indziej kwaśny. Doszedłem do ogrodzenia z blachy. Za nim Wysypisko ciągnęło się dalej. Tego ogrodzenia nie było widać między górami odpadków, trafiłem na nie przypadkiem. Koło niego były metalowe beczki, cała kupa. Pomalowane były na żółto, ale farba w wielu miejscach już poodpryskiwała. W pewnym miejscu nad beczkami wisiał daszek z blachy falistej, taki jak na przystankach autobusowych. Wszedłem pod niego.

Beczki leżały na workach. Wyciągnąłem je. Ściemniało się. Najpierw zjadłem cytryny. Potem owinąłem się workami i patrzyłem. Zaczęło kropić, wlałem pod daszek. Słyszałem śmiechy i rozmowę. Myślałem, że dźwięki rozlegają się tylko w mojej głowie, ale potem dojrzałem migotliwe odbłaski płomienia. Daleko. Odgłosy niósł do mnie wiatr.

Następnego dnia znalazłem na cmentarzu wraków deski. Powąchałem je, były nasycone smołą, zrobiłem z nich ścianę. Koło beczek leżały też worki ze stwardniałym cementem. Podczas budowy wesoło rzucałem je za plecy. Teraz zajęło mi godziny ułożenie ich na sobie. Potem długo odpoczywałem. Wieczorem znowu byli tam ci ludzie przy ogniu. Musiałem do nich iść. Byłem głodny i spragniony.

No, dlaczego nie miałbyś tu być, to jest wszystkim obojętne, powiedział Sęp i szarpnął sobie wąsy. My tu mieszkamy także w zimie. Jakiś piecyk znajdziesz. Lisica rzuciła w ogień kilka szczap drewna. Rozpalali go, polewając wszystko benzyną. A jutro przyjedzie Jasuda, to se podjesz. Sęp podał mi kawałek chleba. Napchaj się.

Pierwsze, co mnie uderzyło, kiedy patrzyłem na tych włóczęgów... niektórzy byli niewątpliwie zapitymi ludzkimi wrakami, ale wszyscy mieli na sobie całkiem normalne łachy. Sęp poinformował mnie, że znaleźli je na Wysypisku. Tak, przed Jasudą to było głównie ważne. On obiecał, że zbuduje tu nawet prysznic! Dla kobiet. Ale ich tu specjalnie dużo nie ma. Kijek zszedł z traktora i mówi: Po co prysznic, poczekaj, aż będzie porządnie padało. Wysypisko się zmieni. Czegoś takiego nie widziałeś! Mieli nawet wino, w kanistrach ze sztucznego tworzywa. Podobno są go tutaj hektolitry. Skwaśniałe czerwone. Ale ciało

powiedziało mi: Dość. Napiliśmy się i zaraz to wyrzygałem. Jesteś chory? spytała Lisica. Wszyscy nadstawili ucha. Ależ tej babie łuszczyła się skóra na twarzy... jeśli jesteś bardzo chory, tak naprawdę, to nic z tego, to nie możesz tu być... powiedział Sęp z powagą, tylko tego pan Jasuda pilnuje... bo moglibyśmy zachorować wszyscy... nie, nie jestem chory, jestem zmęczony... rozmowa się rozkręciła, jakby mnie tam nie było... potem Sęp rzucił na mnie pelerynę... weź to, powiedział... tutaj pada często, mży... będziesz tego potrzebować. Ale jest świetnie, w życiu tak nie mieszkalem, nie żarłem... i ciągle coś przywożą. Tu mamy spokój. A Wysypisko będzie, dopóki będzie wszystko.

Powiedzieli mi, gdzie mam następnego dnia przyjść. I weź worek, żebyś miał to jak nieść.

Tej nocy nie mogłem spać. Padało i deszcz bębnił w blachę, w jego rytmie wspominałem... w tym rytmie myślałem albo śniłem. Tego dnia znalazłem jakieś pismo. Była w nim reklama czegoś... filmu... tkwiło w tym obrazku jakieś napięcie, nie wiem, dlatego go wyrwałem, była tam też reklama szpinaku: Takiego jeszcze nie jedliście... przypomniało mi to Czarną, to, co jej powiedziałem. A to, co jej powiedziałem, może nie było już prawdą... nie, takie rzeczy nie giną, pozostaną, póki będę żywy. Drugą reklamę wyrwałem także. Wałało się tam mnóstwo gazet i czasopism, wszędzie.

Jasuda. Ciężarówka przyjeżdżała jedna za drugą i sypały w jamę jedzenie. Wóz zakręcał i odjeżdżał. Robił miejsce następnemu. Ta jama była po czymś. Wyglądała jak lej po wybuchu. Było ich po tej stronie Wysypiska więcej.

Przy ogniu pouczyli mnie, że są to rzeczy z supermarketów, minął termin ich ważności, ale większość nie jest zepsuta... i teraz widziałem... ryby, mnóstwo zamrożonych ryb z oczami jakby z metalu... do jamy sypały się kurczęta... a potem opakowania, kolorowe opakowania, coś w nich było, kiełbasy... potem arbuzy i owoce, których nie znałem... ale od spodu to w tej jamie gnije, nie? powiedziałem do czyichś pleców, ale człowiek ten nawet się nie odwrócił... bażant, kurwa, zjadłbym bażanta, powiedział ktoś, przychodzili następni, dostrzegłem dziewczynę, którą spotkałem jako pierwszą, musiała być wariatką, bo śmiała się, nie była z żadną grupą, tylko się śmiała, wierciła się w błocie, które zostało tu po deszczach... widziałem jakąś starą kobietę z taczkami... do jamy z kolejnego wozu zaczęli wrzucać mięso, nie mieli podnoszonej skrzyni ładunkowej i było to wstrętne. Ludzie wokół jamy ucichli... widziałem połówki prosiąt, owcze łby, jeden po drugim, a potem łopatami... mięso przykryło rzeczy, które już w jamie były, i zaczęły zlatywać się muchy... przestąpiłem z nogi na nogę, przedtem kilka razy się oblizałem... także i teraz burczało mi w żołądku, ale przyjechał następny samochód i to mięso, jego kawały, przykryła z kolei lawina opakowań, drobnych rzeczy, paczki jogurtów, znowu kiełbasy... a to jest pan Jasuda, szturchnął mnie łokciem Sęp, pojawił się koło mnie, na głowie miał stary kapeluch z piórkiem... Jasuda chodził wokół jamy, wysoki facet w garniturze, ale na nogach miał kapcie, a w ręku parasol, machał nim i coś mówił, nie słyszałem go... przyszedliśmy za późno, powiedział Sęp ze smutkiem i znowu trącił mnie łokciem... jak wskaże w naszym kierunku, rusz się! Jasuda machnął parasolem na jakąś grupkę, ludzie się rozbiegli, wkładali do worków i toreb jedzenie, nie walczyli ze sobą, jama była wystarczająco duża, kręcili się, wrzucali jedzenie do worków... a potem, nie wierzyłem swoim oczom ani uszom, Jasuda wyciągnął z kieszeni srebrny gwizdek i głośno gwizdnął, ludzie nad jamą zamarli... powoli się podnieśli i odeszli z łupem, Jasuda kiwnął na inną grupę... słuchaj no, szturchnął mnie Sęp, to ci posyła stara, nie potrzebujemy tego... podał mi kurtkę, była błyszcząca... zielona, ale w nowym odcieniu, nosili takie chyba najpierw narciarze, zanim zrobiły się modne, była ciepła, zapinana na zamek błyskawiczny... ujęło mnie to... dzięki, bardzo dziękuję, jest piękna, człowieku... raz Jasuda przywiózł ciuchy, wyprzedaż... nie podobało się czy co tam... nie dziękuj... podobne kurtki ma tu wielu ludzi, i narciarskie czapki... przy jamie wybuchło zamieszanie, ta dziewczyna została tam i grzebała mimo przenikliwego gwizdu Jasudy... Sęp chwycił mnie za ramię i mówi: Ale krowa, wszystko zepsuje, takich elementów powinniśmy się pozbyć...

jeśli Jasuda się wkurwi, może to zastopować, i to teraz, na zimę... cholera, co to niby za facet, co ma tu na mnie gwizdać, mówię staremu... cicho bądź, kolego, mówi on, czym bylibyśmy bez Jasudy, on to wszystko trzyma, on tu wprowadził porządek, nic już nie mów!... kiedy w końcu przyszła kolej na nas, wlałem jeszcze z dwoma facetami do jamy, było to wszystko już wyczyszczone, staliśmy na mięsie, ślizgaliśmy się i podawaliśmy rzeczy w opakowaniach do góry, trzymałem sztamę z Sępem, byli to tylko ludzie od ognia... dziewczyna pętała się tam także, musiałem ją odsunąć... z tej jamy był wielki gulasz... między owczymi łbami, do których czułem wstręt... z karków wyłaziły kłaki mięcha, oczy zamknięte... trafiłem na główkę kapusty, rzuciłem na górę kiść nadgniłych bananów, były też konserwy... Kijek nagle zatoczył się i pośliznął, rąbnął jak długi... pomogłem mu, a kiedy spojrzałem w górę... napotkałem wzrok Jasudy... przestraszyłem się, chwilę wcześniej wepchnąłem do kieszeni kawałek sera, też w opakowaniu, może mnie nie widział, a nuż nie wolno... ale on nic, uśmiechał się do tej kopniętej... szybko wyrzucałem na górę konserwy... Sęp zbierał je do worka... nie wiedziałem, jak często przyjeżdżają ciężarówki, i bałem się, że usłyszę dźwięk gwizdka... i rzeczywiście... trzymałem w ręku kurczę, było zapakowane w folię, unosiłem rękę, chcąc je jeszcze rzucić, znowu zobaczyłem Jasudę, teraz mnie obserwował, cały napięty, odłożyłem kurczę... uśmiechnął się. Kijek pomógł mi wygramolić się na górę, razem wyciągnęliśmy także trzeciego, wołali na niego MIRA... wylazł, wyciągnąłem rękę do tej dziewczyny, siedziała w kucki i ogryzała pęto kielbasy, była cała we krwi tych zabitych zwierząt, czymś upačkana, ale upačkani byliśmy wszyscy, wszyscy, którzy wleźli do jamy... Kijek pchnął mnie do przodu, zbieraliśmy worki i zawiązywaliśmy je. Została tam już tylko jedna ciężarówka, chyba czekała na tego Jasudę... idziemy, chodź, pomóż mi, powiedział Sęp i starał się zarzucić worek na plecy. Ścieżką szliśmy prawie jako ostatni, ludzie znikali po bokach. My mieliśmy dosyć daleko... wór był ciężki... Sęp, poczekaj... nie przeszkadzało mu, że tak się do niego zwracam... co z tą dziewczyną? Z tą krową?... Jasuda wkurwił się tylko na nią... ona tam zostanie. Co? No tak, on tam też będzie... poczeka! Co z nią zrobi? Słuchaj, chodź już... weźmiesz u nas butelki na wodę, ty tam nie masz wody. Sęp... kim jest ten facet, kto to jest? To jest pan Jasuda. Nikt nie wie, skąd jest. I nie pytaj ciągle, wiele mu zawdzięczamy.

Inny był nie tylko ten częsty deszcz, ciągle mżyło, także noce były inne. Jasne. Może dlatego, że księżyc odbijał się od tego staniolu, od błyszczących powierzchni, było tam też wszędzie mnóstwo szkła, blachy... w nocy było widno. Jasno. Zarysy gór odpadków, pofałdowany wierzch Wysypiska, a więc nad takie morze przywędrowałem, nie szumi specjalnie, nie przewalają się tu grzebienie fal, jeden przez drugi, w przód i nigdzie... ale Wysypisko żyło na dole, czasem coś trzaskało, raz widziałem, jak buchnął ogień, naruszył ścieżkę, ponieważ jednak wszystko było nasiąknięte wilgocią deszczy, ogień nigdy się nie rozszerzał, tlił się i gasł... gdzieś tam szły przez Wysypisko chmury dymu, przyszło mi do głowy, że tu mogłyby się urodzić jakieś nowe stwory... z tej chemii... coś nowego... jakiś smok.

Zrozumiałem, co miał na myśli Kijek, mówiąc, że kiedy lunie, Wysypisko się zmienia... po porządnej ulewie wierzch Wysypiska się zmieniał, przynajmniej tam, gdzie byłem... papierowe góry opadały pod ciężarem deszczu, gdzie indziej z kolei powierzchnia pęczniała... tam, gdzie przedtem leżały kawałki czegoś pomarańczowego, teraz była lepka maź, także ścieżki się zmieniały, ale ja raczej nigdzie nie chodziłem. Deszcz przynajmniej przeganiał owady.

Ale bywało sporo błota na tych ścieżkach.

Niekiedy zachodziłem do Sępa, do jego ognia. Słuchałem, były to takie same historyjki jak na dworcu, spotkałem nawet faceta, który jakiś czas siedział tam razem z Dziadkiem... ale ludzie nie byli tacy wściekli... nie było tu tyle ruchu, mieszkali tu nawet rodziny. Zrozumiałem, że ten tajemniczy pan Jasuda ma tutaj coś w rodzaju policji... ludzie z dziećmi

już się nie bali... Sęp mówił mi, że należał do pierwszych, którzy przyszli na Wysypisko, mówił, że wtedy były tu napady.

Ale ciągle żyło tu sporo dzikich ludzi i człowiek nie mógł być niczego pewny. A ja nie miałem nic, co mógłbym chwycić, porzuciłem to. Straciłem. Już nie, powiedziałem sobie wtedy.

Naciągnij przynajmniej sznur do tego miejsca, gdzie jesteś... żebyś je zawsze znalazł, doradzał mi Sęp. Ale ja nie mam określonego miejsca, mówiłem. Czasem, wracając od ognia, specjalnie kluczyłem, nie musieli wiedzieć, gdzie jestem. Sznur... toby mnie znaleźli. Pan Jasuda. Albo ktoś inny. Nie, dziękuję bardzo. Już nie.

Ciągle bawiłem się czasopismami. Wyrwałem obrazki różnych rzeczy i ludzi razem z ich nazwami. W tej główce kapusty, którą wyciągnąłem z jamy, były ślimaki, małe obrzydliwe ślimaki. Przyszło mi do głowy, że gdybym je wrzucił do pomarańczowej toni, w której coś bulgotało, wyrosłyby z nich mutanty. Tak to w myśli szalałem. Ale byłem spokojny.

Jedzenie. Tyle jadłem ostatni raz za czasów Organizacji. Było tego dużo. Odżywiałem się, nawet kiedy nie miałem ochoty. Byłem kiedyś tancerzem, umiałem skakać wysoko. Ale teraz się włokłem. Zielona kurtka zlewała się z kolorami Wysypiska. Górskie Ochotnicze Pogotowie byłoby tu prawdopodobnie całkiem bezradne. Był to kolorowy świat. Tym przypominał świat w czasopismach. Leżałem za beczkami i opychałem się. Już nie dręczyłem się myślami o Czarnej. Czasem widziałem nas, jak się kochamy. Niekiedy potrafiłem przywołać miękkość jej skóry. Nic nie szkodziło, że na stopie zeszły mi dwa paznokcie i że łuszczyła mi się skóra na dłoniach. Leżałem, syty, a kiedy było słońce i coraz rzadsze naprawdę ciepłe dni, rozbierałem się i leżałem na słońcu nagi. Też mnie odżywiało.

Czasami nawet robiłem sobie spacer. Chociaż nie musiałem nigdzie chodzić, to jednak chodziłem, żeby mieć ruch. Głowa mnie nie bolała. Piłem tylko czasami, przy ogniu. Inaczej nie dało się słuchać tych lamentów i samochwalstwa. Niektórzy ludzie mają szczególną zdolność, przeklinają i proszą o pomoc jednocześnie. Tutaj tak mówili prawie wszyscy.

Leżałem za beczkami i patrzyłem: wiatr porywał papier, strużka wody między starymi koleinami błyszczała, z pękniętej plastikowej torby wysypywała się jakaś masa, dwa gołębie dziobały kawałek kiełbasy, potem scenę zakryła gęsta czarna chmura, kiedy odpłynęła, ptaków tam już nie było, a papier opadł na dół. A działo się to wszystko jednocześnie. I wtedy poczułem cud. Było to zdumienie, które na mnie padło i które mnie wypełniło. To się dzieje? To jest? I ja mogę przy tym być? Skuliłem się wewnętrznie, ale moje ciało się naprężyło. Niczego w tym momencie nie traktowałem jako oczywistości. To jest. Jest takie, jakie jest. A ja jestem częścią tego. Jest to... niekiedy jest to nawet piękne i bawi mnie. To wystarczy.

Chyba dzięki jedzeniu i dzięki temu, że nikt do mnie nie mówił, jeśli nie chciałem i nie szedłem do ognia, nabierałem sił i stawałem się spokojniejszy. Odłożyłem ten pomysł. To, że się zabiję, jeśli nie zabije mnie nikt przedtem, trwało we mnie ciągle. Bardzo zdradziłem. Utraciłem swoje plemię, swoich ludzi, nic mnie nie wiązało.

Przy ogniu włóczędzy i pijacy mówili na ogół do płomieni, czasem rozmowy przeplatały się i krzyżowały jak ścieżki Wysypiska. Była to mowa dworca, kość języka. Odpadki. Ciągle ktoś gadał: Walnąłem go, nie, aż się zesrał, nie, a drugiego też, nie, i tak, nie, opisywał ktoś odłamki swojej odysei resztkami języka, wojownik bez wojny... no a ja na nią, a ona pierd, to jej mówię, krowo jedna, srasz czy się pierdolisz, co, suko... mówię mu to, powiedziałem to, poszłem i mówię ci...

Czasem się nawet bili. Zaskoczyłem sam siebie. Tego wieczora Hipopotam mnie ciągle prowokował. Dlaczego jesteś sam... ty jesteś pedał? Tak. Jesteś wstrętnym durniem! powiedział Hipopotam i najwyraźniej był dumny ze swojej obelgi, bo radośnie popatrywał po innych. Zostawgo, powiedział Sęp, wiesz, że pan Jasuda nie lubi bójek... jego tu nie ma, odpowiedział Hipopotam i wrzucił kawał drewna do ognia. Potem tą gałąź wyjął.

Przypomniała mi owczarka. Zaskowyczałem, prawie o nim zapomniałem. Skowyta jak pies... nie jesteś psem, ty włóczykiju, śmierdzielu. Ty dupo... Hipopotam mnie pchnął. Wpadłem do ognia na kolana, ale potem wstałem i zacząłem mówić, słowa wypadały ze mnie, zanim je sobie uświadamiałem... zamknij mordę, bo cię zabiję, posiekam was wszystkich na kawałki, a z ciebie zedrę skórę i jaja ci utnę, ty skurwielu pierdolony... kopnąłem go, tego się nie spodziewał... Sęp wstał... nagle wszystko zobaczyłem, ogień i cienie, i mówię: Ludzie, wybaczenie, spałem, zbudził mnie... tak, on cię sprowokował, powiedział Sęp... podajcie sobie ręce, jesteście znowu kumplami... zrobiliśmy to.

Ten Sęp, dla niego Jasuda był bogiem. Od tamtego czasu dziwnego gościa w garniturze nie widziałem... a raz, kiedy wyjechałem z pozbawionymi szacunku uwagami... Kijek, chłopak trochę młodszy niż ja... chyba po nieudanej operacji miał jedną nogę trochę krótszą i opierał się na kijku, stąd to przezwisko... przyturlał się do mnie i mówi: Lepiej uważaj na to, co gadasz, stary pracuje dla Jasudy. Tu nie wiesz, co ci się może stać, nie wygłupiaj się! A... odciągnął mnie na bok... stary ma w chałupie za deską fuzję, Jasuda mu na to pozwolił, więc uważaj. Wziąłem to całkiem poważnie, szefów na swojej drodze poznałem niezłą gromadkę, a metody przywoływania do posłuszeństwa są takie same, różnią się co najwyżej w zależności od otoczenia, najniebezpieczniejsze skurwiele odurzają się jedynie swoją władzą... tylko że to samo mi następnego dnia powiedział Sęp o Kijku... wolałem wierzyć im obu i trzymać gębę na kłódkę. W końcu, jeśli tak to wziąć, ci ludzie z największym prawdopodobieństwem uratowali mi życie, a zrobili to ot, tak sobie, mimochodem, nie czuli potrzeby mówienia o tym. Gdyby nie wzięli mnie do siebie, w sposób oczywisty, bez gadania i bez pytań, chybabym tam zdechł już w pierwszych dniach. I inaczej, niż sam chcę.

Kijek pokazywał mi, gdzie nie stawiać stopy. Na to brązowe lepiej nie, to masz na zelówce, a w toń nie wchodzi nigdy. Widziałem starą babę, która tam wpadła... Kijek się wzdygnął... cieszyłem się, że to nie moja babcia... na Wysypisku było sporo starych ludzi.

Pośród maszyn, pośród ich szkieletów znalazłem ciężką żelazną dźwignię, zawlokłem ją za beczki... podnosiłem ją codziennie. Słońce grzało, a ja według niego ustaliłem pewien porządek dnia. Niczym tylko nie zakłócałem marzeń, kiedy wynurzały się obrazy, słowa i zdania. Wtedy nie ruszałem się specjalnie. Kiedy indziej z kolei rytm obrazów zmuszał mnie do chodzenia. Pewnego dnia nawet zostałem bez wody.

Mam w mózgu Bar Szpinakowy, tam do niej mówiłem, tam była moja miłość, niech sobie będzie dziwką, niech będzie jednym nacięciem w ciele kurwy, ale niech będzie, niech będzie dla mnie, już zrozumiałem, jeśli stąd odejdę, to tylko do niej, bo ciągle jest nadzieja... w obrazach były też wszystkie moje podróże pociągami, gdzieś, gdzie w siatkach kołysały się nade mną bagaże, cudze... i dopełniałem marzenie. Dużo czasu zabierały mi pisma. Brałem sobie świat także z ich stron. Czasem usuwałem z nich brud, wszelkie mazie.

Reklamy i zdjęcia mnie rozpędzały... przypomniałem sobie nawet pierwsze spotkanie z Kocurem, w kawiarni Tchibo, wiem, że tego dnia moim bliskim zdarzyło się dużo zwykłych rzeczy. Jak zawsze. Narzuciłem sobie jeszcze jedno ćwiczenie, wkładałem słowa i zdania do konserw, pisałem je rozmaicie jedne pod drugimi. Czasem się ze sobą wiązały. Ale nie o to chodziło, miałem dzięki temu materiał do marzeń, już nie macałem w pamięci... w tej swojej piwnicy miałem to na papierze.

Zapisywałem puste strony z czasopism, w miejscach, gdzie nie było zdjęć. Na ogół był tam skład redakcji, nazwiska. To mnie bawiło, wyglądało to potem, jakby chodziło o nazwiska autorów. Za długopis dałem Kijkowi swój podkoszulek z Myszka Miki, ten z Misji. Ciuchów tam było wszędzie wystarczająco dużo. A Myszka się Kijkowi podobała. Na długopisie była jakaś baletnica, kiedy nim poruszyłem, spadała jej suknia... Kijek powiedział mi, że klepał przy tym kapucyna, ale że mu spowszedniała. Wymienił to ze mną, kiedy znalazł jakieś porno.

Dużo przy tym pisaniu myślałem o siostrze i o strychu. To jest moja Woda Ognista, mówiłem sobie, kiedy pisaniem hamowałem czas, tak że należał tylko do mnie, było to jak narkotyki.

Próbowałem nazwać to, na czym mi zależało. Miałem wrażenie, że potem to coś w większym stopniu będzie. Chociaż tylko w mojej pamięci. To, co utraciłem. Przecież i tak niczym innym nie żyję. Nie wydało mi się właściwe unikanie okrucieństwa ani głodu.

Hej, Bogu, to jest moje... mam to w kieszeni waciaka. Bogu, ty potrzebujesz żółtego wiatru, ludzi, jakimi są, gołębi, które dziobią mięso, ty masz Jasudę i jamy, zimny deszcz i drut kolczasty, chyba tylko w ten sposób kręci się ziemia, no dobra, ja mam swoje czasowe granaty, tylko mnie rozwalają głowę. Takie oto opowiadki włożyłem do kieszeni:

Stare słowa

*Dziś śpi pod swoim snem już tego nie zniesie. Boi się
kół ciężarówek gór żwiru zwierząt noża choroby.*

*Ale jest w niej jest z nią
są razem będą się ochraniać.*

*Mocne uczucia. On walczy na arenie
także za swoich dziadków w krematorium.*

To ten B. wyciągnął ich na rampę.

*A jak to się z nimi stało? Nie byli dość silni?
Niech będę Hunem i mordercą przeciw Diabłu
mówi sobie.*

*Kiedys potem siostra uniesie się na ramieniu
i powie: Słuchaj już jest biały dzień!*

*I jest. Jest dzień jest po nocy. To jest ta rzecz
którą widzi każdy.*

*Dzień z ludźmi jak zawsze
a jeśli jest lato*

*to coś rośnie. Jest styczeń
a tutaj ciągle ta sama brudna
ulica kurew. Handlu. Teraz nic innego tu nie ma.*

*A może całe miasto zmieni ci się w nocy
jak dawkę anulowany mózg.*

*Dla pewności znowu i szybko
uczy się starych słów miłości.*

Woda Ognista

*Moja siostra to Woda Ognista
mówię jej: kochanie*

*mówi mi: rozkoszy moja
i mówimy sobie: kocham cię.*

I pijemy Wodę Ognistą.

*Dzisiaj księżyc chroni mnie przed niebezpieczeństwem
przy głowie mojej siostry.*

*Będę pływać w wodzie
w sile ognia zanim rano wstanę
i pójdę*

*po ciemku na pamięć korytarzem z najwyższego piętra.
Moja siostra to Woda Ognista*

ma rozczochrane włosy a rano powie: idź do pracy
jak myślę biorę ile chcę a daję ile mogę
i mówimy sobie: kocham cię.
Księżyc płonie a my dwoje w nocy Wody Ognistej
skóra na skórze. I wszystko
jest ważne. Siostró. Teraz w nocy.
Jesteś obok mnie we śnie
i potem. Odgłos oddechu i dotknięcia paznokciami
w rytmie mózgu z krwią. Ty.
Bądź przy mnie. Jeszcze bliżej. Wodo Ognista.

„Idźcie teraz w pokoju”

powiedział z góry ten w komży tłumowi
gwiazdkowym ludziom.
Teraz mogę cię widzieć każdej nocy.
Widziałem słowa: Wolność albo śmierć
wymyślałem je. To siostry.
Kiedy szedł ku mnie schodami Duch
miałem właśnie skurcz w windzie w dół
kiszki.
Jestem niezmiernie zdziwiony
bracie
życie.
Hej – mówię
a moje życie to abecadło. Nie robię nic
organizuję materię słowną
tylko to co mi mówią komórki.
Osmalony mózg.
Moja mafia.
Mówiłem: wolność albo śmierć.
Pragnąłem i szukałem. A teraz wiem to są siostry.
Śpię z nimi. W jednym mieszkaniu. W takim niedużym
pokoiku.

Jest tam

Potnę sobie plecy
żeby wiedzieć że to ja.
Kiedy boli nie jest to aktor
chód zmieniony plastrami.
Na przystani były drzewa
i w koronach zbierała się wilgoć
teraz jest tam dziura.
To ciągle to samo miasto te mury
ulice moje terytorium? Powiedziałbym
jemu sobie chłopcu Cześć Bądź zdrów Dobranoc
minąłbym go stojącego tam
z kluczem na szyi w obszarpanym swetrze
z pieskiem? Zaprowadziłbym go do domu? Czy
jest tam ciągle ten smarkacz?

*I mijają go przechodnie jacyś ludzie? Gęby? Tak.
Wciąż tam stoi jest sam. Zgubił się. Nogami przepala
ciągle jedną identyczną diabelską kostkę asfaltu.*

Do miasta

*W bezsenną noc
niekiedy w ciemności płyną twarze
tu czy tam widać oblicze
kogoś kogo znałeś.
Wszyscy potem znikają z rannymi tramwajami.
To znają wszyscy wariaci.
Tak więc dziś w nocy znowu w tym domu
pełnym Czechów w ich w naszym
własnym rzeczywistym państwie.
Chyba to lepsze niż bombardowanie
bez wątpienia.
Spać nie musisz umrzeć tak mówisz sobie po cichu mówi ci
prosto w mózg. Ale nawet to nie jest pewne.
Powoli po ścianach sunie cień i już od wielu godzin
jest tam księżyc. To jak minione żywoty.
Gdybyś szedł do miasta
czułbyś go z jego skorupami.
To da się załatwić
Od czasu do czasu na wietrze
pojemnik na śmieci odzywa się jak coś żywego.*

Inna historia

*Czułem to
jakieś tarcie przyszłości
a w twojej twarzy swoją twarz miłość.
Los jego ciężar. Fale życia
naprawdę szczęście itd.
Z pomocą B.o.g.
będzie ze mniejszce w tym roku dość zręczny handlarz
używanych samochodów
szybkich jak orzeł
jak świnia
jak ktoś inny.
Z czegoś człowiek żyć musi
jeśli chce.
Ja to też ktoś inny.
Położyłem głowę na twoim ramieniu
była trochę za duża ale to była ona.
Potem spotkałem sobowtóra kończyłem mówić
swoje zdania miasto grzało tobie B. umarł brat
poszedł sobie a moją żonę o 7.00 dzień zastał
na ćwiczeniach przeciwpożarowych harmonia tonów
piekielna kapela
grała dla wszystkich równie pięknie a ważne spotkanie było*

*w kawiarni Tchibo o 14.00
ale to już inna historia.*

Ja, o mnie i B. i obronie

*Mnie się zmienił w B.
mówię mu Bogu i ty Bogu i myślę o sercu i skórze.
Ktoś tylko tak się całował głaskał nie myślał o niczym
a ktoś poszedł sam do tunelu z trupami
mam już tylko B.
a niektóre słowa wcale nie są piękne.
Sen może być straszny ktoś krzyczy i oto jest
we śnie bagnetu a ktoś przeżywa swe życie i całkiem do niego należy.
Coś śledzisz oczami dowiesz się
od innych coś
jest już napisane. To jasne.
Musisz w to wszystko trochę wierzyć
Żebyś się nie zgubił
żeby nie napadły cię bezbronnego
wielkie psy
nie przejechały koła
nie dorwała czarna wdowa świnia w domu
na końcu świata po ciemku.*

Rano, ciągle

*Mój bohater ten facet
zabiłem szcztura zabiłem człowieka no tak w innych czasach
gdzie indziej leżał w piasku morskiej pustyni plaży
z nagą kobietą.
Facet się śmieje
a potem ktoś mu wybaczy
być może
straciliśmy więcej a czy jest w ogóle tu ten B.?
Teraz? Przyszło mu do głowy rano i myślał o sądzie.
O tym co obraduje nieprzerwanie od pierwszej sekundy
od pierwszej komórki od rana Ziemi
chyba tak powiedział sobie i obserwował lustro
kiedy golił się tą starą wiecznie
zapaskudzoną brudem i rdzą
maszynką.*

W podróży

*Dwa małe ptaki siedziały na gałęziach
było to jak w pradawnych czasach.
Nawet krew wygląda tak samo
może była gęstsza. W sitowiu klatki nad głowami
koło żarówki wiły się bagaże.
Na górze pod pajęczyną.
Miałem to w mózgu.*

*W hali proponowali gazety ulotki kwiaty
naczynia kuchenne szmatki dziwkę a ja wśród towarzyszy podróży
poznałem diabła mężczyznę który chce zabić i mężczyznę
który nie wie dokąd idzie i nie było można się ukryć
pośród koszy na śmieci ani w krzakach bzu.
Chyba powoli zacząłem kochać pająka już wiedziałem:
jemu o coś chodzi.
Wtedy nad pizzą szpinakową w barze powiedziałem
najpiękniejszej kobiecie świata moje wewnętrzne wszystko
a żyłka w mózgu ten łącznik z kosmosem
omal nie pękła.
Ona się uśmiechała bo wiedziała co to życie
i co życie robi: tak to jest.
Na ścianach były twarze piosenkarzy aktorów i bokserów
niektórych znaliśmy.
Uśmiechaliśmy się lekko blask pod gębą rzucał światło
a na zewnątrz chodzili pozostali.
Gdybym odwrócił dłonie byłyby pełne światła
ale to nie było konieczne.
Dotykałem jej bioder i byłem delikatny.
Dotykaliśmy się. Powiedziałem najgorsze co we mnie
a potem szczerzyłem żęły przez szybę. Tam gdzie staliśmy.
Wszystko było za szkłem. I było to tajemnicze.*

Kiedykolwiek

*Jakimkolwiek kolejnym ruchem
Bog zlikwiduje teatr i aktorów.
Albo da im wic się pełzać przechodzić
w swych kolorach
pozwoli im mówić. W domu. Pośród innych.
W pokoju ze ścianami. Będzie tam powietrze.
Będzie tam jakaś miłość jak roślina.*

Tak mieszałem stare i nowe słowa. Coś tam było na poważnie, więc schowałem to w kolejne słowa. Powsadzałem. Wszystko było o tym samym. Znowu odkrywałem swoje przedmioty, ta maszynka do golenia jest jeszcze pewnie w Magazynie Miejskim. Niektóre papiery zgubiłem.

A tej nocy, kiedy napisałem słowo „roślina”, usłyszałem okrzyk. Od ognia. Potem odezwał się skowyt i wrzask... nie ustawał. Był to bolesny lament. Wiatr wiał ciągle w moim kierunku. Myślałem, że wybuchła bójka. Nie poszedłem tam, ten dzień spędziłem za beczkami, poprawiałem swoje rzeczy. Następnej nocy odezwało się to znowu. Okrzyk. Potem skowyt. To krzyczał człowiek. Nie wołał o pomoc. Skowytał. Potem nagle wszystko ucichło. I słyszałem... cichy szelest papieru, kawałek od swojej nory... coś tam było, słyszałem drobne kroczyki... ciche. Wiedziałem, że to coś jest na zewnątrz i że patrzy. W moim kierunku. Nawet nie mrugnąłem. Potem to coś odeszło.

Rano poszedłem do Sępa. Był tam, ta jego także, i niektórzy inni... ale byli... rozszarpani na kawałki... wszędzie na torbach plastikowych dookoła była krew. Musiałem zwymiotować, pochylony odszedłem, zataczając się. Ale potem wróciłem, unikałem spojrzeń na trupy... i na muchy... domyślałem się, gdzie to ma.

Z tyłu w ich dziurze zerwałem deski. Była tam. Stara dobra AK 3, trochę ciężka, ale zwłaszcza przy tym okropieństwie dokoła... elegancka. No to, powiedziałem sobie, wracasz do gry.

To, co się z nimi stało, było straszne. Widziałem kawałek tułowia Lisicy, usiany był malutkimi dziurkami. Ci, którzy zabili, przedtem ich męczyli. Stąd ten krzyk. Co to za potwory... jak mam ich włączyć do swojego zdumienia, skoro mogą mi wyrządzić taką wielką krzywdę... Bogu, wiem, znam twoje drogi i pułapki... wiem, o co chodzi. Przeżyję, jak długo się da. Już nie chciałem się zabić, nie marzyłem o tym. Teraz nie, teraz to ktoś chciał mnie dopaść. Wyjątkowo ktoś inny niż ja sam.

Kiedy się ściemniło, opanował mnie strach. Ktoś łąził w okolicy. Była to tylko banda bezprizornych. Są mali, ale kiedy jest ich więcej... Sęp opowiadał, że czasem pałą bezdomnych. Polewają ich benzyną i rzucają zapalną, bawi ich to. Mówił, że w czasach przed Jasudą chodziły na Wysypisko także stalingi i też robiły to ludziom. Że niby oczyszczają miasto... sam się przed nimi kilka razy chował. Miałem nadzieję, że kiedy te gówniarze odjadą sinkanzenem, On zapisze im na konto po stronie plusów fakt, że robili to chyba dlatego, żeby się dowiedzieć, poznać... weszli śmierć, chcieli wiedzieć, że naprawdę jest. Stalingi nie, ci mają swoją zasną ideologię, posłannictwo. No, ofierze było to w każdym razie obojętne.

Trzymałem bandę na muszce, wysunąłem ją między beczkami. Ten, który ich prowadził, miał po jednej stronie ostrzyżone włosy. Po drugiej miał je pomalowane na niebiesko, sięgały mu aż po ramię. Szedł z przodu, opierał się na drągu. Dwaj gówniarze wbiegali na góry odpadków i rozglądali się. Skakali dosyć zręcznie, wiedzieli, jak to robić. Pozostali szli gęsiego. Wszyscy coś mieli w ręku. Byli wystrojeni jak zwykle bezprizorni. Coś tam na górze, coś tam na dole, cokolwiek, najważniejsze były szybkie buty. Nie szli w moim kierunku. Może podczas ostatniego deszczu zgubili ścieżkę i teraz jej szukają. Wiatr rzucił do mnie zdanie od ostatniej dwójki: Cieszę się, że spierdalamy. Znikli za górami śmieci.

W nocy znowu słyszałem krzyki. Z daleka. Rano poszedłem po wodę. Na każdym kawałku drogi bałem się, że natknę się na ciało. Przy pompie stał jakiś starzec. Był zadowolony, że ma z kim pogadać. Mówił tylko o Potworze. Przyszli inni ludzie. Wszyscy o tym mówili. Pakujemy klamoty, powiedział facet z twarzą podziobaną ospą. To te kurewskie stalingi, chcą nas przegnać. Gdzie tam, powiedziała kobieta w niebieskim męskim szlafroku, to coś nowego, coś stąd, rozmawiali ze mną dziennikarze i tak mówili. A oni się znają! To jest ktoś... będę w gazetach. Interesuje się tym także telewizja! Niektórzy zdecydowali się odejść, bo od dawna już nie pojawiły się ciężarówka fasudy. W drodze powrotnej natknąłem się na Hipopotama. Cześć! powiedziałem kumplowi, powiedziałem to z wysuniętą brodą... ale nie miał w sobie nienawiści. Zaproponował mi, żebym przyłączył się do niego, tutaj już koniec... co się dzieje, Hipopotam, rozrabia tu jakiś morderca, to zaczaimy się na niego... Nie, to jest jakieś dziwne, widziałeś Sępa? Tak, żal mi go. Bardzo mi pomógł. Co z Kijkiem? Idzie z nami, chodź też... Dokąd idziecie? Na dworzec. Tam już byłem. Nie wiem, dlaczego zostałem. W nocy wyciągnąłem AK i czuwałem... a potem usłyszałem ciche kroki, zbliżały się do mnie i zacząłem się pocić... poszły w bok, serce zakołysało mi się z ulgą... ale potem znowu ku mnie i uświadomiłem sobie, że nie mam ani jednego naboju. Chwyciłem fuzję jak kij i czekałem.

Dzień dobry, odezwał się głos. Cichy i miły. Wyjrzałem. Było to dziecko. Stał tam mały chłopiec w krótkich spodenkach i uśmiechał się. A te oczy... pałały... znałem go.

Pamiętasz mnie, Potok? Wujku? chłopak kopnął koniuszkiem tenisówki w beczkę.

Mogę wejść, mogę cię odwiedzić? W twoim domku.

W skroniach mi waliło. Nie miałem wątpliwości, że to jest Potwór, to on, ten bies...

Chcesz mnie zabić? wyjąkałem.

Zastanowię się, Potok. Ładnie sobie pogadamy, co?

Także głos miał dziecinny. Już był w środku. Blask, który bił mu z oczu, rozświetlił moją dziurę, beczki lśniły... srebrem.

Ty... wyrwało mi się, ty jesteś ze studni, mały Kučera.

Tak, powiedział i pochylił głowę. Był krótko ostrzyżony, mały chłopczyk w krótkich spodenkach, podkoszulku i tenisówkach. Miał białe skarpetki, stał tu z rękami w kieszeniach.

A wiesz, co tam widziałem? Wiesz, co tam wszyscy widzieliśmy?

Nie.

Męki, wiesz? To nam tam pokazywali. I mogliśmy dotknąć, mogliśmy w tym trochę uczestniczyć. Tylko trochę. Ale każdy był sam i pocił się krwią. Krwia. Rozumiesz? Ja też, te duże dziewczyny też i babcia też. Nie wiem, dlaczego my. A ty nie wiesz tego czasem? I baliśmy się, że nam to wszystko ktoś robi także. To, co robili ludziom, na których musieliśmy patrzeć. Bo dopiero tam na dole dowiedzieliśmy się, co jest możliwe. Co każdy może. Jakie rzeczy są możliwe. I każdy był sam, a potem nie byliśmy już ludźmi. Zmieniliśmy się tam, wiesz? Wiesz w co, wujku Potok, wiesz w co, zapiszczał chłopiec.

Czego ode mnie chcesz?

Chcę, żebyś mi pomógł.

Przeżegnałem się. Chłopiec się uśmiechnął. Uśmiechnęły mu się i te pałające oczy. Dotknąłem Matki Boskiej na swojej piersi, chłopiec kiwnął głową.

Dlatego tu jestem. Musiałem robić bardzo złe rzeczy, wiesz?

Wysunął czubek języka, oblizał sobie wargi i mrugnął do mnie, potem stanął na palcach i jak gdyby się przeciągnął... podszedł do mnie. Bałem się, że będzie mnie chciał dotknąć.

Ja jestem tylko małym chłopcem, wiesz? powiedział. I już długo nie wytrzymam. Za dużo tego. Tacy mali chłopcy jak ja, kiedy nie mają tatusia... znowu mrugnął do mnie... ani mamusi, to szybko się męczą. Wiesz?

Przełknąłem tylko ślinę.

Wiesz, ja chcę, żebyś coś zrobił... ze mną... znowu podszedł bliżej... jestem tylko małym zagubionym chłopcem, powiedział Diabeł, i długo trwało, zanim cię znalazłem. Musiałem wypytywać ludzi, zaśmiał się i zakołysał na palcach, ale teraz jestem tu i mam cię. Zamrugnął oczami, w tym blasku, który od nich bił, miał całkiem białe rzęsy... stał i patrzył na mnie... a ja z przerażeniem uświadomiłem sobie, że w tej swojej jaskini pełnej szmat stoję wyprostowany, było tu sporo miejsca, a ściany jak gdyby wyrosły, widziałem kamień i drewno, czułem chłód... zgniliznę... tak, powiedział chłopiec, ten, którego nazywałeś Sępem, bał się szczurów, więc pokazałem mu szczura... a inny bał się policjantów, więc miał policjanta, no, oni są już w piekle, a ty? Czego najbardziej boisz się ty? Wiesz czego?... staliśmy w grobowcu, a na katafalku stała mała biała trumna, ta trumna nie jest dla mnie, przemknęło mi przez głowę... nie, nie jest, powiedział chłopiec, ona jest dla mnie, chcę już spokoju... musisz to zrobić, powiedział Diabeł, moje ciało małego chłopca jest już zmęczone, to było okropne, robić te wszystkie rzeczy.

Jak? wyjąkałem, a mój głos brzmiał, jakby wydobywał się z worków na ziemi.

Zastrzelisz mnie, powiedział chłopiec. Tym, co masz w ręku. I tym, co masz cennego. Kiedy to zrobisz, będziesz się chronił sam. Już zawsze. Przyjdę jutro. Gdybyś przypadkiem nie był przygotowany, musiałbym jeszcze zostać na świecie w tej postaci... a ciebie by to bardzo bolało. No to cześć, wujku Potok. Chłopiec wyszedł z mojej beczkowej chałupy. Niesłyszalnie.

Nie spałem. To nie był sen, o nie. Czym to mam zrobić... tym, co mam cennego, a potem będę się chronił sam... on na pewno przyjdzie i będzie pałać, wszyscy ze studni mieli ten blask w oczach. Potem zrozumiałem, co miał na myśli.

Następnego dnia znowu zobaczyłem jakichś ludzi. Mówili, że nie odchodzą, że zostaną do końca, ale tej nocy znaleźli kolejne rozszarpane ciało... jeden twierdził, że trzeba zawołać

gliniarzy... przecież oni nas stąd wyrzuca... ale gdzie tam, śmiał się facet, wezwiemy ich, a ono ich zeżre... he, he. Butelki krążyły.

Formę znalazłem we wrakach samochodów, było to chyba coś z łożysk. W żaden sposób się z Matką Boską nie pożegnałem, poklepałem ją tylko, jak tysiące razy... moi dziadkowie, wszystkich ich chroniła, ale teraz świat jest chyba inny, a ja muszę walczyć... roztopiłem ją, kula była całkiem udana... chyba wiem, kto mi pomagał, ogień ściągnął ze srebra także czarną powłokę, potem oskrobałem i schłodziłem powierzchnię... kręciłem srebrną kulę w palcach... była dość ładna... wstałem... musiałem po długim czasie trochę potańczyć, tylko łokciami i piętami... potem wrzeszczałem, to prawda... no i dobrze, że się tego nauczyłem w woju, rozebrałem AK i z powrotem je złożyłem... potem czekałem, miałem jakieś papierosy.

Była pełnia. Chwilami dygotałem, chwilami szczyrzyłem zęby. A kiedy to zrobię, to wrócę między ludzi? Będę miał znowu twarz przyjemną, a pod nią grymas albo na odwrót, albo jedno i drugie? A może... Czarna, ty wiesz, gdziekolwiek jesteś. Może jest ci dobrze.

Stał przede mną.

Popatrz, wielki człowieku, jak rozbiłem sobie kolano, chlipnął, graliśmy w dwa ognie...

Nie ruszałem się.

Jesteś gotowy? spytał Diabeł.

Tak.

Wczoraj... to zabawne... ten bał się ciężarówek, więc zmieniłem się dla niego w samochód, ale wybałuszał gały... rozszarpałem go. Bolało go to. Boisz się?

Tak.

No to popatrz, powiedział Diabeł.

I chłopiec zaczął się wygłupiać, robił miny, śmiał się, wciągnął policzki do środka... zdawało się, że jego twarz przechodzi przez ogień, zmieniał się jak w jakimś roztworze, ale oczy pałały, ten blask srebra był niemal dotykalny, a potem... miał dres, był to ciągle smarkacz, inny mały chłopczyk, w podkoszulku w pasy, stał i patrzył na mnie... zamyślony, na nogach buty do piłki nożnej, a na szyi...

Nie, powiedziałem.

Miał jasne włosy, był chudy, obtarte łokcie, jakie chłopcy miewają, na szyi cienka bruzda od sznurka, a na nim...

Tego nie chcę, powiedziałem i fuzja spadła mi na ziemię.

Bo ten klucz... ten klucz znałem, tysiąc razy otwierałem nim drzwi mieszkania, a tam był przedpokój, tam ojciec miał worek z karmą dla ptaków, tego worka się bałem... bałem się, że jest w nim Ślepiec z filmu o piratach, że mnie złapie, tysiąc razy przebiegłem obok niego do kuchni...

Ja chcę do domu, zapiszczał chłopiec.

Miał niebieskie oczy, trochę zezował, poznaję go, siebie, pamiętam... pamiętam, że wszystkie lustra wtedy...

Gdzie ja jestem? Puśćcie mnie do domu. Nie chcę tu być, powiedział chłopiec.

Podniosłem fuzję.

Podniosłem fuzję i przyłożyłem mu lufę do skroni, zaciąłem zęby i nacisnąłem spust... trzasnęło... przewrócił się do tyłu, z głowy płynęła mu krew, kula rozbiła mu twarz... ciało się skrzywiło, oczy przez chwilę mrugały, a potem je zamknął, był gotów.

Zrobiłeś to, odezwał się syk. Jesteś wolny.

Wiem, zawołałem, siedziałem w kucki, fuzję miałem na kolanach, lufa była ciepła... znowu musiałem się kiwać, tylko głową... tu i tam... tu i tam... ten syczący głos dobywał się chyba ze mnie. I nie wiem, czy jeszcze coś powiedział, coś, co powinienem zapamiętać. Co miało wartość.

Wiedziałem, gdzie iść. Jak najszybciej. Kiedy rano się obudziłem, wszędzie był szron. Cóż to, tu nie ma nawet jesieni, jesień na ogół lubiłem, chociaż zawsze mnie trochę

rozstrajała, przybijala... musiałem zrobić parę ćwiczeń, rozgrzać mięśnie, włożyłem wszystkie swoje ciuchy. Najpierw wziąłem fuzję i wrzuciłem ją do jednej z tych dziur, w których bulgotało. Potem ruszyłem. Do krańca Wysypiska dotarłem po kilku godzinach. Znałem już drogi.

Na ulicy ludzie odwracali się za mną, byłem niezłe opatulony: waciak, narciarska kurtka... porządnie zapierdalałem. A potem uświadomiłem sobie, że muszę im śmierdzieć. W porównaniu z tym, jak chodziłem na Wysypisku, gdzie się wlokłem, szedłem teraz dość szybko. Miałem zresztą powód. Możliwe, że idę za późno.

Tabliczka ciągle tam była. Chociaż teraz już zardzewiała. A balkon pokryty był drucianą siatką. Zadzwoiłem i niemal natychmiast za siatką pojawiła się głowa. Poznałem go, on mnie chyba nie.

Otwórz. Brr, psa by nie wygonił.

Kto? Goniec?

Co? Ja... jestem Potok.

Co? Głowa znikła.

Po chwili drzwi się otworzyły, chyba fotokomórka. Zatrzasnąłem je. Stałem w... korytarzu. Po starej sieni ani śladu. Przede mną był ekran, widziałem siebie na nim. Potem otworzyły się kolejne drzwi, przeszedłem przez nie i znalazłem się w klatce. Hej, co się wygłupiacie... potem przyszli, dwaj. Tych nie znałem albo bardzo wyrosli... gdzie jest Montek? spytałem. Jeden z nich przycisnął sobie palce do nosa i wskazał mi ręką kierunek, szli za mną... Montek, w co wy się tu bawicie?... ale umilkłem, było z niego byczysko. Tak... pan jest, ty jesteś... były szef i wujek Potok. Nie poznałem cię od razu. A co tam z wujkiem... to słowo nie przechodziło mu przez gardło, był już duży... Štejnem i pudełkami... a inni wujkowie... gdzieś są, Montek, ale ja koniecznie muszę porozmawiać z twoim tatą... pojawiły się twoje siostry... tak, powiedział, a z tego, jak to zrobił, wywnioskowałem, że już coś się stało... gdzie są?... u taty, są tam już tydzień, powiedział Montek i nie spuszczał ze mnie oczu... ojciec jest tam z nimi i właśnie to nie daje nam spokoju, tak, powiedział jeden z młodych ludzi za mną... tata jest chyba chory, powiedział, że nie wolno nam do niego przychodzić... ja, Montek, chyba wiem, co się dzieje, muszę się z nim widzieć... nazywam się Gyros, powiedział jeden z tych dwóch, pan mnie chyba nie pamięta, byłem mały, co się panu stało, panie Potok... uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy ktoś, nie licząc kelnerów i taksiarzy, mówi do mnie pan... ktoś spoza dawnego biznesu, oszołomiło mnie to... najwyraźniej trochę się postarzałem, czas mnie nadwerżył... mogę się u was umyć? Ale najpierw puśćcie mnie do ojca. Może, a może, powiedział Montek z miną zamysłonego, chciałbyś się jednak przedtem wykąpać? Nie ma czasu, twój tata to wytrzyma... Montek ustąpił i poprowadził mnie... w dół, wszędzie były metalowe drzwi, otwierając je, jedne po drugich, opowiadał: Niektórzy bracia odeszli, ale nas jest dużo, myślałem, że jesteś kimś od Vondráčków, to ze względu na nich siedzimy tu jak w twierdzy... utrzymują, że mają też jakieś prawa reptrywatyzyjne... do prosektorium. Vondráčkowie to też stara praska familia... mamy z nimi spór... przed kolejnymi drzwiami przystanął. Tata nie chce mnie widzieć, powiedział jakoś dziwnie... nikogo z nas, ale ty spróbuj... poczekaj, aż sobie pójdę, muszę cię tu zamknąć, tak nakazał tata... potem zapukaj... Montek, a dziewczyny są w środku? Wziął je tam, kiedy tylko się pojawiły... no to idę, szedł powoli i patrzył na mnie przez ramię.

Zapukałem, dopiero kiedy zamknął drzwi. I nie mogłem już wrócić. Byłem między dwiema parami metalowych drzwi, w ciemnym korytarzu. Nad ostatnimi błyskało małe chłodne światelko. Wygląda tutaj jak w jakimś bunkrze... wzdrygnąłem się i znowu zapukałem.

Doktorze! To ja, Potok! Był u mnie... mały Kučera... ten ze studni. Jeśli jest pan tam sam z dziewczynami, proszę otworzyć, mnie jest już wszystko jedno... Doktorze...

Drzwi się otworzyły, nie wiem jak, siedział w fotelu w rogu. Wszędzie były jakieś kadzie, skalpele, bańki, gdzieś tam gotowała się woda...

Widzę cię, powiedział.

Wiedziałem teraz, dlaczego Montek tak szybko odszedł. To nie był głos starego Doktora Hradila, tej chytrej mohawskiej bestii... to mówiła sama bestia... wstał, spozierałem w mętny blask jego srebrnych oczu.

Dotknąłem swego gardła.

Zerwał z szyi sznurek ze skalpelem i rzucił na stolik przede mną.

Wszystko wiem, zaskrzeczał ten głos. To dobrze, że przyszedłeś. I nie bój się. Jeszcze nie jestem taki jak oni... ale będę. Już niedługo.

Co z dziewczynami?

Wskazał jedną z kadzi.

Przecież zaraz to zauważyłem, jestem ich ojcem... załatwiłem je. Zabiłyby inne moje dzieci.

Ten skrzypiący głos... teraz się załamał. A może tylko mi się wydawało. Usiadł.

Nie wiem, jaka siła cię przyprowadziła, stary Potoku, nawiasem mówiąc, wyglądasz okropnie, jak jakiś strach na wróble, ale przychodzisz w sam czas. Staralem się... wiem, że któryś z moich synów musi to zrobić. Staralem się, ale nie potrafię im tego powiedzieć. Kazałem się tu zamknąć, żebym potem nie mógł ich, no wiesz... ale teraz już czuję, że jakieś drzwi, machnął ręką. Weź na górę to, poklepał srebrny skalpel... któryś musi tu przyjść, dziś w nocy. Powiedz mu, co ma zrobić. Wiem, jak to było z Kučerą, oni są... byli połączeni. Chłopcy już to sobie przemyślą, musisz im to wytłumaczyć. Nie wiesz nawet, jakie te moje córki były miłe. Nikt tego nie wie. I nikt już nie będzie wiedzieć. Nie wiem, dlaczego tak się stało.

Wziąłem skalpel i ostrożnie włożyłem go do kieszeni.

Poczekaj, powiedział Doktor. Przyjrzyj się temu.

Na stole stała bańka. Była w niej jakaś przeźroczysta ciecz. Powierzchnia drżała. Widziałem to przez gładkie szklane ścianki. Zapach dochodził aż do mnie. Poruszyłem się. Zapach do mnie dochodził i poczułem wielki głód. Chciałem tej bańki dotknąć, chciałem ją chwycić. Wiedziałem, że właśnie tego chcę. Stałem przy stole. Ręka Doktora przecięła powietrze i szkło rozbiło się o ścianę.

Tak. To właśnie to, powiedział Doktor. W końcu mi się udało. Jesteś chyba jedynym człowiekiem, który kiedykolwiek widział Eliksir. W dzisiejszych czasach.

Eliksir? Przecież...

Ten jest prawdziwy. Ale robi się go z... tego. Są w środku. Bardzo go chciałeś, co?

To było mocne.

Znowu wchłonałem zapach. Znikał w wilgoci ścian.

Idź już i powiedz im to.

Dobra, Meżyk, rozumiem. Powiem im, jak to zrobić. Mam w sobie wielki żal. Przez wszystko. Cześć. Idę.

Powiedz im... niech z tymi Vondráčkami jakoś się pogodzą, niech to się skończy. Chcę tego.

Skoro przekazujesz im taką wiadomość teraz, zrobią, jak chcesz.

Może. I poczekaj jeszcze... który to będzie.

Montek.

Montek! To akurat mój ulubieniec... Dlaczego właśnie on?...

Tylko jego znam. A poza tym, Doktorze, pamiętasz ten stary żydowski dowcip. Dlaczego ja?

Dlaczego nie? powiedział Doktor. Ale mylisz się, to jest ze starego *Lekarskiego wora kawałów*... to pacjent pyta, he, he, wszystko jedno.

Chyba rzeczywiście. To na razie.

Taa. Na razie.

Nie śpieszyłem się. Najpierw powiedziałem Montekowi, że owszem, kąpiel. Kiedy wlałem do balii, natychmiast zasnąłem. Potrzęsnał mnie za ramię, woda była zimna. Która jest? Był jeszcze czas... Montek przyniósł mi jakieś ubrania po starszych braciach... te twoje szmaty spaliliśmy... Lekko się wzdrygnąłem... no, wszystko jedno, powiedziałem... były tam jakieś papiery, wziąłem je, siory to czytały... I co? nastawiłem ucha... No, Montek się zaczerwienił, niektóre mówiły, że to dobre, tylko tak dalej... a niektóre, Montek się odwrócił... Co? Co mówiły?! No, śmiały się. Podał mi papiery, ale ja byłem w balii, wiersze się zamoczyły, rzuciłem je na podłogę... Montek podawał mi ubranie... Tu masz, dzinsy, czarne... zamek czy guziki? Haftki, powiedział Montek... Jakaś koszula, zielona, jedwabna... ale to jest ze spadochronu, jeszcze z drugiej wojny światowej, ostrzegł mnie Montek... kiwnąłem głową... podkoszulek, ale miał tylko z Batmanem... nie szkodzi... buty, wysokie, ze skóry... to mojego najstarszego brata, Davida... co, jak się nazywał... no, David... został z Mohawkami... aha... czapkę chcesz, żółtą... w żadnym wypadku!... jest też ciemnozielona... dawaj! Potem włożyłem katana, świetną, i ściągnąłem się paskiem. Ubrałem się. I po tym, co przeżyłem na Wysypisku, w głębi duszy zacząłem się uważać za nowego człowieka. Wyglądasz trochę jak dawny Potok, powiedział Montek.

Potem dałem mu skalpel. Powiedziałem mu, co trzeba. Co ma zrobić. Zostawiłem go samego.

W kuchni przyszło mi do głowy, że nie byłoby źle zostać na jakiś czas... już choćby ze względu na język, w swoich dwu ostatnich miejscach pobytu odwykłem od codziennego mówienia... a niektóre wyrazy, tutaj, pośród dziewcząt, były zupełnie niewłaściwe... współczułem Montekowi, ale chyba przez to, co miałem akurat za sobą... był we mnie spokój, jakiś fatalizm... córki pochylały się nad ogniskiem, piekły barana... ukłuło mnie w serce, ty, Czarna, gdzie jesteś, nie mogłem wytrzymać ruchu, tego przegięcia jednej z dziewczyn, która niosła garnek, wstałem... przez korytarze przeprowadził mnie Montek, kiedy usłyszał to po raz pierwszy, niezłe dostał po głowie, ale teraz był spokojny... jak na swój wiek dużo przeżył, bardzo dużo, znał też sprawy pudełka i na stare pytanie zdołał odpowiedzieć sobie sam... zamknął za mną drzwi.

Znowu skądś odchodziłem... odchodziłem, nie musiałem pośpiesznie zniknąć, uciekać jak wariat, od pełzać w gorączce... szedłem, a miasto było przede mną. Nawet trochę się obmacałem... to swoje ubranie, szedłem bez Matki Boskiej i syknąłem między zębami: idę do Czarnej, idę do ciebie, najmilsza... bo jeśli nie żyjesz, to ja ten swój czas bez ciebie jakoś przeżyję... we śnie o kobiecie... i spotkamy się potem, w wieczności. Inaczej stać się nie może. Szedłem, ani nie unikałem ludzi, ani nie czułem potrzeby wpadania na kogokolwiek, szedłem... a potem zobaczyłem ten kamień.

Ten kamień do mnie przemówił. Nie żebym coś słyszał, mowę kamienia. Tylko żadnego mistycyzmu. Po prostu mnie zainteresował. Był to kamień narożny, dawni budowniczowie zaopatrywali w takie kamienie domy, żeby koła powozów nie otłukły tynku. Ten był gdzieś w mojej pamięci, coś się działo... a potem spojrzałem, jestem na tej ulicy. Na ulicy nad ambasadą Niemiec, stałem na jej początku, ciągnęła się w górę zbocza... było po deszczu, powietrze się ochłodziło... widziałem dachy i godła domów, oto był lew, a więc skierowałem tu kroki, nawet o tym nie wiedząc... znowu czułem swoje ręce i gardło, i oddech... i te ręce podniosłem... żeby ścisnąć... a potem, przysiągłbym, że coś mnie uderzyło w plecy, coś jakby powietrze poruszone skrzydłami, upadłem i chwilę leciałem, i na chwilę uczułem swoją czaszkę, kości, te ściany głębin, zrobione z kości ściany mojego świata. Bolało mnie i było ciemno.

Budziłem się... słyszałem, jak coś dzwoni... może to znowu dzwony, przedzierają się do mojej świadomości... a potem otworzyłem oczy i zobaczyłem kobiecą twarz. Była piękna,

chciałem coś do niej powiedzieć, ale nie mogłem poruszyć językiem, nie mogłem się poruszyć... kochana, wyrwałem z siebie... a potem wzrok mi się wyostriżył, nie, to nie była Czarna. Była to subtelna twarz, patrzyła na mnie z zainteresowaniem i z bliska, młoda dziewczyna, na czole miała jakąś zasłonę, kaptur, coś tam... w pokoju panował półmrok, czułem, że dotyka mojej ręki, to była rozkosz... stała blisko, zauważyłem, że nie ma nawet umalowanych ust...

Niech pan dziękuje Bogu, wyzdrowieje pan, powiedziała. I odeszła.

Była to zakonnica.

Zobaczyłem, że jestem w niedużym pomieszczeniu, pobielonym, nade mną wisiał krucyfiks. Prześcieradło było sztywno rozpostarte, i ten koc, nie, kołdra, czegoś takiego nie czułem od lat... pachniała, poczułem starą dobrą lawendę, żaden tam vizir z małych wnętrzności... ale nie mogłem się ruszyć.

Znowu wróciłem do świadomości dopiero w nocy i na ścianie, tam gdzie przedtem nic nie było, znowu zobaczyłem twarz... kobiety, też w kapturze, zasłonie, jej oczy się śmiały... ale na twarzy miała szramę, jakaś święta, powiedziałem sobie i poczułem... czułem się winny, jestem może w jakimś klasztorze, przyszło mi do głowy, a patrzyłem na nią... bo muszę przyznać, że ta twarz była też sexy... podniecająca, ale w przyjacielski sposób, nie było w tym żadnych zmagani, gdzie wszystko bryzga, nie, nie, absolutnie, nic z tych rzeczy... obserwowałem twarz, myślę, że ta kobieta była ambitna i coś ją wewnątrz spalało, i była silna. A potem zamknąłem oczy i nagle usłyszałem, był to... hej, braciszku... wstawaj już z tego swojego zasranego... śmiertelnego łoża... był to jej głos, ten stłumiony... słyszę cię bez wątpliwości, Czarna, to znaczy, że żyjesz, tak by żadna Święta nie mówiła, i Czarna, ty o mnie myślisz... przynajmniej czasem... i czekałem napięty i gotowy, ale nie mogłem się ruszyć... potem jednak już nic się nie wydarzyło i zasnąłem.

No, Bog wie, że zdrowieję, powiedziałem sobie w duchu... siostra Maria Coseta przychodziła do mnie codziennie. Początkowo miałem ogromną treść, wiedziałem, komu jest zaślubiona... tylko że ona potrafiła ze mną mówić. Była młodsza ode mnie. Tak, na pewno jest znacznie więcej ludzi młodszych ode mnie. Znacznie więcej niż na początku mojej opowieści. Jestem tego świadom. Tak to jest w zwykłym czasie. Mówiliśmy sobie per pan i pani.

Z czasem... przyszło mi do głowy, że przychodzi do mnie chętnie, i powiedziałem jej to. Opowiadała mi o tym zakonie... Milczących Sióstr Bożego Dziecięcia. Zakonnice złożyły ślub milczenia.

Dlatego chętnie do pana przychodzę. Pogadać. Pan był w wielu miejscach. Jak głowa?

Już wcale nie boli. Podróżowałem tylko po Bohemii, ale może nie o tym pani myśli. Nigdy mi pani nie powiedziała, jak się tu znalazłem. To dla mnie prawdziwe zbawienie.

Proszę tak nie mówić o zbawieniu. Znaleźli pana na ulicy, niedaleko stąd.

Ale każdym lumpem... przepraszam, siostrze, każdym potrzebującym przecież nie możecie się... zaopiekować.

Wie pan, dlaczego panem tak? Może nie powinnam, ale... zbliżyła się do mnie... niech pan rozepnie sobie na gorze piżamę, tak, właśnie tak... dotknęła mnie palcem, a ja nie pragnąłem nic innego, niż żeby tam ta ręka została, musiała to zauważyć... i zostawiła tam palec, a potem go szybko cofnęła... patrzyliśmy na siebie... jak długo jest pani w zakonie?

Już ponad rok.

Czułem z niej czasem... nie żeby ulicę czy nocny lokal, nie... ale mieliśmy coś wspólnego. Ta myśl wcale mi się we mnie nie podobała. Moja... przyjaciółka była pełna życia, umiała się ruszać. Myślę, że potrafiła być bardzo szybka. Zdawało się, że rozniesie ściany tej mojej izby. A życie, które z niej emanowało, jakby oddychała także skórą... było chyba najlepszym lekarstwem. Mówiłem jej, że mnie ratuje każdym swoim ruchem. Śmiała się. Ale raz powiedziała: Dlatego tu jesteśmy. Dlatego wszystkie tu jesteśmy.

Kiedy nie mogłem jeszcze czytać, czytała mi. Miała jasny głos. Czasem, kiedy mówiła, językiem literackim i porządnie, uciekała jej końcówka. Czasem połykała spójniki. Kilku czasownikom nieustannie odmawiała długich samogłosek. Niekiedy się śmiała, był to śmiech gardłowy, niespecjalnie pasował mi do tych korytarzy, których domyślałem się wszędzie dokoła i którymi chodziły Siostry Milczące. Czasem jak gdyby pod słowami mówiła mi dawne rzeczy. Oczy ciskały błyskawice albo zachodziły mgłą.

Gdyby zakonnica, nie daj Boże, umalowała się, wyglądałaby całkiem jak kelnerka, rozmyślałem bez potrzeby. I odwrotnie. Nikogo innego prócz niej nie widywałem, więc może aż nazbyt zajmowałem się siostrą Marią. Próbowałem pochylić brodę ku piersi, żeby widzieć to miejsce, którego miękko i delikatnie dotknęła... i zobaczyłem je, i opadłem z powrotem na poduszkę. A potem patrzyłem znowu i znowu, aż mnie rozboleła szyja. Była tam Matka Boska. Czarna Matka Boska, malutka jak na medaliku, w całej swojej piękności, w bólu swojej blizny. Była tam ta bez końca płacząca. Nie wyglądało to jak tatuaż... u zakonnic człowiek by się tatuażu raczej wstydził, ale siostra Maria powiedziała mi, że smok bardzo jej się podoba... ta Matka Boska wyglądała jak wypalona na skórze albo może jak rycina... nad smokiem!... byłem bardzo szczęśliwy, że ją tam mam.

Więc wzięli mnie tu dzięki temu?

Przywykliśmy z siostrą Marią mówić o zakonie „oni”, Maria była nowicjuszka.

Chyba tak. Ale ja nie za bardzo wiem.

Czy jest tu dużo chorych?

Nie. Niewielu.

Dlaczego zabrała pani ten obraz?

Słucham?

Powiedziałem jej o twarzy kobiety, o obrazie, który widziałem pierwszej nocy. Poruszyło ją to. Trzymała w ręku jakąś książkę, którą mi przyniosła, i o mało nie upuściła jej na podłogę.

Więc pan ją widział... ty ją naprawdę zobaczyłeś, tak?

Wybiegła z salki. Wróciła za jakąś godzinę... spróbowałem usiąść czy co... bo po raz pierwszy widziałem inne zakonnice, miały inne stroje... trzy, tylko jedna młoda... ta młoda wyglądała surowo... dwie starsze starały się być miłe... były to damy... przecież człowiek to pozna, kurwy i damy, nawet tam, gdzie się to łączy, takie grzeszne i obrzydliwe myśli przebiegały mi przez obandażowaną głowę, przyznaję się... Maria stała przy mnie, nawet nie mrugnęła swymi nieumalowanymi oczami, najwyraźniej chwila była doniosła.

Pytają, czy widziałeś ją tylko pierwszej nocy. Mogę mówić ci ty?

Tak. Jasne. Tyje słyszysz?

Tak. Nauczyły mnie już tego. Pytają, jak się czujesz i czy boli cię głowa.

Powiedz im, że już próbuję chodzić i że czuję się dobrze. Jestem tylko słaby.

One cię słyszą. Poczekaj, odwróciła się do nich.

Chciałyby zobaczyć, co masz na skórze.

Masz na myśli smoka, tak?

Zaczerwieniła się. Rozpiąłem piżamę, nigdy takiej nie miałem. Potem coś mi przyszło do głowy i zmartwiałem.

Siostrzo Mario, to słyszą też, co myślę.

Jedna z tych starszych spojrzała na mnie, uśmiechnęła się i... pokręciła głową.

Na wszelki wypadek, powiedziałem.

Pochyliły się nade mną i dokładnie oglądały Matkę Boską. Ale nie dotknęły mnie.

Dziwię się, że nie widziałem żadnego lekarza, oznajmiłem.

Mówią, że go nie potrzebujesz. Już nie, błyskawicznie wypaliła Maria.

Potem zostaliśmy sami. Już przedtem Maria powiedziała mi trochę o zakonie. Ale chyba sama niezbyt dużo wiedziała. Mówiła, że są z Hiszpanii, a wiele siostr z Ameryki Południowej. Pierwszą rzeczą, o którą spytałem, były dzwony.

Wie pan, mówiła mi wtedy siostra María Coseta, pan jest chyba katolikiem... noo, powiedziałem, o sprawach Starego Boga nie wspomniałem, gdzie tam, cieszyłem się, że mogę leżeć... siostry czują się związane swoim posłannictwem, więc po prostu... w kaplicy, gdzie się spotykają, jest dzwonek... aha, mówiłem i próbowałem złapać muchę, która uprzykrzała nam życie... one troszczą się wszędzie w America Latina o Boże Dziecię, o Dzieciątko Jezus... które czczą Indianie... na pewno pan słyszał o karmelitach, pouczała mnie siostrzyczka, przyniosła sobie skądś krzesło, już nie siadała na brzegu łóżka jak na początku, kiedy było ze mną dosyć kiepsko i nie słyszałem jej dobrze... ten zakon się od nich w XVII wieku odłączył i nie został uznany... siedemnasty to barok, spytałem chytrze, siostra Maria przyniosła mi bowiem tom wierszy, nosił tytuł *Róża ran*, były tam stare i piękne słowa, między innymi... przeczytałem także skrzydełko obwoluty, z nudy... barok? no taa, chyba, zakłopotana się siostra w codziennym języku.

Tylko kiedy jej pytałem, jak do zakonu dostała się ona, nie chciała odpowiedzieć... ale raz, kiedy w przerwie w polowaniu na muchy wytrwale atakowałem, a wtedy byliśmy już przyjaciółmi, mówi: Tak jak ty.

Co?

Powiem ci to, czemu nie. Znaleźli mnie. Wyzdrowiałam tutaj, Zostałam.

Co robiłaś przedtem?

Co ci do tego?

Masz rację.

W pierwszych dniach czułem się źle, głowa mnie bolała, znowu z daleka zaczęła się odzywać strunka... tego się bałem, bałem się też spać, ze względu na sny, ale Maria przyniosła mi herbatkę, po której spałem twardo... czasem mówiłem jej, że tam nie wytrzymam... ale może naprawdę byłem słaby, może dodawali mi czegoś na uspokojenie do jedzenia... a po bardzo długim czasie, po wielu prośbach i błaganiach Maria przyniosła mi papierosa, wypaliłem go w ubikacji i przewalczyłem przy tym kilka omdleń, śmiała się. Zaprowadziła mnie do łóżka. Chyba byłem oglupiały tym papierosem, dotknąłem jej. Odkoczyła.

Zostaw! Jeszcze raz coś takiego zrobisz, a nigdy już mnie nie zobaczysz. Ja jestem teraz Maria Anna Fatima Coseta... i jestem z zakonu Milczących Sióstr. Nie zapominaj o tym! Nigdy o tym nie zapominaj.

Wybacz. Proszę mi wybaczyć, siostro.

Po wizycie trzech zakonnicek Maria rzucała na mnie wiele tajemniczych spojrzeń, na rozmaite sposoby wyrównywała mi wyrównaną poduszkę, chodziła, siadała, opowiadała... Co się dzieje? spytałem jej. Co to znaczy, ta ich wizyta.

O, powiada, to był dla ciebie wielki honor, wielki, matka przełożona mówiła o tobie do wszystkich siostr, to znaczy... mówiła, wiesz przecież, one nie mówią... Dlaczego? To chciałem wiedzieć już któryś tam raz, zawsze odpowiadała wymijająco. Żeby nie skalać... języka, rzuciłem... ścieżek do Pana, tak to nazywają... zresztą nie potrzebują mówić, przecież wiesz, co umieją... siostrzyczko Mario, jaką tajemnicę tak chronią, czy niektóre mają wycięte języki, gdzieś coś czytałem... uniosła ręce przed usta, nie wiem, wypuściła oddech: może niektóre... ale słuchaj, naprawdę o tobie rozmawiały, a to jest wielki honor... co mówiły? Znowu zrobiła się nerwowa... słuchaj, wiesz, ile by to leczenie kosztowało gdzie indziej, masz pokój tylko dla siebie... i ciebie, nie powstrzymałem się... tak, a ja mogę tu być, swobodnie chodzić i rozmawiać z tobą, to nie do wiary, wiesz, że jesteś pierwszym człowiekiem od dłuższego czasu, z którym normalnie i długo rozmawiam... co to znaczy, Mario, czego ode mnie chcą?

Wiesz... panie Potok, krótko się zaśmiała, dla ciebie to zabrzmia chyba fantastycznie, ale ja już niczemu się nie dziwię, ta, która ci się zjawiała, to siostra Samaritas, niektórzy mówią Samargas, a ten zakon ją czci i jej szuka, naprawdę szuka! To jest ich posłannictwo.

Jak... nie rozumiem.

Dowiedziałam się, powiedziała mi Maria stłumionym głosem, że ona żyje, to znaczy na pewno tylko jej wcielenie, że gdzieś jest!

No, czemu nie, poruszyłem się na łóżku.

A ona, Maria przełknęła ślinę, ona była z plemienia Samarytanów i знаła Jezusa, dobrze go znała! Spotkali się wtedy przy studni i ten zakon wierzy, że Jezus wtedy... Samarytanie byli odepchnięci, jak psy, wiesz, to jest napisane w Biblii...

Wtedy, powiedziałem, czemu nie... przecież Maria Magdalena też, ale ja boję się mówić takie rzeczy, siostrzo, ja przecież nie mogę... a to jest zakon Dzieciątka Jezus, Dziecięcia?

No właśnie, powiedziała Maria, to się z tym wiąże... to właśnie jest ten związek! I może będą chcieli, żebyś gdzieś poszedł, coś dla nich zrobił.

Chętnie, Mario, chętnie.

Może gdzieś za granicą, może cię gdzieś pošlą, masz to znamie, znak, mówiły to wczoraj na górze, i słuchaj, ty już się tu nudzisz, prawda?

Nie, nawet nie, dużo śpię, odsypiam tu wszystkie swoje zwariowane noce i marzę, i mam od ciebie piękne książki, i rozmawiam z tobą.

Siostry mówiły, że dużo doświadczyłeś, że podobno także wyrządziłeś krzywdę.

Tak, wielką... Mario! Więc one wiedzą... i wylało się ze mnie.

Mario... ja bardzo kocham pewną kobietę, ale ona, zrobiła się z niej kurwa, rozumiesz, nie wytrzymałem tego... i pierwszej nocy tu do mnie przemówiła, gdzieś jest... ja ją opuściłem, zdradziłem, a teraz, gdybym mógł ją mieć, dałbym sobie za to ręce uciąć, zrobię za to wszystko, bardzo za nią tęsknię, a nie wiem, gdzie jest. Dziwka, sprzedała się, wiesz?

Położ się... pchnęła mnie w pościel, a potem chwyciła za rękę... nie możesz tak o niej mówić, nie wolno ci... może musiała... co ty wiesz o kobiecie, co o niej wiesz, ja ci z kolei opowiem swoje. Że niby mają wycięte języki... języki, phe, a ja!... Co miałam robić? I co tu o tym mówić! Byłam obok, poza... wtedy, odeszłam i mówię sobie: Dokąd iść? Dokąd mam teraz iść? A potem się stoczyłam, strasznie, nie ty jeden. Na dno. Tu są tylko takie. Tylko ludzie, którzy wracają. Do życia. Musisz je wytrzymać, musisz. Musisz wytrzymać życie.

To ja wiłem się... na łóżku, ona stała... powiedziała mi dużo, spod zasłony wymknął się jej kosmyk włosów, kręciła go.

A następnego dnia, mnie było już znacznie lepiej, już chodziłem koło łóżka i po prostu żartem nazywałem swój pokój celą... następnego dnia przyszła i przyprowadziła niskiego facia w okularach, niósł kolejne krzesło... to jest ojciec Antonio. Nazywa się też Lobo, ojciec Lobo, powiedziała mi siostra Maria i w sobie właściwy sposób krótko się zaśmiała, już to znałem... będzie cię uczyć hiszpańskiego... mam nadzieję, że nie odmówisz... jasne, że nie, to świetny pomysł, ten język mi się podoba... galeon, szczerknąłem na facia... caravela, mówił, siadał... caballero, spróbowałem... misericordia, odparował, a ja ucichłem, bo wyczerpałem swój zasób słów. Zaczął czyścić sobie okulary. Ten gest widziałem potem wiele razy, codziennie. Bardzo mnie zdziwiło, że hiszpański ma gramatykę dość podobną do języka Bohemii, poza tym spodobały mi się odwrócone znaki zapytania, wbijały się w zdania, jakby je ciągnęły na haczyku.

Na dwór? Ale ja nie chcę na dwór, Mario, nie chcę nikogo widzieć... mam stokrotną chęć pójść do jej mieszkania, tylko że jeszcze brak mi odwagi, nie, muszę poczekać... W ogóle nie mogę sobie wyobrazić siebie na ulicy, ale muszę biegać czy coś w tym rodzaju... już wcale nie jestem szczupły, przeciwnie... Brakowało mi ruchu. Umówiliśmy się, że nie będę się pętać po budynku, po klasztorze, zawarliśmy taki pakt...

Maria mówiła, że nie ma tam w ogóle mężczyzn, ten ojciec Antonio przychodził z Brzewnowa, a ja uradowałem się, kiedy wytłumaczył mi, co znaczy Lobo, el Lobo... mieli tam tylko ogrodnika, głuchoniemego... Maria wpadła na taki pomysł i spytała... tak, możesz mu pomagać, tylko...

Pozwolili mi chodzić po ogrodzie, ale musiałem sobie do kolana przywiązać dzwonek... niektóre siostry nie chcą widzieć mężczyzny, są zdecydowane, w ten sposób je ostrzeżesz... tak dostałem się do swojego ubrania, zima miała się już ku końcowi, byłem tam długo, czułem się już silny, parę razy pomyślałem, żeby skoczyć przez mur, hop, i zniknę, kto wie, co dla mnie szykują... była tam u ogrodnika drabina, ze względu na jabłonie, bardzo się nimi interesowałem... ale chyba z powodu Marii zostałem, łąziłem za ogrodnikiem i wozilem taczki gnoju, dzwoniłem na siostry, chodziły tam czasem w swoich płynnie opadających habitach, wyglądały, jakby przyszły z innego świata... czasem była mgła.

Ogrodnik palił, te pierwsze ledwo wytrzymałem, ale wracałem... wracałem do życia.

Możliwe, powiedziała Maria, że będę musiała wyjechać.

Co? Nie!

Tak, mamy misje, w Andach i gdzie indziej... i, dzisiaj to już mogę powiedzieć, możliwe, że ty kiedyś też pojedziesz.

Z tobą?

Nie, absolutnie nie, zaśmiała się, mówiłam ci, że zakon będzie może czegoś od ciebie chciał.

Znaleźli więcej ludzi ze znakami...

Tak, powiedziała Maria.

I zakon gdzieś ich posłał?

Tak.

A, droga Mario, czy oni wrócili?

Tak, na mój honor, nie kłamie, wrócili, nic nie znaleźli. Ale są w zakonie.

Nikogo nie znaleźli, tak?

Tak, racja, powiedziała Maria. Nikogo.

Powiedz mi, o co chodzi, siostrze.

Przecież już to wiesz.

Czegoś się domyślam, ale nie wiem nic. I jedno ci powiem, droga Mario, dziękuję ci za wszystko. Teraz, bo może nie będzie okazji.

Ty chcesz uciec? Odejść?

Na razie nie.

Teraz kłamiesz.

Mario, ty to zrozumiesz, mnie chodzi o tą moją. Nazywa się Czarna. Ja nie mogę pewnego dnia się obudzić, nauczyć się hiszpańskiego i wyruszyć gdzieś do dżungli albo w góry, czy ja wiem dokąd, szukać jakiejś Świętej.

Właśnie ty możesz, zaśmiała się Maria. Mogłabym ci powiedzieć, że zostanę ukarana, strasznie ukarana, jeśli odejdziesz. Ale tak nie jest. Ja cię rozumiem. One nie. Ale jeśli uciekniesz, ostrzegam cię. Masz wobec zakonu dług. A kiedyś tak czy owak będziesz go musiał spłacić.

Mario. Chcesz powiedzieć, że przyjdą po mnie?

Będą o tobie wiedzieć.

Jeszcze przez jakiś tydzień uczyłem się rano hiszpańskiego, Yo no tengo dinero na przykład, i obserwowałem ojca Antonia, jak czyści sobie okulary, potem między obiadem a kolacją biegałem po ogrodzie i uczyłem się płasawicy, ten dziad nauczył mnie głównie sloganów w rodzaju: bierz szpadel, przynieś konewkę, więcej gnoju, chcesz fajkę? Dzwoniliśmy.

A raz w nocy... nie spałem, bardzo podenerwowany myślałem o Czarnej... pragnąłem jej z całej siły... drzwi izby się otworzyły, jakby machnęło czarne skrzydło, bezdźwięcznie, wionął chłód z korytarza i weszła siostra Maria, oparła się plecami o drzwi, na habicie miała jakiś prosty płaszcz, była zadyszana... no to już czas, muszę iść... wstałem i bardzo szybko znowu złapałem kołdrę... tylko pokręciła głową, tym ruchem, który mówi „no, tak”... tak więc, powiedziała... siostrze, uważaj tam na siebie, bardzo, wiele ci zawdzięczam. Bardzo wiele... daj spokój, ty też uważaj na siebie, potem mogłem już do niej podejść, chwyciłem ją za ramiona, ale delikatnie mnie odsunęła... położyła mi tylko palec wskazujący na usta, powiedziała: Zostań tu z Bogiem... i wyszła.

Nie poszedłem za nią, nigdy za nią nie szedłem, tak się umówiliśmy. Potem już w ogóle nie spałem. A przy porannej lekcji byłem mało skoncentrowany.

Kiedy zdjęli mi opatrunki, oczekiwałem, że zobaczę bliznę, ale tylko trochę wypadły mi włosy po tej stronie, gdzie była rana, zresztą niektóre odrosły. Fryzurę poprawię gdzie indziej, mówiłem sobie. Od czasu, kiedy wyjechała Maria, widywałem tylko ojca Antonia i ogrodnika. Zdradzę was, drogie siostry, ale to ze względu na nią... z nią jestem bardziej związany, nie gniewajcie się... a do miejsca, gdzie zobaczyłem obraz Świętej, mówiłem zuchwale: Nie wiem, kim jesteś, ale dziękuję, że pokazałaś mi swoją piękną twarz... ty też się nie gniewaj, wiesz przecież, co widziałem w twojej twarzy... myślę, że na pewno mnie rozumiesz, i życz mi powodzenia na mojej drodze... bo co ja wiem, Wielka, nic... tylko to, że czas stale biegnie, a zakon o mnie wie. Samaritas, chroń swoją Marię Annę Fatimę Cosetę, ale tak naprawdę!... i mnie, jeśli to możliwe... kurczę, chroń wszystkich, jeśli masz siłę, wszyscy cię potrzebują... albo jeśli wybierasz, twoja rzecz... o mało się nie przeżegnałem, ale oni... był to chyba nieuznawany zakon... jakoś to sobie przemyślałem pod tym krzyżem, który przez tyle nocy miałem zawsze nad głową.

Pizamę rano tam zostawiłem.

To byłoby święństwo jeszcze im coś ukraść.

A potem... chociaż pokazał mi znak „konewka”, chwyciłem drabinę i oparłem ją o mur, dziadek wsparł się na szpadlu i patrzył... bałem się, że będzie mi przeszkadzać, szedłem po drabinie... i uważałem na niego, znowu zrobił znak... dobra, to jeszcze zaryzykuję, specjalnie, żeby zobaczyć, czym to się skończy... zeskoczyłem i podszedłem do niego... podał mi ją, po czym zapalił, cały czas uważałem, czy nie poruszy się szybko, nie radziłbym mu, ale on nie, tylko kiwał głową i mrużył oczy, puknął się w czoło i wskazał na mnie, a potem pokazał... zaraz odpiąłem ten dzwonek, ogrodnik szczyrzył zęby i śmiał się, wyrzucał z siebie śmiech jak jakąś materię. Przyzwyczaiłem się do swojego dzwoneczka, miał rację ten człowiek z ogrodu.

Byłem zadowolony, że mogę się z nim pożegnać. Chyba jak jakiś medal błyszczało we mgle słabe słońce wczesnej wiosny, było nad nami, staliśmy tam. Kiedy dopaliłem, klepnął mnie w ramię i zrobił znak, że niby nie widzi, mozolił się ze szpadlem... na ostatnim szczeblu drabiny miałem lekki zawrót głowy, ale śmignąłem w górę i już byłem na murze i trzymałem się rękami, i osuwałem się w dół, rozluźniłem palce, stoczyłem się pod nogi jakiegoś przechodnia, był to łysek w krawacie i z teczką... już znowu tu jestem, powiedziałem mu, poruszył nogami, wstałem i było w porządku.

Przetarłem oczy, zasłoniłem je, ale po chwili znowu patrzyłem... drzwi miały kołatkę, tak... i ten znak, to godło na drzwiach, byłem tam cały czas... to także był dom, który zmienił właściciela, miały go teraz siostry, ach, Psico, więc przez cały czas byłem nad tym miejscem... i moja Psico, to na pewno dzięki twojemu przebaczeniu, bo ty mi przebaczyłaś, wróciłem... i żyję, nie pójdę tam, nie po tych schodach, nie do tej piwnicy, teraz już pokonałem wysoki mur, jestem za nim... i będę żyć, a tam już nie pójdę, już nie.

ALE ZASKOCZONY NIE BYŁEM. RÓŻNE PRACE. TO LIST DO CIEBIE.
CZEKAM. WIDZĘ... KRZYWA SZYI.

Czarnej tam nie było. Przy wejściu serce waliło mi jak szalone i musiałem oprzeć się o poręcz, resztę pięt pokonałem chyba biegiem i wpadłem do mieszkania... i nie było jej tam, nie mogło jej tam być. Wszystko zostało tak jak wtedy, kiedy mieszkanie opuściła. Jakby tymczasem nic się nie wydarzyło. Przypomniałem sobie ostatnią wspólną noc. Nigdy jej nie zapomniałem.

Były tam kikuty świeczek i wszędzie kurz. Ubrania, moje i jej. Sprawdziłem całe mieszkanie. W wannie ciągle chłodziła się butelka, lodówka była pełna. Zepsute produkty wyrzuciłem, wytarłem kurz i zmiotłem pajęczyny. Spokojnie i dość metodycznie posprzątałem. Dobra, zacznę od nowa. Wszystko zacznę od nowa. Będę czekać i pytać. A jeśli się nie pojawi, wyruszę w drogę. Dopiero jednak, kiedy zrobi się cieplej. Kusiło mnie jej biurko, może są tam jakieś dokumenty. Ale jeszcze się nie odważyłem. Miałem w sobie coś, co mi nie pozwalało, to było jej terytorium. Może zwrócę się nawet do urzędów. Niemożliwe przecież, żeby jakaś dziewczyna ot tak zaginęła. W takim małym kraju. Ależ tak, to jest możliwe, jasne, że tak. Siedziałem na łóżku. Bałem się położyć. Może bym jednak zaczął wyc i drzeć poduszki.

A ten mały kawałek metalu z mieszkania zniknął. To, co wtedy buchnąłem i co mi udowodniało, że cała ta historia jest prawdziwa. Nie było tam tego. Ale zaskoczony nie byłem.

Bar Czarna już nie istniał. W Galaktycznym byli inni właściciele. Uświadomiłem sobie, że wielu ludzi znam tylko pod ksywkami. Szukałem Kocura. W książce telefonicznej go nie znalazłem. W Katedrze powiedzieli mi, że czasem tam wpada. Ze współnikami. Ale gdzie jest ani co robi, nie wiedzieli. Chyba raczej nie chcieli mi powiedzieć. Ci już mnie nie znali. Przesiadywałem w Katedrze i trochę popijałem, dużo pieniędzy w mieszkaniu na poddaszu nie znalazłem. Problem z banknotami. Wszystko zmieniało się szybko i moniaki, które zaoszczędziłem w erze Organizacji, były już nieważne. Uznałem to za znak.

Długo cię nie było... mówili mi niektórzy znajomi... tak i byłem daleko, s'miałem się. Muszę się przyznać, że jedną czy dwie noce spędziłem z Cepkovą... chyba z poczucia osamotnienia. Jej i mojego. Ale. Nie mogłem się kochać. Długo byłem chory, powiedziałem jej... i chyba dalej jesteś, nie szkodzi... sądzę, że oboje ukradkiem obserwowaliśmy swoje zmarszczki i domyślali się głębokich blizn, każde domyślało się ich w tym drugim, tak, raczej to niż jakiś seks... potem nie widywaliśmy się zbyt często, a jeśli już, to mówiliśmy sobie „dzień dobry”... powoli znowu zanurzałem się we wszystkie te znajomości i zwyczaje, i język... o Czarnej nikt nic nie słyszał, Pająk i Hadraba są podobno w Niemczech, mają tam dobrze prosperujące lokale... barman wyszczerzył zęby, ale barmani nigdy nic nie wiedzą... zacząłem pytać o pracę i jadłem konserwy, po klasztorzym wikcie to był szok, ale z dworca byłem przyzwyczajony do skrajności... nie wierzyłem raczej, że Czarna gdzieś z kimś zaczęła żyć, a jeśli tak, to też dobrze, jak chcesz, najmilsza, jesteś wolna... ale muszę cię zobaczyć i tak będzie, musisz przyjechać do mateczki, ty wilczyco... dziewczyno, gdzie się włóczysz, którądy prowadzi twoja droga... wysyłałem jej sygnały i śniła mi się.

A pewnego razu... pewnego uśmiechniętego miejskiego dnia, kiedy jesienne słońce jest tak szczodre, że idąc swoją drogą, m.in. ot tak ozłaca stare ścieżki w dalekich borach tak samo jak jakiś szcurzy pysk... z forszą byłem już na dnie, szedłem do jakiegoś nowego lokalu, żeby popytać... tych tawern było teraz coraz więcej i więcej... szedłem przez miasto

na targ, żeby znaleźć pracę... wstałem wcześniej, kiedy wydaje się, że powietrze jest jeszcze świeże, a ludzie też, wszystko dopiero się zaczyna, który to już raz... szedłem przez przejścia podziemne, niosło mnie chodnikami i przechodziłem na zielonym świetle, rozglądałem się po Pradze, Perle, jak kobuz i obserwowałem nadgnię warzywa, to, z jakim wdziękiem ich liście opadają na ziemię, kiedy sprzedawca jest niecierpliwy i wrzuca jarzyny do jakiejś nadstawionej reklamówki... i widziałem chmury kurzu, tajemnicze, zmieniające się w powietrzu mapy i wystawy pełne przedmiotów, których nie potrzebuję, ale może są komuś przydatne, zauważyłem też druty, które wychodzą z murów, i spodobał mi się ruch drutów wplecionych w rower, który właśnie przejechał, są tu też światła na skrzyżowaniach ze swoimi trzystwrotkowymi utworami, przechodnie jako refren... kręciłem zagojoną głową, ruszałem z pieszymi, to tak jakby król wysyłał swoje wojsko labiryntem ulic, ale uwaga: który król, ale uwaga: twój labirynt jest zwierciadlany... gapiłem się przy wystawach księgarń na kolorowe okładki, a niektóre książki wysyłały sygnały, szedłem, kierując się nimi... znowu zacząłem czytać... skoro ukochanej nie było... i w końcu w tym miejskim zgiełku, w slalomie, w dzwonieniu tramwajów i w hałaśliwym wodospadzie tłumu, kiedy idziesz szybko, a mowa stapia się... te książki wydawały mi się uprzejme, przynajmniej... mówiły: jesteśmy tu, weź nas albo zostaw, raczej zostawisz, co? Tak, są uprzejme, nie szczekają ani nie sapią jak skurwione marsjańskie melodie z grających maszynek i rozmaite komputerowe hity, którymi człowiek na jego drodze bezkarnie ogłupia bezlitosna robocia narkomafia... człowiek musi każdą z tych książek otworzyć i zważyć na dłoni, a czy jej chce, to jego sprawa.

Podobno były czasy, kiedy ludzie musieli każdą taką papierową rozciąć przy czytaniu. Nie tylko czytali z nożem w ręce, co jest bardzo korzystne, nie wiesz przecież, kto przebrany za listonosza skrada się właśnie po ganku... ale jeszcze musieli przynajmniej zatańczyć kośćmi nadgarstka, przynajmniej się poruszyć i z pewnością, jeśli lektura była zajmująca, oddech stawał się przyspieszony, od czasu do czasu rozbrzmiewało niecierpliwe przekleństwo i tak słowa stapały się z książką... pośród straganów dostrzegłem faceta, do którego przyszedłem, powiedzieli mi w Galaktycznym, że tu pracuje i że zapewne będzie mieć pracę także dla mnie.

Cześć, Kaja! Czego tu stoisz... w kurzu jak wariat... czołem...

Potok, to naprawdę ty, wyglądasz jak własny duch, kieruję tym tutaj! Gdzie byłeś tak długo... czego ci trzeba?

Szukam roboty. To szczęśliwy przypadek, że cię spotkałem. Masz coś?

Hm, Potok... a udźwigniesz tą skrzynię?

Leżała z tyłu, za straganem z jarzynami, nieźle napracowaliby się z nią czterej faceci.

Ej, kierowniku, co mi tu gadasz, to z jakiejś książki... tylko zapomniałem autora...

Po co tobie, wykształconemu, taka robota?

Lepiej fizyczna, ale z dala od ludzi.

Też tak sobie mówiłem, mój znajomy spojrzał na mnie, że wezmę to na jakiś czas, ale, człowieku, już przy tym zostałem! Dzisiaj jest inaczej. Jak jesteś robolem, to jesteś robolem. Kotłownie też są już inne. Co jest, nie masz znajomych?

Nawet nie wiem. Ty jesteś moim znajomym. Prawdę powiedziawszy, w ogóle nie mam forsy. Długo mnie nie było i musiałem zapłacić czynsz... sam się zdziwiłem, jak praktycznie mówię i w dodatku na temat... ciągle człowiek dojrzewa, większość to czeka.

Słuchaj, Karel... znasz to: ja nie potrzebuję roboty, potrzebuję forsy?

Taa, znam... to mój przypadek... wezmę cię do magazynu. Byłeś już magazynierem, ale teraz będzie inaczej. Będziesz wyjmował ze skrzyń owoce. Ten papier dasz Burdzie. I niech nie zapomni o rękawicach, to świnią! Przypomnij mu, rękawice.

Dzięki, jestem twoim dłużnikiem.

Tak, ale ja u ciebie szukać roboty nie będę, możesz być pewny.

Ja bym cię nie wziął.

Chodziłem więc do pracy. Uspołeczniałem się, ulżyło mi.

Ale potem... przy straganie znowu zobaczyłem rumuńskie Cyganki z dziećmi... żebraczki, i dotarło do mnie, aha, to On je tu przysłał. To już dla mnie jasne... Kierownik, mówiłem w przerwie południowej, wpadłem na teorię względności, to jest tak, słuchaj: On je tu przysyła, a im chwilami się wydaje, że są w raju, przez te opakowania i resztki, taa, to już jest west, i za tych kilka koron udaje im się wyżyć, ale są tu ze względu na miejscowych, to jest ta teoria... Co? spytał Kierownik, ale i jemu zaczęło się rozjaśniać... zwróć uwagę, Kierownik, dzisiaj jest moda mówić: Nie mam czasu, ludzie wydają się sobie strasznie ważni, że niby nie mają czasu, że pracują, wydają się sobie prawie tak ważni jak Amerykanie na tych swoich zebraniach przy rozwiązywaniu nierozwiązywalnych problemów i nie patrzą już dookoła siebie... chcą wyglądać jak ludzie z seriali, zasrani profesjonaliści, sukces, wola, satelity, bryki, pięć blondyn itd., kapujesz? Tak, zawsze w knajpie pytam: Czytałeś już *Wojnę i pokój* i *Gilgamesza* albo na przykład *Człowieka bez właściwości* czy *Eskimosa Welzła*, to przeczytasz w jeden wieczór... no, Kierownik, gdybyś widział ich gęby, każdy, że niby: To strasznie grube! A kiedy... w dzisiejszych czasach! A czy tego nie sfilmowali? Jak Biblii? Tak, Kierownik, jak mi ktoś powie bardzo poważnie i z godnością albo ze znudzoną gębą: Nie mam czasu, słyszę buzowanie krematoriów i drzę o los ludzkości... chcą być jak maszyny, jak niewolnicy obracający zegar, a jedyny rezultat jest taki, że wzrasta liczba gatunków zombi... a to, co wieczorami widzą w wiadomościach, tych wszarzy mordowanych, zgniatanych walcem świata, w poniedziałek Kurdowie, we wtorek Somacy, we środę Kambodżanie, w czwartek Hałasowie, w piątek Reneci, w sobotę Etiopczycy, w niedzielę Bośniacy, w następne dni też jest komplet, a niekiedy wszyscy jednocześnie, więc już temu szanowni telewidzowie wcale nie wierzą... że są ludzie bez plastiku, bez żarcia, bez zębów, to już nie jest rzeczywistość... toteż sprytny Bog porozszyłał w różne strony świata, do metropolii, te obdarte Cyganichy z ledwo żywymi gówniarzami, żeby ludzie widzieli... biedę i to, jak bieda otepia, kapujesz? To jest nowe plemię, tajne i bardzo ważne stowarzyszenie, wiesz, że oni są wszędzie... widziałem w telewizji, Anglory strasznie się dziwią, że są nawet w Londynie, jak się te bose i śniade typy przedostały bez funtów i dokumentów przez kanał La Manche... na pewno nie tak jak Venclovský... dziwowali się w parlamencie... w powietrzu unosiły się tam strzygi, wypuszczone prosto z Jego dłoni, żeby prowokować. A każdy ich obrzydliwy widok oznacza też pytanie, dlaczego ja? Dlaczego nie ty? Zawsze kiedy podają pierś swojemu zdrętwiątemu z zimna dziecku, mówią w ten sposób pędzącemu przechodniowi z powiewającym krawatem: poczekaj tylko, może jutro ty się przewrócisz, nigdy nie możesz wiedzieć, gościu, he, he... wiesz?

Ja wiem, powiedział Kierownik, ale co z tobą... nie chcesz czasem krótkiego urlopu?

Nie, mnie praca cieszy.

I była to prawda... jeśli wyłączyć Burdę i drugiego pakowacza... po pewnym czasie zrozumiałem, dlaczego drażni ich to, że tam jestem... wyjmowałem z ciężarówek owoce i układałem je na plecawkach, wozili to w workach, była to mniej więcej szósta kategoria, moim zadaniem było wybieranie dobrych sztuk i wkładanie ich do małych skrzyneczek... był na nich napis SUPER SPECIAL KLASA NUMBER ONE BORN IN BOHEMIA, zaraz wyczytałem, o co biega. Moja szopa, czy jak się w tych czasach nowoczesnie mówiło hangar, miała ściany z niebieskawego sztucznego tworzywa, z owocami to był bezustanny taniec kolorów. Człowiek mógł obserwować, jak przesuwa się słońce. Wyfasowałem kombinezon roboczy, ale rękawic właśnie zabrakło. Po drugiej stronie pachnącej tropikami pakowni był stragan z wędlinami i jakaś chałupa z napisem Bar. Znajdowaliśmy się za miastem, był to park leśny, wybieg. Zjawiały się tu liczne grupy wycieczkowiczów, zatrzymywały mi swoim wrzaskiem życie i kręciły interes. Niekiedy udawało im się wyżebrać kilka owoców. No tak, z czasem zacząłem trochę tego na boku sprzedawać.

Stałymi klientami Baru byli w większości robotnicy leśni z pobliskiego Królewskiego Zwierzyńca, paśli tam bydło. Tam też badałem teren... ci mieli mnóstwo czasu, ale był to lud o jakieś dwa, trzy schodki przed dworcem, to już znałem. Najchętniej chodzili w płaszczach gumowych, a idąc, wymachiwali pięściami. Spędzałem czas z cytrynami, malankami, brzoskwiniami, przywozili kiwi, banany i pietruszkę... stary Burda wierzył, że kiwi przenoszą AIDS, męczył mnie... kiedyś rano zrozumiałem, policzyłem swoje plecionki, dziesięciu brakowało. Siedzieli w Barze, Burda i Křepek, rabusie... tylko szczyrzyli do mnie zęby, a Burda mówił, żebym się tak nie napychał malinami, są drogie, podobno mnie widział i zapoda Szeferowi, nie udało mi się. Następnego dnia to samo... oddajcie mi cytryny... ośmieszyłem się... Křepek nosił krzyżyk, cham, o mało mu nie zatańczyłem, oni nie wiedzieli... kradli jak sroczyta, ale nic się nie działo, żadnego munduru w okolicy, zacząłem wrzucać bardziej zgniłe kawałki, żeby mieć tego więcej, i lekko zamazywałem faktury, inaczej się nie dało... jesteś w kole, matole, to jedź i czekaj na nią, mówiłem sobie... nic innego nie pozostawało. Ale praca mi się podobała... była na wędch, od czasu do czasu musiałem wziąć kilka starszych kawałków łopatką, kiedy chciałem od Burdy rękawic, prychał, widziałem, że Křepek ma nowe, odpierdolcie się, proletariusze... cytryny pachniały. Cytryny nie gadają niepotrzebnych rzeczy, zazdrościłem im.

A na poddaszu... czasem było smutno, było tu dużo jej zapachu, dużo jej rzeczy... wtedy szukałem cię, siostró, a teraz piszę swój list, list jako książkę, szalony list, list w pierwszym roku Świętej Wojny, Dżihadu, Wojny z mediami, wojny w roku iks po wybuchu czasu, którego nagle zabrakło, nikt go nie ma... tylko z góry przegrane wojny, tylko one są ciekawe, ukrywają swój sens, zwycięstwo, już nawet kosze na śmieci kręcą skrzydłami wiatraków, zwycięstwo, wyciągnę ze śmietnika broń bezprizornych zrobioną z puszek i przekopię się przez Ziarnistą, zwycięstwo, może tam mi wpadłaś, najmilsza, zwycięstwo, wybieram z nieskończonej ilości słów i myślę, że przypadkowy czytelnik już dawno odłożył moją wiadomość dla ciebie, może zostawił po sobie w książce okruchy i poszedł do ogrodu skończyć ciasto, tam gdzie w eleganckich wiklinowych fotelach siedzą krytycy i psychiatry, w sieni Szefa Szefów Żyjącej Mumii, siostró, kamienna głowa Szefa pilnuje basenu, w którym nie ma wody, pełny jest Jacka D.... a może moją czytelniczką jest też gospodyni domowa, może na sekundę gwałtownie odrzuciła mop, zanim przyjdzie ten zdumiewający instalator, mogę to być nawet ja, wejdę do przedpokoiku, gdzie gotuje się kapusta, jakby sama... wejdę, może z lubieżnym uśmiechem, przebrany za Arlekina... są różne możliwości... i woda nagle przepłynie w przezroczystych bąbelkach, tyle słów związałem, niektóre są twoje, a kiedy postawię ostatnią kropkę, nic się nie zmieni, jest tylko jedna nadzieja, mianowicie, że w tym momencie podniosę głowę... a ty wkroczysz do pomieszczenia. Małgosiu, zejdź wreszcie z tego drzewa... chodź do mnie, ja już jestem wariatem... ale ile zgróh czyha na siostry w s'wiecie, pod każdym kamieniem, na każdym zwykłym rogu... ilu gwałcicieli i producentów, ile cierpienia czyha pod mętnym niebem w deszczu na siostrę, która nie ma nakrycia głowy, także ta chwila może nagle zokrutnieć, przez całe życie uważaj, i wytrzymaj je... przecież się spotkamy, tu albo tam, będziemy razem, do spotkania dojdzie najprawdopodobniej w starym zapuszczonym ogrodzie za lasem petunii... będzie to noc lasu, noc z sową, kocha to, co niewidziane, walczy z niczym, jej maską, jej muzyką jest Diabeł... będziemy uważać, idąc po drżącym mchu... spotkamy się z oszalałym księżycem i z pokorą w sercu obejmiemy się... będą tam wierzby i fałszywe groby, cała architektura w chichocie puchaczy i płaczu, i krzyku parzących się kotów, a potem usłyszymy też tajemniczą muzykę, to lisy wyruszą na łowy... i spotkamy się, siostró, i dopiero później będzie koniec... korony jabłoni obsypie białe kwiecie i otoczy drzenie owadów, a w nocy te korony będą pieścić jak suknia panny młodej... więc wróć, rozpalone ciało, choćbyś tymczasem przekurwiła się aż do Alaski, wróć mi wciąż z bobrem, ze wszystkimi krasnoludkami, z Medicinmanem, przełamiemy zakłęcie... stać nas na to, mamy

gdzieś wszelkie rody, wezmę cię za rękę, siostrzo, boję się o ciebie strasznym lękiem, gdzie się włóczysz, ty, latawico, nie wytrzymałem na naszej warcie, naszej nocnej warcie, ukochana... po ścianie pełzną ku mnie cienie, znowu przeminął bezsensowny dzień, już nawet ich nie liczę, a co się dzieje tobie? Czy moja siostra nie jest otoczona przez przeważające siły nieprzyjaciół, czy nie ścisza jej serca strach? Czy nie jest samotna, czy nie leci ku niej strzała? Czy gałęzie drzewa nie zmieniły jej się w pająka? Czy nie jest pod walcem w tym życiu pośród idiotów? Czy ma jeszcze dość siły, żeby się uśmiechnąć? Czy nie atakuje jej choroba, czy nie broni się na próżno, walcząc osłabłymi ramionami? Czy nie idzie czasem sama przez beczelnie przerażającą noc?

Czy podstępna poczwara nie wyspała jej do tequili środka nasennego? Mógłbym może, siostrzyczko, użyć pewnych środków, ale się wzdragam... ty jesteś mądra i wiesz, że zło zwróciłoby się przeciw nam... ty jesteś zdolną kobietą, toteż nie masz nic za darmo, tam, gdzie jesteś... mogę tu tylko siedzieć, leżeć, być, niespokojnie podtańczać przy Kainowej litanii, mogę ci wysłać energię za siedem gór, a czy moja siostra nie jest przypadkiem w jakiejś miejskiej norze... możliwe, że ulicę dalej... może teraz idzie po schodach z kluczem, ujmie zaraz klamkę i wejdzie... i to jest możliwe, nasz burzliwy związek, moja najdroższa, to całkowita utrata pewności.

Musiałem dokonać w mieszkaniu pewnych zmian. Coś z oknami. Przetawiałem przedmioty. I jeszcze biblioteczka... pomalowałem ją na czerwono. Ale kwiatów tam nie nosiłem. Wydawało mi się to nazbyt pochopne.

I zaklinałem, i prosiłem, i wszystko to się łączyło.

Przy oknie, tu na łóżku, pewnego ranka dotknęła nas przemiana, ulegliśmy porażeniu i cała życzliwość oraz cała brutalność spłynęły w jeden nurt, ruch przeciw czasowi, który jest umieraniem, zdrętwieliśmy w ruchu w czasie i poza czasem... w każdym wspólnym wydechu miałem jeszcze dość sił, żeby obserwować twoje kruczę włosy, ich kontrast z uderzająco białą cerą... łącznie z piegami, była jesień, tu tyle razy słuchaliśmy pogody z młotami pneumatycznymi... wtedy.

Ale pracę straciłem. Zdarzyło się to pośród bananów. Myślałem, że to gałązka, konarik, może nawet pęd... złapałem ją, przesłanie z dalekiego brzegu, ale zaczęła się poruszać, śliski ruch w mojej dłoni, odskoczyłem. Był to mały zielony wężyk, było ich tam całe gniazdo i... zaczęły wystrzeliwać, świszczały mi koło uszu, był to taki dźwięk, jaki wydaje pękający strąk, wybiegłem, Burda się śmiał, zerwałem ze ściany gaśnicę i prysnąłem na nie, zgmiotłem je butami i musiałem usiąść. Kiedy podszedłem do niego, przestał się śmiać. Křeppek przyglądał się z zainteresowaniem. Ale wróciłem. Ten dzień był zakłęty. Ruch koło worka dostrzegłem kątem oka, spojrzałem uważniej, a potem otworzyłem oczy naprawdę szeroko. Był kosmaty, wielki jak futbolówka i poruszał się z przerażającą szybkością, wylazł na worek, nogi mu tylko migają, jedna przed drugą... lubię zwierzątka, ale to... ostrożnie się przed nim cofałem... i wymknąłem się, z przyzwyczajenia poklepałem miejsce za sobą, jakby za mną szedł, wybiegłem z hangaru i wpadłem na Burdę... gapił się na mnie... jesteś błądy, chodź do magazynu, chyba jednak... te rękawice... Niech pan tam pójdzie, panie Burda, mamy wizytę... nie, chwyciłem go za rękaw, nie... załatwiliśmy potwora grabiami... Burda go zmiotł, kaszę, która została, do dzisiaj mam gęsią skórę, kiedy to sobie przypomnę. A bananów jeść nie muszę.

Nie, Kierownik, nawet w zbroi z azbestu. Mam coś, na co chcę czekać... tego było za dużo.

Hm, na ogół odchodzi każdy, kto się na nie natknie, ale one nie są niebezpieczne, podobno... stary Burda się ich nie boi, ten drugi też nie, tylko oni to wytrzymują, dziwni ludzie, co?

No. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Nie uwierzyłyś. I chciałyś je zobaczyć.

Faktycznie. Można by to pokazywać na odpustach.

A wiesz, że stary Burda miał już taki pomysł?

Przecież go zlikwidował...

To go bawi także. Dajmy temu spokój. Słuchaj, jest wolne miejsce na straganie, chcesz? Jest tam młody Kasel, taka trąba.

Podczas gdy pierwsza praca była pachnącą rośliną, w której wnętrzu porusza się niebezpieczne mięso... to teraz mięso cuchnęło i było nieżywe. Wydawało mi się to jednak bezpieczniejsze. Na pełen niebieskiego światła hangar, gdzie wspaniałe kolory cytryn i kiwi zlewały się ze sobą i budziły mój niepokój, patrzyłem już tylko z daleka. Teraz sprzedawałem istotom ludzkim karkówki, cielętki i tłuszcze. Chcieli tego.

Czasem był dziki ruch, byłem ciągle zatłuszczony. Cieszyłem się, że mnie Czarna wtedy ostrzygła, miałem nadal krótkie włosy. Moje zatrudnienie wydawało mi się równie niepojęte jak wszystkie inne.

Młody Kasel rzucał nieżywe mięso na ruszt i zmieniał je nie do poznania na przepalonym tłuszczu, był to marudny, wiecznie zamyślony chłopak. Kiedy mieliśmy chwilę spokoju, kulił się w rogu, rzucał podejrzliwe spojrzenia i czasem coś sobie bazgrał. Obawiałem się, czy nie zapisuje moich błędów... znałem to z innych swoich miejsc pracy... na przykład z okresu kelnerowania... błędy w rachunkach: Tak to wygląda, panie wodzu naczelny, sześć szaszłyków, dalej osiem lemoniad melinda, cztery piwa, piweczka, he, he, szesnaście cielęcych, ale ci pańscy chłopcy to wtrząchnęli, na ja, szefie, co, baronie węglowy, i dwie podwójne karkówki dla szanownej pani, to nam daje: osiem tysięcy dwieście piętnaście, dokładnie!... ale jeśli ten pierdoła też to podliczył i złowieszczo mówił: ha, to jest sześć tysięcy siedemset dziesięć... rozwijałem taktykę okopową, moje słowa latały jak gówna do szamba, ajajaj, boże mój, przecież ja liczyłem to obok, przepraszam, jestem tu dziś sam, a to jest za trzy patyki, niech ja skonam! Dawał mi cztery, kosztowało to dwa, a wartości nie miało żadnej. Robili tak wszyscy. Inaczej nie wytrzymałbym tam nawet tygodnia. Moje manko byłoby wielkie jak stodoła Barty. Tak to wyglądało w rajach straganiarzy. Szybko mi to wytłumaczyli.

Po pracy... nie wytrzymałem w tym mieszkaniu, przyszło mi do głowy... żeby pojechać na Skałę, do Bohlera, zobaczyć się ze starym kumplem... ale ciągle go się trochę wstydzilem ze względu na to, co się stało... wtedy w pierdłu... i bez głośnego towarzystwa, nie wiem... wysiadywałem w Galaktycznym i patrzyłem na ludzi, mógł tam przyjść Kocur, było tam mnóstwo starych i nowych znajomych, wiedziałem, że gdyby Czarna pojawiła się w mieście, to na pewno jej kroki skierują się i do tych miejsc... a w dodatku w lokalach człowiek może być sam także w tłumie, jeśli inteligentnie się usadowi... ciągle puszczała tam wideoklipy i różne kasety, był to busz, chowałem głowę w piasku i znowu zaczynała mnie brać mowa, spotykałem ludzi... teraz była to głównie Praga 3... wychowani od kolebki w ateizmie, zaczęli wyciągać nowe słowa m.in. ze słowników wszędzie rozpanoszonych sekt... były to ciężkie i poważne słowa: los, pokuta, kara... niektórzy młodzi ludzie mieszała słownictwo Biblii Kralickiej z językiem kapel rockowych... sorry, głupolu, zalegasz tu jak popsuty wzmacniacz, a pokutę już uczyniłeś?... słyszałem raz... do międzynarodowego slangu narkotykowego od czasu do czasu ktoś dorzucał wyrażonko z epoki protektoratu, a ze wszystkiego jak słoma z butów wylaziła marksistowska malowniczość... to jest dżoint pirsza klasa, aż ci gazetka ścienna odlatuje... chwyciłem zwrot czy obraz... był też angielski, ta łacina dzisiejszych społeczności... był to brouken inglisz... i brouken czek... rozbity język, a z jego słabości wyrastało może nowe wrażenie, albo przeciwnie, nie wiem... w każdym razie chodziło o przyśpieszenie.

Siedziałem jednak plecami do telewizora i raz... zdrętwiałem, bo usłyszałem głos, jej, było to niewątpliwe, wstałem, trzymając się stolika, ale już nie dźwięczał tylko w mojej głowie, odwróciłem się, ułamek sekundy... drobniejszy niż najdrobniejszość, ta kobieta

właśnie włożyła maskę, głowę kota, przeszła przez ekran i zaczęły się Wiadomości... Co to jest? Chyba krzyknąłem... odwrócili się w moją stronę, a Kieł mówi, nie wariuj, jakaś reklama... czegoś tam... przebiłem się na górę do biura, był tam ten, do którego należały wideoklipy, znałem go, ale nie traciłem czasu na kartkowanie rejestru mojej głowy... rozboleła mnie... nagrywam to też z telewizji, skąd się da, nie wiem... wieczorem mi to puścił, trzymałem się go jak kleszcz... to była ona, Czarna.

Może... tak. Jej twarz pojawiała się tam naprawdę na mgnienie oka... jakby szczuplejsza, a jednocześnie bardziej śmiała, ale może tak tylko myślałem. I widziałem też na ukochanej twarzy, że płaciła... że siostrzyczka drogo płaciła.

Ale nie dowiedziałem się, gdzie ani kto to nakręcił. Ta firma przestała istnieć. Rzeczy, którą reklamowano, już nie było w sprzedaży. Nie wymieniono tam autorów, tylko pseudonazwiska. Daty w ogóle się nie podaje na wideoklipach. To wszystko nie istniało. Tylko czasem zjawiała się na moment, przypadkiem, przed naćpanymi i ochlanymi czy obojętnymi mordami. W knajpie. Ale żyła.

Kazałem zrobić z tego zdjęcie. Dosyć duże. A potem... znowu ją zobaczyłem. Pętałem się po ulicy, podszedłem do księgarni, gapiłem się na okładki milczących i nagle... była tam, w negatywie, ale była to ona. Ta książka to były jakieś... bzdury... zawartość nie miała związku z okładką. Trzymałem książkę w ręku. I zaczęło się polowanie. Kasel miał na straganie trochę więcej pracy. Tylko że... historia się powtórzyła... wydawnictwo było małym piratem, już nie istniało... wykupiłem te książki, nieduży nakład, ale zgiąłem się pod ciężarem, księgarz mówił, że to cegła... chyba więc niespecjalnie dużo ludzi gapi się na siostrzyczkę, autor nic innego nie napisał i był to pseudonim, jakiś poeta... w stopce jednak podano nazwisko fotografa... i nagle ruszyłem pędem i zatrzymałem się dopiero w domu przypominającym szpital, byłem już przebrany, ludzki, nawet z tym smrodem przepalonego tłuszczu... wpuścili mnie... już tam nie mieszkał, dzwoniłem do sąsiadów, dosyć natarczywie, otworzyła mi starsza pani: Pan nic nie wie? Pan Meźdek nie żyje. Wypadek samochodowy. Pisali o tym przecież we wszystkich gazetach, a ten samochód... tylko że ja gazet nie czytałem. I to był kolejny błąd. Mogłem oszczędzić sobie wiele.

Byłem też na ulicy Bołkońskiego, tak... kiedy spojrzałem na tą panią, ścisnęło mi się serce, aż mnie dusiło... w kuchni siedział inny facet, ale tego samego typu... ktoś im kilka razy posłał pieniądze, stary myślał, że to ona... siedziałem bardzo przygnębiony, walnął mnie w plecy, przejdzie ci, nie jeden kwiatek na świecie... taa, mnie bez mojego kwiatu będzie świecić tylko czarne słońce:

ciemna gwiazda miłość

wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do starości i zostawiła mnie tam i już nie będziemy się kochać już nigdy

przyszło mi do głowy. Mówili do mnie, oboje. Potem schodziłem po schodach... powoli, trzymając się poręczy. Szedłem jak jakiś porządnie przybity człowiek.

A potem znowu odbiłem się od dna i zyskiwałem lekkość. Po paru dniach, w Galaktycznym... W Ziarnistej znowu pojawiła się reklama MUOREX-u, a ja przez sekundę patrzyłem na twarz, Kieł mnie szturchnął... co cię tak interesuje kocie żarcie, kołku, a może gapisz się na Czarną... ta dziewczyna wygląda na nią, nie?

Uuu! jęknął, kiedy chwyciłem go za ramię.

Ty ją znasz... mów!

Zwariowałeś czy co, nie widziałem jej od... bardzo dawno, chodzi ci o tą piosenkarkę, tak?

Tak.

No, znałem ją, kiedy była z Mortim, to był mój kumpel, znasz Marsjanina, co tak patrzysz... Potok, uważaj, inna rzecz chlać, jak się ma dwadzieścia lat, i chlać teraz z tym

samym ciałem... i mózgiem, ha, no mózg już taki sam nie jest... ja ją znałem wtedy w Berlinie. Jak runął mur. Albo przedtem?

Co tam robiła?!

Puść mnie, czego mnie trzymasz... no, Mortiemu potem odbiło, militaria i podobne rzeczy, puściła go kantem i dobrze zrobiła, jemu naprawdę odbiło... potem gdzieś chyba wyjechał, bo ja go już od...

Co robiła w Berlinie?

A co miała robić, nic... nie wiem, była kelnerką w jakiejś mordowni, podobno, nie wiem... tak jak wszyscy, ja nic z nią nigdy nie miałem.

W to wierzę, Kieł.

Jak mnie nazywasz... moje zęby... sam wypadasz jak reklama paradentulu, ale przed użyciem, he, he, to dobre...

Wiesz coś o niej?

I dziwnie pachniesz, Potok, wybacz, że ci to mówię...

Wiesz o niej coś albo może znasz kogoś, kto ją zna?

Nie. Ale dlaczego nie pójdziesz popatrzeć na nią do Moony'ego.

Co to jest? Gdzie?

No przecież Moony, bank, ten nowy, w alei Wyzwolenia, jest tam, zaraz przy wejściu... czekaj, ale... czekaj!

Nie poczekałem, pobiegłem, żaden stary zapuszczony ogród, siostró, bank, też dobrze... ale powinienem był pozwolić Kłowi dokończyć. Powinienem był bardziej się oszczędzać.

Wyrzucili mnie. Dotarłem aż do dyrektora. Zabrało mi to jakieś dwie godziny. W ciągu minuty nie zdążyłem mu wyłożyć swojej opinii. Zresztą nie zależało mu na niej. Ze schodów skakali za mną jacyś szeryfowie. Nie była tam zatrudniona, nic.

Nigdzie nic. Stałem na zewnątrz i wściekałem się, było akurat południe... a potem, potem podniosłem oczy... i zobaczyłem ją.

Facet, fantastyczny typ „łśniąca szczeka i woda po goleniu”, wysiadał z samochodu i szczyrzył zęby zadowolony, wchodził na schody banku, odwrócił się i pomachał, a z auta pomachała do niego elegancka dama w welonie kryjącym pełne temperamentu iskierki w oczach. W lekkim tiulu doborowego towarzystwa tam byłaś, Czarna, lekko i uroczo machnęłaś ręką w białej rękawiczce po łokieć... ten film szedł nieprzerwanie, zataczając pętlę, i głosił, że wszyscy są szczęśliwi z banknotami Moony'ego... i facet podnosił się i pędził do środka, i machał do damy... i znowu... i znowu... po dziesięciu rundach zapalił się neon z nazwiskiem ojca banku, a potem poszło kolejny raz...

Czarna moja, byłaś tam, zrobiona na piękną damę, na damę, która wie, z tym w charakteryzatorni specjalnie trudzić się nie musieli, bardzo piękna... facet podniósł się... może jesteś w mieście, najmiłsza... szedł po schodach banku i szczyrzył zęby, w łśniących butach... może dobrze ci się powodzi... pomachał ku okienku, a dama... Może masz nawet kasę i kogoś... pomachała do niego i uśmiechnęła się... ale to ja jestem twoim bratem.

A potem skapowałem, miała to w oczach... ot tak sobie próbuje, wygłupia się, odpoczywa trochę po tym wszystkim, tak ja wygłupiam się na straganie, a może... może daje mi w ten sposób znak.

W banku miałem czerwone światło. Ale znalazłem studio, gdzie nakręcili reklamę. Żadnych zapisków nie zrobili, a z rachunkowości mnie oczywiście wyrzucono. Zresztą kto wie, pod jakim nazwiskiem to robiła. Jeśli w ogóle. Atelier... studia ciągnęły się niestety bez końca.

Przypomniałem sobie lustra w starej kawiarni, gdzie chodziliśmy razem, tu znowu były drzwi i Usuwanie charakteryzacji... dostałem się tam jako rzekomy dziennikarz... przeszedłem to wszystko, mogła być wszędzie, na jakimkolwiek korytarzu, za

którymkolwiek drzwiami, mogła być w jakimś przebraniu, za którymkolwiek lustrem... mogła.

Przemykałem przez rekwizytornie, przechodziłem przez korytarze, ustępowałem z drogi oświetleniowcom, niespodziewanie wynurzałem się z zapadni i mijałem wiele dziewcząt, raz nawet puściłem się pędem... wbiegłem w tłum statystów, kręcili *Bitwę pod Lipanami*, a jedna z rannych, otarłem tą twarz z keczupu... nie, to nie była ona. Musiałem zwiewać przed reżyserem... biegli za mną koło płonących stodół... słyszałem ich mowę, chodziłem tam przez kilka dni z torbą elektryka, w ten sposób rodak może przeniknąć do parlamentu, na odpust Świętego Macieja i do łóż masonskich, to jak miotła... przebiegałem przez dramaty, przez mowę... Beda, rzuć mi tam synchron na dwójkę, a światła na równoważnię, super, dawaj ten podnośnik i lecimy... było to jak w statku kosmicznym, może błąkasz się, siostrzyczko, pośród kosmitów... w jednym z biur dostrzegłem znajome okładki, katalog... młode rozwijające się gwiazdy i pączkujące gwiazdeczki, tłustymi, spoconymi paluchami prostaki stawały tam przy dziewczynach kreski, krzyżyki i cyfry... były tam też jedynki z gwiazdką i wykrzykniki omdlewających, przebiegłem przez tę hierarchię wartości z bijącym sercem, zdjęcie po zdjęciu, nie było jej tam... chociaż jedna twarz z profilu, nie, jednak nie... poszedłem dalej... tamta aktorka, która właśnie lezie przez mordownię Jadowita Chałupa, ma coś z jej ruchów... była jednak całkiem pobielona, a na ciele łuski, nie widziałem jej twarzy... ale głos, chrapliwy, inny... jednak może przeżyte cierpienia, w kłopotie przebrałem się w garnitur, który tam był, i musiałem potem z tą kobietą zrobić wywiad, już mnie nie puściła... chwyciłem torbę i zniknąłem w jakimś otworze... obok kręcono gotycki horror, przebrałem się w pobliskiej rekwizytorni za księdza i prosiłem przy tym o odpuszczenie, to żadne bluźnierstwo, ja tylko tak... muszę to zbadać... głos, który odezwał się w *Żelaznej dziewicy*, skrawek śnieżnobiałej sukni, przerwałem im ujęcie, popsulem film, wywlokłem porwaną na światło, ale nie była to Czarna, tylko jakaś banalna błada twarzyczka... opuściłem studia posępny. Światło chwiejnym krokiem lazło po skałach.

Ten stragan z mięchem zaczął mnie drażnić. Kiedy poznałem sztuczki, chciałem iść dalej. Gdziekolwiek. Chociaż z Kaselem zbliżaliśmy się do siebie. Teraz czekałem na Czarną każdym poruszeniem serca, na pewno przyjdzie także na poddasze... zostawiłem jej tam wiadomość... a może jest za granicą? przyszło mi do głowy. I przyczepiłem się do tej myśli. Jasne, pojechała na przykład na wyspy, morze, ciągle o tym mówiliśmy, zwłaszcza ona...

Teraz wyszedłem z jurysdykcji Kierownika, z którym mówiliśmy podobnym językiem. Od czasu do czasu widywaliśmy się. Ale potem go zamknęli. I szefem terenu został Burda. Wezwał mnie.

Słuchaj no... ty... chono tu! wywołał mnie przed stragan.

Lecę, panie majster, posłuchałem i podszedłem do niego.

Słuchaj no, ty ciągle się gapisz, a nie jesteś żadna gapa, chłopcze, ty nie! Ty już nie jesteś żadnym chłopcem... skończyłeś na pewno jakieś szkoły. Nie masz tego w papierach, a dlaczego? Papiery masz dziwne, bardzo dziwne! Kim ty jesteś... czego tu się pętasz, patrzysz? Mówią... słuchaj no... odpowiedz mi! Ty jesteś, zdaje mi się... jakiś lumpenproletariat!

Nie jestem, ale pan jest głupi jak noga stołowa, panie Burda.

Co takiego?

Aaa tam... cholera... zrywałem z siebie fartuch... no tak... zgrzytałem zębami... ciągle im to przeszkadza, zasraniec jeden, pytania, już sobie idę... idę!

Zaraz, wcale nie musisz... co ci odpierdoliło, chłopcze?

Nic i przepraszam. Po prostu idę.

Więc nie chcesz tej roboty?

Widzi pan, nie? Ale jestem większym idiotą niż pan, to wiem. Tyle że to wszystko jedno.

Przewróciłem rondel i tłuszcz zaczęły się palić, Kasel był gdzieś w lesie... chyba pisał, trąba.

Nie bądź ciągle niezadowolony!

Jasne. No, to ja... idę.

Dobra, dzisiaj idź, ale jutro wróć. Jeśli chcesz.

Przeszkadzało mi to. Przeszkadzałem sam sobie. Rzuciałem podstępne spojrzenia w głąb wystaw, ech. Hm! Lump. No, może i tak. Jeśli nalegasz. Ciągłe zalatywało ode mnie tym tłuszczem, włosy strzygłem... zostawiłem ten smród jako mistyczną ochronę... przed rozpustą, porządnie się umyję dopiero potem, kiedy przyjdzie właściwa chwila. Kiedy Dyrygent podniesie batutę i wreszcie sieknie w las wzajem się przenikających symfonii. Śmierdę sobie. Ale zanim się człowiek zabije, dobrze jest się umyć. Tak wypada, nie? Mówiła ci to mama? Chciałem być dla siebie zły i tak z góry, arogancko przemawiałem do swojego odbicia... zawsze kiedy mignęło we szkle, szybie wystawowej, w kałuży... ale moja twarz kpiła ze mnie, robiła miny do duszy...

Następnego dnia znowu byłem przy straganie. Z Kaselem. Teraz bywał weselszy, nie był już taki zamknięty w sobie.

Pośród tłumów wycieczkowiczów pojawiła się i zaczęła przychodzić dziwna grupa... jacyś historycy, uznałem... byli ciągle razem, kłócili się, ale zauważyłem... kiedy jeden odszedł gdzieś na chwilę, inni zaczęli się dziwnie uśmiechać i trajkotać, rozrywali go na strzępy, to było jasne... były to różne typy, faceci, kobiety, dziwnie ubrani... ciągle razem... pili przy drewnianych stołach i napychali się jedzeniem... codziennie przechadzali się po drózkach, z ożywieniem machali rękami, straszili wiewiórki nieoczekiwanymi gwałtownymi ruchami... nie dawało mi to spokoju... musi tu za miastem być jakiś zakład dla nerwowo chorych, uznałem i chciałem to zakomunikować Kaselowi, ale on... stał jak słup soli, wytrzeszczał oczy, i słyszałem: buch... buch, to nieregularnie tłukł się mu czerwony mięsień... dalej, Kasim, cielętki się palą, rusz cię... obudziłem go, obserwowałem spod oka... następnego dnia przyniósł serwetki. Jesteś dziwny, partnerze, powiedziałem... nie zareagował... potem znowu przyszyły te strachy na wróble, przepędzili od stolików kilka rodzynek, a Kasel zaczął rzucać tłuszcz i wszystko inne na tacki, przykrył je serwetkami... co się wygłupiasz, od kiedy to podajemy? Od teraz, powiedział poeta i popędził... pracowałem za niego i szukałem... serwetek... a potem skapowałem, tak... on pod serwetki wtykał swoje wierszyki i czekał, znowu to... buch... buch, serce mu waliło, ochlapałem go piwem, wlałem w siebie kilka, tego dnia nie dało się z nim gadać... gapił się, pacjenci tam na siebie pokrzykiwali, jeden wrzasnął na cały park leśny: To jest martwe, już się tego nie da! – a inny mówił: Wprost przeciwnie, teraz się da, bo to wszystko jedno: dysproporcja, dyskrepancja, tożsamości dali w kość, rzeczywistość... kręciłem głową i poskramałem Kasela, oni te jego papiery wrzucali do koszy, spadały na ziemię, kiedy kończyli swoje porcje, a Kasel ewidentnie miał dla nich specjalne względy, wycierali płodami jego pióra tacki, wycierali sobie nimi ręce i brody, papiery od tłuszczu stawały się przezroczyste i mokre, rzucali je w piasek, widziałem to, jakiś obcas przebił papier, zostawili go tam w błocie, w resztkach... pośród kostek... ale to właśnie jest świetne, na próżno go pocieszałem, tak żyje się w rzeczywistości, tak to właśnie jest, a... co to za goście? To... wyjąkał... elita... tu za miastem zbudowano dacje twórców, to są... tekściarze i pisarze, i krytycy, wyrzucił z siebie.

Przychodzili tam ciągle, a ja myślałem sobie... właściwie, gdybym ja... mogłaby to być wiadomość dla siostry, ona by się na podstawie tych słów domyśliła, kto to pisał, niektóre słowa były jej słowami... zostawię dla niej ślad, może na swojej drodze jakieś czasopismo... ale Kasel był zły... to mój pomysł! No to... pod cielętki ja, pod tłuszcz ty, pod karkówki pół na pół, upierałem się przy swoim... zmagaliśmy się pełni nienawiści, ale musiał się poddać, nie pozwoliłem mu jednak tego czytać, tych swoich wierszy czy co to tam jest, zresztą i tak go to nie interesowało... marzył o nowej drodze, o możliwościach... o purpurowej szacie i

lirze księcia poezji... mnie od tego też zaczęło odbijać, a potem... do straganu podszedł wysoki chyba pięćdziesięcioletni mężczyzna z posiwiałymi skroniami, w mocnych zębach trzymał fajkę, miał na sobie sweter z surowego jedwabiu, otworzył czerwone usta, Kasel stracił oddech, a facet powiedział: Piwo! O mało się nie pobiliśmy, w okamgnieniu stały przed nim dwa kufle, dostał ciemne i jasne... ach, to prawie surrealizm, powiedział i uważnie przyglądał się kufłom... dualizm, manicheizm, pociągnął łyk i mlasnął, albo... albo już schizofrenia, alkoholizm... zatoczył się, chwycił się za głowę i poszedł, poszedł do samochodu... Mistrz nie ma lekkiego życia, powiedział Kasel, ale ja go prawie nie słyszałem, tam, przy samochodzie coś bieląło, wysypywała z bucika kamyk, piasek... była odwrócona do mnie plecami, ale krzywa szyi... i łydki, zawsze kiedy wspiera się piętą na ziemi... stała za krzakami, pobiegłem... pisarz zapalał motor... NIE! zawołałem i biegłem... ta kobieta wsiadła i ruszyli... stałem oparty o drzewo i ciężko dyszałem... zobaczyłem stragan i to przywróciło mnie do świadomości... Kasel oszalał, biegał tam i wrzeszczał, lał na nich coś, rzucał kawałami tłuszczu, banda zaczęła się wycofywać, skowytali, oparłem się czołem o drzewo, zamknąłem oczy i tak zostałem.

KOGO SPOTYKAM I Z KIM JESTEM. KARLOVICE. RUDA MNIE
 POSYŁA. PYTAM. CRYSTAL SPÓŁKA Z O.O. DLACZEGO TO JEST. NIE
 JESTTO ZNOWU AŻ TAKIE... STARE SŁOWA. TEN DŹWIĘK. UNIOSŁEM
 RĘCE.

A raz, pewnego uśmiechniętego miejskiego dnia, kiedy słońce znowu poprzez kurz pokazało swoją doświadczoną twarz, zobaczyłem wdali pośród pozostałych straganów... charakterystyczny chód, jej włosy, szła tam... prowadziła małe dziecko, wytrzeszczyłem oczy i... pobiegłem... dostrzegłem ją znowu w tłumie wycieczkowiczów, przedzierała się, ja też... odsuwałem ich i przyśpieszałem kroku, znowu tłum się za nią zamknął, ale była to ona, przyjaciółka moja... a na końcu tej drogi był znowu tylko kurz wzbity przez autobus.

Pośpiesznie wróciłem do straganu, przy którym ją dojrzałem... Wietnamce czy kto to tam był... koszulu, spodźnie, digital, casete, zaczął jeden z szerokim uśmiechem... nie, szybko, ta dziewczyna, która tu była... grzebał w stosach dzinsów... to moja znajoma... była tutaj z dzieckiem... gdzie mieszka? Jego twarz się zamknęła, wyglądał jak Aztek z kamiennego fryzu w świątyni gdzieś w gnijącej dżungli, milcząca twarz pełni księżyca, lament komarnic, wszędzie bagna, kajmany... posążki różnych agresywnych bożków, chyba... po prostu puste twarde spojrzenie, jak to oni umieją... no dobra, zacząłem próbować dzinsy, zabrał mi je... nie snam nikogo, odwrócił się... nic z niego nie wydobędę, to było jasne... obiegłem w mieście kilka miejsc, gdzie mogłaby być, na próżno.

Na targach było mnóstwo Azjatów, ale pośród Wietnamczyków żadnych znajomych nie mam. Wtedy z Elegantem wszystko odbywało się za szybko. Czekałem, umieściłem nawet nad stadem smażących się tłuszczów lusterko, żeby mieć przegląd sytuacji, Kasel był zdziwiony. I nieobecny. Był coraz bardziej nerwowy i rozgoryczony... aha, teraz to mam wszędzie, mamrotał, nie mówił tego chyba nawet do mnie... wszędzie to drukują, jest książka, i nic... nic się nie dzieje... tak więc jednak, jednak, tak, robi się to tylko dla samego robienia, wiedziałem, nie istnieje cel, tylko droga do celu... przypalasz karkówki, zwróciłem mu uwagę... był zatopiony w marzeniach.

A potem... Cześć! powiedziałem do niej, spojrzała na mnie, za rękę trzymała małego, zmierzyła mnie wzrokiem jak jakiegoś łajdaka... ale w oczach widziałem błysk... spotkaliśmy się. Burzliwe spotkanie. Przyznam się, że podziałało na mnie, kiedy przemówiła.

Jestes ty... to dopsze. To jest Syn!

Chował się za nią... jęknął, kiedy się objęliśmy. Tego dnia poeta pośród mięs został sam. Dużo tego było. Tego, co mi opowiedziała. I było to straszne. Potem przychodziła do mnie często.

Siadaliśmy na ławeczce w parku leśnym. Chłopiec z zainteresowaniem przyglądał się wiewiórkom... no, żaden przystojniak z niego nie był... rysy Bohlera... alemoże później, uroda jego matki, wszystko to gazele i kocie, chociaż u faceta, nie wiem, nie wiem... opowiadała... nie żyje, powiedziała o moim kumplu... a potem, kiedy razem mieszkaliśmy w domach, w tym jednym, w którym to było możliwe, chodziłem do Presscentrum i ze starych gazet po kawałku to sobie składałem, bo czasem jej nie rozumiałem, a potem nie chciała do tego wracać... ale coś niecoś mi powiedziała zaraz pierwszego dnia, przez łyż.

Mnie do domów samemu nie chciało się iść, ale z nią i z Synem... to już było coś innego. W dodatku na poddaszu... ciągle myślałem o Czarnej... ciągle drżałem.

I to była też pierwsza rzecz, jaką musiałem Laotance zakomunikować. Po wszystkim, co mi opowiedziała, kiedy trzymałem ją w ramionach... żeby odebrać ciężar wspomnieniom...

więc może było to dla niej okrutne... ale uznałem za konieczne powiedzieć: Nie gniewaj się, moja miła, ale jest taka jedna, jest w podróży... kiedy wróci, będę z nią. Czy jakoś tam będziemy razem. Tak to wygląda. Chcesz tego?

Wszyscy będziemy razem? spytała Laotanka.

Żyliśmy razem i obok siebie, pomagaliśmy sobie. Chroniliśmy się.

Chłopczyk najchętniej łąził pośród starych maszyn rolniczych, które były zaraz za szopami, wyglądał na uzdolnionego technicznie, podobały mu się dźwignie i chromowane rzeczy... rozmontował zegarek, który kupiłem sobie, skoro już pracowałem... Laa przyniosła mi jakiś elektroniczny, przez chwilę szedł... ale, i za to była mi wdzięczna... ten chłopiec nie umiał prawie mówić, po czesku mówił tak jak ona, Bohler nie miał dużo czasu, wziąłem go na naukę... ale i tak musi do skoły, zdecydowała Laa, nie odwoziłem jej od tego zamiaru. Sama mówiła na niego Syn, brzmiało to jak odpowiednie imię. Miał jeszcze jedno, laotańskie, tego z kolei nie umiałem wymówić ja, i jeszcze jedno, które dał mu na chrzcie Bohler... mały miał czasem problemy w piaskownicach, opowiadała, z miejscowymi. Ze względu na to, jak wyglądał. Jak mówił. Mnie szybko przestał się bać. Sam wypytywał. Bohler chciał, żeby nazywał się Vojtěch.

Do domów przyszła Laa już jakiś czas temu. Nie miały dla niej złej atmosfery, przeciwnie... zdziwiła się tylko, że piwnica jest zabetonowana. Z właściwą sobie pilnością zorganizowała pracownię krawiecką. Razem ze swoimi rodaczkami szła na sprzedaż, aż się dziwiłem... na maszynach singer napędzanych korbką. Ich mężowie i bracia, i kuzyni wozili je tam co rano, a panie przez cały dzień siedziały i szyły, było przy tym sporo rozmów, a czasem także śpiewów. Wobec facetów zachowywałem się początkowo bardzo ostrożnie. Ale miedziana, granatowa i ciemna poklepała mnie raz po bliźnie i mówi: jesteś gupi... ty bespecny, Łowca nigdy by... snilo ti se!

Miałem pewne wątpliwości. Ale witałem się z facetami, poważnie, rytualnie, serdecznie, i z wieloma uśmiechami przemykaliśmy koło siebie na korytarzach.

Kapitalistycznie się wzbogacały. To, co uszyły, szło na stragany, gdzie zajmowali się tym inni członkowie plemienia... zorganizowały w domu także żłobek i coś w rodzaju przedszkola, zauważyłem, że Vojtěch wie tam prym, i promieniałem niemałą radością... piłka, mówi jednemu skośnookiemu, nie pika! Nie, nie i koniec, tupał w piasek, ale jak chcesz! mówi temu chłopcu... lekcje przynosiły owoce, chodziliśmy na spacerki na trawę, musieliśmy ją oczyścić... reszta ulicy była prawie pusta, tu i ówdzie w budynkach przeznaczonych do rozbiórki błyskały w nocy światła, ale Laa mi powiedziała, że najważniejsze jest bezpieczeństwo, zauważyłem, że dwu lub trzech mężów czy kuzynów zawsze było przy szyciu, wprawdzie patrzyli na to zamieszanie pobłażliwie i władczo... ale pilnowali.

Wziąłem od Czarnej jakieś książki i usadawiłem się w jednym z mieszkań na piętrze... z Laą byliśmy razem tylko czasami, ale im dalej, tym częściej. A gdyby ktoś szlachetny chciał to gwałtownie potępić... mógłbym mu tylko delikatnie zwrócić uwagę na ogromne szczęście, kiedy całe okrucieństwo, jakie było i będzie, staje się mniej widoczne, ponieważ jesteś z kimś, kogo trzymasz, a twoja dłoń ma akurat odpowiednią wielkość, żeby przykryć serce, cienkie i papierowe od niepokoju lęków... to ze względu na ostrze samotności, która może przyprawić o szaleństwo, która uderza, a ty trzymasz innego tak mocno, że zakrywasz także siebie. Laa. Spoglądaliśmy jedno na drugie przez łóżko, pamiętając o naszej niepisanej umowie. Staliśmy się sobie bliscy.

A potem uświadomiłem sobie... ten mały chłopiec raz powiedział: Jestem zmęczony! Jestem... bardzo zmęczony! Przestraszył się, kiedy wytrzeszczyłem oczy i przerwałem zabawy z piłką, przypomniało mi to... patrzył, jak biegnę... przerażony, przeleciałem przez domy... ale babci Maceškovej tam nie było. Nigdzie ani śladu. Ani śladu czegoś... co by po niej zostało. Przeszedłem też po betonie piwnicy, badałem powierzchnię... może tu. Może gdzieś jest.

Chodziłem po domach, zaglądałem do mieszkań, resztek mieszkań, żadnych lokatorów już tam nie było, a Laa napomknęła, że chętnie by tu się sprowadziła jakaś jej przyjaciółka z rodziną... niezwykle było to, że czasem odnosiła się do mnie, jak gdyby wciąż trwały dawne czasy i jakbym należał do właścicieli, chyba jej to odpowiadało, przyzwyczajając się do naszej umowy, na swój sposób.

A rano, każdego rana w dni, które powszechnie uważa się za robocze, biegłem na tramwaj i do Kasela, opowiadał mi, że rozesłał podania o stypendium, żebym rozejrzał się za kimś, bo on już niedługo spakuje manatki... mówił to pewny siebie... wyjadę do jakiejś kolonii artystycznej, wiesz... i tam napiszę prozę m.in. o tym, jak tu harowaliśmy, zobaczysz... taa, to na pewno będzie bestseller, cieszę się, Kasim... i rzucaliśmy tłuszcz, i siekaliśmy inne rzeczy, a to trzecie wrzucaliśmy do skwierczącego tłuszczu, byliśmy już całkiem zgraną dwójką.

A od czasu do czasu... kręciłem się koło studiów filmowych i przenikałem do środka, bo tu trop się urywał. Zacząłem też chodzić do Presscentrum i składać krótką Bohler story...

Otóż na Skale... w okolicznych lasach i wioskach jeszcze za naszych czasów żyli Leśni Ludzie.

Bohler z istotami tymi zawsze utrzymywał przyjazne stosunki, a nas też nie musiał do tego dwa razy przekonywać... z niektórymi Leśnymi było całkiem zabawnie... wszystko jedno, czy ludzie wokół mówią, że Leśni są istotami ludzkimi, czy nie, grzmiał Bohler, nikogo to w końcu nie powinno obchodzić... są tu!

Bohler chodził pomiędzy Leśnych jako misjonarz i na przespiegi, pozwalali mu uczyć swoje młode, Bohler je po krótkim wahaniu i rozmowie ze sobą samym również chrzczył, na wszelki wypadek, jak mówił... tego zaniedbywać nie można, twierdził... a Leśni, kiedy wygłaszał do nich kazania, kręcili wprawdzie kosmatymi łbami, ale przyznawali: Tak, w tym może coś być, niech ta sadzonka zostanie na chwilę w naszych sercach, nauczycielu, pobawimy się z nią, zostaw ją na chwilę, mamy Czarną Dalię, przecież wiesz...

Były to płochliwe stworzenia, ci Leśni... zaraz na początku ery Kanału komuniści powpychali ich do fabryk, rozwalili im wozy, przejęli gestapowskie obwieszczenia przeciw „włóczęgowskiemu życiu” i „leśnemu rozprzężeniu”, po Trzeciej Rzeszy zresztą specjalnie dużo Leśnych nie zostało, znikły całe plemiona... tym resztkom urzędnicy kazali iść do fabryk... no a tam Leśni się nie przepracowywali, mieli to gdzieś, nie rozumieli tamtejszego ruchu, żyli w innym czasie niż proste maszyny... państwo wolało im raczej dawać forszę, ukradzioną gdzie indziej, żeby Leśni aż tyle nie podpieprzali, i to ich dobiło, tracili moniaki głównie na Ognistą... potem, kiedy czas wybuchł, Leśni nie znali już swoich dawnych dróg, a nowych nie rozumieli wcale... niektórzy żyli dość nędznie, kradli... podpieprzali to czy tamto... nie były to znowu takie wielkie straty, ale radnym karlovického powiatu to wystarczyło... nieurodzaj, debilizm, czterdzieści lat Kanału, czarne komety, zbiegłych więźniów, powodzie, wszystkie blizny powiatu zaczęli zrzucać na Leśnych, rozwalili parę ich kryjówek... Bohler wypowiadał się przeciw tym praktykom, rzucał apele... w „Kurierze Karlovickim” znalazłem: *Ta dekadencja, nieczeska postać w pozółkłej komży obchodzi i buntuje sąsiadów. Wskażcieją palcem! Jest to heretyk ipragocentrysta, podburza Leśnych Ludzi do napadów. W dniu wczorajszym znowu dwie osoby zostały zaatakowane przez indywiduum leśnego pochodzenia...* itd.

Mieszkańcy karlovického powiatu założyli Stowarzyszenie Białego Kaptura ku Obronie Czystości Szlachetnego Narodu Czeskiego i zaczęło się... niektórzy Leśni się bronili, ale wystąpiła stara etnograficzna dysproporcja... porządni obywatele wychodzili tylko w zorganizowanych oddziałach, silni faceci z kijami i nożami... a głupi Leśni siedzieli wystraszeni w swoich chałupinkach, starcy, dzieci, wszyscy razem... jednak niektórzy Leśni powiedzieli: Już nie, i też wzięli w ręce jakieś przedmioty... jeśli o to chodzi, informacje „Kuriera Karlovického” są dosyć mętne... ale wszędzie pojawia się „znana postać fanatyka

Bohlera alias Mendelbauma, alias Bigota, podżegacza i przyczyny niepokojów”, parę razy wybili mu okna, a Laa musiała siedzieć z Vojtěchem w piwnicy... i wtedy właśnie radni ogłosili Karlovice niezależnym państwem obywateli, tak to wtedy w paru miejscach republika się pruła... opozycja wprawdzie występowała przeciw temu, ale niektórym wystarczyło wybić okna, inni dostali przed knajpą po mordzie, innych oskarżono o pragocentryzm, molestowanie seksualne, jedzenie fekaliiów, byli zastraszani i wykluczani... co prawda tu i ówdzie podpisano kilka petycji, ale potem karlovicka milicja stanęła na granicach powiatu i zaczęto głosowanie... przegłosowano co trzeba dzięki wpisanim na listy w odpowiednim czasie martwym duszom, co jest nową metodą opartą na starych wzorach, a potem obdarzeni niezależnością obywatele demokratycznie przegłosowali Karlovicką Uchwałę, głoszącą, że Leśnym nie wolno zmieniać miejsca zamieszkania, przybywać z innych powiatów, muszą regularnie zgłaszać się na policję, nie mają wstępu do niektórych lokali itp.... według „Kuriera Karlovického” rząd dał wyraz ohydnyemu szowinizmowi, posyłając do powiatu żandarmerię, która jednak przy polowaniach na Leśnych o dziwo nie interweniowała... według „Kuriera” Leśni wywołali czarami kolejną powódź, wobec czego wprowadzono sankcje przeciw obywatelom podejrzanym o to, że dostarczają im jedzenie albo ich przechowują... Bohler jeszcze z kilkoma osobami, powiedziała mi Laa, kopał podziemne korytarze, którymi Leśni uciekali za granice powiatu, tam jednak również zaczęły się demonstracje przeciw nim... a Leśni nie mieli żadnego własnego kraju, do którego mogliby uciec, urodzili się przecież tutaj... tego Laa nie mogła zrozumieć... jak wywnioskowałam z „Kuriera”, niektórzy Leśni próbowali znaleźć schronienie u wilkołaków i bab jag, ci jednak na ogół tylko zagarniali ich zasoby i klejnoty i informowali kogo trzeba... a do tego pierwsza poprawka do Karlovickiej Uchwały stwierdzała, że odnosi się ona również do innych podobnych istot... bardzo wymowny był dodatek „Kuriera” przeznaczony dla dzieci, zatytułowany „Młoteczek na czarownicę”... pod nagłówkiem *Oczarują cię Leśni, zginiesz* pisano tam, że *osoby unikające pomyślności, opieki zdrowotnej i hospitalizacji są mylnie nazywane wilkołakami*, był też obrazek starego dziada w czapce, leżał na łóżku, które wzięły na ramiona roześmiane dzieci w kolorowych strojach, wnosily dziada przez drzwi, dziad złapał się futryny, w zębach trzymał fajkę, a nad nim był dymek z napisem: *Idioci, chciałbym umrzeć w domu...*, a jedno z dzieci, Kurierek, który pojawiał się i na innych rysunkach, w całym serialu, łaskotał dziada pod pachą, żeby można go było przenieść, w dymkach malców widniało: *A nie, dziaduniu, już nam patrzysz na księżą oborę, musisz grzecznie pójść do Szpitala, tam się tobą zaopiekują.*

Pisano, że różni starzy ludzie, którzy woleliby żyć i dożyć swoich dni sami w swoich chałupach zamiast je opuścić, by można przeprowadzić dezynfekcję, dezynsekcję albo restytucję, nie są wilkołakami, czyli syromachami, że to tylko przesąd... że starzy obłąkani żebracy i kłusownicy, którzy wolą przebywać w gęstwinach i kanałach niż w Domach Opieki, nie są wilkołakami... to jednostki społeczne i cuchnący pijacy i muszą poddać się zabiegom sanitarnym w odpowiednich ośrodkach... a stare kobiety, które skradają się do koszów na śmieci i wyciągają z nich chleb, jak również kobiety wróżące z kart i przepowiadające przyszłość oraz przyjaciółki czarnych kocurów nie są żadnymi czarownicami, tylko chorymi jednostkami społecznymi, i najlepsze, co mogą uczynić, to znaleźć spokojną śmierć w Domach Opieki... *dni starych kobiet, które mieszkają same, są już policzone*, radował się w druku uroczy Kurierek i śmiał się jak król chochlików, dodatek miał stosunkowo duży nakład... *osoby stosujące bezsensowne praktyki mówiące irracjonalnie i nieżyjące w sposób należyty*, tak określono Leśnych, przeciw którym skierowana była pierwotna kampania, tylko że... tylko że potem coś się wydarzyło... w tym momencie „Karlovicki Kurier” okazał się małym mównym... Laa opowiadała, że w tych kilku leśnych kryjówkach, gdzie chowały się wilkołaki i baby jagi i niekiedy... tu Laa zrobiła gest, który jednak w jej wykonaniu nie był nieprzyzwoity... parzyły się... naprawdę tylko

niekiedy, bo było to pośpieszne i wynikało raczej z różnych przypadków niż po prostu z katharsis duchowej i cielesnej przyjaźni i odkrywania siebie samych poprzez to drugie i odwrotnie... nie, w ukryciu, w strachu przed tropiącymi cię ludźmi i psami to jest chyba inne... ale i tak niektóre baby jagi w tych norach wydały na świat potomstwo... urodziły stwory, coś... Laa zamrugła, wstrząsnęła włosami i palcami pokazała szpony, a ramionami skrzydła, błoniaste, domyśliłem się... było to coś, co rzeczywiście zaczęło wyrządzać szkody, i w ten sposób dążności sanacyjne wróciły do ludzi bumerangiem, walnęły ich w potylicę i w powiecie dopiero teraz wybuchło naprawdę: zatrute studnie łącznie z płonącymi spichrzami, krwią padającą z chmur i w ogóle pandemonium... a potem znowu musiałem ją trzymać, rozszłochała się bardzo smutno i wilżyła swoje włosy, które opadały jej na twarz... bo ramiona jej drgały... w „Kurierze” wystarczyły im dwie linijki... coś o próbie ucieczki i chorobie serca, ten prastary gotycki song terroru, ta przykrywka... ludzie otoczyli Skałę, gdzie w stodole Bohler z Leśnymi i kilkoma osobami właśnie wyłaził z tunelu; kiedy poszczuli na Leśnych psy, ci zaczęli się bronić, a potem Bohler i inni także, i teolog przebił jakiegoś napastnika widłami... przypomniałem sobie dawny perwersyjny uśmiech psa bożego i jego olovrant... Na zło trzeba odpowiadać przemocą, najlepiej natychmiast i ostro, pamiętajcie, koledzy... to m.in. mówił nam w kazaniach kapłan plemienia... Leśnych potem topiono za miastem, bo Leśni nie umieją pływać, a Bohler poszedł z nimi... wzięli go za to, że zabił, albo poszedł sam, ponieważ chciał być z nimi do końca, żeby zobaczyli, że jego nauka jest silniejsza niż nauka ich Dalii, a jak inaczej to udowodnić niż cierpieniem?

Lao?

Hm.

Zabrali go i utopili, milicja, dobrowolne oddziały obywatelskie, szanowani mieszkańcy i wyrostki, zapamiętała ich... A ty, ciebie zostawili?... No wiesz, żółta kurwa, co ja... przeżyła to w piwnicy, razem z Vojtěchem... nie zwracali na nią uwagi, chociaż znajdowała się na listach, listy zaczęły wychodzić najwcześniej... a kiedy było już po wszystkim, weszło tam w końcu wojsko i powieszono kilku największych idiotów spośród radnych, powiat zaś przyłączono do republiki; ku wielkiemu zdziwieniu narodu cały powiat demokratycznie to przegłosował, niemal jednogłośnie, a potem Sąd Najwyższy zasypała lawina donosów, do dzisiaj w tym grzebią, kto właściwie to wszystko przeprowadził... bo zagłada Leśnych i innych trwała tylko dziewięć dni, ani jednego dnia więcej, jak z fanfarami ogłosił „Kurier Karlovicki”, zanim go zamknięto... na mocy prawa.

Tak więc, Lao, będzie trzeba tam pojechać, robiłem sobie notatki w notesie... za późno, mówi mi i ma rację.

Przecież wyrostki tymczasem dorastają... rozdzieliliśmy się wtedy... David, no tak, teraz Bohler... Rekin gdzieś walczy, a Kocur gdzieś tu jest, zrobiło mi się tęskno i powiedziałem to... a Laa wstała i przyniosła mi wizytówkę, powiedziała, że znalazła ją pierwszego dnia, ale nie umie czytać, zapomniała o tym... zerwałem się na równe nogi: Mr. Kocur Co. Crystal spółka z o.o., to była niewątpliwie jakaś zagadka, jakaś pułapka, ale był tam też adres: Złoty Krzyż, skajskrejper 33... rzuciła mi ubranie, a ja od razu je wkładałem, był wieczór, ale jak go znam, będzie w robocie... chcesz cos przekonsic, spytała z troską... interesowało ją to mimo wszystkich wspomnień, ten stary matacz, może i jej biznes mógłby jakoś, gdzieś, coś... naszti waszti, Laa, cześć!

Mówiłem z nią czasem też po indiańsku, dziedziczyliśmy to i owo po plemionach... rozumiała... z pietyzmem włączaliśmy różne słowa wyginionych plemion do megajęzyka, integralnie wstawialiśmy je do słowników... także przemocą. Małego Vojtěcha to bawiło, średni washtar, Vojtěch, to już znasz? Tak!... a potem znowu leciałem po prastarych ulicach jak meteor... bardzo chciałem zobaczyć nowe zmarszczki padruka i usłyszeć, co i jak.

Na Złotym Krzyżu wyrosły liczne zdumiewające budowle, właściwie nie tak wiele, ale ponieważ były lśniące i przeszklone, robiły na przechodniach, nagle wciśniętych pod

obniżony horyzont, wrażenie, że jest ich mnóstwo, a to mocno zwiększało wszystkie kompleksy niższości... na wszelki wypadek byli tam wszędzie kałasznicy i portierzy wystrojeni jak kontradmirałowie... i utknąłem. Wydawało mi się to nie do uwierzenia, przecież jestem prawdziwym gimnastykiem korytarzy, murów, dziur i zapadni, właśnie z Kocurem nauczyłem się tego: przeskocz, przeleź, podleź, przeleć, rozwal, idź! Ale tutaj się nie dało. Ani przez garaże, ani przez żadne kraty, ani wejściem dla służby, a ściany skajskrejpera były gładkie... w końcu powiedziałem sobie, że to logiczne. Ten luminarz ma taką samą szkołę jak ja, potrafi się zabarykadować... nie dostałem się nawet do sekretarek.

Zrobiłem sobie z tego sport, chodziłem tam codziennie, zawsze w innych szmatach, zakupiłem wąsiki, bródki, Laa i Vojtěch trzymali za mnie kciuki, czasem brałem ich ze sobą... z kontradmirałami i kałasznikami mówiliśmy sobie wkrótce per ty i wymienialiśmy uwagi o naszych matkach, możliwościach erotycznych, wyglądzie, ubraniu itd., było to całkiem zabawne.

Wprost ze straganu przyskałem do studiów, biegałem tam i udało mi się... miałem już plan, znalazłem kilku znajomych, którzy pamiętali mnie z dawnych czasów, kiedy recytowałem cudze monologi, zanim mi odbiło i zacząłem z tym własnym, z tym listem do siostry... pamiętali mnie jako aktora... gorliwie szukałem roli, chciałem zostawić ślad dla Czarnej, już nie w polu ani na piasku, już nawet nie na jeziorze, gdzie tam, już nawet nie w postaci zagiętego źdźbła trawy, nacięcia na pniu, układu kamieni, nie... już pojąłem, gdzie muszę zostawić ślad, żeby wiedziała, że jeszcze jestem. Na tym świecie.

Stało nas tam chyba sześćdziesięciu, nagich, w wilgotnej piwnicy, godzinami nie jedliśmy ani nie pili, zanim reżyser znalazł czas... potem przyszedł ze swoją świtą, wszyscy umilkliśmy, wskazywał szpicrutą... Beda, wiesz, czego mi potrzeba i do czego, rusz się, Jezu, ale typki, powiedział pan reżyser... rusz się, Beda, weź go na postsynchrony, profile i ćwiczenia wolne, żebyśmy mieli to już z głowy i mogli iść popierdolić sobie... Beda wskazał na mnie, zadrzałem. Wszędzie dokoła czułem sztylety nienawistnych spojrzeń.

Tak, tylko ja mogłem grać pana Muchę, chodziło o reklamę BOHEMII HALUCII MLEKA NAD MLEKAMI... byłem w stroju i masce muchy i błoniastymi skrzydłami machałem w ogromnej szklance złego starego mleka, a obok prześliczna panienka popijała to jedynie słuszne, całkiem nowe BOHEMIA HALUCIA MLEKO NAD MLEKAMI... z mojego unosiły się bowiem takie wyziewy, że zabijały muchy w locie i muchy padały wokół szklanki w bezpiecznej odległości od ludzkich ust... babrałem się tam, a w chwili, kiedy nikt nie patrzył, charakterystycznym ruchem zapukałem palcem wskazującym, dobrze znasz ten gest, najmiłsza... podniosłem ramię, opierałaś się o nie, siostrzyczko, też je na pewno poznasz... to był strzał w dziesiątkę. Chcieli mnie potem wszędzie.

Przebiłem się. Grałem nawet śmiecia w odkurzaczu SSAK, tam jednak mało mnie było widać.

A potem znowu poszedłem do skajskrejpera Crystal i próbowałem dostać się do środka.

Ale przy nim cieśle nie pracowali, nie było tam żadnego otworu... był to ogromny gmach, sięgał chmur... może ich dotykał... musieli to budować kosmonauci, taką wieżę, Gaudiego by zatkało... wymyślałem nowe sztuczki. Jak mnie admirałowie zobaczą w telewizji, szczęka im opadnie. I trzaskną obcasami.

A potem poszedłem do domów i na mały spacer z Vojtěchem... kiedy powiedział: słuchaj, głupku, glizda jakaś, całkiem duży zwierz, chyba szura, co to, gupku, co ty o tym wiesz?... wydało mi się to niewłaściwe... potem Vojtěch powiada: Mama jest super i całkiem się cieszę, że ją rzniesz waśnie ty, wujku, e?... więc mu mówię: Kurczę, kto cię tego nauczył, takie bzdury... wrzasnąłem, on na mnie spojrzał, przestraszył się i zaczął beczeć, a do mnie dotarło.

A w kuchni Laa mi mówi, podeszła i mrugnęła: ...lewar, gupku... i powiedziała coś jeszcze, czego nie powtórzę, i uświadomiłem sobie swój kolejny błąd, swoją culpę. I nie

poszedłem do Presscentrum badać losów swojego kumpla, tylko poprosiłem Kasima... dał mi adres Prastarego Muzeum, pożyczyłem tam stare tomiszczka i zacząłem się przez nie przedzierać.

A potem pewnego dnia przyszedł stary Burda: Chłopcy, wy jecie to, co sprzedajecie? Zaśmialiśmy się z całego serca. No, chcę wam tylko coś powiedzieć: magistrat zdecydował, że od przyszedłego tygodnia to jest nielegalne, te gówna... Wreszcie! powiedział Kasel... cieszę się, chłopcy, że tak to przyjmujecie... w końcu się z nami stary Burda upił, zamknęliśmy kram, wystawiliśmy zdechłe tłuszczce na działanie natury... podpaliśmy to, proponował Kasim, ale Burda zabronił... specjalnie długo mu dobrze nie było, stare dziadki, jak sobie kiedyś golną: idziecie stąd, chłopcy, to mnie nie martwi, wkurzaliście mnie... ale ten park leśny, ja pamiętam cesarza pana, i zawsze były tu wiewiórki, co się z nimi teraz stanie... będzie tu park rozrywki... one jakoś przeżyją, a jak nie, to i tak napisałem o nich poemat, pocieszał go Kasim, ale tak czy owak posmutnieliśmy... Kasim jednak był rozkręcony i mówi: panie Burda, a to na przykład pan zna, przychodzi baba do lekarza... chciałem uciec, ale Kasim ciągnął: i mówi mu, szefie, jakoś mi tak szumi, coś mi jest, poty na mnie biją i jestem jakaś taka... a konował ją bada, pisze skierowanie na psychiatrię i mówi: Szanowna pani, to pierwszy taki przypadek w całej mojej praktyce, zwołam konferencję prasową, kobieto, pani jest w ciąży... a ona mu na to: Ty świnię, i buch go po buzi... Kasim padł na ziemię, ja też wiałem się ze śmiechu... Burda spojrział na nas i mówi: Ja to znam, ale inaczej... a Kasim przez łzy płynące ze śmiechu po wykrzywionej twarzy mówi mu: tak, szefie, ale to jest dowcip z przyszłego wieku, ona już nie wiedziała... że jest taka możliwość... czekaliśmy.

Potem pożegnaliśmy się z Burdą, mnie od tej przygody z pajakiem i tak wydawał się podejrzany, ukradliśmy całą forszę, jaka tam była, i wytoczyliśmy się z parku... byliśmy wszędzie, gdzie się da, a potem w Galaktycznym... opowiadałem Kasimowi zabawne historyjki z kręcenia... i nagle w TV... to była świetna reklama, prima... MYDLIK MYDŁO LUB, to też ja... w tej pralce, tutaj nie wiem, czy siostra mnie pozna... słuchaj, powiedział poważnie Kasim, to jest bezbożna komercja, co o tym powiedzą w miejskim podziemiu... Kasim, ale to wszystko jedno... musisz się rozpostrzeć, inaczej ona cię nie znajdzie, skąd wiesz, gdzie się podziewa... wszystko możliwe w królestwie tajemnicy, bełkotałem, ona jest pod ziemią, nie, pod ziemią... nie! przestraszyłem się... serce, dusza, ciało to podziemie... ja to bardzo dobrze rozumiem, rzekł Kasim, ja też, mówił poeta, raz spotkałem... i w moich snach jest naga i złota, i czarna... zacząłem go dusić, ktoś nas rozłączył... a czym ona jest? deklamował wzniosie Kasim, czy to uciekająca młodość, czyhająca śmierć, czy nieosiągalna Muza?

Gramoliłem się z ziemi, ale poprawiłem go: czy tłuszczce, czy karkówki, czy cielętki, czy też nic... Wieczna kobiecość nęci wyżej i wyżej, powiedział poeta i głowa mu opadła, uniosłem mu ją... idziemy gdzie indziej, chodź... jutro odjeżdżam, mówił, i nie wiem, czy wrócę... otóż Kasim, tak ją znajdę, rozpostarty... ona się odezwie, bo ziemia jest już w powłoczce ofert handlowych jak w prezerwatywie, jak ząb powleczone włóknami z cielętek, to zobaczy nawet na otoczonych palisadą terenach Odzibuejów, nawet w lodowym igloo płonie ekran Ziarnistej, nawet gdyby siostra wlokła się przez pustynię, to też ją dogonię w pierwszej napotkanej oazie, pozna mnie, choćby ukrywała swoją piękną twarz pod czarnym czarzafem pośród muzułmanów, Ziarnista doścignie ją na jej drodze nawet w starej chału pie nad Sazawą, zrozum to, nawet w gronie brązowej i szczęśliwej młodzieży na Mykonos, Ios i Sumatrze, przejdę przez ekran, choćby siostra była na wyspach, dowie się, że na nią wiernie czekam... i nie myję się za bardzo, żeby odstręczyć inne... w tej chwili przysiadła się do nas dziewczyna z warkoczami ognistego koloru... popatrywaliśmy na siebie już od dłuższej chwili, także dlatego tak chwaliłem się swoimi występami w filmach... Tycjana w jednoznaczny sposób odgarnęła mi włosy z czoła i położyła rękę na ramieniu... czego

wrzeszczycie, czego tu ryczycie, przecież są Wiadomości, a ty patrz, patrz uważnie, powiedziała do mnie... Kasim zasnął... a Tycjana dodała: Więc pójdziemy do mnie czy do ciebie, czy też nic?

Chciałem wybrać jedną z tych możliwości, ale nagle odezwało się wzzzzz hedlajnniuks wzzzzz i zobaczyłem w Ziarnistej: facet z mikrofonem... stał na Wysypisku, na fioletowej górze śmieci, za nim parę osób, mieli lśniące kurtki, ale gęby z Wysypiska, włóczędzy... a facet mówił do kamery, odcyfrowywałem to: garbidż monster... killing... bladszed... opowiadał, że tam w końcu dotarli i że kilka ekip telewizyjnych szło po fałszywych ścieżkach i nikt już ich nigdy więcej nie ujrzał... krótko pokazali, co zostało z Sępa i jego paczki... Tycjana wbiła mi w ramię paznokcie... gość w TV mówił, że mordercę-zboczeńca ściga policja, pokazał jamy z jedzeniem, były zakryte welonem much, także i tam podobno znalazł się szkielet... jeszcze by nie, powiedziałem... szkielet kobiety, opowiadał dziennikarz i pokazał go... mówił, że supermarkety w Bohemii dopiero budują system pieców na przeterminowane artykuły spożywcze i resztki i że trzeba dotować technologię, pod tym względem reporter zgadzał się z prezesem Trustu Spożywczego, co zostało poświadczony wywiadem... kiedy nie będzie tego jedzenia, nie będzie tych ludzi, powiedział prezes i w pałającym prostokącie pokazał chłopaka, wyglądał jak Kijek... perełką i uspokajającym elementem była wiadomość, że policja jest na tropie mordercy... a to pobudziło mnie do śmiechu... jesteś wesoły, powiedziała Tycjana, ale zbladłeś... a nie nosiłeś czasem długich włosów, spytała melancholijnie... tak... no, z nimi to byś, kochanie, wyglądał całkiem jak błądy anioł... znasz?

Przeszedł mnie lekki dreszcz, tak, znam to, powiedziałem jej... a kim ty jesteś?

Zgaduj, zgaduj, zgadula, powiedziała Tycjana, rozchyliła umalowane czerwone wargi i pokazała ząbki... to co, która możliwość? spytała... tak sobie siedzisz, facet, pośród innych, jak gdyby nigdy nic, jakby nic się nie działo... przepraszam, powiedziałem i poszedłem do ubikacji, tam otworzyłem okno, wyciągnąłem siatkę i wylazłem na zewnątrz, podciągnąłem się na mur... stała na ulicy i patrzyła mi prosto w oczy... zamknąłem się w swojej kabinie... i szczękałem zębami. Przed oczami biało.

A potem... chyba nie miałem ciała, byłem w baraku, widziałem drewno ogrodzenia i pali, prycze, byli na nich ludzie. Niektórzy w łachmanach. Przez okna, w których nic nie było, widziałem niebo, średniowieczne obłoki, które niósł wiatr, poza tym żadnego innego ruchu.

Półmrok. Naprzeciw mnie postać owinięta czarnym płaszczem. Widziałem pole, patrzyłem przez drut kolczasty. No tak, mamrotałem językiem, który mi został, więc ja też. Zaczynałem w tym półmroku widzieć... widziałem twarze wokół siebie, gdybym miał ciało, wzdrzygnąłbym się, naprzeciw mnie był Vilka... mój wrogu, powiedziałem sobie i usłyszałem go: Ona chciała, to jasne... wtedy to spojrzenie, przecież się nie mylę, przecież jestem mężczyzną... słyszałem z Viški, siedział, wzrok uważny... skierowany gdzieś obok, może do środka, słyszę jego myśli, przyszło mi do głowy... taka mała kurewka, mówiłem sobie, że to niemożliwe, to, jak na mnie patrzyła... tak, o tak, była mi bardzo wdzięczna, że wyciągnąłem ją stamtąd, może powinienem się był powstrzymać... ale wtedy w piwnicy pokazała, że tego chce, w końcu widziałem... to było nie do uwierzenia, uwiodła mnie, przecież nie mogę się mylić... i kochałem ją, tak... sama ściągnęła sobie majtki i chyba nie zrobiła tego ze strachu... ale może powinienem był być twardy... a potem, potem już nie mogłem się powstrzymać. Ale bić jej nie powinienem był. Doniosła na mnie. A potem... potem była dorosła, ale należała tylko do mnie... nie mogła tego traktować poważnie, z tym idiotą, z tym chuliganem... dałem jej wybór, kochałem ją. Jednak to, czym się stałem, to jej dzieło. Byłem jak opętany. Ale nie żałuję niczego.

To dobiegało mnie z Viški, ten strumień ciągle się zmieniał... ale nie wierzę ani jednemu słowu tego łajdaka... oszukuje się, prawda musi być inna... jej.

A potem usłyszałem: To wtedy, kiedy szliśmy przez wodę. Tak, Morales wytłumaczył mi, jak to wygląda. Wtedy przy ogniu... i zobaczyłem Vohřeckiego, z niego też to płynęło, ten strumień mowy... Tam było mi dobrze, przy ogniu w nocy, byłem na warcie, ileż razy chciałem, żeby ta warta trwała ciągle... inni spali, a ja czuwałem z bronią, jedyny, który nie spał... to jest życie, to ma sens... dobiegało z Vohřeckiego... tam zrozumiałem, co chcę robić i kim chcę być, a raz przyszedł Morales, to był wielki honor... on był kimś, i mówi mi: Amigo, a wiesz, jak to wygląda na rzece Kongo? Wziął ode mnie papierosa i zapalił go gałązką, schował fajkę w dłoń, byliśmy z boku, w cieniu, ze względu na fridom fajters... mały skorpion, to znasz, hombre? spytał mnie ten facet, Morales... dookoła mogli być partyzanci, ale on był tam ze mną i powiada: Skorpion stoi nad rzeką Kongo, która wylała, mosty zerwane, i mówi do hipopotama: słuchaj no, stary, muszę się dostać na tamten brzeg, mam tam kobitę... przewieziesz mnie, co? Ale hipopotam go znał... ciebie żuczku, nie... ty jesteś jadowity, ugryziesz mnie, jesteś zły... coś ty głupi, hipek, mówi skorpion, przecież gdybym cię ugryzł, też się utopię, kapujesz? To logiczne... hipopotam myślał, myślał, a potem kiwnął łbem, skorpion wlażł mu na grzbiet i hipopotam zaczął płynąć przez mętne wody, płynie, a skorpion się śmieje... a kiedy byli na środku... skorpion z całej siły go ugryzł, nasrał w niego jadu... oszalałeś... mówi hipopotam, przecież obiecałeś... wybacz, stary, mówi skorpion... ale tak to wygląda na rzece Kongo.

I Morales miał rację... tak to wygląda, tak to jest, okrutna prawda, wiem... dobiegało z Vohřeckiego... rozumiałem to i taki byłem, chociaż jego potem zabili... nie żałuję niczego, co się stało. Tylko ci ludzie tam... niektórzy bardzo cierpieli, musieliśmy to robić... jak długo tu będę, Boże... tutaj... więc to prawda... więc i to prawda...

Cześć, Potok, odezwała się postać w czerni, nie widziałem twarzy, ale głos poznałem i poczułem radość.

Wiedziałem, że cię spotkam, przecież nigdy nie rozmawialiśmy...

O tym nie, powiedział Bohler.

Cały czas wstydziłem się ciebie.

A ja cię nienawidziłem, powiedział.

Bardzo ją lubię, małego też.

Akurat ty. Może to i dobrze. Ale nie powinienes jej ranić.

Mamy umowę.

Bzdura, jak jesteś z dziewczyną, o jaką umowę może chodzić? Albo jesteś z nią, albo nie.

Milczałem. Tak samo jak wtedy. Spróbowali na nim tej sztuczki z mydłem. Kiedy pod prysznicem jakiś głupi młody więzień z mydłem w oczach pochylał się, żeby się umyć, dwu go chwyciło, a trzeci mu go tam wsadzał. A kiedy kogoś tak złamali, to na ogół bawili się z nim dosyć długo. Jak długo chcieli.

Mnie się to niestało. Ja miałem wcześniejsze doświadczenie gadanego z wszelkich środowisk... i szybko zacząłem z wilczurami rozmawiać, z debilami, jakoś się dało, szybko to wszystko sprawdziłem, także w kątach, a potem z mopem i kubłem to już była fraszka, orientowałem się, co i jak, dzięki kotłowniom, magazynom i fabryce przedtem, w młodości, to mi pomogło, chodzi ciągle o to samo... ale Bohler, prosto z seminarium, z tym swoim słownikiem i ruchami ministranta... to dla nich prawdziwa rozkosz... a co miałem zrobić? Pozwolić się spruć, zabić? Tam byli psychopaci... my byliśmy tylko psychopatami wolności... idiotycznymi dziećmi pośród kanibali... stałem pod ścianą, woda z prysznicem płynęła, a oni go tam maltretowali. Może powinienem był puścić ukrop czy co... ale potem przyszlaby kolej na mnie... mokry ślub, tak to nazywali, uświadomionko, doprowadzenie kabla, kopalnia kaolinu, mieli mnóstwo nazw, starzy więźniowie... nie chodziło mi o jedną bójkę, ale tam człowiek musiał wytrzymać, może... nie wiedziałem wtedy... lata, a ja chciałem przeżyć. Jeden dowcipniś nazywał to: prysznic szczęścia, kreatury. Im wydawało się to normalne.

A Bohler zwariował. Przez tygodnie nie mówił. Trudno to było znieść. Byliśmy razem w celi, jeszcze z jakimiś kierownikami sklepów z warzywami, a raz w nocy mu mówię... tylko się nie zesraj, no... a on nie spał i odezwał się nowym językiem... ja to pierdołę, zaśmiał się, nasienie w dupie, to się wysra... ale mnie chodzi o tych innych, o wszystkich... o tych, co ci to zrobili? Nie, o tych pozostałych. I zmienił się.

Dosyc mnie wkurzałeś, Potok, także potem, w domach.

Tego nie wiedziałem. Gdzie jesteśmy?

Zgadnij. Rozejrzyj się.

Za oknami to pole, rozmokłe, błotniste pole za drutami, nagle się zbliżyło... były tam kobiety, cała chmara, maszerowały... szły w tym błocie, poruszały nogami, ale w miejscu... widziałem je, w łachmanach, chustach, padał na nie deszcz... na nagich ramionach widziałem gęsią skórę, szły... patrzyłem na ich twarze, bojąc się, że może... były bose, widziałem ich skrwawione, poranione nogi... niektóre nie miały już paznokci... tam, gdzie byliśmy, nie miałem ciała, ale mimo to drżałem, moją świadomość zalała biel, kiedy ślizgałem się po twarzach kobiet, przerażony, że zobaczę ją... już domyślałem się, gdzie jesteśmy... to są Szczękały z nazbyt ostrymi zębami, dźwięczał głos... i Sady, które dręczyły, tym budując sobie życie... i Muszle, co dusiły się w sobie, i kurwy... trucicielki, jak również Lakty, co zabiły swoje dzieci... i muszą to wszystko robić ciągle na nowo, póki nie zrozumieją, a to jest tylko spacer, to jest odpoczynek... mówił mi Bohler, mój przewodnik po czyścicu, faceci są tu w barakach, nie mogą się ruszać i nie mogą się spotykać, tu nie... tutaj są tylko same i tylko sami... a potem... jedna z nich, chustka zsunęła się jej z kruczych włosów... dlaczego tu jesteś, miła, nogi cię ciągle boją, jeśli to jesteś ty, chcę położyć się pod twoje nogi w błocie, a ty po mnie idź, idź dalej...

No, tak, powiedział Bohler. No, właśnie. Słyszałem cię. Ciesz się. Masz szczęście. Niektórym to zabiera tu dużo czasu. Nic już do ciebie nie mam.

Ja do ciebie nigdy nie miałem. Ja się wstydziłem. Bohler?

Co?

Skoro jesteś tu... przecież walczyłeś!

No tak.

Skoro jesteś tu, byłeś przed jego obliczem... powiedz mi.

Co?

Dlaczego?

Dlaczego co?

Dlaczego wszystko. Dlaczego to jest?

Potok, to jest plan. No... tak przynajmniej myślę.

I... coś takiego ma mnie uspokoić?

Musisz trochę wierzyć.

Ale je chcę z powrotem, chcę jej.

Potok... a skąd wiesz... że jej nie zrobisz, wiesz, tego, co zrobiłeś.

Nie wolno mi, Bohler... już nie. To się nie zdarzy. Wierzę... sobie.

No widzisz. To jest to samo.

I Bohler wstał, zerwał z siebie płótno. Byliśmy ciągle w tym drewnianym baraku, ale nie widziałem już innych, których mi ukazano. Miał opuchniętą twarz, mój utopiony kumpel. Zobaczyłem też jego drapieźnika, którego miał wytatuowanego. Nie wzięli mu go. Rozpościerał na nim skrzydła jasnowidzący orzeł. Ale nie jego chciał mi pokazać. Patrzył na mnie nieruchomymi oczami. Były jak ze szkła. Nagle miałem znowu ciało i pochyliłem się ku niemu.

Jego oczy się nie ruszały.

Bohler!

Tak. Jestem ślepy. Oślepiłem. A ją spotkasz, nie bój się...

Obudziło mnie kopanie w drzwi, był to Kasim. Pomógł mi wstać. Doprawiliśmy się. Nie mówiliśmy wiele.

Potem dużo chodziłem, marzyłem i rozmyślałem. Bardzo możliwe, że starzy wyjadacze, prawnicy z kurii watykańskiej, wysmialiby mnie, może nawet oświadczyliby coś gorszego. W końcu... wypowiadałem się zabójcy, w dodatku umarłemu. No tak, mogę tylko pokiwać głową i powiedzieć: Tak to jest. Nie mówię tego na swoją obronę. Przecież już nie chcę się bronić.

Lai o spotkaniu nic nie powiedziałem. Przy wszystkich moich zajęciach nie było zresztą zbyt wiele czasu. Wtedy w pewnej reklamie grałem marynarza Popeye'a.

Byłem wystrojony zgodnie z rolą, nie zdjąłem kostiumu, przyszło mi do głowy, że w ten sposób dam popalić kontradmirałom... ale potem... przed studiami. W szarym daimlerze. Tylko rzuciłem na niego okiem, po paru krokach wróciłem, serce mnie prowadziło... zapalała motor, ruszała... na głowie kapelusik, twarz zasłaniał welon, tiul... kierownicę trzymała rękami w muślinie, sięgającym aż do ramion... odjeżdżasz, mówiłem sobie czy raczej wpadło we mnie to słowo, znikąd... chyba wiesz dlaczego, odjeżdżasz ode mnie, ta kobieta prowadziła wóz w dal... na fotelu obok niej... może to był pistolet. Może chciała, żebym to zobaczył. Nie wiem. Może to nawet nie jest ona, tylko jakaś stuknięta aktorka, tam przechadzały się ich tłumy, próbowałem się uspokoić. Na próżno.

W skajskrejperze na Złotym Krzyżu nr 33 w końcu nastąpiła przemiana... Popeye... wszedłem tam kołyszącym się krokiem w rozdartym marynarskim podkoszulku w paski, błyskałem kolczykiem w ucho i pykałem z fajki, kałasznicy uciszyli wilczury, a portierzy otwierali, z ukłonem zapraszali mnie dalej... do komnat i na pokoje, przy windzie zajęła się mną hostessa... Mister Oktopides, ten armator, przechodziło przez hol z ust do ust, kiwałem głową i kurzyłem fajkę, żeby nie widać było mojej wykrzywionej grymasem twarzy... pojechaliśmy na samą górę. Inna hostessa otworzyła pancerne drzwi... w obszernym gabinecie za biurkiem i pod wentylatorem siedział Kocur.

Z ukłonem podchodził, potem przyspieszył i zwolnił, i zatrzymał się, otworzył usta i na powrót je zamknął... ja kołysałem się i pykałem... odwrócił się do okna i powiedział: Ale czasu ci to zajęło.

Powiedziałem tylko: ech, czy coś w tym stylu... potem siedzieliśmy w skórzanych fotelach klubowych, noga nonszalancko założona na nogę, i popijaliśmy, i wpadali w zapal, gadaliśmy... gardła, początkowo, muszę przyznać, trochę ściśnięte, na powrót się rozszerzyły i tryskały strumieniami słów... a kiedy już dłuższą chwilę rozmawialiśmy i opisywali swoje losy, Kocur zaśmiał się i powiada: Musiałeś chyba mieć wtedy w tym lesie przywidzenia, bo Vohřecký... to niesamowite, kazałem wszystko sfilmować, mam kasetę!... więc on teraz przewodzi Bosym i ma kazania w namiocie na błoniach leteńskich... zakołysałem się nawet razem z fotelem, ale daliśmy temu spokój i dalej rozmawialiśmy przede wszystkim o Bohlerze, spytałem o Rekina... a z tego, jak Kocur podciągnął swoje wspaniałe spodnie, zaczął się wic w swojej nienagannej marynarce i obejrzał swój krawat w tygrysie pręgi, z mistrzowskim węzłem, dotarło do mnie, powodując nagły stres... tak, powiada Kocur, jest na liście zaginionych, mówi się, że trafili go Palestyńczycy, kawałkiem żwiru, jacyś gówniarze. Ale ja mam swoje kontakty, to chyba dla ciebie jasne... i nie jest to znowu aż takie jednoznaczne! Słuchaj... sam pomyśl... stał na warcie z jeszcze jednym, a wiesz, jaki Rekin jest, może go to tam w wojsku wkurwiało... oni podobno krótko ich trzymają, tych izraelskich szeregowych, Arabowie ciągle rzucają w nich żwirem i koktajlami Mołotowa, trzymają ich krótko ze względu na światową opinię publiczną... albo odwrotnie... tylko gumowe kule, no po prostu mieli wartość, Strefa Gazy, dwu chłopaków, nikogo poza tym, a pamiętasz Rekina... założę się, że go to wpieprzało, to, że dał się zwerbować!... musi salutować... albo ten drugi jakoś niezgrabnie go potrącił, zezłościł go, miał lepsze fajki... i Rekin, przecież go znałeś, wiesz, jaki jest... dźgnął go... wymienił mundury, wymienił

znaczkę tożsamości i może temu drugiemu rozkwasił trochę gębę, kamieniem albo kolbą... i skok przez druty... i prysnął... no tak, przyłączył się do Arabowi...

Ależ Kocur, przyhamuj, prr.

Padrug mrugał... ja bym to tak zrobił, to znaczy nie... albo wcześniej... znasz to, przez płot i do widzenia! Ale wiesz, co chcę powiedzieć... są różne możliwości, różne drogi, po prostu nie wierzę, że już po nim. Pewnie organizuje gdzieś ruch oporu goryli albo...

No, raczej już po nim.

Pewnie tak, ale możliwości...

Wiem.

Wiem, że wiesz. Nie wpuszczam cię w żadne maliny, nie bawię się z tobą w żadne zgadywanki, stary brachu, ale Rekin...

Pograżyliśmy się obaj w milczącej zadumie.

To samo nastąpiło po mojej relacji o Davidzie.

Tylko że Kocur rzucił na stół... zdjęcia. Był na nich facet w białej bluzie po kolana, z fujarką, w kapeluszu, twarz była chyba ze względu na promienie słoneczne niewyraźna... ale w tle, ten kamień... ten kamień utkwiał mi w pamięci.

No lej, dolej sobie, powiedział Kocur.

Kiedy to było robione? spytałem.

Hm... Kocur podrapał się po czole... tego właśnie nie wiem. Aha.

Dajmy temu spokój, przejdźmy do meritum sprawy, powiedział Kocur i dmuchnął na kilka diamentów na swoich palcach. Co robisz?

O siostrze nie wspomniałem. Tylko o studiach.

Ale słuchaj... dlaczego?

Tego mu nie powiedziałem.

Słuchaj, Potok czy Piąty, czy jak się teraz nazywasz, to było dowcipne z tym Oktopidesem... gdyby cię to interesowało...

Hę?

No, mówił biznesmen, ty chodziłeś do szkoły z niejakim Špelnerem, jeśli pamiętam starą listę.

Uhm, taki trusia.

No więc ten cichutki chłopczyk to przewodniczący Izby Ludowej. A Fiala, ten, co za naszych czasów kierował Izbą Handlową, dzisiaj pokrywa całe spektrum przemysłowe naftalin i słuchaj... jest siostrzeńcem posła Vašegisa, tego szpilmena, tak więc...

Kocur.

No?

Wolałbym nie.

Tak myślałem. Chodź ze mną.

Prowadził mnie korytarzem... prowadził mnie do klopa. Podszedł do umywalki, kiwnął, pochylili się ku sobie głowy, puścił wodę i wentylator, i jeszcze suszarkę do rąk... w ogóle cię nie słyszę! wrzeszczałem. Obiegł kabiny i wszędzie spuścił wodę, wrzeszczał do mnie... Helenka!... i jak wariat szeptał mi do ucha... ta twoja historia z Davidem, nawet gdyby to nie był sen, to wszystko jedno... Helenka! znowu wrzeszczał, i... dziecko... gdzie jest? wrzeszczałem także... w bezpiecznym miejscu, zrozumiałem... to pewne, a to dziecko, stłumił huk wodociągu... to dziecko, człowieku, możliwe, że tak... są pewne oznaki... naprawdę, fakt? wyrwałem z siebie i musiałem oprzeć się o kafelki... to by znaczyło, że to wszystko jednak... nie na darmo... TAK! powiedział Kocur, zakreślił wodę i wyłączył co trzeba, szliśmy korytarzem... to fantastycznie, krzyczałem, alleluja, to fantastycznie, wspaniale, więc jest nadzieja, że to dziecko, że to mógłby być sam M.? A dobrze go pilnujesz? Możesz mi zaufać, powiedział Kocur, ten budynek, ta moja firma nad firmami,

firma od wszystkich interesów kręci się właściwie tylko ze względu na niego, ale pst! jednoznacznym gestem pokazał wszystko dookoła.

Kocur, spytałem, ale co ma wspólnego możliwe i oczekiwane nadejście M.... z biznesem?

Czy ty wiesz, jak to może wpłynąć... na przykład na ceny ropy? I tak dalej?

Aha.

A na zewnątrz... znowu ten szary samochód. Odjeżdżał. Drżałem, jakieś dziecko poprosiło mnie o autograf, a potem się rozbeczało... nie Potok, panie Popeye... chciałbym z nią siedzieć w starej kawiarni z lustrami, ciesząc się wspólną chwilą... ale ten samochód odjechał.

A czasem, czasem wchodziłaś między nas. Klęczałem przy swojej przyjaciółce, obejmowała mnie udami, poruszaliśmy się razem, a ja głaskałem jej piersi, krążyłem otwartymi, naprężonymi dłońmi po jej brodawkach, tak jak lubi, i miotaliśmy się razem, a ty między nas wchodziłaś. Byłaś nagle przede mną, i to nie tylko oczami, cała, zazdrośnie zdjęłaś moje ręce z Lai i przycisnęłaś je do swoich piersi, byłaś nad nią, ona trzymała cię w pasie, przyssała się do ciebie ustami i pieściła cię językiem, i tak poruszaliśmy się w trójciele i przekazywaliśmy sobie czułość... byłem w Lai, jak najbardziej mogłem, i trzymałem cię za biodra, uśmiechnęłaś się, Czarna, kiedy cię pocałowałem, poznałem to po kącikach twoich ust, czułem, jak powstrzymujesz uśmiech, tak się wiliśmy i słyszeliśmy jedno drugie, i było to poza słowami, za bramą, w głosie oddechu, było to wreszcie poza słowami... i, wiesz, że nie lubię bluźnić nadaremno, była w tym łaska. I kończyło się to zawsze twoimi przymkniętymi oczami, zawsze kiedy wydychałaś powietrze... tylko że potem, Laa pod tobą... zaczęła się dusić, krztusiła się... śmiechem... a ciebie tam nie było. I jeszcze coś się stało.

Wtedy... deszcz bębnił w dach szopy, staliśmy tam na udeptanej ziemi, Laa opierała się o mnie brzuchem, już był wypukły, patrzyłem na cienie... a Syn bawił się wśród prastarych popsutych maszyn, ukręcił tam jakiś drut czy coś w tym rodzaju, chciałem go trochę ukarać, a nagle Laa mówi: Sony... przyszło mi do głowy, że może kupiła wieżę, ale potem to usłyszałem... wiatr przynosił ten dźwięk z miasta nieregularnymi porywami, także Vojtěcha to zainteresowało, przyszedł do nas i pyta: Co to jest, nie znam... hej! krzyknął na mnie, bo stałem, chwytałem dźwięk. Dzwony! mówię mu... znowu biją... musiałem mu je narysować... i znaleźć w książce... czasem, kiedy obaj mamy akurat czas i humor, uczę go niektórych starych słów, tych, których jeszcze nie zapomniałem.

Wiedziałem już, że przyjdiesz. Znalazłem na poddaszu na twoim stole kwiat. Była to róża, a ty tak lubisz róże. Leżała koło moich liścików. Miałem jedno stare pudełeczko z mydłem, z podróży, miałem je przygotowane na wannie, zaraz nalałem wody... wtedy już od pewnego czasu nie pracowałem na straganie, ale... i słyszałem szybkie kroki, i otworzyłaś drzwi, i weszłaś do środka. Czarna. Byliśmy przy sobie. Nagle. Twoja głowa była przy mnie, a ja cię objąłem.

Już się nie opuścimy, powiedziałem.

Już nie, powiedziałaś ty.

Niespodziewanie zadzwonił dzwonek. Wzdrygnęłaś się, nawet nie pytałem, po twoich oczach widziałem, że nie wiesz. Ciągle dzwonił. Ten ktoś trzymał na przycisku palec. Trochę... tylko trochę cię odsunąłem i podniosłem ręce... ale ty je wzięłaś, lekko, wzięłaś moje dłonie w swoje i położyłaś je sobie na ramiona.

Nie otworzymy, powiedziałaś. Już nie.

Nie. Teraz nie.

OD TŁUMACZA

W edycjach czeskiego oryginału *Siostry* jego wydawcy zamieścili notę, mówiącą, że respektują zamiar autora, który pragnie „uchwycić język w jego niesystematyczności i wywichnięciu, wypadnięciu z wiązań”. Stąd w oryginale – nie tylko w dialogach, ale i w narracji – bardzo wiele odstępstw od norm języka literackiego. W przekładzie jest ich mniej, gdyż różnice między polszczyzną pisaną i mówioną nie są tak duże jak w języku czeskim (co zresztą w zasadniczy sposób utrudnia adekwatne oddanie całego językowego bogactwa oryginału). Niemniej również czytelnik polski, zanim zacznie zżymać się na „błędy” (takie jak choćby „tą” w miejscach, gdzie norma każe pisać „tę”), musi uświadomić sobie zamiar autora, który również w narracji chętnie stosuje mówioną, potoczną odmianę języka (czasami jednak mieszając ją z językiem literackim), w niestandardowy sposób wydziela dialogi (czy raczej właśnie ich nie wydziela), i włącza do swojej powieści, nierzadko zresztą będące w dużej mierze jego kreacją, dialekty, slangi i żargony zawodowe, jak również wiele słów całkowicie wymyślonych lub też zastosowanych wbrew dotychczasowej tradycji ich użycia albo przekreślonych. Wszystkie one, podobnie jak słowa i frazy w językach obcych, docierają do nas przefiltrowane przez świadomość narratora. Stąd choćby fonetyczny zapis słów, a także nazwisk obcych. Tak, nieco poczeszczone (w przekładzie zaś spolonizowane), brzmią one w uszach i mózgu Potoka.

Chciałbym w tym miejscu podziękować tym wszystkim (a wielu z nich mam honor nazywać swoimi przyjaciółmi), którzy pomogli mi przedzierać się przez językowe zasięki *Siostry*, autorowi zamieszczonego w tekście powieści „więziennego” wiersza, Milanowi Kozelce, Liborowi Martinkowi z Uniwersytetu Śląskiego w Opawie, profesorowi Jiříemu Holému z Uniwersytetu Karola w Pradze, Václavowi Burianowi z Uniwersytetu Františka Palackiego w Ołomuńcu, redaktorowi Tomasowi Tichákowi z tygodnika „Literární noviny”, koledze tłumaczowi Ladislavowi Šeknyfikowi, a przede wszystkim samemu twórcy powieści: Jáchym Topol z dużą cierpliwością odpowiadał na moje liczne pytania dotyczące osobliwości językowych tekstu i realiów, do których tekst ów się odwołuje. Pomocne były dla mnie też komentarze Alexa Zuckera do amerykańskiego wydania utworu (*City Sister Silver*, North Haven 2000).

Cytat z *Fausta* Goethego podany został w przekładzie Adama Pomorskiego. Cytat z Proroctwa Izajasza (40,31) – według Biblii Gdańskiej. Wiersz Czesława Miłosza pochodzi z tomu *Hymn o Perle*.

Obok licznych aluzji do światowych dzieł kultury wysokiej i masowej (przykładem tych pierwszych jest historia o królu Krongoldzie, stanowiąca aluzję do powieści Louisa-Ferdinanda Celine’a *Śmierć na kredyt* (1936, *Mort à crédit*), w której narrator opowiada garbatemu chłopcu imieniem Jędrzek dzieje „króla Krogolda”, przykładem drugich – pojawienie się postaci Popeye’a, bohatera amerykańskich komiksów autorstwa Elzie Crisler Segar i filmów animowanych Maxa Fleishera dla wytwórni Paramount – gburowatego palącego fajkę marynarza o wielkich dłoniach, którego nadzwyczajną siłą napętnia zjedzony szpinak), znajdują się w powieści Jáchyma Topola nie mniej liczne odwołania do utworów powszechnie znanych jedynie w Czechach, przykładowo do sztuki Viléma i Aloisa Mrštíków *Maryša* (1894, grana była w Polsce pt. *Dziewczyna na sprzedaż*), w której zmuszona do niechcianego małżeństwa bohaterka, używając trucizny, morduje męża; do *Dudziarza ze Strakonic* (1847, *Strakonický dudák*) Josefa Kajetana Tyla, w którym bohater marnieje na obczyźnie, gdzie chciał się wzbogacić, i ratuje go dopiero powrót do Czech i do ukochanej; do twórczości (a także losów) Karla Poláčka, m.in. do jego krótkiej powieści *Było nas pięciu* (pośm. 1946, *Było nas pět*); do przeznaczonych dla młodzieżowego czytelnika powieści

Jaroslava Foglara, autora m.in. znanych również w przekładzie polskim *Chłopców z nad Rzeki Bobrów* (1937, *Hoši od Bobří řeky*), a także do książek Jana Welzla, który opisywał w nich swoje przygody w Arktyce. Objaśnienie wszystkich aluzji Topola wymagałoby wprowadzenia obszernych przypisów.

L.E.